



NICOLE C.
VOSSELER

NIEBO
NAD INDIAMI



Dramatyczna historia miłości w egzotycznych plenerach

Vosseler Nicole C.

Niebo nad Indiami

Siedemnastoletnia Helena oraz jej jedenastoletni brat Jason po śmierci ojca zostają bez środków do życia. Muszą spłacić ogromne długi, a do tego natychmiast opuścić dom na wybrzeżu Kornwalii. Właśnie wtedy pojawia się w życiu Heleny Ian Neville, bogaty właściciel ogromnej plantacji herbaty leżącej u podnóży Himalajów. Ian składa młodej kobiecie ofertę nie do odrzucenia: zapłaci wszystkie długi ojca, pošle jej brata do ekskluzywnej szkoły, a jej samej zapewni spokojną, dostatnią egzystencję w Indiach na plantacji Darjeeling. W zamian Helena musi zostać jego żoną. Młoda kobieta właściwie nie ma wyjścia...

Wkrótce na balu, na którą zabiera Helenę świeżo upieczony małżonek, kobieta poznaje innego mężczyznę – Richarda, który zakochuje się w niej od pierwszego wejrzenia. Kiedy mąż zabiera Helenę ze sobą do Indii, Richard podąża śladem małżonków. Tymczasem w sercu Heleny zaczyna się rodzić uczucie do męża. Jednak Ian skrywa jakąś mroczną tajemnicę, a jego przeszłość i nieprzystępny charakter stają na drodze małżeńskiemu szczęściu...

1

Helena

Dzieci miłujących się są sierotami.
LEW TOŁSTOJ

Prolog

Argostolion/Kefalinia, dnia 13 sierpnia 1864

*Najdroższe siostry moje,
w zaledwie kilka godzin po tym, jak ten list wyruszy w drogę ku Wam,
my również ruszymy przed siebie, choć nasza podróż będzie
nieporównanie bardziej mozolna i męcząca. Potrafię zrozumieć
Waszą troskę o nas, wszelako nie spotkaliśmy się z żadnymi przeja-
wami wrogości — czy to w czasie angielskiego protektoratu, czy to
po oddaniu Wysp Jońskich z powrotem Grecji. Zapewniam Was z ca-
łym przekonaniem, że nie należy ślepo wierzyć wszystkiemu, co jest
napisane w gazetach; zawsze spotykaliśmy się z życzliwym przyję-
ciem i gościnnością.*

*Mimo to dojrzała w nas decyzja powrotu do ojczyzny. Siedem lat już
minęło, jak opuściłam Anglię i Was, drogie siostry, siedem lat
spędzonych tu, na złotym Południu. Czasem wydaje mi się, jakbym
spędziła tu nie więcej niż kilka miesięcy, a innym razem, że całą
wieczność. Londyn zatarł się w moich wspomnieniach, w pamięci
mam jedynie ulotne impresje: tamtejszy hałas uliczny, który jest zu-
pełnie inny niż hałas tutaj - oziębły i na swój sposób bardziej upo-
rządkowany, sadzę i mgłę, a przede wszystkim deszcz, zimny, nie-
ustający deszcz...*

*Prawie całą drogę do Anglii, poprzez Włochy i Francję, pokonamy
statkiem. Tak będzie nie tylko szybciej, ale też przyjemniej, skoro i
tak musimy się obyć bez nostalgicznych spojrzeń na obszary, które
tak długo były naszym domem. Spodziewamy się, że przy sprzyja-
jących warunkach za trzy, cztery tygodnie dotrzemy do Dover, skąd
prześle Wam wiadomość. Najserdeczniejsze pozdrowienia dla
Theodore'a i Archibalda. Także od Arthura.*

Wieczne pióro zatrzymało się na moment nad kartką papieru, by zaraz potem na nowo ruszyć, pozostawiając za sobą cienki, delikatny ślad. *Wróciwszy do Was po tak długim czasie, byłabym doprawdy szczęśliwa, gdyby ojciec przestał mieć pretensje do mnie, a przede wszystkim do Arthura. Niechże przynajmniej spojrzy na swoją wnuczkę, której jeszcze nigdy nie widział.*

Ściskam Was, kochane moje, Celia.

Odetchnęła głęboko, jakby pozbyła się ciężaru, odłożyła pióro i wstała, szeleszcząc spódnicami. Poprzez szczeliny okiennic chroniących pokój przed letnim upałem wdarł się do środka dźwięk kościelnych dzwonów, ogłaszających koniec długiego dnia pracy. Wraz z tym dźwiękiem wnikał zapach nagrzanym słońcem skał i suchego listowia. Podeszła do wysokiego okna, którego skrzydła były otwarte do wewnątrz pomieszczenia, wyjęła haczyk z mocowania i pchnęła lekko okiennice, które otworzyły się na zewnątrz. Głęboki, rytmiczny dźwięk bijących dzwonów stał się wyraźniejszy. Jednocześnie do pokoju wdarło się wieczorne światło - miedzianozłote, gorące, ale nie tak ostre i zabójcze jak w południe.

Woda w zatoce była nieruchoma, wyglądała jak tafla lustra. Okno wychodziło na panoramę Argostolionu, stolicy tej wyspy. Widziała przed sobą morze kilkupiętrowych domów krytych dachówką, zbudowanych w stylu klasycznym, z oślepiająco białymi elewacjami, obiecującymi chłód we wnętrzu. Spomiędzy tych domów wystawały wieże czterech ortodoksyjnych kościołów, których odbijające się echem dzwony rywalizowały ze sobą. Pinie i cyprysy łagodziły surową geometrię ulic i budynków. Nawet o tej porze, kiedy ludzie wracali z pracy do domu, miasto robiło wrażenie zaspanego, jakby czas mijał tu jakoś wolniej.

Zboczem góry, obok przyklejonego doń domu, schodzili dwaj pasterze. Ubrani w pludry, luźne koszule i kamizelki, popędzali i przywoływali owce przedzierające się między skałami porośniętymi tymiankiem. Pomachawszy w powietrzu białymi fezami, zawołali coś do niej, pięknej młodej kobiety, żony *an-glikós sogrdphos*, angielskiego malarza. Były to uprzejme i pełne żalu słowa pożegnania, na które ona odpowiedziała machaniem ręką i paroma słowami po grecku. Popatrzyła za nimi, jak schodzą w dół, ku miastu, ścieżką pokrytą kamieniami. Dojrzała, że spotkali dwie postacie wspinające się pod górę pomiędzy niebiesko kwitnącymi cebulicami i wysokimi krzewami mastyksowymi o pierzastych liściach i czerwonych oraz czarnych jagodach. Postaciami tymi byli dorosły i dziecko.

Serce Celi zabiło mocniej, gdy rozpoznała Arthura. Mężczyzna był opalony na brązowo, tak że wyglądał jak rodowity Grek. Jego ciemnobrązowe włosy poprzetykane były rozjaśnionymi przez słońce kasztanowymi kosmykami. Podwinął rękawy koszuli, na ramieniu niósł złożone sztalugi, w drugiej ręce trzymał płótno rozpięte na drewnianej ramie, pozornie nie troszcząc się o to, że farby na nim były jeszcze świeże.

Od wczesnej młodości pragnąłem żyć na wybrzeżach Jonii i Attyki oraz pięknych wysp archipelagu; jednym z moich najgorętszych marzeń było kiedyś naprawdę się tam udać, do świętego grobu młodzieńczej ludzkości. Grecja była moją pierwszą miłością i nie wiem, czy mogę powiedzieć, że pozostanie moją ostatnią. Arthur cytował nieraz te słowa Hölderlina, niemieckiego poety, mając przy tym na myśli siebie samego. Ciemny jak Cygan, ale o niebieskich oczach, które we wszystkim, co widziały, dostrzegały piękno. To za jego sprawą się tu znalazła, to on ją tu sprowadził, w miejsce, które od pierwszej chwili pokochała, tak jak pokochała jego, kiedy pierwszy raz przekroczył próg domu jej rodziców, by udzielać jej lekcji rysunku, i kiedy razem pochylili się nad szkicownikiem.

Rzym, „Wieczne Miasto”, Neapol i Syrakuzy, Delfy i Korynt, Salamina i Mykeny, Patras i Itaka - przez dwa lata bez ustanku pokonywali kolejno stacje podróży niemającej konkretnego celu, upajali się słońcem i szczęściem. Swój dom znaleźli dopiero pod Akropolem w Atenach, gdzie przed pięcioma laty w piekielnie gorącym sierpniu na świat przyszła Helena, a tu, na Kefalinii, znaleźli swój azyl.

Kefalinia, „Wyspa Cudów”, jak ją nazywają miejscowi, była kołyską zachodniej kultury, ojczyzną niezliczonych podań o bogach i herosach, historii pełnych namiętności, walki i nienawiści, miłości i śmierci.

Zafascynowała Arthura, który każdego ranka na nowo ustawiał swoje sztalugi i malował jak opętany. Potrafił uchwycić odpowiednie oświetlenie, wyczarowywał na płótnie morze i skały, ożywiał duchy zmarłych bohaterów i ich nałożnic. Osiągał przy tym godziwe dochody, choć za bardzo im się nie przelewało. Nabywcami jego obrazów byli angielscy, francuscy i niemieccy podróżni, żądni zabrać ze sobą do swych deszczowych ojczyzn cząstkę tego zalanego słońcem wiecznego świata. Potem, patrząc w domu wraz z rodziną na intensywne kolory, jakby wypalone na płótnie przez słońce, odczuwali tęsknotę za dalekim światem.

Do jej uszu dobiegł z dołu śmiech zmieszany z pojedynczymi urywkami słów wypowiedzianych w donośnej i dźwięcznej grece. Celia dostrzegła, jak obaj pasterze przekomarzają się z Heleną, która przewiesiła sobie przez ramię ojcowski woreczek z pędzlami i farbami. Jasne włosy dziewczynki, gładkie jak tkane złoto, odbijały światło słoneczne. Loczki okalające jej twarzyczkę wyglądały jak świetlista aureola, momentami wśród blond włosów można było dojrzeć lekki odcień miedzi.

Chrysó mou...

W ciepłym świetle wieczornego słońca Celia poczuła na plecach zimny dreszcz.

- *Chrysó mou*, moje złote dziecko - tymi słowami przywołała Helenę stara Greczynka.

Siedziała na stołku w cieniu jednego z domów i obserwowała leniwie, co się dzieje na rynku. Wyciągnęła powykrzywiane palce w kierunku angielskiej dziewczynki w białej sukieneczce na ra-miączkach. Helena wyniośle i spokojnie poddała się swemu losowi i pozwoliła, by staruszka wzięła ją na kolana, całowała i pieściła, czego dziewczynka doświadczała od Greczynek od samego urodzenia. Sękaty dłoń z widoczną radością wędrowały po opalonej twarzyczce i niesfornych włosach, staruszka szeptała jej pieszczotliwe słowa, aż w końcu dotknięcia przybrały spokojny, stały rytm.

Celia usłyszała głos staruszki, której pomarszczona twarz odprężyła się w skupieniu:

- *Chrysó*, złotko, urodziłaś się, by zostać księżniczką. Los sprawi, że trafisz w dalekie strony. Dwóch wrogich sobie mężczyzn będzie się o ciebie starać, a ty poznasz tajemnicę, która zwiąże ze sobą ich losy. Jeden z nich będzie twoim szczęściem. Ale nie daj się oszukać pierwszemu wrażeniu! Rzeczy często nie są takie, jak się początkowo wydają albo jakimi by się chciało...

Jej głos zamarł, pozostawił w powietrzu intrygujące napięcie, pachnące kurzem, cebulą i słodkimi winogronami. Celia usłyszała własny głos:

- Może mi pani powiedzieć, co mnie czeka? Mnie i mojego męża?

Jej pytanie, wypowiedziane z pewnym wewnętrznym oporem, było ledwo słyszalne wśród gwaru i śmiechów dobiegających od strony rynku. Staruszka się nie ruszyła, jakby uważnie nasłuchiwała głosu ze swego wnętrza.

Gwałtownie uniosła powieki pomarszczone jak u ropuchy, w jej mętnych oczach pojawiły się zgroza i coś w rodzaju współczucia. Pomarszczonym kciukiem prawej dłoni nakreśliła na ustach znak krzyża, jakby chciała je zapieczętować dla własnej ochrony i ochrony Celi, której się wydało, że żelazna ręka chwytają za serce.

Gwałtownie ściągnęła przestraszone dziecko z kolan starej czarownicy i pociągnęła je za sobą, wzbijając aksamitem spódnic tumany kurzu. Czyniąc wielkie kroki, próbowała zostawić za sobą to, co nagle wydało jej się zagrażające.

Strach nie chciał jej już opuścić i zaczął mącić jej miłość do tego kraju. Będzie tęsknić za Grecją, zalanymi słońcem krajobrazami, światłem tworzącym ostre kontrasty, równinami pełnymi suchej, kolczastej roślinności, zapachem węgla drzewnego w lasach piniowych, śpiewem cykad, połyskiwaniem powietrza pełnego zapachu liści, ziemi i soli morskiej. Jednak nie mogła już czuć się tu bezpiecznie.

Z zatroskaniem położyła dłoń na swoim wciąż jeszcze płaskim brzuchu, okrytym lekkimi spódnicami z muślinu, i w milczeniu pomodliła się o boską opiekę dla swego nienarodzonego dziecka i reszty rodziny.

1

Kornwalia, listopad 1876

Spódnicami ze sztywnego czarnego materiału z szelestem zamiatała schodzoną drewnianą podłogę i pukała niskimi obcasami butów. Echo tego pukania zabrzmiało nieprzyjemnie głośno w jej uszach. Podeszła do drzwi, stanęła przed nimi na chwilę, jakby musiała sobie dodać odwagi, po czym głęboko zaczerpnęła powietrza, wzięła do ręki zimną, metalową, poplamioną gałkę i pchnęła lekko. Przeciąg wywołany otwarciem drzwi sprawił, że w powietrze wzbiły się niezliczone drobinki kurzu, które zatańczyły w bladych promieniach słonecznych, wpadających do pomieszczenia przez wąskie okno.

Pośrodku stało zdezelowane ze starości biurko, obok krzesło obite skórą. Przez rysy w skórze zaczęła wyglądać wyściółka.

Jeszcze niedawno tu pracowano, o czym świadczyły stosy papierów, wznoszące się wysoko i poprzecyłane we wszystkie strony, oraz połamane i pobrudzone atramentem wieczne pióra. Ściany aż po niskie, poczerniałe od sadzy belki sufitu zabudowane były książkami, które wydzielają stęchły zapach. Przyblakłe i pokancerowane skórzane grzbiety stały obok siebie mocno ściśnięte -dzieła Platona i Arystotelesa, Plutarcha i Homera, wiele z nich w różnych wydaniach, pisma z dziedziny archeologii, filozofii, retoryki i gramatyki. W którymś momencie zaczęło brakować miejsca, bo książki z regałów zbitych z prostych desek zeszły na podłogę, tłoczyły się przy nogach biurka i koczowały w zatrzważająco krzywych wieżach w różnych kątach pokoju. Świątynia jej ojca.

Obrała ścieżkę wiodącą przez tę dżunglę uczoności. Na samej górze papierowego lasu leżał zaczytany tom, strony miał po-nadrywane i pożółkłe. Jeden fragment z ciasno złożonych czcionek był podkreślony - być może była to ostatnia lektura jej ojca.

Pieśń - Do Celii

*Najdroższa Celio, kochaj mnie tkliwie, Póki to jeszcze jest możliwe,
Czas szybko mija, nic nie trwa wieki, Pan kiedyś zamknie nasze
powieki. Słońce, choć zajdzie, znów rano wzejdzie, Niestety z nami
już tak nie będzie. Kiedy Pan światło nam życia zgasi, Nastąpi wtedy
noc po wsze czasy.*

Ben Jonson

Poprzez nierówną szybę spojrziała w dół, na pusty nadbrzeżny krajobraz robiący wrażenie nagiego. W mętym świetle listopadowego dnia połyskiwała srebrzyście plaża, ustępując pod impetem nadpływających i rozbijających się fal.

- Pan Wilson czeka na dole.

Helena nie zauważyła wejścia Margaret, ale i nie zareagowała na jej słowa, szepnęła jedynie smętnie:

- Nigdy dotąd nie zwróciłam uwagi, że on zawsze siedział odwrócony plecami do morza.

Edward Wilson, jeden z synów z kancelarii Wilson & Sons, Chancery Lane w Londynie, rozglądał się z pogardą po pomieszczeniu, które niegdyś określano jako salon. Pokój ten, podobnie jak reszta domu, pamiętał zapewne lepsze dni. Stojące tu meble już dawno temu wyszły z mody, ich drewniane elementy ściemniały ze starości, a na dodatek były podrapane, pastelowe obszycia wyblakły, w niektórych miejscach były wytarte i zostały prowizorycznie pocerowane; obecnie jednak najwidoczniej nawet takie zabiegi nie były warte wysiłku.

World s End, „Koniec Świata”- doprawdy nazwa ta pasowała do tego opuszczonego przez Boga kawałka ziemi! Sądził, że woźnica zjechał z drogi w zamiarze wydania go w tym zaniedbanym zakątku jakiejś bandzie rozbójników, ale wreszcie pojawił się na wpół zrujnowany dom, szary jak szorstkie skały nadmorskie, na których był posadowiony, dom bez żadnej ochrony przed ostrym wiatrem wiejącym znad niespokojnego morza. Wzgórza, które w głębi lądu były porośnięte bujną roślinnością, tu robiły wrażenie wychudłych po sam szkielet. Nawet kozłek lekarski, zwykle osiągający w tym kraju znaczne rozmiary, marniał w tutejszej jałowej ziemi. Jeśli król Artur faktycznie organizował biesiady nieco dalej na północ, na zamku Tintagel, to ta część wybrzeża musiała bez wątpienia znajdować się poza granicami jego królestwa; robiła wrażenie, jakby dalej był już tylko koniec świata, bezludny i niegościnnie, jakby była ostatnią, najbardziej wysuniętą placówką brytyjskiego imperium na granicy z zimnym, mokrym piekłem. Nie było to miejsce, gdzie zdrowy, normalny człowiek

mógłby wytrzymać dłużej niż to koniecznie niezbędne, ale najwidoczniej Arthur Lawrence ostatnimi laty nie był tak całkiem sobą. W zeszłym tygodniu Pan w swej łasce wreszcie wybawił go od ziemskiego cierpienia i Wilsonowi przypadło niewdzięczne zadanie zarządzania skromną spuścizną. Teraz prychnął pogardliwie i pogładził się po bezbarwnych wąsikach.

Stanął przed dużym obrazem, który silnymi niebieskimi odcieniami i promienną bielą natychmiast przyciągał spojrzenie każdego, kto wchodził do pomieszczenia. Obraz ten zdawał się absorbować nawet najmniejszą cząstkę światła dostającego się do środka. Stojąc przed nim, człowiek przenosił się na zalany słońcem taras i czuł to światło na skórze. Na ławce z chłodnego żyłkowanego marmuru siedziała kobieta przypominająca Madonnę, a jednak uwodzicielska w swej niewinności. Malarz po mistrzowsku uchwycił jasny połysk jej skóry, pod którą prawie się widziało płynącą żyłami, pulsującą krew. Chciałoby się, żeby kobieta spojrzała oczami, które były jak morze z tyłu za nią, ale jej wzrok skierowany był niewzruszenie na bukiet purpurowych i różowych anemonów leżący u jej stóp. Wymowa obrazu była zagadkowa. W gruncie rzeczy malowidło było czymś w rodzaju pomnika, utrwaleniem wyjątkowej urody i oddaniem jej czci. Wilson domyślił się, że Arthur Lawrence musiał kochać tę kobietę do szaleństwa.

Jak wspaniale się to wszystko kiedyś zaczęło! Siedem lat spędzili na Południu, by we wrześniu 1864 roku wrócić do Londynu, miasta, które powitało ich z wielką serdecznością. Obrazy Arthura Lawrence'a, krajobrazy przesiąknięte słońcem, sceny z antycznej historii i mitologii, tak żywe, że niemal namacalne, cieszyły się wielkim wzięciem, nie mniejszym niż ich szarmancki i pełen temperamentu twórca oraz jego bajecznie piękna żona. Gospodarze aż z przesadną ochotą zapraszali ich na różne wieczorki towarzyskie i kolacje. Młoda para, którą otaczał nimb przygody i bohemy, stanowiła niewątpliwą ozdobę wszelkich przyjęć.

W zapomnienie poszedł skandal, który przed laty wstrząsnął towarzystwem, gdy pochodzący z niższych sfer nauczyciel rysunku uciekł z najmłodszą córką czcigodnego pana sędziego, sir Charlesa Chadwicka. Młodzi pobrali się w środku nocy za granicą, w szkockiej wiosce Gretna Green. Ślubu udzielił im tamtejszy sędzia pokoju, kowal. A teraz na widok Celi miękły nawet najbardziej krytyczne spojrzenia dam czuwających troskliwie nad cnotą i moralnością. Celia przybywała na herbatki, kryjąc umiejętnie swój błogosławiony stan jedwabnym, wzorzystym szalem i prowadząc za rączkę swoją córeczkę w lakierowanych bucikach i obszytej falbankami sukieneczce. Połyskujące loki dziewczynka miała związane satynową kokardką. Arthur Lawrence sięgnął po gwiazdy na artystycznym niebie, jednak jego rodząca się sława miała przetrwać jeszcze tylko pięć miesięcy. Po tym czasie bogowie nielitościwie odwrócili się od swego ulubieńca.

Edward Wilson usłyszał odgłos otwieranych drzwi i odwrócił się. Margaret, dobry duch tego smutnego domu, niska, zbliżająca się do sześćdziesiątki kobieta, ciemnowłosa jak rodzimi mieszkańcy tego hrabstwa, dygnęła lekko, a potem odsunęła się na bok, w drzwiach stanęła natomiast szczupła dziewczyna.

Wilson odruchowo zerknął najpierw badawczo na obraz, potem na córkę Celi. Helena była szczuplejsza, bardziej kanciasta, ale też wyższa od matki. Na głowie miała dziką grzywę gęstych, falujących włosów w odcieniu jasnego miodu, które połyskiwały rudawo, gdy padało na nie słońce. Włosy te opierały się wszelkim próbom okiełznania i rozpuszczone sięgały jej do talii. Czarna, żałobna odzież nie pasowała do jej twarzy, sprawiała, że rysy odziedziczone po matce stały się twarde i surowe. Jedynie oczy dziewczyny można było nazwać naprawdę pięknymi: wielkie i w niezwykłym zielononiebieskim kolorze, przypominające morze południowe. Spoglądały na świat z pozoru bez obawy, stwarzały przy tym dystans, który wydawał się nie do przezwyciężenia.

-Wiem, że nie jestem do niej podobna. - Jasny, chłodny głos dziewczyny wyrwał Wilsona z zamyślenia. - Ale nie to jest zapewne powodem pańskiej wizyty.

Na obłych policzkach Wilsona pojawiły się lekkie rumieńce.

- Może byśmy najpierw usiedli? - zaproponował, siląc się na jowialność, i wskazał na trzy niskie krzesła.

Usiadł, nie mówiąc ani słowa więcej, i zaczął przekładać dokumenty i notatki, które rozłożył uprzednio na stole do herbaty. Pragnął wyglądać na niezwykle pochłoniętego pracą. Kątem oka zobaczył, że Helena usiadła, a Margaret szykowała się zrobić to samo.

- Margaret - zwrócił się do kobiety - czy mogłaby nam pani...

- Pani Brown od dawna należy do naszej rodziny i ma wszelkie prawo tu być - przerwała mu ostro Helena, wysuwając wyzywająco do przodu brodę z lekkim dołeczkiem pośrodku.

- No cóż - zaczął adwokat - jak pani bez wątpienia wie, moim zadaniem jest zrobienie przeglądu spuścizny po pani świętej pamięci ojcu i przekazanie jej pani. Ponieważ nie sporządził on za życia testamentu, jedynymi spadkobiercami jego ziemskiego dobytku jest pani, panno Lawrence, oraz pani brat jako najbliższa rodzina. Niestety... - adwokat chrząknął - muszę panią poinformować, że po przejrzaniu wszystkich dokumentów, jakie miałem do dyspozycji, stwierdziłem znaczny deficyt.

- Nie sądzę, żeby ten deficyt był aż tak wielki, by nie dało się go wyrównać spadkiem po matce. Przecież w ciągu minionych lat żyliśmy bardzo oszczędnie.

Wilson wyczuł w jej słowach gorzki ton i opuścił wzrok, co było niedobrym objawem. Zazwyczaj w takich sytuacjach potrafił zachować zimne serce.

- Panno Lawrence - zaczął, mając oczy wlepione w szeregi cyferek przed sobą - obawiam się, że suma, którą pani świętej pamięci matka wspaniałomyślnie dostała od swojej ciotki pani Weston w ra-

mach odszkodowania za to, że ze względu na zawarte przez pani matkę małżeństwo wykluczono ją z dziedziczenia po Chadwickach, została już dawno temu zużyta. Faktycznie po odliczeniu wszystkich kosztów za pomoc lekarską i pogrzeb oraz mojego skromnego honorarium pozostaje kwota około trzystu funtów na minusie.

- W takim razie musimy zastawić Worlds End.

- Dom i przynależne do niego ziemie są już obciążone zastawem wynoszącym czterysta funtów.

- Panie miłościwy! - wyrwało się Margaret, podczas gdy Helena siedziała nieruchomo i patrzyła sztywno przed siebie, jakby chciała przewiercić wzrokiem adwokata.

- Na co ojciec wydał te wszystkie pieniądze?

- W jego dokumentach znalazłem pokwitowania za różne transakcje finansowe, wpłaty na rozmaite fundacje wspierające badania antycznej filozofii i literatury. Łącznie wynoszą one... - przekartkował kilka stron w tę i w tę - cztery tysiące dziewięćset siedemdziesiąt trzy funty szterlingi w przeciągu około ośmiu lat. Możliwe, że ta kwota jest nawet wyższa, dokumenty księgowe pani ojca były bardzo niekompletne, przede wszystkim co się tyczy ostatnich miesięcy.

- Czy istnieje możliwość odzyskania choć części tych pieniędzy?

- Obawiam się, że nie. W świetle prawa pani ojciec aż do śmierci był w pełni władz umysłowych. Podważenie jego poczytalności teraz, po jego zgonie, uważam za przedsięwzięcie niemające szans powodzenia.

- Moja matka posiadała jeszcze nieco biżuterii, którą po niej odziedziczyłam...

- Zajrzałem do szkatuły. Te drobiazgi wyglądają wprawdzie ładnie, ale prawie nie mają wartości.

- A obrazy, które są jeszcze w domu...

- Pani ojciec nie malował dość długo, żeby stać się cenionym artystą.

Nazwisko Arthur Lawrence od dawna nic już nie znaczy.

Gdy patrzył na tę młodą kobietę, w jego duszy zaczęło się rodzić współczucie. Przed chwilą weszła tu i stanęła przed nim taka dumna, a teraz siedziała przed rumowiskiem swego dotychczasowego życia, ukarana za to, że jej ojciec nigdy nie pogodził się ze śmiercią żony.

- Jest... - chrząknął ponownie i zaszeleścił papierami -... jest pewna oferta ze strony jednej z dwóch sióstr pani świętej pamięci matki, od pani Archibaldowej Ross. Otóż zaoferowała ona, że przyjmie panią do siebie jako damę do towarzystwa dla trójki swoich dzieci.

- A co się stanie z Jasonem? Ponownie świdrujące spojrzenie.

- Gdy w naszej kancelarii zostanie stworzony staż dla kancelisty, pani Ross poprze chłopca. Zamieszkać mógłby, za skromną odpłatnością oczywiście, u mnie i mojej rodziny.

- Wykluczone. Mój ojciec zawsze chciał, żeby Jason...

- Panno Lawrence - przerwał jej Wilson, zmuszając się do zachowania cierpliwości - pani ojciec, niech mu ziemia lekka będzie, najwidoczniej w ciągu ostatnich dziesięciu lat nie poświęcił przyszłości swoich dzieci ani jednej myśli. Powinna się pani pogodzić z losem, nieraz bywa dużo gorzej.

- Nie chcę jałmużny. - Oczy Heleny załśniły gniewnie. - Ani od pana, ani od moich ciotek! Rodzina mojej matki zawsze patrzyła na nas z góry. Gdybym była zależna od ich łaski, każdego dnia traktowałiby mnie protekcjonalnie.

Edward Wilson uniósł nagle brwi i poczuł głębokie zadowolenie, gdy mógł wreszcie zakończyć tę rozmowę, która zaczęła przybierać zanadto patetyczne tony.

- Nie każdego stać na dumę, panno Lawrence. Do pani pełnoletności państwo Rossowie będą prawnymi przedstawicielami pani i pani brata. Obawiam się, że nie ma pani wyboru.

* * *

Z krawędzi nadmorskich skał rozciągał się w tym miejscu jedyny w swoim rodzaju widok na Atlantyk. Skały te, jakby rozplątane uderzeniem wielkiego miecza, wrzynały się w piaszczyste, przypominające opiłki metalu podłoże. Morze, szare i mętne, uderzało niepokornie w plażę, rozpryskiwało brudnobiałą pianę. Nawet rodzimi mieszkańcy regionu, mający od pokoleń morze we krwi, przekazywali dalej starą strofę, która mówiła, że wybrzeże między Padstow Point a małą samotną wyspą Lundy staje się za dnia i w nocy grobem marynarzy. O nieszczęśliwym losie wielu statków, które do zguby przywiodły kaprysy burz i fal, świadczyły wraki wyplute przez kipiela na ląd - napuchłe od słonej wody, zdewastowane ożebrowania i rozłupane maszty. Nawet w świetle dnia okolica ta była ponura i zamieszкана przez demony. Nazwy szczególnie osobliwie uformowanych skał nadmorskich mówiły same za siebie: Demons Cove, Devils Creek czy The Hanged Man. Wprost nie do wiary, że zaledwie kilka mil stąd w kierunku południowym wybrzeże Kornwalii było podobno zalane słońcem i pstre od kolorów. Tu rzadko zdarzały się dni, w które słońce zdołało się przebić przez opary mgły i przez krótki czas nadać morzu niebieski połysk, a krajobrazowi ślad zielonej nadziei. Potem znowu odcinek wybrzeża w pobliżu World's End pogrążał się w przygnębieniu, które przenikało ludzi i zwierzęta do szpiku kości. Mogły minąć godziny, a człowiek nie dostrzegał sylwetki choćby jednej mewy. Ale nie tylko z tego powodu mężczyzna na skale zwrócił uwagę na samotną kobietę w dole. Zaabsorbował go sposób, w jaki siedziała na koniu - na męskim siodle, dziko i karkołomnie. Zafrapował go wir, jaki utworzyły brązowa końska grzywa i jasne włosy kobiety, ciemna suknia i wystające spod niej rąbki białych halek. Piasek i piana morska bryzgały spod grzmiących kopyt. Gdy zobaczył, że kobieta powoli zwalnia, nawrócił swojego konia. Achilles parsknął i wzdrygnął się. Helena słyszała głośny oddech, ale nie mogła rozróżnić, czy był to jej własny, czy wa-

łacha, starego i z nieco już osłabionym słuchem. Szybki galop w połączeniu z ostrym, wiejącym wzdłuż skał północnym wiatrem wycisnął jej łzy z oczu. Jednak za tymi łzami popłynęły inne, które miały swoją przyczynę w wydarzeniach popołudnia i dni poprzednich. Puściła wolno cugle, żeby wierzchem dłoni otrzeć płonące, mokre policzki, Achilles zaś zadowolony, że uniknął dzisiaj jej twardej ręki, przeszedł w powolniejszy chód, a w końcu się zatrzymał, żeby zaczerpnąć powietrza do swych zmęczonych płuc. Helena nie reagowała, z goryczą wymalowaną na młodej twarzy wpatrywała się w morze, którego monotony, gniewny szum towarzyszył jej dniem i nocą, od kiedy utraciła grecką ojczyznę, a wraz z nią matkę i ojca takiego, jakiego знаła.

Wszystko zniszczyła jedna okrutnie zimna styczniowa noc. Arthur i Celia byli w teatrze, a później na wieczorku towarzyskim. Ponieważ Celia skarżyła się na złe samopoczucie, małżonkowie pożegnali się z towarzystwem jeszcze przed drugim daniem i ruszyli dorożką na Broadwick Street. Spadł świeży śnieg, który sprawił, że ulice, domy, dachy i mury wyglądały jak posypane cukrem. Nic nie wskazywało na to, że pod aksamitną powierzchnią śniegu utworzyła się gładka jak lustro warstewka lodu. Celia poślizgnęła się na stopniach prowadzących do drzwi wejściowych i chociaż Arthur próbował ją chwycić, upadła.

Wyglądało na to, że skończyło się jedynie na strachu, ale w nocy, cztery tygodnie przed terminem, wystąpiły skurcze, akurat wtedy, gdy wierna i poczciwa Margaret, która towarzyszyła Celi od czasu jej ucieczki ze złotej klatki rodzinnego domu, zaczęła ją rozbierać i szykować do snu. Helena została wyrwana z łóżeczka. Pospiesznie otuloną kocem, przestraszona i zdezorientowana dziewczynkę zaprowadzono do siostry kucharki, służącej dwie ulice dalej, żeby nie musiała słuchać bolesnych krzyków matki, które godzinę po godzinie rozdzierały nocną ciszę domu. Gdy w mieście leżącym ci-

cho pod śnieżną pierzyną nastał srebrzyście niebieski poranek, Arthur Lawrence miał syna, lecz był już wdowcem.

Po śmierci Celi załamał się, pił za dużo i jadł za mało, nie troszczył się ani o maleńkie, krzyczące niemowlę, ani o zastygłą w apatii Helenę. Nic już nie budziło w nim emocji. Dopiero naleganie przyjaciół powtarzających, że ze względu na dzieci powinien się znowu ożenić, wyrwało go z letargu. W ciągu tygodnia znalazł następnego najemcę ich dotychczasowego domu, spalił płótna, pędzle i farby, spakował niezbędne rzeczy i opuścił Londyn.

Pojechali na zachód, do Kornwalii, skąd pochodziła Margaret. Ich nowym domem stał się wykrzywiony od wiatru budynek z surowego kamienia w pobliżu miasteczek Boscastle i Pad-stow. Podczas gdy Margaret wychowywała jego dzieci, Arthur tkwił zakopany między klasykami antyku, szukając gorączkowo pociechy w żałobie i ucieczki od świata, który stał się dla niego nie do zniesienia.

Helenie pozostały po Celi zaledwie jeden obraz, kilka sztuk biżuterii z koralu, weneckie szklane paciorki i niejasne wspomnienia dotyku matczynych rąk, pachnących lawendą i pomarańczą. Ale przynajmniej te wspomnienia mogła sobie zachować, nie zostały tak strasznie zniszczone jak wspomnienia o ojcu takim, jakim był niegdyś Arthur, kiedy stał pod południowym słońcem przy sztalugach i wyczarowywał to energicznymi, to delikatnymi ruchami na płótnie tak cudowne obrazy, że odruchowo wstrzymywała oddech, żeby nie zakłócać magii tych chwil, kiedy z nią swawolił w falach, podnosił ku górze, ku słońcu, że aż mogła niemal go dotknąć. Tego ojca straciła z dnia na dzień; zabrała go od niej jednocześnie z matką niepojęta moc, która pozostawiła strapionego mężczyznę, przedwcześnie postarzałego, otoczonego słodkawym zapachem alkoholu stopniowo stepiającego mu zmysły. Helena nienawidziła go za to, że okazywał im, własnym dzieciom, niewiele więcej niż obojętność. Często krzycząc i trzaskając drzwiami, wstrząsał domem w jego posadach, żeby nieco później

kłaść dłonie na ich jasnych główkach i tym samym wprawiać ich w stan wątpliwego szczęścia. Ten mężczyzna został wczoraj złożony w grobie, tu, w tej kamienistej, martwej kornwalijskiej ziemi, a Helena nie wiedziała, czy ma się smucić, czy odczuwać ulgę.

Gorycz wypełniła jej serce, gdy pomyślała o biedzie, której doświadczali, która trzymała ich w odosobnieniu nawet tu, na tej jałowej ziemi, podczas gdy ojciec bezpowrotnie inwestował setki funtów w jakieś mrzonki, w jakieś zamki na lodzie, a ich oboje pozostawił na skraju egzystencjalnej przepaści. Strach o przyszłość własną i Jasona ścisnął jej gardło. I wbrew swej woli dała upust tej słabości. Pocieszała się tym, że świadkami jej łez są tylko Achilles, morze i wiatr, a one nic nikomu nie zdradzą.

- Świetnie pani jeździ konno.

Krzyknęła ze strachu i szarpnęła cugle, a przestraszony Achilles stanął dęba i spłoszony ruszył przed siebie. Na moment straciła równowagę, niemal zsunęła się z siodła, ale szybko odzyskała panowanie nad koniem, pozwoliła mu na kilka szybkich, chybotliwych kroków, nim go wyhamowała i energicznie zawróciła; koń wszedł tyłem w wodę, piana morska zaczęła się rozpryskiwać pod jego drżącymi kończynami.

- Oszalał pan? - krzyknęła do obcego jeźdźca, który pojawił się za nią jakby z niebytu. - Do diabła, co panu przyszło do głowy, żeby się tak podkradać?

Ze złością odsunęła sobie z twarzy pasma włosów, które opadły jej na oczy i zasłoniły widok.

W pierwszej chwili wydało jej się, że ma przed sobą centaura. Nie potrafiła odróżnić, gdzie kończy się ciało konia, a zaczyna postać jeźdźca odzianego w ciemny surdut. Wiatr zdmuchnął mu nieco zbyt długie włosy z ostro zarysowanej twarzy przypominającej twarz południowca. Jego gęste wąsy, czarne jak noc, przypominały do złudzenia połyskującą sierść ogiera, który stał bez ruchu z rozdętymi chrapami, obserwując przy tym Achillesa. Helenie na widok czarnych postaci jeźdźca i konia przypomniały się

niezliczone kruki i wrony, które przesiadywały w skarłowaciałych drzewach i odlatywały, skrzecząc ostrzegawczo: „kraaa, kraaa”, co przyprawiało ją o dreszcze. Jeździec pochylił się nieco w siodle.

- Proszę o wybaczenie. Nie miałem zamiaru przestraszyć pani konia ani narazić pani na niebezpieczeństwo. Myślałem, że może mógłbym być pani pomocny.

Miał niski głos. Mówił z ledwo wyczuwalnym akcentem, jakby wiele lat spędził za granicą. Podał jej złożoną chusteczkę gestem bardziej władczym niż współczującym.

Helena zaczerwieniła się, okrutnie dotknięta, że obcy człowiek obserwował, jak płakała, i widział ją bezradną i słabą. Z przesadną energią odrzuciła do tyłu włosy, które wiatr wciąż nawiewał jej na twarz, i przybrała dumną minę.

- Bardzo dziękuję - powiedziała wyniośle - ale nie trzeba!

- Jak pani uważa - odpowiedział rozbawiony i schował chu- , steczkę.

Nonszalancko oparł się na łąku i popatrzył na Helenę wnikliwie, jakby miał nieskończenie wiele czasu. Poczła się niezręcznie pod jego badawczym, niemal oceniającym spojrzeniem. Od razu dostrzegła, że ubranie obcego jest eleganckie i modne, dobrze skrojone i z drogich tkanin.

Ona sama nie przykładła wielkiej wagi do wyglądu zewnętrznego. W jej mniemaniu ubranie miało być praktyczne, nie powinno kępować ruchów. Małe rozdarcie, zakurzone buty jeździeckie lub ślady błota na sukni nigdy nie przyprawiały jej

O ból głowy. Ale teraz spojrzała na siebie innymi oczami: żałobna suknia, która pierwotnie należała do kuzynki Margaret, uszyta z szorstkiej wełnianej krepy, na dole szeroka, całkiem niemodna, z za krótkimi rękawami, do tego dzikie, nieporządnie ułożone włosy, zaczerwienione, spierzchnięte dłonie, które trzymały szpicrutę i cugle. Poczła gwałtowne pragnienie, żeby zrobić na tym człowieku lepsze wrażenie. Zawstydzona odwróciła wzrok

i ukradkiem przetarła sobie wierzchem dłoni mokre policzki.

- Rzeczywiście, to ciekawe - streścił mężczyzna wynik swej obserwacji. Na te słowa Helena podniosła wzrok. Niemal czarne oczy jeźdźca lśniły, a po jego twarzy przemknął ślad nadmiernego rozbawienia. Wyglądał na człowieka, który przyzwyczał się do nudy materialnie zabezpieczonego życia i który teraz dostał okazję, by rzucić spojrzenie na scenerię w pochmurnych barwach biedy. Złość i wstyd pogłębiły rumieniec na policzkach Heleny. Ponuro odwzajemniła jego spojrzenie. Uśmiechnął się pod wąsem pół żartobliwie, pół kpiąco.

- Byłem pewien, że widziałem już wszystkie wiejskie piękności na tym pustkowiu, ale pani najwidoczniej się dotąd przede mną ukrywała. Przypomniały jej się napomnienia Margaret, która daremnie próbowała odwieść Helenę od przejażdżek po opustoszałej plaży, ostrzegała przed niemoralnymi mężczyznami czyhającymi na młode dziewczęta, żeby zadać im niewypowiedziane cierpienia. Jak dotąd Helena kwitowała jej słowa jedynie beztróskim śmiechem.

Obcy mężczyzna nie uczynił żadnego gestu, natomiast jego koń zrobił duży krok do przodu, jakby między nim a jego panem była jakaś telepatyczna więź. Znaleźli się tak blisko siebie, że Helena czuła zapach karego, Achilles zaś ze strachu wciskał swoje kopyta w piasek.

Odruchowo zamachnęła się szpicrutą, by w następnej chwili z trudem stłumić okrzyk bólu. Mężczyzna chwycił ją bowiem za nadgarstek tak szybko, że w ogóle nie spostrzegła, żeby choć drgnął, i tak mocno, że prawie zsunęła się z siodła.

- Uwaga - powiedział zimno - mam już jedną szramę na twarzy, nie potrzebuję drugiej.

Dopiero teraz Helena dostrzegła bliznę, która przebiegała poprzecznie przez jego lewy policzek. Jeszcze raz spłonęła rumieńcem, czując wstyd i zakłopotanie; nie wiedziała, jak powinna zareagować.

- Mogę panią uspokoić - kontynuował pojednawczo, nie zmniejszając jednak nacisku swoich palców. - Nie mam zamiaru używać wobec pani przemocy. Do tej pory nie potrzebowałem popełniać takich głupstw i na pewno nie zacznę ich popełniać dzisiaj. Chociaż... - bezczelnie powiódł spojrzeniem po jej sylwetce. - Chociaż może warto by było się nad tym zastanowić...

Spojrzał znowu w jej oczy i uśmiechnął się z jeszcze większą ironią. Helena odwzajemniała to spojrzenie jak zaczarowana. Jego oczy ją urzekły, miała wrażenie, że wciągają ją jak jakiś wir i że zaraz zsunie się z siodła. Było jej gorąco, a jednocześnie dostała gęsiej skórki.

Niewytłumaczalne, obce uczucie ścisnęło jej żołądek, rozeszło się po jej wnętrzu, przyprawiło o szybsze bicie serca i nieregularny oddech. A po chwili dojrzała błysk w jego oczach, pełen oczekiwania uśmieszek w kącikach jego ust. Domyśliła się, że mężczyzna dokładnie wie, co się z nią dzieje i że odczuwa z tego powodu satysfakcję.

Poczuła przyływ gniewu, wyprężyła się, próbowała się wyrwać, spojrzała na niego pewnym i niezachwianym wzrokiem.

- Proszę mnie zostawić, w tej chwili - zażądała cicho, ale zdecydowanie, po czym dodała, prychając: - Panie zarozumialcu, próżny, nadęty bufonie!

Twarz rozświetlił mu szeroki uśmiech, równie bezczelny co szarmancki. Helena czekała bez tchu na odpowiedź lub rękoczyn, ale on tylko ją puścił. Jego palce zostawiły pulsujące, zaczerwienione ślady na jej nadgarstku.

Zadziornie wysunęła do przodu brodę i ściągnęła Achillesowi cugle, chciała pokierować konia tak, żeby minąć mężczyznę, ale intruz, jakby to było oczywiste, zrobił swoim ogierem kilka kroków do przodu i przeciął jej drogę. Helena przełknęła ślinę, starając się nie pokazywać po sobie niepewności ani lęku. Przeczowała, że ten człowiek nie pozwoli jej tak po prostu odjechać. Nieważne, czy będzie chciała umknąć w kierunku stromo wznoszących się skał, czy w kierunku otwartej plaży, on zawsze będzie

o mgnienie oka szybszy. To było tak pewne, jak pewnie on siedział na koniu. Jego oczy połyskiwały rozbawieniem, a Helena zrozumiała, że się nią bawi i zna swoją siłę.

Na lewo od niej wznosiły się skały znane jako Witchis Head. Woda wymyła w skalnej ścianie uskoki i wgłębienia, które przypominały puste oczodoły i rozwichrzone włosy na głowie gorgony. Duża szczelina, przypominająca bezzębne usta, otwierała się na cypel z nagiej skały, która przechodziła w poprzek plaży, sięgając w morze, na którego rozprysniętej powierzchni, gwiżdżąc i sycząc, łamały się fale i tworzyły wiry.

Helena szarpnęła cugle i wwierciła obcasy w boki Achillesa, zmuszając wałacha, by odszedł w bok. Spłoszył się, gdy wyrosło przed nim chropowate wzniesienie cypla, ale Helena nieubłaganie poganiała go do przodu. Krępy gniadosz pognął na chwiejnych nogach w górę. Krok po kroku znajdował oparcie dla kopyt wśród kamiennych odłamków, potykał się i odzyskiwał równowagę, po drugiej stronie ześlizgnął się, lecz w końcu udało mu się zeskoczyć i przeszedł w pospieszny galop.

Obcy przyglądał się z fascynacją temu brawurowemu przedsięwzięciu, nie próbując jej ścigać. Śledził jedynie wzrokiem ociężałego konia, który gnał w dal po drugiej stronie plaży, wzbijając fontanny ciężkiego piasku. Z nieodgadnionym wyrazem oczu mężczyzna zwrócił się do drugiego jeźdźca, który pojawił się za nim jak cień:

- Chcę wiedzieć, kim ona jest.

Tego wieczora Helena siedziała w milczeniu, nieobecna duchem, nad talerzem kapuśniaku i grzebała w nim zamyślona. I tak nigdy specjalnie nie przepadała za tą potrawą. Nawet nie zauważyła, że Margaret dodała do zupy prawdziwej słoniny, żeby pocieszyć ich wszystkich. Kobieta doszła do wniosku, że w obecnej sytuacji nie jest ważne, czy wyda kilka pensów mniej czy więcej. Widząc

zasepienie Heleny, od czasu do czasu rzucała jej przez stół zaniepokojone spojrzenie. Sądziła jednak, że dziewczyna jest zgnębiona wizytą adwokata i jego zawiadomieniem o ich tragicznej sytuacji finansowej, więc także milczała, ponieważ nie było nic, co mogłaby powiedzieć, by pocieszyć swoją wychowankę. Tylko chwilami głaskała tkliwie głowę Jasona, jego słomiane włosy. Wydarzenia ostatnich dni i przygnębiająca atmosfera w domu dały się chłopcu porządnie we znaki. Margaret z troską myślała, co się teraz z nimi wszystkimi stanie.

Helena położyła się wcześniej spać. Chociaż jej ciało było ciężkie ze zmęczenia, nie mogła zasnąć. Ciągle dotykała nadgarstka, który wciąż ją palił i bolał od brutalnego chwytu obcego mężczyzny. W duchu ciągle jeszcze widziała tego człowieka przed sobą, słyszała jego głos, który wzbudził w niej nieznaną emocję. Wreszcie zapadła w niespokojny sen. Przyśniło jej się, że znowu jest na plaży, gdzie jasnoszare niebo przesłaniają nisko zawieszane czarne chmury zwiastujące nadchodzący sztorm. Oto pierwsze porywy wiatru wzburzają morze, bałwany z impetem uderzają w brzeg. Kruk większy od niej samej rozkłada groźnie skrzydła i skrzeczy: „Uważaj! Kraaa! Uważaj!”, a jego połyskujące oczy są oczami intruza z plaży.

2

Na wybrzeżu Kornwalii to morze dyktowało rytm życia. Jego przypiływy i odpływy były stałym, uspokajającym biciem serca lądu i jego mieszkańców. Żył tu specyficzny gatunek ludzi - prostych i cichych, ukształtowanych przez surowy klimat i srogie morze. Odczuwali sentyment do starych czasów, kiedy Kornwalia była celtycka, a ich przodkowie trudnili się przemytem i piractwem. Podobno jeszcze do niedawna niektórzy

mieszkańcy wioski plądrowali przewrócone przez sztorm i rozbite na skałach statki, czasami nawet sami zapalali na skalistym brzegu ogniska, żeby zmylić żeglarzy i ściągnąć na nich śmierć. Byli głęboko zakorzenieni w jałowej ziemi tego kraju i dość odseparowani od świata; prawie żadnemu z nich nie zdarzyło się nigdy wyjechać gdzieś dalej niż na targowisko albo do najbliższego miasta. W długie wieczory opowiadali sobie o elfach i wrózkach, o olbrzymach i rycerzach, druidach i czarodziejkach, a ich opowieści brzmiały bardziej jak historia niż mity czy bajki.

Sue Ansell była jedną z nich. Urodziła się równo przed czterdziestoma laty zaledwie dwa domy dalej od miejsca, w którym przeżyła już ponad połowę swego życia. Lata całe spędziła między mąką, cukrem, szuwaksem, nićmi do szycia i rozmaitymi innymi przedmiotami codziennego użytku, włączając w to nieliczne listy i paczki, które docierały do wioski lub ją opuszczały. Swojego George'a знаła już, zanim nauczyła się chodzić. Pobrali się u Świętego Stefana, na małym wzgórzu pod miastem.

W ciasnych pokojach nad sklepem poczęła, urodziła i wychowała sześcioro dzieci. Dwoje z nich potem straciła. Jednego ze swoich synów na skutek pylicy, której nabawił się w kopalni cyny, a potem miesiącami, kawałek po kawałku, wykaszliwał życie z ciała. Żeby narysować mapę życia Sue, wystarczyłoby nakreślić koło o promieniu pięciu jardów. Każdego ranka otwierała punktualnie swój sklep, a wieczorami go zamykała, sześć dni w tygodniu. Tylko w niedzielę, dzień święty, pomalowane na niebiesko drzwi z wypukłymi szybkami pozostawały zamknięte. Znała każdego we wsi i każdy znał ją. Wszelkie możliwe plotki z okolicy były powtarzane przy drewnianej ladzie w jej sklepie, skąd wędrowały dalej po domach i do jedyne go pubu we wsi. Tu można się było dowiedzieć, kto oczekuje dziecka, kto umiera, kto do kogo robi słodkie oczy i którzy małżonkowie drą ze sobą koty.

Ale i tu powoli, leciwie zauważalnie, coś zaczęło się zmieniać. Złóża cyny zaczęły się kończyć, zamykano kolejne kopalnie, górnicy trafiali na bruk. Jedni nie nadawali się już do żadnej pracy, ponieważ stracili zdrowie, dla pozostałych także nie było innej możliwości zarobku w tej okolicy. Tak więc ludzie żyli tu raczej nędznie niż dobrze, utrzymując się z tego, co dawały ich jałowe pola, owce i krowy, oraz z tego, co przynosiły połowy ryb.

Różne dziwne rzeczy słyszano też o dworku Oakesley Manor, zwłaszcza od kiedy przed ponad dziesięcioma laty hrabia się ożenił i ściągnął tu swoją żonę. Niewiele pozostało z dawniejszego stylu życia tamtejszych mieszkańców - feudalnego, ale o wiejskim charakterze. Nie dość, że *lady* kilka razy w roku jeździła obładowanym powozem do dalekiego Londynu i zabawiała się tam tygodniami, nie dbając o zmartwienia i troski swoich dzierżawców, to za każdym razem wracała ze skrzyniami i pudłami zawierającymi nowe koronki, hafty i wszelką pasmanterię, małe kapelusze zdobione do przesady sztucznymi kwiatami i wstążkami oraz eleganckie buciki na wysokich obcasach. A teraz na dodatek zjawił się tam gość, ktoś bardzo ważny, jeśli wierzyć opowieściom dziewczek i parobków z posiadłości, dżentelmen, do którego śmiały się oczy wszystkich służących, a o którym parobcy wyrażali się równie pogardliwie co zawistnie. Opowieści te brzmiały jak bajka, zwłaszcza gdy wspomniano o towarzyszu dżentelmena - egzotycznym służącym z Orientu, który miał podobno ciemną skórę, a na głowie nosił turban. Gdy Sue Ansell usłyszała o tym, zaczęła ze zgrozą kręcić głową. „Nie - powtarzała raz za razem - wcześniej czegoś takiego tu nie bywało!”.

Dlatego niemal serce jej stanęło, gdy w ten szary, wietrzny, listopadowy dzień w świeżo ukrochmalonym niebieskim fartuszkowi otwierała jak każdego ranka sklep, przekręcając od środka klucz w drzwiach sklepowych - raz i drugi raz - a tu nagle stanął przed nią ów egzotyczny człowiek z Orientu, w jasnych spodniach do konnej jazdy, w długim żakiecie z małą stójką, złotym sznurem

w poprzek torsu, będącym elementem dystynkcji obcego pułku. Sue stała jak żona Lota i gapiła się z szeroko otwartymi ustami na tego człowieka o brązowej karnacji i szpakowatej brodzie, który - jako apogeum egzotyki - głowę miał owiniętą połyskującym czerwonym turbanem, przypominającym cebulę. Najchętniej zawołałaby męża, który był właśnie na zapleczu i sądząc po odgłosach, akurat coś przesuwiał. Nie wydobyła jednak z siebie żadnego dźwięku, za to obcy zagadnął ją bezbłędną angielszczyzną, aczkolwiek z obcym akcentem:

- Dzień dobry, *madame*, niech pani wybaczy, że zakłócam spokój o tak wczesnej porze, ale czy przypadkiem nie ma pani w sprzedaży także zapalek?

- Zapalek? - Głos Sue zabrzmiał ochryple. Kilka razy otworzyła usta i z powrotem je zamknęła. W końcu jej ciało przeszedł dreszcz, energicznie wygładziła swój i tak idealnie gładki i czysty fartuszek. - Oczywiście, że sprzedajemy zapaliki - obruszyła się i poczuła pewnie w roli sprzedawczyni, którą to rolę ćwiczyła od lat.

Pospieszyła za ladę, pogrzebała na półce pod blatem i wyłożyła pudełko, czując ulgę, że mogła się oszańcować przed egzotycznie wyglądającym klientem.

Obcy zapłacił sześciopensówką i dał wspaniałomyślnie znak ręką, że rezygnuje z reszty. Zaraz potem zapytał ją o to i owo, zagadnął na temat pogody, pochwalił jej sklep oraz schludny wygląd. Sue zaczerwieniła się jak młoda dziewczyna. Szybko nawiązali ożywioną rozmowę na temat wsi i jej mieszkańców oraz ogólnie Kornwalii. Tak więc Sue nic sobie nie pomyślała, gdy zapytał ją o dziewczynę z rozwichrzonymi blond lokami jeżdżącą w czarnej sukni na kosmatym gniadoszu.

- To na pewno była panienka Lawrence. To smutne, co się stało z jej ojcem, choć i tak miał nie po kolei w głowie. Dziwny człowiek. Artysta. Jego gospodyni, Marge, pochodzi z tej okolicy. Jako młoda dziewczyna spakowała manatki i wyjechała do mia-

sta. Wtedy z tego powodu było dość duże poruszenie. Kto wie, dlaczego stąd wyjechała? Bez powodu nikt przecież czegoś takiego nie robi! A potem nagle wróciła tu razem ze swym panem i dwójką jego biednych dzieci, które utraciły matkę. Chłopiec był wtedy jeszcze całkiem mały. Nie widywaliśmy ich tutaj zbyt często. Nigdy nie mieli pieniędzy. Dzieci nie chodziły do szkoły; do kościoła też nie. Czasami tylko Marge, ale rzadko kiedy odezwała się do kogo choć słowem. Wczoraj był u nich podobno adwokat z powodu spadku, przenocował w pubie po drugiej stronie ulicy. - Przerwała swoją paplaninę i czujnie rozejrzała się po sklepie, jakby między regałami, workami i beczkami ukrył się ktoś i podsłuchiwał, potem wyciągnęła swoją niską, krępą sylwetkę w poprzek lady w kierunku egzotycznego klienta i dodała szeptem: - Podobno zbankrutowali. Nie mają już ani pensa, tylko kupę długów! - Pokręciła z ubolewaniem głową i wytarła rąbkiem fartucha olśniewająco czysty blat. - Tak to już jest, jak się ktoś uważa za coś lepszego. Helena. Co to w ogóle za imię? Żaden rozsądny człowiek nie ochrzci tak dziecka. Prawdopodobnie ona w ogóle nie została ochrzczona! Dzieci nie są temu winne, ale teraz za to zapłacą. Nie mam pojęcia, co się z nimi stanie... Żaden chłopak ze wsi z odrobiną rozumu w głowie nie ożeni się z tą dziewczyną. Jest źle wychowana, zawsze się tylko sama kręci po okolicy, nie ma nic, co by mogła wnieść do małżeństwa, nawet nie jest ładna. Nie, nie - westchnęła - co za bieda z nędzą, wcześniej czegoś takiego u nas nie bywało...

Gdy egzotyczny gość wreszcie wyszedł i zniknął za najbliższym rogim, w sąsiednich domach jednocześnie pootwieraly się drzwi i gospodynie pognały do sklepu. Widziały, że był w sklepie, obserwowały go z okien lub z ogródków i udały się na zakupy pod byle pretekstem, a to po nici, a to po igłę, byleby tylko dowiedzieć się od Sue czegoś więcej o wizycie tego osobliwego człowieka. A Sue opowiedziała im wszystko chętnie, koloryzując bujnie swą opowieść. Oznajmiła, że gość był zainteresowany

okolicą i jej mieszkańcami. Padło pytanie, czy jego bogaty pan chce tu zostać na stałe, a jeśli tak, to dlaczego. Podczas obfitującej w spekulacje i przypuszczenia pogawędki Sue zapomniała, że tematem rozmowy była także Helena.

Minęło już południe, gdy Hindus otworzył drzwi salonu, który łączył dwa pokoje gościnne w bocznym skrzydle dworu noszącego nazwę Oakesley Manor. Jego pan, ubrany niedbale w koszulę i spodnie do konnej jazdy, siedział właśnie w fotelu o niebiesko-złotej tapicerce. Kiedy jego egzotyczny sługa wszedł do środka, mężczyzna opuścił gazetę, w której był zagłębiany, i spojrzał na niego z oczekiwaniami.

- No i co?

Mężczyzna w turbanie rzucił od niechcienia pudełko zapalek na niski stolik o łukowatych rzeźbionych nogach. Jego pan zmarszczył brwi.

- Czy to wszystko?

Hindus, nie czekając na zaproszenie, usiadł w drugim fotelu, cicho przy tym wzdychając, wyciągnął daleko do przodu nogi odziane w jasne, obcisłe spodnie i buty do konnej jazdy, po czym zaczął powtarzać, czego się dowiedział od Sue Ansell

O dziewczynie z plaży. W czasie gdy mówił, jego pan złożył gazetę, odłożył ją na bok i zapalił papierosa zapalnikami kupionymi w sklepie Sue. W Anglii i Francji gotowe papierosy, wytwarzane ręcznie w Europie i za oceanem z drobno pociętego tytoniu i z cieniutkiego papieru, były drogie i uchodziły za towar luksusowy. Podczas gdy ojcowie i dziadkowie wszelakich lordów, baronów

i bankierów wciąż jeszcze rzucali na ten wymysł niechętnie spojrzenia spod uniesionych brwi, ich synowie i wnukowie w salonach i klubach chętnie pociągali wieczorami tytoń żarzący się w papierowej otoczce, będący aktualnie *a la mode*. Kogo było na

to stać, otaczał się nawet egzotycznym dymem papierosów pochodzących z kairskich manufaktur.

- Miałem szczęście - kontynuował swoją relację służący -i spotkałem w pubie tego adwokata. Szykował się właśnie do odjazdu. Nie mógł się już doczekać, kiedy stąd wyjedzie. Zdołałem go jednak przekonać, żeby został jeszcze dwie godzinki i dotrzymał mi towarzystwa.

Mężczyzna siedzący naprzeciwko uśmiechnął się i zapalił kolejnego papierosa.

- Zakładam, że twoje argumenty ważyły kilka funtów. Hindus prychnął, a nozdrza zadrgały mu pogardliwie ponad szpakowatą brodą.

- Lojalność wobec klienta nie była w każdym razie dla tego brudnego, małego adwokaciny zbyt wiele warta!

Słowa te sprawiły, że jego rozmówca roześmiał się głośno.

- Wciąż mnie zadziwiał jak doskonale masz opanowane subtelności angielskiego, Mohanie!

Gdyby ktoś z domowników stał się niepostrzeżenie świadkiem tej rozmowy, zdumiałaby go zapewne wzajemna zażyłość tych dwóch mężczyzn, która nie pasowała do relacji, jakie panują zazwyczaj między państwem a służbą. Ale nie było tu nikogo, kto mógłby się tym zdziwić, ponieważ owa zażyłość ograniczała się do chwil, kiedy ci dwaj przebywali ze sobą na osobności. Wśród ludzi wracali z powrotem do ról służącego i pana.

-Wolę nazywać rzeczy po imieniu - odrzekł natychmiast ciemnoskóry Mohan, mrugając przy tym okiem, po czym znów spoważniał.

Z pamięci cytował liczby, które podał mu Edward Wilson. Opowiedział historię rodziny Lawrenceow i to, że Helenę i jej brata postanowiono oddać pod opiekę ich prawnych opiekunów. Na koniec dodał:

- A tak w ogóle to pożyczka pod zastaw domu i tych kilku metrów kwadratowych, na których on stoi, została zaciągnię-

ta u naszego szacownego gospodarza, sir Henry ego Claydona. A więc to już właściwie jego własność, choć zrobił zły interes. Pożyczona suma jest bowiem dużo wyższa niż faktyczna wartość zastawu.

- I jak sądzę, większa niż suma, którą pogrążeni w żałobie spadkobiercy byłiby w stanie zapłacić?

Mohan przytaknął. Nastąpiła krótka przerwa, podczas której jego pan przyglądał się w zamyśleniu dymowi z papierosa, mrużąc przy tym oczy.

- Co zamierzasz? - zapytał w końcu służący. - Do czego mają ci posłużyć informacje, które miałem dla ciebie zdobyć?

Jego rozmówca pochylił się do przodu i zgasił papierosa w kryształowej popielniczce.

-To, co mi opowiedziałeś, potwierdza po raz kolejny moje przekonanie, że prawie wszystko można kupić - powiedział cicho, bardziej do siebie niż do Mohana.

Wyprostował się i czubkiem wypolerowanego do połysku buta przyciągnął stojący przed kominkiem tapicerowany stołek, po czym położył na nim stopy jedną po drugiej. Oparł się w fotelu, opalone, szczupłe dłonie położył swobodnie na podłokietnikach i spojrzał na Hindusa z błyskiem w oczach.

-Jak sądzisz, ile nas będzie kosztować ta mała dzika kotka z plaży?

Mohan ściągnął brwi.

- Co zamierzasz zrobić?

- Jeszcze nie wiem.

Jego pan wzruszył lekko ramionami i położył z powrotem głowę na oparciu fotela, popatrzył w zamyśleniu, acz z lubością na ozdobny stiuk na suficie, przedstawiający kwietne girlandy. Pozornie nie zwracał uwagi na czarne oczy, które patrzyły w niego krytycznie, jakby przeczuwały, co się dzieje w jego głowie.

- Może się z nią ożenię - rzekł w końcu.

- Nie mówisz poważnie.

- Dlaczego nie? - Popatrzył na służącego z rozbawieniem - To nie zabawa, lanie!

Głos Mohana, zaciągający lekko obcym akcentem, pozostał cichy, a jednak zdecydowany i prawie groźny.

- W takim razie zrobię z tego zabawę. - Ian z powrotem skierował spojrzenie na Mohana i dodał twardo: - A może uważasz, że mi w tym przeszkodzisz?

Ten pokręcił głową, w połowie rozzłoszczony, w połowie zasmucony.

- Nie pojmuję cię.

- Nie musisz. - Ian rzucił okiem na stojący na gzymsie kominka zegar z pomalowanym cyferblatem przykrytym szklanym kloszem. - Chcę się jeszcze przebrać, zanim nam podadzą herbatę. Zobaczymy, czy nasza ryba złapała się na przynętę.

Gdy w Oakesley Manor zgaszono ostatnie światła, na górnym piętrze w World's End wciąż jeszcze palił się w szklanym cylindrze mała płomyk lampy z przykręconym knotem. Helena nie mogła zasnąć, leżała w łóżku i patrzyła w sufit, podczas gdy jej myśli błądziły, wikłały się, kluczyły, goniły nawzajem w kółko, podobnie jak to się działo przez cały dzień, który przechodziła bez wytchnienia w tę i we w tę po domu. Nie znalazła jednak żadnego rozwiązania, żadnego wyjścia z tej trudnej sytuacji. W pokoju było zimno, a mimo to miała wrażenie, że się dusi. Odrzuciła kołdrę i wyskoczyła z łóżka, pobiegła bosą po nierównej drewnianej podłodze, otworzyła szeroko okno i zaczęła głęboko wdychać wilgotne i zimne nocne powietrze. Padało, znowu padało. Poprzez równomierny szum deszczu przedzierało się od strony morza dudnienie kipieli uderzającej o przybrzeżne skały. Od kiedy zeszła na angielski ląd, było jej zimno. A po śmierci matki jakby dodatkowo coś w niej w środku zamarzło. Tęskniła za słońcem, ciepłem i lekkością w sercu, za dzieciństwem spę-

dzonym w Grecji. Czy już nigdy nie zazna spokojnego, beztróskiego życia?

Z zamyślenia wyrwał ją hałas. Jakiś ptak wzleciał w górę, wydając z siebie skrzeczące tony, zaświergotał: „Mój-ty, mój-ty”, a potem usłyszała tętent galopujących kopyt końskich, który zaniknął w ciemnościach. Szybko zatrzasnęła okno i wskoczywszy z powrotem do łóżka, nakryła się szczelnie kołdrą, której pierze zbiło się przez lata w twarde bryły. Serce waliło jej mocno i nie chciało się uspokoić, gardło ścisnął jej pełen żalu szloch. Poczwała, że zbiera jej się na płacz, ale zacisnęła zęby i powieki. *Znajdę jakiś sposób* - obiecała sama sobie - *musi być jakiś sposób, musi...*

3

- Gdybyśmy dostali za meble choć sto pięćdziesiąt funtów, moglibyśmy pokryć część długów.

Helena położyła pióro obok kartki, na której zapisywała swoje wyliczenia, i podmuchała sobie na zaciśnięte dłonie. Nawet wysoko buchający ogień w kuchennym piecu nie mógł za bardzo rozgrzać wilgotnego, zimnego i mglistego powietrza, które przenikało do środka przez spękane mury. Było późne przedpołudnie. Sięgnęła po jeden z mdło smakujących placuszków, które Margaret usmażyła z małej ilości masła, jeszcze mniejszej cukru, za to z dużej tanich płatków owsianych.

- Nawet jeśli, to jak chcesz spłacić resztę? W końcu i tak będzie brakowało pięćset pięćdziesiąt funtów. No i nie zostanie nam nic na życie. Margaret odgryzła nitkę i popatrzyła badawczo na swoją łataninę na jednej z koszul Jasona.

Helena wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Poszukam pracy jako guwernantka albo szwaczka. Coś się na pewno znajdzie. Wczoraj pożyczyłam od pastora weekendowe wydanie gazety. Jest tam kilka ogłoszeń, które brzmią ciekawie. A pastor dał mi jeszcze dwa adresy w Exeter.

Robiła wrażenie pewnej siebie, ale Margaret wyczuła obawę w jej głosie. Ubrana również żałobnie, z mocno związanymi z tyłu włosami poprzetykanymi siwymi pasmami, westchnęła cicho. Wyciągnęła rękę nad stołem i uściśnęła zimne, poplamione atramentem palce Heleny.

- Nie chcę pozbawiać cię złudzeń, moje dziecko, ale obie wiemy, że nie potrafisz zrobić prostego szwu, a poza odrobiną greki, która pozostała ci w pamięci po tylu latach, wiesz tylko tyle, co sama gdzieś przeczytałaś. To nie wystarczy, żeby...

Dźwięk kołatki zabrzmiał jak grzmot pioruna i napełnił dudnieniem dom, aż obie podskoczyły do góry.

- Dobry Boże, kto to może być? - zdziwiła się Margaret i pośpiesznie wstała, pozostawiając koszulę zwiniętą nieporządnie między kałamarzem Heleny a obranymi ziemniakami i burakami przygotowanymi na obiad.

- Prawdopodobnie ktoś, kto chce złożyć spóźnione kondolencje. Przed pogrzebem tyle osób nas odwiedziło - odpowiedziała sarkastycznie Helena i zajęła się ponownie szacowaniem zbędnego inwentarza. Była zmęczona i rozdrażniona, spała tylko kilka godzin, a i one były przerywane niespokojnymi snami, których treści nie mogła sobie rano przypomnieć. Jednym tylko uchem słuchała, jak Margaret otwiera drzwi wejściowe i cicho rozmawia z niespodziewanym gościem. Sama tymczasem po raz kolejny analizowała całą listę, z zacięciem przeliczała wszystko jeszcze raz w nadziei, że może zrobiła w pośpiechu błąd, że może suma końcowa jest jednak większa. Dało się słyszeć trzaśnięcie drzwiami, a zaraz potem kroki Margaret zaczęły się pośpiesznie zbliżać do czarnej od sadzy kuchni.

- To w istocie gość - oświadczyła zadyszana kobieta. Helena, nie unosząc wzroku, zmarszczyła brwi.

- Nie powiedziałaś mu, że ojciec...

- Ten dżentelmen przyszedł odwiedzić ciebie. Helena gwałtownie podniosła głowę.

- Mnie?

- Łaskawą panienkę we własnej osobie!

Margaret triumfalnym gestem podała jej wizytówkę, którą Helena wzięła z wahaniem.

Sztywny kartonik w kolorze ecru, o aksamitnej powierzchni, na nim niewyszukane czarne litery ułożone w nazwisko. Bez adresu, bez tytułu - jedynie imię i nazwisko.

Ian Neville.

Drzwi salonu były otwarte. Gość oglądał właśnie w skupieniu obraz. Stał tyłem do drzwi, ukryty w mroku nieoświetlonego pomieszczenia. Helena poczuła lekkie ukłucie w sercu, sama przecież wiedziała, jak nieciekawie wygląda w porównaniu z promienną urodą matki, a jednocześnie zdziwiła się, że w takim momencie coś to dla niej znaczy. Krąg jej znajomych w tej samotnej miejscowości był mały, a mimo to miała wrażenie, że znajduje się w jednym pomieszczeniu z kimś, kto nie jest dla niej całkiem obcy, chociaż nie czuła się przez to mniej zakłopotana, a wręcz przeciwnie - nawet trochę przestraszona. Zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Pan Neville?

Odwrócił się tak nagle, jakby czekał na sygnał. Przez okno padło na niego mętne światło mglistego dnia. Mężczyzna skłonił się wytwornie, acz z lekką ironią w kącikach ust.

- Dzień dobry, panno Lawrence.

Tylko dzięki temu, że właśnie weszła Margaret, niosąc tacę z herbatą i ciasteczkami, Helena nie uległa impulsowi nakazu-

jącemu jej ucieczkę, jak dwa dni wcześniej na plaży. Rozległ się brzęk szybko stawianych na stole naczyń, plusk nalewanej do filiżanek herbaty, a po chwili za jej plecami zatrzasnęły się drzwi i zostali sami.

- Mógłbym się założyć, że nie oczekiwała pani, że tak szybko znowu się zobaczymy.

Stała nieruchomo, przyglądając się, jak gość całkiem naturalnie zasiada w fotelu i wyciąga z wewnętrznej kieszeni surduta srebrną papierośnicę.

- Nie nauczono pana, że w towarzystwie dam się nie pali? - prychnęła, czerwieniejąc na twarzy.

Obrzucił ją spojrzeniem mówiącym, że zachowała się głupio i nieuprzejmie. Od tego spojrzenia jej policzki jeszcze mocniej spłonęły rumieńcem. On jednak schował papierośnicę.

- Pani życzenie jest dla mnie rozkazem. Choć szczerze powiedziawszy, wcale nie uważałem pani za taką wrażliwą. Nie zechce pani również usiąść?

Wspaniałomyślnym ruchem ręki wskazał jej stojący naprzeciwko niego fotel, jakby to on był tu gospodarzem, a ona petentką.

- Dziękuję, wolę postać.

- Jak pani sobie życzy.

Pochylił się do przodu i sięgnął po filiżankę, ostatnią ze skromnego serwisu ozdobionego wyblakłymi różyczkami, która zachowała się bez żadnego pęknięcia.

Wypiwszy pierwszy łyk, skrzywił się i odstawił filiżankę na stół.

- Kiepska jakość.

- Nie stać nas na lepszą herbatę.

Przez kilka sekund patrzył wprost na nią. Wydawało jej się, że pod tym spojrzeniem zamieni się w kupkę popiołu.

- Wiem - oświadczył.

Oparł się wygodnie w fotelu. Helena z goryczą musiała przyznać, że mężczyzna prezentuje się elegancko po najdrobniejszy

szczególnej swej garderoby. Miał na sobie obcisłą brązową kamizelkę z błyszczącego jedwabiu, dopasowany do niej obcisły surdut, delikatną koszulę, krawat w subtelny wzorek, w który wpięty został maleńki, połyskujący brylant. Strój ten musiał kosztować mały majątek. Za te pieniądze ona, Jason i Margaret mogliby przeżyć kilka miesięcy, tymczasem ten człowiek nosił go z taką nonszalancją, a nawet obojętnością, że Helena w równym stopniu pogardzała nim za to, co mu zazdrościła. Przy całej elegancji nie miał w sobie nic z dandysa, był szczupły, a mimo to silny, jak mężczyzna, który ma zwyczaj przy wszystkim, co robi, angażować całe swe ciało. W walce, kiedy stawiał opór przeszkodom jakiegokolwiek natury, musiał być przeciwnikiem niebezpiecznym i bezwzględny aż do brutalności.

- Otóż, panno Lawrence - zaczął i założył nogę na nogę - znajduje się pani na skraju całkowitej ruiny finansowej. Nie ma pani do dyspozycji ani farthinga*, a do tego kilkaset funtów długów. Po śmierci ojca została pani bankrutką. Na dodatek grozi pani życie na łasce u tępej i porywczej ciotki, a pani bratu los pisarczyka o wysmarowanych atramentem palcach. Alternatywą byłoby zatrudnienie się w jakimś lepszym lub gorszym domu jako guwernantka, żeby tam za głodową pensję wbijać rozwydrzonym bachorom do głów tabliczkę mnożenia, cierpieć różne szykany, a do tego być zmuszaną do zaspokajania zachcianek pana domu. Twarz Heleny znów poczerwieniała - ze złości i z zawstydzenia. Czuli się nieswojo. Była zaskoczona, że ten obcy mężczyzna tyle o niej wie.

- Nie mam pojęcia, czemu to pana może interesować. Kiwnął głową w skupieniu.

- Słusznie, nie powinno. Niemniej jednak zainteresowałem się tym. Widzi pani - zmarszczył czoło - jestem człowiekiem dość majątnym i mógłbym zapewnić pani przyzwoite utrzymanie. Pani brat otrzymałby najlepsze wykształcenie, jakie tylko można

*** Farthing - moneta brytyjska o równowartości 1/4 pensa (przyp. tłum.).**

kupić za pieniądze, a pani Brown mogłaby wreszcie przejść na zasłużoną emeryturę i dalej mieszkać w tym domu, o ile sobie tego życzy. Ja oczywiście zatroszczę się o remont domu i pokryję koszty potrzebne jej do życia.

Helena potrzebowała dłuższej chwili, żeby oferta nieznanego mężczyzny dotarła w pełni do jej świadomości. W powietrzu zawisło coś niewypowiedzianego, co sprawiło, że stała się nieufna wobec tej wspaniałomyślności, obiecującej im ratunek i spełnienie wszystkich jej pragnień.

- A czego... - przełknęła pospiesznie ślinę, domyślając się odpowiedzi na swe pytanie - ... czego pan chce w zamian?

- Chcę pani.

W ciszy, która zapadła po tych słowach, słychać było jedynie tykanie obu przykrytych szklanymi kloszami zegarów, które wpadły w agresywny, potęgujący się wzajemnie rytm.

- Żeby zapobiec nieporozumieniom - przerwał milczenie Ian Neville, na co Helena się wzdrygnęła - mam wobec pani uczciwe zamiary. Szczerze mówiąc, zdążyły mi się znudzić damy z towarzystwa, które na mnie naciskają, żebym się ożenił z ich córkami lub siostrzenicami. Indie to nie miejsce dla delikatnych panienek, które wybuchają płaczem, gdy zobaczą muchę na ścianie.

- Indie? - powtórzyła Helena ochryplym głosem.

- Darjeeling, u stóp Himalajów - sprecyzował Neville. - Potrzebuję kobiety, która byłaby wystarczająco silna i samodzielna, żeby razem ze mną prowadzić plantację. Musi doskonale jeździć konno, być dość inteligentna, żeby opanować tamtejsze języki, zdolna poprowadzić gospodarstwo, a na dodatek dobrze by było, gdyby nie była zanadto nudna. - Zawiesił na moment głos, a potem dodał: - Tym samym uroczyście proszę panią o rękę.

Zaskoczona Helena w milczeniu pokręciła głową.

- O co chodzi? - zapytał Neville. -- Przeszkadza pani, że nie próbuję się wkraść w pani łaski, przynosząc bukiety kwiatów

i czekoladki? Że nie przysyłam romantycznych bilecików, w których rozwodziłbym się na temat pani wdzięków i cnót? I nie padam przed panią pokornie na kolana?

Uniósł rozbawiony jedną brew, a po chwili jego twarz znowu przybrała chłodny i nieprzenikniony wyraz.

- Otóż jestem zdania, że małżeństwa zawierane bez namiętności są lepsze i trwalsze niż takie, w których ślepe zafascynowanie zamienia się z czasem w rozczarowanie i obojętność, albo nawet takie, w których zakochanie staje się szaleństwem. Przyznaję, że mam wysokie wymagania, ale jestem skłonny spróbować zawrzeć z panią związek małżeński.

- Jest pan skłonny... - Wobec takiej arogancji Helenie słowa utknęły w gardle. - Za kogo się pan uważa? Nie może mnie pan tak po prostu kupić jak jakiś przedmiot!

- Każdy człowiek ma swoją cenę, panno Lawrence, także pani. Znajduje się pani w skrajnie niefortunnym położeniu i radziłbym nie próbować za bardzo windować swojej ceny.

-Wcale nie mam zamiaru się targować, a zwłaszcza nie z panem!

Neville wstał niewzruszony. Zatrzymał się tuż przed Heleną, tak blisko, że poczuła ciepło jego ciała i przyjemnie ostry zapach mydła, którego używał. Z bliska jego oczy wydawały się nie mieć dna. Helena odniosła wrażenie, że gdyby spojrzała w nie za głęboko, mogłaby się w nich zagubić. W przyływie lęku odwróciła od niego wzrok.

- Złożyłem pani przyzwoitą ofertę - powiedział cicho Neville, a jego pachnący tytoniem oddech musnął jej policzek. -Daję pani dwadzieścia cztery godziny na podjęcie decyzji. Ale ostrzegam, z reguły dostaję to, czego chcę. Niech pani nie próbuje stawiać oporu. Rozpocznie pani grę, której pani nie wygra.

Bliskość jego ciała zmieszała Helenę jeszcze bardziej niż jego słowa. Strach, złość, wstyd i coś bezimiennego, nieznanego przeszyły dreszczem jej ciało, które ponownie rwało się do ucieczki.

- Proszę stąd wyjść!

Nie widziała, lecz czuła, jak się od niej oddala, krocząc w kierunku drzwi.

- Dwadzieścia cztery godziny - usłyszała za plecami jego głos. - Jeśli pani planuje się sprzedać, to ja z pewnością oferuję najlepszą cenę.

Helena chwyciła jedną z filiżanek i rzuciła w kierunku, z którego doleciały ją ostatnie słowa lana Neville'a. Filiżanka uderzyła z brzękiem w futrynę drzwi i rozprysła się we wszystkie strony. Resztki zimnej herbaty spłynęły potokami na podłogę, pozostawiając po sobie smugi podobne do łez.

Po lanie Neville'u nie było już śladu.

Dwa dni później zatopiony w myślach sir Henry Claydon, przysadzisty i czerwony na twarzy, chodził po rozległych korytarzach Oakesley Manor. Posiadłość została zbudowana na początku minionego stulecia z tej samej granitowej kornwalijskiej skały co domy dzierżawców, lecz jej wytworny styl i wielka liczba kolumn nie pozostawiały wątpliwości co do rangi i majątności właściciela.

Skoczna muzyka fortepianowa perliła się jak szampan po korytarzach; harmonizowały z nią śmiech i luźno rzucone uwagi młodej damy i towarzyszącego jej dżentelmena, jakby to sam Chopin umieścił je między nutami. Wszystko razem sprawiało, że eleganckie mury wibrowały od bez troski.

Żniwa w tym roku znowu wypadły źle, a dzierżawcy Clay-dona zaczęli pomrukiwać, że zbiory były tak mizerne, bo właściciel gruntu za mało zainwestował w sprzęt; jeden czy dwóch z nich przymierzało się do zerwania umowy z końcem roku rozrachunkowego. Albo przeprowadzą się na południe, do którejś z dochodowych jeszcze kopalni cyny, albo do wielkiego miasta, żeby w hałaśliwych fabrykach zanieczyszczających niebo sadzą szukać łaski losu, a przede wszystkim środków do życia.

Sir Henry zapatrzył się w zamyśleniu w gruby dywan pod swoimi ręcznie szytymi butami, potem jego wzrok przesunął się na ściany wyklejone tapetą w zielony wzorek, ozdobione olejnymi obrazami przedstawiającymi sceny polowań i krajobrazy, wiszącymi jeden obok drugiego i towarzyszącymi jego krokom. Kandelabry z idealnie wypolerowanego srebra, błyszczące drewno komód i ozdobnych stolików podkreślały wystawną atmosferę arystokratycznego domu. Sceneria bogactwa, które rozplynęło się już dawno temu. Gdzie się podziały te wszystkie pieniądze? Nie miał pojęcia.

Odruchowo skierował kroki w stronę, skąd dobiegały muzyka i głosy, ale nie był pierwszym, którego one przyciągnęły. Jedno skrzydło drzwi było otwarte; w cieniu drugiego skrzydła zobaczył swoją żonę, której figura była jakby stworzona do noszenia obcisłych sukien szytych według nowej mody. Lady Sophia Claydon nasłuchiwała w skupieniu, żeby nie umknął jej nawet najmniejszy fragment rozmowy, nawet cień emocji w którymś z tych dwóch głosów.

- Sophio - syknął cicho, ledwo słyszalnie, rozgniewany tym, że przyłapał swoją małżonkę na niedyskrecji, którą dopiero co sam gotów był popełnić.

Lady Sophia nigdy nie była prawdziwie piękna. Z profilu za bardzo przypominała drapieżnego ptaka. Ale w jej oczach zawsze płonął ogień, który, choć krytykowany jako nieprzystający damie, przyciągał mężczyzn i zdradzał jej nieskrępowaną energię. To, co miała w sobie najlepsze, przekazała dzieciom - szczupłą sylwetkę, jasnoszare oczy, bujne czarne włosy o niebieskawym połysku, porcelanową cerę.

Właśnie za sprawą tej energii wtedy, przed ponad dwudziestu laty w Kalkucie, zdołała uwieść jedenaście lat od niej starszego pułkownika w stanie spoczynku, Henry ego Claydona. Nienawidziła Indii od pierwszego dnia, kiedy rodzice ściągnęli ją tam z jednej z bardziej wytwornych dzielnic Londynu, z pensjonatu dla oficerskich córek.

Nienawidziła upału, kurzu, brudu i tam-

tejszych ludzi. Każdej niedzieli podczas nabożeństwa dziękowała Panu za jego nieskończoną łaskę, że niespodziewanie zabrał do siebie bezdzietnego starszego brata sir Henry'ego. Trochę też była dumna sama z siebie, że tak sprytnie wyszukała sobie małżonka. Dobrze było zostać żoną pułkownika, na dodatek pułkownika, który zasłużył się podczas powstania w Indiach w 1857 roku, kiedy to owe niewdzięczne, bezbożne czarnuchy poczęły kasać dobroczynną rękę Brytyjczyków, która ich dotąd karmiła. Lady Sophia po dziś dzień traktowała to powstanie jako osobisty afront, chociaż poza nieobecnością męża nic z niego nie doświadczyła. Ale jeszcze lepiej było zostać panią takich dóbr jak Oakesley oraz nosić arystokratyczny tytuł. Z radością przybyła tu przed szesnastoma laty, gotowa prowadzić dom żelazną ręką i wychowywać swego trzyletniego wówczas syna na spadkobiercę ziemi i majątku. Każdej nocy modliła się gorąco, żeby dziecko, które wówczas nosiła pod sercem, okazało się dziewczynką, tak piękną i pociągającą, by później mogła zostać wspaniałą partią. I Bóg łaskawie spełnił jej prośbę.

Lady Sophia zwróciła się do małżonka z palcem na ustach.

-Jeszcze w tym tygodniu poprosi o jej rękę - szepnęła, uśmiechając się uśmiechem, który lekko tylko zdołał złagodzić jej twarde rysy twarzy. - Wypijmy za to po filiżance herbaty.

Z szerokich złotych ram zawieszonych na jedwabnych tapetach spod upudrowanych peruk spoglądali w dół lordowie z rodu Claydonów wraz ze swymi małżonkami. Ród był zasiedziały na tej ziemi od pokoleń, a ziemia, na której żyli, była ich prywatną własnością, którą mogli przekazywać w spadku swoim potomkom. Tradycyjnie ziemie hrabstwa należały prawie wyłącznie do księcia Walii, a włości te można było tylko dzierżawić, najdłużej na sto lat. W tej okolicy w rękach prywatnych pozostawały jedynie Oakesley i maleńki skrawek Worlds End - kiedyś część folwarku, która dawno temu oddzieliła się od niego na skutek waśni spadkowych.

Antenaci z życzliwością spoglądali na komplet wypoczynkowy, wykonany z łukowato wygiętych elementów ze szlachetnego drewna i tapicerki z bordowego perkalu. Na misternych stolikach i białym marmurowym kominku rozstawione były ze smakiem bibeloty - figurki i arcydzieła sztuki zegarmistrzowskiej. Było ich dość, żeby podkreślić znaczenie domu, ale nie za dużo, tak by dekoracja nie robiła wrażenia przeładowanej. Przez wysokie okna dzielone szczeblinami można było swobodnie spoglądać w głąb parku, gdzie rozciągały się zielone trawniki i rosły stare dęby, starsze jeszcze od domu, dęby, które dały nazwę posiadłości i których nagie gałęzie otulała listopadowa mgła wisząca nad Oakesley Manor.

- Czemu jesteś tak mocno przekonana, że się jej oświadczy? - zapytał sir Henry, trzymając w dłoni filiżankę.

Gorąca para nawilżała mu przyjemnie siwą brodę. Miły zapach obudził na krótki moment wspomnienia rozgrzanych słońcem sawann i dusznych, gorących nocy na brzegu Gangesu, płonących ognisk z krowich odchodów i aromatu dojrzałych mango, wspomnienia, które wywołały w nim silną tęsknotę i żal za tym, co musiał zostawić w zamian za tytuł i posiadłość ziemską.

- Widzę przecież, że już dawno zaplątał się w sieć jej wdzięków. Lady Sophia dała ubranemu w liberię służącemu znak ręką, żeby wlał jej do herbaty śmietanki. Wzięła swoją filiżankę, nie mówiąc słowa „dziękuję”.

Sir Henry przełknął nieco herbaty i rozkoszował się jej czystym, delikatnym smakiem, którego nigdy by nie zdusił ciężką słodkością śmietany, a co najwyżej w zależności od gatunku i zbioru wzmocniłby niewielką ilością cytryny. Aromatyczny płyn, spływając w dół przełyku, złagodził gorzko-słodką nostalgię.

- Nie jestem pewien - powiedział po przerwie poświęconej degustacji - czy byłbym rad z tego związku. Przy całym szacunku, jaki odczuwam dla naszego gościa, zastanawiające jest to, że tak mało wiemy na jego temat. Za mało, żeby mu powierzyć

naszą córkę. Nie podoba mi się to, co mówią o nim ludzie. Nie tylko to, że nie ma żadnego tytułu, ale też, że jego pochodzenie jest całkiem niejasne.

- Do takiego dżentelmena jak on pasuje, że nie traci zbyt wiele słów na temat swego pochodzenia.

Na skroni sir Henry ego zaczęła pulsować żyłka.

- A co z niezliczonymi romansami, które mu się przypisuje, dzikimi orgiami w różnych klubach, połączonymi z alkoholem i hazardem? A co z pogłoskami, że zabił w pojedynku pewnego człowieka?

Lady Sophia opuściła wzrok. Cicho, ale nieubłaganie odpowiedziała:

- Chyba nie zaprzeczysz, że to dobrze, jeśli wy mężczyźni się wyszalejecie, zanim wejdziecie w święty i nierozzerwalny związek małżeński.

Znacząco spojrzała na sir Henry'ego, któremu nie pozostało nic innego, jak opuścić wzrok.

- Neville wkrótce skończy trzydzieści dwa lata - dodała twardym tonem. - Dni jego szaleństwa są policzone, wierz mi. Amelia już o to zadba. Ten człowiek może i nie ma tytułu, ale ma pieniądze, dużo pieniędzy, a ty powinieneś zdawać sobie sprawę, że teraz są inne czasy i nie możemy sobie pozwolić, żeby nam umknęła taka szansa.

Zapanowało milczenie, podczas którego każde z nich pograżyło się w zamyśleniu. Sir Henry głowił się nad pismem, które ich gość otrzymał przed kilkoma dniami i pozostawił lekkomyślnie w pokoju śniadaniowym. Jako ojciec Amelii sir Henry Claydon uważał za swój obowiązek rzucić okiem na to pismo. W efekcie sam sobie pogratulował w duchu genialnego pomysłu - natychmiast wziął telegraficznie pożyczkę pod zastaw majątku i zainwestował w ten lukratywny interes, którym Neville zdawał się niezbyt zainteresowany, a którego finalizacja została dzisiaj potwierdzona przez gońca.

Nagle Claydon odstawił filiżankę.

- Z rana odwiedziła mnie panna Lawrence.

- Czego chciała? Prosić o jałmużnę?

- Prosiła o prolongatę długów, póki nie znajdzie pracy i nie będzie mogła ich spłacić.

- Znaleźć pracę? - Lady Sophia się roześmiała. - Jak ona chce to zrobić? Przecież nic nie potrafi, w ogóle nic, bo ten stary oszołom nie pozwolił dzieciom chodzić do szkoły. Nawet do kościoła ich nie puszczał! Może co najwyżej pójść za głodową pensję do fabryki, ale nic więcej.

Claydon złożył łokcie na podłokietnikach, a rosnący mu podwójny podbródek oparł na splecionych dłoniach. Zamyślił się. Wiedział oczywiście, że suma, o którą poprosił go wtedy Arthur Lawrence, znacznie przekraczała wartość działki, ale współczuł strapionemu człowiekowi i nie miał serca się targować, chociaż w gruncie rzeczy nie spodziewał się za bardzo, że kiedykolwiek zobaczy te pieniądze z powrotem.

- Chętnie bym jej pomógł, ale łan już wczoraj po kolacji złożył mi ofertę, że odkupi weksle Lawrenceow po bardzo dobrej cenie. Oczywiście przyjąłem tę propozycję, chociaż nie mam najmniejszego pojęcia, po co mu to potrzebne.

- Nie potrzebujesz się tym dalej trapić, Henry. Teraz już nie będziemy musieli się przejmować, czy kiedykolwiek zobaczymy choć farthinga z tego długu. Na ile znam naszego szacownego pana Neville'a, na pewno nie będzie zaprzętał sobie głowy dobroczynnością. Lawrenceowie i tak byli hańbą dla gminy. Im prędzej ją opuszczą, tym lepiej.

Sir Henry opadł na oparcie krzesła i popatrzył badawczo na żonę.

Dostrzegł elegancję popołudniowej sukni z tafty w kolorze śliwkowym, kolia i kolczyków z ciężkiego złota z połyskującymi ametystami.

- Powinnaś odczuwać choć cień litości dla tej biednej istoty i jej losu, jak nakazuje chrześcijański obowiązek.

Lady Sophia odstawiła filiżankę, aż zabrzęczało.

- Czuję wstręt, widząc, jak ona się umizguje do Alastaira, jak wykorzystuje prostoduszność mojego syna, żeby wkraść się do naszej rodziny i zdobyć tytuł. Mam nadzieję, że znalazłeś w sobie dość charakteru, żeby pokazać jej drzwi. Jestem pewna, że ta wydra właśnie teraz znowu się kręci koło stajni i próbuje zbałamucić twojego spadkobiercę!

- Nigdy cię o nic nie prosiłam, Alastairze, ale teraz potrzebuję twojej pomocy!

Zrozpaczona Helena uchwyciła za rękaw młodego mężczyznę, który bezradnie unikał jej żarliwych spojrzeń.

- Ja.. ja nie mogę, Heleno, żebym nie wiem jak chciał! Matka kontroluje wszystkie moje wydatki. Nawet gdyby mi sprzedał weksle, nie mógłbym za nie zapłacić.

- Opowiedz jej cokolwiek, wymyśl jakąś historię, że masz dług karciany albo że dla kaprysu dałeś pieniądze na cel dobroczynny. Udaj przed nim, że chcesz je odkupić, weź te papiery, nie dopuść do tego!

- Nie mogę, Heleno, to by było niehonorowe, Ian jest naszym gościem!

- A czy to jest honorowe, że on nas doprowadza do takiej nędzy?

Z oczu Heleny sypały się gniewne skry. Goniec przyniósł tego ranka pismo, że Ian Neville, jako nowy wierzyciel, wzywa Helenę do niezwłocznego oddania zaległej sumy albo do opuszczenia World's End.

- Alastairze, do jutra muszę zdobyć te pieniądze albo on nas stąd wygna i trafimy prosto do przytułku dla ubogich. Na pewno nie chciałbyś do tego dopuścić. - Daremnie próbowała sprawić, żeby jego kobieco wyglądające oczy w oprawie przesadnie długich, czarnych rzęs spojrzały na nią. -

Jesteśmy przecież przy-

jaciółmi, Alastairze. Obiecałeś, że zawsze będziesz mi pomagał, wtedy gdy byliśmy na skałach, pamiętasz?

Byli jeszcze dziećmi, gdy spotkała na plaży bladego, delikatnego chłopca, dwa lata starszego od niej, którego głowa wydawała się za duża w stosunku do wątego ciała, niemal przytłoczonego ciężarem czarnych, niebieskawo połyskujących włosów. Alastair, wrażliwy i melancholijny z natury, był typem samotnika. Cecha ta łączyła ich oboje, choć poza tym zupełnie się od siebie różnili. Nigdy nie zrodziła się między nimi prawdziwa przyjaźń, była to raczej wzajemna tolerancja połączona z obustronną samotnością. Nieskończone konne przejażdżki po plaży obmywanej przez morze i milczące godziny na skałach wypełniały wakacje Alastaira, który potem wracał do Eton*, a później do Oksfordu i zostawiał Helenę jeszcze bardziej samotną niż przedtem. Wczesnym latem po ukończeniu studiów wrócił na stałe do Kornwalii, żeby przygotować się do swoich przyszłych obowiązków posiadacza ziemskiego. Jednak od tego czasu coś się między nimi zmieniło.

Początkowo często spoglądał ukradkiem na Helenę, potem wpatrywał się w nią bez ceregieli i z wyczuwalną żądzą obserwował każdy jej ruch; w końcu zaczęły się niezręczne uściski, wilgotne, nerwowe pocałunki, nieporadne i niewprawne, grubiańskie próby chwycenia jej za biust i sięgnięcia pod spódnicę. Trochę zła, trochę rozbawiona, broniła się przed jego zapędami, pozwalając mu jednak czasem na pewne pieszczoty, ponieważ sądziła, że takie zachowania należą do dorosłości, a przede wszystkim dlatego, że nie chciała go stracić, jedyne przyjaciela, jakiego kiedykolwiek w życiu miała.

Młody Claydon patrzył przed siebie na kamienną nawierzchnię dziedzińca, ignorując wzrokiem przyjaciółkę. Helena zrozumiała i cofnęła dłoń, którą dotykała popielatego twee-du jego surduta.

* **Eton College - jedna z najstarszych w Anglii szkół męskich z internatem (przyp. tłum.).**

- Nie chcesz mi pomóc - powiedziała cicho z goryczą - bo nic dla ciebie nie znaczę.

Ogarnął ją gorący wstyd, że tak łatwowiernie przyzwalała na jego umizgi, czuła się wykorzystana i zdradzona. Odwróciła się, żeby nie widział jej łez, i wskoczyła na Achillesa, który czekając cierpliwie obok stajni, wyskubał kilka chudych źdźbeł z kamienistej ziemi.

- Heleno, zrozum mnie...

Ona tymczasem ostro zawróciła konia i zawołała przez ramię:

- Rozumiem cię bardzo dobrze, uwierz mi, i nie będę ci się więcej naprzykrzać, obiecuję ci to!

Odjechała szybko, jakby ją diabeł gonił. Alastair podniósł ze zmęczeniem głowę, spoglądając ku górnym kondygnacjom dworu, i poczuł coś w rodzaju nienawiści.

W oknie pokoju muzycznego, za lekko odsuniętą zasłoną, stał Ian Neville i skinął mu prawie niezauważalnie głową.

4

W domu panowała paraliżująca cisza. Życie w nim nigdy nie było łatwe, jak można się było tego domyślić, widząc popękane ściany, jakby pomarszczone ze zgrzyoty. Teraz ten dom zdawał się czekać na nieuniknioną katastrofę, a nerwowe tykanie zegarów, przypominające szybkie, płytkie uderzenia serca, zdradzało strach, który doń wnikał. Margaret z boleścią w sercu przyglądała się, jak Jason w kleiście szarej mgły szpera na dworze gałęzią między kamieniami, szukając robaków lub żuków, które mogłyby mu pomóc zabić nudę. Na pierwszy rzut oka chłopiec wyglądał jak każdy inny jedenastolatek we wsi - w łatanych, przybrudzonych spodniach,

z rozczochnymi blond włosami, szramami na twarzy i łokciach, kto jednak obserwował go dłużej, musiał zauważyć smutną powagę jego twarzy, która sprawiała, że Jason wyglądał na starszego, niż był. Być może odziedziczył melancholię po ojcu, a może było to niejasne wspomnienie wielogodzinnych, morderczych bólów porodowych i potoku krwi, która wypłukała go na ten świat i sprawiała, że jego pierwszy oddech zszedł się z ostatnim tchnieniem jego matki. Po śmierci ojca prawie nie płakał, robił wrażenie bardziej zdezorientowanego niż smutnego. I właśnie to martwiło Margaret.

Choć minęło tyle lat, nadal odczuwała ból na myśl o tym, że Celia odeszła tak wcześnie. Były dla siebie czymś więcej niż nianią i wychowanką, były prawie jak matka i córka. Towarzyszyła Celi od jej pierwszych niepewnych kroków aż do ostatniej godziny. A świadomość, że nie może pomóc dzieciom Celi na tym okrutnym dla nich świecie, sprawiała, że jej cierpienie było jeszcze większe.

Odwróciła się od okna i spojrzała na Helenę, która siedziała skulona w jednym z foteli i patrzyła w pustkę. Margaret zawsze odnosiła wrażenie, że dziewczyna jest jak napięta sprężyna, gotowa przy najmniejszym dotyku odskoczyć. Dzisiaj Helena wyglądała na załamana, jakby ta sprężyna pękła. Można się było domyślić, że Helena wyrzuca sobie, iż nie potrafi zapobiec grożącej katastrofie. Na nic zdałyby się zapewnienia, że zrobiła wszystko, co tylko było w jej mocy. Dziewczyna znajdowała się na skraju rozpacz, mając wewnętrzne przekonanie, że zawiodła. Serce Margaret ścisnęło się na myśl o tym, że w domu ciotki Helena będzie upokarzana, że zwiędnie tam jak róża przesadzona do martwej ziemi. Nie należało przywozić jej tu z Grecji - Margaret była o tym święcie przekonana. Helena to dziecko słońca. Tak się spieszyła, żeby zobaczyć skąpane w letnim słońcu Ateny, że poród trwał bardzo krótko, a Celia prawie nie cierpiała. W zimnej

Kornwalii zniknęło wewnętrzne ciepło, którym Helena zawsze emanowała. Margaret obawiała się, że ono już nigdy nie wróci. Ich kufry stały spakowane w sieni, czekali tylko na przybycie komornika, żeby przekazać mu Worlds End, a potem ruszyć w drogę do domu Archibalda Rossa - przez wejście dla służby, jak należało przypuszczać, bo tak wypadało ubogim krewnym, którzy zapłacili za grzechy rodziców i powinni śpiewać pieśń pochwalną na cześć wspaniałomyślności i chrześcijańskiego miłosierdzia swoich zbawców. Margaret z radością poświęciłaby w tej chwili rękę lub nogę, byleby uchronić swoich podopiecznych przed tym losem, wątpiła jednak, żeby Pan w swej dobroci zechciał przyjąć tę ofiarę.

- Nie chcesz sobie tego jeszcze przemyśleć? - zapytała, przerywając melancholijną ciszę.

Helena pokręciła głową powoli, jak w transie, a mimo to zdecydowanie.

- Powiedziałam nie, a to oznacza nie - powiedziała ochryłym głosem. - Nie sprzedam się temu diabłu.

Margaret milczała i opuściła wzrok. Helena nigdy nie była posłusznym dzieckiem. Za wiele dawano jej wolności, ale mimo temperamentu i uporu nigdy nie przejawiała tendencji do przekory i napadów złości. Jednakże wściekła nieustępliwość, z którą w ciągu minionych trzech dni zabraniała Margaret *wymieniać* w swej obecności nazwisko lana Neville'a, przypominała ślepy gniew furii, który jeszcze wzrastał, w miarę jak na jej szyi zaciskał się stryczek. Dla Margaret zagadką było to, że ów człowiek z taką wytrwałością czyni wszystko, by przypieczętować ich ruinę; sprawił, że zamknęły się przed nimi wszystkie drzwi, które mogłyby oferować im ratunek, a teraz nieuchronnie dobiegał kresu czas, który im pozostał w Worlds End. Przeraziła ją myśl, że Helena, której towarzyszyła od jej pierwszego oddechu, mogłaby się związać z całkiem obcym człowiekiem i wyjechać z nim do bezbożnego kraju, gdzie jej życie byłoby zagrożone przez upał i choroby.

Ale nieporównanie gorsza wydawała jej .się myśl, że dziewczyna skończy w upokorzeniu jako stara panna. W domu swojej ciotki Helena by zmarniała, powoli, ale na pewno, i to w sposób haniebny. Pozostało jeszcze nieco czasu, żeby sięgnąć między szprychy koła fortuny, nadać mu inny kierunek. Ostrożnie dobierała słowa.

- Zaaranżowane małżeństwo nie jest najgorszą rzeczą, wiesz? Myślała, że Helena się zbuntuje, że odpowie ostro, ale nic takiego się nie stało. Dziewczyna dalej siedziała bez ruchu, jakby niczego nie usłyszała; jedynie lekkie drgnienie, ściślejsze oplecenie ramion wokół tułowia, zdradziło, że słucha, co Margaret ma do powiedzenia.

- Z czasem małżonkowie się do siebie przyzwyczajają, jedno drugiemu daje w określonych ramach wolność, szczególnie jeśli żyją w pewnym dobrobycie. Kiedyś na pewno przestanie też domagać się swoich praw. Mężczyźni mają swoje środki i sposoby...

Dojrzała, jak po policzkach Heleny spływają łzy. Położyła troskliwie rękę na jej ramieniu.

- Pomyśl też o Jasonie, o jego przyszłości - szepnęła w rozwichrzone włosy Heleny.

Zobaczyła, jak oczy dziewczyny powędrowały ku oknu. Helena patrzyła teraz takim wzrokiem jak niegdyś, gdy będąc jeszcze małą dziewczynką, po raz pierwszy stanęła pełna czułości przy kołysce brata.

- Wszyscy jesteśmy w twoich rękach, Heleno, a zwłaszcza Jason. Ty jedyna możesz zapobiec naszej ruinie.

Szloch jak bolesny skurecz wstrząsnął szczupłym ciałem Heleny.

- Nie mogę, Marge - wykrztusiła zduszonym głosem. -Wszystko, byle nie to! Za dużo ode mnie żadasz!

Margaret mimowolnie zaczęła mówić z większym naciskiem: -Jesteś mu to winna! Jesteś wszystkim, co ma! Nigdy byś sobie nie darowała, gdybyś go teraz zawiodła. On jest przecież jeszcze taki młody...

Helena uniosła głowę i spojrzała przez łzy na opiekunkę. Margaret знаła ją na wylot, wiedziała, że jej wychowawca zrobi w końcu to, co trzeba. Kobieta podeszła więc bez pośpiechu do sekretarzyka, sięgnęła po atrament, papier i pióro i podała to wszystko Helenie, która popatrzyła na te przedmioty, jakby miała przed sobą jadowitą żmiję, skorpiona i pajaka ptasznika. W jej duszy toczyła się w tym momencie gwałtowna walka. Margaret współczuła jej. Oto Helena zmuszona była podjąć decyzję o dalekosiężnym znaczeniu, która miała skierować jej życie nieodwracalnie na nowe, niechciane koleje. Ale życie nauczyło też samą Margaret, by w takich momentach rezygnować z sentymentalnej słabości i postępować zdecydowanie, nawet jeśli graniczyłoby to z okrucieństwem. Helena nerwowym ruchem sięgnęła po przybory do pisania. „Przyjmuję Pańską ofertę”, nabazgrała pospiesznie na kartce, podpisała się i podała liścik Margaret, spuszczając głowę pod ciężarem upokorzenia. Margaret szybko chwyciła kartkę, żeby Helena nie zdążyła się rozmyślić i nie podarła listu pod wpływem impulsu, któremu często ulegała.

- Dobre dziecko - szepnęła ochrypłym z ulgi głosem i delikatnie pogłaskała Helenę po mokrych policzkach, a następnie oddaliła się pospiesznie, by jak najszybciej dostarczyć wiadomość do adresata.

Helena siedziała nieruchomo, słyszała oddalające się kroki Margaret, a w sercu czuła bojaźliwe drżenie, które się coraz bardziej wzmagало. Miała wrażenie, że właśnie podpisała na sobie wyrok śmierci, który wprawdzie pozostawiał ją fizycznie przy życiu, ale żywcem grzebał jej duszę.

Mijały godziny, jedna po drugiej. Każdy hałas w pobliżu domu sprawiał, że obie kobiety podskakiwały przestraszone. Bały się, że wiadomość dotarła za późno i że właśnie przybywa komor-

nik. Ale nikt nie przyjechał, a cisza i spokój mijającego powoli popołudnia były wprost nie do zniesienia.

Wreszcie po nastaniu ciemności, gdy zdenerwowana Margaret zapaliła lampy, rozległ się stukot kopyt końskich. Kobieta wołała najgorsze od męczącej niepewności, wybiegła więc pospiesznie na zewnątrz.

Serce Heleny waliło jak młotem. Chciała się jeszcze bardziej zagłębić w fotelu, zniknąć między rysami twardej, nierównej tapicerki, ale się przemogła. Zacisnęła zęby i usiadła prosto, z dumnym wyrazem twarzy i napiętym każdym mięśniem, ażeby ukryć drzenie. Nie chciała, żeby Ian Neville zobaczył ją zgnębiającą i pokonaną, ani żeby nad nią triumfował. Usłyszała głos Margaret i męski bas, potem kroki. Za niską Margaret do pomieszczenia wszedł cień, który przybrał postać wysokiego mężczyzny. Świetliste kolory jego odzienia w brudnożółtym świetle lamp były niemal boleśnie intensywne, a znane otoczenie sprawiało, że Helenie wydał się jeszcze bardziej egzotyczny, niż był w istocie.

Jasne spodnie do konnej jazdy i gładko skrojona biała kurtka z małą stójką kontrastowały silnie z jego ciemną karnacją, przypominającą wypolerowane szlachetne drewno. Trudno było ocenić, w jakim był wieku; jedynie szpakowatość jego krzaczastej, zadbanej brody zdradzała, że prawdopodobnie skończył już pięćdziesiąt lat. Z jego ciemnych oczu, jeszcze czarniejszych pod szkarłatnym turbanem, emanowało błogie ciepło, które zdawało się rozprzestrzeniać po całym pomieszczeniu, obiecywało bezpieczeństwo i budziło zaufanie. Helena poczuła tak wielką ulgę, że prawie zalała się łzami. W obecności tego mężczyzny nie musiała się bać, że ktoś wyrządzi jej krzywdę.

- Dobry wieczór, panno Lawrence - skłonił się przed nią z szacunkiem. - Proszę pozwolić, że się przedstawię. Mohan Tadżid, sekretarz pana Neville'a. Niech pani wybaczy niestosowną godzinę mej wizyty, ale pan Neville nalegał, żebym załatwił wszystkie formalności dotyczące ślubu i pani wyjazdu do Lon-

dynu, zanim panią odwiedzę. Dopiero przed półgodziną dostaliśmy przez gońca zgodę pani prawnego opiekuna. Helena z trudem przełknęła ślinę.

- Kiedy to będzie? - zapytała. Hindus spojrzał na nią ze współczuciem.

- Jutro w południe, o dwunastej, w kościele parafialnym pod wezwaniem Świętego Stefana.

Helena wpatrywała się w ciemność. Zerwał się sztorm. W nocnej ciszy mogła słyszeć fale uderzające o skały. Jej ostatnia noc w Worlds End...

Nienawidziła tego miejsca, od kiedy wysiadła z dorożki, która przywiozła tu po śmierci Celi pograżoną w smutku resztę rodziny Lawrence'ów.

Teraz jednak nie mogła sobie wyobrazić, że już wkrótce będzie musiała opuścić ten dom. Już jutro - jeszcze tylko kilka godzin... Drzwi otworzyły się cicho.

- Nela? - To Jason przyszedł bosy do jej łóżka. - Śpisz?

- Nie - odpowiedziała ochrypłym głosem.

- Ja też nie mogę usnąć.

Wślizgnął się do niej pod kołdrę, jak dawniej, gdy był jeszcze mały i bał się ciemności. Przyłgął do niej, przyłożył lodowate stopy do jej ciepłych łydek. Milczał przez chwilę, wpatrywał się, jak ona, w ciemność, w końcu wyrzucił z siebie to, co nie dawało mu usnąć:

- Marge mówi, że jutro wychodzisz za mąż i zaraz potem pojedziemy koleją do Londynu, a potem jeszcze dalej, za morze, a ja pójdę do szkoły w górach.

-Tak, Jasonie, to, co mówiła Marge, to wszystko prawda.

- Czy Marge pojedzie z nami do Indii?

- Nie - odpowiedziała Helena ze ściśniętym gardłem. -Marge zostanie w Anglii. Jest za stara na taką daleką podróż, mogłoby jej to zaszkodzić.

Wprawdzie nie padło na ten temat ani jedno słowo, ale dla Heleny było jasne, że sama weźmie na siebie to brzemień. Nie była w stanie sobie wyobrazić, że Margaret mogłaby każdego dnia być świadkiem jej dożywotniego upokorzenia i niewoli.

- Będziemy mogli kiedyś odwiedzić Marge? - dopytywał się Jason.

Helena starała się, żeby jej głos brzmiał pewnie i beztrąsko. Tylu rzeczy sama nie wie i na nic nie ma wpływu...

- Na pewno będziemy mogli, kiedy tylko zechcesz.

- Marge mówi, że w szkole jest dużo książek i że będę tam miał przyjaciół, prawdziwych przyjaciół.

Jason mówił coraz ciszej, ale gdy wypowiadał ostatnie słowa, lekko podniósł głos, jakby zadawał pytanie albo się bał, że Helena mu zaprzeczy. To zabolalo Helenę. Nigdy dotąd nie uświadamiała sobie, jak bardzo Jason cierpi z powodu izolacji, jak tęskni za towarzystwem.

Przyciągnęła go mocno do siebie i pogładziła po włosach.

- Będziesz ich miał. Obiecuję ci, że będzie cudownie. Jason zerknął na nią, jakby w jej głosie usłyszał coś, co go zafrapowało i jakby w ciemnościach chciał wyczytać z jej twarzy, co takiego ją gnębi.

- Kochasz go, prawda? Inaczej nie wyszłabyś za niego za męża? Helena poczuła, jak w jej piersi zbierają się gniew i smutek, jak boleśnie ściska się jej żołądek, a w oczach stają łzy. Próbowwała powstrzymać płacz - wyraz bezsilnej złości na los, na Iana Neville'a, który zmusił ją do małżeństwa i którego presji niechlubnie uległa. Głęboko wciągnęła powietrze, starając się mówić przekonująco.

- Tak, Jasonie, kocham go.

Zadowolony Jason znów przytulił się do niej i głęboko westchnął.

- To dobrze - mruknął cicho. - Cieszę się, że popłyniemy do Indii.

Helena poczuła, że Jason powoli zapada w sen, jego ciepłe dziecięce ciało się odpręży, staje się coraz cięższe w jej objęciach, jego oddech robi się bardziej regularny i głębszy. Wreszcie mogła, choć bezgłośnie, pozwolić płynąć swoim łzom. Wiedziała, że zrobiła, co trzeba, a mimo to nie odczuwała ulgi, tylko niepokonowaną złość i ból. Przeklinała łana Neville'a z najgłębszych zakamarków duszy.

5

W świadomość Heleny wdarł się nieco stłumiony przez drzwi, lecz tak naprawdę głośny i dźwięczny śmiech oraz lekkie, a mimo to hałaśliwe kroki, które się coraz bardziej zbliżały. Kobięcy głos wołał czyjeś imię, silił się, żeby brzmieć energicznie, a jednak osiągał słaby efekt. Potem drzwi zostały gwałtownie otwarte, ktoś z impetem rzucił się na nią i zaczął ją szarpać.

- Nela, Nela, wstawaj wreszcie, spałaś dość długo! Na dole czeka na nas wspaniałe śniadanie, miękkie białe bułeczki z masłem i żółtą marmoladą, jajecznica i gęsta czekolada do picia! Chodź już, Nela! Wstawaj!

Helena z trudem otworzyła oczy, jakby jakaś mocarna siła trzymała ją w czarnych czeluściach snu. Jason przygniótł ją i oznajmiał jej coś z zachwytem, ale do niej docierały jedynie strzępy słów, nic więcej. Ogarnęło ją poczucie obcości, aż w końcu uświadomiła sobie, że to wygląd brata tak na nią podziałał. Miał na sobie eleganckie jasnobrązowe spodnie o wąskim kroju, spod których wyglądały wypucowane do połysku buty, do tego koszulę w drobne paseczki. Jego niesforne włosy były starannie uczesane i przygładzone. Wyglądał jak mały dżentelmen. Jej pijany od snu wzrok powędrował dalej, zatrzymał się na moment na nocnej koszuli z delikatnego batystu, którą miała na sobie, potem na

szerokim łóżku z połyskującego, prawie czar nego drewna, na poduszkach i kocach, pościeli kunsztownie obszytej falbankami, na baldachimie z tkaniny w róże, której wzór powtarzał się na obiciu ścian. W drugim końcu dużego pokoju dostrzegła elegancką toaletkę z trzycięciowym lustrem oraz mały stolik na wygiętych nogach, na którym stał kryształowy wazon z wielkim bukietem różnobarwnych róż. *Róże, w listopadzie...* - zdumiała się.

- ... Ian powiedział, że na razie dostaniemy gotowe ubrania, ale oczywiście w ciągu następnych dni załatwi nam wszystko szyte ręcznie! W sklepie Ian powiedział, że przede wszystkim ty musisz mieć przepiękne suknie!

Ian... Przed oczami jej duszy zaczęły się pojawiać pojedyncze obrazy i sceny; były nieruchome i w kolorze sepii, wyglądały jak dagerotypy. Ujrzała ponurą nawę w kościele pod wezwaniem Świętego Stefana. Przypomniała sobie uroczysty i w niektórych miejscach wyraźnie poruszony głos pastora Clucasa. Obok niej stał Ian Neville, wsunął wąską złotą obrączkę na serdeczny palec jej lewej ręki, jego wargi pobieżnie musnęły jej usta, ledwo ich dotykając. Potem wyjazd z World's End, który w swym pośpiechu przypominał raczej ucieczkę. Powóz, którym wyruszyli, wytrząsł ich na wyboistych drogach. Helena siedziała w milczeniu, sztywno, obok Margaret. Siedzący naprzeciwko Jason wiercił się bez przerwy i na okrągło z zachwytem komentował wszystko, co tylko zobaczył przez okno. Mohan Tadżid, zajmujący miejsce obok chłopca, przytakiwał, komentował niskim głosem, śmiał się cicho. Dotarli na dworzec w Exeter, wzniesiony z kamienia i szkła, nieznośnie głośny w porównaniu z ciszą panującą w Kornwalii. Żelazny potwór, z sykiem wypuszczający gorącą parę, zabrał ich nocą i powiózł w wygodnym wagonie -z wyściełanymi ławkami i ścianami wyłożonymi drewnem. Helena pogrążyła się na koniec w błogiej czerni snu, w której nic już nie mogło jej zranić. Dotknęła teraz obrączki na ręce. Była twarda i zimna w dotyku. Jak potrzask.

- Dzień dobry, Heleno.

Na widok Margaret w kącikach oczu stanęły jej łzy. Margaret - tak jej bliska, w żałobnej sukni, z łagodnym spojrzeniem wyrażającym zarówno współczucie, jak i poczucie winy.

- Dzień dobry, Marge. Jak długo... jak długo spałam? - odpowiedziała na przywitanie Helena.

- Cały dzień i całą noc. Byłaś całkiem wyczerpana. Pan Tadżid musiał cię przenieść do domu na rękach. - Margaret chciała coś jeszcze powiedzieć, ale się zawahała. W końcu oznajmiła: -Pan Neville chciałby, żebyś zeszła na śniadanie. Włóż to na siebie.

Podawała Helenie długą suknię poranną z jasnoniebieskiego jedwabiu, tak ostrożnie, jakby się bała, że swymi spracowanymi dłońmi uszkodzi cieniuteńki materiał obsyty delikatnymi koronkami.

Niedługo potem Helena kroczyła korytarzem, czując się jak Alicja w Krainie Czarów. Jej bose stopy tonęły w szarym jak gołębie piórka dywanie. Była zdumiona i onieśmielona elegancją tego domu.

Dominowały tu stłumione barwy, delikatna szarość, jasny błękit, kremowa biel, wszystkie odcienie drogich gatunków drewna. Każdy mebel był starannie dobrany i stał na właściwym miejscu. Jason, hasając przed nimi, zbiegł po stromych schodach prowadzących na parter. Miała wrażenie, że balustrada pod jej ręką została zrobiona z tego samego materiału co jej suknia.

Pokojówka w białym czepku i fartuszk dygnęła przed nią u stóp schodów i wskazała kierunek.

- Proszę tedy, *madame*. Pan Neville czeka na panią w pokoju śniadaniowym.

Weszła do środka. Z drugiej strony znajdowały się duże podwójne drzwi wychodzące na ogród, który spowity był poranną londyńską mgłą i ledwo widoczny. Znaczną część pomieszczenia zajmował długi stół przykryty białym obrusem. Pomiędzy błyszczącą i połyskującą porcelaną, kryształami i srebrem stały małe

bukieciki białych róż. Pachniało jajkami, kawą, herbatą i czekoladą. Helena poczuła, że jej żołądek kurczy się z głodu.

- Dzień dobry, Heleno.

Wzdrygnęła się, usłyszawszy, jak naturalnie użył jej imienia.

Ian Neville siedział po szerszej stronie stołu, nogi w jasnoszarych spodniach miał założone jedna na drugą, w rękach trzymał gazetę. Patrząc na Helenę, powiedział:

- Mam nadzieję, że wypoczęłaś po uciążliwościach podróży i nie masz mi za złe, że przyjechałem tu konno przed wami, ale dzięki temu mogłem przygotować wszystko na wasze przybycie. Sam się nie spodziewałem, że wrócę z Kornwalii z żoną w bagażu i prawie całą rodziną.

Służący w liberii przytrzymał krzesło po wąskiej stronie stołu. Gdy Helena się zbliżyła, usłużnie je podsunął. Naprzeciwko Heleny siedział Jason, który napychał sobie usta bułeczką ociekająca marmoladą, prawie jej nie gryząc.

- Kawy, herbaty czy czekolady, *madamet*

- Dziękuję, Ralphie, czekolada będzie najwłaściwsza - odpowiedział Neville za Helenę. - Musimy się zatroszczyć, żeby *madame* doszła do sił.

- Popatrz na nią badawczo. - Tak myślałem, że jasny błękit nie będzie do ciebie pasował. Niestety nie było dużego wyboru sukien tej jakości. Harmonizuje z twoimi oczami, ale sprawia, że wyglądasz zbyt zimno. Może spravimy ci poranną suknię w jakimś ciepłym odcieniu, turkusowym albo lawendowym?

Powiedziawszy to, zagłębił się z powrotem w gazetę, jakby ta rozmowa była czymś najbardziej naturalnym na świecie.

Helena upiła nieco ciemnej i słodkiej czekolady. Smak, który rozpląnął się jej na języku, był wspaniały, ale w gardle zamienił się w coś gorzkiego, nieapetycznego. Ledwo ją w końcu przełknęła.

Szelest składanej przez łana gazety sprawił, że się wzdrygnęła. Z kieszeni kamizelki uszytej z materiału w kwiciasty, żywy wzorek wyciągnął srebrny zegarek i zerknął na niego. Na każdym

innym mężczyźnie te intensywne barwy wyglądałyby śmiesznie; u niego podkreślały tylko elegancję i smak.

- Wybacz, ale wzywają mnie interesy. Nie czekaj na mnie z obiadem, mogę wrócić późno.

Szybkim krokiem opuścił pokój, a Helena poczuła, że zamiast ciepła płynącego od ognia w kominku ogarniają okrutne zimno. *Tak już będzie zawsze, każdego ranka, póki żyję* - pomyślała z rozpaczą i przeniknęło ją uczucie zgrozy.

Helena siedziała zmęczona na wyściełanym taborecie przed toaletką.

Miała na sobie zapiętą po samą szyję nocną koszulę, a Margaret srebrną szczotką delikatnie czesała jej nastroszone włosy, próbując nadać im blask i gładkość. Świeżo upieczona pani Neville unikała spojrzenia na swe odbicie, bojąc się tego, co mogłaby dostrzec. Dzień minął jak zły sen, a każda godzina zdawała się ciągnąć w nieskończoność. Pozwoliła zdjąć z siebie miarę francuskiej krawcowej i jej pomocnicom, stojąc sztywno jak lalka i ignorując zachwyty nad jej wysoką, szczupłą sylwetką oraz czystą cerą, od czasu do czasu kiwała mimochodem głową, gdy podsunęto jej do akceptacji próbkę materiału lub koronkę. Podczas obiadu w milczeniu suwała widelcem po talerzu kawałki rostbefu i jednym tylko uchem słuchała podnieconej paplaniny Jasona na temat jego pierwszych lekcji z panem Bryce'em, który miał przynajmniej częściowo uzupełnić najpoważniejsze luki w wiedzy chłopca.

Tymczasem do pokoju wszedł bez pukania Ian Neville.

- Dobry wieczór szanownym paniom.

Helena wstała pospiesznie, a Margaret skłoniła się nisko. Dla Heleny było zagadką, że uparta Margaret tak chętnie podporządkowała się temu człowiekowi i tak szybko dopasowała do zwyczajów panujących w tym wielkim domu, prawie jakby latami tylko na to czekała.

- Dziękuję, Margaret - kiwnął głową, a Margaret posłusznie opuściła pokój i zamknęła za sobą łagodnie drzwi.

Stał bez ruchu i patrzył na Helenę. Wydawało jej się, że bez końca. Nie mogła powstrzymać lekkiego drżenia, skuliła się i objęła ramionami, szukając ochrony. Z aluzji Margaret i hałasów, które pamiętała z dzieciństwa, gdy jej rodzice w południowe noce usiane gwiazdami kładli się do łóżka w sąsiednim pokoju, wiedziała, że jest coś tajemniczego, co mężczyźni i kobiety robią ze sobą, ale nie miała pojęcia, o co konkretnie chodzi. Margaret uczuliła ją jedynie, żeby nigdy nie odmawiać mężowi tego, czego będzie chciał.

Bez słowa podszedł do niej, popatrzył na nią przenikliwie, a ona znowu nie mogła wytrzymać jego spojrzenia. Ujął ją pod brodę i zmusił łagodnie, żeby na niego spojrzała. Szarpnęła głowę w bok, z jej oczu poleciały gniewne iskry. Roześmiał się cicho.

- Moja mała Helena. Moja dzika kotka.

W jego głosie zabrzmiał jakiś nowy ton, którego Helena jeszcze nigdy nie słyszała, lekkie westchnienie, prawie czułe. Wierzchem dłoni pogładził ją lekko po policzku i zapytał:

- Co mam z tobą zrobić?

Szybko chwycił ją za szyję i przyciągnął do siebie. Próbowwała się uwolnić, ale nie mogła. Z jej ust wymknął się cichy dźwięk, u jedynym oparciem, które znalazła, był on. Poczuła jego silne mu-skuły pod białą koszulą, ciepło jego ciała. Z jednej strony chciała się od niego oderwać, a z drugiej poczuła się bezsilna i uległa. Jego twarz była tuż koło jej twarzy, na swojej skórze czuła jego oddech. Badawczo spojrzął jej w oczy, jakby mógł w nich znaleźć odpowiedź na niewypowiedziane pytanie.

- Nie musisz się bać, mała Heleno. Już ci kiedyś powiedziałem, że nie potrzebuję brać kobiety siłą. Kiedyś sama tego zechcesz, obiecuję ci. Czule pocałował ją w czoło, a potem puścił tak nagle, jak przed chwilą chwycił, i wyszedł z pokoju.

Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i upadła na podłogę, szlochając bezradnie.

Nie mogę, nie wytrzymam już tego, nie wytrzymam ani dnia dłużej...

Gęsty dym papierosowy wznosił się powoli, rozpląwał i gubił pod ciemnym baldachimem z drewna, mosiądzu i aksamitu, zwieńczającym szerokie łóżce, na którym leżało mnóstwo białych poduszek, prześcieradeł i koców porzucanych chaotycznie, jakby przez sypialnię przeszedł wichur i zamienił ją we wzburzony ocean o zmaconej powierzchni pokrytej pianą, który był świadectwem namiętych zmagań toczonych w ciągu ostatnich godzin.

Lady Irene Fitzwilliam westchnęła cicho i przytuliła policzek do piersi mężczyzny, który nie był jej mężem. Poczła ciepło skóry, gęste, ciemne owłosienie na klatce piersiowej, uważnie wsłuchiwała się w jego bijące serce, które się powoli uspokajało. To serce potrafiło tak namiętnie zapłonąć, a mimo to pozostawało zimne, podczas gdy ona tak bardzo chciała je dla siebie zdobyć.

Podniosła wzrok, spojrzała badawczo w jego ciemne oczy, które wciąż były dla niej zagadką, jak on sam. Godziny najin-tymniej szych zbliżeń, za którymi nieustannie tęskniła podczas miesięcy jego nieobecności, nie przybliżały go jej ani na jotę. Jego oczy spoglądały w dal, były skierowane w jakiś wyimaginowany punkt poza jej sypialnią. Poczła, jak zalewają ją fale zazdrości. Nienawidził, gdy go pytała, o czym myśli, więc milczała, żeby nie zakłócać ciszy tego popołudnia, budząc go tak łatwo zapalny gniew. Wiedziała, że nie jest jedyną kobietą w jego życiu. Jego powodzenie u kobiet było ogólnie znane. Jego wszystkie kochanki pozostawały dyskretne, jedna nie wiedziała o drugiej i każda sądziła, że jest kimś szczególnym, tą, która wzbudza w nim coś więcej poza namiętnością. A on wykorzystywał swą władzę nad kobietami, by je sobie podporządkować.

Zdusił wypalonego papierosa na brzegu spodka stojącego na nocnym stoliku i wstał, zabierając całe ciepło. Lady Irene poczuła chłód, chociaż kilka chwil temu miała wrażenie, że spłonie z żaru. Drżąc, naciągnęła na siebie jedno z pomiętych prześcieradeł. Jej ciągle jeszcze szczupłe ciało było obolałe i płonęło od jego pocałunków i dotknięć budzących w niej żądze, o której nie wiedziała, że jest możliwa, zanim go spotkała. Ciało lana Neville'a, nawet nagie, emanowało godnością, zupełnie inaczej niż leniwa masa lorda Fitzwilliama, otłuszczona i zużyta, po części śmieszna, po części budząca obrzydzenie. Cieleśna atrakcyjność kochanka wywołała w niej nową falę pożądania, choć już myślała, że się nim nasyciła. Nienawidziła go za władzę, którą miał nad nią, mimo to z rozkoszą ulegała tej mocy. Z bolesnym żalem patrzyła, jak podnosi rozsiane części garderoby, przedtem tak gwałtownie zerwane z ciała, i z powrotem się ubiera.

- Za długo byłeś w Kornwalii - powiedziała w końcu w nadziei, że przeciągnie pożegnanie chociażby o kilka uderzeń serca.

- Wystarczająco długo, żeby się tam ożenić.

Spojrzała na niego oszołomiona. On tymczasem spokojnie wiązał krawat, stojąc przed wysokim lustrem. Przełknęła ślinę, żeby ulżyć nagłej suchości w gardle. Postarała się o lekki, żartobliwy ton, w którym zabrzmiało jednak cierpienie:

- Ty i ślub?

Łan popatrzył w lustro, sprawdzając, czy dobrze zawiązał krawat.

- Wiesz, że zawsze jestem otwarty na nowe doświadczenia. W lady Irene rozgorzała zazdrość, paląca ciekawość, jaka nieznana kobieta tak podstępnie zagarnęła dla siebie najbardziej pożądanego kawalera między Plymouth a Kalkutą. Kim była - syreną, madonną? Co miała takiego, czego nie miała żadna z nich?

- Jaka ona jest?

Ich oczy spotkały się w lustrze, jego twarz przybrała zamyślony, a jednocześnie szelmowski wyraz. Jeszcze raz poprawił węzeł krawata.

- Szczerze mówiąc, sam dokładnie nie wiem. Półdziecko, chuda, przekorna, niesforna, niezręczna. Bez wykształcenia i manier, ale jeździ konno jak diabeł. Więcej jak na razie nie potrafię o niej powiedzieć.

Ogarnęła ją ślepa, niekontrolowana złość. Bez zastanowienia bluzgnęła w jego stronę:

- A ty ją już ujeżdżałeś? Była dobra? Wystarczająco dzika?

- Twoja wulgarność jest odrażająca.

Lady Irene przygryzła wargę i próbowała naprawić swój błąd. Z udawaną ironią, przechylając kokieteryjnie głowę i unosząc wyskubaną brew, zapytała:

- Ty i chłopskie dziecko z wybrzeża?

- Wyzwania mnie podniecają. Przygniatająca cisza. Jej ochryply głos:

- Kochasz ją?

Łan włożył kamizelkę.

- Nie bądź dziecinna.

Nagle, nie wiadomo skąd i dlaczego, ogarnęło ją współczucie dla nieznanej rywalki. Młoda, niedoświadczona kobieta ma spędzić całe życie u boku tego mężczyzny niezdolnego do głębszych uczuć, zimnego i wyrachowanego! Cóż z tego, że Łan ma taką fascynującą powierzchowność i jest bogaty jak nabab*. W tej chwili nawet jej własny los wydał jej się szczęśliwy wobec losu żony Łana. Cicho, ze wzrokiem skierowanym na białe prześcieradła, powiedziała:

- Jesteś diabłem, Łanie Neville. Po prostu nie masz serca.

- Ten brak jak dotąd nigdy mi nie przeszkadzał.

Nabab - tytuł muzułmańskiego księcia w Indiach, potocznie bogacz (przyp. tłum.).

Spojrzała na niego, jak nonszalancko przejeżdża ręką po kamizelce, żeby usunąć ewentualny kurz. Przeszyła ją bolesna myśl, że tak bardzo go kocha, mimo wszystko. I tak bardzo go nienawidzi.

- Ty przeklęty łajdaku, wynoś się stąd!

Impulsywnie chwyciła kryształową figurę, która stała na nocnym stoliku, i rzuciła w jego kierunku. Lustro pękło na tysiące odłamków, które z brzękiem rozsypały się po podłodze. Celowała dobrze, ale łan był szybszy i uniknął uderzenia dzięki eleganckiemu obrotowi. Bez śladu emocji na twarzy chwycił surdut i skierował się ku drzwiom.

-Twoje inklinacje do dramatyzmu zawsze były dla mnie nie do zniesienia. Zachowaj je dla swojego lorda; u niego osiągniesz dzięki nim to, co zechcesz. Nie u mnie. - Przekręcił gałkę w drzwiach w prawo i jeszcze raz na krótko się obrócił, lekko uklonił i rzekł: - Bywaj zdrowa, lady Fitzwilliam.

Spojrzała tępo w kierunku lustra, w którego ramie pozostał jeden duży odłamek. Ujrzała swoje przepołowione odbicie, czerwoną, napuchniętą twarz, która wciąż jeszcze była ładna, ale w tym momencie wyglądała tak staro, jak to faktycznie wynikało z jej wieku. Ciemne włosy miała rozczochrane. Rysa przebiegająca przez jej lustrzane odbicie wydawała się przechodzić przez nią samą. Dała upust łzom, które pociekły jej po policzkach, a hałas zatrzaskiwanych głośno drzwi odbił się echem w jej duszy.

6.

Helena przemykała po cichym, dużym domu jak lunatyczka, podczas gdy Jason pocił się nad książkami, a Margaret przesiadywała z krawcowymi i sprzątaczkami, gorliwie z nimi plotkując. Dni Heleny były puste poza kilkoma godzinami, które spędza-

la każdego dnia z Mohanem Tadżidem, uczącym ją podstawowych zwrotów języka hindustani. Straciła rachubę czasu, nie była w stanie powiedzieć, ile dni minęło od przybycia do Londynu, dziesięć czy sto. Miasta jeszcze w ogóle nie widziała, ale nawet nie pragnęła go oglądać. Czasami czuła się jak duch, który nie może zaznać spokoju, choć już nie żyje.

Przy każdym ruchu szeleścił jedwab jej wąsko skrojonej sukni, zakończonej z tyłu krótkim trenem. Suknia była ciemnogranatowa - ustępstwo na rzecz oficjalnej żałoby, w której się znajdowała. Gorset zmuszał ją do prostej postawy, ale nawet go nie czuła, choć Margaret zawsze mocno zaciągała sznurówki. Wszystko w niej było głuche i nieme, nie licząc tego, co poczuła, gdy Ian odwiedził ją tamtego wieczoru w sypialni. Wciąż jeszcze krew napływała jej do twarzy, gdy myślała o jego bliskości,

O emanującym z niego gorącu, o żarze, który się jej udzielił. Ta intymność tak mało pasowała do mężczyzny, który każdego ranka siedział naprzeciwko niej podczas śniadania, chłodny i obojętny, a potem żegnał się z nią lekkim pocałunkiem, ledwo muskając jej policzek, wychodził w pilnych interesach i często wracał późno w nocy. Słyszała wtedy jego kroki na drugim końcu korytarza, szedł prosto do swojego pokoju. Nie zajrzał do niej już więcej, a ona zazwyczaj przez resztę nocy leżała, nie mogąc ponownie zasnąć, i rozmyślała. Dopiero przed świtem jej ciało zaczynało się domagać swoich praw i zapadała w ołowiany sen, z którego nie mogła się potem dobudzić przez cały następny dzień.

W salonie, utrzymanym w kolorach ciemnoniebieskim i srebrnym, wodziła wzrokiem po stole zarzuconym książkami i gazetami. Nagle wśród jednolitego tekstu rzuciło jej się w oczy jedno nazwisko. Kierowana niejasnym przeczuciem sięgnęła po gazetę złożoną tak starannie, jakby ktoś specjalnie chciał zwrócić uwagę na ten tekst. Przeczytała go pobieżnie:

Nekrologi - Sir Henry Richard Thomas Claydon, urodzony 23 września 1821 roku w Oakesley Manor, zmarły również tam

17 listopada 1876... tragiczny wypadek... szczególnie zasłużony jako pułkownik armii królewskiej w Indiach Wschodnich w wojnie 1857 roku... pozostawił małżonkę, lady Sophię Daphne Claydon z domu Mowbray i dzieci, pannę Amelię Sophię Philippę oraz pana Alastaira Henry ego Philippa... pogrzeb odbędzie się dnia... Helena opuściła gazetę.

- Tragiczny wypadek - powtórzyła wstrząśnięta.

- To straszne, nieprawdaż?

Helena odwróciła się gwałtownie, łan wszedł do salonu bezszelestnie, jak to było w jego zwyczaju. Ubrany w perłowoszary garnitur z popielatą kamizelką - był elegancki jak zawsze. Nie wiedziała, czy długo ją obserwował. Jego oczy błyszczały, jakby jej reakcja na tę straszną wiadomość sprawiała mu szczególną satysfakcję.

Podszedł do kominka, którego trzeszczący ogień dawał przyjemne ciepło, i ze szkatuły wyłożonej szlachetnym drewnem wyjął cygaro. Zapalił je powoli, z namysłem, wrzucił niedbale zapałkę w płomień, pociągnął raz, drugi raz, powoli i z przyjemnością, u następnie powiedział:

-To był naprawdę nieszczęśliwy wypadek. Jego majątek /iowski przez lata był zaniedbywany, a w dodatku położony w ekonomicznie i krajobrazowo nieciekawym zakątku Anglii. Claydon stał się ofiarą nieuniknionego rozwoju gospodarczego i niezdolności całego szeregu swoich przodków. Aby ratować majątek przed ruiną finansową, wpadł na pomysł lukratywnej inwestycji. Oczywiście bank dał mu potrzebną sumę jako pożyczkę pod zastaw domu i ziemi, ale niestety, interes nie wypalił, setki funtów dosłownie rozplynęły się w powietrzu. - łan z rozkoszą wydmuchał niebieskawy dym, opadł na fotel, wyciągnął nogi, kładąc stopy na stole, głowę złożył na oparciu. - A teraz cała ta rozległa posiadłość, te nieurodzajne włości oraz wielki dom należą do banku. Rodzina może pakować manatki. I jak zwykle bywa w takiej sytuacji: nie ma innego honorowego wyjścia poza klasycznym wypadkiem przy czyszczeniu pistoletu. Co za ironia

losu, biorąc pod uwagę, że szanowny pan Claydon służył kilkadziesiąt lat w armii, gdzie obchodzenie się z bronią i jej konserwacja są na porządku dziennym. Cóż za tragedia.

W zamyśleniu spojrział w dół na cygaro, które toczył między palcami w tę i wó w tę. Pochylił się do przodu, żeby strząsnąć żar do popielniczki, a potem znowu oparł się wygodnie i mówił dalej:

-Ta ich córka, wyjątkowo śliczna, choć dosyć głupia. Nie tak dawno temu była bohaterką małego skandalu. Próbowali go zatuszować, ale niezbyt zręcznie. Uwiódł ją pewien lekkoduch, mieli się pobrać, a potem z dnia na dzień zostawił tę gęś. Coś takiego zawsze wyjdzie na jaw, a żaden mężczyzna z pozycją i pieniędzmi nie jest zainteresowany nadtłuczoną porcelaną. Matka, bliska utraty zmysłów, znalazła schronienie u krewnych, którzy przyjęli ją niechętnie; taki cios od losu pozostawia ryse na całej rodzinie. Jedynie były spadkobierca odniesie chyba korzyści z takiego zakończenia tej historii. Do tej pory był nienadającym się do niczego mięczakiem. Jeśli będzie pracował uczciwie i w pocie czoła, może dojrzeje i stanie się mężczyzną.

Łan wstał impulsywnie, podszedł do Heleny i spojrział jej głęboko w oczy. Pod wrażeniem tego spojrzenia jej pierś zaczęła się szybko unosić i opadać, a gorset stał się nagle dziwnie ciasny.

- Nie patrz z takim przerażeniem, Heleno. Na pewno musiałaś poczuć choć cień zadowolenia po tym wszystkim, co ta rodzina ci zrobiła. Zapamiętaj jedno: w końcu każdy dostaje to, na co zasłużył.

Nie czekając na jej odpowiedź, odwrócił się i odszedł.

Jego słowa, chłodne, pełne dystansu, napełniły Helenę lękiem. Ale jeszcze bardziej to, co zobaczyła w jego oczach: okrutne zadowolenie i zimną satysfakcję.

Tego wieczoru Helena nie była w stanie skoncentrować się na pętelkach i zawijasach połączonych u góry jedną linią w sło-

wa, które przebiegały przez kartkę jak bordiury i odpowiadały miękkim spółgłoskom i samogłoskom języka hindustani. Miała wrażenie, że widzi przed sobą żelazne, kute ogrodzenie nie do przebrnięcia, symbol przygniatającego uczucia samotności i strachu, w którym była uwięziona. Z jałowego zamyślenia wyrwała ją dopiero cisza, która nastąpiła po równomiernym potoku dźwięcznych słów Mohana Tadżida, dopasowującego słowa angielskie do słów w hindustani. Uniosła wzrok w poczuciu winy, w jego ciemnych oczach nie znalazła jednak ani cienia nagany. Spojrzał na nią przenikliwie.

- Nie jest tu pani szczęśliwa.

Do oczu Heleny mimowolnie napłynęły łzy, daremnie próbowała je powstrzymać. - Jakżeby mogła? Hindus ściągnął ciemne brwi.

- Byłem przeciwny temu małżeństwu, ale nie mogłem mu zapobiec. Gdy Ian Neville wbije sobie coś do głowy, to nie ma sposobu, żeby go od tego odwieść. Ma wolę wojownika, stalową i ostrą jak miecz, który w ogniu został wykuty, a zahartowany we krwi.

Chociaż te słowa sprawiły, że przeszedł ją dreszcz, to jednocześnie duma i podziw w oczach Mohana wzbudziły jej ciekawość.

- Zna go pan już długo?

Jej pytanie zabrzmiało jak stwierdzenie. W oczach Mohana Tadżida zaśnił uśmiech.

- Całe życie, a nawet dłużej.

- Jak... - Z poczucia własnego nieszczęścia ścisnęło ją w gardło. — Jak pan z nim wytrzymuje?

Wzrok Mohana Tadżida zagubił się w cieniu, gdzie nie sięgało światło lampy.

- Coś mnie z nim łączy, coś, co wykracza poza naszą ludzką znikomość. Pani nazwałaby to losem, u nas nazywa się to karmą.

Jest tak potężna, że jako hindus naraziłem moją nieśmiertelną duszę, popełniając niewybaczalny grzech, mam na myśli podróż tutaj, przepłynięcie się wraz z nim przez *kala pani*, czyli ocean.

- Spojrzał na Helenę. - Gdy pozna pani Indie, pozna pani jego duszę. Wtedy pani wiele zrozumie, także to, co teraz wydaje się pani niepojęte. Słowa te były dla niej zagadkowe, ich treść nie do rozwikłania. Z jej twarzy wyraźnie można było odczytać zakłopotanie. Smagłe oblicze Mohana przybrało dobrotliwy wyraz.

- Proszę zachować cierpliwość. W sumie jestem zadowolony, że to właśnie pani znalazła się u jego boku. Może uda się pani...

- Zorientował się, że prawie przekroczył niebezpieczną granicę, umilkł i odwrócił wzrok. Jeden oddech i znowu był opanowany. - Na dzisiaj zakończymy, czas i tak minął. Pan Neville prosił mnie, żebym posłał panią po naszej lekcji na górę, by mogła się pani przyszykować na dzisiejszy wieczór.

Wstał zdecydowanie i pozostawił Helenę z jej zakłopotaniem, które ciążyło jej jak uporczywe brzemie i utrudniało oddech.

- Dziękuję, Ralphie.

Na te słowa kamerdyner skłonił się krótko, potem cicho zamknął za sobą drzwi gabinetu. Pomieszczenie było wyłożone ciemną boazerią, spowijało je przygasłe światło wczesnego wieczora; w nikłym stopniu oświetlały je tylko uliczne latarnie za oknem i lampa na dużym biurku.

- Pan mnie wzywał, sir? Margaret dygnęła nisko.

Ian Neville zagłębił się wygodnie w fotelu i całkowicie zniknął w mroku pomieszczenia, poza zasięgiem światła lampy. Na ciemnym, błyszczącym blacie biurka panował porządek, nie le-

żało tu zbyt wiele papierów; wszystko wyglądało na posprzątane, jakby od tygodni w ogóle tu nie pracowano.

- Potrzebuję pani pomocy, panno Brown. Za kilka dni opuszczamy Londyn, ale przedtem muszę się wywiązać przynajmniej z jeszcze jednego zobowiązania towarzyskiego. Przyjąłem zaproszenie na bal do lorda i lady Chestertonów. Chcę, żeby moja żona wyglądała jak najpiękniej. Zdaję się na pani smak oraz umiejętność. Oczywiście Jane pani pomoże, jeśli pani sobie tego życzy. Sądzę, że dwie godziny powinny wystarczyć.

- Oczywiście, sir. - Margaret ponownie dygnęła. - Czy ma pan jakieś określone wyobrażenie, jak...

- Czerwoną.

- Ależ, sir... my, to znaczy Helena jest jeszcze w żałobie! Ian wstał, wyjął ze srebrnej papierośnicy papierosa i zapalił.

- Uważam, że obie nie macie nadmiernych powodów, by być pogrążonymi w prawdziwej żałobie po panu Lawrensie. W końcu jego śmierć stała się dla was wybawieniem. A więc koniec z tym teatrem. Co innego byłoby zwykłą hipokryzją.

Margaret zdrętwiała, słysząc te nieczule i pozbawione szacunku słowa, ale powstrzymała się od wyrażenia sprzeciwu, choć już miała słowa na końcu języka. Spuściła wzrok. Nastąpiła chwila ciszy. W końcu Margaret się przemogła i napomknęła o tym, co od dawna leżało jej na sercu.

- Do tej pory nie rozmawialiśmy o tym, sir, ale... zakładam, że będę towarzyszyć Helenie do Indii.

Jan spojrzał na nią uważnie przez dym z papierosa.

- Oczekiwałem, że wyrazi pani taką chęć. - Jeszcze raz pociągnął papierosa i głośno wydmuchał dym. - Ale nie ma mowy.

- Ja mojej dziewczynki... Usiadł niedbale na brzegu biurka.

- Panno Brown, szanuję pani poczucie obowiązku i przywiązanie do mojej żony, ale nawet sobie pani nie wyobraża, jak jest w tym kraju.

- Sir, swojego czasu byłam z matką Heleny...
- Indie to nie Włochy ani nie Grecja. Jeśli pani sądzi, że tam były prawdziwe upały, to muszę panią wyprowadzić z błędu. W Darjeeling jest bardzo przyjemny klimat, ale droga do niego daleka. Nie ma pani pojęcia o żarze, jaki panuje w stepach i na pustyniach, o gorącu tak wielkim, że nawet oddychanie staje się cierpieniem. Nie wie pani nic o jadowitych owadach, żmijach i skorpionach, od których aż się tam roi. A cholera i gorączka? Cmentarze Kalkuty i Madrasu są pełne Europejczyków, którzy umarli, nie dożywszy czterdziestego roku życia. Przy całym szacunku, panno Brown: znam Indie, urodziłem się tam i spędziłem prawie całe moje życie, a pani jest za stara i za mało odporna. Margaret wyprostowała się, policzki jej płonęły z gniewu i urażonej dumy.
- Mam więc spokojnie puścić Helenę i Jasona do tego kraju? Wie pan, czego pan ode mnie żąda?
- Postaram się, żeby podróż przebiegła im obojgu jak najprzyjemniej. Z Bombaju pojedziemy koleją moim prywatnym wagonem do Dżajpuru. Stamtąd konno zboczymy na pewien czas w głąb Radżputany, gdzie... chcę odwiedzić przyjaciół. Z Dżajpuru ponownie pojedziemy koleją na wschód, poprzez Agrę i Allahabad do Siliguri. Ostatni odcinek będzie męczący, ponieważ Darjeeling od zachodu nie ma bezpośredniego połączenia z linią kolejową, a musimy być na miejscu przed końcem kwietnia, żeby zdążyć przed zbiorami. Dlatego znowu się przesiądziemy na konie. Mohan Tadżid otoczy opieką chłopca. Zna pani Mohana, a ja zapewniam panią, że nikt nie zna tego kraju tak dobrze jak on. Nawet ja... Uśmiechnął się lekko, po czym zmarszczył brwi i chwycił pismo, które leżało na samym wierzchu cienkiego pliku papierów.
- Oto potwierdzenie rektora Szkoły Świętego Pawła w Darjeeling o przyjęciu Jasona na przyszły trymestr. Święty Paweł

ma bardzo dobrą renomę. Kształci młodzież według modelu najlepszych prywatnych szkół angielskich. Uważam, że byłoby wskazane, żeby przynajmniej w pierwszym okresie Jason mieszkał w szkole i tylko w weekendy przyjeżdżał do nas na plantację. Dzięki temu szybciej się zaaklimatyzuje i nie będzie musiał każdego dnia pokonywać długiej drogi.

- A Helena? Co z Heleną? Ona jest kobietą i... łan odchylił głowę do tyłu i zaśmiał się.

- Zapomniałem,,słaba płeć"! - Spojrzał na Margaret z rozbawieniem. - Przyzna pani bez wątpienia, że do kogo jak do kogo, ale do Heleny to określenie w ogóle nie pasuje. - Nagle znów spowaźniał. - Lew poznaje lwicę na pierwszy rzut oka. A pani naprawdę nie powinna się martwić. - Spojrzał jej prosto w oczy. ~ Helena jest w dobrych rękach, proszę mi wierzyć.

W jego głosie zabrzmiały ciepłe tony, jakich jeszcze u niego nie słyszała, a nawet nie przypuszczała, że są możliwe - jakoś do niego nie pasowały. Jednak ją przekonał, uwierzyła. I wbrew swej woli oddała się uczuciu nieskończonej, a jednocześnie zawstydzającej ulgi.

- Nigdy w życiu!

- Heleno, proszę, on postanowił, żebyś włożyła tę...

- Nie i jeszcze raz nie! Jeszcze noszę żałobę i na pewno nie włożę tej... tej...

- Nie przeszkadzam?

łan oparł się nonszalancko o futrynę drzwi i patrzył rozbawiony to na Margaret, to na Helenę, spierające się tak głośno, że aż było słychać na korytarzu. Jane, która w milczeniu przycupnęła w rogu, dygnęła nisko; mina Margaret zdradzała konsternację i zwątpienie, podczas gdy z oczu Heleny sypały się skry. W swym gniewie zapomniała o jakiegokolwiek powściągliwości. W wirze delikatnych falban w mocnych odcieniach błękitu i tur-

kusu ruszyła w kierunku lana. Rozpuszczone, jeszcze wilgotne włosy powiewały za nią.

- Ty diable! Nie możesz ode mnie żądać, żebym włożyła tę grzeszną kreację! To straszne! W ogóle cię nie obchodzi, że wciąż jestem w żałobie. Ty zimny, podstępny...

- Jane, panno Brown, zostawcie nas na chwilę samych. Głos lana ostro przeciął potok słów Heleny, zadziałał jak mur, na którym wyhamowała.

Ledwo za Margaret i Jane zdążyły się zamknąć drzwi, gdy łan chwycił Helenę mocno za ramię, nim ta nabrała powietrza do płuc.

- Nie będę tolerował takich przemówień przy służbie! Kiedy będziemy sami, możesz mnie nazywać jak chcesz, używając dowolnych wyzwisk świata, ale przy służbie masz się powstrzymać!

- Puść mnie! - prychnęła na niego, czerwona na twarzy z gniewu i wstydu, że zrugął ją jak głupią dziewczynkę. Gwałtownie walczyła, by się uwolnić z jego uchwytu, ale on jeszcze mocniej ścisnął, przyciągnął ją bliżej do siebie i patrzył bez emocji w jej twarz.

- Zapominasz, że to ja jestem panem tego domu i jako moja żona masz mi być posłuszną! To ja będę decydował, przynajmniej tak długo, póki nie przestaniesz się zachowywać jak głupia, niewychowana gęś.

- Tak, jestem twoją żoną, bo zostałam do tego zmuszona, ale to nie znaczy, że jestem twoją własnością! Nie możesz ode mnie żądać, żebym poszła między ludzi w takiej sukni!

łan spojrział na Helenę przeciągle. Jego wzrok sprawił, że zamilkła, ciężko oddychając, ale nie spuściła oczu, patrzyła na niego dziko i intensywnie.

- To wyzywająca suknia - przyznał w końcu cicho. - Ale ty też nie jesteś wychowaną szkoły klasztornej, co to, to nie. A więc nawet nie próbuj stroić fochów.

Odchyliła głowę do tyłu, uderzając go wolną ręką.

- Zostaw mnie, puść mnie natychmiast, ty draniu, ty przekłety bękarcie, ja...

Gwałtowne uderzenie sprawiło, że głowa Heleny przechyliła się gwałtownie w bok, chmura bólu eksplodowała na jej twarzy. Helena upadła na łóżko. Miała wrażenie, że trafił ją kamień, leżała rozciągnięta, z niedowierzaniem dotknęła płonącego policzka i spojrzała w górę na Iana. Jego obraz rozmywał się jej przed oczami zalanymi potokiem łez, które mimowolnie zaczęły jej spływać po twarzy.

-Nigdy więcej nie nazywaj mnie bękartem, nigdy więcej - powiedział Ian cichym, ochryplym głosem, który sprawił, że Helenie przeszły po plecach ciarki. Przy drzwiach odwrócił się jeszcze raz. - Przyślę z powrotem Margaret i Jane. Za dwie godziny masz wyglądać jak trzeba - rozkazał zimno i zatrzaskał za sobą drzwi.

Richard Carter się nudził, jak zresztą często w takich sytuacjach; w końcu nie był tu dla przyjemności, lecz żeby pogłębić istniejące kontakty biznesowe i nawiązać nowe. Powierzchowne konwersacje nużyły go, mierzyła bezduszna paplanina aroganckich dżentelmenów i ich szykownych, pustych małżonek. Tego wieczora zrobił już pierwszą rundę, ścisnął dłonie, konwersował trochę o pogodzie, bieżącej polityce i sytuacji ekonomicznej, a teraz rozglądał się, czy nie zobaczy jakiegoś klienta, z którym opłacałoby się porozmawiać, aby po kilku szklaneczkach szkockiej doprowadzić do zawarcia lukratywnej umowy. Znalazłszy się na galerii, podszedł do barierki i spojrzał w dół na tłum ludzi, których głosy wypełniały jasno oświetloną salę balową i przypominały brzęczenie pszczół w ulu. Docierał do niego na górę śmiech, to narastający, to znów cichnący, a jego oczy prześlizgiwały się po eleganckich sukniach wieczorowych w kolorach malwy i bzu, szmaragdowej zieleni, delikatnej żółci i jasnego błękitu, widział

otoczone koronkami i ozdobione klejnotami dekolty, wachlarze, kontrastowe czarno-białe fraki panów, a tu i ówdzie pomiędzy nimi czerwony, oblamowany złotem mundur. Zatrzymał wzrok na samotnej postaci stojącej z brzegu sali. Jego dłonie mimowolnie zacisnęły się na barierce.

- Drogi Richardzie, cóż za ducha pan dojrzał?

- Lordzie Williamie, miło pana widzieć! Obaj panowie uścisnęli sobie ręce.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jak tam interesy?

- Mogę być zadowolony - odpowiedział skromnie Richard. Chłopięcą, usianą piegami twarz najmłodszego syna hrabiego Holingbrooke'a rozjaśnił uśmiech.

- To znaczy, że w dalszym ciągu zgarnia pan swoje dolary.

Pozazdrościć... Żeby tak mieć pański nos do interesów! Chociaż i tak dzięki panu znacznie zwiększyłem swój skromny udział w majątku rodziny.

- W takim razie pewnie panu zawdzięczam zaproszenie do tego dostojnego towarzystwa.

Richard zatoczył ręką półkole, wskazując salę balową i przestronną miejską rezydencję lorda Chestertona.

Uśmiech lorda Williama stał się jeszcze szerszy. Mężczyzna przywołał ręką ubranego w niebiesko-złotą liberię kelnera z tacą. Obaj wzięli po szklaneczce.

- Pan przecenia moje wpływy. Nawet jeśli jest pan tylko par-weniuszem z kolonii - mrugnął do Richarda - to jest dość lordów i dam, którzy podobnie jakja czują się wobec pana zobowiązani do wdzięczności. Chociażby z tego powodu, że połowa jedwabiu na tej sali pochodzi z pańskich przędzalni i tkalni. Nie mówiąc o biżuterii, której kamienie zostały oszlifowane w pańskich pracowniach!

- Teraz pan przecenia moje wpływy - roześmiał się Richard Carter, czyniąc obronny ruch ręką.

Lord William wypił głęboki łyk szkockiej i spojrzał w zamyśleniu na barwny tłum.

- Czasy się zmieniają, Richardzie. Oczywiście, arystokratyczne rodziny nadal spoglądają z góry na ludzi, którzy się dorobili, zwłaszcza jeśli przybywają oni, tak jak pan, z Ameryki. Ale ci ludzie, mimo posiadania starych, szacownych tytułów, nie mają zbyt wielkich majątków. Tradycja jest dobra i piękna, ale dla jej pielęgnowania trzeba też pieniędzy. Trudno teraz o rodzinę, która mogłaby się poszczycić bogatą spadkobierczynią.

Albo dobrze sytuowanym biznesmenem, takim jak pan... - Z

rozbawieniem, ale i z ciekawością spojrzął na Richarda. - Czy może znalazła się kandydatka do tytułu pani Richardowej Carter?

Richard pokręcił głową i popatrzył w głąb swej szklanki.

- Na razie jeszcze nie.

Lord William trafił nieświadomie w jego czuły punkt. Richardowi nie brakowało kontaktów z ludźmi ani tu w Londynie, ani w Nowym Jorku czy San Francisco. Jego terminarz był pełen zaproszeń na wieczorki towarzyskie, przejażdżki, wyścigi konne, przedstawienia teatralne i koncerty, nieformalne kolacje u przyjaciół i klientów, ale zaczynała mu doskwierać samotność. Przez te wszystkie lata jego zmysły i rozum były zajęte. Zdobywał wiedzę o surowcach, najnowszych technikach ich przetwarzania, pertraktacjach handlowych, wyczuwaniu korzystnych okazji, nowych rynków i lukratywnych możliwości inwestycyjnych. Osiągnął w tym taką zręczność, że nawet kryzys z 1873 roku nie przyniósł jego interesom znaczących strat. Ale czegoś mu brakowało. Coraz wyraźniej odczuwał pustkę w swoim życiu, szczególnie gdy wieczorami siedział przed kominkiem w swojej miejskiej rezydencji przy Lafayette Place z kieliszkiem własnego kalifornijskiego wina, z dobrą książką w ręce albo gazetą „New York Times”, lub gdy siedział w nieco już sfatygowanej czerwo-no-złotej Łoży w Academy of Music i rozkoszował się operą, albo gdy objeżdżał konno brunatne wzgórza za swoją rozległą posiadłością w pobliżu Pustyni Zachodniej, skąd można było zobaczyć połyskujący, niebieski skrawek morza.

Po obu stronach oceanu nie brakowało młodych dam z dobrych rodzin, które ponad wachlarzami rzucały w jego kierunku równie nieśmiało co zapraszające spojrzenia, nie brakowało też matron przedstawiających mu mimochodem lub z wielką dumą swoje córki, siostrzenice, bratanice bądź wnuczki, czasem aż do przesady nachalnie. Richard Carter też nie był z kamienia. Ale nigdy nie doszło do niczego więcej niż do przelotnych spotkań, gwałtownych flirtów lub krótkich romansów. Chciał czegoś więcej niż ładnej twarzy, ponętnej figury i cnotliwego charakteru. Szukał towarzyszkę życia, która urzekłaby jego zmysły, poruszyła serce i i zniewoliła umysł, wszystko naraz.

Jego spojrzenie mimochodem powędrowało z powrotem na dół, na barwną plamkę w tłumie ludzi. Wzrok lorda Williama podążył w tym samym kierunku.

- Czy ktoś określony zwrócił pańską uwagę? Richard Carter zawahał się krótko.

- Owszem, tam na dole, przy drzwiach do oranżerii. Młoda dama w czerwieni.

- Nie mówi pan poważnie, Richardzie!

- Dlaczego nie?

Spojrzał zdziwiony na rozmówcę. Lord William pokręcił głową.

- Niech pan nie mówi, że umknął panu główny temat rozmów. Ta młoda lady jest sensacją dzisiejszej nocy balowej, tą, która zdołała niedawno złowić wiecznego kawalera Iana Neville'a. Tego wieczoru dżentelmeni mu zazdroszczą, a z kolei damy jej nienawidzą.

- Neville? - Richard Carter zmarszczył czoło. - Nic mi nie mówi to nazwisko.

- Ach, nie, bo i nie handluje pan herbatą... Z patriotycznych powodów? Lord William zrobił tu aluzję do legendarnej „bostońskiej afery herbacianej” - *Boston Tea Party* - sprzed stu lat. Po podpisa-

niu w Paryżu w 1763 roku umowy kończącej siedmioletnią wojnę Anglii z Francją kasy królestwa były puste. *Stamp Act* 1765 roku nałożył wysokie podatki na towary dostarczane z Anglii do kolonii w Ameryce, co doprowadziło do bojkotu tych towarów przez Amerykanów. Podatki te zostały w końcu zniesione - poza podatkiem za herbatę, trzy pensy na funcie. Z poczucia niesprawiedliwości, że kolonie płacą podatki, lecz nie mogą mieć reprezentantów w parlamencie, zaczął się gwałtowny przemysł herbaty z Holandii. Kompania Wschodnioindyjska straciła w ten sposób swojego najważniejszego klienta i wywarła nacisk na parlament, który w efekcie uchwalił tak zwany akt herbaciany: Kompania

Wschodnioindyjska otrzymała monopol na dostawy herbaty do Ameryki, jakkolwiek import z innych źródeł był nielegalny, co Amerykanie odebrali jako atak na ich prawo do wolności. W grudniu 1773 roku pierwsze trzy statki Kompanii przybiły do portu w Bostonie, ale ładunek nie został nigdy rozładowany. Poprzebierani za Indian mężczyźni wśliznęli się po zapadnięciu zmroku na statki i przy aplauzie niezliczonych widzów wyrzucili do wody trzysta czterdzieści dwie skrzynie herbaty o wartości dziesięciu tysięcy funtów. Ta akcja, zwana potocznie *Boston Tea Party*, była kroplą, która przebrała miarę, bodźcem procesu, który kilka lat później przerodził się w amerykańską wojnę o niepodległość. Tak więc herbata stała się symbolem ucisku i miała swój udział w powstaniu niezależnych Stanów Zjednoczonych Ameryki. Mężczyźni popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się.

- Także dlatego. Ale szczerze mówiąc, wolę handlować bardziej konkretnymi rzeczami niż skrzynki pełne suchych liści.

- Neville zbił jednak majątek na tych suchych liściach. Jeśli uznamy, że herbata z Darjeeling jest szampanem wśród herbat, to herbatę z jego plantacji można porównać z Moët & Chandon.

Darjeeling... Hinduskie brzmienie tej nazwy sprawiło, że Richard poczuł w gardle metaliczny smak. Spłukał go szybko dużym łykiem szkockiej.

Lord William podrapał się w zamyśleniu po skroni, na której miał już pojedyncze siwe pasemka, chociaż dopiero niedawno skończył czterdzieści lat.

- Nie chcę się wtrącać, ale... byłoby lepiej dla pana, gdyby nie próbował pan wchodzić w paradę panu Nevillebwi.

Richard uniósł gęste brwi.

- Cóż w tym człowieku jest tak niebezpiecznego?

Lord William łyknął szkockiej, jakby dla dodania sobie odwagi.

-Wszystko. On jest w stanie upić największego moczymordę, tak że ten wylądzuje pod stołem, a po nim samym w ogóle nic nie widać. W grach karcianych jeszcze nigdy nie miał złej passy. A ilekroć ktoś go wyzwał na pojedynek, za każdym razem drogo za to zapłacił. Nikt właściwie nie wie, skąd Neville pochodzi. Któregoś dnia pojawił się w Kalkucie, wszedł do towarzystwa, nie wiadomo skąd i jak; miał już wtedy niesamowity majątek i produkował najlepszą herbatę, jaką kiedykolwiek sprzedawano w Mincing Lane. To zimny, diaboliczny i niedostępny człowiek. Tam na dole nie ma prawie dżentelmena - tu lord wskazał kieliszkiem na salę balową w dole pod nimi - który by nie podejrzewał, że Neville przyprawił mu rogi. Brakuje im jednak konkretnych dowodów.

- A mimo to nadal przyjmuje się go w towarzystwie? Lord William przytaknął z zadumą.

- To właśnie jest dziwne. Jakby ten człowiek miał nad ludźmi jakąś władzę, która nie pozostawia im innego wyboru. Jakby się go bali...

Niesamowite, prawda?

Richard uśmiechnął się szeroko.

-To brzmi tak, jakby tam, wśród tych ludzi, znajdował się wcielony diabeł.

Lord William popatrzył na tłum w dole.

- Niektórzy tak naprawdę uważają. Richard się roześmiał.

- *Good Lord*, ech, te przekłete zabobony, tu, w tym starym świecie.
Odwrócił się, chcąc odejść.

- Co pan zamierza, Richardzie?

- Zakładam, że pan się nie podejmie przedstawić mnie pani Neville, a więc sam się jej przedstawię.

Lord William popatrzył na niego zbulwersowany.

- Pan oszalał!

Richard zmierzył go długim spojrzeniem.

- Czasem po prostu trzeba zrobić to, co trzeba, nawet jeśli jest to ryzykowne.

Mrugnął do niego i zniknął wśród lordów oraz ich małżonek zgromadzonych na galerii i rozmawiających z ożywieniem.

Helena jeszcze mocniej oparła się o ścianę w nadziei, że zrobi się niewidzialna. Ale to było niemożliwe. Jej barwna suknia z daleka rzucała się w oczy, nawet w tęczy innych sukien.

Szkarłatny jedwab otaczał ją jak kielich kwiatowy; intensywny kolor i niezrównany połysk tkaniny nadawały jej skórze złotą karnację. Mocno ściśnięty gorset sprawiał, że talia wydawała się wiotka; głęboki dekolt w kształcie serca podnosił i jednocześnie podkreślał nasadę piersi.

Króciutkie rękawki odsłaniały ramiona. Spódnica, długa do ziemi, ozdobiona małym trenem, opływała gładko biodra, a pasma tkaniny, które zostały z przodu udrapowane poprzecznie, rozchodziły się na boki, przypominając płatki świeżo rozkwitłej róży. W luźno zebrane włosy miała wpięty bukiet prawdziwych czerwonych różyczek. Długie szczotkowanie i użycie pomady sprawiło, że jej włosy stały się gładkie, błyszczące i opadały na plecy w powodzi loków. Na szyi miała ciężką kolię z rubinami, którą łan włożył jej bez słowa, gdy przyszedł po nią do pokoju - chłodny i obojętny, nie wspominając ani słowem o wcześniejszej scenie.

Helena poczuła się, jakby była niczym więcej jak pozbawionym życia przedmiotem.

Łan... Helena na moment zamknęła oczy i zacisnęła zęby. Czuła wstyd, gdy pomyślała o uderzeniu i o tym, co je poprzedziło. Powiedziała Margaret i Jane, że się potknęła i nieszczęśliwie upadła, chociaż z ich spojrzeń mogła wyczytać, że nie uwierzyły jej w ani jedno słowo; odciski palców łana na jej policzku były jeszcze zanadto wyraźne. Na szczęście pomógł woreczek z lodem, który Jane szybko przyniosła z kuchni. Na twarzy Heleny pozostało tylko lekkie zaczerwienienie, a w nienaturalnie rozszerzonych oczach lekki blask, ale można to było wziąć za objaw radości z czekającego ją balu.

Jednak to, co faktycznie odczuwała, dalekie było od radości. Jej dłonie, ukryte w rękawiczkach sięgających po łokcie, były lodowato zimne, a mimo to miała uczucie, że są wilgotne ze strachu. Od kiedy u boku łana przestąpiła próg domu Chestertonów, wpatrywały się w nią dziesiątki par oczu; nawet teraz, gdy stała z boku, spotykała od czasu do czasu zaciekawione spojrzenia. Została przedstawiona niezliczonym dżentelmenom i damom, na których uprzejmości odpowiadała sztucznym uśmiechem, nie zwracając na nikogo baczniejszej uwagi. Jedną tylko damą szczególnie przykuła jej uwagę, łan przedstawił ją jako lady Irene Fitzwilliam. Przypląnęła w otoczeniu innych eleganckich dam, ubrana w pachnącą, różową chmurę obszytą czarnymi koronkami i błyszczącą od brylantów. Najpierw załapała łana kokietyjnym gruchaniem, obserwując Helenę krytycznie swymi ciemnymi oczami, dopiero potem się do niej odezwała.

- A więc to jest ten mały klejnot, który pan tak długo przed nami ukrywał, łanie. Jak się pani podoba nasze wspaniałe londyńskie towarzystwo, pani Neville.

-Ja... - Helena zająknęła się zakłopotana. Spojrzała na łana, szukając pomocy, ale on skupił swoje spojrzenie na jakimś odległym punkcie w tłumie. - Obawiam się, że jak dotąd nie miałam okazji zobaczyć zbyt wiele.

Poczuła, że krew napływa jej do twarzy, wydała się sobie niezręczna i głupia.

- Doprawdy? - Wachlarz z czarnych strusich piór w rękach lady Irene niecierpliwie otwierał się i zamykał. - Ianie, jest pan taki niedobry. Czy trzymał pan swoją uroczą żonę ukrytą w waszym eleganckim domu z jakiegoś określonego powodu? Dla pani musi to być kolosalna zmiana. Pani pochodzi z tak daleka... a skąd właściwie?

Pytając, schyliła twarz w kształcie serca, czarująco bladą pod upiętymi ciemnymi lokami, w których tkwiły czarne pióra i błyszczały niezliczone brylantowe kamyczki.

- Z Kornwalii - odrzekła Helena, spuszczać wzrok na skraj swojej sukni.

- Tak jest, Kornwalia... Czy nie opowiadał nam pan coś o jakimś chłopskim gospodarstwie, Ianie? Ach, jakie to malownicze!

Jej towarzyszki zaczęły chichotać z aprobatą.

Helena jeszcze bardziej się zarumieniła, ale nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, lady Irene uderzyła żartobliwie łanem po ramieniu zamkniętym wachlarzem.

- Słyszysz pan? Grają naszego walca, nie może mi pan odmówić! -

Chwyciła go pod ramię i pociągnęła w kierunku parkietu. - Pani pozwoli, w końcu on będzie należał do pani do końca życia! - zawołała do Heleny przez ramię, by zaraz potem wmieszać się razem z nim między tańczące pary.

Żołądek Heleny kurczył się, gdy widziała, jak podczas tańca usta łana zbliżają się do ucha lady Fitzwilliam, jak ona odrzuca głowę i śmieje się głośno, a potem przytula do niego. I choć łan podczas każdego tańca trzymał w ramionach inną kobietę, każdą w innym kolorze garderoby, to Helenie cisnęły się od oczu łzy na myśl o tych wszystkich upokorzeniach. Przygryzła dolną wargę, żeby się powstrzymać od płaczu.

Uczucie, że jest obserwowana, sprawiło, że podniosła wzrok. Między starszymi paniami i panami, którzy przyglądali się tańczącym, wymieniając najnowsze plotki, stał pewien dżentelmen i patrzył na nią. Nie w sposób ciekawski ani natarczywy, raczej badawczo, w niemym pytaniu. Przerastał większość stojących wokół prawie o głowę, miał szerokie ramiona, robił wrażenie człowieka silnego, a przy tym zręcznego. Emanowały z niego spokój, wynikający zapewne z bogatego doświadczenia życiowego, i tężyzna mężczyzny, który ciężko pracował fizycznie. Helena wiedziała, że nie wypada odwzajemnić jego spojrzeń. Chciała się odwrócić, ale on zaczął zmierzać wprost w jej kierunku, zgrabnie wymijając śmiejące się i rozmawiające towarzystwo. Helena zeszytywniała. Choć nie wiedziała wiele o zachowaniu w towarzystwie, знаła jednak największe tabu: osoby, zwłaszcza różnej płci, musiały zostać sobie nawzajem przedstawione, nie mogły same z siebie przejmować inicjatywy. Dżentelmen najwidoczniej nie brał sobie do serca etykiety. Helena rozejrzała się pospiesznie, szukając możliwości ucieczki, ale wokół niej utworzył się nagle nie wiadomo skąd nieprzenikniony mur z jedwabiu, organdy i adamaszku, uniemożliwiający ruch w jakimkolwiek kierunku. Serce zaczęło jej walić. Cała spięta, skoncentrowała się na czubku buta, który wyglądał spod rąbka jej sukni.

Z obojętnym wyrazem twarzy stanął obok niej przy ścianie, ręce trzymał splecione na plecach. W nienagannie dopasowanym fraku, obserwował z udawanym zainteresowaniem, co się dzieje na sali. Helena zerkała na niego ukradkiem. Jego gładko ogolona twarz pod zaczesanymi do tyłu brązowymi włosami była kanciasta, zdradzała zdecydowanie i odwagę. To nie była delikatna twarz arystokraty. Wysokie, szerokie czoło przechodziło w masywną partię policzków i brody, miał duży, trochę nawet za duży nos, który był lekko skrzywiony, jakby człowiek ten kiedyś dawno temu uczestniczył w bójce.

Z bliska wyglądał na starszego. Pionowa zmarszczka między brwiami i dwie pionowe linie przy kącikach ust zdradzały, że miał około czterdziestu lat. Była to szeroka, masywna twarz silnego mężczyzny, ale wyraz jego oczu i wąskich, lecz miękkich warg zdradzał uczuciowość i wrażliwość.

-Już mi się wydawało, że jestem tu jedynym gościem, który się dzisiaj wieczorem nie bawi dobrze - powiedział po chwili z twarzą skierowaną w głąb sali.

Helena pokręciła głową, nie patrząc na niego.

- Nie jest pan.

- Wielce mnie to dziwi, że taka młoda lady jak pani nie tańczy.

Helena nie odpowiedziała; za bardzo się wstydziła przyznać, że nigdy nie uczyła się tańca. Kątem oka dostrzegła, że mężczyzna patrzy na nią przenikliwie.

- Może by się pani napiła?

Kiwnął na przechodzącego obok kelnera i wziął z jego tacy dwa kieliszki szampana.

Chłodny napój szczypał ją w język i pozostawiał w żołądku przyjemne ciepło, które rozchodziło się po całym ciele. Poczwała, jak opada z niej skrępowanie.

Spojrzał na nią badawczo:

- Lepiej?

Helena przytaknęła, a na jej twarzy pojawił się mimowolnie lekki uśmiech.

- Pozwoli pani, że się przedstawię, Richard Carter. Wyciągnął do niej rękę, a gdy jego wargi musnęły jedwab jej rękawiczki, przeszyło ją przyjemne ciepło. Kiedy się wyprostował, jego spojrzenie zdradziło, że się domyśla, co poczuła, a kolor jego ciemnobursztynowych oczu, częściowo ukrytych pod wystającymi łukami brwiowymi, pogłębił się i emanował ciepłem.

- Helena L... Neville.

Nazwisko to na jej języku miało gorzki smak. Nie dlatego, że wciąż było jej obce, ale dlatego, że należało do zniechęconego mężczyzny, którego poślubiła wbrew swej woli.

Richard Carter spojrział na nią zamyślony.

- Helena, piękna jak słońce, porwana przez Tezeusza, małżonka króla Menelaosa, ukochana Parysa i przyczyna strasznej, krwawej wojny trojańskiej... Ile zamieszania wywołała już pani w swoim życiu?

- Żadnego.

Helena ogarnęła niejasna melancholia. W tej chwili miała wrażenie, że życie toczy się obok, szare w swej jednostajności, ponure w swej bezsile.

- W takim razie wszystko jeszcze przed panią... a przynajmniej udało się pani ze mną.

Helena spojrzała na niego z wyrazem zdumienia w oczach. -Jak to?

- Otóż - upił nieco szampana - zastanawiam się, dlaczego taka czarująca młoda dama, zamiast się dobrze bawić, stoi na balu samotnie, zagubiona w kącie. Zastanawiam się, jak pani mąż może tak panią zaniedbywać, zamiast cieszyć się każdą chwilą przebywania w pani towarzystwie.

Na policzkach Heleny zakwitły rumieńce, jakby odbiła się w nich czerwień sukni. Była zadowolona, a jednocześnie zakłopotana, słysząc komplementy, do których nie nawykła.

- Otóż... - zaczęła z wahaniem, niepewna, jak ma zareagować, aż w końcu pod wpływem gniewu wyznała: - Otóż ja go wcale nie obchodzę.

-Jak to możliwe! - Richard dotknął lekko jej ramienia. -Dlaczego w takim razie się z panią ożenił? Ze względu na pieniądze, nazwisko, tytuł?

Helena roześmiała się gorzko.

- Nie, z całą pewnością nie.

- Dlaczego więc? Pani wybaczy - przerwał sam sobie nerwowym ruchem ręki. - Nie chciałem być niedyskretny. Tylko...

- Nie - Helena pokręciła głową. - Nie potrzebuje pan przepraszać. - Spojrzała niepewnie w kieliszek. - Nie wiem dlaczego, naprawdę nie wiem.

- A pani? Dlaczego oddała mu pani rękę?

- Ja... - zaczęła mówić, lecz zająknęła się, a w jej środku coś krzychało: *bo mnie zmusił, bo nie dał mi wyboru, bo chce mnie dręczyć*. W końcu dodała tylko krótko, z ulgą, że może się komuś zwierzyć: - Bo musiałam.

- Ten okropny zwyczaj aranżowanych małżeństw - mruknął Richard, robiąc zgorzsną minę, bardziej do siebie niż do Heleny. - Nawet u nas, w Ameryce, w lepszych kręgach wciąż jeszcze jest podtrzymywany, choć poza tym szanuje się u nas takie wartości jak demokracja, równość i wolność.

- Czy pan jest... to znaczy... - Helena się zająknęła i ponownie zaczerwieniła, uświadomiwszy sobie, że nie była to rozmowa, jaką powinni prowadzić nieznaną się ludzie.

Ale on wyczuł, o co chciała zapytać, i z uśmiechem pokręcił głową.

- Nie. Jestem beznadziejnym romantykiem i wciąż jeszcze szukam wielkiej miłości. Czy wierzy pani w miłość?

Wzrok Heleny zagubił się między tańczącymi i rozmawiającymi ludźmi, a jej myśli cofnęły o lata. Pomyślała o książkach, które czytała, o godzinach, które spędziła, wędrując po nadmorskich skałach, galopując na Achillesie po plaży, podążając za swoją fantazją, rozkoszując się gorzko-słodkim bólem tęsknoty, która nie była ukierunkowana na określony obiekt, a jednak dokuczała jej okrutnie, i o marzeniach, w których został na nią rzucony zły czar, była uwięziona i czekała na rycerza, który by ją wybawił, aż w końcu przestała w to wszystko wierzyć. Potem pojawił się łan po to, by zabrać ją ze sobą i wsadzić do jeszcze bardziej przygnębiającego więzienia, w którym miała spędzić całe życie.

- Nie, już nie wierzę - odpowiedziała w końcu twardo i znów spojrzała na Richarda z chłodnym blaskiem w oczach.

W zadumie odwzajemnił jej spojrzenie. Była dziwną młodą kobietą - bardzo młodą. Niechętnie musiał przyznać, że miała może połowę tych lat co on, a jednak robiła wrażenie dojrzszej, niż można się było tego spodziewać po osobie w jej wieku. Stała nieporadnie i skromnie, prawie skrepowana, całkiem inaczej niż inne młode damy z towarzystwa, które mimo cnotliwej powściągliwości świadome były swego wyglądu, a tym samym wartości, i poważnie lub kokieteryjnie starały się eksponować własną urodę. W niej było coś innego, w jej ruchu, spojrzeniu, sposobie, w jaki ściągała brwi, w jaki podkreślała sylaby, wymawiała słowa, coś, co go zaciekało, a nawet zafascynowało. Przypomniały mu się momenty, kiedy któryś z jego agentów wysypał przed nim zawartość woreczka zawierającego nieobrobione kamienie wydobyte prosto ze skały, a on brał jeden po drugim do ręki i widział oczyma duszy, po prostu wyczuwał, który z tych kamieni będzie się po obłupaniu nadawał na obszycie sukni balowej, a który po właściwym oszlifowaniu może się stać cennym klejnotem oprawionym w złoto i zawisnąć na szyi damy, by tam rozsiewać swój ognisty blask. Chciał się o niej dowiedzieć czegoś więcej - skąd przybyła, co widziała, co przeżyła, o czym marzyła, co czuła, co myślała, ale nie miał możliwości spytać jej o to.

-Jakwidzę, nie nudziłaś się podczas mojej nieobecności.

Z tyłu za nimi rozległ się lodowaty głos lana. Obejrzeli się.

Mężczyźni zmierzyl się spojrzeniami, jakby chcieli nawzajem ocenić swe siły. W powietrzu czuć było napięcie przypominające ciszę przed burzą, przed pierwszym uderzeniem pioruna.

W końcu Richard się uśmiechnął.

- To była dla mnie wielka przyjemność zamienić kilka słów z pańską żoną. Z radością bym to powtórzył przy następnej okazji. Richard Carter - przedstawił się, schylając głowę i wyciągając pojednawczo rękę do lana.

- Nie sądzę, żeby to było możliwe. - Dłoń lana zacisnęła się twardo na ramieniu Heleny, aż ta jęknęła z bólu. - Jutro rano wyjeżdżamy.

Nieznacznie skłonił głowę na pożegnanie, tak że graniczyło to niemal z obrazą. Pchnął Helenę przez salę balową w kierunku holu. Przesłoniła ich masa gości, lecz Richard długo jeszcze patrzył za nimi, jakby pragnął zrobić w myślach analizę minionej godziny, od momentu, kiedy po raz pierwszy ujrzał ją z galerii, i jakby musiał podjąć w tym momencie trudną decyzję.

- Do zobaczenia w Darjeeling, piękna Heleno - szepnął w końcu i wypił duszkiem zawartość kieliszka.

7

Wąski kadłub statku przecinał jak strzała ciemny błękit Morza Śródziemnego. Spieniona woda pryskała wysoko aż po reling, porywał ją ostry zimowy wiatr, który mimo wszystko od pobłogosławionego łagodniejszym klimatem wybrzeża niósł w sobie lekkość słodką jak pozdrowienie. Helena wtuliła się głębiej w długi płaszcz, który cudownie grzał, choć był uszyty z delikatnej, lekkiej materii - wełny z runa kóz kaszmirskich, jak jej wyjaśnił MohanTadźid. Szerokie futrzane obszycie kaptura łaskotało jej policzki, a ona nie mogła się nasycić świeżym, słonym powietrzem. Wdychała je głęboko, aż kręciło jej się od tego w głowie, ale odczuwała radość po wielu dniach spędzonych pod pokładem, gdzie nieraz musiała podtrzymywać głowę Jasonowi, który od kołysania statkiem dostał choroby morskiej i na okrągło wymiotował. Ocierała mu wilgotną chustką rozpalone, a jednocześnie pokryte zimnym potem czoło, czuwała przy nim, aż wreszcie zapadał w niespokojny sen, z którego wyrzywały go na powrót mdłości. Dzień i noc nie różniły się od siebie. Mogła pozwolić sobie na sen, gdy przy Jasonie zmieniała ją Jane. Spała jednak o wiele za krótko, a sen nie przynosił odpoczynku. Płacz i wołanie Jasona znowu ją budziły i nie da-

wały z powrotem zasnąć. Była zmęczona, ale zmęczenie było dla niej ukojeniem, znieczulało ją i nie pozwalało, by cierpiała z powodu rozstania z Margaret i ojczyzną. Mimo wszystko na statku czuła się nieporównanie lepiej niż w londyńskim domu lana. Każda fala, która unosiła wąski kadłub parowca i zaraz potem opuszczała go w dół, oddalała ją od Anglii, jej starego życia i od Marge.

Marge... Mimowolnie w jej oczach stanęły łzy, paliły w zimnym powietrzu morskim. Przypomniała sobie chwile, gdy stała złęknioma i zagubiona w holu, wciąż jeszcze w znieawidzonej balowej sukni, w samym centrum trąby powietrznej, którą rozpętał lan, gdy po ich powrocie z balu wyrwał ze snu wszystkich służących i kazał im pakować bagaże. Do Heleny nie rzekł ani słowa, jakby w ogóle nie istniała. A mimo to przygnębiało ją poczucie, że to z jej winy wszystko przebiega w tak gorączkowy sposób, przypominający raczej ucieczkę. Przed czym? Co złego zrobiła?

Dzień się jeszcze nie zaczął, gdy pasażerów oraz niezliczone skrzynie przewieziono dwoma powozami do portu. Stukot końskich kopyt odbijał się nieznośnie głośno od pograżonych we śnie domów. Nawet nabrzeże portu pograżone było w ciemnościach, bezludne i opuszczone, trudno było rozróżnić sylwetki statków na tle czarnego nocnego nieba, powleczonego dodatkowo mleczną mgłą wczesnego poranka. Tylko jeden statek był jasno oświetlony i ożywiony nerwową krzątaniną. Po pokładzie biegali w tę i w tę mężczyźni niczym dobrze naoliwiony mechanizm zegara, wydawali krótkie rozkazy i je potwierdzali; potem maszyny zaczęły syczeć i stękać, z wysokich kominów buchnęła para gęstsza jeszcze od londyńskiej mgły, kadłub statku wszedł w niecierpliwe wibracje. Jason, wciąż jeszcze śpiący, został przeniesiony na pokład przez Mohana Tadżida. Margaret uściśnęła Helenę krótko i gwałtownie, szepcząc „Niech cię Bóg błogosławi, moje dziecko” głosem zduszonym od niewypłakanych łez. Twarda jak stal dłoń chwyciła Helenę od tyłu i dosłownie pociągnęła po trapie. Ona

sama była zbyt oszołomiona, żeby okazać jakiegokolwiek emocje. Wkrótce nabrzeże się oddaliło, a ciemna postać Margaret i malejące sylwetki obu oświetlonych latarniami powozów zniknęły w końcu całkowicie w ciemnościach.

Marge towarzyszyła jej od urodzenia. Jako mała dziewczynka Helena sądziła nawet, że ma dwie matki. Po śmierci Celi to Marge wypełniała straszną pustkę, pomagała i pocieszała, nigdy nie wypowiedziała ani słowa skargi, chociaż jako dawna służąca w wytwornym domu Chadwicków była przyzwyczajona do lepszych warunków niż ręczne pranie w lodowatej wodzie i dwukrotne obracanie każdego pensa przeznaczonego na podstawowe potrzeby życiowe. Mila po mili morskiej żeglugi i każdy oddech oddalały Helenę od ukochanej opiekunki. *Nie wiem, czyją jeszcze kiedykolwiek zobaczę...* Ból nagłego pożegnania i nieodwracalność rozstania były dla Heleny jak mocny cios w żołądek. Czowała się mała i zagubiona, bezradna zabawka wzburzonych fal. Po policzkach niepowstrzymane spływały jej łzy.

Nagle stanął obok niej Ian i podał jej starannie złożoną białą chusteczkę, na której jedwabną białą nicią wyhaftowane były jego ozdobne inicjały.
- Proszę.

Helena przez sekundę walczyła ze sobą. Ten gest przypominał jej ich pierwsze spotkanie na skałach, które miało równie nieoczekiwane co dalekosiężne konsekwencje. A mimo to była mu teraz wdzięczna i nie wstydziała się swych łez. Po raz pierwszy w jego obecności nie odczuwała ani niepokoju, ani niechęci, lecz ulgę i uczucie, że nie jest zupełnie sama. Ian robił wrażenie spokojnego, uwolnionego od agresywnego napięcia. Zaskoczyło ją, że jego obecność stała się dla niej tak przyjemna.

-Jak się ma Jason? Lepiej? - zapytał Ian.

Helena wytarła policzki i wydmuchała dość głośno nos. Przytaknęła.

- Śpi teraz głęboko.

- To dobrze. Postaramy się go w ciągu najbliższych dni odżywić. -
Spojrzał na nią przenikliwie. - Ciebie też, jesteś zbyt szczupła.
Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, i zakłopotana odwróciła wzrok. On oparł się plecami o reling i zapalił papierosa, osłaniając płomień zapalniczki dłonią, żeby nie zdmuchnął go porywisty wiatr.

-Tam, po drugiej stronie, widzisz? - odezwał się znowu, wskazując ruchem głowy w kierunku mijanego wybrzeża, będącego jedynie wąską, rozmytą linią w odcieniach terakoty i oliwki. - Tam leży Grecja.

Helena lekko zmrużyła oczy, jakby mogła w ten sposób przybliżyć odległy, skalisty brzeg.

-Już tu dopłynęliśmy? - zapytała cicho i poczuła pełne tęsknoty ciągnięcie w okolicy żołądka.

Łan dumnie i prawie pieścotliwie przesunął dłonią po re-lingu, który był czarny, podobnie jak stalowe poszycie, pokład i nadbudówki. Czerń była dominującym kolorem na statku, tak na zewnątrz, jak i w środku, gdzie wszystkie pomieszczenia były wyłożone drewnem w najciemniejszym możliwym odcieniu, jedynie meble miały lekko czerwonawy połysk, pasujący do grubej tapicerki i wzorzystych, zdobionych barwnymi perłami dywanów w intensywnych odcieniach szkarłatu, purpury, koralu, błyszczącej pomarańczy i ciepłej żółci.

- „Kalika” jest najszybszym parowcem, jaki został wybudowany w ciągu dwóch ostatnich lat. Nienawidzę wszelkiego marnowania czasu.

-„Kalika”?

- Kalika, zwana najczęściej „Kało”, oznacza dosłownie „czarna”. Jest małżonką Sziwy, aspektem wielkiej bogini Durgi. Uosabia śmierć i zniszczenie. Stopnie, które prowadzą w dół, do Gangesu, od strony południowo-wschodniej, tak zwane ghaty, ze względu na częste epidemie cholery zostały nazwane od jej

imienia „Kalighat”. A z kolei od ich nazwy wywodzi się nazwa Kalkuty. Helena nie mogła zapanować nad dreszczem i wtuliła się głębiej w płaszcz.

-Co za straszna nazwa dla statku. Brzmi jak zły omen -powiedziała na wiatr.

- Hindusi myślą inaczej. Wszystkie rzeczy są na koniec unicestwiane przez wielkiego niszczyciela, jak to jest napisane wjed-nym z ich świętych pism. Śmierć i zniszczenie są nieodłączną częścią życia. Gdzie nie ma zniszczenia, nie może też być nowego życia. Wypieranie śmierci jest równoznaczne z nieuznawaniem rzeczywistości. Szczególnie ty powinnaś to rozumieć. Los po każdym przypadku śmierci sprawiał, że zaczynałaś nowe życie, wtedy w Kornwalii, a teraz przy moim boku.

- Tak - odpowiedziała gorzko Helena. - Za każdym razem wbrew mojej woli.

- Na tym polega istota karmy, można postępować zgodnie z nią, ale nie przeciw niej.

Z oczu Heleny pociekły gorące łzy, gdy pomyślała o swym dzieciństwie w Grecji. Ujrzała siebie jako dziewczynkę, roześmianą, piszczącą z radości i zbiegającą z zalanego słońcem wzgórza, siedzącą przed domem na rozgrzanej ziemi i bawiącą się świerszczami, które hodowała zamiast zwierzątek domowych, jak to podpatrzyła u dzieci mieszkających w dole, w mieście. Dni były lekkie i beztrudne, wypełnione miłością, która przenikała każdy kąt domu, i ciepłem, które czuła zarówno na skórze, jak i w sercu. A potem, gdy Celia od nich odeszła, pozostał tylko chłód, lodowaty chłód, wewnątrz i na zewnątrz. Wszystkie późniejsze ciosy losu wydawały się blade i tępe - czyste następstwo tej pierwszej straty, której nic nie zdołałoby naprawić. A to, że trzy lata po tym, jak opuścili Kefalinię, trzęsienie ziemi spustoszyło duże połacie wyspy, odebrała jako znak, że ta część jej życia przeminęła nieodwracalnie.

- Wierz mi, wiem, co to znaczy, stracić ojczyznę i rodzinę, łąn najwidoczniej odgadł jej myśli. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Urodziłem się i wychowałem w górach, w samotnej, ukrytej dolinie wysoko w Himalajach. Niektórzy powiadają, że to najpiękniejsza dolina świata. Musieliśmy ją opuścić, gdy miałem dwanaście lat. Uciekaliśmy przez wiele tygodni. W końcu ucieczka skończyła się śmiercią mojej rodziny.

- Nie... nie wiedziałam tego. Policzki Heleny płonęły ze wstydu.

- Nigdy mnie o to nie pytałaś.

Niedbałym ruchem rzucił niedopałek w burzliwe fale i oderwał się od relingu. Nie mówiąc nic więcej ani na nią nie patrząc, zniknął pod pokładem. Helena pozostała, jeszcze bardziej zakłopotana i oszołomiona. Pogoda robiła się tym cieplejsza, im dalej „Kalika” sunęła przez morze na południe. Najpierw Helena rozkoszowała się słońcem na pokładzie otulona w płaszcz, później mogła sobie pozwolić na lekkie suknie w jasnych kolorach, które Jane wyjęła z kufrów. Jedna była piękniejsza i bardziej kunsztownie wykonana od drugiej, wyszły spod igieł najlepszych krawcowych, mających swe pracownie przy S avilie Row. Na początku grudnia dotarli do Egiptu. Helena oparta o reling mogła oglądać barwną krzątanicę w Port Saidzie, dziwiła się różności kolorów, odzieży, towarów, a także ludzi, babilońskiemu gwarowi cudzoziemskich dźwięków, których nie potrafiła przyporządkować do narodowości. Chętnie zeszlaby z pokładu, ale łąn popędzał załogę do gorączkowego pośpiechu, żeby ładowała na statek konieczne towary, jakby nie mógł stracić ani godziny swego czasu. Potem „Kalika” płynęła spokojnie przez wąskie gardło Kanału Sueskiego. Otwarty przed siedmioma laty jako cudowne dzieło

nowoczesnej sztuki inżynierskiej, skracał drogę morską do Indii o dobrą połowę - do niespełna trzech tygodni. Statek mijał po drodze fellahów*, którzy pędzili swe chude krowy do studni, przepływał koło miejsc pustych i piaszczystych oraz koło gajów palmowych, przemierzył całą długość Morza Czerwonego, którego nazwa brzmi święcie w uszach chrześcijan, mijał skaliste i piaszczyste krajobrazy, gdzie ziemia miała wyblakłe odcienie. Następnie wziął kurs na szeroką, ciemnoniebieską powierzchnię Oceanu Indyjskiego, pozornie nieograniczonego wybrzeżami. Przywitała ich tutaj niezwykła cisza, a dudnienie fali pod kilem i syk piany zdawały się częścią tej ciszy.

Helena często drzemała na pokładzie na słońcu lub w cieniu, gdy było południe, spoczywając na leżaku, czasem bawiła się w berka z Jasonem albo grała z nim w piłkę. Niejedna piłka przy wtórze radosnych okrzyków i śmiechów przelatowała przez reling i wpadała bezpowrotnie do wody. Były to w zasadzie beztroskie dni, prawie nie myślała, dlaczego znaleźli się na tym statku i co ich czeka u kresu podróży. Czuła też ulgę dzięki temu, że Ian prawie nie pokazywał się jej na oczy. Słaby zapach tytoniu, który czuć było przy drzwiach jego kabiny na końcu dolnego pokładu, zdradzał, że był w środku, ale nie miała pojęcia, co go tam trzymało całymi godzinami, a nawet dniami, że czasem nie zjawiał się w salonie nawet na posiłkach. Z drugiej strony wołała się nad tym nie zastanawiać. Gdy go nie widziała, oddychała swobodniej, i była mu za to wdzięczna. Wszechobecny był za to Mohan Tadźid. Nadal uczył Helenę języka hindustani i pilnował wykonania mnóstwa zadań, które pan Bryce zadał Jasonowi na drogę. Jason ślęczał nad nimi codziennie po kilka godzin, pojękując z wysiłku. Powoli, z pewnym ociąganiem zaczęła zadawać pierwsze pytania o kraj, który miał się stać jej przyszłością, a o którym nic nie wiedziała. Mohan Ta-

*** Fellahowie - ludność rolnicza w krajach arabskich, głównie w Egipcie (przyp. tłum.).**

dźid chętnie udzielał jej informacji, wieczorami, w salonie rozświetlonym blaskiem stojących w masywnych miedzianych kandelabrach świec, które rzucały jasne refleksy na ciemne drewno połyskujące w taki sposób, jakby płonęło od środka.

- Na północy Indie obfitują w skaliste wzniesienia, porośnięte lasami góry i zielone doliny Himalajów, na zachodzie występują pustynie, stepy i busz, wzdłuż rzek ciągną się żyzne pola, na południowym zachodzie lasy tropikalne, a na południowym wschodzie, w delcie Gangesu, plaże i równinne pola ryżowe. Jest to stary kraj, niezwykle bogaty, a jednocześnie niewyobrażalnie ubogi. Jego historia, burzliwa i zmienna, sięga prawie trzytysięcznego roku przed narodzeniem Chrystusa. Indie przeżyły wiele inwazji i często nad ich narodami panowali obcy władcy. Jednak z każdego obcego panowania kraj wychodził bogatszy i bardziej różnorodny. Trudno byłoby zliczyć zamieszkujące go narody, ich języki i religie. Władcy imperium Mogołów przynieśli do kraju islam, ale ja mogę opowiedzieć tylko o moich Indiach, o tym, skąd pochodzę i co widziałem. My, hindusi, rodzimy się w jednej z czterech kast, zwanych warnami, słowo to może oznaczać także barwę. Na samej górze są bramini, czyli kapłani, potem kszatrijowie, władcy i wojownicy, którzy mają chronić kraj. To właśnie - pokazał na potrójny, skręcony złoty sznur, który zwisał z jego lewego ramienia ku prawemu biodru w poprzek tułowia - jest symbolem dwóch wyższych kast. Poniżej stoją wajśjowie, chłopci i kupcy, po nich siudrowie, ludność służąca wyższym kastom. Poza tymi czterema warnami znajdują się haridźanie, zwani też pariasami, czyli nietykalni. Kto ich dotknie, staje się nieczysty, ponieważ nie znają oni żadnego tabu naszej religii. To, w której warnie człowiek się urodzi, jest karmą, losem, i określa zadanie, które powinien przejąć w życiu. Nie wiem, jak żyje bramin lub wajśja, mogę mówić tylko o sobie. Urodziłem się jako kszatrija, w starej rodzinie radźputów. Nazwa radźputowie znaczy dosłownie „królewscy synowie”. Jesteśmy właśnie synami książąt, władców i wojowników.

Powiada się o nas, że radźput czci swego konia, miecz i słońce i że bardziej słucha wojennej pieśni niż litanii bramina. Honor i świętość raz danego słowa są dla nas nadrzędne, ważniejsze nawet od własnego życia i życia naszych rodzin. Ten, kto umyślnie narusza lub lekceważy obyczaje przodków, kończy w piekle. Dla kszatrii nie ma nic bardziej chwalebego niż prowadzenie wojny, udział w której jest mu przypisany przez karmę. Nasi przodkowie byli bohaterami i to jest nasze dziedzictwo, nasza dharm.

- Dharm?

Helena spojrzała na niego bezradnie. Mohan Tadzid się uśmiechnął.

- Dharm jest podstawową zasadą Wszechświata, podstawą wszystkich rzeczy. Wyraża się w porządku kosmosu i w prawidłowym postępowaniu. Jest to zasada moralna, do której trzeba się stosować w zgodzie ze swoją karmą. Karma określa los każdego człowieka. Nasza karma w tym życiu jest wynikiem naszego postępowania w życiu poprzednim. Kto się sprzeciwia swej karmie, postępuje wbrew niej, urodzi się ponownie, życie po życiu w wiecznym cyklu narodzin i śmierci, samsarze. Kto jednak przyjmie swoją karmę, podporządkowuje się jej i nie sprzeciwia, ten wstępuje na ścieżkę do *brahman*, absolutnej boskości, i może w ten sposób osiągnąć wyzwolenie od cyklu narodzin i śmierci, moksę. Sama akceptacja karmy, jej rzeczywiste zrozumienie, może być tożsama z wyzwoleniem. W starych pismach, Wedach, jest napisane: „A gdybyś był najgorszym z grzeszników, to uznanie tego stanu rzeczy przeniosłoby cię przez grzechy jak tratwa”. Ogień poznania zamienia karmę w popiół. Helenie aż szumiało w głowie. Jej policzki płonęły. Wszystko w niej sprzeciwiało się temu, co właśnie usłyszała, losowi, który ją tu sprowadził. Dotychczas skutecznie tłumiała myśli o własnym losie. Opowiadanie Mohana Tadzida znowu wydobyło je na powierzchnię. Nie była z tego zadowolona, nie chciała o tym myśleć, tak jak nie chciała jeszcze wielu innych rzeczy. Pragnęła

odzyskać swe dawne życie, choć czuła, że bunt wobec narzuconego jej losu jest daremny. Szybko wstała, zaczęła chodzić nerwowo i bez celu po kajucie, zatrzymała się przed posągiem z brązu, który od pierwszej chwili w równym stopniu ją odpychał, co fascynował: duża, ośmioramienna postać kobiety w tańcu, z szeroko otwartymi oczami, wysuniętym językiem, łańcuchem z czaszek na szyi. W migającym odblasku płomieni tancerka robiła wrażenie żywej i napawała lękiem, a mimo to Helena nie mogła oderwać od niej wzroku.

- Kali, czarna bogini - usłyszała za plecami głos Mohana.

- To ona dała statkowi nazwę - dodała cicho Helena. - Bogini śmierci i zniszczenia.

- Dla niektórych jest też boginią zemsty. Pojawia się, żeby pobić wrogów Sziwy i zdobi się ich czaszkami. Ale jest też boginią ponownego przebudzenia, ponieważ skutecznie walczy z demonami, a gdy je zwycięży, może przywrócić do życia pożartych przez nie ludzi.

Helena stanęła do niego bokiem.

- Czy zemsta nie jest sprzeciwianiem się losowi?

- Nie, jeśli zemsta jest karmą, bo tylko w ten sposób może zostać przywrócona dharma. W *Bhagawadgicie*, Pieśni Pana, chyba najważniejszym z naszych świętych pism, wojownik Ardżuna wątpi przed wielką bitwą w słuszność swego działania. Krysna, który przybrał postać woźnicy, przekonuje go jednak w długim dialogu, że jego zadaniem jest udział w bitwie, nie dla sławy i honoru, ale dlatego, że to odpowiada jego karmie.

Wstał, podszedł do niej, dotknął lekko jej ramienia i wskazał jej przeciwległy kąt salonu, gdzie w cieniu stał inny posąg: postać męska, również tańcząca, ale czteroramienna, otoczona wieńcem buchających płomieni.

- Sziwa, małżonek Kali, pierwiastek męski. Kali jest czarną stroną Szakti, pierwiastka żeńskiego. Sziwa oznacza „łaskawy”, „przyjazny”. Jest, podobnie jak Kali, bogiem zniszczenia i wy-

zwolenia. Często bywa przedstawiany jako tancerz, który swoimi stopami depta dzieło stworzenia.

Helena spojrzała na niego, nic nie rozumiejąc.

- W takim razie jak może być łaskawy?

- Dzięki temu, że zniszczy stare, za sprawą Brahmy, stwórcy, może powstać nowe. Sziwa jest najbardziej sprzecznym bogiem, bogiem przeciwieństw, płodności, ale i ascezy, lecz przez swoją sprzeczność utrzymuje w ruchu koło świata. Bez niego panowałaby wieczna stagnacja, wieczna śmierć.

- I modli się pan do tego boga?

W głosie Heleny zabrzmiały odraza i brak zrozumienia. Mohan pokręcił głową.

- Nie. Zgodnie z karmą na *istę*, czyli na mojego osobistego boga, wybrałem Wisznu. Wisznu jest obrońcą i opiekunem dharmy. Za każdym razem, kiedy świat drży w posadach, on spieszy na pomoc. Przyjmuje postać człowieka, żeby pomagać ludziom. Pokazuje im nowe drogi i to, jak mogą się na nich rozwijać. Jego prawdziwą postacią na świecie było ucieleśnienie boga Krysny, bohatera wielu legend i podań. A Krysna w jednej z legend nosi przydomek Mohan. - Uśmiechnął się do niej ze zrozumieniem. - W ten sposób koło się zamyka. Zostałem nazwany na jego cześć i wybrałem go, żeby mu poświęcić swe życie.

- Chciałabym wiedzieć, jaka jest moja karma - powiedziała Helena mimowolnie, prawie zapominając o obecności Mohana.

- To, że pani teraz tu jest, to właśnie jest pani karmą - odrzekł cicho. - To było nieuniknione, to musiało się zdarzyć i ma swój sens.

- Ale jaki? Mnie się to wszystko wydaje bez sensu - wykrztusiła, czując, że znowu napływają jej do oczu łzy; z wysiłkiem starała się je powstrzymać.

Mohan popatrzył na nią ze współczuciem.

- Walczyła pani jak lwica i pozornie pani przegrała. Ale wiem, że jest tu pani z określonego powodu. Żadna egzystencja,

żadna droga życiowa nie jest bezsensowna. Kto zrozumiał, jak powiązane są ze sobą wszystkie rzeczy tego świata, nie przelewa już łez, ponieważ dla tego, kto patrzy na świat z właściwym zrozumieniem, nie ma żmartwień. Tak jest napisane.

- A czy pan walczył kiedykolwiek ze swoją karmą? Mohan Tadźid roześmiał się cichym, niskim, sympatycznym śmiechem.

- O tak, nawet bardzo często. Ale co to dało? Karma jest karmą. Walka w życiu oznacza jedynie cierpienia. W tym życiu i w następnym.

Helena walczyła ze sobą. Poddanie się losowi uważała za straszliwie upokarzające. Cała jej duma broniła się uparcie przeciw złożeniu broni. A jednak czuła wyraźnie, że nie mogła nic zrobić, nic się nie dało zmienić. Była zamężna, znajdowała się w podróży do obcego kraju, do obcej, nieznaney miejscowości, która na resztę życia miała się stać jej domem, podróżowała u boku obcego mężczyzny, o którym prawie nic nie wiedziała.

Mohan musiał poczuć, co się w niej dzieje, bo objął ją łagodnie.

- Pani nie jest sama. Mogę pani pomóc, jeśli pani chce. Helena z trudem przełknęła ślinę. Po chwili spojrzała na

Mohana. Ciepło i sympatia w jego oczach po raz kolejny dały jej poczucie, że jest bezpieczna. W końcu przytaknęła.

Nauczyła się wiele od Mohana Tadźida. Nie tylko zwrotów w języku hindustani, dzięki którym mogła się dość szybko wypowiedzieć w prostych, codziennych sprawach, lecz także o wielopostaciowym świecie hinduskich bóstw, których szczególne właściwości i symbolika determinowały codzienne życie hindusów pod względem ubiorów, zwyczajów i rozlicznych świąt przypadających w ciągu trzynastomiesięcznego roku księżycowe-

go; poznawała zmienną historię kraju i jego części, walk między władcami imperium Mogolów a maharadzami, dowiedziała się o zdobyciu wybrzeża przez Portugalczyków i Francuzów w siedemnastym wieku, potem w osiemnastym wieku przez Brytyjczyków, którzy, począwszy od Bengalu, zajęli dla siebie prawie cały subkontynent indyjski. Wieczorami Mohan często opowiadał Helenie i słuchającemu go z otwartymi ustami Jasonowi stare podania i legendy: o Ramie, którego towarzyszka, piękna Sita, została porwana przez Rawanę, króla demonów, i którą Rama zdołał uwolnić przy pomocy małpiego boga Hanumana; o zwycięstwie starożytnego bohatera Indry nad olbrzymim demonem Wrytrą, który ciemny świat chaosem, niewiedzą i ciemnością;

O przebiegłości mającego głowę słonia boga Ganeszy, który, choć otyły, przystąpił do wyścigu wokół świata ze swym zwinnym bratem Skandą; podczas gdy Skanda ruszył przed siebie na swym pawiu, Ganesza okrążył jedynie swoich rodziców, Sziwę i Parwati,

i uznał się za zwycięzcę, ponieważ jego rodzice ucieleśniali cały Wszechświat; opowiadał o Sziwie i Parwati, o Krysźnie i wojowniku Ardżunie. Helenie, która była mało obeznana z wiarą chrześcijańską, historie te przypominały greckie mity, z którymi wyrosła, dlatego prawie jej nie dziwiły. Czasem wieczory spędzane z Mohanem i przytulonym do niej Jasonem zlewały się z południowymi nocami jej dzieciństwa, kiedy za domem, którego ściany wciąż jeszcze nagrzane były ciepłem skumulowanym za dnia, ojciec opowiadał jej cichym głosem wśród pachnącego tymianku i oleandra starożytne historie, a w tle to głośniejsze, to ciszej cykały świerszcze. W dziwny sposób łagodziło to jej stary ból, pocieszało i leczyło.

Chociaż niebawem miała nadejść połowa grudnia, noce stały się wyczuwalnie cieplejsze. Między Mohanem Tadżidem a Heleną panowało milczenie. Siedzieli na pokładzie w kąci osłonie

tym od ostrych podmuchów wiatru. „Kalika” mknęła spokojnie po czarnym jak atrament morzu; jedynie gwałtowny syk fal załamujących się na dziobie zdradzał, z jaką prędkością niosła ich do celu. Szklane świeczniki dawały stłumione światło, ale poza nim rozpościerała się czarna noc, obsiana niezliczonymi połyskującymi gwiazdami, bardzo wyraźnymi i tak bliskimi, że chciałoby się po nie sięgnąć.

Helena popijała herbatę, która smakowała słodkimi, dojrzałymi owocami, co podkreślał plasterk pomarańczy na dnie cieniutkiej porcelany.

Chociaż w słabym świetle wszystkie kolory zredukowały się do różnych odcieni srebrnej i złotej szarości, wiedziała, że przy świetle dziennym herbata ma kolor miedzi i połyskuje w filiżance, zupełnie inaczej niż mętny brązowy napar, który pijano w Worlds End.

- Smakuje pani? Helena przytaknęła. - Jest bardzo dobra.

- To *secondflush*, czyli herbata z drugiego zbioru, która rosła między czerwcem a sierpniem, w słońcu i letnim monsunie. - Spojrzał na nią przeciągle, a potem dodał: - Pochodzi z Sikhary.

Sikhara... Coś w tej nazwie, w sposobie, w jaki Mohan ją wymówił, sprawiło, że raz za razem rozbrzmiewała ona w jej głowie... Sikhara.

- To plantacja herbaty należąca do lana, leży na północny wschód od Darjeeling - dodał dla wyjaśnienia.

- Co oznacza to słowo?

Helena zdążyła się już nauczyć, że w hindustani - podobnie jak w sanskrycie, mającym kilka tysięcy lat języku starożytnych świętych Indii - słowa miały głębsze, często ukryte znaczenie i niosły w swoich głoskach obrazy i symbole.

- Nie da się dokładnie przetłumaczyć tej nazwy. W języku hindustani słowa *śikar* i *śikari* oznaczają polowanie i myśliwego. W Himalajach, w samotnych dolinach, często można spotkać

kamienne świątynie o szczególnym kształcie, wyglądające jak stromy szczyt górski. Ten styl budownictwa również jest określany słowem „sikhara”. Szczyt, świątynia, polowanie, myśliwy, to są właśnie znaczenia tego słowa.

Świątynia - ale czego? Polowanie -na co?- pomyślała Helena, ale nie wypowiedziała swych myśli na głos, spytała jedynie:

- Jak tam jest?

- Ach... - Na ciemnej twarzy Mohana pojawił się szeroki uśmiech, a jego białe zęby błysnęły w półmroku. - Sikhara jest niemal rajem, na ile tylko rajem może być miejsce na ziemi. Na północ od niej rozciągają się pokryte śniegiem szczyty i granie Himalajów, a niżej rozciąga się falista linia zielonych wzgórz porośniętych lasami i krzewami herbaty. Powietrze na wysokości jest czyste i świeże, pachnie listowiem i kwieciami drzew oraz krzewów herbacianych. Panuje tam niezwykły spokój, jakby to miejsce pobłogosławili sami bogowie, do których nam, hindusom w Himalajach, jest tak bardzo blisko. Sam dom jest po części zbudowany w tradycyjnym stylu górskich terenów, a po części w stylu angielskim. Znajdzie tam pani szlachetne drewno i dywany, rzemiosło artystyczne. Już pani zapewne poznała dobry smak lana.

-Tak.

Uczucie nieokreślonej tęsknoty za tą miejscowością, które pojawiło się u niej już na dźwięk samej nazwy, pogłębiło się jeszcze bardziej pod wpływem opowiadań Mohana, zmieniło w tępe poczucie winy, które zagnieździło się w niej w minionych dniach. W pierwszym okresie podróży „Kaliką”, po tym jak Jason doszedł do siebie po chorobie morskiej, przyjmowała cały ten luksus, który ją otaczał, jako coś oczywistego. Jej jedynymi zajęciami były jedzenie, spanie, rozkoszowanie się słońcem i świeżym powietrzem na pokładzie oraz nauka. Dopiero z czasem uświadomiła sobie, ilu służących dba o jej potrzeby, nie wliczając w to mężczyzn, którzy harowali pod pokładem, w kotłowni, w kuchni

i chłodni, i we wszelkich innych przybytkach ukrytych w kadłubie statku. Luksusowe wyposażenie statku wykonane ze szlachetnych gatunków drewna, jedwabiu i adamaszku, przesycone zapachem drewna sandałowego i różanego; obrębiona koronkami bielizna pościelowa w koi służącej jej za sypialnię; drogie suknie, jak ta z lekkiego białego muślinu, którą miała na sobie dziś wieczorem; każdego dnia posiłki z kilku dań, już z samego rana obfite śniadanie, na obiad i kolację zabielałe śmietaną zupy, gotowane na parze ryby, nadziewane paszteciki, drób, różnobarwne warzywa, pieczenie jagnięce, sery, na deser owoce, lody lub ciasta, do herbaty kanapki z ogórkami i ptifurki*. Helena miała jedynie mgliste wyobrażenie, ile to wszystko może kosztować, ale przeczuwała, że muszą to być bająnskie sumy, więcej niżli kiedykolwiek posiadała w swoim życiu.

- On ma bardzo dużo pieniędzy, prawda?

Mohan przytaknął.

- Bardzo dużo. Ale pani też. To, co należy do niego, należy teraz również do pani.

Helena otworzyła szeroko oczy z przestachu i pokręciła głową w geście obrony.

- Aleja tego nie chcę! Mohan Tadżid się roześmiał.

- Ale tak jest zarówno w świetle prawa, jak i w oczach łana. Wiem, że co pani tylko zechce, łan chętnie złoży u pani stóp. On już to robi.

Helena poczuła się nieswojo, choć nie mogła dokładniej powiedzieć, skąd brało się to uczucie.

- Dlaczego ja? - zadała ze skargą w głosie i z gniewem pytanie, które od tygodni paliło jej duszę.

Mohan milczał przez chwilę.

Ptifurki - małe ciasteczka podawane jako dodatek do kawy, herbaty lub kompotu (przyp. dum).

- Nie wiem - odpowiedział w końcu. - Mogę tylko przypuszczać, że musiał panią zdobyć za wszelką cenę, bez względu na konsekwencje. I sądzę, że on sam teraz nie wie, co ma z panią począć.

Śikari - myśliwy... Helenie znów policzki spłonęły gorącem, gdy przypomniała sobie ten pierwszy wieczór w Londynie, gdy Ian znalazł się tak blisko niej, gdy wspomniała ciepło, którym emanowało jego ciało, że aż jej się zdawało, iż stopnieje w tym cieple. Modliła się, żeby Mohan nie dostrzegł w migającym świetle rumieńców wykwitłych na jej twarzy. Hindus najwidoczniej źle zrozumiał lękliwe milczenie Heleny oraz jej ucieczkę wzrokiem, bo ściszył głos i rzekł z naciskiem:

- Proszę o nim źle nie myśleć. To, co robi, nie wynika z jego złej woli. Urodził się w znaku Wodnika, ale ma w sobie też wiele cech Skorpiona. Jak Skorpion, kąsa tylko wtedy, gdy ktoś go zrani. Ale jeśli uderza, to śmiertelnie. I nigdy nie zapomina.

Helena nagle zmartwiała. Czuła, że wieczorem przed balem powiedziała w swej nieposkromionej złości coś takiego, co Iana głęboko zraniło, choć nie mogła sobie przypomnieć, co to mogło być... Po tym zdarzeniu uważała go za jeszcze bardziej nieobliczalnego niż do tej pory, a jej przyszłe życie u jego boku wydało jej się ciężkim, prawie niemożliwym do zrealizowania zadaniem. Rozum nie podpowiadał jej, jak rozwiązać to zadanie, a fałszywe posunięcie mogło być dla niej groźne.

Z zamyślenia wyrwał ją głośny śmiech. Po pokładzie biegł Jason, głośno tupiąc i wołając już z daleka jej imię. W końcu rozgorączkowany wpadł na nią i objął ją ramionami.

- Nela, wyobraź sobie, byłem na dole w kotłowni i w chłodni, obejrzałem dokładnie maszyny! Mężczyźni byli całkiem czarni na twarzy od sadzy. A Ian mi pokazał, jak tłoki pod parą napędzają nasz statek! Zachwycony obdarzył nadchodzącego Iana rozpromienionym spojrzeniem rzuconym przez ramię.

Przez chwilę Helena spoglądała na scenerię pokładu jak osoba postronna. *Rodzina...* przeleciało jej przez głowę. I to, co przez te wszystkie lata było tylko przeczuciem, stało się teraz dla niej jasne: że dla Jasona była bardziej matką niż starszą siostrą, próbowała zająć przy nim miejsce Celi, i to od dnia, kiedy jeszcze jako dziewczynka wróciła do domu, żeby się pożegnać z martwą matką, woskową, sztywną i zimną, a potem stanęła pełna zdziwienia i nieśmiałości przy kołysce maleńkiego, kruchego noworodka. Spojrzała teraz na Iana i wiedziała, że on tę chwilę odebrał dokładnie tak samo. Widziała to po jego postawie, po czymś miękkim, kruchym i drażliwym, czym w tej chwili emanował. *Rodzina; rodzina, którą oboje tak wcześnie straciliśmy...* Przez moment Ian był niezdecydowany, czy powinien podejść bliżej, prawie niepewny, w końcu nagle się odwrócił i zniknął w ciemności.

Helena w zamyśleniu przycisnęła do siebie dziecięce ciało, po części po to, by się ogrzać, a po części, żeby poczuć żywość chłopca. Jason tymczasem, tryskając energią, snuł plany na przyszłość.

- Gdy będę duży, zostanę inżynierem i będę budować wtedy jeszcze większe i szybsze statki, Ian powiedział, że muszę się uczyć więcej arytmetyki i geometrii. Powiedział, że będę się musiał starać...

- Chodź, młody człowieku, już czas na ciebie - usłyszała głos Mohana Tadżida, na co Jason zaprotestował bez przekonania, choć przez to wcale nie mniej głośno.

- Dobrze, pójdę, ale tylko wtedy, jeśli mi opowiesz jeszcze jedną historię!

- Obiecuję - roześmiał się Mohan.

Chłopiec, rozdarty między Mohanem a Heleną, przytulił się jeszcze raz do siostry tak mocno, że trudno jej było oddychać.

- Bardzo polubiłem Iana - szepnął jej do ucha, chuchając przy tym gorącym oddechem. - Tak się cieszę, że wyszłaś za niego za mąż!

Odskoczył od niej, chwycił siedzącego na krześle Mohana i zaczął go ciągnąć.

- Chciałbym usłyszeć tę historię, jak Krysna temu, jak on się nazywał? to znaczy temu, który potem...

Jasny głos Jasona i bas Mohana oddaliły się i wkrótce ucichły pod pokładem.

Helena patrzyła w ciemność. Przynajmniej Jason był szczęśliwy. ..

Ogarnęło ją uczucie głębokiego spokoju.

- Proszę.

Wzdrygnęła się, usłyszawszy tuż za swoimi plecami głos lana. Poczwała, jak nakłada jej coś ciepłego na ramiona. Jego dłonie zdawały się parzyć jej skórę nawet przez szeroki szal, gdy zostawił je na moment dłużej, niż to było konieczne. Gdy cofnął ręce, owiał ją chłód, który przeszedł jej dreszczem przez ciało.

- Dziękuję. - Helena otuliła się szerszej delikatnym materiałem, z zakłopotaniem i niepewnością pogładziła materiał. - Jaki on miękki. łan usiał na krześle obok. Usłużny steward natychmiast podał mu kieliszek wina, Helenie również zaproponował, a gdy pokręciła głową, szybko zniknął z powrotem w ciemnościach nocy. łan zapalił nieodłącznego papierosa.

- To tak zwany szal paszminowy, utkany z wełny kóz kaszmirskich. Te szale są tak cienkie i delikatne, że można je przeciągnąć przez pierścionek. Chciałem ci go podarować dopiero później, ale pomyślałem sobie, że dziś wieczorem na pewno ci się przyda.

- Dziękuję.

Z jednej strony Helena poczuła się zawstydzona tym drogim prezentem, a z drugiej ucieszyła z niego, a jeszcze bardziej z troski, jaką okazywał jej łan.

Uderzanie fal o burty statku i sapanie maszyn były przeraźliwie głośne w ciszy, która powstała między nimi. Dla Heleny ta cisza była nieznośna.

Ukradkiem zerknęła kątem oka na lana.

Siedział odprężony na krześle, z głową odchyloną do tyłu, nogi w brązowych, wąskich spodniach miał jak zwykle nonszalancko założone jedna na drugą. Lekka bryza wiejąca nad pokładem bawiła się otwartym kołnierzem jego białej koszuli, świecącej jasno w półmroku, głaskała jego ciemne włosy, ale nie wyglądało na to, żeby było mu zimno. Helena z oporami musiała przyznać, że Ian jest przystojny. Niemal żałowała, że nie poznała go w innych okolicznościach.

- Nie pokazywałeś się długo - powiedziała w końcu, aby przerwać milczenie, chociaż poczuła się przy tym głupio i niezręcznie.

- Miałem pracę.

Jego obecność na nocnym pokładzie pod nieruchomym niebem, w świetle olejnych lamp, z których kilka już zgasło, dawała jej poczucie prawie intymnej bliskości, co ją niepokoiło, a jednocześnie sprawiało jej przyjemność.

- Może to zabrzmie głupio, ale nie wiedziałam, że w związku z plantacją masz tyle pracy, nawet na statku.

- To wcale nie jest głupie pytanie, lecz jak najbardziej uzasadnione. Ale nie - wciągnął głęboko dym - mam jeszcze inne zajęcia, a w Port Saidzie dostałem kilka telegramów i pism, którymi musiałem się zająć.

Sposób, w jaki wydmuchiwał dym, zdradził Helenie, że nie chce o tym opowiadać, przynajmniej nie w tej chwili.

- Mohan powiedział mi o twoim... domu w górach. Bardzo mnie to zaintrygowało.

Nie wiadomo dlaczego czuła opór, by wypowiedzieć nazwę plantacji, jakby miała popełnić w ten sposób świętokradztwo.

- O moim domu... - powtórzył Ian i spojrzał w zamyśleniu na żar papierosa, a potem podążył wzrokiem za wznoszącym się i rozplywającym w powietrzu dymem. - Ja nie mam domu. Już od dawna. Jest tylko kilka miejsc, w których wytrzymuję dłużej niż w innych, a Sikhara jest właśnie jednym z nich.

Helena znów poczuła na plecach zimne dreszcze, nad którymi nie była w stanie zapanować. Wstała szybko.

- Jest mi zimno. Położę się do łóżka.

Jej policzki spłonęły rumieńcem, bo ledwo zdążyła wypowiedzieć to zdanie, uświadomiła sobie, że łan mógłby je odebrać jako zaproszenie. Ale on pozostał bez ruchu na swoim krześle, jakby jej w ogóle nie słyszał, bo tak bardzo pochłonęły go własne myśli. Emanowała od niego taka samotność, taki bezgraniczny smutek, że Helena poczuła potrzebę, żeby go dotknąć. Już wyciągnęła rękę, by ją położyć na ramieniu łana, ale się nie odważyła. On chyba musiał wyczuć jej zamiar, bo chwycił jej dłoń, patrząc przy tym w zupełnie inną stronę. Jego dłoń była ciepła, miękka, a przy tym silna, ścisnął jej palce łagodnie, a jednak zdecydowanie.

- Dobranoc, Heleno.

- Dobranoc, łanie.

Ich dłonie się rozłączyły. Helena poszła pokładem w kierunku swej kabiny, w której Jason na pewno już od dawna smacznie sobie spał. Nie mogła nic na to poradzić, że jej kroki były lekkie i energiczne.

8

Siedem wysp skupionych wokół cypla wysuniętego w głąb Morza Arabskiego, porośniętych lasami palmowymi, bagnistych i malarycznych, zagrożonych powodziami, po stronie lądu otoczonych równinami wznoszącymi się ku zielonym wzgórzom - takie było *Bombabia*, czyli „dobra zatoka”, miejsce, które na początku szesnastego wieku zajęli Portugalczycy. Poza nielicznymi wioskami rybackimi zakątek pusty, ale stanowiący naturalny port, który wkrótce stał się bramą do zachodnich Indii. W roku 1662 obszar ten został przejęty przez Koronę brytyjską jako posag, który

wniosła portugalska księżniczka Katarzyna Braganę, wydana za Karola II z Anglii. Od tej pory miejsce to nosiło nazwę Bombaj i było dzierżawione za symboliczną cenę dziesięciu funtów rocznie przez Kompanię Wschodnioindyjską.

Z trudem, walcząc z malarią i przepotężnym morzem, osuszano bagna i pozyskiwano suchy ląd, a na starych murach portugalskich umocnień powstało szybko rosnące miasto, przemysłane i skromne, nastawione jedynie na transport i handel. Bombaj jako centrum handlu między Zachodem a Wschodem obiecywał pracę i pieniądze, ponieważ przed obliczem wielkiego boga Mammona znikwały wszelkie różnice; przybywali tu ludzie najróżniejszego pochodzenia: Gudżaraci z północy, z bezpośredniego sąsiedztwa portu Maraten, wcześniejsi władcy zachodnich Indii, do czasu ich klęski wobec przeważających sił angielskich w roku 1817; dżiniści, członkowie żyjącej w ascezie sekty z Radżastanu; parsowie uciekający z Persji przed prześladowaniami religijnymi; poza tym Żydzi, Ormianie, sikhowie, Chińczycy; a w końcu hindusi i muzułmanie ze wszystkich stron tego rozległego kraju. Bombaj rósł i rozprzestrzeniał się za szerokim frontem doków w labirynt złożony z magazynów, biur handlowych i kryjówek biedoty, z zabliźnionymi szramami powstałymi na skutek pożarów i pospiesznej zabudowy, okropne, nielubiane miasto, a jednak podpora imperium handlowego "John Company", jak często nazywano ironicznie Kompanię Wschodnioindyjską. Pieniądze przyszły wraz z rosnącym w świecie popytem na bawełnę, przede wszystkim gdy w dalekiej Ameryce rozpętała się krwawa wojna Północy przeciwko Południu i do Anglii przestano stamtąd eksportować bawełnę. W chłodniejszej głębi kraju powstały wytworne rezydencje, anglikańskie kościoły wyciągały dumnie swoje wieże w tropikalne niebo, a w centrum miasta dźwigały się w górę cukierkowe wiktoriańskie fasady.

* * *

Jane z westchnieniem zamknęła zamki ostatniej skrzyni, którą natychmiast unieśli w górę dwaj chudzi, ciemnoskórzy chłopcy, umieszczając ją sobie na ramionach, i pospiesznie wynieśli na zewnątrz.

- To już wszystko - powiedziała do Heleny. - Czy pani sobie jeszcze czegoś życzy, *madame*?

Helena rozejrzała się szybko po kajucie, która przez minione trzy tygodnie była jej domem. Pokręciła głową.

- Nie, Jane, dziękuję.

Młoda służąca, niewiele starsza od niej samej, spojrzała na nią badawczo.

- Powinna pani wyjść na pokład, *madame*. Pan Neville na pewno już na panią czeka.

Helena się przemogła. Zwlekała, ale przecież nie mogła tu zostać, musiała zrobić ten krok ku nowemu życiu w obcym kraju.

- Masz rację, chodźmy.

- W takim razie ja już się z panią pożegnaj. Życzę pani wszystkiego dobrego.

Jane dygnęła nisko.

Helena spojrzała na nią zdziwiona.

- Nie idziesz z nami? Jane się roześmiała.

- O nie, *madame*! Nawet dziesięć koni nie dałoby rady zaciągnąć mnie do tego kraju! Pan Neville dużo mi zapłacił, żebym pani służyła podczas rejsu, ale moim miejscem jest i pozostanie dom przy Grosvenor Square.

Mój powrót został już zarezerwowany. Jeszcze tu tylko trochę posprzątam. - Rozejrzała się po i tak już nienagannie wysprzątanym pomieszczeniu. - Przez następne trzy tygodnie nie będę miała nic do roboty. Jak wrócę do domu, znowu znajdzie się dla mnie zajęcie. Dom musi być cały czas w nienagannym stanie, w końcu nigdy dokładnie nie wiemy, kiedy pan Neville przyjedzie. Ale proszę się nie martwić, na pewno już wszystko dla pani przygotował. Pan Neville nigdy nie zdaje się na przypadek.

- Oczywiście - mruknęła Helena.

To, co usłyszała, przerosło jej przypuszczenia na temat tego, jak wielkie bogactwo zgromadził Ian. Była zaskoczona, że podczas swej nieobecności utrzymuje w Londynie wielki dom łącznie ze służbą i że w każdej chwili może do niego wrócić, jakby wracał z towarzyskiego wieczornego spotkania. *Prawdopodobnie na stołach każdego dnia stawiane są nawet świeże kwiaty...*

Zmusiła się do uśmiechu.

- Ja też ci życzę wszystkiego dobrego, Jane, i bardzo dziękuję. Dlaczego musi się ciągle żegnać ze wszystkim tym, z czym zdążyła się oswoić?

Jaskrawe światło słońca, odbite od bruku szerokiego nabrzeża, poraziło Helenę boleśnie w oczy po mroku panującym pod pokładem, a nie mniej od światła poraził ją tłok i ścisk ludzkiego mrowia. Z prawej i lewej strony „Kaliki” ciągnęły się szeregi innych parowców, wśród nich stało kilka ostatnich żaglowców pozostałych z dawniejszych czasów, wykrzykiwano głośno rozkazy i uruchamiano maszyny. Kulisi* wozili na wózkach ciężkie skrzynie i paczki. Widziała Chińczyków z długimi warkoczykami, Żydów w okrągłych czarnych jarmułkach i z długimi pejsami, turbany we wszystkich kolorach, odcienie skóry od kości słoniowej po heban, mundury czerwone, niebieskie i czarne; rozmawiano, nawoływano się, targowano, śmiano; do jej uszu docierały strzępy zdań angielskich, francuskich, hiszpańskich, dziwaczne, śpiewne tony języka hindustani, chińskiego i arabskiego. W porównaniu z Bombajem Port Said był zaspną, małą dziurą.

Poniżej trapu stał przygotowany otwarty powóz zaprzężony w dwa czarne konie. Na koźle siedział ciemnoskóry Hindus w białej liberii, Ian przytrzymał otwarte drzwiczki i czekał na nią, podczas gdy Jason podskakiwał na siedzeniach obciążonych jasną skórą, machał do niej i coś wołał, nie zważając na to,

* **Kulis** - tragarz (przyp. tłum.).

że Mohan Tadzid nakazywał mu wzrokiem spokój. Helena zeszła po trapie.

- Przepraszam - powiedziała do łana, zanim jeszcze zdążyła do niego bliżej podejść.

- Nie masz żadnego powodu, żeby przepraszać. - Podał jej rękę, pomógł wsiąść do powozu, po czym sam wskoczył do środka i zamknął drzwiczki. - Dworzec jest tylko kilka domów stąd, ale trudno byłoby się tam przedostać pieszo. Powóz z bagażem już pojechał przodem. Pstryknął palcami, nakazując woźnicy jechać. Konie ruszyły lekkim krokiem.

- Zdążymy na pociąg? - zapytała zatroskana Helena, łan odchylił głowę do tyłu i się roześmiał.

- Mam taką nadzieję! Ale nic się nie martw. Ruszy dopiero, jak dotrzemy. W końcu jest moją własnością.

- Pociąg należy do ciebie?

Helena spojrzała na niego zaskoczona, łan pokręcił głową rozbawiony. Jego spojrzenie błędziło po tłumie ludzi na zewnątrz, tłoczących się wokół powozu.

- Przynajmniej wagon. Lokomotywę łącznie z palaczem i maszynistą oraz obsługę torów wynajęłam za, powiedzmy, odpowiednią opłatą. Jeśli ma się dość pieniędzy, można kupić wszystko, sama powinnaś to wiedzieć. - Jakiś cień przemknął mu po twarzy. - Prawie wszystko - dodał ciszej. Jego oczy przez przelotną chwilę stały się matowe, niemal szare, by potem znowu przyjął znaną Helenie barwę nocnej czerni.

Milczała zakłopotana, opuściła wzrok na dłonie, a potem jeszcze raz odwróciła się w kierunku nabrzeża. Czarny kadłub „Kaliki”, pozostający coraz bardziej w tyle, odznaczał się na tle innych statków - białych, ołowianoszarych, w kolorach minii i ochry. Helena zastygła w osłupieniu, zobaczywszy coś, czego nie dostrzegła, gdy wyruszali nocą w rejs (zdawało się, że wieczność minęła od tego czasu) ani podczas podróży: dziób statku

zdobiła pomalowana, groźnie uniesiona kobra z rozdziawioną paszczą wyposażoną w ostre zęby, gotowa do ataku.

Powóz przeciskał się powoli przez ulice miasta. Inne powozy oraz riksze ciągnięte przez kulisów zbliżały się do nich z naprzeciwka, ale nie w linii prostej, lecz w poprzek, hamując i blokując się wzajemnie. Niedożywione dzieci biegły obok ich powozu i wyciągały chude ramionka, szarpały Helenę za rękawy sukni w kolorze skorupki jajka, wystawiając prosząco ręce.

- Memsahib, memsahib, *rupee, rupee!* - wołały.

Helena popatrzyła na lana z lękiem i błagalnie, ale on pokręcił ostrzegawczo głową i uwolnił jej suknię z przytrzymujących ją dziecięcych rączek, krzycząc przy tym na malców w języku hindustani.

- *Djaoo! Djeldii*, odczepcie się! - zawołał Mohan Tadżid i gwałtownymi uderzeniami odepchnął ramiona, które tym razem wyciągnęły się po drugiej stronie powozu. Tymczasem Jason zrobił ze strachu wielkie oczy i przytulił się do siostry.

- Dlaczego im nic nie dasz? - Helena spojrzała gniewnie na lana. - Przecież jesteś bogaty.

- Właśnie dlatego. Gdybym im coś dał, w mgnieniu oka ro-zeszłaby się wieść, że tym powozem jedzie hojny sahib. Jeszcze jedno mgnienie oka i otoczyłaby nas tłuszcza, która nie zawahałaby się rozplatać nam czaszek w biały dzień, na środku ulicy, żeby zabrać i spieniężyć wszystko, co się tylko da. - Helena spojrzała na niego nieufnie, lecz on spokojnie wytrzymał jej wzrok. - Wierz mi, są inne sposoby, żeby pomóc tym ludziom, nie poniżając ich przy tym.

- Mianowicie?

Głos Heleny wciąż jeszcze brzmiał ostro.

- Na przykład dając im pracę za przyzwoite wynagrodzenie. Jest wielu, którzy tak robią.

Nagle Helena uświadomiła sobie, że łań wciąż jeszcze trzyma jej dłoń i lekko gładzi kciukiem jej wierzch. Chętnie wyrwałaby mu rękę, a jednocześnie ten delikatny dotyk powodował miły dreszcz, który rozchodził się po jej ciele. Na jego twarzy pojawił się lekki uśmiech, jakby się domyślił, co czuła.

-Twoje oczy są takie czarujące, gdy się złościysz.

Helena zaczerwieniła się i gwałtownie wyrwała mu rękę. Schowała ją w drugiej dłoni, którą trzymała na kolanach, lecz długo czuła gorący dotyk łań. Przekornie wysunęła brodę do przodu i wyjrzała na zewnątrz.

Dostrzegła, że łań przygląda się jej z uśmiechem po części rozbawionym, a po części ironicznym.

Powóz poruszał się naprzód w żółtym tempie. To, co Helena ujrzała, zrobiło na niej porażające wrażenie. Handlarze, którzy porozkładali swoje towary na ulicy - biżuterię z błyszczącego na słońcu srebra i złota, przyprawy w barwach oliwkowej, pomarańczowej, żółtej, we wszystkich możliwych odcieniach brązu i czerwieni, połyskujące, zadrukowane i haftowane bele materiałów w kolorach różowym, turkusowym, ultramaryny, szkarłatnym, zielonym, fioletowym, które powtarzały się w ubiorach przechodzących kobiet. Ubiór taki składał się z nieskończenie długiego pasa tkaniny owiniętego wokół ciała według określonego wzorca, a końcem owego pasa wiele kobiet okrywało sobie głowę.

Mohan Tadźid wyjaśnił Helenie, że strój ten nosi nazwę *sari*. Okaleczeni żebracy w łachmanach siedzieli skuleni w cieniu rzucanym przez brudne ściany domów; chude krowy, obojętnie przeżuając, przepychały się wśród ludzi. I ludzie, pełno ludzi, hałasujących, spoconych, przeciskających się - puciołowate i zapadłe twarze, błyszczące życiem i wyglądające jak martwe, jedne jasnoskóre, inne natomiast prawie czarne, o włosach czarnych lub brązowych; śpieszący się lub stojący, albo siedzący apatycznie na rogach ulic mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy.

Celem jazdy powozem był Central Station, kamienny budynek ze szklanym dachem; identyczny dworzec mógłby równie

dobrze stać w jakimś angielskim mieście. Ludzie wciąż jeszcze przepychali się wokół nich, ale trzech Hindusów w białych mundurach i szkarłatnych, jaskrawo połyskujących turbanach poprowadziło ich pewnie do wnętrza dworca, gdzie dojdzie do jednego z torów odgrudzone było grubym sznurem. Czekał tam na nich wagon z sapiącą już lokomotywą, długi może na dziesięć metrów; front miał wykonany z czerwono-półskującego drewna; przez szerokie okna widać było wąski korytarz, od którego odchodziły drzwi prowadzące do poszczególnych przedziałów.

Jeden z Hindusów pomagał właśnie Helenie wejść na schodki, gdy głośne wołanie sprawiło, że znieruchomiała.

- *Huzoor, huzoor!*

Podbiegł niski, szczupły mężczyzna, dysząc ciężko i machając kopertą. Skłonił się nisko i podał ją łanowi, mówiąc coś wylewnie w języku hindustani, za szybko jednak, by Helena mogła zrozumieć choć jedno słowo, łan zmarszczył czoło, chwycił niecierpliwie kopertę, a goniec czekał na reakcję pana, z trudem łapiąc oddech.

- Złe wiadomości? - zapytała Helena.

Łan oderwał wzrok od linijek i przez moment spojrzął na nią nerwowo, ale szybko znów się opanował.

- Nie. - Zmiał pismo w ręce, zdradzając w ten sposób tłumioną złość. - Jednakże muszę natychmiast ruszać w drogę. Jedźcie sami, ja do was dołączę.

-Ale...

Nie zwracając uwagi na nieśmiały protest Heleny, odszedł pośpiesznie wraz z gońcem. Helena patrzyła na niego jak urzeczona.

- Niech pani wsiada. - Mohan Tadzid dotknął lekko jej pleców i kiwnął głową, dodając jej odwagi. - Niech się pani nie martwi, łan wkrótce do nas dołączy.

Helena z ociąganiem wspięła się po wąskich żelaznych schodkach.

Mohan Tadzid po raz kolejny odgadł jej myśli. Była

to jedynie króciutka chwila, która nie trwała dłużej niż pojedyncze uderzenie serca, ale Helena, zobaczywszy twarz lana czytającego list, poczuła strach. *Co będzie z nami, jeśli jemu coś się stanie?* Zrugła samą siebie za tę nieracjonalną obawę, a jeszcze bardziej za to, że bez lana poczuła się nagle taka bezbronna.

Drzwi zostały zamknięte od zewnątrz, lokomotywa wydała ostry gwizd, a po chwili z sykiem i dudnieniem ruszyła powoli, nieskończenie ociężale, potem zaczęła przyspieszać, wyjechała z półmroku dworca, wywożąc ich w jaskrawe światło słoneczne. Pociąg przeskoczył przez zwrotnicę raz i drugi raz, z umiarkowaną prędkością niósł ich przez miasto wzdłuż ulic oraz ich przecznic, potem przyspieszył i jechał przez płaskie zielono-brązowe pola, na których stały pojedyncze drzewa, w kierunku przesłoniętego oparami niebieskiego wzgórza na horyzoncie, w głąb Indii.

9

Promienie słońca wpadały skośnie przez okno salonki, wciąż jeszcze złociste i nieobciążone miedzią wieczoru. Helena zacisnęła oczy, które piekły ją od wielogodzinnego wyglądania przez okno. Równomierny stukot kół i bujanie pociągu usypiały ją. Ni to czuwając, ni to drzemiąc, zerkła na gęste lasy, które mijali po drodze, szerokie pola, puste, a jednak mimo panującej w Indiach zimy w żadnym razie nie martwe; widziała wilgotne powierzchnie, na których nad delikatnymi źdźbłami ryżu pochylały się kobiety w kolorowych sari wraz ze swoimi dziećmi - wszyscy po kostki w wodzie; za zaprzęgami ciągnionymi przez woły kroczyli chłopcy. Po drodze mijali niebieskoszare wzgórza na horyzoncie i przypominające schody formacje skalne, które podnosiły się z równiny, pnąc się w górę, rzadziej jakieś miasto, małe wioski, rzeki, które przekraczali po dudniących mostach. Wzrok Heleny

śledził stada ptaków, które wznosiły się ku niebu, kaczki i gęsi rozpierzchające się nerwowo, gdy pociąg toczył się po torach prowadzących prosto, prawie jak po sznurku, w kierunku, gdzie krajobraz zdawał się niczym nie różnić od tego z poprzedniego dnia, kiedy zostawili za sobą Bombaj.

Odchyliła głowę do tyłu, opierając ją na wysokim oparciu brązowej aksamitnej sofy, która zajmowała prawie całą długość przedziału; znajdowały się tu jeszcze dwa fotele do kompletu w tym samym kolorze. Filizanka z herbatą, stojąca na czerwonym obrusie haftowanym w złote pawie, brzęczała w rytm ruchu pociągu, stukając o spodek, wtórował jej brzęk oszklonej szafki na książki stojącej w rogu pomieszczenia. W przeciwległym rogu znajdował się czerwony szezlong, przy którego wezgielciu stał mały czerwony stolik z szachownicą. Na podłodze leżały grube dywany, spod których wystawał jedynie niewielki fragment dębowego parkietu. Cały wagon urządzono tak, by monotonne, długie podróże przebiegały w jak największym luksusie. Pierwszy przedział za lokomotywą był królestwem służby, mieścił kuchnię, magazyn oraz sypialnie; w drugim spała Helena z Jasonem; potem był salon, a na końcu wagonu znajdował się jeszcze jeden przedział, zastrzeżony najwidoczniej dla pana, bo gdy Helena nie mogła okiełznać swej ciekawości i chciała tam zajrzeć, drzwi były zamknięte.

Usłyszała szelest jedwabiu i uniosła wzrok. Przed nią skłoniła się wdzięcznie Szuszila.

- Memsahib, jeszcze herbaty? - zapytała cichym głosem w języku hindustani, starając się mówić wolno i wyraźnie, żeby Helena mogła ją zrozumieć.

Helena pokręciła głową i popatrzyła za nią, obserwując, jak sprężyste porusza się Hinduska po pomieszczeniu, dolewając herbaty Mohanowi Tadżidowi i Jasonowi, którzy siedzieli po skosie przy stole jadalnym nad książkami i zeszytami.

Przypatrując się młodej Hindusce, poczuła ucisk w żołądku ze zmieszania i zazdrości. Szuszila miała włosy czarne jak lak,

błyszczące i związane w prosty kok, oczy w kształcie migdałów, gęste, ciemne rzęsy jak dwa wachlarze rzucały cień na kości policzkowe. Chociaż była niska i drobna, miała krągłe piersi i biodra, uwydatniane przez jasnoniebieskie sari ze srebrną lamówką, szeleszczące kusząco przy każdym ruchu. Szybkimi, zgrabnymi ruchami, które powodowały pobrząkiwanie niezliczonych srebrnych obręczy na jej szczupłych, smagłych ramionach, wymieniła pusty talerz po herbatnikach na pełen. Jason rzucił się chciwie na świeżą porcję ciasteczek. Hinduska nie była elegancka w ten sztywny sposób, w jaki są eleganckie angielskie damy, lecz w całkiem inny - miękki, kobiecy, zmysłowy. Helena miała wrażenie, że jest przy niej niezgrabna i kanciasta. *Czy Ian uważa ją za ponętą?* - przemknęło jej przez głowę. Przegnała szybko tę myśl, a jednak pozostał w niej jakiś niesmak.

- A gdy wykonasz te działania, to co ci wyjdzie?

Jason wpatrywał się ze zmarszczonym czołem w papier; widać było, że intensywnie myśli. W końcu jego twarz się rozjaśniła i z wysuniętym językiem pospiesznie nabazgrał piórem rozwiązanie.

- Bardzo dobrze, a więc już to opanowałaś! - roześmiał się Mohan i przejechał mu dużą brązową dłonią po włosach.

Rozpromieniony Jason chwycił kartkę, rzucił się na sofę obok siostry i z triumfem przystawił jej swoje obliczenia niemal do samej twarzy, tak że widziała jedynie rozmazane znaki.

- Popatrz, Nela, zrozumiałem!

Helena pozwoliła, żeby Jason krok po kroku wyjaśnił jej działania, chociaż i tak niewiele z tego pojęła. Uniosła wzrok.

- Skąd pan to wszystko umie, Mohanie? Hindus uśmiechnął się do Heleny.

- Miałem to szczęście, że wychowałem się nie tylko w starej tradycji mego narodu, ale też przez długi czas miałem angielskiego nauczyciela. Moja rodzina doceniała kulturę i wiedzę angielskiej potęgi kolonialnej.

Helena przytaknęła, jakby wszystko zrozumiała, ale w gruncie rzeczy nie miała pojęcia, jak ktoś taki jak Mohan Tadźid, pochodzący najwidoczniej z zamożnej rodziny, mógł teraz służyć łaNOWI. Oficjalnie był jego sekretarzem, z pewnością kimś więcej, zaufanym powiernikiem, ale mimo to służącym, zupełnie jak Szuszila i Hindusi z pistoletami za pasem i długimi mieczami przy boku, którzy nieprzerwanie wpatrywali się z przodu i z tyłu wagonu w mijany krajobraz.

Pociąg spowolnił, szarpnął lekko, gdy zadziały hamulce, w końcu zatrzymał się ostrożnie wraz z sapiącą lokomotywą.

- Czy mieliśmy wypadek?

Jason ukląkł na sofie i przycisnął nos do szyby. Popatrzył uważnie na srebrzyście połyskujące listki pojedynczych pędów bambusa, drzew tekowych i sandałowców, które wdzierały się do długiego, ale w połowie zapadłego muru twierdzy, zarosły go w dużej części, a potem przechodziły w gęsty las, ciągnący się aż po płaskie wzgórza na horyzoncie.

Mohan wyciągnął z kieszeni mały zegarek.

- Prawdopodobnie pora, żeby uzupełnić zapasy węgla. Jechaliśmy dość szybko. Zostawiliśmy już za sobą Indore.

- Zbliżają się dwaj jeźdźcy! - zawołał podekscytowany Jason.

Helena szybko się wyprostowała. Konie pędziły ostrym galopem, były coraz bliżej, omijały zygzakiem drzewa i krzewy oraz ich smagające gałęzie. Spod kopyt unosiła się czarna, żyzna ziemia. Mimo szybkiego tempa ruchy mężczyzn były lekkie i zwinne.

- łaN, to łaN! - zawołał uradowany Jason i wybiegł z przedziału.

Helenie serce zaczęło bić mocniej, usiadła z powrotem na sofie.

Mimowolnie wykonała ruch ręką, jakby chciała odgarnąć z twarzy pasemka włosów, obciągnęła długie rękawy białej, pracowicie obhaftowanej niebieskimi kwiatuśkami sukni, wygładziła materiał wąskiej spódnicy.

Po chwili w przedziale znalazł się łań, roześmiany i żartujący z Jasonem, jego wysokie buty były zakurzone, biała koszula wilgotna od potu. Przedział, który jeszcze chwilę temu był taki cichy, prawie uśpiony, wibrował teraz od ożywczej, prawie zniewalającej energii, którą przyniósł ze sobą łań. Z westchnieniem usiadł ciężko w jednym z foteli. Natychmiast zjawiała się przy nim Szuszila i podała mu filiżankę herbaty. - Przygotuj mi zaraz kąpiel - powiedział do niej w języku hindustani. Helena zwróciła uwagę na sposób, w jaki Szuszila spogląda na łań, jak mu podaje filiżankę, a potem opuszcza salon, żeby spełnić jego życzenie. W sercu Heleny zrodziło się nagle podejrzenie, że ci dwoje są sobie bardzo bliscy, bliżsi, niż zazwyczaj bywa między panem a służącą. To podejrzenie ukłuło ją boleśnie w serce, a błysk w oczach łań, gdy spoglądał ponad brzegiem filiżanki, oraz ironiczny grymas w kącikach ust zdradziły Helenie, że odgadł jej myśli, a nawet czerpał z nich przyjemność. Poczwała do niego wstręt.

Tej nocy Helena źle spała; nawet monotonne dudnienie kół, które już dawno ukołysało Jasona, przenosząc go do królestwa snów, nie zdołało zagłuszyć jej myśli. Rzucawa się na posłaniu, wyobrażając sobie łań w wannie i Szuszilę masującą mu ramiona, żeby odprężyć mięśnie napięte od konnej jazdy, a potem jak on ją całuje, jak jego usta wędrują po szczupłej brązowej szyi Hinduski, jak jego dłonie kładą się na jej pełnych piersiach, jak ona z podniecenia jęczy, a w końcu on ciągnie ją do swego łóżka i odwija z sari. Helena nie chciała o tym myśleć, a jednak te obrazy wciąż do niej wracały, wyłaniając się z ciemności nocy. Cicho, żeby nie zbudzić Jasona, wysunęła się spod kołdry, chwyciła czerwony paszminowy szal, którego wzór przypominał wygięte krople, do ręki wzięła stojącą na stoliku nocnym lampę z przykręconym knotem.

Po cichu przemknęła bosą korytarzem, na którym obok każdej drzwi płonąła mała latarenka dająca stłumione światło. Ostrożnie zamknęła za sobą drzwi salonu. Szła w kierunku sofy prawie po omacku. Lampa dawała niewiele światła, ale Helena nie miała odwagi zwiększyć płomienia.

Syk zapalanej zapalniczki sprawił, że lekko krzyknęła i odwróciła się gwałtownie. Ledwo zdołała utrzymać lampę, która o mało nie wysliznęła się jej z dłoni.

- Nie spał, proszę, wagonu. Dużo kosztował, a do Dżajpuru jeszcze szmat drogi.

Płomień zapalniczki na moment rozświetlił twarz łana, rzucał drgające cienie, w końcu zgasł i widać było jedynie żar zapalonego papierosa.

- Co tu robisz? - zapytała zaskoczona Helena w kierunku szezlonga. Łan roześmiał się krótko.

- Mógłbym spytać ciebie o to samo. W końcu to mój pociąg. -Ja... nie mogłam zasnąć, a nie chciałam obudzić Jasona. Helena wciąż jeszcze stała pośrodku salonu, trzymając lampę mocno przyciśniętą do siebie.

- W takim razie z tobą jest tak jak ze mną. Mohan ma lekki sen, przypuszczam, że to wrodzona czujność wojownika. Bądź, proszę, tak dobra i odstaw lampę, zanim wyrządzisz jakąś szkodę.

Usłyszała, że łan wstaje. Rozbłysła kolejna zapalniczka, łan zapalił jedną z lamp umocowanych na ścianie. Posłusznie odstawiła lampę i zgasła ją. Łan przykręcił knot, tak że pomieszczenie było rozświetlone przytłumionym światłem sięgającym jedynie do końca szezlonga.

Niespodziewanie zapiszczały hamulce i pociąg szarpnął gwałtownie. Helena straciła równowagę i wpadła na łana. Przez krótką wieczność żelazo tarło o żelazo z okropnym, przenikliwym zgrzytem, w końcu pociąg się zatrzymał, a lokomotywa wydawała z siebie zmęczone i przestraszone sapnięcia.

Oboje upadli łagodnie na szezlong. Nagła cisza była ogłuszająca, jakby hamulce pociągu uciszyły cały świat. Trwało to sekundy, lecz Helenie wydawało się, że godziny, w ciągu których uświadomiła sobie, że łan połową ciała leży na niej. Jego ramiona obejmowały ją ciasno, przyciskały do siebie tak mocno, że przez cienki materiał czuła ciepło jego skóry, twardość mięśni. Zrobiło jej się strasznie gorąco. Jakieś napięcie w niej puściło, coś, co przedtem było skurczone i ściągnięte, stało się teraz miękkie i odprężone. Był tak blisko niej, że wyraźnie czuła jego zmysłowe wargi przesłonięte częściowo zarostem, widziała drobne zmarszczki pod oczami, w tej chwili tak ciemnymi i spokojnymi; czuła zapach świeżej koszuli, tytoniu, cierpkiego mydła i jeszcze czegoś, co mogło być jego własnym zapachem, męskim, przypominającym aromat drewna. Jej spojrzenie padło na bliznę na jego policzku, poszarpaną i nieregularną, sięgającą od kości policzkowej prawie po brodę. Nie wiedziała, skąd się wzięła ta blizna, ale była przekonana, że swojego czasu musiał odczuwać okropny ból. Helena nie mogła się powstrzymać, musiała jej dotknąć, pogłaskała delikatnie opuszkami palców, a z oczu popłynęły jej łzy.

Na zewnątrz i w środku pociągu rozległy się głośnie nawoływania mężczyzn w języku hindustani, ciężki tupot strażniczych butów dudniący wzdłuż korytarza, rzenie przestraszonych koni, potem strzały, dwa, trzy, potem kolejne, i krzyki, które odbijały się echem w ciemnościach nocy. Łan oderwał się od niej.

- Muszę sprawdzić, co się stało. Jego głos zabrzmiał szorstko.

- Nieee!

Helena przytrzymała go za koszulę. Nieważne, co się stało na zewnątrz.

Ona i on tu, w salonce, razem, byli bezpieczni. Nie mogła znieść myśli, że łan wystawi się na niebezpieczeństwo czyhające poza ścianą z żelaza, stali i drewna.

- Cieszę się, że nagle zrobiłaś się taka przylepna. To naprawdę warte całego tego zamieszania. - W jego oczach zalśnił uśmiech, którego ciepło kłóciło się z ironicznym tonem głosu. Zdecydowanie odsunął ją od siebie i wstał. - Idź do Jasona, na pewno ciebie teraz potrzebuje.

W tym samym momencie Jason otworzył gwałtownie drzwi i rzucił się Helenie w ramiona, łan, nim pospiesznie wybiegł na zewnątrz, rzucił na nich krótkie, wymowne spojrzenie, którego Helena nie potrafiła zinterpretować.

Wydawało jej się, że czas stanął. Z daleka słyszała stłumione męskie głosy, ale były zbyt ciche, żeby odgadnąć, co się tam działo. Przemawiała uspokajająco do Jasona, kołysała go w ramionach, choć ją samą strach trzymał w żelaznych kleszczach. Minęły minuty czy może godziny. Nie wiedziała, straciła wszelkie poczucie czasu. Czekala... Czekala...

W głębi snu poczuła, że jest podnoszona do góry. Z dala usłyszała sapnięcie lokomotywy, poczuła wibracje jadącego pociągu, Z trudem otworzyła oczy i spojrzała wprost w oczy lana.

- Co... - wykrztusiła, oszołomiona snem.

- Szszsz... - odpowiedział, uśmiechając się prawie niewidocznie. - Nie martw się, wszystko jest w porządku. Zasnęłaś w salonie.

Miała ciężką głowę; złożyła ją mimowolnie na ramieniu lana, zamknęła powieki.

- Jason?

- Mohan właśnie zaniósł go do łóżka - szepnął jej we włosy. Uczucie bezpieczeństwa, które w niej wywołał, sprawiło, że uśmiechnęła się w półśnie.

Poczuła stopami prześcieradło, kołdrę okrywającą jej ciało, muśnięcie czoła, nie wiedziała, czy ręką, czy wargami, nie mogła odróżnić, potem znowu odpłynęła do krainy snu.

Gdyby się ocknęła, stanęła przy oknie i wyjrzała na zewnątrz, dostrzegłaby zwłoki pięciu zamaskowanych mężczyzn leżące przy torach.

- Dzień dobry, memsahib.

Szuszila odsunęła ciężkie zasłony, a Helena spojrzała w jasne światło dnia. Jęknęła cicho. Bolał ją każdy mięsień, a na dodatek także głowa.

- Chce pani zjeść śniadanie w łóżku czy towarzyszyć hu-zurowi w salonie?

Serce Heleny przepełniała radość. Wspomnienie poprzedniej nocy, jego bliskości i dotyku, sprawiło, że po jej ciele przeszedł przyjemny dreszcz.

- Chyba... przejdę do salonu.

Za parawanem Helena ściągnęła przez głowę nocną koszulę, szybko się umyła i włożyła długie do kostek pantalonki oraz ozdobioną koronkami koszulkę na ramiączkach - zanadto wstydziła się pokazywać nago

Szuszili; dopiero wtedy pozwoliła jej pomóc sobie przy wkładaniu

gorsetu i zapinaniu wielu drobnych haftek przy muślinowej sukni. Gdy

Szuszila wyszła, żeby przygotować śniadanie, Helena jeszcze raz

spojrzała krótko w lustro na toaletce, obejrzała się krytycznie, przejechała

dłońmi po dzikiej grzywie, żeby ją przygładzić, zmarszczyła czoło i

westchnęła bezgłośnie. Na nic się to wszystko nie przydało, nie była

piękna i nigdy nie będzie. Czy łań też ją tak postrzega? Pokręciła głową

sama nad sobą, wyciągnęła przekornie brodę do przodu i odwróciła się

energicznie od swego niezadowolającego odbicia lustrzanego.

Serce waliło jej mocno, gdy otwierała drzwi do salonu, łań siedział przy

zastawionym stole, przed sobą miał filiżankę parującej herbaty,

spojrzenie utkwione w gazecie.

- Dzień dobry - przywitała go radośnie i usiadła.

- Dzień dobry - odpowiedział lodowato, nie spojrzawszy nawet na nią.

Szuszila postawiła właśnie przed nią filiżankę gorącej czekolady i z

powrotem wycofała się dyskretnie, jak to miała w zwy-

czaju. Helena sięgnęła po bułeczkę i uśmiechnęła się do łana, starając się mówić lekkim tonem:

- Gdzie są Mohan i Jason?

- Z przodu, u maszynisty - odpowiedział półgębkiem.

- Co się stało wczoraj w nocy? - zapytała, by kontynuować rozmowę. Łan z szelestem przerzucił stronę, nie podnosząc wzroku.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Helena spojrzała na niego z niedowierzaniem, sięgając po masło.

- Ten hałas, pociąg nagle się zatrzymał, strzały...

- Musiało ci się przyśnić.

Helena upuściła z brzękiem nóż na talerz.

- Nie przyśniło mi się! Wiem dobrze, co słyszałam! Łan spojrzał na nią krótko spod ściągniętych brwi.

- Jak masz zły humor, to nie wyzywaj się na naszej zastawie - rzekł, po czym znów zagłębił się w lekturze.

- Nie mam złego humoru, łanie, na Boga, jestem twoją żoną, mam prawo wiedzieć, co się stało!

Łan energicznie złożył gazetę, rzucił ją za siebie na szezlong.

- Wobec angielskiego prawa jesteś moją żoną, ale nie mogę sobie przypomnieć, żeby to „małżeństwo” zostało skonsumowane. A może zostało, tylko nie było to warte zapamiętania?

Helena zeszywniała, a krew napłynęła jej do twarzy. Łzy stanęły jej w oczach, opuściła głowę, żeby łan nie zobaczył, że płacze. Zerkając spod mokrych powiek, dostrzegła, że łan skończył herbatę i wstał. Wzdrygnęła się, gdy zatrzasnął za sobą drzwi, a wtedy powstrzymywane łzy popłynęły jej ciurkiem, soląc stygnącą czekoladę.

10

Dżajpur został wzniesiony dopiero w 1727 roku przez maharadżę Dżai Singha II według jego własnych planów, jako stolica zjednoczonego państwa, wcześniej podzielonego na mniejsze księstwa. Miasto stało się wschodnią bramą do kraju radżputów. Panorama miasta składała się z domów stojących obok siebie jak pudełeczka, ich fasady nachodziły jedna na drugą, ulice były proste, uporządkowane jak Unie na

szachownicy i ożywione. Dominował tu intensywny róż - kolor gościnności radżputów. Mohan Tadżid poinformował, że zabudowania miasta zostały na nowo świeżo pomalowane na rozkaz obecnego maharadży Mana Singha z okazji wizyty księcia Walii. Helena rzuciła kilka spojrzeń na miasto przez szparę między żółtymi jedwabnymi zasłonkami powozu, ale łan odciągnął ją energicznie od okna.

- Tu obowiązuje prawopurdah - wyjaśnił Mohan Tadżid tytułem przeprosin, widząc oburzone spojrzenie Heleny i domyślając się, że ma na końcu języka jakąś ostrą ripostę. - To jest ścisły rozdział między mężczyznami i kobietami. Kobiety, zwłaszcza szlacheckiego pochodzenia i zamożne, nie mogą być widziane publicznie. To niestety dotyczy też angielskich memsahib.

Z uśmiechem skłonił głowę w jej kierunku.

Helena spojrzała gniewnie na łana, ale ten patrzył chłodno w bok. Powóz skręcił raz, drugi raz, potem dłuższy odcinek jechał prosto, potem znowu zakręcił, i jeszcze jeden. W końcu się zatrzymał. Helena usłyszała, jak woźnica rozmawia z dwoma mężczyznami. Później powóz znowu szarpnął, ruszył, przejechał ostrożnie gładką nawierzchnią, zatoczył lekki półokrąg i znów zatrzymał się łagodnie. Drzwi zostały otwarte od zewnątrz, do środka wpadło oślepiające światło słoneczne. Hindus w czerwonym

turbanie, białych spodniach do jazdy konnej i długim czarnym kaftanie skłonił się tak nisko, że prawie dotknął czołem ziemi.

- *Khushdmdi!* - powiedział czołobitnie, nie odrywając ani na chwilę wzroku od czubków swoich butów.

Mohan Tadzid pomógł Helenie wysiąść z powozu. W myślach po raz kolejny przeklęła wąskie suknie. Ciągle miała wrażenie, że się zaplącze obcasami butów w ich długich fałdach. Ciekawie rozejrzała się wokoło. Znajdowali się na przestronnym dziedzińcu, którego nawierzchnia wyłożona była gładkimi, dużymi kamiennymi płytami w kolorze skorupki jajka, podobnie jak fasada szerokiego wejścia, nad którą rozciągał się łukowaty portal. Trzy kondygnacje z różowego piaskowca, okna w szpic, z okrato-waniem w misterne wzory. Najwyższa kondygnacja zwieńczona była nadbudówkami przypominającymi wieże zakończone metalicznie połyskującymi kopułami. Poprzez kratki w oknach znajdujących się na samej górze można było dostrzec prześwitujące niebo. Dziedziniec z trzech stron był zabudowany, czwartą stronę stanowił wysoki na dwa piętra mur, przez którego masywną bramę właśnie przejechali. Z daleka dobiegał gwar głosów i hałas uliczny, wciąż głośny, choć stłumiony przez masywny mur.

Przez szeroko otwarte hebanowe drzwi wejściowe, nieco cofnięte, umieszczone pod portalem, wyszedł wysoki i krępy Hindus. Również on miał na głowie czerwony turban i nosił białe spodnie do konnej jazdy, a do tego złoty sznur, ale jego długi biały kaftan z małą stójką połyskiwał złotymi i czerwonymi haftami. Miał przyjazną, krągłą twarz, a jego krzaczaste wąsy zdawały się drżeć z zadowolenia. Rozłożył zamasyżście ramiona.

- Radziw, *khushdmdi* - zawołał dźwięcznym głosem, podszedł do lana i złożywszy dłonie, skłonił się krótko. - *Namaste* - powiedział równie formalnie co ciepło.

Łan poszedł w jego ślady, po czym obaj zmierzyli się krótko wzrokiem, wybuchnęli głośnym śmiechem, uścisnęli sobie dłonie i objęli się serdecznie.

Zapytali się nawzajem o samopoczucie:

- *Tum kaise ho?*

A następnie zapewnili, że mają się dobrze:

- *Main kaise huuñ!*

Po czym gospodarz pozdrowił w ten sam sposób Mohana Tadżida.

- A to jest moja żona - łan przeszedł na angielski i wskazał Helenę.

- Ach - zdziwił się Hindus, a jego oczy zabłyśły radośnie. Złożył dłonie i skłonił się w pół. - *Ñamaste, Shrtimatii Cza...* - Spojrzawszy na łana, poprawił się: - ... Neville. Jestem Adžit Dżai Czand. To dla mnie zaszczyt, że mogę powitać panią w moim skromnym domu.

Mówił bezbłędnym angielskim, acz z silnym obcym akcentem.

Zakłopotana Helena lekko dygnęła.

- A to jest mały sahib - rzekł łan, wskazując Jasona. Czand schylił się ku chłopcu i podał mu rękę.

- *Khushámdiw* Dżajpurze - pozdrowił go serdecznie, aż Jason pokraśniał z dumy, po czym wskazał im drogę zamaszystym ruchem ręki, mówiąc: - *Tjárhnaa, tjárhnaa*, do środka, do środka. Na pewno chcecie się odświeżyć po długiej podróży. Czujcie się jak u siebie w domu!

Helena była zupełnie wyczerpana, ale w szerokim łóżku pod gładką pościelą nie udało jej się znaleźć spokoju. Wrażenia dnia były zbyt różnorodne, zbyt kolorowe, zbyt egzotyczne. Armia trajkoczących kobiet, wszystkie niższe od niej, ubrane w błyszczące sari, przyjęły ją w wysokiej marmurowej sali i poprowadziły do zenany, części domu, która była zastrzeżona dla kobiet. Dwie z nich zbliżyły się do niej i zaczęły rozpinąć haftki i rozwiązywać sznurówki jej gorsetu. Helena najpierw głośno protestowała,

ale w końcu się poddała, stwierdziwszy, że jej protesty na nic się nie zdają. Napuszczono dla niej wody do kąpieli, na powierzchni pływały różane płatki. Odczuła to jako dobrodziejstwo. Podobnie kojący był dotyk obu młodych kobiet, które natarły jej zmęczone ciało ciężko pachnącymi olejkami. Wciąż jeszcze czuła ten upojny zapach na skórze, która zrobiła się miękka i aksamitna. Teraz włosy Heleny były gładkie i jedwabiste, opadały łagodnymi falami na ramiona. Już nie były szorstkie i sterczące, ponieważ Hinduski natarły je substancją przypominającą pomadę. Następnie włożono jej obcisły, sięgający talii kaftanik, zwany *choli*, z jedwabiu w kolorze butelkowym, z krótkimi rękawkami, zapinany z przodu na guziczki. Potem starannie owinięto wokół jej ciała długi pas tkaniny mieniającej się odcieniami turkusu i zieleni - sari, jakie już nieraz widziała i podziwiała, noszone przez indyjskie kobiety. Czuła się w nim dziwnie, a mimo to przyjemnie jej było czuć je na skórze, poza tym dawało większą swobodę ruchów niż sztywne suknie noszone w Anglii. Jedna z kobiet poprowadziła ją przez wiele przechodnich pokoi. Helena widziała marmury, szlachetne drewno, dywany w kolorowe wzory, jedwabne tkaniny, srebrne świeczniki, wszystko wytworne, a jednak lekkie i subtelne. Weszły do dużego pomieszczenia, gdzie na podłodze leżało dużo kolorowych jedwabnych poduszek. Hinduska, która mogła mieć już grubo po pięćdziesiątce, o pulchnej sylwetce, ubrana w pomarańczowoczerwone sari z szeroką złotą lamówką, patrzyła na nią wyczekująco. Helena domyśliła się, że ma do czynienia z panią domu. Wpadła w panikę. Jej hindustani nie był na tyle dobry, żeby mogła prowadzić uprzejmą konwersację ze swoimi gospodarzami. Zaczerpnęła głęboko powietrza, zdecydowana, żeby przynajmniej zrobić początek, złożyła dłonie i skłoniła się lekko.

- *Namaste*'.

Ciemne oczy kobiety rozpromieniły się. Uczyniła identyczny gest i odpowiedziała:

-*Namaste, Shrii matii* Neville. Jak widzę, szybko się pani nauczyła obyczajów tego kraju. - Mówiła równie bezbłędnym angielskim co jej mąż, ale z wyraźnym akcentem.-Jestem Lakszmi Czand i dzisiaj wieczorem będę pani towarzyszyć.

Helena roześmiała się z ulgą.

- O, jak to dobrze, że mówi pani po angielsku! Lakszmi Czand ponownie skłoniła się lekko i skromnie uśmiechnęła.

- Niestety, nie władam angielskim zbyt dobrze. Ale proszę, niech pani usiądzie. - Wskazała jej niski rzeźbiony stolik i haftowane wyściełane siedziska. - Kazałam przygotować co nieco do jedzenia, żeby mogła pani poznać naszą tutejszą kuchnię.

Na srebrnej tacy, dużej jak blat stołu, znajdowały się w ozdobnych miseczkach ryż basmati, po części naturalny, po części zabarwiony na żółto szafranem, *chapati*, czyli cienkie, pieczone na chrupko placuszki, kurczak w sosie curry, smażone krewetki, *pakora*, czyli warzywa zasmażane w cieście z sosem miętowym, *chana dal*, czyli żółta soczewica z kokosem, smażona, drobno pokrojona jagnięcina i wieprzowina, do tego różne *ćatni*, to jest sosy, oraz mieszanki przypraw w kolorze szafranowej żółci, cynobru i brązu. Pragnienie gasiło owocowe *lassi* z mango oraz serwowana w małych szklaneczkach herbata.

Lakszmi Czand zachęcała Helenę, by ta wszystkiego skosztowała, tłumaczyła jej dokładnie, z jakiego rejonu pochodzą poszczególne dania i z czego zostały przyrządzone. Helenie wszystko smakowało, choć nie była przyzwyczajona do takich egzotycznych smaków, a niektóre potrawy były wprost potwornie ostre.

- A to, co to jest?

Z ciekawością pokazała na warzywny sos, w którym zanurzyła właśnie kawałek jagnięciny i który jej szczególnie zasmakował.

- To jest *masala bata* z cebuli, imbiru, czosnku, pomidorów i chili.

Pochodzi z ojczyzny pani męża, z Himalajów.

Helena poczuła, jak krew napływa jej do twarzy; nie było to spowodowane ostrością jedzenia, lecz wspomnieniem łana i ciekawym spojrzeniem, którym obdarzyła ją przy tym Lakszmi Czand. Helenie nasunęła się nieodparta myśl, że powodem tej uczyty nie była czysta gościnność, lecz łan.

- Na pewno by się ucieszył, gdyby pani kiedyś coś dla niego ugotowała - powiedziała cicho Lakszmi Czand.

- O tak, na pewno - odpowiedziała Helena z goryczą i tak ostro, że sama się przestraszyła.

- Wszystkich nas zaskoczył wiadomością, że się ożenił - odezwała się po krótkiej przerwie Lakszmi Czand. - Do tej pory miewał... dość powierzchowne relacje z paniami.

Jak z Szuszyłą? - pomyślała Helena i myśl o tym znów ją boleśnie dotknęła.

Lakszmi powiodła wzrokiem po resztkach jedzenia.

- Bardzo się o niego boję - mówiła bardziej do siebie niż do Heleny. - On walczy z demonami, które go ścigają, i nie widzi, że odbierają mu duszę. - Gwałtownie chwyciła Helenę za rękę. - Niech go pani ratuje, póki nie będzie za późno.

-Jak mam to zrobić?

- Kochając go, *betii*. To jedyna rzecz, która go może uratować, i jedyna, której on się boi. A pani to potrafi, wiem o tym, ponieważ ma pani wielkie serce. - Ścisnęła dłoń Heleny, a potem wstała. - Pożegnaj się już z panią, ponieważ jutro bardzo wcześnie ruszacie w drogę. Gita zaprowadzi panią do pokoju. - Szeleszcząc jedwabiem, skierowała kroki w stronę drzwi.

Odwróciła się na moment i dodała: — Cokolwiek by zrobił albo powiedział, niech pani nie zapomina, że to pani jest silniejsza. Powierzam go pani, jakby był moim własnym synem.

Te słowa Lakszmi Czand nie chciały wyjść Helenie z głowy. Także w nocy nie mogła z ich powodu zasnąć i przekręcała się z boku na bok.

Chociaż wysokie, przestronne pomieszczenie było chłodne i przewiewne, miała wrażenie, że się udusi. Zało-

żyła na stopy lekkie skórzane sandałki, a na ramiona zarzuciła sobie paszminowy szal i wyszła na taras przed jej pokojem. Noc była chłodna, ale na zewnątrz poczuła się lepiej. Powietrze było czyste, a jednak w pewien specyficzny sposób ciężkie, jakby nasycone żywicą i zapachem drewna. Głęboko oddychając, zrobiła kilka kroków i doszła do wysokiej, gładkiej balustrady. Drzewo o pierzastych listkach wyciągało swoje gałązki aż do tarasu. Jedwabiste niebo wisiało nisko nad miastem. Na nim połyskiwały gwiazdy jak rozrzucone diamenty. Kilka z nich spadło na ziemię, zabłyśły w regularnym układzie ulic, powoli zgasły w zaułkach ciągle jeszcze ożywionego miasta. Za kilka godzin wyruszą tam, gdzie w ciemności spotykają się niebo i ziemia...

Gdzieś pod nią zbliżały się dwa męskie głosy. Helena chciała szybko wrócić do pokoju, żeby potajemnie nie podsłuchiwać, ale stała jak urzeczona. Usłyszała przesuwanie krzeseł, trzask zapalanej zapalki, potem wzniósł się ku niej na górę dym papierosowy.

Jeden z mężczyzn wydał z siebie głębokie, zadowolone westchnienie.

- Anglicy przynieśli ze sobą dużo dobrych rzeczy.

Helena rozpoznała głos Adzita Dżai Czanda. W ciszy, w której pograżony był dom, mogła dobrze rozumieć to, co mówił w języku hindustani. Drugi mężczyzna milczał.

- A więc ciągle go jeszcze nie znalazłeś? - zapytał Adzit. Skrzypienie plecionki z trzciny zdradziło jej, że towarzysz

Adzita się poruszył, a potem znowu opadł na krzesło.

- Nie. - Helena mimowolnie wstrzymała oddech, usłyszawszy charakterystyczny głos lana, mówiący płynnym hindustani. - Ale w Bombaju otrzymałem wiadomość, która naprowadziła mnie na trop. To tylko kwestia czasu, w końcu go znajdziemy.

- Nie powinieneś dać sobie z tym w końcu spokoju?

- Nigdy w życiu.

Głos lana zabrzmiał metalicznie.

-1 co zrobisz, jak go znajdziesz? Od lat uganiaasz się za nimi wszystkimi, tracisz cenny czas swego życia. Ten jeden człowiek ci umknął, bogowie wiedzą dlaczego. Gdy zrealizujesz swój plan, co wtedy zrobisz?

- Zobaczymy. Może wreszcie odnajdę spokój.

- Radziwie, Radziwie - westchnął Adžit Dżai Czand. - Nie zapominaj, że już nie jesteś sam! Czy to mądre posunięcie, przywozić ją do tego kraju? Czekał najwidoczniej na odpowiedź łana, ale ten milczał, więc Czand znów się odezwał. Tym razem mówił ciszej:

-Jesteś pewien, że atak na pociąg był jedynie próbą rabunku, że nikt cię nie tropił?

- Całkiem pewien.

Adžit Dżai westchnął jeszcze raz.

- Czy nie nauczyłem cię prócz męstwa i ducha walki także ostrożności? Masz teraz rodzinę, za którą jesteś odpowiedzialny. Musisz brać pod uwagę, czy to koliduje z twymi planami, czy nie.

- Wiem - odpowiedział łan markotnie.

- Czy jesteś świadom, przed jakim zadaniem stawiasz żonę, ściągając ją do Indii i narażając na trudy podróży? Cała ta droga' aż tam, do tego miejsca, dobry Sziwo...

- Nie ożeniłbym się z nią, gdybym nie był przekonany, że mogę tego od niej oczekiwać, Adžit-dži.

- Ale z pewnością nie był to jedyny powód.

Minęła może sekunda, może dwie, nim łan odpowiedział:

- Nie.

Adžit Dżai mruknął zadowolony.

- Tak myślałem. Nawet ty nie możesz mi stale czegoś wmawiać. Dzieci nazywały cię wcześniej kameleonem, Radziwie, czyż nie? Sądzę, że dokonałeś trafnego wyboru. Powiesz jej kiedyś prawdę?

łan wydmuchnął głośno dym.

- Kiedyś tak.

- Kiedy?

- Gdy przyjdzie czas. - Jedno z krzeseł zostało nagle odsunięte. - Chciałbym zajrzeć jeszcze do stajni. Nie chcę jutro rano niepotrzebnej zwłoki. Dziękuję za wszystko, Adżit-dži.

Czand również odsunął krzesło.

- Nie masz powodu mi dziękować. Byłeś dla mnie zawsze jak syn, od kiedy...

Głosy ucichły we wnętrzu domu. Helena wpatrywała się jeszcze kilka chwil w mrok nocy. *Radziw kameleon*. Radziw?

11

Było jeszcze ciemno, gdy została zbudzona. W świetle pojedynczej lampy włożyła koszulę o długich rękawach i szerokie spodnie do konnej jazdy, które przyniesiono jej na wyraźne życzenie huzura, jak oznajmiła Gita. Wysokie buty jeździeckie stukały głośno po marmurowej podłodze pustego domu, a gdy wyszła na dziedziniec, słabo oświetlony pochodniami umieszczonymi na ścianach, jej oddech tworzył małe obłoczki pary. Otuliła się szczelniej długą jeździecką kurtką, na nią narzuciła swój czerwony szal. Przez wąskie przejście w murze przeszli do stajni, które znajdowały się wokół małego dziedzińca otoczonego wysokimi ścianami. Ciepły zapach koni i słomy buchnął jej w nozdrza, dając nieoczekiwanie poczucie bezpieczeństwa. Kilka osiodłanych koni stało już w pogotowiu, przestępowały niespokojnie z nogi na nogę, parskały cicho, pragnąc wyruszyć w drogę. Stajenni biegali w tę i w tę, tu poprawili popręg, tam uzdę, mocowali bagaże do końskich siodeł. Helena niemal z ulgą stwierdziła, że w jukach umieszczono zapewne tylko najpotrzebniejsze rzeczy;

nie widać było niezliczonych skrzyń ani niczego z ich drogiej, eleganckiej, ale przez Helenę nieszczególnie lubianej zawartości. Trzej radżpucy wojownicy, którzy czuwali nad nimi podczas podróży tutaj, wskoczyli na siodła, podobnie jak czterech innych Hindusów, których konie były najbardziej obciążone, łan uniósł wciąż jeszcze zaspanego, ciepło odzianego Jasona i posadził na koniu przez Mohanem Tadżidem. Jeden z pacholków podprowadził za cugle piękną klacz i skłonił się nisko przed Heleną. Koń obwąchał ją ostrożnie, spojrzał na nią ciekawie błyszczącymi oczami, a Helena pogłaskała go pieszczotliwie po czole i szyi, szepcząc mu do ucha czułe słowa. Gdy poczuła, że klacz darzy ją zaufaniem, wskoczyła energicznie na siodło. Cieszyła się, mogąc znowu siedzieć na końskim grzbiecie, zrobiła na próbę kilka kroków, by przyzwyczać się do siedzenia w siodle. Podjechał do niej łan na czarnym ogierze. Kiedy włożyła skórzane rękawiczki, kiwnął do niej głową i zapytał: -Jesteś gotowa?

- Jeśli chodzi o mnie, możemy ruszać - przytaknęła.

- Dobrze. Powinniśmy opuścić miasto, zanim zrobi się widno.

Otworzono wąską bramę w jednym z murów okalających dziedziniec. Konie przeszły przez nią powolnym, spokojnym krokiem. Znaleźli się w wąskiej uliczce, gdzie wierzchowce mogły iść tylko jeden za drugim, potem skręcili w jedną z głównych ulic, która o tej porze była cicha i pusta. Stukot kopyt końskich odbijał się głośno od fasad domów. Znow skręt, potem jeszcze jeden, następnie brama, bezpośrednio za którą bruk ustąpił miejsca żwirowi, a dalej ziemi. Zimno otwartego terenu i czerń pustej nocy rozpostarły się przed nimi.

Było tak ciemno, że Helena ledwo mogła dojrzeć własną dłoń trzymaną tuż przed oczami, ale jej klacz dopasowała krok do kroku pozostałych koni, więc mogła luźno puścić cugle. Ze zdziwieniem wpatrywała się w niebo, w gwiazdy, które wydawały

się takie bliskie: pełen arcyzmu baldachim, który wznosił się tuż nad ich głowami, opadając daleko z tyłu, na horyzoncie ku ziemi, po której jechali. Było niezwykle cicho, tak cicho, że odgłos stąpania koni niósł się daleko.

Równomierne ruchy konia sprawiły, że Helena zapadła w drzemkę, zupełnie tracąc poczucie czasu. Mogły minąć minuty albo godziny od momentu, kiedy ruszyli w drogę. Powoli noc zaczęła szarzeć, można było rozpoznać pierwsze kontury powleczone mętym błękitem, suchą ziemię, wystające z niej kamienie, niskie krzewy, trawy, pojedyncze sękate drzewa, spłaszczone kształty gór stołowych po obu stronach horyzontu. Niebo się rozjaśniło, zaczęło połyskiwać najpierw na biało, potem na niebiesko. Złote światło oświetliło im plecy, szybko zmieniło barwę na pomarańczową, potem czerwoną, a gdy Helena spojrzała za siebie, dostrzegła jaskrawą kulę słońca wznoszącą się nad odległymi już zarysami Dżajpuru, miasta, które leżało na równinie, w obrębie potężnych murów miejskich, i wyglądało jak efekt rzutu kostkami przez zręcznego gracza. W blasku wschodzącego słońca miasto zdawało się topnieć. Konie jakby same z siebie przeszły w lekki kłus i dziarsko niosły jeźdźców po kamienistym podłożu.

Łan, który początkowo jechał na czele, zwolnił i wkrótce znalazł się obok Heleny.

- Wszystko w porządku?

Helena przytaknęła. Przez jakiś czas jechali w milczeniu obok siebie, w końcu odezwała się do niego, nie mogąc się powstrzymać od zgryźliwej uwagi:

-Zdaje się, że tu, za miastem, przestałeś się przejmować prawem *purdah*. Łan się roześmiał.

- Bystra obserwacja. Ale w końcu cała sztuka polega na tym, żeby instynktownie wiedzieć, kiedy należy przestrzegać pewnych praw, a kiedy można je obejść.

Spojrzał na nią rozbawiony, a potem znowu ściągnął lejce i przyspieszył.
Radziw kameleon.

Słońce wzniosło się wysoko i rozgrzało równinę, a koło południa sprawiło, że powietrze tuż przy ziemi zaczęło migotać. Helena zdjęła szal i kurtkę, rozpięła górne guziki koszuli i wystawiła twarz na słońce. Tak długo musiała się obywać bez słońca, ciepła, jasności, które teraz przenikały przez pory jej skóry aż do duszy.

Jechali nieprzerwanie, póki słońce zawieszona na płonącym niebie nie zaszło za góry. Zatrzymywali się jedynie co kilka godzin na krótki odpoczynek, podczas którego zsiadali z koni, żeby się napić wody i zjeść lekki posiłek składający się z placuszków *chapati*, zimnego mięsa i warzyw.

Konie przywiązywano do gałęzi drzew; mężczyźni wprawnymi ruchami rozpościerali płachty żeglarskiego płótna, wbijali w ziemię kołki i wznosili dwa namioty. Palono ognisko, gotowano wodę na herbatę, jeden z Hindusów za pomocą kijów oraz wydawanych przez siebie cichych syków i mlaskania próbował wykryć i wypłoszyć skorpiony oraz żmije. W tym czasie w jednym z namiotów Helena kładła się na prostym posłaniu z koców i prześcieradeł i zapadała zazwyczaj w głęboki sen, śmiertelnie zmęczona i obolała. Obok, przytulony do jej ramienia, sypiał Jason.

Mijał dzień za dniem, wszystkie podobne do siebie. Mniej męczył wysiłek fizyczny niż monotonia - kłus koni, cisza i pustka krajobrazu, rzadko urozmaicona wzlotem ptaka lub przemknięciem żmii, milczenie jeźdźców. Helena straciła już nawet rachubę, który dzień są w drodze - czwarty czy dopiero trzeci? Nawet oszałamiające kolory wschodów słońca i światło wieczora rozpływały się w szarości jałowych godzin. Ale jednocześnie ciało Heleny przyzwyczało się do tego rytmu i wieczorem nie padała już natychmiast na swoje posłanie kompletnie wyczerpana, gdy

tylko zostało ono przygotowane. Udawało jej się nieco rozluźnić mięśnie, spacerując wokół obozowiska i głęboko wdychając narastający chłód wieczornego powietrza, który przynosił ulgę przegrzanej słońcem skórze twarzy i ramion.

Lekki wiaterek tańczył po równinie, sprawiając, że liście na krzewach szeleściły. Rozbawiony zaplątał się we włosach Heleny, która otuliła się szczelnie szalem i spojrzała z niewielkiego wzniesienia, pod którym rozbili na noc obóz, w zdawałoby się nieskończoną Radżputanę, która rozciągała się przed nią w srebrnej poświacie gwiazd. Gdzieś obok zaszeleściła jaszczurka przemykająca wśród kurzu i pyłu, z daleka dobiegł raz i drugi krzyk zwierzęcia; pełen skargi ton sprawił, że po plecach Heleny przeszedł zimny dreszcz, ale blisko namiotów, pilnowana przez poważnych i czujnych radżpuckich wojowników, czuła się bezpieczna.

Odwróciła się powoli. Piasek i kamyki zaszeleściły pod jej butami. Gdy przechodziła obok koni, te zarżały cicho i zabręczały uzdami. Helena pogłaskała tu zad, tam szyję, przemawiała do nich uspokajająco. Były to piękne zwierzęta, silne i krępe, spokojne i wytrzymałe. Po raz kolejny zdziwiła się, jak wszystko zostało dobrze przygotowane - po najdrobniejszy szczegół, jakby łąn już dawno temu zaczął planować tę podróż. Albo jakby już często pokonywał tę trasę... Nagły przyptyw tęsknoty za czymś, czego nie potrafiła nazwać, spowodował, że zarzuciła ramiona na szyję konia, przycisnęła twarz do ciepłej skóry pachnącej ziemią, słońcem i życiem.

- Lubią cię.

Serce Heleny przyspieszyło, ale minęła dłuższa chwila, nim podniosła wzrok i spojrzała na łąn. Odsunęła się od końskiej szyi i z zakłopotaniem głaskała zwierzę po chrapach. Ciemny ogier stojący obok pochylił głowę i trącił łąn, który zaczął go drapać między uszami.

- Konie wyczuwają, czy człowiek jest dobry, czy zły. Tak kiedyś powiedział mój ojciec - rzekła półszepem.

łan roześmiał się cicho.

- W takim razie nie mogę być zanadto złym człowiekiem. W ciemnościach Helena dostrzegła iskierkę w jego oczach, potem te oczy z powrotem spowaźniały.

- Brakuje ci go? - zapytał.

Helena wzruszyła ramionami, spojrzała w przestrzeń nad głową konia.

- On i tak nie był tym samym człowiekiem co wcześniej... przed śmiercią matki. Gdy umarła, zamknął się w swoim własnym świecie. Choć starałam się dotrzeć do niego na przeróżne sposoby, nie udawało mi się. Myślę, że on już wtedy umarł, razem z nią, na długo zanim odszedł od nas fizycznie. Jasonowi było łatwiej, on nigdy nie znał ojca innego...

Głos jej się załamał, a do oczu napłynęły łzy, ale zauważyła je dopiero wtedy, gdy łan pogłaskał jej wilgotne policzki. Nie stawiając oporu, pozwoliła, żeby ją do siebie przyciągnął, objął i przytrzymał w uścisku. Samotna i bezradna przyłgnęła do niego, na jego ramieniu wypłakiwała łzy, które się w niej nazywały. On delikatnie całował jej włosy, skronie, policzki. Spojrzeli sobie krótko w oczy, tylko na moment, ale to wystarczyło, żeby Helena dojrzała w jego źrenicach odbicie własnego bólu, potem oczy mu ściemniały, a ona miała wrażenie, że wpada w głębię jego spojrzenia. Nie była zaskoczona, gdy poczuła jego wargi na swoich, takie ciepłe i miękkie. Z oczu znów trysnęły jej łzy, tym razem łzy szczęścia i ulgi, spływały spod jej zamkniętych powiek.

Odwzajemniła jego pocałunek, w którym nie było pożądania, a tylko nieskończona czułość, łan trzymał ją w objęciach tak ostrożnie, jakby się mogła złamać pod jego dotykiem, a jednak na tyle mocno, że mogła wyczuć jego puls na swojej skórze. Smakował tytoniem, herbatą i solą. Jej usta same się otworzyły. Gdy dotknął językiem jej warg, przepłynęło przez nią gorąco jak lawa. Jego usta wędrowały po jej policzkach, zostawiały zaczerwienienia na jej skórze.

- Heleno, moja słodka Heleno - wyszeptał i znów wrócił wargami do jej warg.

Przez moment Helena miała wrażenie, że się rozplynie, jakby stawała się ziemią i niebem, i łanem jednocześnie. Potem jakby coś się w niej zerwało, odepchnęła go od siebie, cofnęła o kilka kroków, zataczając się jak pijana, i zaczęła biec w kierunku ogniska, którego płomienie migotały, trzeszcząc w ciemnościach nocy. Rozdygotana schroniła się we wnętrzu namiotu przy ciężkim od snu dziecięcym ciele swego brata.

Kiedy następnego dnia złożyli namioty i ruszyli w drogę, unikała spojrzeń łana. Poczowała ulgę, gdy znowu stanął na czele grupy, nie odzywając się do niej ani słowem, a jednocześnie zabolowało ją takie jego zachowanie. *To nic dla niego nie znaczyło, ja nic dla niego nie znaczę, nie więcej niż te wszystkie kobiety, z którymi się do tej pory zabawiał...* Hardo zadarła głowę, przybrała dumną postawę, ale do oczu cisnęły jej się piekące łzy i czuła przygnębienie.

Kolejny dzień w stepie, na grzbiecie konia, nieróżniący się niczym od poprzednich dni, a jednak Helenie mijał jeszcze wolniej niż wcześniejsze. Odetchnęła, kiedy wreszcie zatrzymali się pod wieczór i rozbili obóz. Ledwo zsiadła z klaczy, odeszła pospiesznie od obozu, znajdując schronienie w zapadającej ciemności. Znalazła sobie miejsce osłonięte krzewami, usiadła na gołej ziemi, podparła głowę rękoma, próbowała uporządkować poplątane myśli i sprzeczne emocje, ale jej się to nie udawało. Zaskrzypiały kamyczki i ziemia pod czyimiś stopami.

Przestraszyła się. Łan podał jej parującą herbatę w zwykłym emaliowanym kubku.

- Dziękuję.

Głoski prawie utknęły jej w gardle, łan w jakiś tajemniczy sposób zawsze wiedział, czego w danej chwili najbardziej potrzebowała. Zawahał się, a potem usiadł na kamieniu obok niej.

- Mam nadzieję, że podróż nie jest dla ciebie za dużo uciążliwa, warunki nie są zbyt komfortowe - powiedział obojętnym tonem.

Helena pokręciła głową i podmuchała na gorącą herbatę, po czym upiła łyżeczek.

- Nie. - Zerknęła na niego kątem oka. - Tobie też chyba nie daje się za bardzo we znaki.

- Nie urodziłem się w puchu, jeśli to masz na myśli. Gdy byłem dzieckiem, żyliśmy w skromnych warunkach. Nie, nie głodowaliśmy, ale też nie mieliśmy do dyspozycji żadnych wygod, nie mówiąc o luksusie. Helena próbowała sobie wyobrazić łana jako dziecko. Czy był wesoły i żywy, czy raczej spokojny, zamknięty w sobie? Nie potrafiła tego rozstrzygnąć. Wydawało jej się, że to niemal niemożliwe, żeby ten mężczyzna obok niej był kiedykolwiek dzieckiem. Ta myśl ją przygnębiła.

- Ale byliśmy szczęśliwi - dodał ledwie słyszalnie.

Jak my wtedy, na Kefalinii - pomyślała Helena, a na głos powiedziała:

- A teraz nie jesteś szczęśliwy? Łan roześmiał się krótko i sucho.

- Szczęście... Już dawno zapomniałem, co to takiego. Ciepłe, czułe, a jednocześnie nieskończenie smutne uczucie ogarnęło Helenę. Znowu poczuła impuls, żeby go dotknąć, pocieszyć, a jednocześnie coś ją przed tym powstrzymywało. Słowa Łakszmi Czand nie chciały jej wyjść z głowy. *Niech go pani kocha. To jedyna rzecz, która może go uratować, i jedyna, której on się boi...* Czy dlatego ciągle ją od siebie odtrącał, ledwo zdążyli zbliżyć się do siebie o krok? Czy dlatego ranił ją wciąż na nowo, ponieważ za dużo się do niego zbliżyła? *Niech pani nie zapomina, że to pani jest silniejsza.*

Ostrożnie wyciągnęła rękę i pogładziła go po włosach, których czerń była nie do odróżnienia od otaczającej ich nocy. Prawie

ją przestraszyła jedwabistość jego włosów oraz własna śmiałość. Mimowolnie wstrzymała oddech, ale nic się nie działo, przez długą chwilę nic, w końcu łan ledwo zauważalnie przechylił głowę, tuląc ją do jej dłoni. Poczwała, że jest mu przyjemnie, że się odpręża, jakby pod jej ręką pękła jakaś tama. Czwała też twardy przebieg jego blizny, która za każdym razem wywoływała w jej sercu bolesne uczucie. Dlaczego mogła być z nim tak blisko jedynie w ciemnościach?

Do jej świadomości dotarł trzask ognia za nimi, potem nawoływania mężczyzn.

łan wiał ją za rękę, musnął delikatnie ustami jej dłoń. Jego pocałunek był tak gorący, że aż parzył skórę. Uścisnął krótko jej dłoń, a potem puścił.

- Szukają nas - powiedział cicho ochryłym głosem. - Wracajmy, zanim zaczną się niepokoić, że nas tak długo nie ma. To nie jest kraj, w którym można we dwoje spędzać przytulnie noc na dworze.

Na jego ustach pojawił się uśmiech, który wraz z ciepłem głosu był dla Heleny czymś nowym i mocno poruszył jej serce.

Wstał, ona za nim. Gdy szli obok siebie pod rozgwieżdżonym niebem w kierunku świetlnego kręgu wytworzonego przez ognisko, ich dłonie same się odnalazły, bez udziału ich woli, a w Helenie zakiełkowała nadzieja.

Może już teraz wszystko będzie dobrze, może jednak nie wszystko jest stracone.

Słońce przekroczyło już zenit, gdy konie przeszły w spokojny chód i w końcu stanęły. Helena została wytracona ze swoich myśli. Uderzyła piętami klacz po bokach i ostrożnie pokierowała ją do przodu między innymi końmi, aż znalazła się na przedzie, obok łana.

- Co się stało?

- Jesteśmy na miejscu - powiedział tylko.

Jego twarz, która ściemniała w ciągu ostatnich dni od słońca, promieniała, a oczy lśniły.

Helena podążyła spojrzeniem za jego wzrokiem. Gorący wiatr, który wiał po równinie, szarpał jej mokrą od potu koszulę i wyblakłe włosy. Stali na brzegu skalnego płaskowyzu, pod którym stroma skarpa łagodnie przechodziła w rozległą dolinę. Krasowa gleba odbijała złociście jaskrawe światło słońca, a z niej wznosiły się daleko przed nimi mury i dachy w kolorze piasku. Helena zamrugła oczami. Pomyślała, że ma przed sobą fatamorganę, ale zjawisko nie zniknęło. Nawet z tej odległości mogła dojrzeć kolumnady, łuki i filigranowe kraty w oknach, niezliczone wieże i blanki z delikatnie cyzelowanych kamieni, wykusze i balkony, skamieniałe arcydzieła nad potężnymi murami.

- Co to jest? - zapytała zdumiona, klepiąc uspokajająco po szyi klacz, która nerwowo przestępowała z nogi na nogę.

- To? To jest Surja Mahal! - Ian wydał radosny okrzyk, spiął konia ostrogami, ten stanął dęba, zarżał, a potem popędził w dół skarpy.

„*Surja* - słońce, *mahal*- pałac”- powtórzyła Helena w duchu słówka, których nauczyła się od MohanaTadžida. Pałac Słońca... Poczuli, że jej klacz pragnie pobiec za ogierem lana, więc szarpnęła krótko cugle i podążyła za nim z niejasną radością w sercu.

Był 27 grudnia. Tego dnia w Liverpoolu na pokład statku „Pride of India” wszedł Richard Carter. Celem jego podróży była Kalkuta.

12

Helena ze zdumieniem wędrowała po wysokich, przestronnych pomieszczeniach. Panował tu lekki, ciepły przeciąg pachnący

piaskiem i słońcem, który mieszał się z zapachem drzewa sandałowego i róż wydzielanym, jak się zdawało, przez ściany. Sari w kolorze intensywnego błękitu z zielonymi i złotymi haftami, które miała na sobie, szeleściło z każdym jej krokiem. Nie mogła nasycić wzroku przepychem, który ją otaczał, choć przebywali tu już trzeci dzień. Była przekonana, że nawet królowa Wiktoria, Boże chroń Jej Wysokość, byłaby oczarowana. Podłogi z białego, żółtego i różowego marmuru, wyczuwalnie chłodne pod cienkimi skórzanymi podeszwami sandałków, ściany z tego samego kamienia w podłużne meandrowe wzory, zamalowane pawiami, wystrojonymi słoniami, tygrysami, lasami i bukietami kwiatów, ornamenty z połyskującego kolorowego szkła wmurowanego w ściany; sklepienia zwieńczające pokoje niczym wyłożone lustrami baldachimy. Obrazy przedstawiające brodatych wojowników noszących na głowach wysadzone klejnotami turbany, siedzących na szlachetnych rumakach, wizerunki ich małżonek w połyskujących sari; malowidła ze skąpo ubranymi tancerkami świątynnymi, których ledwo okryta nagość wywoływała na twarzy Heleny rumieniec wstydu. Misternie rzeźbione stoły i szafy, krzesła i fotele o grubej tapicerce, łóżka jak to, w którym Helena przespała dwie ostatnie noce, często zdobione inkrustacją z kości słoniowej, onyksu, malachitu i srebra; potężne posągi bogów z lśniącym białego marmuru, brązu lub ciemnego drewna. Z sufitu zwisały całe pasy jedwabiu - czerwone, ametystowe, w kolorze morskiej zieleni, cytrynowożółte, kobaltowe, dzieliły pomieszczenia lub pokrywały znaczne części podłóg wyłożonych haftowanymi, błyszczącymi poduszkami w kolorze zielonego jabłuszka, brzoskwińowym, ceglastoczerwonym, szafirowym, szafranowożółtym. Z daleka usłyszała rozmowy i śmiech kobiet. Odruchowo przyspieszyła kroku. Wciąż jeszcze nie przyzwyczała się do tego, że jest stale otoczona pięcioma lub sześcioma z nich, zwłaszcza że Hinduski bezustannie zalewały ją potokiem słów w hindu-

stani z akcentem typowym dla radzputów. Ich zęby połyskiwały biało w ciemnych twarzach, gdy zachęcały ją ze śmiechem, by się częstowała daktylami, figami, ryżem i ostro przyprawionymi warzywami, lub gładziły z podziwem jej skórę i włosy.

Przed trzema dniami dotarli do potężnej bramy zmęczeni i zakurzeni. Brama od razu się otworzyła, jakby pod działaniem czarów. Wyszli im naprzeciw roześmiani, nawołujący ludzie, mężczyźni, kobiety, dzieci. Obolała Helena zsunęła się z siodła. Kolory rozpląnęły jej się przed oczami, zawirowały, ale wciąż jeszcze wyraźnie widziała, jak tłum rozdziela się z szacunkiem, żeby przepuścić do nich Hinduskę, która mimo niewysokiej, krągłej sylwetki kroczyła z godnością przez rozległy dziedziniec. Jej sari w łagodnym kolorze śliwkowym obszyte było wąską czerwono--złotą obwódką. Włosy z licznymi białosrebrzystymi pasemkami miała zaczesane do tyłu. Jej wciąż piękna twarz nosiła wyraz łagodności. Kobieta ze łzami w oczach spojrzała na łana, który skłonił się przed nią tak nisko, że Helena nigdy by się tego nie spodziewała po tym dumnym mężczyźnie. Hinduska położyła dłoń ozdobioną ciężkimi pierścieniami na jego policzku, a następnie go objęła. Po chwili niezliczone brązowe ramiona z brzęczącymi bransoletkami porwały Helenę, poprowadziły przez obszerne komnaty w kierunku jej sypialni. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętała, było chłodne białe płótno, które rozpostarło się nad nią wysoko, gdy upadła na poduszki i prześcieradła i w jednej chwili zasnęła.

Następne dwa dni spędziła wyłącznie pod opieką kobiet. Jedynymi jej zajęciami były kąpiele, masaże olejkami, jedzenie i spanie. Od czasu do czasu krętymi korytarzami dobiegał do zenany śmiech Jasona, wiedziała więc, że jej brat ma się dobrze i nie musi się o niego martwić. Maści, olejki, esencje kwiatowe i tynktury pachnące drewnem chłodziły jej spaloną od słońca skórę, czyniły ją miękką i gładką, jej włosy spływały teraz na plecy jedwabistymi falami, a każdy ruch powodował, że wokół niej rozchodził się zapach paczuli, drewna różanego, jaśminu i cynamonu.

Przez szeroką bramę w kształcie łuku wyszła na wewnętrzny dziedziniec, na którym sękaty cedry i różowo kwitnące krzewy dotykały fasad z rzeźbionego czerwonego drewna, które ostro kontrastowało z jasnym, równie artystycznie zdobionym kamieniem. Stopnie prowadziły na górę, na drewnianą galerię. Helena właśnie na nią weszła. Już dawno straciła orientację, szła po prostu dalej przed siebie. Jedno pomieszczenie, które można było nazwać salą, następowało po drugim. Tyle pomieszczeń, tak wytwornie wyposażonych i tak pustych. Wszystko wyglądało jednak na pielęgnowane codziennie przez dziesiątki rąk. Nie dostrzegła ani drobinki kurzu, jedwabie i adamaszki robiły wrażenie świeżo wytrzepanych. Helena skręciła i znalazła się w korytarzu, z którego kolumnady rozpościerał się widok na nierzeczywiście niebieskie niebo i pustynię, potem nastąpił rząd okien wypełnionych delikatną kratą, która rzucała swój wzorek na gładką podłogę. Trudno było uwierzyć, że ten misterny wzór został wykuty w kamieniu. Było tu prawie zimno; Helenę przeszedł dreszcz, zarzuciła sobie na ramiona wolny koniec sari. Korytarz zdawał się nie mieć końca, skręciła raz, potem drugi, i nagle zjawiała się przed nią ściana jasnego słonecznego światła, bolesna po półmroku panującym pod chłodnym kamiennym sklepieniem. Helena na krótką chwilę zamknęła oczy. Gdy je ostrożnie otworzyła, zaskoczona nabrała powietrza do płuc. Dojrzała mrowie błyszczących, mięsistych liści w odcieniu ciemnej zieleni, srebrzyście połyskujące pierzaste gałązki tańczyły w lekkim, nagrzanym słońcem powiewie; ze wszystkich kątów dziedzińca wyrastało soczyste, grube listowie, można było zobaczyć tylko skrawki niebiesko-białych kafelków posadzki. Błyszczące wśród zieleni kwiaty - słonecznie żółte, szkarłatne, białe i różowe - wydawały urzekający zapach. Ponad tą roślinnością górowały wdzięczne korony palm; pnącza pokryte białym i purpurowym kwieciami w kształcie gwiazdek wyciągały

ramiona i oplatały liczne kolumny. Pośrodku, w marmurowej misie, pluskała fontanna. Wokół śpiewały ptaki, których Helena nie mogła wypatrzeć. Obfitość kwiatów i liści pośrodku pustyni zdawała się usuwać w cień nawet zbytkowny przepych pałacu. Helena kroczyła wyłożoną płytkami ścieżką, która prowadziła wokół kwadratowego dziedzińca większego niż jej dom-Worlds End. Przystanąła zdumiona, gdy jej wzrok zatrzymał się na drzewie z rozłożystą koroną. To niemożliwe, nie tutaj i nie o tej porze roku. Z niedowierzaniem podeszła bliżej, popatrzyła na czerwone, połyskujące owoce, dotknęła ostrożnie ich woskowej skórki. Rozejrzała się ukradkiem, ale nikogo nie dostrzegła, więc zdecydowanym, nieco przekornym ruchem zerwała jeden owoc i ostrożnie go ugryzła. Miąższ zachrupał pod zębami, a kwaskowosłodki sok spłynął jej po brodzie. Mimowolnie się roześmiała. Jabłoń na dziedzińcu pośrodku radżpuckiej pustyni!

Poprzez łuk wsparty na kolumnach weszła z powrotem do chłodnego budynku po drugiej stronie dziedzińca i kontynuowała tam swoją przechadzkę. W górę wiły się wąskie kręcone schody z białego marmuru. Helena postawiła stopę na pierwszym stopniu i zawahała się. Jej pasja odkrywcza nagle przygasła, jakby ostrzegał ją jakiś wewnętrzny głos, ajednocześnie czuła, że te schody przyciągają ją jak magnes. Głęboko zaczerpnęła powietrza, odrzuciła od siebie wszelką myśl o niebezpieczeństwie i zaczęła się wspinać.

Piętro po piętrze wchodziła po stopniach, zaglądając do pomieszczeń przylegających do schodów. Robiły wrażenie opuszczonych, cichych i martwych; meble, rozpoznawalne tylko w zarysach, przykryte były białymi płótnami, poruszającymi się łagodnie, kiedy zawiął wiatr, który ze świstem przedostawał się przez kratki w oknach i sprawiał, że pozakrywane meble robiły wrażenie żywych istot. Gdyby jasne słońce nie rzucało na podłogę rysunków z cienia, Helena skłonna by była sądzić, że znajduje się w jednym z nawiedzonych domów, o jakich opowiadała

Marge, gdy w wietrzne wieczory skupiała przy kominku dzieci, które słuchały jej równie przestraszone co zafascynowane.

Schody wiły się coraz ciaśniej, komnaty były coraz mniej liczne i mniejsze, a Helena miała wrażenie, że ściany coraz bardziej się do siebie zbliżają. Coraz trudniej jej było oddychać, chociaż zwolniła tempo, ale z zaciśniętymi zębami wspinała się dalej, aż w końcu schody się skończyły, a wolne pomieszczenie, które się przed nią otworzyło, pozwoliło jej odsapnąć. Wszystko połyskiwało białym marmurem, gładko wypolerowana podłoga i żłobione kolumny, na których spoczywały łuki. Duże, kwadratowe pomieszczenie - zupełnie puste. Helena wędrowała pomiędzy łukami, które połączone były kratą zdobioną w gwiazdzisty wzór, mając na wysokości oczu kwadratowe otwory. Musiała to być najwyższa wieża pałacu, ponieważ z jednej strony Helena mogła spoglądać na przypominającą labirynt rozległą przestrzeń dachów i na blanki, tu i tam zaś odsłaniał się fragment któregoś z licznych dziedzińców. Po drugiej stronie natomiast rozciągała się w całej swej szerokości rozległa radżpucka pustynia, niewyobrażalnie wielka i pusta pod nieskończone niebieskim niebem, prawie bolesna dla oczu. Wieża nie była zapewne strażnicą - wspinanie się na nią byłoby nadmiernie kłopotliwe, leżała też daleko od ważnych pomieszczeń pałacu, a zbyt bogate wyposażenie również świadczyło o tym, że musiała mieć inne przeznaczenie. Do czego więc służyła? *Jakby ktoś miał tu być odseparowany od reszty pałacu, wykluczony z życia domu* - przeszło jej przez myśl i poczuła w sercu bolesne ukłucie. Ogarnął ją niewytłumaczalny, potężny smutek, większy niż wszystko, czego do tej pory doświadczyła, dziwny i obcy, tym bardziej, że dokładnie wiedziała, iż to nie jest jej smutek, a mimo to czuła, jakby dotyczył jej osobiście. Ołowiany ciężar przygniótł jej ramiona, zmusił bezlitośnie, by opadła na kolana. Do połowy zjedzone jabłko wypadło z jej bezsilnych palcem, uderzyło głucho w kamienną posadzkę, poturlało się. *O Boże, co się ze mną dzieje?...* Przez łzy wpatrywała się w podłogę, która

w tym miejscu robiła wrażenie wytartej, schodzonej, jakby ktoś chodził po niej dniami, tygodniami, miesiącami... Na gładkich kamieniach spostrzegła swoje odbicie, blade i zamazane, przerażony wyraz własnych oczu. Potem na jej odbicie nałożyło się inne. Dojrzała twarz młodej Hinduski o delikatnych, miękkich rysach. Z początku ta twarz była zniekształcona, jakby odbita w niespokojnej wodzie, potem się wygładziła. Hinduska miała jasną, prawie białą skórę, za to oczy ciemne i wielkie, w kształcie migdałów. Długie, gęste włosy opływały jak czarna woda wąską twarz. Pełne, pięknie zarysowane wargi miały nasycony odcień drzewa różanego. Łza spłynęła po jej wysokich kościach policzkowych, Hinduska otworzyła lekko usta, jakby chciała zawołać Helenę, ale potem zaczęła walić pięściami w kamień, dzielący je obie jak cienka ściana ze szkła. Uderzała coraz mocniej, a Helenie wydawało się, że ta piękna, obca dziewczyna udusi się pod posadzką, jeśli nikt jej nie pomoże. Szlochając, zaczęła jak szalona drapać paznokciami kamień, jakby mogła uwolnić spod niego kobietę. Drapała mocniej i mocniej, ale dobrze wiedziała, że jest to daremne. Z płaczem opadła na posadzkę. Płakała jak nigdy dotąd.

Poczuła, że ktoś chwyta ją delikatnie za ramiona. Była to kobieta, która tak serdecznie przywitała ją na dziedzińcu, gdy przybyli do Surja Mahal. Teraz klęczała obok Heleny, obejmowała ją i pocieszająco kołysała.

— *Aiiii, mujhe bilkul, mdaluum*, wiem, wiem, *betii...* To było straszne, takie straszne... - mówiła, a gdy szloch Heleny ustał, pomogła jej wstać na nogi i poprowadziła w kierunku schodów. - *Aao*, chodź, to nie jest miejsce dla ciebie, jesteś jeszcze tak pełna życia, nic nie zgubiłaś w Ansu Berdj. Przez całą męczącą drogę prowadzącą przez labirynt pałacowych korytarzy w duszy Heleny powtarzały się echem słowa: *Ansu Berdj* - Wieża Łez.

* * *

Helena apatycznie pozwoliła, by Hinduski, którym przekazano ją u wejścia do zenany, zaprowadziły ją do jej pokoju. Kobiety zdjęły z niej sari i położyły ją do łóżka. Choć była zmęczona, nie chciało jej się spać. Zaniepokoiło ją przygnębione milczenie, niezwykajna powaga w twarzach dotąd tak wesołych kobiet. Zachowywały się tak, jakby naruszyła tabu, odkryła niebezpieczną tajemnicę. Szmer jedwabiu sprawił, że podniosła wzrok. Do pokoju weszła gospodyni, przed którą służące skłoniły się z szacunkiem. Kobieta uczyniła ręką ruch, na który wszystkie wyszły, a ona zamknęła za nimi drzwi. Jej brązowa twarz była poważna, ale ciemne oczy spoglądały ciepło. Usiadła na brzegu łóżka i podała Helenie szklanę parującej herbaty.

- Wypij, *betii*, to ci dobrze zrobi.

Helena posłusznie wypila kilka łyków gorącego napoju pachnącego ziołami. Nad brzegiem szklanki odwzajemniła nieśmiało spojrzenie kobiety, która wpatrywała się w nią przenikliwie, ale serdecznie.

Wyglądała na jakieś sześćdziesiąt lat. Dopiero teraz Helena mogła jej się przyjrzeć dokładnie. Drobne zmarszczki wokół oczu i wzdłuż kącików ust, ostro wycięty nos, na którego lewym nozdrzu połyskiwał oprawiony w złoto diament. Ciężkie kolczyki, których filigranowy wzór powtarzał się w łańcuszku na szyi. Noszone z wdziękiem zielono-złote sari. Małe, a jednak silne dłonie złożone na kolanach zdobiły niezliczone pierścionki wysadzane klejnotami i bransoletki. Helena poczuła, że może leż kobiecie ufać.

- Czy pani wie, co zobaczyłam tam, na górze? - zapytała ją cicho Helena i dodała pełną szacunku formę grzecznościową używaną w stosunku do starszych kobiet: - *Maatdadjii*.

- Mów do mnie Dżanahara. Tak, wiem - westchnęła lekko. Ten pałac jest stary, bardzo stary. Jego fundamenty powstały setki lat temu i przez ten czas wiele widział. W tym kraju radość i cierpienie, narodziny i śmierć są bliżej siebie niż w kraju,

z którego pochodzisz. Życie tu jest równie barwne jak nasze sari i równie bezlitosne jak pustynia, jak słońce i jak monsun. Mieszkały tu niezliczone pokolenia naszego rodu, w tych murach zbiega się zmienna historia Surjów i Czandów.

Helena spojrzała na nią zdziwiona. Dżanahara się uśmiechnęła.

- My, kszatrijowie, nie jesteśmy jednolitą warną. Dzielimy się dalej na klany i rodziny, które są prawie tak ważne, jak warny i podobnie od siebie odseparowane. Dwa spośród klanów są najstarsze i od dawien dawna najpotężniejsze - Czandrawamsia, według legendy synowie księżyca, i Surjawamsia, synowie słońca. Bóg Kryszna również urodził się jako Czand. Oba klany rządziły tym krajem, zanim osiedliły się tu młodsze klany. I tak jak słońce i księżyc nigdy zgodnie razem nie świecą na niebie, tak też nigdy pokój między Czandami a Surjami nie trwał długo. Wiele się zmieniło na skutek wtargnięcia do Indii żądnych władzy Anglików. Otóż pewien mądry książę z linii Czandów po długich, trudnych negocjacjach ożenił swego najstarszego syna z córką księcia z rodu Surjów, żeby zapewnić długotrwały pokój między obu klanami i aby wspólnie opierać się skutecznie nienasyconym sahibom. Posagiem Kamali był ten pałac, Surja Mahal. Dheeraj Czand do kresu swych dni bardzo go lubił, również dlatego, że przypominał mu ukochaną żonę, która zmarła długo przed nim. Dheeraj Czand był ostatnim radzą pałacu i ziem do niego przynależnych. Uważam to za zaszczyt, że w moich żyłach płynie krew obu tych klanów, i wciąż jeszcze mam nadzieję, że któregoś dnia znowu zobaczę zasiadającego na pałacowym tronie spadkobiercę. Ale - westchnęła głośno, wyjmując Helenie z dłoni pustą filiżankę - jestem tylko głupią kobietą, która nie może pojąć, że splendor Czandów już dawno temu zbladł. Dotychczas dumnie broniliśmy naszego kraju, walczyliśmy na miecze i przelewaliśmy krew, często też posługiwaliśmy się rozumem, ale obecność *angrezi* jest dla Indii powoli działającą trucizną. Chociaż wiem, że *angrezi* nie będą panować nad tym nieposkromionym krajem

wiecznie, to zdaję sobie również sprawę, że któregoś dnia stare królestwo Czandów zacznie pod wpływem tej trucizny niedomagać i w końcu zwiędnie. Każdego dnia proszę Krysznę, naszego protoplastę, o to, żebym tego nie dożyła.

Helena wtuliła się w poduszki; z trudem udawało jej się trzymać oczy otwarte.

- Ja też jestem *angrezi*.

Dżanahara pochyliła się nad nią i poprawiła jej prześcieradło.

- Ty nie jesteś *angrezi*, chociaż w twoich żyłach płynie ich krew. Ty już nosisz Indie w swoim sercu.

„Jak łan?” - chciała spytać Helena, ale zmogło ją zmęczenie. W półśnie poczuła, jak Dżanahara całuje ją łagodnie w czoło, a potem zapadła w głęboki sen.

13

Helena otworzyła oczy i zamrugła powiekami. Poprzez kratę w oknach wpadało do pokoju ciepłe słońce i rysowało koronkowe wzory na podłodze. Helena wyciągnęła się i podłożywszy sobie poduszkę pod brzuch, jeszcze przez kilka chwil rozkoszowała się słodkim uczuciem stopniowego dochodzenia do siebie. Długie białe zasłony wiszące w otwartych drzwiach nadymały się lekko i łagodnie od ruchu powietrza, a po płytkach dziedzińca kroczył dumnie paw z wysoko uniesioną głową. Z daleka słychać było chichoty i paplaninę kobiet. Na twarzy Heleny pojawił się błogi uśmiech. Nie była w stanie powiedzieć, jak długo spała, czy jedną noc, czy dwie, ale czuła się odświeżona i lekka, jakby we śnie strząsnęła z siebie wszystkie ciemne cienie, które ją dotychczas dręczyły. Powstał lekki przeciąg, gdy ktoś uchylił nieco drzwi pokoju. Do środka zajrzała ciemna twarz i skłoniła się z uśmiechem,

potem weszła Dżanahara z tacą parującego „czaju” i wyśmienitym, słodkim ciastem migdałowym w rękach.

- Dobrze spałaś? - zapytała czule Dżanahara, przysiadając na brzegu łóżka.

- Bardzo dobrze. - Helena usiadła i przeciągnęła się z błogim zadowoleniem.

Zgłodniała zaczęła jeść ciasto i dużymi łykami piła herbatę.

Do środka wdzierały się dobiegające z daleka odgłosy: walenie młotka, tarcie i szuranie, nawoływania męskich głosów, polecenia, pospieszne kroki, dźwięczna paplanina kobiet. W całym domu zdawał się panować radosny ferwor.

- Co się tam na zewnątrz dzieje?

- Szykują wszystko do wesela.

- Czyjego wesela?

Helena strzepnęła kilka okruszków, które spadły na obszuty falbankami przód jej nocnej koszuli i sięgnęła po kolejny kawałek ciasta. Dżanahara patrzyła na nią przez chwilę, jej ciemne oczy spoglądały miękko, a jednak ostrożnie, w końcu odpowiedziała:

- Dzisiaj jest *solah szringar*, twoje wesele, *betii*.

Helenie kęs, który właśnie przeżuwała, prawie stanął w gardle. Spojrzała zdziwiona na Dżanaharę.

- Moje co? Ale ja przecież już jestem... już mam męża! Dżanahara pochyliła się do przodu i położyła dłoń ozdobioną pierścionkami na policzku Heleny.

- Ale nie przed Sziwą i innymi bogami.

Helena z trudem przełknęła resztkę migdałowego rogalika, który wydał jej się nagle kleisty.

Wkrótce potem z ociąganiem udała się za Dżanaharą do łaźni w zenanie, gdzie rzuciły się na nią zachwycone kobiety. Pod czujnym okiem Dżanahary rozprowadziły pod pachami i na nogach Heleny lepka, żywicową masę, a kiedy wyschła, zerwały ją na-

głym ruchem. Helena krzyknęła z bólu i strachu, potem jednak zacisnęła zęby. Świeżo pachnący, lekki olejek złagodził pieczenie i uspokoił podrażnioną skórę. Po kąpieli w płatkach róży została natarta gęstym olejkiem pachnącym różą, jaśminem, drzewem sandałowym i różanym. Grzebień o grubych zębach uporządkował jej splątane podczas snu włosy, pachnąca kwieciem pomada nadała im jedwabistość i blask. Helena, owinięta lekkim białym sari, ruszyła za kobietami do ukrytego w obrębie zenany dziedzińca, do którego prowadziły w dół stopnie wyłożone poduszkami w kolorze słońca, pomiędzy którymi wiły się girlandy nagietków. Jedna z kobiet poprosiła ją, by usadowiła się wygodnie, wyciągnęła dłonie i ułożyła nogi na poduszce. Na skórę Heleny zostały naniesione cienkie linie ciemnoczerwonej pasty pachnącej ziołami i suszonymi liśćmi. Na wewnętrznych stronach dłoni rysowano jej kunsztowne zawijasy, kwiaty i listki; rysunek wychodził poprzez palce na grzbiecie dłoni i biegł do nadgarstków. Taki sam rysunek zrobiono jej na nogach; sięgał od podeszew stóp po kostki nóg. Kilka kobiet zaintonowało pieśń, której akompaniowano na tamburynie. Do śpiewu dołączyły inne kobiety. Śpiewały na wiele głosów, naprzemiennie, w chórze. Śpiewano o urodzie kobiety danej jej przez bogów, o błyszczących oczach, świeżych policzkach i czerwonych wargach; o łagodnym wygięciu bioder i jędrnych wypukłościach piersi; o moralności i nieśmiałości, o pokorze i posłuszeństwie, cnotach hinduskiej małżonki; o ziemskich rozkoszach i niebiańskich uciechach. Helenie zapłonęły policzki od słuchania takich rzeczy. Chociaż kwiecisty język był dla niej często trudno zrozumiały i nie знаła wielu starych słów, domyśliła się, że były to pieśni, którymi pokolenia kobiet przed nią przygotowywano na to, co nastąpi tej nocy; w tych śpiewach zawarta była prastara wiedza przekazywana kobiecie przez kobiety we własnym kręgu matek i córek, sióstr i kuzynek, ciotek, bratanic i siostrzenic. Chociaż nie był to język Heleny, chociaż w jej żyłach płynęła inna krew, poczuła się bezpiecznie w kręgu

tych kobiet, zjednoczona z nimi więzami płci, co symbolizowały linie wymalowane ciemnoczerwoną farbą, ciągnące się po jej dłoniach i stopach.

Uważnie przysłuchiwała się słowom, dźwiękom ciepłych i jasnych głosów, które ją otulały jak miękka tkanina. Powolne dźwięki tamburynu brzmiały jak bicie serca. Tymczasem mijały godziny. Dżanahara jako pani domu i najstarsza z kobiet karmiła ją kawałkami mango, bananów, orzechów kokosowych, przystawiła jej do warg szklaneczkę herbaty przyprawionej cynamonem i kolendrą. W tym czasie pasta na skórce schła i tworzyła cienką skorupę. Słońce padało skośnie na dziedziniec, powlekło głowy kobiet i ich błyszczące sari ciemnym złotem, potem mosiądzem i miedzią, ale dopiero gdy zapalono pochodnie, Helena zauważyła, że dzień ma się już ku końcowi.

Za pomocą esencji pachnącej cytryną starto jej z rąk i nóg suchą pastę. Helena ze zdziwieniem oglądała w niebieskawym wieczornym półmroku rozświetlonym ciepłym światłem płomieni azurowe wzory zdobiące jej dłonie i stopy.

Dżanahara i trzy inne kobiety zaprowadziły ją z powrotem do jej pokoju. Drogę oświetlały im latarnie, których łamane ścianki powodowały powstawanie efektów świetlnych na podłogach i murach.

Helena - w milczeniu i uroczym - została odwinięta z prostego sari. Włożono jej wąskie, odsłaniające brzuch *choli* w połyskującej czerwieni, zapinane z przodu na guziczki, rozwinięto wielometrowe pasmo sari. Helena z wrażenia głęboko wciągnęła powietrze, gdy zobaczyła feerię barw - intensywną czerwień obwiedzioną złotą lamówką i przetkaną złotymi nitkami, które tworzyły wzory-wygięte krople znane jej z paszminowego szala, kwieciste zawijasy i listki, pawie, romby, stylizowane słońca, prócz tego na tkaninę naszyto maleńkie lustreczka o wąskich złotych brzegach i czerwone przezroczyste kamienie. Helena miała nadzieję, że kamienie są ze szkła, a nie prawdziwe, choć wygląda-

ły na szlachetne. Połyskujący jedwab został owinięty wokół jej tułowia, poczynając od bioder, koniec przełożono jej przez lewe ramię, skąd gładko opadał na plecy.

Dżanahara wpatrywała się w nią uważnie, w końcu na jej twarzy pojawił się ciepły uśmiech.

- Już dawno w Surja Mahal nie było panny młodej - szepnęła poruszona i wzięła Helenę za rękę. - Podczas *solah szringar* panna młoda nosi na sobie całą biżuterię, jaką wnosi w posagu do małżeństwa. Ty przyszłaś do tego domu z pustymi rękoma, ale wiem, że oddam cię twojemu mężowi z innym bogactwem. - Końcówkę sari naciągnęła Helenie na głowę jak welon i wzięła ją za ramiona. - Już czas - szepnęła, całując ją w czoło. Równomierny, głuchy dźwięk bębna, poważny i uroczysty, a jednocześnie radośnie podekscytowany, poprowadził je przez korytarze i wysokie pomieszczenia, wszystkie świątecznie oświetlone. Helena stawiała ostrożnie krok po kroku, idąc u boku Dżanahary, bosą, ze spuszczoną głową i drżącymi kolanami.

Wielki dziedziniec, na który wjechali konno, gdy tu przybyli, był oświetlony migotliwym światłem niezliczonych pochodni i lamp olejnych, jego posadzka została wyłożona grubą warstwą różanych płatków. Girlandy kwiatów - nagietki, róże, jaśmin - spowijały mury, a pośrodku płonęło ognisko, wokół którego rozwinięty był czerwony chodnik. Wzdłuż dywanu ułożono białe i czerwone poduszki. Na brzegu dziedzińca cisnęli się wszyscy mieszkańcy i cała służba pałacu; świątecznie ubrani i przyozdobieni, wpatrywali się w nią w milczeniu i z napięciem. Helena odruchowo przysunęła się bliżej Dżanahary, której błyszczały oczy. Kobieta ścisnęła dłoń Heleny, by dodać jej odwagi. Bęben ucichł i na dziedzińcu, pod namiotem nocnego nieba, zapanowało głuche milczenie. Rozległo się trzykrotne pukanie, a raczej dudnienie w zamkniętą bramę. Helena skuliła się na ten dźwięk.

- *Kyaa tjaahiye*, czego sobie życzycie? - zawołał władcym głosem strażnik, wysoki radżput w długim białym kaftanie i czerwonym turbanie na głowie, z błyszczącym mieczem u boku.

- *Maiń merii dulhin tjahta*, żądam mojej narzeczonej -padła głośnie i zdecydowana odpowiedź z drugiej strony muru, nieznacznie tylko stłumiona przez masywne drewno bramy.

Znowu trzykrotne pukanie, znowu pytanie i taka sama odpowiedź, potem powtórzono wszystko po raz trzeci, aż w końcu radżput dał znak, żeby otworzyć bramę.

Rozstępujące się powoli skrzydła bramy odsłoniły widok na oświetloną pochodniami grupę jeźdźców. Krok po kroku konie wchodziły na dziedziniec, hamowane z wysiłkiem przez napięte cugle. Wszyscy jeźdźcy byli radżputami, ubranymi na biało, w czerwonych turbanach, wojowniczymi i budzącymi trwogę. Na ich czele jechał na pięknym siwym koniu radżput, który jako jedyny miał na głowie biały turban, przyozdobiony z przodu wielką, połyskującą gwiazdą. Miał białe spodnie do konnej jazdy, wsunięte w oficerki. Jego długi kaftan ze stójką był obszyty lekką tkaniną ze złotej nici, która połyskiwała przy każdym kroku konia. Jedną ręką trzymał mocno cugle, podczas gdy drugą równie dumnie co niedbale oparł o biodro.

Hindus — wielki Boże, oni chcą mnie wydać za Hindusa...

Przerażenie sparaliżowało Helenę. Po nieskończonej długiej sekundzie poznała łana, a jej przerażenie ustąpiło miejsca ogromnemu zdziwieniu.

W egzotycznym, typowym dla radżputów stroju wyglądał w migotliwym świetle pochodni jak jeden z nich, jego opalona twarz wydawała się jakaś ciemniejsza, a ostre rysy twarzy bardziej obce, a jednak to był on, niewątpliwie, poznała go po sposobie, w jaki się trzymał na koniu, po błysku w oczach, po ironicznym grymasie kącików ust.

Konie się zatrzymały, owiewało je chłodne nocne powietrze pustyni, które napływało przez szeroko otwarte wrota. Potem skrzydła bramy zamknęły się z hukiem. Mężczyźni

zsiedli, oddali cugle służącym, spojrzeli w kierunku Heleny i Dżanahary. Dżanahara podprowadziła Helenę wolnym krokiem w stronę buchającego ogniska, które wydzielało intensywny, korzenny zapach. Zatrzymała się przed łańcem i radżputami.

- *Maiñ denaataa merii betii huuñ*, oddaję ci moją córkę - powiedziała donośnym, jasnym głosem.

Na znak Dżanahary Helena włożyła łańcowi na szyję łańcuch spleciony z kwiatów, łań wyglądał obco w wytwornie haftowanym kaftanie i z zawieszonym na szyi długim łańcuchem z cyzelowanym wisiorkiem, łań skłonił się, trzymając złożone dłonie, najpierw przed Dżanaharą, potem przed Heleną, po czym wziął Helenę za rękę i zaprowadził ją ku złotym poduszkom po drugiej stronie ogniska, gdzie rozciągnięty był baldachim z białego jedwabiu, który się lekko poruszał pod wpływem gorąca bijącego od ognia.

Kapłan zaintonował dziwną, monotonną pieśń o świętości małżeństwa. Powietrze było ciężkie od kadzidełek, słodkie, oszalamiające, pachnące drewnem. Helena drżała. Podczas ceremonii łań ścisnął jej zimne palce łagodnie, a jednak mocno. W pomalowanym wnętrzu dłoni czuła chłód jego pierścieni.

Miała wrażenie, że minęły godziny, nim podszedł do nich kapłan, łań skłonił się przed nim nisko. Kapłan włożył łańcowi na szyję haftowany szal, którego koniec związał z końcem sari Heleny. W ten symboliczny sposób zostali ze sobą połączeni przed bogami. Następnie kroczyli powoli wokół ogniska, okrążyli je raz, drugi raz, łącznie siedem razy. Towarzyszyły im śpiew kapłana i napięte milczenie zgromadzonych, którzy stali wokół ognia ledwo widoczni w ciemności. Kapłan podał łańcowi miseczkę z czerwonym pudrem cynobrowym, w którym zanurzył noszony na palcu serdecznym pierścień i potarł nim czoło Heleny. W tej chwili rozległy się ogłuszające okrzyki radości. Mężczyźni, kobiety i dzieci rzucili się w ich kierunku, żeby składać

gratulacje; spadł na nich deszcz ziarenek ryżu i płatków różanych, potem rozległa się muzyka, bębenki, wysoko nastrojony instrument strunowy, pieśni z kobiecych gardeł, zmysłowe, wabiące, wesołe. Helena, nieobecna duchem, siedziała sztywno na swojej poduszce, przyjmowała uściski i zachwycone okrzyki kobiet, krótki, wilgotny całus od Jasona ubranego w biały garnitur, nawiązujący do stroju radżputów. Dostrzegła, że jej brat zaraz potem pobiegł za innymi dziećmi, piszczącymi i śmigającymi między ludźmi, którzy zasiedli na ziemi. Kobiety tańczyły, wirowały wesoło, aż furczał kolorowy jedwab ich sari i brzęczały bransoletki, naszyjniki i łańcuszki noszone na nogach; nawet poważni zazwyczaj radżputowie dali się porwać radosnej atmosferze, klaskali w ręce i przyłączyli się do śpiewu.

Helena obserwowała łana, który nieco od niej odwrócony, siedział nonszalancko na swojej poduszce. Prowadził właśnie ożywioną rozmowę z kilkoma mężczyznami w języku hindustani, co chwila wybuchając razem z nimi głośnym śmiechem. Tak łatwo wtopił się w tę kolorową, egzotyczną scenerię, jakby całe życie spędził między tymi ludźmi, jakby był jednym z nich. *Radziw kameleon.*

Sięgając po kieliszek, łan dostrzegł jej spojrzenie. Popatrzył na nią, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech, ciepły i miękki. Głębina jego oczu sprawiała, że Helena zadrżała. Pochylił się ku niej i wziął ją za rękę.

- Zmęczona? - zapytał.

Helena przytaknęła, ale nie potrafiła powiedzieć, czy faktycznie była śpiąca, czy to oszałamiający zapach kadzidełek, drewna i kwiatów sprawiał, że głowa tak jej ciążyła, łan wtulił usta w jej dłoń i wstał.

- W takim razie chodźmy.

Torowali sobie drogę przez tłum ludzi, którzy rozciągnęli się na poduszkach rozłożonych na całym dziedzińcu lub siedzieli po turecku na gołej kamiennej posadzce, rozmawiali z ożywieniem

i częstowali się drobnymi smakołykami porozstawianymi wszędzie na srebrnych talerzach. Mężczyźni się śmiali, robiąc sprośne, żartobliwe uwagi i klepiąc łana po ramionach. Inni podjadali sobie i rozweseleni prawie nie zwracali uwagi na młodą parę.

Za drzwiami, wewnątrz pałacu panowała głucha cisza. W porównaniu z gorącym panującym przy ognisku było tu prawie chłodno. Minęła ich grupka służebnych i po cichutku pobiegła przodem. Helena, trzymana za rękę przez łana, szła przez korytarze i pomieszczenia, których dotychczas jeszcze nigdy nie widziała. W końcu dotarli do pokoju, którego dwuskrzydłowe drzwi z ciemnego drewna były szeroko otwarte. Młode dziewczęta stanęły przed tymi drzwiami w szeregu i skłoniły się nisko, spuszczać wzrok na podłogę.

Było to przestronne, wysokie pomieszczenie, słabo rozświetlone światłem licznych lamp. W powietrzu wisiał słodki i ciężki zapach róż; różane płatki były rozsypane na kamiennej posadzce, połyskiwały na białych poduszkach i prześcieradłach szerokiego łóża, którego rzeźbione kolumny utrzymywały nad nim pachnący biały baldachim. Helena popatrzyła zakłopotana na łóżko i powoli zaczął ją ogarniać strach. Starła się unikać spojrzeń łana, szukała czegoś, czemu mogłaby poświęcić uwagę, ale pomieszczenie było poza tym puste. Kątem oka dostrzegła, że łan usiadł w jedynym w tym pokoju fotelu, oparł się, a jedna ze służących ściągnęła mu oficerki. Machnął ręką, zaszeleścił jedwab, zabrzęczała srebrna biżuteria, drzwi zatrzasnęły się ostrożnie. Poczula, że łan wstał, i zmusiła się, by na niego spojrzeć.

Zdjął turban i haftowany kaftan, stał boso, w prostej białej koszuli i spodniach do konnej jazdy. Patrzył na nią. Po chwili podszedł do niej powoli. Helena wiedziała, że tej nocy się nie wymiga, ale ku własnemu zdziwieniu nie czuła potrzeby ucieczki przed tym, co miało się stać. Delikatnie zsunął jej z głowy kraniec sari. Jego dotyk sprawił, że Helena poczuła dreszcze. Wierzchem dłoni pogładził ją po

policzku, uniósł jej twarz. Badawczo spojrzął jej w oczy, w jego wzroku widać było gorący żar. Helena poczuła, jak kolana się jej uginają. Ich usta się spotkały jak spełnienie długo żywionych pragnień. Helenie wymknęło się ciche westchnienie. Poczowała, jak jego usta rozciągają się w uśmiechu. - Moja mała Heleno... Tak długo się wzbraniałaś, ale nawet ty nie zdołasz się oprzeć czarowi tej nocy...

Pocałował ją mocniej, zsuwając z jej ramion jedwabne sari. Jego ręce ścisnęły ją w talii, a stamtąd przesunęły się na biodra, przyciągnęły ją mocno do siebie. Helena jęknęła cicho. Ustami wędrował po jej twarzy, wzdłuż szyi, jednocześnie odwijając zawój po zawoju jedwab sari spowijającego jej ciało. W końcu sari całkiem się z niej zsunęło i opadło z lekkim szelestem na podłogę, a on zajął się rozpinaniem guziczek po guziczku jej *choli*. Powietrze pomieszczenia, chociaż nagrzane od płomieni lamp, muskało chłodem jej nagą skórę. Miała wrażenie, że ta część jej osoby, która do tej pory broniła się przed jego dotykiem, jego bliskością, została otumaniona zapachami, kolorami i dźwiękami nocy, za to zbudziła się inna jej część, namiętna i zmysłowa. Dłonie Heleny błądziły po ramionach lana, zawędrowały pod jego koszulę, poczuły jego ciepłą skórę, a pod nią twarde mu-skuły, szarpały niecierpliwie cienki materiał, dla niej jednak zbyt gruby. Usłyszała cichy śmiech lana, który uwalniał się z odzienia. Gdy łoże przyjęło ich oboje, poczuła na rozgrzanej skórze chłód i gładkość delikatnego płótna poduszek. Jej palce zaczepiły o srebrny łańcuszek. Chociaż go nigdy nie widziała, instynktownie poczuła, że łań nosi go zawsze na szyi.

- Co to jest?

Z ciekawością popatrzyła na wisiołek.

- Kieł tygrysa, którego kiedyś zastrzeliłem - powiedział między dwoma pocałunkami, przyciskając Helenę delikatnie z powrotem do poduszki, ale ona mu się wywinęła i zaczęła obracać w palcach oprawiony w złoto ząb.

- Co on oznacza?

- Zapewnia ochronę i czyni niezwyciężonym - szepnął jej we włosy, muskał gorącym oddechem jej twarz, ugryzł ją lekko w szyję.

Helena czuła na przemian gorące i zimne dreszcze. Gdy chciała przyciągnąć go z powrotem do siebie, jej dłoń natrafiła na jego ramieniu na coś twardego, nieregularnego. Z przerażeniem przejechała koniuszkami palców po zablźnionej tkance ciągnącej się od obojczyka przez bark wzdłuż ramienia, po tej samej stronie co blizna na policzku.

- lanie, co...

Zamknął jej usta swoimi ustami, gwałtownie, namiętnie. Pod jego jednocześnie delikatnymi i władczymi dłońmi przeżyła się z namiętności i pożądania. Potem poczuła na sobie ciężar lana i weszło w nią coś gorącego, twardego, co zadało jej ostry, palący ból. Krzyknęła, strąciła go z siebie, a jednocześnie uczepiła się go rękoma, czując, jak przechodzi przez nią niepojęte gorąco, wprawia jej ciało i duszę w wibracje, przypominające przyprawiający o zawrót głowy rausz. Pochłonęły ją fale zapomnienia.

Zbudziło ją jaskrawe południowe słońce. Odwróciła się i zobaczyła pogniecione, obsypane różami prześcieradło - puste i zimne. Ogarnęło ją uczucie przykrości i opuszczenia.

14

Helena siedziała beczynn timer na miękkich poduszkach, którymi wyłożone były stopnie wewnętrznego dziedzińca. Sponad wysokich murów przyświecało słońce późnego popołudnia, a powietrze pachniało kwiatami i nagrzanymi kamieniami. Błękitne

sari z szeroką turkusową obszywką i haftem wykonanym złotymi nićmi chłodziło przyjemnie jej skórę. Podciągnęła nogi pod siebie, a brodę oparła w zamyśleniu na kolanach. Przyglądała się Jasonowi, jak ze śmiechem bryka wraz z kilkorgiem dzieci z pałacu. Czas zdawał się nie mieć tu znaczenia. Surja Mahal leżał jak nieprzemijająca wyspa na wiecznym oceanie z kamieni i piasku rozległej Radżputany. Nawet nie zauważyła, że według czasu kolonizatorów rozpoczął się rok 1877. Mimo to wszystkie dni i noce mijały w jej odczuciu wolno i opornie. W tym domu nie było dla niej żadnego zajęcia, siedziała tylko w słońcu i przyglądała się, jak Jason rozkwita i nabiera kolorów jak jego hindustani z każdym dniem robi się płynniej sze za sprawą przebywania w towarzystwie ciemnoskórych dzieci, które traktują go jak jednego ze swoich.

W pałacu panował senny spokój, który został jej narzucony, życie toczyło się tu jednostajnym rytmem. Nie mając innych zajęć, drzemała często na zalanym słońcem dziedzińcu zenany. Szczytywano jej z oczu wszelkie życzenia. Podsuwano pod nos obfite jedzenie - różnorodne potrawy z ostro przyprawionego mięsa i warzyw, słodko-pikantne sosy, ryż i proso, łąkocie z miodu i orzechów, śmietany i owoców. Dżanahara i inne kobiety wprost przymuszały ją do jedzenia. Taki tryb życia przyniósł skutek: biodra Heleny się zaokrągliły, a piersi stały bardziej pełne, tak że wąskie *choli* napinało się na nich. Ale wciąż odczuwała wewnętrzny niepokój, od którego nie mogła się uwolnić. Z trudem przyznawała sama przed sobą, że pragnie powrotu lana.

Jej wargi wciąż jeszcze płonęły od jego pocałunków, na skórze pozostały ślady jego miłosnych pieszczot, a w podbrzuszu czuła pół bolesne, pół słodkie pulsowanie, które odzywało się raz za razem, przypominając błogość tamtej nocy. Jeszcze teraz każdy mięsień jej ciała wibrował z namiętności, jaką przeżyła.

Huzur odjechał konno wczesnym rankiem. Tak powiedziała jej jedna ze służących, która akurat zmieniała pościel i z zado-

wolaniem obejrzała krople krwi z utraconego dziewictwa Heleny. Helena zawstydzona się i spuściła wzrok. Nie wiadomo, kiedy Ian i Mohan Tadzid wrócą. Chociaż czuła głód, śniadanie składające się z *chapati* i owocowego sosu z mango, kokosów, jabłek i cynamonu straciło dla niej smak. Czuła bolesny skurcz żołądka na myśl, że tamtej nocy spełnił jedynie swój obowiązek, a ona była dla niego zbyt niedoświadczona, zbyt sztywna. Nienawidziła się za pragnienie, by się mu podobać, być przez niego pożądaną; im bardziej walczyła z tym pragnieniem, tym było ono silniejsze, jak gdyby tej nocy Ian nie tylko posiadał jej ciało, lecz także zawładnął jej duszą.

Gwałtowny szelest jedwabiu i dzwonięcie biżuterii sprawiły, że się przestraszyła. Nazrin, jedna spośród starszych kobiet, które jej służyły, podeszła szybko, wymijając dzieci, i zamachała ręką.

- Huzur! - zawołała z daleka zadyszana. - Memsahib, huzur wrócił!

Serce Heleny waliło boleśnie w piersi. Zerwała się na równe nogi, czując radosny ucisk w okolicy żołądka, pomknęła przez dziedziniec w kierunku domu, ale gdy dobiegła do Nazrin, tają zatrzymała.

- Memsahib, huzur chce, żeby pani poczekała na niego w swoim pokoju, póki po panią nie pośle. - Przez chwilę Helena sądziła, że straciła grunt pod nogami. Z niedowierzaniem popatrzyła na ciemną twarz. - On tak nakazał - powtórzyła z naciskiem Nazrin, a w jej czarnych, błyszczących oczach pojawiło się współczucie.

Helena przełknęła ślinę i powoli się odwróciła. Każdy krok wydawał jej się nieskończenie ciężki. Nic prócz upokorzeń.

Ostatnie promienie wieczornego słońca dawno już zniknęły za murami pałacu. Lawendowy kurz krótkiego zmierzchu wzbijał się ponad dachami i rozwił pod ciężarem rozpoczynającej się nocy.

Nad dziedzińcem przemykały cienie nietoperzy, potem znów znikaly w ciemności - już zabłyśły pierwsze gwiazdy, a Helena wciąż jeszcze czekała. Pokój, w którym spędziła noc poślubną, był cichy i opuszczony, a jego pustka sprawiała, że nie mogła zasnąć. Prawie nie zauważyła, jak do środka bezszelestnie weszła służąca, zapaliła lampy i równie cicho się oddaliła.

Do pomieszczenia przenikało chłodne nocne powietrze, ale nie mogło złagodzić płomienia na czerwonych ze wstydu policzkach Heleny, łan uznał ją za nieciekawą, brzydką, nie ma co do tego wątpliwości - myślała. Dlaczego więc za wszelką cenę chciał, żeby za niego wyszła? Ze złością zdzierała delikatny jedwab swego sari, niecierpliwie rozwijając niekończące się zawoje, szarpała guziczki *choli*, potem wskoczyła w nocną koszulę i opadła na taboret przed toaletką, która została później dostawiona do pokoju. Lampa rzucała ciepłe światło na gładki, mazerowany blat toaletki, zanurzała odbicie Heleny w rozmytych odcieniach złota. Helena chwyciła szczotkę z cyzelowanego srebra, przejechała nią mechanicznie po włosach, które w ciężkich, miękkich falach otaczały jej pełniejszą teraz i krągłą twarz. W świetle płomieni jej oczy błyszczały. Przez moment siedziała zatopiona w oglądaniu samej siebie, w końcu zdecydowanie rzuciła szczotkę na toaletkę i wstała. Zarzuciła paszminowy szal na ramiona i szybko, robiąc zamaszyste kroki, ruszyła skąpo oświetlonymi i pustymi korytarzami. Gdy skręciła za następny róg, spotkała idącą z naprzeciwka służącą, która na jej widok się przestraszyła i mocniej przycisnęła do siebie srebrną tacę z resztkami kolacji.

- *Huzoor kahdañ hai?* - zapytała władczyim głosem Helena.

Dziewczyna spojrzała na nią onieśmielona rozszerzonymi z przestachu oczami i wskazała ręką za siebie, na drzwi z ciemnego drewna. Helena otworzyła je energicznie i weszła do środka. Pokój miał drewnianą boazerię, stały w nim regały pełne książek, na

podłódze leżał gruby dywan. Panował tu półmrok, skąpo rozświetlony lampami i ogniem płonącym w kominku, co robiło ponure wrażenie. Dużą część pomieszczenia zajmowało masywne biurko, przy którym siedział zaskoczony łan. Służący w białym kaftanie i takich samych spodniach, któremu łan podawał właśnie kilka kopert, utkwiał w niej wzrok i otworzył usta.

- *Tjelol* - łan ruchem głowy pokazał mu, żeby wyszedł. Chłopiec szybko się pozbierał, skłonił głęboko najpierw przed łanem, potem przed Heleną, wciąż rzucając na nią spod opuszczonych powiek ciekawe spojrzenia, że aż Helena się zaczerwieniła. W końcu wyszedł posłusznie, łan usiadł na krześle z wysokim wyściełanym oparciem i zapalił papierosa.

- Serdecznie gratuluję. Właśnie zdruzgotałaś jego wyobrażenie świata. Według panującej tu opinii memsahib nie mają mianowicie nóg. Zawstydzona Helena próbowała ukryć palce nóg w wysokim runie ciemnoczerwonego, miękkiego dywanu.

- No więc, czego chcesz?

Łan spojrział na nią przez dym, czekając na odpowiedź. Helena wysunęła przekornie brodę do przodu i spojrzała mu w oczy.

- Kazałeś mi czekać na siebie przez cały dzień!

- Miałem ważniejsze sprawy.

Helena odrzuciła głowę do tyłu; jej oczy sypały ze złości skrami.

- Nie jestem jedną z twoich *nauj*, panienek, którym możesz nakazywać, kiedy mają przyjść albo odejść, jak tobie pasuje, tylko dlatego, że im płacisz!

Kąciki ust łana lekko się uniosły. Pochylił się do przodu, żeby strząsnąć popiół z papierosa do popielniczki.

- Powinienem zwracać baczniejszą uwagę na to, jakiego słownictwa uczy cię Mohan Tadżid. - Opadł na oparcie krzesła. - Ale to porównanie nie jest tak całkiem chybione, w końcu

ty też mi się sprzedawałaś. Jednakże byłaś ciut za droga w porównaniu z tancerkami, które przez całe życie są wychowywane tak, by się podobać mężczyznom i praktykować wszystkie rozdziały *Kamasutry*.

Helena drżała od tłumionego z trudem gniewu i zazdrości. Aż trudno jej było oddychać, gdy sobie wyobraziła, jak łań zabawia się z drobną, ciemnoskórą dziewczyną.

- Nie pozwalaj sobie na zbyt wiele! - prychnęła na niego ze złością w oczach. - Nie mam zamiaru tego tolerować!

Odwróciła się na pięcie. Nim doszła do drzwi, poczuła, jak łań chwytają mocno za ramię i odwraca. Gwałtownie walczyła, żeby mu się wyrwać, ale on był silniejszy, chwycił ją brutalnie za brodę i zmusił, by spojrzała mu w oczy.

- Owszem, będziesz musiała! Ta część Radżputany jest wolna, Anglicy jej nie kontrolują. Tu obowiązuje jedynie prawo hinduizmu. Zostaliśmy sobie poślubieni według rytuału hinduistycznego, a w związku z tym jesteś moją własnością!

Płomień w jego oczach sprawił, że Helena się przełękła, ale nienawiść, która w tej chwili rozgorzała w jej duszy, dodała jej sił. Wyszarpnęła głowę, uwolniła rękę i zamachnęła się, by go uderzyć, łań natychmiast wykręcił jej rękę na plecy. Lekko krzyknęła z bólu, a on się cicho roześmiał.

- Nie wysilaj się, i tak zawsze będę od ciebie szybszy. Przycisnął ją mocno do siebie. Przez cienkie ubranie poczuła jego mięśnie. Nie rozluźniając chwytu, muskał łagodnie ustami jej twarz, że aż przeszły ją dreszcze.

- Przyznaj, że za mną tęskniłaś - szepnął, chuchając przy tym na jej skórę, a potem spojrzał badawczo w jej oczy.

Zmierzyła go w milczeniu wrogim spojrzeniem, ale on przycisnął swe wargi niemal boleśnie do jej ust. Helena wydała z siebie zduszony jęk. Kolana jej się ugięły. Wiedziała, że się zdradziła. Bez tchu i pożądliwie spijała pocałunki, jakby umierała z pragnienia, chciwie, prawie gniewnie wtuliła się w niego,

pragnąc więcej. Nagle on odepchnął ją od siebie. Zdezorientowana otworzyła oczy. Trzymał ją od siebie na odległość ramion, a w jego oczach zalśnił szatański uśmiech.

- O nie, moja mała Heleno - szepnął ochryplym głosem. -Nie ma tak łatwo.

Spokojnym tonem życzył jej dobrej nocy, musnął przy tym wargami jej policzek. Zostawił ją osłupiałą, patrzącą tępo przed siebie, wyszedł i cicho zamknął za sobą drzwi.

Helena zerwała się nagle ze snu. Serce waliło jej jak oszalałe, a pasma włosów lepiły się do wilgotnych policzków. Rozejrzała się nieprzytomnie. Nie mogła sobie przypomnieć, jak trafiła do łóżka. Spojrzała w bok, na drugą połowę łoża, gdzie pościel była gładka i niewygnieciona. A więc znowu spała sama. Przypomniała sobie wyraźnie upokorzenie, którego zaznała minionej nocy. Gniew zmieszał się z pełnym przerażenia przygnębieniem, które przebudziło ją na dobre. W pamięci zostały jej tylko niewyraźne wrażenia ze snu - jak biegła i biegła w poczuciu grożącego niebezpieczeństwa, które było bardzo bliskie, a mimo to mgliste i niejasne, przez co napawało ją jeszcze większym strachem. Z trudem przypominała sobie, że chciała ostrzec lana. Ale przed czym? Nie mogła sobie przypomnieć. A może we śnie pojawił się ktoś inny, kto chciał ostrzec ją przed lanem? Nie pamiętała...

Z westchnieniem opadła na poduszki, poddała się przygnębieniu, które zawładnęło całym jej ciałem. Z niechęcią uniosła wzrok, gdy drzwi się otworzyły i do środka weszła jedna z hinduskich dziewcząt, niosąca tacę ze śniadaniem. Za nią wkroczyła Nazrin, trzymając przed sobą uprane i starannie złożone spodnie do konnej jazdy oraz koszulę, w których Helena tu przybyła.

Helena spojrzała na nią zdziwiona.

- Memsahib, huzur pragnie z panią pojeździć konno -oświadczyła Nazrin, promieniejąc radością.

Do diabła z nim i jego końmi - pomyślała Helena ponuro, ale myśl, że dosiądzie końskiego grzbietu pod gołym niebem, miała dla niej nieodparty urok. Po krótkiej wewnętrznej walce nad filiżanką herbaty i owocami zaniechała dumy.

Tak więc niewiele później szła w wysokich butach do konnej jazdy przez wielki dziedziniec koło bramy wjazdowej do pałacu, trochę zła, a trochę radośnie podekscytowana, łan już czekał, rozmawiając i żartując beztrudnie z jednym ze stajennych. Odwrócił się, zanim jeszcze zdążyła podejść. Miał na sobie obcisłe spodnie, wysokie, wypucowane do połysku buty i wąski brązowy surdut kontrastujący z białą koszulą. Strój ten podkreślał jego dumną postawę, a jednocześnie sprawność fizyczną. Lekki wiaterek wicherzył mu falujące włosy, a jego ponure, dzikie rysy twarzy złagodniały w uśmiechu. Helena poczuła, jak po jej żyłach rozplywa się gorące pożądanie i męcząca tęsknota. Przybrawszy dumną minę, odrzuciła włosy do tyłu. Podeszła bliżej i rzekła do niego lodowato:

- Dzień dobry.

- Dzień dobry, Heleno - odpowiedział ciepło.

Pochylił się do przodu, żeby ją pocałować, ale ona szybko odwróciła głowę w bok. Zrobiło jej się niemal słabo, gdy poczuła jego zapach: mydła i cierpkiej, subtelnej wody po goleniu. Dostrzegła, że w jego oczach zabłysła iskierka rozbawienia.

- Dobrze spałeś? - zapytał.

- Mam nadzieję, że ty też, niezależnie od tego, w którym łóżku spędziłeś minioną noc - odpowiedziała lodowato, na co on uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- O tak, spałem wyśmienicie - odpowiedział z zadowoleniem, co ją boleśnie dotknęło.

Dwóch stajennych przyprowadziło na dziedziniec konie. Helena mimowolnie wstrzymała oddech, widząc urodę obu zwierząt - czarnego ogiera i białej jak śnieg klaczy. Na moment zapomniała o złości i urażonej dumie. Wierzchowce zupełnie

nie przypominały niezgrabnych, poczciwych jucznych koni, na których tu przybyli. Były szczupłe, delikatne, mięśnie miały naładowane energią, głowy dumnie uniesione, szyje wygięte w łuk, zwinne stawy i połyskującą sierść. W ich żyłach musiała płynąć szlachetna arabska krew.

- Ależ jesteś piękna - powiedziała odruchowo Helena, głaszcząc ostrożnie klacz po plamce na czole i po nozdrzach.

Zwierzę spojrzało na Helenę bacznie, a jednak ufnie, trąciło ją przyjaźnie głową, łan wziął z ręki stajennego uzdę i poklepał klacz po boku, a jego oczy przybrały miękkie, łagodny wyraz.

Chciałabym, żeby na mnie tak patrzył- pomyślała Helena.

łan zaczął mówić cicho, jakby sam do siebie:

- Wśród opowieści emira Abda al-Kadira jest taka, w której bóg przemówił do południowego wiatru: „Zagęść się! Chcę z ciebie stworzyć nową istotę”. Wziął garść powstałej w ten sposób materii, stworzył z niej konia i rzekł: „Nazwę cię koniem. Jesteś arabem, a ja dam ci kasztanowy kolor mrówki. Masz być królem innych zwierząt”. Potem stworzył inne konie, którym dał czarny kolor kruka, rudy lisa i biały niedźwiedzia polarnego. Następnie rozpędził stado, które rozbiegło się po ziemi. Po dziś dzień każdy koń nosi w sobie wspomnienie południowego wiatru, z którego został stworzony. - Spojrzał na Helenę i z dziwnym uśmiechem podał jej cugle. - Ma na imię Szakti. Tak się nazywa jasna strona małżonki boga Sziwy, pierwiastek żeński. Urodziła się w stajniach Sikhary i dwa pierwsze lata swego życia spędziła na tamtejszych łąkach. Helena poczuła na policzku muśnięcie ciepłego oddechu łana, co sprawiło, że po jej plecach przeszedł dreszcz. Szybko wskoczyła na siodło. Nienawidziła tego mężczyzny za to, że kilkoma zdaniem, uśmiechem czy swoją bliskością topił jej gniew, jak marcowe słońce topi śnieg.

Usłyszawszy ostre rżenie konia, odwróciła się. Ogier spłoszył się bez widocznego powodu, stanął dęba, a chłopiec trzymają-

cy go za cugle skulił się lekliwie, łan zdecydowanie wyrwał mu z ręki uzdę, zwinnie trafił nogą w strzemię i wskoczył na zdenerwowanego konia, podczas gdy stajenni odsunęli się na bezpieczną odległość. Kary jeszcze kilka razy stanął dęba, otrząsnął się niechętnie, a potem uspokoił, parsknął kilka razy, słuchając łaskawie, jak przemawia do niego łan.

- Ten koń nosi zapewne imię Sziwa - powiedziała Helena sarkastycznie. Łan roześmiał się głośno.

- Tak właśnie jest. Jak widzisz, to prawdziwy diabeł!

Dokładnie jak ty - pomyślała Helena, ściągając brwi. Łan rzucił jej ironiczne spojrzenie, jakby odgadł jej myśli. Patrzyła na niego z gniewem, póki z błyskiem w oku nie odwrócił się na koniu.

Poczuła ulgę, gdy wszechobecne straże otworzyły bramę i mogła się skoncentrować na cuglach, na tym, żeby kierować zwierzęciem poprzez lekki ucisk udami. Zdziwiła się, jak łatwo jej to przychodzi, jakby Szakti się domyślała, czego Helena od niej chce, zanim ona sama dała temu wyraz za pomocą uzdy. Mimo to Helena czuła, że pod pozornym spokojem i łagodnością klaczy kryje się ognista natura.

Dźwięczne uderzenia kopyt w gładką kamienną posadzkę przeszły w głucho skrzypienie, gdy wjechali na kamienisty pustynny grunt, gdzie konie natychmiast przeszły w lekki kłus. Poranne zimowe słońce wisiało na szaroniebieskim niebie. Cisza zawisała nad szarozółtą, pylistą ziemią porośłą wyblakłymi kolczastymi krzewami i pojedynczymi sękatymi drzewami. Panował chłód, a Helena, która nie doceniała zimy w tej okolicy, była zadowolona, że pozwoliła, by Nazrin wcisnęła jej kaftan z długimi rękawami. Jak okiem sięgnąć, krajobraz zdawał się martwy i opuszczony; o życiu świadczył tylko jeden samotny myszołów, który z rozpostartymi skrzydłami kreślił nad nimi kręgi. Szakti i Sziwa szły równo spiesznym kłusem, jakby same z siebie, od czasu do czasu dziarsko rżały. Helena chętnie by się przyłączyła do tego

radosnego rżenia. Głęboko wciągała w płuca czyste powietrze pachnące kurzem i zeschniętą ziemią, suchymi liśćmi i drewnem.

Słońce wzniosło się wyżej i grzało ją. Kątem oka zobaczyła, że łan ściąga surdut, trzymając cały czas w ręce cugle. Jej spojrzenie padło na dwa pistolety, które nosił w olstrach na koszuli, z prawej i lewej strony.

- Czy one są naprawdę konieczne?

- Tej zimy w wielu częściach kraju, od Bengalu po Pendżab, ludzie cierpią głód, ponieważ w minionym roku spadło za mało deszczu. W niektórych miejscach doszło już do zamieszek, także niezbyt daleko stąd. Nie chcę niepotrzebnie ryzykować, nawet jeśli sytuacja nieco się uspokoiła, o czym ja i MohanTadžid mogliśmy się przekonać na własne oczy. - Przelotnie spojrzał na Helenę z lekką ironią. - Jak widzisz, miałem ważniejsze sprawy niż włóczenie się po obcych łóżkach.

Helena poczuła, że się rumieni - w równym stopniu ze wstydu co ze złości. Zmarszczyła brwi.

- Co ty masz z tym wspólnego? - zapytała. - Czy to nie jest zadanie angielskiego rządu?

- Z pewnością. - Na twarzy łana malowała się powaga. -Tylko sądzę, że angielskim kolonizatorom niezbyt zależy na hinduskiej ludności, jest przecież dość „czarnuchów”. - Słowo to niemal wypluł. - Kogo tam będzie obchodzić, czy z głodu, na cholere, malarię albo czerwonkę umrą miliony, czy tylko dziesiątki tysięcy? Im mniej ich pozostanie, tym łatwiej będzie kontrolować ten kraj. Stabilność i trwałość angielskiego panowania jest tutaj czystą fasadą, iluzją ozdobioną orderami i złotymi, płaskimi sznurami przy mundurach. Żołnierze i urzędnicy Korony nigdy nie pojmą, że Indie są dzikim, nieposkromionym krajem, który można albo kochać, albo nienawidzić, ale nad którym nigdy nie da się zapanować.

Helena miała wrażenie, że w łanie aż wrze z głębokiej nienawiści do ich rodaków, a siła tej nienawiści sprawiła, że dostała gęsiej skórki.

Tymczasem on ciągnął dalej:

-Jakież to bogactwa kryje ten kraj i jego ludzie: jutę i bawełnę, herbatę i oleje roślinne, skórę, zboża, no i podatki; pozyskiwane pieniądze idą na parady, bale i rezydencje lub płyną do Europy. Nie są natomiast inwestowane w pomoc materialną czy rozbudowę sieci kolejowej do odleglejszych okolic, dalekich od miejsc, które mają militarne lub gospodarcze znaczenie. Poza tym dla Anglików obowiązuje zasada *laissez faire*, czyli że wszystko samo się jakoś ułoży. Dla dobra brytyjskiej Korony oczywiście. -Zmarszczył brwi gniewnie, a zarazem w zamyśleniu. - Nie, to są moi ludzie i jestem za nich odpowiedzialny. W końcu... - Jego wargi wykrzywiły się ironicznie, a ton głosu brzmiał pozornie lekko, choć dość ostro. - W końcu muszę zadbać o to, żeby was bezpiecznie dostarczyć do Darjeeling. Ludzie bywają złośliwi i bardziej nieobliczalni niż żadne mordu tygrysy. Nie mam ochoty wpaść po drodze w ręce włóczących się i plądrujących band.

- Jak podczas podróży do Dżajpuru?

Łan zdawał się nie dostrzegać jej przenikliwego spojrzenia, nie zareagował na uszczypliwość, z jaką wypowiedziała te słowa, lecz spojrzał prosto przed siebie na rozległą przestrzeń kamieni i gruntu. Z niewielkiego wzgórzka spoglądał na nich - dwoje przejeżdżających jeźdźców - pustynny lis, który po chwili oddalił się lekkim krokiem.

- Nie myśl o tym.

- Jak mam nie myśleć?! - zawołała gwałtownie. - W końcu to, co widzieliśmy, może dotyczyć także mnie i Jasona.

Mimowolnie ściągnęła cugle i Szakti zwolniła kroku, a w końcu się zatrzymała.

Łan, również zatrzymawszy Sziwę, spojrzał Helenie prosto w oczy.

- Wierz mi, ani ty, ani Jason nie znajdowaliście się nawet przez moment w niebezpieczeństwie i w przyszłości też wam nic nie grozi. Daję ci moje słowo.

Zmrużyła oczy, myśląc intensywnie. Spojrzała na niego. Nie byłaby w stanie powiedzieć, co sprawiło, że zapytała go gwałtownie:

- Co takiego przede mną ukrywasz?

Wydawało jej się, że dostrzegła niewielkie drgnienie w kącikach jego ust. Pochylił w zamyśleniu głowę, a gdy z powrotem uniósł wzrok, pokręcił tylko głową i rzekł twardo:

- Nie, Heleno, bywa tak, że wiedząc za dużo, jest się narażonym na niebezpieczeństwo. Krocę moją drogą i dalej będę nią kroczył samotnie.

- Zapominasz, że wbrew mej woli uczyniłeś mnie częścią swego życia.

Łan oparł się wygodnie przedramieniem o łęk przy siodle i skinął głową w zadumie.

- Wiem. I uwierz mi, od tego czasu było wiele momentów, kiedy tego żałowałem.

Jego słowa dotknęły ją głęboko; w ślepej złości i bólu szarpnęła cugłami, a obcasy wbiła w boki konia. Szakti aż zarżała oburzona, zarzuciła łbem, zrobiła kilka dużych kroków, a w końcu popędziła przed siebie dzikim galopem z Heleną na grzbiecie.

Zimny wiatr smagał Helenę po twarzy, wyciskał jej z oczu łzy, z którymi mężnie walczyła; kopyta dudniły po ziemi, wzbijając tumany kurzu i kamieni; jej oddech przeszedł w sapanie, zmieszał się z parsaniem konia. Dudnienie końskich kopyt narastało. Helena zerknęła przez ramię za siebie i zobaczyła, że łan ją dogonił, że jest tuż za nią. Mknął ponad pustynną ziemią, jak gdyby był jednością ze swym wierzchowcem, skoncentrowany i napięty, a jednocześnie dziki i nieokiełznany.

Wykorzystał jej króciutką chwilę nieuwagi, by chwycić cugle Szakti.

Konie, zrównawszy się, zarżały. Stąpnęły mocniej, po czym złane potem zwolniły kroku, dygotały i parskwały, łan, nim jeszcze się zatrzymały, zeskoczył z siodła i ściągnął Helenę z konia.

- Całkiem postradałaś zmysły?! - krzyknął, potrząsnął nią brutalnie, aż się schyliła w geście obrony. - Jeśli chcesz sobie ko-

niecznie skrećić kark, to twoja sprawa, ale nie pozwolę, żebyś zajeżdżiła takiego cennego konia!

Palce lana wbiły się boleśnie w jej ramiona; Helena gwałtownie biła rękoma i kopała, daremnie próbując się uwolnić z jego żelaznego chwytu. Ogarnęła ją dzika złość wobec własnej bezsilności i jego fizycznej przewagi. Uświadomiwszy to sobie, utraciła resztkę sił i się poddała.

Ciężko oddychając, oparła się

o jego pierś, która unosiła się szybko i opadała. Z jednej chwili na drugą brutalny chwyt przerodził się w oszałamiającą bliskość. Ich wargi spotkały się same z siebie w niemej rozmowie. Następowały po sobie pytanie i odpowiedź, i następne pytanie,

1 odpowiedź, a wszystko w szalonym rytmie, za którym podążali wzbudzonymi zmysłami.

Kochaj mnie - myślała zrozpaczona, kiedy ją pociągnął na ziemię i gdy wzajemnie zdzierali z siebie niecierpliwie ubrania. *Kochaj mnie, jak kochasz ten kraj, nie mniej i nie więcej...*

15

Kalkuta, luty 1877

Powoli nad wybrzeżem unosiła się poranna mgła, osłaniała poprzecinaną rozpadlinami szeroką deltę Gangesu z żyzną ziemią marszową, ocienioną palmami, których sylwetki można było już dość wyraźnie rozpoznać.

Niewielkie parowce i żaglowce oraz małe łódki zachowywały pełen szacunku dystans od potężnego kadłuba statku „Pride of India”, z którego wysokich kominów wydobywała się para wytwarzana przez dudniące maszyny. Łupiny te bujały się potem gwałtownie na spienionej fali pozostawianej za sobą przez parowiec. Choć z tej odległości niewiele jeszcze było widać, Richard Carter spoglądał na kontrastujące ob-

razy, które się przed nim rozpościerały: długie i proste kamienne mury dumnego Fortu William nad Hooghly, brązowosrebrnym potężnym dopływem świętego Gangesu. Ów solidnie i olśniewająco zbudowany fort był załóżkiem późniejszego miasta, które w następnych latach rozrastało się niepowstrzymanie, a zarazem symbolem potęgi Anglików i trwałości ich panowania nad sub-kontynentem. Nad Gangesem, na mulistym podłożu, zaledwie kilka stóp nad powierzchnią rzeki, rozciągało się drugie miasto dumnego brytyjskiego imperium, Londyn Wschodu, miasto pałaców - bogate za sprawą handlu uprawianego w licznych, ruchliwych i tłocznych dokach i dzięki temu, że znajdowała się tu siedziba administracji kolonialnych Indii, których Kalkuta była stolicą, miasto pełne przepychu i blasku, ale też ludne, hałaśliwe, brudne i biedne - najgorsze miejsce we wszechświecie, jak się wyraził w minionym stuleciu Robert Clive, gubernator Bengalu.

Za fortem rozciągał się Maidan, wielki park miejski, miejsce spacerów, flirtów i kontaktów społecznych, a na obrzeżach parku - tory wyścigowe, na których niejednen porucznik przegrał cały swój żołd, a nieraz też rodzinny majątek. Chowringhee Road, pulsująca główna arteria miasta, nie ustępowała pod żadnym względem bulwarom europejskiej metropolii. Była zabudowana luksusowymi hotelami, drogimi restauracjami, domami towarowymi, kantorami i ekskluzywnymi klubami, w których dużych, idealnie umytych szybach odbijało się słońce; mieli tu swe pracownie zegarmistrze, jubilerzy, modystki, a ich udekorowane ze smakiem wystawy przyciągały majątną klientelę. Pośrodku zadbanych, wiecznie zielonych trawników wznosiła się katedra Świętego Pawła z kwadratową wieżą, długą nawą poprzeczną o kunsztownym szczycie ozdobionym spiczastymi, cyzelowanymi łukami z jasnoszarego, prawie białego kamienia. Wzdłuż Hooghly ciągnęły się tak zwane ghaty, czyli schody, które nadały miastu jego nazwę. Są tu też liczne hinduistyczne świątynie poświęcone bogini Kali, poplamione krwią składanych w ofierze kóz oraz krwią

ludzi, którzy oddali życie w hołdzie dla patronki miasta, zanim angielscy kolonizatorzy *zakazali* tego typu barbarzyńskich praktyk. Eleganckie pałace, wille, kamienice, a pomiędzy nimi obskurne zaułki i uliczki, burdele i spelunki, kolorowe bazary, ruchliwa chińska dzielnica oraz dzielnica ormiańska - taka była Kalkuta.

Richard Carter odruchowo zacisnął ręce na relingu. Co go pchnęło, by wyruszyć w tę podróż? Przecież przysiągł sobie, że nigdy więcej nie postawi stopy na tym przeklętym lądzie. A mimo to pozałatwiał wszystkie niezbędne interesy w londyńskim oddziale swojej firmy, udzielił wskazówek na nieokreślony czas swojej nieobecności - osobiście, pisemnie oraz telegraficznie, zarezerwował przejazd, pozornie się nie spieszył, a jednak działał gorączkowo, ogarnęła go nerwowa niecierpliwość, która zazwyczaj była mu całkowicie obca. Co się z nim działo?

Znał powód, choć powód ten wciąż jeszcze wydawał mu się irracjonalny i nedorzeczny. To trwało niewiele dłużej niż krótką chwilę, a przecież każdy szczegół utkwiał mocno w jego pamięci i sercu, rozpałił w nim płomień, który tym mocniej buchał, im więcej minęło czasu. Nie miał podstaw, żeby uważać, że ona czuje to samo co on, a jednak w ciągu tych wszystkich tygodni nie wahał się, nie wątpił, nie zastanawiał, czy nie przesunąć by tej podróży albo w ogóle jej zaniechać. Patrząc trzeźwo na jego poczynania, można było dojść do wniosku, że chyba stracił rozum. Przecież ona była mężatką, a Indie wielkim krajem nie do ogarnięcia. Nawet jeśli zdoła sprawić, że się spotkają, kto mu zareczy, że uda mu się zdobyć jej serce? Nie miał żadnej gwarancji; jedynie ryzykował, stawiał wszystko na jedną kartę, przegra lub zwycięży. A wiedział, że nie zazna spokoju, jeśli przynajmniej nie spróbuje.

Rzeński wiatr wicherzył mu włosy, był j ak czuły dotyk z daleka. Richard Carter zamknął oczy i wywołał z pamięci jej obraz, jak to często czynił w ciągu minionych tygodni - szczupła, a nawet zbyt szczupła postać w krzykliwej sukni, pół jeszcze dziecko, pół kobieta, o oczach mieniących się niebiesko i zielono, przypomi-

nających opale, które importował z Australii. Wylęknięty wyraz tych oczu nie opuszczał go przez cały dzień. Musiał ją znowu zobaczyć, choćby ten jeden raz.

- Hop, hop, panie Carter! - wyrwał go z zamyślenia krzykliwy, sztucznie kokieteryjny głos.

Oto nadchodziła dama w średnim wieku, z krągłą twarzą radośnie zarumienioną pod starannie ondulowanymi i ułożonymi loczkami w nieokreślonym odcieniu brązu, na których siedział szykowny czarny kapelusik. Zbliżała się szybkim krokiem, na ile pozwalała na to jej tusza, ledwo mieszcząca się w gorsecie niemal trzeszczącej w szwach sukni z czarnego jedwabiu. Dama pilnie do niego machała. Richard Carter jęknął w duchu, skłonił się jednak z galanterią i przybrał przyjazny wyraz twarzy.

- Dzień dobry, pani Driscołl. Co sprowadza panią tak wcześnie na pokład?

- Ach! - Dama sapnęła i dla lepszego złapania tchu przycisnęła do obfitego biustu rękę odzianą w zbyt ciasną czarną rękawiczkę. - Pod pokładem przez całą noc było tak duszno. Chciałyśmy zaczerpnąć świeżego powietrza. Prawda, dziewczęta?

Zwróciła się do dwóch młodych panien, które szły za nią w odległości kilku kroków. Starsza, Florence, była uderzająco podobna do matki - z rysów twarzy i figury, spoglądała markotnie na morze, sztywna i jeszcze zaspana, młodsza natomiast dosłownie pożerała Richarda żywymi niebieskimi oczami.

Richard mimo woli uśmiechnął się rozbawiony. Zaraz po wypłynięciu parowca, gdy nabrzeże było jeszcze w zasięgu wzroku, zorientował się, że trzy panie Driscołl należały do tak zwanej floty rybackiej. Otóż damy różnego pochodzenia i wieku ruszały w drogę do Indii, żeby znaleźć tam odpowiedniego męża, najlepiej jakiegoś nababa, który odniósł na obczyźnie sukces i zbił majątek; ale gorąco pożądani byli też żołnierze dowolnego stopnia i cywilni urzędnicy Imperium. Pani Driscołl przedstawiała głośno siebie i swoje córki kolejnym pasażerom, wycierając so-

bie przy tym oczy chusteczką obszytą koronką, i informowała, że jej ukochany Hartley zmarł, a jego oszczędności, Bogu niech będą za to dzięki, pozwalały im teraz odwiedzić w Kalkucie daleką kuzynkę, która wyszła za mąż za misjonarza, w pocie czoła nauczającego dzikusów ewangelii.

- Szczególnie mojej małej Daisy powietrze tam na dole nie służy. - Pani Driscoll pogłaskała młodszą córkę po ramieniu. - Ona jest tak strasznie delikatna!

Richard uważał, że to gruba przesada, chociaż musiał przyznać, że jędrne kragłości, których można się było domyślić pod sztywnym czarnym materiałem, niepozabawione były pewnego uroku, podobnie jak okrągła twarzyczka lali z zadartym noskiem, ustami jak pączek i świeżą, różową cerą, obramowana potokiem błyszczących złocistych loków pod figlarnym kapelusikiem.

Pani Driscoll zerknęła niebieskimi oczkami to na córkę, to na amerykańskiego dżentelmena; dostrzegła, że mężczyzna przypatruje się jej córce i natychmiast zinterpretowała to tak, że jest dziewczyną zainteresowany. Wysoki pasażer od razu zwrócił jej uwagę, choćby dlatego, że stale trzymał się na dystans, a do innych pasażerów odnosił się uprzejmie, chociaż powściągliwie. Ale wszystkie wysiłki pani Driscoll, żeby skierować uwagę tego sympatycznego i zapewne zamożnego człowieka na wdzięki Daisy, były skazane na niepowodzenie. Ten skromny, a więc pewnie godny zaufania człowiek, nie tylko zachowywał się z rezerwą, ale także miał skłonność do odlatywania myślami, co, jak uważała pani Driscoll, było czymś naturalnym u takiego mężczyzny, który najwidoczniej był kimś ważnym.

Banknoty funtowe, które ukradkiem wręczyła uważnemu stewardowi, nie ujawniły jej nic poza tym, czego dowiedziała się na pokładzie: że ów pan Carter podróżuje samotnie pierwszą klasą, nie nosi obrączki, nosi za to garnitury doskonałej jakości, choć o skromnym kroju, a poza tym nie pisze żadnych prywatnych listów skierowanych do kobiecych adresatów.

Dopiero minionego wieczora, gdy siedziała w salonie drugiej klasy z Harriet i Josephem Barnesami, miłym starszym małżeństwem udającym się do Delhi na wesele swojego syna, porucznika o wspaniałych perspektywach awansu, i znowu się głośno rozmarzyła o skromnym, dystyngowanym i zrównoważonym Amerykaninie, pan Barnes, biznesmen z Midlands, hurtownik tekstyliów w stanie spoczynku, opuścił nagle na kolana „London Illustrated News”, zmarszczył brwi i popatrzał na nią przez swoje okrągłe okulary.

- Powiedziała pani przed chwilą: „pan Carter”? Ale chyba nie chodzi o tego pana Cartera?

Krótko opowiedział jej o zakresie działalności przemysłowej i finansowej Richarda Cartera w Nowym Jorku, San Francisco, Londynie, o jego przedsiębiorstwach, tkalniach, szlifierniach kamieni szlachetnych, zakładach żelaznych i stalowych, firmach budowlanych i inwestycyjnych. Na takie wieści pani Driscoll zaczęła się z wrażenia dusić i wołać Florence, by ta podała jej sole trzeźwiące.

Zdesperowana postanowiła postawić wszystko na jedną kartę i działać, nim „Pride of India” przybije do Kalkuty i ich drogi się rozejdą. Zrećznie rozdana garść kolejnych banknotów funtowych sprawiła, że wczesnym rankiem z jękiem opuściła kajutę, wyciągając z niej swoje córki z zamiarem wykorzystania okazji, jaką stwarzała wczesna godzina. A chwila była bardziej niż sprzyjająca, tak więc chwyciła energicznie rękę starszej córki, by pomóc losowi.

- Florence, moje krążenie... Niech pan wybaczy, panie Carter, ale potrzebuję natychmiast napić się herbaty, zanim mi się znowu zrobi czarno przed oczami. Z panem moja mała Daisy na pewno będzie w dobrych rękach, prawda?

Richard patrzył rozbawiony na panią Driscoll, gdy oddalała się kołyszącym krokiem na podobieństwo okrętu wojennego huśtanego przez niespokojne morze, a za nią podążała jak na holu mrukliwa Florence, następnie odwrócił się do podanej mu na tacy Daisy, która stała obok niego w przyzwoitej odległości.

Małe dłonie dziewczyny, przyodziane w czarne, dziergane rękawiczki, zacisnęły się na relingu, a satynowe wstążki kapelusika powiewały na wietrze.

- Był pan... był pan już może kiedyś w Indiach, panie Carter? - zapytała, nie spoglądając na niego bezpośrednio.

Jej powieki zatrzepotały, a pełna dolna warga lekko zadrżała. Poczuł, że panna Daisy bardzo się stara nawiązać rozmowę i nie popełnić przy tym błędu, aby nie przynieść wstydu matce i nie narazić się na wyrzuty, że zmarnowała szansę. Poczuł ciepłe współczucie dla dziewczyny i ciężar, jaki niosła.

-Nie.

Zaprzeczenie przeszło mu łatwo przez gardło, tym bardziej że nie miał poczucia, jakoby kłamał. W Indiach był całkiem inny Richard, na dodatek w całkiem innym życiu. On nie miał z tamtym Richardem nic wspólnego, nawet nazwiska, jakby tamten Richard w ogóle nigdy nie istniał. Nie było powodu, żeby się obawiać, ale w tej chwili poczuł coś jakby strach.

A tym, czego się bał najbardziej, była pamięć.

16

Zamyślona Helena gryzła końcówkę pióra, a w końcu ze złością zmięła do połowy zapisaną kartkę papieru i odrzuciła ją z irytacją na podłogę między inne papierowe kulki, które leżały na dywanie dookoła biurka. Z westchnieniem opadła na oparcie fotela, turkusowy jedwab jej sari zaszeleścił. Oparła głowę na gładkiej, chłodnej skórzanej tapicerce i powiodła wzrokiem po pokoju.

Nawet teraz, w jasny dzień, było tu ciemnawo. Światło słoneczne wpadające przez wysokie okna, których bordowe zasłony z adamaszku ściągnięte były na boki, oświetlało jedynie małe, ostro zaznaczone kwadraty podłogi pod oknem. Krajobrazy i por-

trety dumnych radżpuckich książąt namalowane na tablicach powieszonych między elementami drewnianej boazerii a szafkami na książki widoczne były tylko w zarysach. Z cienia wyłaniały się ciała wypchanych zwierząt: myszołowa, stojącej w rogu pantery, której obnażone zęby połyskiwały w mroku, głowy sarn i jeleni z ich dumnymi porożami, potężny kieł słonia, który sterczał w górę na podstawie z cyzelowanego brązu, celując w sufit.

Siedziała tu już od kilku godzin i ciągle na nowo zaczynała pisać zaległy list do Margaret, pierwszy od czasu lakonicznej notatki z Bombaju, w której poinformowała jedynie o szczęśliwym dotarciu do Indii.

Napisawszy kilka zdań, za każdym razem miała i wyrzucała kartkę. A przecież miała tyle do opowiedzenia, tyle rzeczy, które widziała i przeżyła w ciągu minionych tygodni. Pragnęła opisać podróż koleją i konno, pałac, konne przejażdżki u boku lana, często dodatkowo w towarzystwie Mohana Tadzi-da i Jasona, podczas których poznawała okolicę. Chciała napisać o *czatri*, marmurowych baldachimach stawianych w miejscach, gdzie martwi radżpucy książęta zostali poddani kremacji podczas uroczystej ceremonii i o uwiecznionych na kamieniu czerwoną farbą odciskach rąk ich *rani*, małżonek, które podążyły za nimi, wchodząc na stos, zgodnie ze zwyczajem *sati*, żeby połączyć się z nimi w śmierci, zostać oczyszczonymi i uświęconymi przez płomień, które ocalały je przed niegodnym losem wdów, naruszając wprowadzony przed pięćdziesięcioma laty przez Anglików zakaz kultywowania tego zwyczaju. Chętnie napisałaby też o wsiach, które odwiedzili, o gościnności napotkanych ludzi, którzy ich do siebie zapraszali, dzielili się *chapati* oraz ryżem, dawali im na drogę prezenty - kolorowe sari, malowane dzbany, kute srebrne bransoletki, kunsztownie haftowane sandały i domowe pantofle z miękkiej jak aksamit skóry. Trudno było uwierzyć, że martwa ziemia wokół rozproszonych wiosek w innych porach roku porastała morzem zboża, dostarczała dość pastwisk dla setek owiec i kóz, które becząc i mecząc, stały w rozległych

zagrodach i spokojnie spoglądały na pustą okolicę, że pod twardą skorupą ziemi kryją się srebro i szmaragdy, żelazo i cynk. Ludzie w bezpośrednim otoczeniu pałacu zdawali się jednak nie cierpieć głodu, nie odczuwali materialnej biedy, prosili co najwyżej lana i Mohana o radę w przypadku sporów rodzinnych lub niejasnej sytuacji prawnej zawieranych przez nich transakcji.

Mohan Tadżid opowiedział liczącą sobie setki lat historię radżputów od ich początków w szóstym i siódmym wieku chrześcijańskiego kalendarza, gdy wzięli w swe władanie stepy, lasy i pustynie po obu stronach gór Arawali. Podnieśli chłopom, kupcom i rzemieślnikom podatki, gwarantując im za to zbrojną ochronę. Nie wiadomo, skąd przybyli - na ten temat spierają się uczeni. Żeby nie było zastrzeżeń co do legalności ich panowania, nazwali się radżputami, królewskimi synami, i przypisali sobie mityczne pochodzenie od słońca i księżyca.

Od pierwszego tysiąclecia Indie często były obiektem najazdów muzułmańskich władców z północy, którzy wyciągali chciwe ręce po tutejsze bogactwa. Takim władcą był Mahmud z Gazny, który podczas jednej grabieżczej wyprawy zdobył łup w postaci złota o wadze sześciu i pół tony. Około 1200 roku powstał sułtanat Delhi, a przez następne trzysta lat państwo muzułmańskie rozciągało się od Bombaju po odgałęzienia Himalajów, od Indusu po deltę Gangesu. Ale Radżputana oparła się najazdom: przez trzysta pięćdziesiąt lat sułtanat Delhi i władcy radżpucy znajdowali się w stanie wojny, ich udziałem były krwawe bitwy, w wyniku których obie strony ponosiły wysokie straty, przy czym żadna nie potrafiła przechylić szali zwycięstwa na swoją stronę.

Zrodziły się legendy, wzbogacane i przekazywane przy blasku ognisk, jak ta o twierdzy Czittorgarh, która stała się symbolem honoru i niezwyciężalności radżputów. Było to w roku 1303. Ala ud-Din Chaldzi, sułtan z Delhi, rozpoczął oblężenie twierdzy, mając znaczną militarną przewagę. Ale nie było mu sądzone święcić triumfu. Kobiety z Czittorgarh, owinięte ślubnymi sari

i obwieszane całą swoją biżuterią, weszły wraz ze swymi dziećmi na ułożone w obrębie twierdzy stosy całopalne i śpiewając stare hymny, popełniły *džauhar*, wchodząc w ogień. Ich mężowie przyglądali się temu z kamiennymi twarzami, potem przywdziali szafranowe szaty, posmarowali czoła świętym popiołem, który powstał ze spalenia ich rodzin, otworzyli bramy twierdzy i ruszyli do szturmu w dół wzgórza, wprost we wrogie szeregi, wychodząc naprzeciw pewnej śmierci.

Pod Zahiruddinem Mohammadem Baburem, potomkiem Czyngis-chana i Tamerlana Wielkiego, który na początku szesnastego wieku zwyciężył armię sułtana z Delhi, zaczęło się panowanie Mogołów, ale również ono nie przyniosło Radżputanie pokoju. I to właśnie Baburowi przypisuje się słowa: „Radżpuci potrafią wprawdzie oddać życie w walce, ale nie potrafią wygrać bitwy”. Jednak księstwa radżpuckie oparły się dzielnie szturmowi Mogołów, chociaż zapłaciły za to krwawą cenę. Tak oto kolejne pokolenia radżputów traciły władzę, ziemię i życie, broniąc wolności i wiary przed potęgą muzułmanów.

Po śmierci cesarza mogolskiego Aurangzeba władza Mogołów zaczęła się kruszyć, a wraz z nią również potęga radżputów, którzy walcząc o panowanie, napadali na siebie nawzajem jak krwiożercze tygrysy. Mohan opowiadał o intrygach, zdradach, spiskach i morderstwach poprzez otrucie między klanami i wewnątrz nich. Maraci z południa i maharadża z Gwalijaru na wschodzie wykorzystali niesnaski, napadli na księstwa, splądrowali je i zobowiązali do płacenia trybutów. Niejeden książę stracił w ten sposób ostatnie rubiny i szmaragdy ze swoich skarbców.

Kraj podzielony został w wojennych konfliktach między Mogołów i maharadżów. Jak opiłki żelaza ciągną do biegunów magnesu, tak zwaśnione strony ciągnęły do Brytyjczyków i Francuzów, którzy z kolei swój stary spór o władzę na ziemskim globie przenieśli teraz na subkontynent, gdzie w końcu w osiemnastym wieku przewagę uzyskali Brytyjczycy.

Radżputowie w desperacji poprosili o pomoc mających militarną przewagę Anglików. Kilka księstw zawarło umowy z Anglikami, którzy zaoferowali ochronę w zamian za płacenie podatków; dość często jednak ceną za to była także interwencja kolonizatorów w wewnętrzne sprawy państw radżpuckich. W tym czasie został wprowadzony zakaz *sati*, a także zakaz zabijania nowo narodzonych córek dla uniknięcia późniejszego płacenia wysokiego posagu i palenia kobiet podejrzewanych o czary; zlikwidowano też niewolnictwo. Zależność kilku księstw radżpuckich przyniosła Koronie wymierne korzyści podczas powstania hinduskiej ludności w roku Pańskim 1857, owej krwawej cezury w historii imperium brytyjskiego, kiedy to radżpuci solidaryzowali się z Brytyjczykami albo przynajmniej zachowywali neutralność.

Radżputana z tamtych czasów była podzielona na dużą liczbę ksiąstewek, niejednolita była także jej postawa wewnątrz skolonizowanych Indii. Kilka księstw mniej lub bardziej otwarcie sprzeciwiało się panowaniu Anglików, w tym także księstwo Czandów. Surja Mahal wraz z przynależnymi do niego ziemiami pozostał suwerenny dzięki sztuce wojennej jego wojowników i dyplomatycznej zręczności przede wszystkim ostatniego radży Dheeraja Czanda. Jego księstwo pozostało więc jednym z ostatnich wolnych i niezależnych księstw, choć w owych niespokojnych latach też straciło nieco na pierwotnej wielkości i znaczeniu.

Jason z otwartymi ustami i błyszczącymi oczami słuchał historii o bitwach i walkach o władzę, legend o dumnych wojownikach i odważnych bohaterach. Także Helena uległa czarowi tych opowieści, zaczęła przeczuwać, że pozornie wymarły, a jednak prawie nieznośnie piękny obszar, który przemierzali konno, nasiąknięty był krwią wielu pokoleń wojowników, którzy walczyli bez litości przeciwko sobie i przeciw swoim wrogom w imię wolności, niezależności i honoru. Był to twardy, dumny kraj, podobnie jak ludzie, którzy go zamieszkiwali. Jej spojrzenie powę-

drowało mimowolnie w kierunku lana, który słuchał obojętnie tych opowieści, jakby go w ogóle nie interesowały albo jakby je już słyszał po wielokroć.

Helena miałaaby tyle do opowiedzenia Margaret - na przykład o wystawnej i barwnej uroczystości, jaką zorganizowano w Surja Mahal pod koniec stycznia z okazji dwunastych urodzin Jasona; łan podarował chłopcu cierpliwego kasztanka nic kucyka, ale prawdziwego, dużego wałacha! Na tym koniu Jason pobierał naukę jazdy. Jego nauczycielami byli na zmianę łan i Mohan Tadźid. Najpierw trenowali na głównym dziedzińcu pałacu, potem w coraz większej odległości od bezpiecznych murów, w chłodzie zimowego stepu. Helena mogłaby też napisać Marge o tym, jak pod okiem Dżanahary została wprowadzona w sztukę tradycyjnego haftu na delikatnym jedwabiu i grubszych wełnianych chustach, jak ją uczono przyrządzania sosów, mieszanek przypraw - tak zwanych *masa/a*, dań kuchni radżpuckiej, i jak jej to nieoczekiwanie zaczęło sprawiać przyjemność;

O długich wieczorach przy kominku, kiedy to Mohan Tadźid i łan siedzieli w milczeniu nad szachownicą, podczas gdy Jason czytał jakiś gruby tom z biblioteki, a ona niewprawnymi jeszcze palcami walczyła z cieniutką jak włos kolorową nitką, która nie chciała się układać w misterny wzór; albo jak Mohan czytał na głos stare mity i eposy, *Bhagawadgitę* lub *Mahabharatę*, *Upani-szady* i *Ramajanę*, w których bogowie i demony walczyli ze sobą w kunsztownie ułożonych wersach, a wojownicy i królowie oraz całe szlacheckie rody cierpiały i kochały, nienawidziły i umierały, i oddawano im cześć.

Opisując to wszystko w liście do Marge, napisałaby prawdę, a jednak takie przedstawienie niezmałconej idylli wydawało jej się fałszywe i niekompletne. Owszem, były momenty, w których jej spojrzenie spotykało się ze spojrzeniem lana, kiedy ogień w jego oczach odbierał jej dech; noce, kiedy ją całował i pieścił, a ona sądziła, że spłonie i umrze. Ale za to, gdy następnego ranka

pościel obok niej była pusta, ogarniało ją tym bardziej lodowate uczucie opuszczenia. Bywały momenty, kiedy się z nią śmiał i żartował, był rozmowny, opowiadał o historii pałacu, rodzinach Czandów i Surjów, o tym, że prawie dekadę swego życia spędził w Surja Mahal, a w następnej chwili milkł i się nie odzywał. Gdy pytała o powód, jego oczy stawały się chłodne i gładkie jak wycięte z onyksu, a twarz przemieniała się w nieprzeniknioną maskę. Bywali razem szczęśliwi i tak sobie bliscy, że Helena traciła zmysły, i równie dużo było chwil, gdy Ian emanował chłodem i trzymał ją na dystans, kiedy miała wrażenie, że w jego obecności ogarniają zimno.

Jak mogłaby ująć w słowa to, co jej samej wydawało się nie do pojęcia? Jak mogłaby wytłumaczyć Margaret, kochanej Marge, że tęskni za tym, by zrozumieć jego psychikę i jego życie, by dzielić jego emocje, wiedzieć, co go porusza i zajmuje? Ta tęsknota dla niej samej była taka nowa i niezrozumiała. Gdyby się poskarżyła, byłoby to jak zdrada, ponieważ nie miała po temu powodu. A mimo to nie mogła się nazwać szczęśliwą. Miała wrażenie, że szczęście jest w pobliżu, ale nie wiedziała, gdzie ma sięgnąć, żeby stało się jej udziałem.

Helena odłożyła pióro na bok i poczuła ucisk w podbrzuszu. Jej niedyspozycja, dotąd występująca nieregularnie i rzadko, w dużych odstępach czasu, zaczęła się przed dwoma dniami. Z ulgą stwierdziła, że tym razem nie rozpoczęła się miesiąc za wcześnie, jak można się było tego spodziewać po wysiłku niedawnej podróży. Zdziwiona i zarumieniona ze wstydu, pozwoliła, by Nazrin pokazała jej tampony z mchu, które zbierały krew we wnętrzu ciała. Najpierw było to dla niej dziwne, a nawet odrażające, ale szybko przyzwyczała się do wolności i komfortu, których nigdy nie zaznała, nosząc pod długimi spódnicami niewygodne grube płyty materiału przymocowane paskiem. Według surowych zasad hinduizmu nie powinno jej tutaj w tej chwili być.

Podczas menstruacji kobiety musiały

przebywać odseparowane w zenanie, jedynie w gronie kobiet, które również w tym czasie miesiączkują. Miało to służyć ich własnej ochronie i ochronie mężczyzn, kobiety w czasie periodu uważane są bowiem za nieczyste. Czy to dlatego łań unikał jej przez ostatnie dni? Gdy pytała, co porabia, otrzymywała jedynie wymijające bądź mało wiarygodne odpowiedzi. Zdaje się, że opuścił Surja Mahal, nie wiadomo, gdzie się udał ani na jak długo. Nie chciała sama przed sobą przyznać, że jego nieobecność w wielkim pałacu pozostawiała pustkę, która nie dała się niczym wypełnić.

Westchnęła, znowu przysiadła do pisania, chwyciła pióro i zamaszystym pismem po kilku słowach wprowadzenia opisała barwnie poszczególne stacje swej podróży i życia w Indiach. Pozornie beztroski i lekki ton napełniał ją pogardą dla własnej nieszczerości.

Długo, krótko, krótko, długo, rozległo się umówione pukanie do ciemnych, mazerowanych drzwi pokoju hotelowego. Zegar na gzymsie kominka potwierdził krótkim dźwiękiem punktualność gościa. Richard Carter nabrał głęboko powietrza do płuc, żeby zapanować nad niecierpliwością, która w ciągu minionych godzin kazała mu chodzić nerwowo po drewnianej podłodze wyłożonej wzorzystym dywanem. Otworzył drzwi. Do pokoju wśliznęła się zwinnie i bezszelestnie jak zmija chuda postać w prostych bryczesach i długim kaftanie, kłaniając się krótko. Richard wyjrzał ostrożnie na długi korytarz, spojrział w prawo i w lewo, żeby się upewnić, że nie mają niechcianych świadków, a następnie zamknął cicho drzwi.

Bezimienny gość o bladej, w świetle ognia kominkowego prawie szarej karnacji, typowej dla wielu Euroazjatów, bez dłuższych wstępów wyciągnął z ukrytej na piersi kieszeni kopertę i wręczył ją Richardowi.

- Proszę, sahib.

Richard szybko rozerwał kopertę i przebiegł wzrokiem gęsto zapisane kartki, po czym uniósł wzrok.

- Powiedziano mi, że mogę polegać na pańskiej dyskrecji. Euroazjata skłonił się usłużnie.

-Tak jest, sahib.

Richard dostrzegł błysk chciwości w zapadłych oczach gościa, gdy wziął do ręki kopertę, która stała na gzymsie kominkowym, oparta o zegar. Od pierwszej chwili czuł do tego mężczyzny niechęć, niemal obrzydzenie, zdając sobie sprawę, że tamten gotów jest popełnić każdą podłość w zamian za pieniądze. Ale doświadczenie biznesmena nauczyło go, by dla spodziewanych korzyści ukrywać osobiste emocje.

- Niech pan mnie dalej informuje na bieżąco - powiedział, wręczywszy Euroazjacie jego wynagrodzenie.

- Oczywiście, sahib - podziękował tamten, kłaniając się nisko. - Choć przypuszczam, że w najbliższym czasie mogę się spodziewać trudności. Mężczyźni, którzy im towarzyszą, są ich lojalnymi sługami, wojownikami radżpuckimi, szkolonymi od małego, żeby reagować na najmniejszy ruch na pustyni. Nie ma sposobu, żeby któryś z naszych ludzi mógł się do nich wśliznąć.

Richard Carter bez wahania wyciągnął z kieszeni na piersi czarnoszarego surduta gruby plik banknotów.

-Jestem pewien, że znajdzie pan jakieś rozwiązanie.

Zapadnięta twarz gościa, tak nijaka, że po kilku minutach wylatywała z pamięci, zajaśniała.

- Zrobię, co tylko będę mógł, sahib.

Euroazjata po raz kolejny skłonił się usłużnie i wymknął z pokoju, zamykając za sobą ledwie słyszalnie drzwi.

Richard przysunął krzesło do kominka i zaczął uważnie czytać strony, zapamiętując ich treść, po czym wrzucając kartkę po kartce w ogień. Ze szklanką sherry w jednej ręce i papierosem w drugiej patrzył, jak papier marszczy się i zabarwia na brązo-

wo, jak płomienie zaczynają go trawić i jak się w końcu rozpada na popiół.

17

Końskie kopyta skrzypiały głośno na piasku i kamykach, z tyłu tworzyły się delikatne tumany kurzu. Choć noce pod rozgwieżdżonym niebem wciąż były zimne, to w ciągu dnia słońce rozgrzewało jałową ziemię i zapowiadało koniec krótkiej zimy. Helena tęskniła za chłodnymi dziedzińcami i przewiewnymi pomieszczeniami Surja Mahal, za trzaskającym ogniem w kominku, który dawał wieczorami przyjemne ciepło. Ale rozkoszowała się słońcem na swojej skórze, wiatrem, który gnał przed siebie suche trawy burzanów, zapachem wyschniętej ziemi i zakurzonych kamieni, jasnym, jedwabście niebieskim niebem nad głową. Przed wyruszeniem w podróż wszystko musiało być zapięte na ostatni guzik. Przygotowania ciągnęły się kilka dni, w ciągu których pakowano bagaże, by je potem załadować na konie. Tym razem nie spieszono się, jak to się działo wcześniej, gdy mieli wyruszać w drogę, zupełnie jakby pożegnanie z Surja Mahal było dla niej równie trudne jak dla Heleny. W tym czasie prawie go nie widywała, czuła, że nie znaczy dla niego więcej niż jedna z wielu sztuk bagażu, które stały przygotowane do załadowania. Minęły już cztery dni, odkąd zalana łzami Dżanahara uściskała ich jeszcze raz przy wtórze lamentu zebranych kobiet i mężczyzn, a potem skrzydła bramy zostały otwarte i mała karawana wyruszyła o jasnozłotym poranku na pustynię. Po barwnym przepychu życia w pałacu jazda konna przez pustkowie wydawała się jeszcze bardziej męcząca niż za pierwszym razem, dla Heleny dodatkowo trudniejsza z powodu napięcia, które poczu-

ła, wyobrażając sobie, że jedzie ku swojemu przyszłemu domowi. Tęskniła za przybyciem do Sikhary, lecz powolny kłus zaczął jej stopniowo działać na nerwy. I niespokojnie myślała o tym, co tam na nią czeka, jak wygląda jej ostateczny nowy dom, który ledwie mogła sobie wyobrazić.

Puściła wolno cugle, żeby podwinąć do góry rękawy koszuli i zachwiała się na moment, bo Mohan Tadźid zatrzymał niespodziewanie swojego ciemnego wałacha, a jej brązowa klacz odruchowo też stanęła. Mohan ściągnął gęste, przetykane siwizną brwi, rozejrzał się uważnie dookoła, jakby chciał złapać jakiś trop.

Łan zawrócił swojego czarnego wałacha i podjechał do nich.

- Co jest?

Mohan Tadźid z wyrazem najwyższego skupienia na twarzy pokręcił lekko głową, spojrzenie jego czarnych, błyszczących oczu wciąż błędziło po rozległej pustynnej powierzchni i po płaskowyżu z lewej.

- Ktoś za nami jedzie.

Helena przesłoniła dłonią oczy, żeby nie raziło jej jaskrawe słońce, i popatrzyła w kierunku, w który wpatrywał się Mohan. Choć nie zobaczyła niż oprócz głazów, kamieni i opuszczonej przez Boga, spalonej słońcem ziemi, czujność Mohana sprawiła, że złe przeczucie ścisnęło jej żołądek.

- Weź chłopca - rzekł łan do Mohana, a potem dość szybko, lecz raczej bez nerwowego pośpiechu zeskoczył z konia i zdjął Helenę z siodła.

Chciała zaprotestować, ale uległa ze strachu, który zalał ją jak fala powodzi, i przesiadła się na wałacha łana. W tym czasie jeden z towarzyszących im radżpuckich wojowników przeniósł Jasona z jego kasztanka na siodło Mohana Tadźida.

Helena ogarnęła gorąco, gdy łan usiadł za nią w siodle. Jego uda przylegały do jej ud, na plecach czuła ciepło jego ciała. Każdy oddech, który podnosił i opuszczał jego pierś, powodował, że po jej ciele przechodziły fale gorąca i dreszcze.

Kiedy ruszyli dalej przed siebie, senny spokój, który panował podczas minionych dni, ustąpił miejsca naładowanemu napięciem milczeniu. Helena, choć tego nie widziała, czuła, że towarzyszący im radżputowie mieli się na baczności, nieprzerwanie obserwowali równinę i górskie odnogi, nadstawiali uszu, w każdej sekundzie gotowi do obrony.

- Ładnie ci pachną włosy - powiedział Ian w jej czuprynę, na co ona odwróciła głowę.

Na jego ustach ukrytych w czarnej brodzie pojawił się uśmiech, a oczy mu błyszczały. Wydawało się, że atmosfera zagrożenia, która ich otaczała, sprawia mu przyjemność. Musiał zobaczyć strach w jej wzroku, bo przytulił ją do siebie, puściwszy jedną ręką uzdę.

- Nie martw się - szepnął. - Nic się nam nie stanie. Helena, która dotąd czuła się taka bezbronna na otwartym

terenie, teraz, w ramionach Iana, poczuła się bezpiecznie. Cóż za rzadkie i dziwne uczucie w jego obecności! I dlatego takie dla niej cenne.

Gdy nastawał zmrok, Chowringhee Road ze swą zabudową, kolumnadami i oświetleniem wyglądała, jakby do Kalkuty przeniesiono kawałek Pól Elizejskich. Lamy powozów ciągnęły się sznurem w nieprzerwanym potoku, w granatowym zmierzchu nie dało się widzieć powozów ani koni. Połyskiwały tylko wytworne wieczorowe suknie, strusie pióra i biżuteria, gdy padło na nie światło. Po mieście nieprzerwanie krążyły dorożki, w końcu nastał czas, żeby się udać na przyjęcia, na których stoły były ciężkie od srebra i kryształów.

Puszysty dywan tłumiał każdy krok, każdą rozmowę. W błyszczącym mosiądzu i polerowanym drewnie odbijały się mundury i eleganckie fraki, tu i ówdzie wyrafinowane udrapowane jedwab modnej sukni. Z kąta sali niosła się subtelna gra pianisty.

Panowała tu wesoła, umiarkowanie luksusowa atmosfera. Bar w hotelu Grand ucieleśniał dumę Anglików z imperium i jego bogactwa. Richard Carter, popijając whisky, ponownie zagłębił się w najnowsze wydanie magazynu „Punch”. W tych dniach nie miał nic innego do roboty, czekał tylko i próbował spędzić jak najprzyjemniej wlekące się godziny. Unikał miejskich rozrywek, balów, wieczornych spotkań, eleganckich klubów i wyścigów na Maidanie, choć znał dość prominentnych nazwisk, na które mógłby się powołać, żeby mieć wszędzie zapewniony wstęp. Nie był go w stanie zwabić nawet kolorowy, tętniący życiem bazar ani położone w ukryciu domy uciech. Czekał, by wyruszyć w podróż na północ, w kierunku Himalajów. Miał go tam zawieźć określony pociąg wyruszający niebawem z serca Radżputany. Sporadycznie dostawał telegramy ze swoich biur, czytał je w skupieniu i odpowiadał na nie. Godziny między poranną toaletą a obiadem spędzał w hotelu, czytając w barze gazety codzienne, studiując notowania giełdowe, w związku z którymi od czasu do czasu wysyłał zlecenia na drugą stronę oceanu. Podczas gdy powoli mijał luty, do hotelu Grand trafiały prawie codziennie niezaadresowane białe koperty, przynoszone zawsze przez gońców bez imienia i bez twarzy, zawierające informacje, za które płacił tak drogo. Zdawało się, że nie ma nic, czego Ian Neville nie miałby na sumieniu: wymuszenia, nielegalny hazard, przekupstwo, a nawet pojedynki i przesłanki, że z jego kieszeni płyną pieniądze dla grup, które w ukryciu szykują się do obalenia angielskiego panowania w Indiach. Nigdy jednak nie dało mu się niczego udowodnić, były tylko przypuszczenia, niejasne poszlaki. Richard zaczął się zastanawiać, czy w tym kraju każdy jest przekupny i jak wielu jest ludzi, którzy nienawidzą Iana Neville'a. Powodów po temu znalazłoby się dużo - wygryzieni biznesmeni, poszukiwacze przygód, którzy w ciągu jednej nocy potracili w grze w karty cały mają-

tek, mężowie, którym przyprawił rogi, damy zranione w swej dumie i honorze, uważający się za zdradzonych Hindusi, inni plantatorzy, zżerani zazdrością z powodu wyjątkowej jakości herbaty z Sikhary.

Richard Carter odczuwał prawie podziw, a na pewno jakieś uznanie dla tego człowieka, który tak zręcznie manewrował między obu stronami - tubylcami i kolonizatorami, a przy tym szedł własną drogą, nie wchodząc w konflikty z żadną z nich. Zdziwiła go jego zręczna strategia w interesach i w towarzystwie, jego bezwzględność, prawie brutalność.

Richard kompletował sobie kawałek po kawałku obraz tego człowieka i w końcu musiał przyznać rację hrabiemu Holingbrookebwi: Ian Neville z pewnością był mężczyzną, którego lepiej nie czynić swoim wrogiem.

Richard tyle już o nim wiedział, ale nie był w stanie dowiedzieć się czegokolwiek o jego pochodzeniu. Ian Neville pojawił się przed dziesięcioma laty jakby znikąd. Miał przy tym dość pieniędzy w kieszeni, żeby nabyć prawie siedemset mórg zalesionego terenu na wzgórzach powyżej Darjeeling, dość, by opłacić setki robotników, którzy wykarczowali tamtejszą dżunglę i posadzili sadzonki herbaty; dość, by wybudować zdecydowanie najbardziej wytworny dom, niepodobny do prymitywnych bungalowów innych plantatorów. Skąd przybył i skąd pochodził jego kapitał? Tego nikt nie wiedział, więc tym bardziej kwitły spekulacje na ten temat.

Richard nie mógł powiedzieć, co zamierza począć z całą tą wiedzą.

Starannie niszczył każdy pisemny dowód - takjak wtedy, gdy zniszczył każdy ślad po swoim dawnym życiu. Ale pamięć tamtego życia, które, jak mu się zdawało, zapomniał, a które zostało tylko zepchnięte w koszmarny cień podświadomości, podążała za nim krok w krok, gdy chadzał ulicami Kalkuty. Już prawie był gotów wszystkiego poniechać, ale myśl o Helenie była silniejsza. Jakże nieszczęśliwie wyglądała zagubiona pomiędzy tymi wyniosłymi, zarozumiałymi lordami i ich żonami. Nie mógł ścierpieć

myśli, co ona musi znosić w rękach mężczyzny, który ma opinię równie lubieżnego co zimnego jak lód fauna.

- Dick? Dick Deacon? Co za niesamowity przypadek, po tylu latach...

Hej, Dick!

Richard uniósł wzrok dopiero wtedy, gdy niezgrabna ręka należąca do właściciela przenikliwego głosu potrząsnęła jego ramieniem.

- W czym mogę panu pomóc, sir? - zapytał uprzejmie.

- To ty, naprawdę ty!

Krępy mężczyzna w dobrze skrojonym, ale nieco znoszonym garniturze roześmiał się gromko i z zachwytem poklepał Richarda po szerokich ramionach, a potem westchnął i opadł na stojący obok fotel, aż z jego szklanki wylało się nieco whisky, po czym wyciągnął przed siebie krótkie nogi, roztaczając wyraźnie wyczuwalny zapach alkoholu i potu.

Spojrzał na Richarda promiennym wzrokiem, jego niebieskie oczy błyszczały, ledwo widoczne w miękkiej, napuchniętej twarzy pod jasnobłond włosami, nieco już przerzedzonymi.

- Panie w niebiesiech, że też tego dożyłem! - zawołał. -Przynajmniej jeden z nas, któremu klątwa nie zdołała zaszkodzić! - Z troską zmarszczył czoło i skłonił się Richardowi. - Masz się dobrze, Dick, co?

Richard uśmiechnął się do niego sponad stron czasopisma i skinął głową.

- Bardzo dziękuję za zainteresowanie, sir, mam się znakomicie.

Mężczyzna z naprzeciwną westchnął z ulgą i opadł z powrotem na fotel.

- Dick, nawet nie potrafię ci powiedzieć, jaką czuję ulgę! Rygor pod starym Claydonem, rzeź owego lata, to było nic w porównaniu z tym, co nas, chłopców, dosięgło potem! Jimmy Haldane znaleziony martwy w palarni opium. Tom Cripps się powiesił. Bob Franklin zastrzelił swoją puszczalską żonę, a potem siebie.

Toby Bingham siedzi zamknięty w szpitalu dla wariatów. Eddiemu Foxowi przetrzelono płuco w pojedynku. Sam Greenwood dostał w burdelu napadu szału, zabił kilka dziewczek i jednego oficera, za co skazano go na stryczek. A stary Claydon... No cóż, na pewno czytałeś w gazetach... - Zamaszystym gestem wskazał na siebie, przy czym z kieliszka wylała się resztką whisky i spłynęła mu po dłoni. - Wszystko straciłem, wszystko do końca, grając w karty z szatanem we własnej osobie. Jestem wydziedziczony, samotny, niechciany, mam jeszcze tylko maleńką emeryturkę! którą wypłaca mi armia za moje ówczesne zasługi. - Przykro mi to słyszeć - odpowiedział Richard krótko, ignorując uporczywy wzrok nachalnego rozmówcy, a potem dalej przeglądał gazetę.

- To był ten skurwiel, ten zdrajca, pamiętasz? Ten chłop silny jak dąb, na którego polowaliśmy miesiącami, ten, który wraz z tymi hinduskimi czarnuchami załatwił z zasadzki kilku naszych, a potem się ukrył. Oni go nazywali Kala Nandi. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, kim był naprawdę, jakiś renegat z armii, który bił się po stronie tamtych. Jego ręce splamiła angielska krew, nasza krew. Do końca nie chciał ujawnić, kim jest, nie pomogło ani bicie pejczem, ani całonocne przesłuchania, którymi ty go męczyłeś. Załatwiliśmy go wtedy pośrodku pustyni, ty i ja, pamiętasz? Pamiętasz, jak stał na szubienicy? I jak na nas splunął? I przysiągł zemstę, zemstę za swoją żonę i dzieci? Mówię ci, dopadła nas jego klątwa, nas wszystkich, cały pułk... - Oczy mężczyzny prawie wypłynęły na wierzch z nieforemnej twarzy, pochylił się do przodu i chwycił Richarda za rękę. - Uważaj, Dick, ciebie też dosięgnie! Pogrzebaliśmy go wtedy w suchej ziemi tego przeklętego kraju, ale on wciąż błądzi po świecie, mówię ci to, i ciebie też dopadnie!

Przy ostatnich słowach jego głos stał się piskliwy ze strachu. - Niech pan wybaczy, sir. - Jeden z kelnerów, ubrany w kamizelkę w paski, pochylił się nad krzykliwym gościem. - Chciał-

bym pana w imieniu naszego hotelu prosić o spokój. W naszym hotelu nie ma w zwyczaju...

Mężczyzna zerwał się gwałtownie na nogi, ledwo utrzymując równowagę.

- Zostaw mnie w spokoju, ty bucu. Co wy, przekłeci cywile, możecie wiedzieć? To my wtedy stłumiliśmy powstanie, zaprowadziliśmy pokój w kraju, pokój, który teraz dla was jest taki oczywisty! To my wtedy tarzaliśmy się w kurzu, unikaliśmy kul padających z zasadzki, grzebaliśmy naszych towarzyszy i trupy z Kanpuru tylko po to, żebyście wy, w tych waszych cholernych jedwabnych kamizelkach, mogli się teraz zachowywać jak sahibowie.

Kelner kiwnął ręką. Na ten znak podeszło dwóch innych, chwycili nieznośnego gościa i wypchnęli go niezbyt delikatnie w kierunku oszklonych drzwi zawieszonych ciężkimi kotarami podczas gdy dżentelmeni przyglądali się tej scenie zde gustowani.

- Zostawcie mnie, skurwysyny, jestem porucznik Leslie Mallory z Trzydziestego Trzeciego Pułku, tak jest, to ja, więc zostawcie mnie w spokoju, wy...

Kelnerzy wypchnęli go za drzwi i pospiesznie je znowu zamknęli. Jego kłótny głos ucichł, stłumiony przez drogie drewno, cicho brzmiącą muzykę i nawiązujące się z powrotem rozmowy!

- Bardzo mi przykro z powodu tego nieprzyjemnego incydentu, panie Carter. - Kelner się skłonił. - Mam nadzieję, że nie będzie pan przypisywał winy za to nieszczęsne zdarzenie naszemu hotelowi. Czy mogę panu w ramach przeprosin zaproponować whisky, sir? Mamy dwudziestoletnią szkocką malt, która na pewno poprawi panu humor.

- Bardzo chętnie, dziękuję - Richard skłonił głowę.

Gdy nieco później uniósł szklanę, powierzchnia bursztynowego płynu była w niej spokojna jak lustrzana tafla.

18

Świergot ptaków - dźwięczny, wielogłosowy - zbudził Helenę z głębokiego, czarnego snu. Do jej oczu wdarło się stalowoniebieskie światło, które przenikało do pokoju przez lekkie zasłonki. Zmęczona

zamrugła powiekami. Z zewnątrz przez otwarte okno napływało chłodne i rześkie poranne powietrze, pachnące skałami i wilgotnym od rosy listowiem. Zaczęła się przeciągać, ale jej mięśnie przeszły piekący ból. Skuliła się, wydając z siebie cichy okrzyk. Z trudem przekręciła się na bok, wtuliła w białe, obszyte koronką poduszki, odczuwając wciąż jeszcze trudy podróży.

Przez trzy dni wygodny wagon kolejowy wiozł ich w poprzek subkontynentu. Opuściwszy różowe mury Dżajpuru, zanurzone w dramatycznie brązowym i purpurowym świetle zachodzącego słońca, jechali do samej nocy. Nawet nie odwiedzili domu Czandów. Od owego dnia na pustyni, gdy Mohan Tadźid sądził, iż są obserwowani, mężczyźni byli jacyś niespokojni, starali się jak najszybciej opuścić otwarty teren, by znaleźć się w bezpiecznym otoczeniu. Nie padło wprawdzie ani jedno słowo na ten temat, ale Helena wyczuwała napięcie i dostrzegała czujność w oczach łana i Mohana - oczach, które były tak zadziwiająco podobne, u obu przypominały gładko wypolerowane czarne kamienie, twarde i nieprzeniknione. A ledwo zdążyli wsiąść do czekających na nich wagonów kolejowych, łan zniknął w swym osobistym przedziale, jedynie zapach papierosowego dymu zdradzał jego obecność.

Nowy dzień przyniósł nowy krajobraz, całkiem różny od suchego pustkowia, które dla Heleny stało się tak swojskie. Ujrzała nowe widoki kraju, który miał się teraz stać jej ojczyzną. Po lewej stronie towarzyszyła im wijąca się wstęga Gangesu - srebrzyście

błyszcząca w słońcu, połyskująca zielonkawo w miejscach, gdzie rzeka przepływała szybko, mętna i błotnista wśród piaszczystych glin, gdzie spowalniała swój bieg. Roje małych łódek rybackich tańczyły wokół rozłożystych parowców, bawoły i krowy kąpały się w wodzie, dzikie zwierzęta gnały w górę skarpy. Bociany i żurawie stały na płyciźnie, a z brzegu wlatywały gęsi. Helena podziwiała potężne, poskręcane pnie figowców bengalskich z podobnymi do palców powietrznymi korzeniami, pierzaste krzewy bambusa, wyniosłe tamaryndowce, palmy, platany i dzikie krzewy bawełny, których słodki zapach mieszał się z gorzką sadzą lokomotywy. Zarośla ustępowały miejsca łąkom pełnym bydła i polom, na których pracowali chłopci. Widywała też kobiety w błyszczących sari, piorące bieliznę, oraz pluskające się dzieci. Mijali małe wioski i wielkie miasta, pałace i świątynie oraz wszechobecne schody, zwane tu ghatami, kamiennych świadków tysiącletniej historii. Dla Heleny te fascynujące zabytki architektury były jak klejnoty na cennym odzieniu z zielonego aksamitu.

- *Ganga ma kijai*, pochwalona bądź, matko Gango - powiedział cicho MohanTadźid, sam urzeczony tym pięknym widokiem. - Tu bije serce Indii, tu jest kołyska naszej kultury. Ta wieczna rzeka bierze swój początek wysoko w górach, w Himalajach, w środku wszechświata. Ganga, córka króla śniegu, kazała na polecenie Sziwy spłynąć swoim nurtom na spaloną słońcem ziemię. Sziwa chwycił wodę w swoje włosy i podzielił ją na siedem rzek, żeby wyżywić potrzebujących i oczyścić martwych. Kąpiel w wodach Gangesu sprawia, że zostaje zmyta karma z wcześniejszego i obecnego życia. A kto umrze na brzegu Gangesu w Benares, najświętszym z wszystkich miast, zostaje wybawiony z kręgu reinkarnacji.

W Siliguri czekały na nich krzepkie konie juczne i dwóch służących, którzy przyjęli liczne skrzynie i ich samych. Ruszyli w ostatni odcinek podróży, już bez ochrony radżpuckich wojowników. Towarzyszyła im jedynie Szuszila - w wąskich nie-

bieskich szarawarach, dopasowanej tunicy przewiązanej w talii paskiem i wysokich butach. Helena musiała z zazdrością przyznać że Hinduska jest ubrana nie tylko stosownie do podróży, ale i elegancko. Przy niej czuła się niezgrabnie, wręcz topornie.

Niespodziewanie z równinnego terenu wyrosły przed nimi strome skały. Droga prowadziła po nich w górę, omijała zygzakiem głębokie wąwozy i przepaści. Wolnym tempem wspinali się po ostrym wzniesieniu, mijali po drodze drzewa *sala*, ogrody herbaciane, lasy bambusowe i ryżowe pola, przedzierali się przez gęstwinę sosen, kasztanów i brzoź, rododendronów i hortensji, pomiędzy którymi często leżał jeszcze śnieg, ponieważ był to dopiero początek marca.

Dotarli do Darjeeling, gdy już się ściemniało, a rozpoczynająca się noc połknęła położone za miastem grzbiety Himalajów. Pomiedzy czarnymi sylwetkami wysokich drzew iglastych Helena mogła zobaczyć niewyraźne zarysy tulących się do zboczy domów z ich drewnianymi, rzeźbionymi poręczami i balustradami. Wspinaczka była trudna, a rzadkie powietrze dawało się Helenie we znaki, choć było świeże i korzenne. Tęskniła za łóżkiem, ciepłym obozem na noc, łan jednak niezmordowanie jechał naprzód, jakby każda zwłoka oznaczała niepowetowaną stratę. Jason już dawno zasnął w siodle, oparty o szeroką pierś MohanaTadzida, chroniony lekkim kaszmirowym kocem przed wyraźnym chłodem. Chętnie poszłaby w ślady brata, ale duma kazała jej zacisnąć zęby i trzymać się prosto w siodle.

Przysnęła na sekundę, ale zbudziła się momentalnie, gdy ciepłe ciało jednego z koni otarło się o jej but. Łan zwolnił, zrównał swego konia z jej i wyciągnął do niej rękę. Wzbraniała się przez moment, ale jej ciało nieubłaganie domagało się swych praw. Bezwolnie pozwoliła łanowi, żeby przeniósł ją na swe siodło i w jednej chwili zasnęła oparta o męża. A teraz znów przeciągnęła się ostrożnie i powok usiadła. Oszolomiona snem, rozejrzała się po pomieszczeniu. Od śnież-

nobiałych ścian odcinały się drzwi i okna z ciemnego drewna. Łóżko było wykonane z prawie czarnego drewna z lekkim czerwonym połyskiem. Nad nim rozpościerał się baldachim z delikatnego, cienkiego, obrobionego misternymi haftami muślinu. Biała pościel spowijała starannie haftowaną kołdrę w odcieniach czerwieni, pomarańczy i purpury. W drugim końcu pokoju stała szeroka, kunsztownie rzeźbiona toaleta, której ozdobne lustro odbijało postać Heleny. Na połyskującej drewnianej podłodze, pokrytej miękkimi, wzorzystymi dywanami, leżały poduchy do siedzenia z kolorowego jedwabiu, stały krzesła kryte białą tapi-cerką i stoliczki z posążkami bóstw, wykonane ze srebra i brązu. Dojrzała wykwintnie oprawione książki oraz kryształowy wazon z bukietem ciemnoczerwonych róż. Poranne powietrze mieszało się z zapachem kwiatów, oleistego drewna i świeżej bielizny. Każdy kąć promieniował kobiecością. Helenie zrobiło się nieprzyjemnie na myśl, że mogła być jakaś kobieta, według gustu której sypialnia została urządzona właśnie w ten sposób. Poczula przygnębienie. Szybko wysunęła nogi z łóżka, włożyła na stopy haftowane kapcioszki, a na nocną koszulę narzuciła przygotowany szlafroczek. Ciągnęło ją na zewnątrz, na świeże powietrze, ku dźwięcznemu śpiewowi ptaków. W ścianie tuż obok dwóch okien znajdowały się drzwi prowadzące na balkon. Podeszła do nich, otworzyła je łagodnie i wyszła na balkon. Pod nią, niczym ciemnozielone morze, falowały zbocza obsadzone herbacianymi krzewami, które w dość znacznej odległości przechodziły w łąki usiane pierwszymi, żółtymi i białymi wiosennymi kwiatami i otoczone gęstymi lasami. Ale najbardziej urzekł ją łańcuch Himalajów, imponujący, dumny, zapierający dech w piersiach; niebieskawe formy krasowe pod śnieżną pokrywą, potężne i budzące respekt, wyglądały jak zastygła w jednej chwili fala potopu z różowym nalotem, jakby topniejąca pod wznoszącym się słońcem. - Robi wrażenie, prawda?

Helena odwróciła się gwałtownie i odruchowo mocniej ściągnęła na piersi szlafrok, łań dostrzegł ten drobny ruch, a w jego oczach pojawił się płomyk rozbawienia. Podszedł do niej bliżej.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że dobrze spałaś i odpoczęłaś. Wargami musnął lekko jej policzek. Przez krótki moment spoglądali sobie w oczy. Stali tak blisko siebie, że Helena czuła jego oddech na skórze, ich twarze oświetlone były blaskiem porannego słońca. W końcu łań się wyprostował i spojrzał na góry.

- To jest Kanczendzonga - wskazał na najwyższy szczyt długiego łańcucha. - W języku Tybetańczyków nazwa ta oznacza: „Pięć Skarbów pod Wiecznym Śniegiem”. Według przekazów tybetańskich bóg bogactwa przechowuje tam swoje skarby: złoto, srebro, miedź, zboże i święte pisma. A to jest góra Kailasz, czyli „Srebrna Góra”. Hindusi wierzą, że na niej mieszka Sziwa. Wszyscy bogowie i wszystkie demony mają swe siedziby w tych górach i dlatego ludzie uważają je za święte. To znaczy, że grzechy ludzi znikają na widok Himalajów jak rosa, która wyparowuje, zanim jeszcze wzejdzie słońce. - Spojrzał na nią poważnie swymi nieprzeniknionymi oczami i dodał cicho: - Choć uważam, że ciebie to dotyczy mniej niż kogokolwiek na świecie, moja niewinna, mała Heleno.

Przejechał delikatnie grzbietem wskazującego palca wzdłuż jej policzka, a potem ją pocałował. W jego głosie brzmiał głęboki smutek, prawie rozpacz, co ją jednocześnie poruszyło i zmroziło. Wraz z pocałunkiem ogarnęły ją jakieś mroczne emocje, poczuła strach, który chciała od siebie odegnąć, ale była wobec niego bezradna.

Nagle oderwał wargi od jej ust i równie szybko jego głos zmienił ton; teraz łań robił wrażenie pogodnego, wesołego, a w jego oczach pojawił się prawie swawolny błysk.

- Zjedzmy najpierw śniadanie, a potem pokażę ci twój nowy dom.

Helena ledwo zdołała przełknąć kilka kęsów, choć odczuwała głód, a na stole znajdowało się mnóstwo smakowitości: puszyste

białe bułeczki, które jeszcze parowały spod cienkiej skórki, śmietankowe masło, różne dżemy, jajka z ciemnymi żółtkami, omlety faszerowane owocowymi sosami, aromatyczna herbata i gęsta czekolada na gorąco. Częściowo było to związane z niepokojem, który wciąż jeszcze ścisnął jej pierś jak żelazna obręcz, częściowo z oszałamiającym widokiem, który podziwiała ze swego rata-nowego fotela stojącego na podłużnym balkonie. Z wrażenia aż trudno jej było oddychać. Ośnieżone wierzchołki gór błyszczały pod szybko wznoszącym się w górę słońcem, wyglądając jak płynne złoto, po pewnym czasie zdawały się schładzać i przybierały wygląd kutego srebra, a na koniec połyskiwały rażąco bielą. Z łąk i porośniętych herbata zboczy unosiła się do góry i rozpląwała delikatna mgła, sprawiając, że barwy dnia wydawały się jeszcze jaśniejsze i jeszcze bardziej promienne.

Nieco później, po krótkiej porannej toalecie, Helena włożyła koszulę i spodnie do konnej jazdy, niesforne włosy splotła luźno w warkocz i ruszyła za łańcem, który zaoferował się, że oprowadzi ją po domu. W porównaniu z przepychem pałacu Surja Mahal i elegancją rezydencji przy Grosvenor Square Sikhara robiła wrażenie domostwa skromnego i prostego, ale tutejsza prostota była ewidentnie droga i wyszukana. Pobielone wapnem ściany komponowały się ze szlachetnymi gatunkami drewna; przez wysokie okna wpadało bez przeszkód światło słoneczne, pomieszczenia były przewiewne, a jednocześnie przytulne. Budynek miał dwie kondygnacje - jak typowe bungalowy innych plantatorów - ale był znacznie większy. Centralne miejsce parteru zajmował przestronny hol wejściowy, wyłożony białymi i brązowymi płytkami. Wokół niego zgrupowane były salon, jadalnia i biblioteka z przyległym do niej gabinetem. Dom miał szeroką werandę z kolumnadą wychodzącą na zadbane ogród, za którym widać było jedynie ciemnozielone zbocza gór. Z holu szerokie schody prowadziły na piętro, gdzie znajdowały się wszystkie sypialnie, każda z własną łazienką, usytuowane w rzędzie wzdłuż galerii.

Okna i drzwi zdobiły rzeźbione elementy; niektóre z nich wyglądały jak cenne koronki. Krzesła, stoły, łóżka, kanapy i szafy tworzyli raczej artyści niż rzemieślnicy. Podłogi, częściowo pokryte płytkami, a częściowo drewniane, przykryte były kolorowymi dywanami. Kandelabry i lampy ze srebra i mlecznego szkła, trofea myśliwskie, obrazy ilustrujące podania i legendy Indii, szlachetna porcelana, tykające dostojnie zegary, narzuty i poduszki z haftami na gładkich tkaninach - wszystko to było w wyszukany sposób proste i skromne, a jednak odległe od pu-rytańskiej surowości.

W tylnej części domu znajdowała się duża kuchnia i spiżarnie wypełnione po brzegi owocami i warzywami, słojami z egzotycznymi, kolorowymi przyprawami, workami z mąką i ryżem, ziarnami kawy, cukrem i solą, mięsem, rybami i ptactwem, które każdego dnia było świeżo dostarczane i czekało na przygotowanie w chłodni na warstwie lodu. Dom zamieszkiwało całe mnóstwo służby, głównie kobiety w różnym wieku, w schludnych bawełnianych sari, ale też trochę mężczyzn: kamerdyner noszący biały kaftan bez kołnierza i *dhoti** oraz prosto, ale nienagannie ubrani służący, utrzymujący dom w czystości, pielęgnujący ogród, łupiący drewno na szczapy do kominków i układający je gdzie trzeba, Ian przedstawił im Helenę jako ich nową mem-sahib. Skłonili się z szacunkiem, wpatrując się w nią wnikliwie spod opuszczonych powiek, Helena bowiem wyraźnie różniła się zewnętrznie od innych angielskich memsahib, które dotychczas widywali albo o których słyszeli. Ich wzrok sprawił, że Helena zarumieniła się zakłopotana.

Niedaleko domu znajdowały się przestronne stajnie, za którymi rozciągał się szeroki wybieg dla koni. Było tu około tuzina dumnych koni o smukłych kształtach; ich jedwabista skóra - czarna jak noc, biała jak śnieg lub ruda jak sierść lisa - połyski-

*** Dhoti - tradycyjny strój męski składający się z podłużnego kawałka materiału**

o szerokości ok. 1 m, upiętego w pasie, przypominający spódnicę (przyp. tłum.).

wala w świetle słonecznym. W dwóch koniach, które podprowadzili stajenni, Helena rozpoznała ze zdumieniem Sziwę i Szakti.

Biała klacz zarżała cicho i trąciła ostrożnie Helenę, gdy ta wzięła do ręki cugle. Helena odpowiedziała na przywitanie, głaszcząc konia po bokach i mówiąc do niego pieszczotliwe słowa.

- Och, łanie, jak ci się udało tak szybko ściągnąć tutaj te dwa konie? - zapytała spontanicznie i spojrzała na niego, nie kryjąc radości.

Nie zauważyła przy tym, że łan patrzy na nią uważnie, a zarazem ciepło, widząc jej pełen miłości stosunek do konia. Jego spojrzenie zalśniło uśmiechem. Położył delikatnie dłoń tuż obok dłoni Heleny - na połyskującej skórze Szakti, przypominającej pola śnieżne na Kanczendzondze.

-To moja tajemnica.

Masz tyle tych tajemnic - pomyślała Helena i przygnębiona opuściła wzrok, trochę zła, że każda beztroska chwila przy nim jest taka ulotna.

Jechali obok siebie świeżo zagrabioną zwirową drogą, wzdłuż której rosły krzewy rododendronu, bambusy, potężne dęby i cedry i ciągnęły się rabaty pełne pączkujących kwiatów. Wszystko było zadbane jak w parku. Tu i ówdzie mijali któregoś z biało odzianych ogrodników, starających się utrzymać porządek za pomocą grabi i nożyc ogrodniczych, którzy pozdrawiali ich przyjaźnie i z szacunkiem.

Droga szybko pięła się w górę pomiędzy polami porośniętymi herbatą tak gęsto, że wyglądały jak zielony dywan o wysokim runie. Gdzie okiem sięgnąć, wszędzie widać było tylko gładkie, błyszczące listowie w odcieniu butelkowej zieleni. W dość znacznej odległości stał podłużny bielony budynek na planie litery L, a w jego pobliżu rozsiane były liczne małe domki.

- Manufaktura - wyjaśnił łan. - Zerwane listki herbaty są w niej przetwarzane. Mieszka tam też duża część moich robotników wraz z rodzinami, z wyjątkiem pracownic sezonowych,

które przychodzą w czasie zbiorów z okolicznych himalajskich dolin. Teraz panuje jeszcze spokój, ale za dwa, trzy tygodnie będzie tu wrzała praca od wschodu słońca aż po noc, setki ludzi będą miały mnóstwo zajęcia.

Wąska i stroma ścieżka poprowadziła ich dalej pomiędzy herbacianymi polami, które napełniały powietrze świeżym, korzennym zapachem. - Podobno historia herbaty ma cztery i pół tysiąca lat. Mitologiczny chiński cesarz Shen Nung, któremu ludzie zawdzięczają znajomość uprawy roli i medycyny, kazał swoim poddanym pić przegotowaną wodę. Pewnego dnia, kiedy było bardzo gorąco, Shen Nung leżał w cieniu pewnego krzewu i gotował wodę, żeby ugasić pragnienie. Lekki wietrzyk zabujał gałązkami krzewu i zerwał przy tym trzy listki, które wpadły do wrzątku i lekko go zabarwiły. Shen Nung odczekał kilka chwil, a potem skosztował tej wody. Uznał, że jest wspaniale odświeżająca i ożywcza. Tak oto według legendy narodziła się herbata. - Helena słuchała jego słów jak urzeczona, podczas gdy Sziwa i Szakti dziarsko kroczyły dalej, łan tymczasem kontynuował opowieść: - W Chinach, Korei i Japonii herbata ma bardzo długą tradycję. Najstarsze pisemne świadectwa pochodzą z ósmego wieku przed Chrystusem. W ciągu stuleci rozwinęły się skomplikowane, rygorystyczne rytuały związane z jej parzeniem. Do Europy herbatę sprowadzili w siedemnastym wieku portugalscy kupcy, a dopiero potem angielscy. Jako nazwy używano południowochińskiego wyrażenia *tay* albo *te*. Ponieważ chińscy dostawcy mieli lwią część udziału w zyskach, Kompania Wschodnioindyjska pod koniec zeszłego stulecia zaczęła szukać możliwości uprawy herbaty we własnym zakresie. Sprzyjały temu warunki klimatyczne w indyjskich koloniach, a pierwsze próby uprawy krzewów herbacianych były obiecujące. Gdy w roku 1826 Asam został podporządkowany brytyjskiej Koronie, a bracia Bruce odkryli tam dzikie krzewy herbaty, rozpoczęto w tym rejonie uprawę i eksperymentowano, szuka-

jąc optymalnych miejsc pod plantacje. Z czasem, a konkretnie w 1839 roku, została założona Assam Company. Wtedy herbata była uprawiana już nie tylko w Asamie, lecz także w niektórych częściach Bengalu i w zachodnich Himalajach. Ale żadnej z nich nie udało się osiągnąć jakości herbaty z Darjeeling. Herbata lubi równomierne ciepło i wilgoć, równomierną naprzemienność słońca i deszczu, bliskość gór. Tutejsza ziemia i klimat sprawiają, że wyrasta tu najlepsza herbata na świecie. Dlaczego tak się dzieje? To pozostanie tajemnicą wzgórz w Darjeeling. Osiągnęli szczyt pagórka i ściągnęli koniom cugle. Rozciągał się stąd widok na łagodne fale porośnięte herbatą zboczy. Za nimi rosły gęste, ciemne lasy, ciągnące się wzdłuż górskiego łańcucha, którego skały połyskiwały niebieskawo, a biała skorupa śnieżna odbijała jaskrawe światło słoneczne, łan oparł się o łąk i powiódł w zamyśleniu wzrokiem po krajobrazie.

Tu, na górze, było cicho i spokojnie; jedynie odległy świergot ptaków i lekki wiatr szeleszczący w listowiu roślin herbacianych i drzew ożywiały pejzaż. Nad wzgórzami i dolinami panował niezwykle spokój, który udzielał się Helenie. Zrozumiała, co miał na myśli MohanTadžid, gdy nazwał Sikharę rajem, i również to, że serce lana należało do tej części kraju bardziej jeszcze niż do radżpuckiej pustyni. Nie odczuwała jednak zazdrości, ponieważ jej serce również rosło w tym otoczeniu, urzeczony spokojem i milczącą urodą gór, łąk oraz lasów.

Łan zsiadł z konia i wszedł na pole porośnięte herbatą, która sięgała mu mniej więcej do talii. Dał znak Helenie, żeby podeszła do niego. Obiema rękami pogłaskał błyszczące listki, a następnie zerwał młody, jasnozielony pęd. Ująwszy dłoń Heleny, położył na niej gałązkę jak jakiś cenny przedmiot. Objął jej dłoń palcami i delikatnie zacisnął. Helena poczuła soczystą sprężystość listków i wilgotny, muszkatowy zapach. - To jest, Heleno, zielone złoto Indii - rzekł, a ona uniosła wzrok.

Ciemne oczy lana błyszcząły ciepło. Po raz pierwszy, odkąd poznała tego mężczyznę, pozwolił jej zajrzeć do swego wnętrza. Jego spojrzenie - wraz z ciepłem ręki - przeniknęło w głąb jej duszy.

Był to długi, ciężki dzień - jej pierwszy dzień w Sikharze, którego tak się obawiała. Ale przyjazne nastawienie ludzi pracujących w domu i jego otoczeniu szybko rozproszyło jej nieśmiałość i skrepowanie. Ze zdziwieniem stwierdziła, że gospodarstwo domowe jest tu dobrze zorganizowane. Dość szybko dano jej odczuć akceptację jako memsahib. Nie oczekiwano też od niej niczego więcej poza tym, żeby wyrażała swe życzenia, a one będą spełniane. Godzinami przebywała w królestwie otyłej kucharki poruszającej się zwinnie w czerwono-fioletowym sari między rozgrzanym piecem a spiżarniami, popędzającej szorstkim, a jednocześnie ciepłym głosem i tkliwie besztającej chłopców i dziewczęta, którzy pracowali jako pomoce kuchenne. Kobieta podtykała Helenie pod nos dziesiątki różnych przypraw, wciskała jej do spróbowania najróżniejsze smakołyki i patrzyła, oczekując, że Helena wybierze coś z tego na obiad i kolację. Potem skarżyła się swojej memsahib na galopujące ceny ryb i obstawała przy tym, żeby Helena porozmawiała stanowczo ze sprzedawcą, że tak być nie może. Jedna ze służących wpadła do kuchni zdenerwowana z zapytaniem, czy memsahib życzy sobie dziś wieczorem serwisu o białych czy niebieskich brzegach oraz ile przygotować świeczników. Helena szybko pojęła, że gospodarstwo domowe w Sikharze funkcjonowało nienagannie również bez niej, ale ludzie, którzy pracują dla lana, chętnie zdadzą się na jej decyzje. Przeglądała szafy z nakryciami na stół i bielizną pościelową, porcelaną i srebrną zastawą, zapoznawała się z podziwem i prawie z obawą ze wszystkimi pięknymi rzeczami, które znajdowały się w tym domu. Z braku konkretnych wskazówek ze strony lana

postanowiła sama podejmować decyzje według własnej intuicji i uznania. Stwierdziła, że sprawia jej to przyjemność. Odświeżona, wykąpana, ubrana w turkusowe sari ze złotą obwódką, na krótko przed kolacją poszła jeszcze sama do ogrodu i ścięła tam naręcze biało kwitnących gałązek, które wstawiła do wysokiego wazonu pośrodku stołu, ponieważ uważała, że wspaniale pasują do biało-niebieskiej porcelany i białych świec. W oczach lana dostrzegła, że spotkało się to z jego uznaniem.

Helena czuła każdy mięsień swego ciała, powieki miała ciężkie, lecz nocne powietrze jeszcze raz wywabiło ją na balkon. Narzuciła na siebie cienką koszulę nocną i otuliła się szczelnie paszminowym szalem. Chłodna wilgoć nadciągająca znad wzgórz była dla niej jak kojąca pieszczota. Głęboko wdychała lekkie, słodkie powietrze i czuła nieznane jej dotychczas zadowolenie.

- Nie jesteś zmęczona?

W kącikach jej ust pojawił się mimowolnie lekki uśmiech. Spodziewała się podświadomie, że spotka go tu, na zewnątrz. Odwróciła się, stając do niego bokiem.

Siedział w srebrnym świetle gwiazd w ratanowym fotelu, na nogach miał buty do konnej jazdy. Położył nogi na drugim fotelu i spoglądał na nią poprzez dym prawie całkowicie wypalonego cygara. Skinęła głową.

- Owszem, nawet bardzo.

Zgasił niedopałek, wstał, stanął tuż obok niej przy barierce i spoglądał w ciemność nocy.

- Często się zastanawiałem, czy dobrze robię, przywożąc cię tutaj - powiedział w końcu cicho. - Ale sądzę, że dobrze zrobiłem.

Spojrzał na nią z pytaniem w oczach. Helena skinęła głową nieco zdziwiona.

- Ja też tak sądzę.

Łan uniósł rękę i nawinął sobie na palec pasmo falistych włosów Heleny. Pocałował ją, ale nie od razu, jakby się wahał. Jego pocałunek był miękki, delikatny, ostrożny, zaskakująco czu-

ły. Odruchowo zarzuciła mu ramiona na szyję, przytuliła się do niego i uświadomiła sobie boleśnie, jak bardzo jej brakowało jego cielesnej bliskości, jak bardzo był od niej odległy w ciągu minionych tygodni, chociaż przebywali blisko siebie. Odwzajemniła jego pocałunek, pożądliwie, chciwie. Poczwała, że jego ciałem wstrząsa cichy śmiech. Wziął jej twarz w dłonie i delikatnie obrócił jej głowę.

- Wiedziałem od pierwszego momentu, że w tobie drzemie dzika kotka - szepnął do niej głosem ochrypłym z pożądania.

Pocałował ją znowu, tym razem gorąco i dziko. Helena westchnęła z rozkoszy. Uniósł ją i zaniósł do sypialni, by ją tam delikatnie pieścić i gorąco całować, przykrył jej nagość swoją, a ona, poczuwszy spełnienie swojej tęsknoty, cicho krzyknęła.

Poranne słońce malowało na pościeli i poduszkach, na skórze Heleny i jej powiekach gorące pasy. Otworzyła oczy i spojrzała na łana, który spał głęboko obok niej. Jej spojrzenie powędrowało poprzez pasmo jego błyszczących, czarnych włosów, opadających mu na czoło, przez twarz, która we śnie wyglądała tak młodo i delikatnie, była taka odprężona, dalej przez jego nagą, porośniętą gęstym włosem pierś, która się podnosiła i opadała, zatrzymało się na bliźnie na lewym ramieniu. Zgarnęła mu z twarzy pasmo włosów, delikatnie, jak skrzydełkiem motyla, tak aby go nie zbudzić, przesunęła palcem po twardej, nierównej krawędzi zabliznionej tkanki, a w sercu boleśnie ją zakłuło.

- Kocham cię, lanie - szepnęła ledwo słyszalnie, gardło miała ściśnięte od niewypłakanych łez szczęścia i smutku. - Kocham cię.

19

Musiała chyba po raz kolejny zasnąć, bo gdy ponownie otworzyła oczy, lana nie było obok niej. W pościeli odznaczały się jeszcze zarysy jego ciała, czuć było jeszcze jego ciepło, a gdy Helena wygładziła ręką fałdy i załamania, poczuła jego zapach. Przez jej ciało przeszedł dreszcz tęsknego pożądania. Dopiero potem usłyszała jego kroki obok, za ścianą, i pełne zadowolenia nucenie. Na twarzy Heleny pojawił się błogi uśmiech, ale szybko zgasł, gdy usłyszała jego śmiech, stłumiony przez drzwi i ścianę, i żarty wypowiedane niewątpliwie w szybkim, tanecznym tonie języka hindustani. Kobięcy głos, który mu odpowiedział i zaśmiał się dźwięcznie, należał niewątpliwie do Szuszili.

Helena poczuła gniew i wstyd zarazem. Dotknięta do żywego ukryła twarz w poduszce, zacisnęła zęby, żeby stłumić łzy i nie słyszeć ich śmiechów. W pewnym momencie czyjaś dłoń dotknęła jej ramienia. Helena się przestraszyła. To była Jasmina. Spojrzała na Helenę skruszona, sądząc, że wyrwała memsahib ze snu.

- Przygotowałam dla pani kąpiel, memsahib. Proszę, niech się pani pospieszy. Huzur czeka na panią ze śniadaniem na werandzie.

Helena celowo się guzdrała. Jasmina musiała ją ponaglać, żeby wreszcie wyszła z pachnącej różami wody. Z przyzwyczajenia sięgnęła po koszulę i spodnie do konnej jazdy, ale służąca pokręciła z zakłopotaniem głową.

- Huzur pragnie, żeby pani włożyła dziś coś innego. Dopiero teraz Helena dostrzegła kremową suknię, przez

którą ciągnęły się zielone, faliste gałązki z listkami i która leżała rozłożona na świeżo pościelonym przez Jasminę łóżku. Przez moment miała ochotę odrzucić prośbę lana, ale potem wzruszyła obojętnie ramionami.

- Niech będzie.

Chociaż Jasmina starała się z całych sił jak najbardziej ścisnąć gorset, to i tak miała problem z dopięciem haftek na plecach sukni. Gdy Helena popatrzyła na siebie w wysokim lustrze, stwierdziła, że suknia jest naprawdę bardzo obcisła. Nic dziwnego, od czasu przymiarki w Londynie Helena przytyła. Przełknęła ślinę, gdy to sobie uświadomiła. Przed jej oczami stanęła Szuszila, taka piękna i uwodzicielska w swoim sari. Helena wysunęła dumnie brodę do przodu. *Trudno* - pomyślała - *oto staje się brzydką, pozbawioną wdzięku matroną. Ale kogo to obchodzi?* Nie zaszczycie swego odbicia w lustrze kolejnym spojrzeniem, pozwoliła Jaśminie, by ta uczesała jej włosy przy toalecie i spięła je w miękki kok. Zręczne palce Jaśminy dodatkowo przyozdobiły fryzurę kilkoma białymi kwiatami z jedwabiu i sztucznymi zielonymi listkami.

Gdy nieco później Helena w lekkich domowych pantoflach z jasnej skóry wyszła na werandę, nie rzuciła nawet okiem na poranne piękno ogrodu ani na starannie nakryty stół. Usiłowała ignorować spojrzenia łana, ale mimo to czuła je na skórze.

- Dzień dobry - powiedział łan na przywitanie wesołym tonem i wyciągnął do niej rękę, ale ona usiadła bez słowa po drugiej stronie stołu ze spojrzeniem opuszczonym na talerz.

Kiedy służący podał koszyk z bułeczkami, pokręciła głową, upiła tylko bez apetytu trochę herbaty.

- Powinnaś coś zjeść, mamy przed sobą długi dzień - rzekł łan.

- Dziękuję, nie jestem głodna - odpowiedziała rozdrażnionym tonem i zobaczyła, jak na twarzy łana pojawia się szeroki uśmiech.

Pochylił się i szepnął nad stołem:

- Po ostatniej nocy? Możesz mi mówić, co chcesz, ale nie uwierzę, że nie zgłodniałaś!

Helena zaczerwieniła się. Ponuro ściągnęła brwi i odpowiedziała:

-Jeśli nie będę uważać, niedługo nie zmieszczę się w żadną suknię!

-I tak byłaś dużo za chuda - odpowiedział spokojnie Ian. Nagle coś mu przyszło do głowy. Zapytał cicho: - A może jesteś... ?

Helena znów się zaczerwieniła i z zakłopotaniem pokręciła głową.

Owego wieczora na wewnętrznym dziedzińcu w Surja Mahal, gdy w kręgu kobiet na jej dłoniach i stopach namalowane zostały czerwone wzory, zrozumiała za sprawą starych pieśni, co takiego przyciąga do siebie kobiety i mężczyzn i że zespolenie ich ciał oraz comiesięczna niedyspozycja kobiety związane są z płodzeniem dzieci. Jednak coś w niej wrzało, szalał w niej mały demon gniewu, który nie chciał się uspokoić. Nagle ją oświeciło. Zrozumiawszy wreszcie intencje Iana, podniosła wzrok. Jej oczy były zimne i twarde jak błękitne diamenty.

- To o to ci chodziło, prawda? To był powód tego pośpiechu... Dlatego chciałeś tak szybko się ze mną ożenić. Żeby jak najszybciej mieć

spadkobiercę, spadkobiercę z prawego łóża, a nie ciemnoskórego

bękarta! Jestem dla ciebie tylko... klaczą rozplodową, niczym więcej!

Zdenerwowana mówiła coraz szybciej i nie dostrzegła, jak twarz Iana spochmurniała. Jego oczy pociemniały, przybierając kolor głębokiej

czerni. Dopiero uderzenie w stół i brzęk naczyń sprawiły, że

przestraszona umilkła, Ian zerwał z kolan serwetkę i rąbnął pięścią w blat stołu, strącając przy tym filiżankę, która spadła na podłogę, rozsypując się w małe, białe odłamki jak stłuczona skorupka jajka.

- Dość tego! Gdybym wiedział, że będziesz gadała jak głupia gęś, to na pewno bym się z tobą nie ożenił! Chciałem spędzić z tobą dzisiejszy dzień

na dole, w mieście, ale teraz, szczerze mówiąc, przeszła mi na to ochota!

Wstał zły i oddalił się energicznym krokiem. Gniew Heleny opadł,

pozostało tylko gorzkie uczucie wstydu. Siedziała skulona i wpatrywała się w ciągle jeszcze pusty talerz.

Służący w obliczu zagrożenia burzą między huzurem a memsahib w porę schronił się w domu, długo więc siedziała sama na werandzie, a łzy płynęły jej po twarzy. Jak przez mgłę dojrzała zbliżających się Mohana Tadzida i Jasona, którzy wrócili w doskonałym nastroju z porannej konnej przejażdżki. Mohanowi wystarczył jeden rzut okiem, żeby się zorientować w sytuacji. Natychmiast poprosił przyjaźnie Jasona, by ten udał się do domu. Chłopiec zawahał się, spojrzał przestraszony na Helenę. Gdy Mohan dał mu lekkiego, ponaglącego klapsa, usłuchał w końcu niechętnie. Helena patrzyła na Mohana przez łzy.

- Wszystko zepsułam - wyszlochała.

Kiedy przystawił krzesło bliżej niej i usiadł, oparła się o jego ramię i płakała, wyznając wszystkie swoje zmartwienia, zazdrość o Szusziłę, frustrację z powodu za ciasnej sukni, kłótnię z łanem.

Mohan słuchał w milczeniu.

Wreszcie puściła jego ramię, wytarła sobie mokre policzki, a gdy Mohan podał jej chusteczkę, wydmuchała głośno nos.

- Teraz on mnie na pewno nienawidzi - powiedziała, przesłaniając sobie twarz chusteczką.

Mohan pokręcił głową.

- Nie, na pewno nie. Żeby znienawidzić człowieka, potrzeba czegoś więcej niż drobnej sprzeczki. Uspokoi się i wszystko będzie dobrze, daję pani słowo - rzekł z naciskiem, widząc zrozpaczone spojrzenie Heleny.

Pociągając nosem, wyprostowała się.

- Muszę iść do niego. Wie pan, gdzie on jest? Mohan ponownie pokręcił głową.

- Nie wiem, ale nawet gdybym wiedział, powstrzymałbym panią, to zły pomysł. Niech pani poczeka, aż mu przejdzie złość, wcześniej to nie ma sensu.

- A co mam w tym czasie robić?

Spojrzał na nią poważnie, w jego oczach pojawił się jednak ślad uśmiechu.

- Niech pani pójdzie do siebie na górę. Przyślę kogoś, kto się panią zajmie. Niech pani odpocznie, powiem służbie, że źle się pani czuje. A Jasonem sam się zajmę.

Helena poszła schodami na piętro, czując się jak złajana uczennica. Wiedziała, że zachowała się głupio. Wszystko by zrobiła, żeby to się nie stało. Zmęczona opadła na taboret przed toaletką, unikała jednak spojrzenia w srebrną powierzchnię lustra.

Przestraszyło ją lekkie pukanie. Szybko odgarnęła z twarzy luźne pasemka włosów i wytarła ostatnie łzy. Zastygła nieruchomo, stwierdziwszy, że do pokoju weszła ostrożnie Szuszila. Hinduska miała na sobie delikatne żółte sari z jasnozieloną bordiurą, które podkreślało jej miedzianą karnację. Helena nie miała już siły się gniewać, spojrzała więc tylko na młodą kobietę z uczuciem upokorzenia i niezadowolenia, że Mohan Tadzid właśnie ją tu przysłał. Także Szuszila czuła się jakoś niezręcznie, patrzyła na Helenę spod lekko opuszczonych powiek. Nagle Helena zrozumiała, że Szuszila się jej boi - boi się wybuchu gniewu, bicia, wyrzucenia ze służby. Helena nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, opuściła tylko głowę, a z jej oczu znów zaczęły płynąć łzy.

- Csiiiiii... - Szuszila chciała ją uspokoić, podeszła bliżej, stanęła za jej plecami. - Niech pani nie płacze, memsahib.

Ostrożnie wyciągnęła z koka pojedyncze kwiaty i listki, potem szpilki, które go trzymały, w końcu włosy Heleny opadły luzem na plecy. Grzebieniem i szczotką zaczęła je ostrożnie rozplątywać i rozczesywać. Po dłuższej chwili milczenia Helena usłyszała jej miękki głos. Szuszila starała się mówić wolno i wyraźnie, żeby Helena zrozumiała każde słowo.

- Niech pani nie myśli źle o huzurze. Czasami wpada w złość, ale nigdy na długo. Jest sprawiedliwym panem i traktuje nas wszystkich dobrze. Nigdy nas nie bije i za pracę daje nam dużo pieniędzy. Prawie każdy ze służby w tym domu jest mu wdzięczny, że może dla niego pracować. Szczególnie ja. - Zamilkła na chwilę, jakby trudno jej było mówić dalej. - Moi rodzice

sprzedali mnie, gdy byłam jeszcze mała. Nie mieli dość jedzenia dla nas, dzieci. Wyrosłam w jednym z *lal bazaarw* Kalkucie. Gdy osiągnęłam odpowiedni wiek i nauczyłam się wszystkiego, co potrzeba, zostałam *nauj*. Często mnie bito, a mężczyźni obchodzili się ze mną brutalnie. Któregoś razu było szczególnie źle. Huzur, który przyszedł tam z innymi sahibami, widział to. Dał za mnie starej rajfurce dużo pieniędzy, dużo więcej, niż byłam warta, i wziął mnie do swojego domu w Kalkucie. Dał mi jedzenie i nowe ubrania. I nie żądał ode mnie niczego więcej oprócz tego, bym pomagała w kuchni. I wziął mnie ze sobą, kiedy tu jechał. Nigdy niczego ode mnie nie chciał, to ja z czasem tego zapragnęłam. Ale to nic dziwnego, przy takim mężczyźnie jak huzur...

Umilkła, a w duszy Heleny wszystko się pomieszało. Współczucie dla losu Szuszili, ślad wdzięczności dla lana, odrobina dumy z niego, że wyciągnął dziewczynę z burdelu, dotkliwa zazdrość z powodu nocy, podczas których kochał się z Szuszilą. To wszystko ścisnęło boleśnie jej żołądek. Nawet nie zauważyła, jak siedząc na taborecie, przekreśliła się w kierunku lustra. Gdy uniosła oczy, jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Szuszili, która natychmiast z zakłopotaniem zajęła się układaniem loków Heleny w kok, zaczerpnęła powietrza i kontynuowała swoją opowieść: - Nigdy nie oczekiwałam więcej niż to, co dostałam, ponieważ i tak było tego więcej, niż mogłabym sobie wymarzyć. Obiecał, że pozwoli mi odejść, a nawet da mi sowity posag, jeśli kiedyś spotkam mężczyznę, który mnie zechce. Oczywiście słyszałam o huzurze różne plotki, że gdy przebywa w Kalkucie lub w Anglii, to wybiera sobie białe kobiety. Ale nigdy nie widziałam żadnej z nich, chociaż na to czekałam. Pewnego razu zapytałam go, dlaczego wciąż jeszcze nie ma swojej memsahib. Roześmiał się tylko i powiedział, że nie istnieje taka, która by z nim wytrzymała, ani taka, którą by się szybko nie znudził. Gdy przyszedł *telegram* - Szuszila użyła angielskiego słowa - w którym udzielał wskazówek, jak urządzić ten pokój, wiedziałam, że znalazł memsahib.

Szuszila wyciągnęła ze szczotki włosy i ostrożnie wrzuciła je do kosza na papier.

- A kiedy czekałam w Bombaju na pani przyjazd i zobaczyłam panią, wiedziałam, że dobrze wybrałam i że już nie spędzi ze mną ani jednej nocy. Tak też się stało. - Odłożyła grzebień i szczotkę na blat stołu. - Czy mam pani pomóc się przebrać? -zapytała z taką naturalnością, jakby przed chwilą nie zdradziła tylu intymnych szczegółów.

Helena pokręciła głową. Szuszila krótko się skłoniła i ruszyła w kierunku drzwi. Na chwilę się jeszcze odwróciła:

- Huzur zawsze uważał, żeby... nie splodzić dziecka. Choć ja często pragnęłam zajść w ciążę.

Zdażyła otworzyć drzwi, gdy Helena zawołała ją po imieniu. Kobiety spojrzały na siebie. Helenie udało się jedynie wykrztusić:

- *Szukrija*, dziękuję.

Hinduska złożyła dłonie i skłoniła się, a potem zamknęła za sobą drzwi. Zmęczona Helena popatrzyła na swe lustrzane odbicie. Jej twarz była spuchnięta od łez, oczy zaczerwienione. Los Szuszili bardzo ją poruszył. Wstydziła się swej zazdrości i tego, że widziała w niej rywalkę. W zasadzie powinno być na odwrót, to w końcu Helena zabrała Szuszili łana, a mimo to Hinduska nie miała do niej pretensji, zaakceptowała ten fakt bez słowa skargi. Oczywiście Helena przypuszczała, że łan z niejednego pieca jadł chleb, że przed nią miał różne kobiety, a mimo to zazdrościła każdej z nich, choć nie znała ich imion ani twarzy - zazdrościła każdej minuty, kiedy łan na nie patrzył i je pieścił. A jednak to właśnie z nią się ożenił, z nią, upartą, przekorną, pozbawioną wdzięków dziewczyną, która nie ma mu nic do zaoferowania, którą nie może się szczyścić, on, taki przystojny, zamożny i obyty w świecie mężczyzna. Tylko dlaczego?

Jej spojrzenie ześlizgnęło się niżej, na prostokątny, obsyty zieloną koronką dekolt sukni, który dawał jeszcze radę objąć powiększony biust. Wstała i obejrzała się w dużym lustrze, obracała się w prawo i w lewo, oparła ręce na biodrach, odwróciła się tyłem i popatrzyła na swe odbicie przez ramię. Jeszcze nigdy nie poświęciła swemu lustrzanemu odbiciu tyle uwagi. Podeszła bliżej, odgarnęła włosy z twarzy, skrzyła je nad ramieniem w mocny powróż, ułożyła go na głowie w koczek.

Czy jest ładna? Nie wiedziała. Czy podoba się Ianowi? Tego też nie wiedziała. Alastair Claydon powiedział jej kiedyś, że ma włosy jak pole dojrzałego zboża w świetle wieczora, a oczy jak morze w piękny, słoneczny dzień. Wyśmiała go wtedy, bo te słowa zabrzmiały w jej uszach jakoś tak głupio. Czy może jednak były prawdziwe? Wpatrywała się w swoją twarz badawczo, coraz dokładniej, aż w końcu uderzyła nosem w zimne szkło. Przestraszona własną próżnością odwróciła się gwałtownie od swego odbicia i powiodła wzrokiem po pomieszczeniu. Czy Szuszila powiedziała jej prawdę, że Ian kazał urządzić ten pokój specjalnie dla niej? Tylko dla niej? W zamyśleniu przygryzła dolną wargę. Poczuła, że dopadają ją wyrzuty sumienia, do tej pory sądziła bowiem, że ten pokój odzwierciedla gust innej kobiety. A mimo to nie potrafiła się tym cieszyć... Znów popatrzyła na swe odbicie w lustrze. Dlaczego Ian się z nią ożenił? Dlaczego nie z Amelią Claydon, która jest przecież o tyle ładniejsza? Dlaczego nie wziął sobie za żonę jakiejś damy z towarzystwa, z Londynu albo z Kalkuty? Czy naprawdę podobała mu się choć trochę? Spędziła dłuższy czasu w rozdarciu - z jednej strony pragnęła być piękna, a z drugiej strony bała się, że jest zarozumiałą, odszykowaną indyczką jak Amelia Claydon. W końcu zawołała Jasmine. Zakłopotana z trudem usiłowała sklecić kilka słów. W końcu wykrztusiła: - Chcę ładnie wyglądać... dla... dla huzura. Wiesz może, co mu się podoba?

Jasmina była zachwycona. Wezwała natychmiast gromadę dziewcząt, które zaczęły gorączkowo biegać, szykując wodę na

kąpiel, mieszając olejki i esencje, przychodząc z kuchni z małymi miseczkami roztartych ziół. Helenę pokrywano tymi substancjami, nacierano, czesano i wyskubywano jej niepotrzebne owłosienie, a to wszystko przez pół dnia. Helena wbrew sobie musiała przyznać, że sprawia jej to przyjemność. W końcu Jasmina chwyciła ciemnopomarańczowe *choli* i pasujący do niego pas jedwabiu, który miał na brzegach czerwone i złote hafty. Owinęła Helenę tym jedwabiem. Z szuflady toaletki wyciągnęła mały rzeźbiony kuferek z różanego drewna. Gdy go otworzyła, Helenie zaparło dech w piersiach. Na aksamitnej podkładce leżały pomieszane kolorowe łańcuszki, pierścionki i bransoletki ze złota i srebra, niektóre były wysadzone błyszczącymi kamieniami w kolorach turkusowym, jasnoniebieskim, czerwonym, zielonym, granatowym, niektóre zaś kamienie były przezroczyste jak szkło.

- Skąd się to wszystko tutaj wzięło? Jasmina spojrzała na nią zdziwiona.
- Huzur to kupił. - Widząc zaskoczone spojrzenie Heleny, dodała szybko:
- Na pewno chciał pani zrobić niespodziankę, memsahib.

Helena zdecydowała się na prostą kolię wysadzaną rubinami, kilka złotych bransoletek i łańcuszek z dzwoneczkami na kostkę u nogi. Jasmina wzięła ją za ramiona i zaprowadziła przed wysokie lustro. Tymczasem zaczęło się ściemniać, a lampy oświetliły pomieszczenie złotym blaskiem.

Helena prawie nie poznała samej siebie. Nie zauważyła nawet, że Jasmina z uśmiechem zadowolenia wyśliznęła się z pokoju. Twarz Heleny połyskiwała jedwabieście, jej oczy błyszczały, a włosy opadały w błyszczących lokach na ramiona. Choć nadal była szczupłą, *choli* było dość obcisłe i podobnie jak sari podkreślało krągłości, które dla niej były czymś nowym. Wyglądała obco, pięknie i uwodzicielsko. Nie mogła się doczekać, kiedy Jan ją taką zobaczy. Oglądała się w lustrze w nieskończoność, z bliska, z daleka, ze wszystkich stron, dookoła, nie mogła się napatrzeć

do syta. Zdenerwowana przeszła przez pokój, wróciła do lustra, pogładziła śliski jedwab, cieszyła się swoją skórą, która była taka miękka, zmysłowa i kobieca.

Ale czas mijał. Z każdą sekundą oczekiwania psuł jej się nastrój.

Nadeszła noc, w domu zrobiło się cicho, a Jan wciąż jeszcze nie wracał. Siedziała zniechęcona na taborecie, wstała, zrobiła kilka kroków, potem usiadła na łóżku.

Wreszcie w środku nocy usłyszała ciężkie kroki Jana wchodzącego po schodach. Pobiegnęła pospiesznie ku drzwiom, przejechała jeszcze ręką po włosach i wyszła na korytarz.

- Janie?

Choć stał przed nią prosty jak świeca, poznała, że pił, że dużo wypił. Czuć było od niego alkohol nawet na odległość kilku kroków. Miał rozpiętą koszulę, włosy zmierzwione, buty pokryte kurzem, surdut przewiesił sobie niedbale przez ramię.

- Gdzie byłeś? - zapytała nieśmiało. - Cały dzień czekałam na ciebie.

Spojrzał na nią. Helena nie była pewna, czy w ogóle zauważył jej strój i przemianę, jaka w niej zaszła. Zmusiła się do uśmiechu, ale jej usta były sztywne. On natomiast uparcie milczał.

- Gdzie byłem? - odezwał się w końcu. - Poszedłem spędzić kilka bękartów.

Helena skurczyła się, gdy drzwi do jego sypialni zatrzęsły się z hukiem. Powoli, z opuszczoną głową wróciła do swego pokoju. Grube, gniewne łzy płynęły jej z oczu, gdy zrywała z siebie jedwab, gwałtownymi ruchami uwalniając się ze śliskiego materiału. Rozdygotana włożyła nocną koszulę. Kiedy wśliznęła się pod lekką kołdrę, poczuła się mała i brzydka, i nieskończenie upokorzona.

Nie przespalała nawet kilku godzin, gdy obudziły ją głosy i pospieszne, dudniące kroki. Leżała jeszcze kilka chwil, oszołomio-

na snem, potem zaś wstała z łóżka i ostrożnie otworzyła drzwi. Jedna z dziewcząt przebiegła właśnie obok z zaspanymi oczami.

- *Kyaa huua*, co się stało? - zapytała szeptem Helena.

Dziewczyna zawahała się przez moment, potem zrobiła nieokreślony ruch ręką, jak gdyby chciała dać znak, aby memsa-hib położyła się z powrotem spać. Po chwili jednak Hinduska zmieniła najwidoczniej zdanie, bo zalała Helenę potokiem słów. Helenie udało się zrozumieć zaledwie kilka z nich: huzur, klacz i źrebię. Potem dziewczyna zbiegła pospiesznie po schodach.

Przez moment Helena nie wiedziała, co ma robić. Chciała wrócić do łóżka, ale chociaż wciąż czuła się rozespana, wiedziała, że nie zdoła zasnąć. Pospiesznie włożyła koszulę, spodnie i buty, związała sobie na karku włosy, a potem zbiegła na dół.

Była to chłodna noc. Mżył drobny deszczyk, przypominający raczej mgłę. Helena zaczęła szczełukać zębami z zimna i zmęczenia. Biegając wielkimi krokami w kierunku stajni, skuliła się i objęła ramionami. Już z daleka dostrzegła światło, na jaśniejszym tle rozpoznała dwa poruszające się cienie ludzi. Gdy weszła do środka, stajenny spojrzał na nią zdziwiony i pozdrowił ją niewyraźnie. W środku było ciepło, a wyrwane ze snu i przestraszone konie, których swojski zapach ją przywitał, patrzyły na nią ciekawie sponad krawędzi boksów, jakby chciały zapytać, co ona tu robi. Jeden lub dwa zarżały cicho, jakby z troską. Środkowy boks po prawej stronie był oświetlony jaśniej niż reszta stajni. Przed jego otwartym wejściem Helena dojrzała Mohana Tadżida. Sytuacja musiała być naprawdę poważna, bo Mohan nie miał nawet na głowie turbanu - najwidoczniej zabrakło mu czasu, żeby sobie nim owinać głowę. Ubrany był tylko w zwykłą koszulę i spodnie do konnej jazdy. Po raz pierwszy zobaczyła go z gołą głową. Jego krótko obcięte, kiedyś czarne jak węgiel włosy były prawie całkiem siwe, chociaż wciąż jeszcze bardzo gęste. Gdy spojrzał na nią, zatrzymała się na chwilę przelękniona; bała się, że gestem lub ruchem głowy każe jej odejść, ale on tylko ski-

nał lekko, chyba nawet dojrzała na jego twarzy cień uśmiechu. Ostrożnie podeszła bliżej.

Łan klęczał przed czarną klaczą, która leżała na słomie, skurczona i wciśnięta w róg boksu; jej brzuch był wzdęty, jakby miał pęknąć. Helena nie wiedziała, czy łan w ogóle spał tej nocy. Miał na sobie tę samą koszulę co kilka godzin temu, teraz jednak robił wrażenie zupełnie trzeźwego i rześkiego. Przemawiał uspokajająco do przestraszonego zwierzęcia, wyraźnie odczuwającego silne bóle, obmacywał ciało klaczy, której oddech był szybki i płytki, a nozdrza i oczy szeroko otwarte. Klacz patrzyła zmaconym wzrokiem w kierunku Heleny, ale najwidoczniej nawet jej nie dostrzegała. Helena czuła się bezradna. Mało wiedziała o koniach, jedynie to, jak się na nich jeździ i jak trzeba o nie dbać, ale nigdy nie była świadkiem chwili, kiedy klacz ma się ożrebić.

- Saraswati - szepnął Mohan, stając obok niej. - To jej pierwsze źrebię. Ojcem jest Sziwa. Do dzisiejszej nocy zanosilo się, że poród będzie normalny. Ale teraz...

Wzruszył bezradnie ramionami.

- Wezwano weterynarza? - szepnęła Helena. Mohan pokręcił głową.

- W promieniu wielu mil leczeniem zwierząt zajmuje się jedynie pewien rzeźnik, a jemu łan nigdy w życiu nie powierzyłby konia. Na szczęście jeden ze stajennych natychmiast nas obudził, gdy tylko zauważył, że coś się dzieje.

Helena przez chwilę stała w miejscu, a potem powoli podeszła bliżej i weszła ostrożnie do boksu, starając się nie przestraszyć klaczy. Pod jej stopami zaszeleściła słoma. Ukląkszy, delikatnie pogłaskała klacz po czole i chrapach. Saraswati dostała gwałtownych skurczów, jej ciało całe dygotało, kopyta drgały chaotycznie. Spojrzała na Helenę wzrokiem pełnym bólu i strachu, a potem położyła zmęczony łeb na jej kolanach. Helena głaskała mokrą od potu skórę, szeptała do zwierzęcia czułe słowa, prosiła konia, żeby wytrzymał, obiecywała, że wszystko będzie dobrze.

Ukradkiem zerknęła na łana, który zdawał się nie dostrzegać jej obecności. Jego twarz, pochmurna i nieogolona, wyrażała rozpacz i gniew. Jednocześnie obchodził się ze zwierzęciem z taką czułością, że Helenie mimowolnie zrobiło się ciepło na sercu.

To była długa noc dla nich wszystkich. Później sama nie wiedziała, jak to wszystko przetrzymali, ona, łan, Mohan Ta-dźid, Saraswati i dwóch stajennych. Miała wrażenie, że wszystko rozegrało się w świecie cieni, gdzieś pomiędzy snem a rzeczywistością. Ale gdy zrobiło się jasno, źrebaczek był już na tym świecie, prawdziwy i namacalny, czarny jak jego matka, otoczony śliską, białofioletową błoną, z której go szybko uwolnili, a potem wytarli szczupłe, mokre ciało wiązkami słomy. Saraswati stała na drżących nogach, osłupiała patrzyła spod ciężkich powiek na maluszka, który kosztował ją tyle cierpienia, tyle trudu. Źrebak leżał oszołomiony, prawie bez życia, jakby nie mógł uwierzyć, że udało mu się wydostać z matczynego ciała. Potem przez jego ciało przeszedł dreszcz; maluch prychnął, co zabrzmiało jak kichnięcie, uniósł głowę i poruszył niespokojnie kopytkami, jakby teraz, po tak długim porodzie, było mu szczególnie pilno wstać na nogi i poznawać otoczenie.

Roześmieli się z ulgą, szczęśliwi i zmęczeni.

Łan spojrzał na Helenę.

-Jak nazwiemy tę malutką?

- Lakszmi - odpowiedziała Helena bez wahania. - Bogini szczęścia musiała dziś w nocy nad nią czuwać - dodała.

Łan popatrzył na nią uważnie. Helena nie potrafiła zinterpretować wyrazu jego oczu. Przez moment sądziła, że powiedziała coś niewłaściwego. Ale po chwili łan się uśmiechnął i przytaknął.

-Ja też tak sobie pomyślałem.

Helena usłyszała głos Mohana. Napomknął coś, że trzeba kazać w kuchni, żeby przygotowali śniadanie. Zobaczyła, że odchodzi, ale nie zwróciła na to większej uwagi. Patrzyła jak urzeczona na maleńką Lakszmi. Zrebiątko z trudem wstało. Jego

cienkie nóżki ugięły się co chwila w guzowatych stawach kolanowych, kopytka mu się ślizgały i wyglądał na rozzłoszczonego tym, że nie udaje mu się od razu na nich ustać. Helena chciała mu pomóc, ale łąn położył jej rękę na ramieniu.

- Zostaw go - powiedział łagodnie. - Sam musi sobie poradzić.

Wreszcie nowo narodzony konik stanął na własnych nóżkach, choć nadal niepewnie. Wydał z siebie ciche rzenie - jakby okrzyk triumfu. Saraswati trąciła go ostrożnie pyskiem. Lakszmi zwróciła głowę ku matce, zareagowała na ten czuły gest tak gwałtownie, że jej tylne nogi z powrotem się zgięły, ale znowu je uparcie wyprostowała. Podeszła prosto do matki i chwilę później usłyszeli chciwe mlaskanie. Lakszmi po raz pierwszy piła mleko.

Helena nie mogła powstrzymać łez radości. Ucieszyła się też, że łąn stanął tuż za nią, otoczył ją ramionami i przytulił do siebie. Przez tkaninę dwóch mokrych od potu koszul - jego i swojej - poczuła, jak po godzinach wielkiego wysiłku bije mu serce. Odniosła wrażenie, że rytm serca łąna jest echem jej własnego.

- Lakszmi jest twoja - szepnął jej we włosy, a jego ciepły oddech wywołał przyjemny dreszcz na jej karku. - Jest tak samo jak ty uparta i wytrwała. - Zawahał się, a potem dodał: - Po śniadaniu pojedziemy do miasta.

Właściwie wcale nie to chciała usłyszeć po ich kłótni i jego raniących słowach kilka godzin temu, ale zrozumiała, że tą propozycją wyszedł jej naprzeciw, czyniąc więcej, niż to leżało w jego naturze, i to jej wystarczyło.

20

Każda brytyjska metropolia w Indiach - położona na wzgórzach, które tronowały nad falującymi od gorącego powietrza równi-

nami jak wyniośli strażnicy - miała swoją *hill station*, miejsce schronienia przed żarem lata, gdzie powiewały chłodne bryzy, a powietrze było rześkie. W Delhi takimi *hill station* były położone na zachodzie Himalajów Shimla, Mussoorie i Dehradun; Bombaj miał Mahabaleshwar i Pune, Madras - Utakamand na niebieskich wzgórzach Nilgiri. Pierwotnie ośrodki te miały służyć jako uzdrowiska dla niższych cywilnych i wojskowych funkcjonariuszy Kompanii Wschodnioindyjskiej, którzy nie mogli sobie pozwolić na podróże do Afryki Południowej, Australii albo z powrotem do Anglii dla leczniczej zmiany powietrza. Wkrótce jednak zaczęli przybywać tu także gubernatorzy i generalni gubernatorzy, którzy nawet podczas kuracji nie chcieli rezygnować ze sprawowania władzy. Pobudowano ulice, za publiczne pieniądze wzniesiono bungalowy, kurorty przemieniły się w polityczne i wojskowe kwatery główne - centra władzy, z których - jak z Olimpu - wydawane były i wykonywane rozkazy. Życie towarzyskie podążało za wojskowym i *hill stations* stały się kolonialnymi odpowiednikami Bath albo Brighton -ulubionymi miejscowościami kobiet pragnących urodzić w nich i wychowywać swoje dzieci, kawalerów i cnotliwych młodych dam spotykających się w nich według wszystkich reguł etykiety, starających się nawzajem o swe względy i zawierających związki małżeńskie, ambitnych urzędników nawiązujących tu kontakty, które bywają pomocne we wspinaniu się po szczeblach kariery zawodowej, emerytów zmęczonych wieloletnią służbą w tym bezlitosnym kraju, pragnących nacieszyć się jesienią życia, inwalidów i chorych, którzy pragnęli odpocząć i umrzeć w spokoju. Dziarscy *ofictx:ovfie,femmesfatales*, ambitni biurokraci i znudzone panie domu spotykali się w kolorowym korowodzie wzajemnych oficjalnych wizyt, stylowych herbatek i długich spacerów, polowań, wycieczek i pikników w okolicznych lasach, kolacji, wystawnych balów, wyścigów konnych, przedstawień teatralnych i wszechobecnych plotek. Starannie przycięte żywopłoty rosły

wzdłuż wijących się meandrami ulic i chodników; różane krzewy, fuksje, lilie, dalie, kiwające łebkami dzwoneczki przyozdabiały ogrody gotyckich willi, wioski w stylu Tudorów z murem pruskim w szczycie i szwajcarskie chatki przypominające domki z piernika; ogrody obfitowały w kalafiory, pietruszkę, truskawki, jabłonie i grusze. *Hill stations*, otoczone gęstymi lasami i łąkami, były jakby częścią Anglii, wyrazem boleśnie odczuwanej tęsknoty za ojczyzną - pełne nostalgicznych reminiscencji, bardziej angielskie niż sama Anglia, odległe od brudu i nędzy pogańskich, egzotycznych Indii.

Jedynie Kalkuta aż po lata trzydzieste nie posiadała takiego refugium, a więc rząd kolonialny nakazał znaleźć pod nie odpowiednie miejsce w zachodnich Himalajach. Został znaleziony *Rdo-rje-ling*, „Ogród Diamentowego Blasku”, opuszczona placówka wojowniczego ludu Gurkhów, położona między Bengalem a królestwami Nepalu, Tybetu, Bhutanu i Sikkim. Dyskretnie rozpoczęły się negocjacje z radzą Sikkim, do którego należało Darjeeling - jak nazwali to miejsce Anglicy. Pięć lat trwało dyplomatyczne przeciąganie liny i wreszcie w roku 1835 Darjeeling stał się częścią brytyjskiej Korony. Ale jeszcze cztery lata minęły, nim zaczęto budować drogę, która połączyła Darjeeling z równinami Bengalu. Powstało małe, liche osiedle z pojedynczymi kamiennymi chodnikami, które łączyły chaty z plecionki i nieotynkowanego kamienia, będące schronieniem dla setek ludzi karczujących pracowicie jak mrówki dżunglę, żeby mogły tu powstać parcele budowlane.

Gdy otwarty powóz z Heleną, Ianem, Mohanem Tadżidem i Jasonem jechał w dół *mail*, głównej ulicy w Darjeeling, trudno było sobie wyobrazić mozolne początki. Teraz był tu wyraźnie widoczny wpływ ponad stu plantacji herbaty, które znajdowały się na okolicznych wzgórzach i w dolinach. Mimo dobrobytu panującego w Darjeeling brakowało tu światowości i elegancji innych *hill stations*, miasto było proste, rustykalne, odzwierciedlało trudne

życie plantatorów herbaty i barwny folklor górskich ludów. *Mail* ciągnęła się poprzez grzbiec wzgórza, począwszy od najwyższego punktu w mieście, placu Chowrasta, prowadziła między filigranowymi brzożami poprzez zielone morze ogrodów i całe lasy rododendronów aż do niebieskawych, pokrytych śniegiem górskich grani. Wzdłuż ulicy zgrupowały się hotele, urząd pocztowy i telegraficzny, banki i liczne małe sklepy, stała tu też wieża kościoła Świętego Andrzeja w typowo anglikańsko-gotyckim stylu. Sezon letni jeszcze się nie zaczął, w Kalkucie wciąż było dość przyjemnie dla tutejszych memsahib, ich dzieci i służby. Ulice Darjeeling były prawie puste, europejskie twarze stanowiły mniejszość. Helena miała na sobie suknię, która poprzedniego dnia przysporzyła jej tyle zmartwień i przy której Jasmina przeszła kilka haftek, gdy jej memsahib zajęta była poranną toaletą. Do tego dobrze dobrany zielono-biały kapelusz, a w ręce miała przeciwsłoneczna parasolka. Jadąc eleganckim powozem, Helena dostrzegła wrogie spojrzenia kobiet ubranych w proste bawełniane sukienki oraz celowo powściągliwe pozdrowienia przejeżdżających konno mężczyzn w typowych strojach plantatorów, składających się z białej koszuli, długich białych spodni i tropikalnego kapelusza, łan w eleganckim jasnoszarym garniturze, bez nakrycia głowy, z jedną ręką nonszalancko spoczywającą na tylnym oparciu powozu, robił wrażenie, jakby sprawiało mu to satysfakcję.

- Nie wydaje mi się, żebyś był tu szczególnie lubiany - stwierdziła w końcu Helena.

- Można tak chyba powiedzieć. - Rozbawiony powiódł wzrokiem po ulicy. Na spojrzenia przechodniów odpowiadał tak prowokująco, że ci rozzłoszczeni spuszczaali oczy. - Nie przykładam do tego specjalnej wagi - stwierdził. - Wolę, żeby miano przede mną respekt, a tu faktycznie ludzie darzą mnie należyty respektem!

- A czy nie mogliby czuć wobec ciebie respektu i zarazem cię lubić?

Ian pokręcił głową.

- Nie, Heleno, nie w mojej sytuacji. Posiadam największą plantację herbaty w okolicy, a przy tym moja herbata jest najlepsza. Nie wstydę się tego. Jestem z tego dumny i to okazuję.

Dwie kobiety w bawełnianych sukniach spojrzały na nich, po czym zaczęły coś szeptać, zbliżywszy do siebie głowy okryte słomkowymi kapeluszami z szerokim rondem. Helena poczuła się nieswojo, a Ian, zmarszczywszy brwi, ciągnął dalej twardym głosem:

- Zapomnieli, że zaczynałem dokładnie tak samo jak oni, tak samo jak oni wraz ze swymi ludźmi z mazołem karczowałem dżunglę, drzewo po drzewie, dokładnie tak samo byłem wystawiony na niebezpieczeństwo ze strony tygrysów, węży i owadów, tak samo własnymi rękami sadiłem pierwsze rośliny. Ale nie zapomnieli, że byłem jedną z pierwszych osób prywatnych, które mogły wejść w posiadanie tutejszych ziem, bo początkowo tylko państwowe spółki mogły tu zakładać swoje eksperymentalne plantacje. Nie zapomnieli, że mogłem kupić bardzo dużo ziemi i zapłacić wielu ludziom, którzy pomogli mi ją zagospodarować. A przede wszystkim nie mogą znieść, że moje rośliny są bardziej odporne, że moja herbata ma lepszą jakość. Popełniłem wielki grzech, bo zbudowałem duży dom zamiast skromnego bungalowu z dwoma pokojami. Mój grzech polega na tym, że w sposób widoczny korzystam z owoców mojej ówczesnej ciężkiej pracy. Jestem w ich oczach podejrzany, bo wiedzą, że płacę pracownikom wyższe wynagrodzenia i że ich dobrze traktuję. To niby oznacza, że „fraternizuję się” z tutejszymi ludźmi, a to grzech śmiertelny dla sahiba! - musnął Helenę rozbawionym wzrokiem. - Czekają tylko na to, żeby moi ludzie którejś nocy podpalili mi dom. Mają nadzieję, że dotknie mnie nieurodzaj, że szkodniki zniszczą plony. Gdyby znaleźli coś, co mogliby mi zarzucić, to przegnaliby mnie czym prędzej z mojej ziemi. - W zamyśleniu powiódł palcem po zygzakowatym wzorze na ramieniu Heleny.

- Ale nie uczynią tego, bo ja nie popełniam błędów. Prawdopodobnie sądzą, że sprzedałem duszę diabłu.

- A sprzedałeś? - zapytała wyzywająco, unosząc w górę jedną brew. Łan odchylił głowę do tyłu i roześmiał się.

- Może - mrugnął do niej rozbawiony, lecz po chwili jego twarz przybrała poważny, niemal ponury wyraz. - Wiesz przecież, że wszystko ma swoją cenę.

Powóz zatrzymał się z lekkim szarpnięciem, a woźnica zeskoczył z kozła, żeby rozłożyć schodki i otworzyć im drzwiczki. Jason, w szarych spodniach, czerwonych szelkach, koszuli w kratę i wypolerowanych do połysku butach, jednym susem znalazł się na zewnątrz, gdzie niecierpliwie przestępował z nogi na nogę.

- Potem do was dojdziemy - Mohan kiwnął głową łanowi, który pomagał akurat Helenie wysiąść z powozu, po czym dał znak Jasonowi i poszli prosto do sklepu papierniczego, w którym czekały na nich książki zamówione zgodnie z listą przekazaną przez Szkołę Świętego Pawła. Helena popatrzyła za nimi z odrobiną melancholii Jason stał się jej obcy. Wyrósł, nabrał sił, opalił się. Ledwo go poznawała. Miała wrażenie, że chłopiec z każdym dniem pobytu w Indiach coraz bardziej się usamodzielnia, zaczyna wieść własne życie, najpierw w Surja Mahal, a potem tu, w Sikharze, choć przybyli na plantację zaledwie kilka dni temu. A jednak napawało ją to radością, ponieważ nigdy dotąd nie widywała go tak radosnego i beztroskiego.

- Idziesz?

Głos łana wyrwał ją z zamyślenia. Z uśmiechem podał jej ramię, a ona dała mu się poprowadzić w boczną uliczkę odchodzącą od *maili* biegnącą w kierunku barwnego, gwarne bazaru. Byli tu jedynymi Europejczykami; wokół nich cisnęli się ludzie o twarzach brązowych, miedzianych, złocistych, bengalskich, azjatyckich, przypominających mongolskie, śmiejący się, gadają-

cy, handlujący, kłócący się. Idąc przez bazar, widzieli tybetańskie kobiety ubrane na niebiesko i czerwono, przystrojone oprawionymi w srebro turkusami, Nepalki o twarzach pooranych przez niepogodę, dwóch buddyjskich mnichów w pomarańczowych szatach i z głowami ogolonymi na łyso, zatopionych w wesołej, ożywionej rozmowie. Helena wskazała na ślady farby na ulicy i ścianach domów: niebieskiej, różowej, czerwonej i żółtej.

- A to co?

- Resztki po święcie Holi. Niestety, spóźniliśmy się na nie o kilka dni. Całe Indie świętują je na wiosnę, żeby uczcić spalenie demona Holiki. Pierwszego wieczora rozpalane są na ulicach ogniska radości, w jednym z nich zostaje spalona kukła z bambusa i słomy, symbolizująca Holikę. Wszyscy zebrani wydają wtedy okrzyki radości. Drugiego dnia odbywa się właściwe święto. Ludzie, niezależnie od kasty, obrzucają się garściami kolorowego proszku, a wieczorem obdarzają się wzajemnie słodyczami i ciastem. - Ian mrugnął do Heleny. - Ale niedługo będzie następne święto. W Indiach ciągle obchodzi się jakieś święta. Złotnicy stali nad pierścionkami i bransoletkami rozłożonymi na kolorowych tkaninach; sprzedawcy przypraw odważali maleńkie torebeczki cennego żółtego, czerwonego bądź ciemnozielonego proszku i duże kawałki sękatego korzenia imbiru o ja-snożółtym pachnącym wnętrzu; czeladnik szewski siedzący ze skrzyżowanymi nogami przeciągał zwinnie szydło między dwoma kawałkami skóry, podczas gdy jego mistrz opukiwał but na prawidle. Na rusztowaniach z drewna wisały głową do dołu kury, przepiórki, indyki. Muzułmański rzeźnik na oczach czekających klientów rąbał połowę krowy, podczas gdy jego hinduski kolega dzielił owcę. Sadownik wydzierał się aż do utraty tchu, zachwalając swoje błyszczące apetycznie na słońcu owoce. Skądś dolatywał kusząco słodki zapach cynamonu i kardamonu. Helena odruchowo zaczęła węszyć w kierunku, z którego dochodził zapach.

- Masz ochotę?

Łan wskazał na stoisko, przy którym brodaty mężczyzna z podwiniętymi rękawami wylądował z gorącego tłuszczu nieregularnie uformowane złotożółte racuchy, a jego żona zręcznymi ruchami rąk formowała nowe. Helenie zaczęła napływać ślinka, chociaż tego ranka, całkiem niedawno, zjadła obfite śniadanie; już miała pokręcić głową, ale Łan zdążył podejść do stoiska, wyciągnął z kieszeni kamizelki monetę i wrócił z dwoma racuchami, z których każdy zawinięty był w kawałek papieru. Jednego podał Helenie. Ta się zawahała, Łan z uśmiechem na twarzy rzekł:

- Smacznego. Tu tak rzadko pojawia się jakakolwiek mem-sahib, że ludzie jakoś to zniosą, jeśli zobaczą, jak jesz publicznie.

Helena ugryzła kęs racucha i aż jęknęła z rozkoszy. Cienka, posypana cukrem skórka była gorąca i chrupka, a spod niej wypłynął słodkokwaśny smak różnych owoców, ledwo ciepły, prawie jeszcze chłodny.

- *Phaler bora* z Bengalu - wyjaśnił Łan i dodał z uśmiechem: - Wiedziałem, że będzie ci smakować.

- Dokąd idziemy? - zapytała Helena między dwoma kęsami.

- Do mojego chińskiego krawca. Prawie wszyscy Anglicy zamawiają garderobę przy *mail*, ale mnie nie odpowiadają ani wykonanie, ani materiały. Nie cenię za bardzo angielskiej twarzy Darjeeling. To miasto ma duszę jedynie tu, w dzielnicy azjatyckiej.

Zostawiając za sobą gwar bazaru, skierowali się ku całkiem niepozornemu, wysokiemu i wąskiemu budynkowi, którego dach pokryty był gontem. Ledwie zdążyli przejść przez próg, gdy niski, chudy Chińczyk wyszedł energicznie z sąsiedniego pomieszczenia, serdecznie uściskał dłoń Łana i pozdrowił go wysokim, śpiewnym i monotonnym głosem. Helena nie zwróciła na niego większej uwagi; przyglądała się zafascynowana belom materiału, które leżały dookoła, umieszczone na drewnianych rusztowaniach sięgających aż po sufit albo zwinięte w stosach na podłodze, lub też rozłożone na dużym stole pośrodku pomieszczenia. Nie mo-

gła się napatrzeć na ten pozorny rozgardiasz kolorów i wzorów, połyskujących tkanin i ich nadruków. Materiały tutaj były całkiem inne niż te, które jej prezentowano w Londynie. Tu tkaniny były jaśniejsze, lżejsze, bardziej kolorowe, jakby odzwierciedlały lekkość górskiego powietrza.

Chińczyk zawołał kogoś przez ramię. Do środka wpadła natychmiast niska Chinka, która przedstawiła się jako pani Wang, z zachwytem uścisnęła Helenie dłoń, a potem szybko pchnęła ją do maleńkiego pokoiku obok, niewiele większego niż komórka, i ustawiła za parawanem. Nim Helena się spostrzegła, zdjęto jej z głowy kapelusz, zabrano parasolkę, porozpinano haftki i zdjęto z niej suknię. Helena zaczerwieniła się, gdy stanęła w samej bieliźnie przed obcą kobietą. Dla Chinki było to jednak czymś najbardziej naturalnym na świecie. Przez moment przyglądała się Helenie, potem przyjaźnie klasnęła w dłonie i zawołała ze swym przyjemnym dla ucha akcentem:

- Jaka piękna *lady!*

- Tak pani uważa?

Helena spojrzała niepewnie w dół, na koszulkę i gorset, który mocno ściągał jej talię, i na pantalony, które kończyły się w połowie łydki, nad białymi pończoszkami obszytymi koronkową falbanką.

- Oczywiście - potwierdziła krawcowa, przykładając do różnych części ciała Heleny miarkę, którą wyciągnęła z kieszeni niezgrabnego fartucha. Na pomiętym kawałku papieru zanotowała ołówkiem liczby, dalej mierzyła i znowu notowała. - Kobieta musi być jak klepsydra, nie jak deska! - stwierdziła.

Helena nie miała okazji zastanowić się głębiej nad tą uwagą, ponieważ została przynaglona, żeby z powrotem włożyć suknię. Chinka pozapinała jej haftki gorsetu i zaprowadziła do głównego pomieszczenia. Tam kazała dwóm dryblasowatym młodym Hindusom prezentować bele różnych materiałów. Musieli się wspinać po chybotliwych drabinach po sam sufit, aż po ostatni róg

pomieszczenia, a ona chwyciła za każdym razem belę materiału, którą jej podali, i rozwijała ją z podrzutem na blacie stołu, tak że materiał opadał z szelestem jak wodospad. Chinka nie przestawała przy tym żywo mówić. Tu zachwalała cenę, tam kolor lub wzór, rozwijała wstążki i koronki nawinięte na drewniane ramki i kładła na tkaninach.

Helena zrobiła z wrażenia wielkie oczy. Ostrożnie wyciągnęła rękę w kierunku połyskującej białej tkaniny w niebieskie i turkusowe paski, ale nie miała odwagi jej dotknąć, materiał wydał jej się niezwykle kosztowny. Poczuli, że podszedł do niej łan. Podniosła wzrok.

- Śmiało - zachęcił ją kiwnięciem głową. - Wybierz, co ci się podoba.

- Najchętniej wzięłabym wszystko - zażartowała szeptem, łan wzruszył ramionami i rozbawiony pogłodził się po brodzie.

- Dobrze, w takim razie weź wszystko! - Roześmiał się, widząc jej reakcję. - Nie patrz na mnie takim wzrokiem! Wybierz po prostu, co ci się podoba, i kupimy to. Nie zastanawiaj się nad ceną, tylko nad tym, czego naprawdę potrzebujesz.

Helena stała przez moment oszołomiona, a potem zaczerpnęła głęboko powietrza i zaczęła grzebać wśród bel materiału, oglądała tkaniny prezentowane przez panią Wang, dyskutowała z nią o kroju, o koronkowych obszyciach, o kształcie dekoltu bądź kołnierzyka, od czasu do czasu przykładała sobie materiał do figury i spoglądała na łana z pytaniem w oczach, łan w tym czasie prowadził podobne rozmowy z panem Wangiem i odpowiadał Helenie przytakiwaniem lub kręceniem głową, by następnie z uśmiechem zadowolenia zagłębić się znowu w szare i brązowe materiały o wybornej jakości, przeznaczone dla panów. Helena była wprost oczarowana połyskującym, błękitnym chińskim jedwabiem haftowanym w czerwono-złote smoki, z którego zapragnęła mieć szlafrok; wybierała cienkie materia-

ły, najczęściej w kolorze białym bądź kremowym z delikatnymi nadrukami, różne odcienie zieleni i błękitu, bladą szarość, którą pani Wang radziła połączyć z jasną czerwienią, wybierała metrami koronki, czasami jakąś kontrastującą wstążkę, i potakiwała zachwycona, gdy pani Wang podawała jej wzór haftu sporządzony na papierze i proponowała nici.

Krawcowa spieszyła się, biegała we wszystkie strony, wyczarowywała nie wiadomo skąd jedwabne kwiaty, perły, rękawiczki z jedwabiu, cieniuteńkiej jak mgiełka skóry lub dziergane. Przykładała te dodatki do tkanin, żeby pokazać Helenie, jak się będą razem prezentować. Kilkoma kreskami naszkicowała, jak sobie wyobraża suknię. Jeśli Helenie coś się nie podobało, zmieniała jakiś element, rysowała na nowo.

Zaproponowała, żeby wysłać próbki materiału do jej szwagierki mieszkającej w Kalkucie, by ta mogła wykonać projekty pasujących do sukni kapeluszy. Helenie aż się kręciło w głowie od kolorów, wzorów i krojów. Nie mogła się nasycić muskaniem gładkich, jedwabnych, miłych w dotyku tkanin. Jej uwagę przyciągnęła bela materiału leżąca pośrodku regału.

- Ależ to piękne - powiedziała w zamyśleniu, gładząc błyszczący jedwab zdobiony orientalnym wzorem *pais/ey*, mający różne odcienie nasyconej zieleni i brązu.

- To nie jest materiał dla *lady* - powiedziała z ubolewaniem pani Wang. - To jest materiał dla dżentelmenów.

Mimo to Helena nie potrafiła się rozstać z tym materiałem. Przypominał jej Sikhare, kolory pól herbacianych, lasów, pokrytych roślinnością górskich zboczy i brunatnej ziemi. Spojrzała ukradkiem na lana, który ze zmarszczonymi brwiami przeglądał katalog i słuchał wywodów pana Wanga. Ten materiał by do niego pasował. Ale czy jemu też by się spodobał? Uznała, że to zuchwalstwo wybierać coś dla lana, który ma taki wyrobiony smak, a jednak ten materiał wydawał się jej jak najbardziej odpowiedni.

- Czy mogłaby pani... - ściszyła głos, ale na tyle, żeby pani Wang mogła ją zrozumieć. - Czy mogłaby pani uszyć z tego

materiału kamizelkę dla mojego męża? Chciałabym, żeby miał niespodziankę.

Krawcowa pogłaskała ją po ramieniu i skinęła konspiracyjnie głową, uśmiechając się szeroko, przy czym jej czarne oczy zamieniły się w dwie kreski na okrągłej twarzy.

- Oczywiście, że to zrobimy! Na plecy damy ciemnobrązowy jedwab!

Za plecami Helena usłyszała głos łana:

- Mam nadzieję, że poradziłaś sobie z wyborem. Odwróciła się do niego i przycisnęła dłoń do żołądka.

- Och, lanie, aż mi się słabo robi! Tyle tkanin mi się podoba, ale nie mogę tego wszystkiego zamówić!

Roześmiał się.

- Oczywiście, że możesz! Łatwo sobie wyobrazić dużo gorsze inwestycje dla moich pieniędzy! - Spojrzał na nią natarczywie. - Chciałbym, żebyś rozporządzała moimi pieniędzmi, jakby to były twoje własne.

Helena z zakłopotaniem odwróciła wzrok. Wiedziała, że powinna ją radować jego hojność, ale nie potrafiła się nią cieszyć. Poczwała w ustach mdły smak. Miała wrażenie, że łan chce ją w ten sposób zaspokoić, dając namiastkę czegoś, co dla niej było dużo ważniejsze.

W tym momencie rozległ się tupot i śmiech. Do pracowni wpadł Jason, a za nim wkroczył Mohan Tadżid. Ich wejście wybawiło Helenę z kłopotu udzielenia odpowiedzi łanowi.

- Nela, wyobraź sobie, że dostaliśmy wszystkie książki! A Mohan kupił mi jeszcze kilka innych, które mi się spodobały. I jeszcze cyrkiel, i linijkę, i mnóstwo innych rzeczy. Aż dorożka się z tyłu ugina, takie ciężkie są te paczki! A ty? Wybrałaś sobie coś? - Z ciekawością powiódł wzrokiem po rozgardiaszu materiałów, wstążek i szkiców. - To mi się podoba, to też i to, no cóż... - Zmarszczył krytycznie usiany piegami nos i spojrzał na siostrę z szelmowskim uśmieszkiem. - Ale na szczęście to nie ja będę musiał to nosić!

Schylił się figlarnie, jakby chciał uniknąć ciosu. Tymczasem łan chwycił go żartobliwie za kark i pchnął w kierunku pana Wanga.

-Teraz twoja kolej, młody człowieku. Bez odpowiedniej odzieży nie możemy cię wysłać do szkoły.

Gdy krawiec zdejmował z Jasona miarę na szkolny mundurek, chłopiec był rozdarty między dumą a skrepowaniem. Pan Wang z dziesięć razy zapewnił, że marynarki i spodnie będą gotowe na czas - przed rozpoczęciem szkoły. Słyszając to, Helena poczuła, jak wzbiera w niej niepokój. Jeszcze trzy tygodnie i będzie widywać Jasona tylko w weekendy. Wiedziała, że nadszedł czas, by go wypuścić spod swych skrzydeł - jego dzieciństwo w szalonym tempie zbliżało się ku końcowi. A mimo to przychodziło jej to z wielkim trudem. Czasami czuła ukłucie zazdrości, gdy widziała, jak bardzo brat zżył się z Mohanem Tadżidem i z jakim podziwem spogląda na łana, a jednocześnie czuła ulgę, że nie ponosi już sama odpowiedzialności za niego. Odkąd pamięta, zawsze troszczyła się o Jasona. Często, gdy życie było dla niej nie do wytrzymania, kiedy nie mogła sobie poradzić z biedą, wybuchami gniewu ojca, jego obojętnością, gdy musieli patrzeć, jak ojciec sam siebie doprowadzał do zguby, wtedy myśl o Jasonie sprawiała, że Helena zaciskała zęby i zmuszała się do wesołego uśmiechu, żeby chłopiec nie cierpiał. Teraz po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że ma jeszcze własne życie, o które powinna się zatroszczyć.

Gdy nieco później przechodzili z powrotem przez bazar w kierunku *mail*, gdzie czekał na nich cierpliwie woźnica, Jason miał usta pełne *phaler bora*, a Helena zatrzymała się przed rozłożonymi skarbami złotnika.

- Chciałabyś sobie coś kupić?

Helena pokręciła głową i powiedziała, zerkając nieśmiało na łana:

- Chciałabym, ale nie dla siebie, tylko dla Szuszili. - Na ten pomysł wpadła już po drodze do miasta, ale dopiero teraz zebrała się na odwagę, żeby to uczynić. - Wiesz, co by jej się spodobało? - zapytała męża. Łan popatrzył na nią zdumiony, a Helena poczuła, jak krew napływa jej do policzków. Czekwała na jego reakcję, zerkając na niego ostrożnie kątem oka, ale on niczego po sobie nie pokazał. Przez moment odniosła wrażenie, że Łan czuje się nieswojo. Błyskawicznie zrozumiała, że do tej chwili nic nie wiedział o jej rozmowie z Szuszilą, choć zazwyczaj był poinformowany o wszystkim. Teraz mógł się jednak tego domyślać. Helena była w pewnym sensie usatysfakcjonowana. Po raz pierwszy nabrała pewności siebie i poczuła, że jest równa Łanowi.

- Rubiny - powiedział niewyraźnie. - Szuszila lubi rubiny. Robił wrażenie uczniaka przyłapanego na gorącym uczynku. Helena obejrzała wiele sztuk biżuterii. Próbowала kierować się tym, co jej samej przypadło do serca, a jednocześnie starała się trafić w gust Szuszili. Była zbyt pochłonięta oglądaniem błyskotek, by zauważyć, wnikliwie jak przygląda jej się przy tym Łan. W końcu zdecydowała się na dwie bransoletki ozdobione reliefowymi wzorami, bransoletkę z drobnymi odłamkami rubinu i dobrane do nich kolczyki. Sprzedawca wspaniałomyślnie zaokrąglił cenę w dół, ponieważ urzekła go ta memsahib, która nie patrzyła na niego z góry, a nawet rozmawiała z nim płynnie w języku hindustani.

Helena wzięła paczuszkę z biżuterią, a Łan zapłacił złotnikowi, po czym pochylił się nad jej ramieniem. Usłyszała jego szept:

- Czasem jesteś dla mnie zagadką. Spojrzała na niego, uśmiechając się szelmowsko. - Tylko czasem? A ile razy ja to samo myślałam o tobie? Zobaczysz, jeszcze cię niejednym zaskoczę!

Łan nie odpowiedział, ale kąciki jego ust uniosły się z zadowoleniem, a oczy zabłyśły. Na ten widok jej serce podskoczyło z radości.

Dni mijały jak z bicza trząśł. Do Sikhary dotarły pierwsze paczki z pracowni krawieckiej Wangów. Helena zaczęła nosić po domu proste, ale przez to nie mniej piękne suknie z płótna kaliko. Gdy wyruszała na konną przejażdżkę lub pracowała w ogrodzie, wkładała koszulę, spodnie i buty z długimi cholewkami. Nie uznawała niepewnego damskiego siodła na końskim grzbiecie, nie byłaby w stanie się do niego przyzwyczaić.

Wieczorami, podczas niewielu wolnych godzin, nosiła sari, w którym mogła się swobodnie poruszać, czując się tak kobieco i zmysłowo jak w żadnej ze swych wąskich sukni.

Biegała w tę i we w tę między kuchnią, pralnią a spiżarnią, ponieważ chciała zadbać o to, by dom przed żniwami był nieskazitelnie czysty. Przeglądała bieliznę, srebra, naczynia, usuwała uszkodzone przedmioty, uzupełniała brakujące, czyściła poplamione, a od czasu do czasu dla urozmaicenia wychodziła do ogrodu, gdzie planowała nasadzenia z głównym ogrodnikiem, wybierała w cieplarni sadzonki i młode pędy, przeglądała katalogi roślin, nierzadko darła z nim koty, ponieważ uważał jej życzenia za niemożliwe do zrealizowania.

- Róże - parsknął ogrodnik. - Memsahib, z całym szacunkiem, ale róże? Rododendrony to i owszem, ale róże?!

-Tak jest, róże, Wikramie! Skoro udają się w Anglii, to tutaj tym bardziej! Rododendronów mamy aż nadto - sprzeciwiła mu się zapalczywie i wskazała miejsce obok schodów na werandę. - A tu chcę mieć maki.

- Maki? - Głos Wikrama przeszedł w falset. - Memsahib, maki to chwasty!

- Dla mnie nie. Tutaj poproszę maki i koniec dyskusji!

Energicznie weszła po schodach i znikła w domu.

Wikram oparł się o szpadel i pogłaskał po nastroszonej brodzie. Dobrą memsahib przywiózł jego pan z Anglii! Wie, czego chce, i przeprowadza to konsekwentnie, a przy tym nie zadziera nosa ani nie obraża innych. Był dumny ze swojej pani i chwalił się nią, gdy przy okazji sprawunków w mieście spotykał jednego lub kilku znajomych, którzy byli zatrudnieni u innego plantatora. Zazdrość, którą okazywali, sami mając swarliwą i kapryśną memsahib, wprawiała go w świetny humor. Oczywiście, że pani Helena dostanie swoje róże i maki. Negocjowanie i spory były tak samo częścią jego pracy, jak pielenuie, sadzenie i podlewanie. Memsahib z pewnością kiedyś to zrozumie. Z zadowoleniem wbił szpadel w ciężką ziemię, po czym uniósł pierwszą szufłę przyszłej rabaty.

Helena właśnie oceniała starannie złożoną i poukładaną zawartość szafy z bielizną, którą prezentowała jej z dumą jedna z dziewcząt, gdy jej uwagę zwróciło ciche skrzypienie schodów. Nie był to ciężki chód lana ani MohanaTadžida, ani lekkie kroki którejs z dziewcząt chodzących w sandałkach i pobrzękujących przy tym biżuterią, lecz zmęczone, nieco nieregularne skradanie się na górę. Przeczuwając coś złego, Helena pobiegła naprzód, ku schodom.

- Jason? - zawołała zdumiona. - Dlaczego już wróciłeś?

Był to środek kwietnia. Od dwóch tygodni Jason opuszczał dom w niedzielę wieczorem i wracał dopiero późnym popołudniem w piątek. W pierwszy weekend opowiadał z entuzjazmem

O nauczycielach, przedmiotach i uczniach. Helena poczuła ulgę, że tak radośnie rozpoczął naukę szkolną. Ale dziś był dopiero czwartek. Coś w jego wyglądzie ją zaniepokoiło. To, jak stał na górze schodów, jaką miał postawę, jak się do niej z wahaniem

i tylko częściowo odwrócił, jak unikał jej pytających spojrzeń.

-Już więcej tam nie pójdę - oznajmił głuchym głosem, po czym pokonał ostatnie stopnie, wpadł do swego pokoju i zatrzasnął drzwi.

Starał się iść bardzo równym krokiem, ale Helena dostrzegła, że jedną stopę stawia ostrożniej. Odczekała chwilę, potem poszła na górę.

Jason leżał na łóżku na brzuchu, twarz schował w skrzyżowanych ramionach. Helena usiadła na brzegu łóżka i położyła mu dłoń na plecach.

- Co się stało?

Chłopiec leżał cicho, ale nie był w stanie powstrzymać szlochu, który wstrząsał jego ciałem. Helena łagodnie odwróciła brata. Przestraszyła się, zobaczywszy świeżo przyschniętą ranę obok lewego oka oraz opuchliznę na policzku, która zaczęła się zabarwiać na granatowo.

- Upadłem - powiedział upartym tonem, a z jego oczu popłynęły grube łzy, które starł gwałtownym ruchem.

- Nie wierzę ci - odparła twardym głosem Helena i potrząsnęła nim łagodnie. - Co się stało?

Jason niezdecydowanie próbował się wyrwać z jej uścisku, ale nie miał siły. Wyrzucił z siebie wszystko. Mówił chaotycznie, jękając się i zanosząc szlochem. Opowiedział o tym, jak się okropnie skompromitował podczas krykieta i gry w rugby - był bowiem jedynym chłopcem, który nie znał ich reguł. Opowiedział, jakie docinki kierowano pod adresem Iana, którego Jason daremnie próbował bronić. O tym, że zginęły mu bez siadu książki oraz linijka, za co dostał wiele punktów karnych. O poszturchiwaniu i popychaniu, o złośliwym wyzywaniu od kujonów. O tym, że gdy spał, wylano na niego zawartość nocnika, przez co jego opiekun udzielił mu pisemnej nagany, a inni uczniowie od dwóch dni wołają na niego szydlerczy „siusiumajtek”. A szczytem wszystkiego była bijatyka w czasie dzisiejszej przerwy obiadowej, podczas której pobili go bezlitośnie Hugh Jackson, przywódca pewnej grupy uczniów, i jego „adiutant” Frank Bennett Tason, nie spakowawszy swoich rzeczy, zły i upokorzony, pobiegł do stajni, osiodłał konia i dał drapak. Wstydził się z powodu tej

tchórzliwej ucieczki, ale był zdecydowany, że już nigdy nie wróci do Świętego Pawła.

Helena wysłuchiwała go w milczeniu, patrzyła cierpliwie, jak chłopiec płacze i wali ze złości pięściami w poduszki. Nie wiedziała, co powiedzieć, jak go pocieszyć, jedynie go przytrzymała. Gdy w końcu ucichł wyczerpany, wytarła mu mokrą twarz. Poczuli, że teraz, gdy wszystko to z siebie wyrzucił, chce być sam.

- Obiecuję ci, że nie będziesz musiał iść do szkoły, jeśli nie będziesz chciał.

Jason bez przekonania skinął głową i wytarł sobie rękawem ciekący nos. Helena pogłaskała go po rozwichrzonych, sterczących na wszystkie strony włosach i cicho zamknęła za sobą drzwi. Westchnęła głęboko, jakby musiała sama siebie upomnieć, żeby zachować spokój. Następnie udała się pospiesznie do kuchni i wysłała jedną z dziewcząt na górę z woreczkiem lodu i filiżanką gorącej czekolady. Potem wyszła szybko z domu - potrzebowała czasu i dystansu, żeby się zastanowić.

Było już późne popołudnie; słońce stało nisko, nurzając splecione ściany Himalajów w złotej kąpiel. Stawiając długie, gniewne kroki, poszła w stronę wybiegu dla koni. Wrzało w niej z gniewu na podłe bachory, które w ten sposób znęcały się nad Jasonem, oburzała ją obojętność nauczycieli i złośliwość losowi, że jej brat również tutaj został skazany na dołą samotnika.

Zawsze przychodziła do koni, gdy w jej głowie kłębiły się liczby i obowiązki, listy zakupów, pranie bielizny, polerowanie sztućców, zestawianie posiłków. Tu osiągała błogi spokój, gdy przyglądała się koniom, które skubały sobie trawę, rozglądały się po okolicy, by potem w jednej chwili żywiołowo potrząsnąć grzywą i pogalopować; pokonywały jakiś odcinek, znów zwalniały, zatrzymywały się, ścigały z sobą lub poufale pocierały nawzajem szyjami. Z ponurą miną oparła skrzyżowane ramiona na najwyższej poprzeczce ogrodzenia, na nich złożyła głowę. Zastanawiała się gorączkowo, co robić, jak najlepiej pomóc Jasonowi. Na widok

zwierząt poczuła, że prawie natychmiast udaje jej się odprężyć, że odzyskuje siły, a jej zagubiony rozum zaczyna się uspokajać.

Saraswati doszła do siebie po trudnym porodzie. Jej skóra połyskiwała jak węgiel. A Lakszmi - mniejsze wydanie swojej matki - kłusowała dumnie na długich nóżkach, trącała zawadiacko inne konie, węszyła ciekawie pod wiatr, który wiał od strony gór, lecz wciąż jeszcze szukała bliskości matki. Konie z Sikhary były wyjątkowe. Helena jeszcze takich nie widziała. Chociaż wyraźnie było widać, że mają w sobie arabską krew, to wydawały się bardziej skupione od swoich krewniaków, mniej nerwowe, a jednak obdarzone temperamentem. Jakby łączyły się w nich wieczna siła gór, szybkość wiatru i ogień słońca; a deszcz, który poił lasy i łąki, pozwalał im bujnie rosnać, nadawał ich skórze szczególny blask.

Uniosła wzrok, usłyszawszy za sobą szelest trawy. Serce jej podskoczyło, gdy zobaczyła lana, który zbliżał się konno lekkim kłusem. Całe dni spędzał teraz na polach herbacianych i w manufakturze, ponieważ czas zbiorów zbliżał się nieubłaganie. W uszonym dotychczas podłużnym budynku między zielonymi połaciami pól zapanowała gorączkowa krzątanina. Wygląd lana wciąż robił na niej wrażenie. Podziwiała jego ciemną, dziką urodę. Zdumiewało ją to, jaką jedność tworzy z koniem, jakby przyszedł na świat w siodle. W chwilach takich jak ta odczuwała swą miłość do niego z taką gwałtownością, że traciła dech. A jednocześnie za każdym razem czuła bolesne klucie w sercu, że wciąż jeszcze jest wobec niej taki obcy, że chwile bliskości są tak ulotne, takie nietrwałe jak chmury, które nadciągają od gór i rozplývają się w błękitnie nieba.

Kilka kroków od wybiegu zatrzymał Sziwę i zsiadł, podprowadził ogiera do drewnianego płotu i okręcił cugle wokół najwyższej poprzeczki. Nie witając się z nią, zapytał wprost:

- Co cię martwi?

Helena wwiercała obcas buta w wilgotną ziemię, patrząc, jak kładą się pod nim źdźbła trawy, a czarna ziemia wokół niego

ustępuje na boki. Poczła mieszaninę gniewu i radości, że Ian zna ją tak dobrze.

-Jason... szkoła... - wykrztusiła w końcu, wypuszczając ciężko z płuc powietrze, wzrok miała przy tym skoncentrowany na koniach.

Opowiedziała krótko, co się przydarzyło jej bratu, Ian słuchał uważnie.

Gdy skończyła, milczał, patrzył tylko na jednego z koni, który stanął dęba, zarżał i puścił się galopem przed siebie, przebiegając całą długość wybiegu, a na koniec zatrzymał się, parszając głośno. Twarz Iana była nieprzenikniona, oczy miał niezbadane, jakby wsłuchiwał się w niesłyszalne dla Heleny echo jej słów. Przez dłuższą chwilę miała uczucie, że coś go od niej oderwało, przeniosło do innego świata, innego czasu, jakby go straciła. Ale zabrakło jej śmiałości, żeby go dotknąć, upewnić się, że wciąż stoi obok niej, że nie jest złudzeniem - jakby dzielił ich niewidoczny mur. Gdy jednak chwilę potem spojrzała na niego, zgroza minęła, pozostał po niej jedynie ślad w jego głosie - szorstkim i chropowatym.

- Czy nie masz nic przeciwko temu, żebym do niego zajrzał? - zapytał. - Sądzę, że to sprawa między mężczyznami.

Helena się zawahała. Spojrzała na Iana z irytacją, na co on się roześmiał.

- Oczywiście, że masz coś przeciwko - powiedział rozbawiony. Ujął ją ręką pod brodę, przejechał łagodnie kciukiem po dołeczku, który tam miała. Z błyskiem w oczach szepnął do niej: - Wiesz, jak bardzo w gruncie rzeczy jesteśmy do siebie podobni? Ty równie mało jak ja przejmujesz się tym, co przystoi damom i dżentelmenom. Podobnie jak ja lubisz trzymać cugle w rękach i bronisz się, gdy ktoś chce ci je odebrać. I zawsze będziesz próbowała przeforsować swoją wolę, tak jak ja.

Na jego ustach pojawił się lekki uśmiech, po czym Ian natychmiast się odwrócił i sięgnął po cugle Sziwy. Spokojnie, bez pośpiechu odjechał konno w kierunku domu, Helena tymczasem śledziła go wzrokiem.

Przez następne dwa dni Helena nie mogła patrzeć, jak Ian i Mohan Tadźid całymi godzinami trenują Jasona w zadawaniu ciosów, kopaniu, chwytach obezwładniających, manewrach unikania uderzeń. Obaj dorośli mężczyźni w pozorowanych walkach nieubłaganie brali Jasona w obroty. Chłopiec, purpurowy na twarzy, często na początku wybuchał płaczem, zły, że nie daje sobie z nimi fizycznie rady, i wciąż jeszcze przeżywający upokorzenia doznane w szkole. Właśnie jednak ta złość dodawała mu koniecznej energii. Początkowo młócił pięściami chaotycznie, potem zaczął naśladować pokazywane mu ruchy, uspokoił się, wszystkie mięśnie miał napięte, uderzał precyzyjnie, osłaniał się przed ciosami, zręcznie się uwalniał, gdy go przytrzymało. W pewnym momencie Helena znalazła się na werandzie, kibicując głośno bratu. Towarzyszył jej Wikram z kilkoma dziewczętami, którym to przedstawienie dawało dużo radości, tym bardziej że walka w pewnej chwili przeszła w dziką szamotaninę, na której końcu cała trójka - zasapana, roześmiana i radośnie pokrzykująca - znalazła się na dość sfatygowanym trawniku, przedstawiając sobą splątany kłębek ramion i nóg, co sprawiło, że Wikram zaintonował żartobliwie śpiewy żałobne.

Helena była zdumiona zręcznością, z jaką poruszali się Ian i Mohan Tadźid, chociaż widać było, że nie bardzo się forsowali, ograniczali użycie siły, by zrównać się z Jasonem. Ich ruchy nie miały nic wspólnego ze ślepym zadawaniem ciosów, jakie się zdarza podczas knajpianych bijatyk. Były eleganckie i przemyślane.

Jakby kiedyś się tego uczyli od podstaw - pomyślała Helena.

Jason nie dorównywał oczywiście obu mężczyznom, ale kilka razy udało mu się zadać im bolesne kopnięcie w piszczel lub gwałtowny szturchaniec w żebra. Najważniejsze było jednak to, że te walki dodały mu odwagi. Dość odwagi, żeby się bronić. W końcu chłopiec sam z siebie postanowił, że w poniedziałek po

południu wróci do szkoły, łan jako jego opiekun prawny napisał pismo, które wyjaśniało i usprawiedliwiało nieobecność chłopca w szkole, ale go dodatkowo nie upokarzało.

Zanim Jason ruszył w drogę, napchał się jeszcze do pełna na werandzie kanapkami i bułeczkami *scones* z marmoladą, ponieważ jedzenie u Świętego Pawła można było określić w najlepszym razie jako względne. Mohan Tadżid spóźnił się na posiłek. Gdy zasiadł przy stole, podsunął pod spodek Jasona kilka zaklejonych torebeczek. Chłopiec zmarszczył czoło.

- Co to jest?

- Swędzący proszek - odpowiedział lakonicznie Mohan Tadżid i przytaknął przyjaźnie służącemu, który zaproponował mu filiżankę herbaty. Tylko ktoś, kto przyjrzałby się mu dokładnie, mógłby dostrzec, jak zdradziecko drgają mu schowane w brodzie kąciki ust. - Taki proszek może sprawić cuda, jeśli nasypie się go do koszuli, spodni lub piżamy pozostawionej w niepilnowanej szafce - wyjaśnił.

22

Poranne słońce oblewało mieniącym się blaskiem białe czepki Himalajów, przepędziło welon mgły, który spowijał zielone wzgórza jak ostatnie tchnienie nocnych ciemności. Na wzgórza wąskimi drogami gęsiego wchodziły kobiety - zwinnie i z wdziękiem. Z daleka przypominały łańcuch szklanych paciorków - miały na sobie proste, kolorowe stroje, rubinowe, turkusowe, kobaltowe, zielone i żółte. Pobrząkiwanie ich srebrnej biżuterii mieszało się z szelestem liści, które trącały po drodze. Ich niskie i krępe sylwetki oraz ciemne, skośne oczy osadzone w krzepkich, grubokościstych twarzach zdradzały pochodzenie z gór. Pilnymi palcami rozpoczęły pracę, zrywały najwyższy pączek i dwa położone poni-

żej Ustki każdego pędu, *two leaves and a bud*, miarowym, szybkim ruchem wrzucały te na pierwszy rzut oka niepozorne, a jednak cenne plony do plecionego koszyka na plecach. Praca szła im łatwo, nie widać było po nich trudów wielogodzinnej mordegi pod gorącym słońcem, które sprawiało, że wilgotna ziemia parowała. Robotnice robiły wrażenie radosnych i pogodnych. Ich piosenki rozbrzmiewały cicho nad pograżonymi w milczeniu wzgórzami, z szeptem wiatru w liściach mieszały się urywki rozmów w potocznych, szybkich górskich dialektach oraz dźwięczne śmiechy.

Tylko ten, kto znał inne plantacje herbaty i obyczaje panujące tam podczas zbiorów, mógłby zauważyć brak białych ubranych nadzorców, obserwujących zrywaczki argusowym wzrokiem, poganiających je ostrymi krzykami, nawołujących do większej staranności i towarzyszących im w drodze do manufaktury. Plantacja w Sikharze funkcjonowała bez takiej kontroli, a przy tym nie wpływało to negatywnie na zyski, wręcz przeciwnie. Niektórzy z sąsiednich plantatorów przyjmowali jednak takie swobodne traktowanie robotników z niezadowoleniem. Ponadto w promieniu wieluset mil nie było zapewne innej plantacji, na której memsahib, odziana w zwykłą koszulę i spodnie do konnej jazdy, razem z personelem kuchennym obsługiwałyby robotnice udające się do pracy na polach herbacianych, częstując je mądrą, ciecierzycą gotowaną w jogurcie i *ghee* z paldą, czyli duszonymi w jogurcie warzywami, oraz podawałaby im odświeżający dzięki dodatkowi dzikiej mięty czaj.

Już z daleka słyhać było dudnienie i terkotanie maszyn, a w samej manufakturze panowały piekielny hałas, półmrok i wielkie gorąco. Między żelaznymi potworami pospiesznie przemieszczali się robotnicy. Podłużne budynki były domeną mężczyźni, zgodnie ze starym powiedzeniem, że „dusza herbaty leży w rękach zrywaczek, ale manufaktura określa jej serce i umysł”. Tu więdnące liście nabierały miękkości i wiotkości, rozłożone cienką warstwą na rusztach obciążonych jutą, pomiędzy któ-

rymi cyrkulowało ciepłe powietrze, odbierające liściom połowę zawartości wody. Dzięki temu procesowi wędnięcia liście nie łamały się potem przy skręcaniu. Z reguły liście, aby dostatecznie zwiędły, pozostawiano na cały dzień, łan osobiście kontrolował prawie co godzinę stan rozłożonych liści i nie spoglądając na zegarek, decydował, kiedy nadawały się do skręcania.

Duże, masywne maszyny skręcające, w których obracały się ciężkie metalowe tarcze, miażdżyły ściany komórkowe liści i uwalniały olejki eteryczne, tak że powietrze wokół maszyn było nasycone zapachem oszałamiającym jak kamfora. Skręcone liście wstrząsano na długich sitach i zręcznymi palcami sortowano, biorąc pod uwagę ich wielkość i to, czy były całe, czy złamane.

Helenie na początku głowa puchła od pojęć takich jak *orange pekoe* lub *flowery orangepekoe*, którymi określano różne klasy tego samego zbioru. Szybko się jednak nauczyła przyporządkowywać i opatrywać odpowiednim określeniem listki skręcone w cienkie druciki, często nie dłuższe niż szerokość jej paznokcia - wystarczało jej na to jedno spojrzenie.

- Herbata z Sikhary dostarcza dużo *tippy go/den flowery orange pekoe*, więcej niż herbaty z innych plantacji - wyjaśnił Mohan Tadźid, gdy po raz pierwszy pokazywał jej manufakturę. - To znaczy, że czubki wszystkich listków mają złotobrązowy kolor, co jest bardzo rzadkie i za co można dostać odpowiednio wysoką cenę. Tutaj herbata nabiera swego koloru, a przede wszystkim aromatu.

Gdy przeszli do następnego, długiego pomieszczenia, hałas maszyn skręcających przycichł. Przez małe okna słońce rzucało wzorki na ściany i podłogę, a wilgotne, gorące powietrze, ciężkie od cierpkiego zapachu herbaty, sprawiało, że Helenie trudno było oddychać. Panowała tu cisza i Mohan Tadźid ściszył głos. Kiedy mijali kwadratowe dywany z rozpostartych herbacianych liści w barwie brązu i przykurzonej zieleni, mówił niemal szeptem.

- W tym pomieszczeniu odbywają się najbardziej tajemnicze procesy w produkcji herbaty. Herbata tu fermentuje w powietrzu 0 wilgotności wynoszącej co najmniej dziewięćdziesiąt procent 1 przy stałej temperaturze. Jeśli temperatura jest za wysoka, liście się spalają; jeśli za bardzo spada, proces fermentacji się zatrzymuje. Nie wiadomo, co się dokładnie dzieje w komórkach liści. Herbata musi tu leżeć od godziny do trzech godzin. Talent plantatora ujawnia się w tym, że wie on dokładnie, kiedy herbata jest optymalnie sfermentowana. A ja słyszałem już od kilku robotników, którzy przez całe życie pracowali na plantacjach i w manufakturach, że Ian ma to we krwi, jakby słyszał głos herbaty.

Równie dużego wyczucia wymagało suszenie herbaty w specjalnie do tego przystosowanych komorach, przez które przepływało gorące powietrze. Jeśli herbata za słabo się wysuszy, może zapleśnieć; jeśli za długo jest poddawana działaniu ciepła, traci swój cenny aromat. Cały ten wysiłek sprawiał, że cena za *two leaves and a bud* wynosiła dwadzieścia tysięcy za kilogram, a delikatne listki *firstflush* - w przypadku pierwszych zbiorów w roku - były najdroższą herbatą świata.

Na polach i w budynkach manufaktury panowała gorączkowa krzątanina od świtu po późną noc i, co dotyczyło Heleny, także w tylnej części domu. Konieczny był pośpiech, bo każdy dzień zwłoki mógł mieć poważne konsekwencje, mógłby spowodować, że wyjątkowy aromat liści herbacianych straciłby intensywność, a to oznaczałoby gorszą jakość.

Helena co wieczór padała ledwie żywa na łóżko, przesyiała kilka godzin kamiennym snem, by wczesnym rankiem znowu być na nogach. Trzeba było nakarmić setki robotników, opatrzyć mniejsze rany, podać lekarstwa lub wysłać chorych do lekarza. Poza tym w domu w dalszym ciągu wszystko musiało funkcjonować jak w dobrze naoliwionym mechanizmie zegarowym.

Jason raczej się nie przejmował, że nie miała dla niego zbyt wiele czasu. Prawie wszyscy jego szkolni koledzy dzielili w okre-

się zbiorów ten sam los - byli w większym bądź mniejszym stopniu pozostawieni samym sobie. Niektórzy nawet przez tydzień lub dwa nie chodzili do szkoły, bo na plantacjach potrzebna była każda para rąk, do czego nauczyciele podchodzili z pobłażliwością, o ile z tego powodu nie cierpiały za bardzo oceny. Jason, jeśli akurat nie siedział nad książkami albo nie wybłągał u Moha-na Tadzida, żeby wybrali się razem na konną przejażdżkę, także pomagał pakować skrzynie z herbatą i układać jedną na drugiej. Papierowe torebeczki spełniły swoje zadanie ku jego pełnemu zadowoleniu. Z zachwytem przedstawił pantomimę, jak Hugh i Frank późnym wieczorem skakali po sypialni niczym szaleńcy, po tym jak im potajemnie nasypał proszku do piżam. Największym jego sukcesem było jednak wymierzenie Hugh ciosu bokserskiego prosto w żołądek, tak że tamten aż padł na ziemię. Wprawdzie skończyło się to dla Jasona ponownie pisemną nagana, ale tym razem przyjął ją bardziej jako wyróżnienie niż jako karę. W dodatku zapewnił sobie dzięki temu uznanie wielu uczniów, których Hugh też nieraz szykanował. Jason szybko zebrał wokół siebie gromadę chłopców, których potajemnie nauczył najważniejszych trików, żeby mogli się skutecznie bronić przed Hugh i jego kumplami. Po kilku burzliwych dniach nastąpiło między obu grupami coś w rodzaju pogardliwego zawieszenia broni, przerywanego tylko od czasu do czasu mniejszymi szarpaninami i wzajemnymi psikusami - i oczywiście regularnie uchylanego na boisku do rugby. Z dwoma czy trzema kolegami nawet się bliżej zaprzyjaźnił, przede wszystkim z Freddie Beesleyem, który jako syn jednego z nauczycieli od Świętego Pawła był nękany przez Hugh szczególnie podstępnie - albowiem nawet Hugh Johnson nie ważyłby się otwarcie narazić nauczycielowi. Freddie często gościł u Neville ow, ponieważ nie lubił spędzać weekendów na terenie szkoły, w małym domku, w którym mieszkał - jako pół-sierota - tylko z ojcem. Po posiłku obaj chłopcy regularnie udawali się w kierunku manufaktury lub wybiegu dla koni.

Czas zbiorów był bardzo męczący, ale Helena tym bardziej miała satysfakcję, że może pomóc. Do jej codziennych zajęć w tym okresie należała organizacja i koordynacja pracy kuchni, pralni i plantacji, domu i manufaktury, przy okazji żartowała i rozmawiała z pracownikami, wśród śmiechu nauczyła się od zbieraczek pojedynczych słów w różnych górskich dialektach, gorączkowo szukała rozwiązań różnych codziennych problemów, które spadły na nią w nadmiarze - łagodziła spory między służącymi, oceniała jakość ryb dostarczanych przez sprzedawcę, zajmowała się myszami w spiżarni, rozbitą porcelaną, zaśniedziałym srebrem, prywatnymi problemami służących. Na początku często miała wrażenie, że się załamie wobec ogromu zadań, z którymi musiała się zmagać każdego dnia. Tyle rzeczy było dla niej całkiem obcych i nieznanymi. Ale słuchała, obserwowała, zadawała pytania, a z czasem zaczęła bardziej w siebie wierzyć - w to, że podejmuje słuszne decyzje i postępuje właściwie. Radowała ją też serdeczność, jaką jej okazywano.

lana widywała w tym okresie rzadko. Jego widok za każdym razem wzbudzał w niej uczucie radości. Podziwiała go, że mimo presji czasu i ogromu pracy emanowały od niego spokój i skupienie. Ceniła go za sposób, w jaki traktował zbieraczki i robotników. Był wobec nich zawsze przyjazny, nigdy władczy, nie traktował tych ludzi z góry. Gdy rozmawiał z mężczyznami i kobietami, ci patrzyli na niego z szacunkiem i sympatią. Helena aż kraśniała z radości, kiedy przechodząc obok niej, całował ją w policzek, szeptał kilka słów uznania, dziękował. Czuła, że jest częścią tego świata, jego świata i jego życia. Miała wrażenie, że tak było od zawsze. Znalazła swoje miejsce, szczególny rodzaj szczęścia. A mimo to w nielicznych momentach refleksji bądź odpoczynku nachodziła ją niespokojna myśl: *Jak długo będzie trwać to szczęście, jak długo jeszcze?*

Nim nastąpiło południe, słońce już paliło niemiłosiernie i nagrzało bruk. Powietrze w Darjeeling było jednak bez porównania przyjemniejsze niż w dole, w delcie Gangesu. Przypominało wspaniałe europejskie wczesne lato. Był koniec maja. W tym czasie powietrze w Kalkucie i na otaczających ją równinach było przytłaczające, duszne i wilgotne, typowe dla bengalskiego lata, utrudniało ruchy, sprawiało, że każdy oddech stawał się wysiłkiem powodującym oblewanie się siódmym potem. Osoby bardziej majątne zdążyły już pouciekać przed tymi piekielnymi upałami w góry, tak więc promenada w Darjeeling pełna była pograżonych w rozmowach dam ubranych w wysoko pozapinane popołudniowe suknie z lekkiego jedwabiu z nadrukowanymi wzorami i figlarne kapelusiki. Oprócz nich można tu było zobaczyć małych chłopców w marynarskich ubrankach, którzy toczyli przed sobą obręcze, ich siostry lub kuzynki w falbankach i koronkach, prowadzone, jak nakazuje przyzwoitość, za rączkę przez angielską *nanny* lub, o wiele częściej, przez ubraną w barwne sari hinduską *ayah*. Przechadzali się tu też żołnierze w eleganckich mundurach i cywilni urzędnicy w oficjalnych garniturach ze sztywnymi kołnierzykami, a gdy spotkali znajomego, uchylali na przywitanie melonik lub słomkowy kapelusz. Richard Carter przez cały czas pobytu w Indiach cierpliwie czekał na przybycie w góry, ale im bliżej był Darjeeling, tym bardziej ogarniał go gorączkowy pośpiech. Każda mila pokonywana koleją czy konno wydawała mu się nieskończenie długa. Prawie nie zwracał uwagi na mijane krajobrazy, odliczał jedynie mile, godziny i dni - suche liczby, które dzieliły go od celu podróży, obiektu jego tęsknoty. A czas był cenny. Jeszcze w drodze dotarła

do niego wiadomość, że Ian Neville wyruszył w drogę do Kalkuty, żeby osobiście dopilnować w porcie załadunku herbaty. Tak więc Richard wziął krótką kąpiel, ogolił się, włożył świeżą bieliznę oraz strój do jazdy konnej i pospiesznie wskoczył na konia, którego zarezerwował wcześniej telegraficznie.

Odchodzące od promenady wąskie uliczki wiły się poprzez wzgórza. Wśród drzew i wysokich łądyg bambusa wznosiły się domy z małymi okienkami, rzeźbionymi balustradami i dachami krytymi gontem, oplecione pnączami i czerwonymi fuksjami. Kłusując szybko, zostawił za sobą miasto, spiał wałacha ostrogami i puścił się galopem w górę wąskich drózek pomiędzy stromymi lesistymi zboczami oraz opustoszałymi po zbiorach plantacjami herbaty. Nie spuszczał przy tym z oczu błyszczących w słonecznym świetle, okrytych śniegiem szczytów Himalajów.

Osiągnął właśnie ostatnie wzniesienie i wzbijając obłok kurzu, ściągnął cugłami konia. Spojrzał w dół, na dolinę, która się przed nim rozpostarła. Gęsto porośnięte pola herbaciane ciągnęły się całymi milami, tu i ówdzie wyrastała tylko pojedyncza sosna, gdzieś widać było żywopłoty i łąki usiane dzikimi kwiatami. W dużym ogrodzie, przypominającym park z potężnymi dębami i kasztanami oraz połyskującymi z daleka klombami, wznosił się potężny dwukondygnacyjny dom, który robił wrażenie jeszcze większego za sprawą otoczonej kolumnami werandy i rzeźbionego balkonu opasującego piętro. I chociaż dom był zbyt odległy, żeby odczytać napis na łuku bramy przed wysypanym żwirem podjazdem, wiedział, że znalazł się u celu. Westchnął głęboko, spiał wałacha ostrogami i zaczął spieszenie zjeżdżać w dół zbocza.

Nie widziała go, gdy się zbliżał krok po kroku, miał więc dość czasu, żeby się jej dokładnie przyjrzeć, idąc od werandy przez trawnik, obok kwitnących rododendronów i pachnącego jaśminu, w którym buszowała lekka bryza. Miała na sobie prostą koszulę,

którą tarmosił wiatr, spodnie i buty do konnej jazdy. Pochylała się nad jeszcze niskimi, ale już bujnie kwitnącymi krzewami różanymi, wycinała gałązki, śmiała się i żartowała z bagbanem - ogrodnikiem, który jej przy tym pomagał. Zmieniła się w ciągu tego półrocza, i to nie tylko zewnętrznie. Wprawdzie wciąż jeszcze była szczupłą, ale już nie tak chuda jak podczas ich pierwszego spotkania na balu. Pod cienkim materiałem wyraźnie odznaczały się krągłości jej ciała. Skórę miała lekko opaloną, a jej włosy - gęste i nieposkromione - przybrały od słońca kolor jasnomie-dziany. Związane były zwykłą wstążką. Robiła wrażenie bardziej pewnej siebie, swobodniejszej, prawie szczęśliwej. Choć Richard się uradował, widząc ją w takiej formie, to jednak poczuł ukłucie w sercu. Przez moment wydało mu się, że popełnił błąd, goniąc za chimera. Potem Helena się wyprostowała, wierzchem dłoni odsunęła luźne pasemka włosów z wilgotnych od potu skroni. Jej spojrzenie padło na niego. Zdziwiona zmarszczyła brwi, zastanawiała się, a Richardowi na ten moment stanęło serce. W końcu odczytał z jej twarzy, że go rozpoznała, bo uśmiechnęła się radośnie. Jej uśmiech przeszył go do głębi.

- Pan Carter!

Podeszła do niego przez trawnik zamaszystym krokiem, ściągnęła z dłoni nieforemne rękawiczki i wyciągnęła rękę na powitanie.

- Bardzo się cieszę, widząc panią ponownie, pani Neville -odpowiedział z ironicznym formalizmem i schylił się ku jej dłoni.

Helena zaczerwieniła się zarówno dlatego, że gość zjawił się tak niespodziewanie, jak i z powodu jego dotyku, a także własnego wyglądu.

- Niech pan wybaczy, że mam na sobie ubranie niestosowne do przyjmowania gości, ale nie miałam pojęcia...

- Niech raczej pani wybaczy, że miałem czelność zabronić służącej, by zapowiedziała mnie w należyty sposób, ale chciałem

zrobić pani niespodziankę. My, Amerykanie, jesteśmy znani z naszych złych manier!

Helena dołączyła się do jego śmiechu.

- Dotychczas tego nie zauważyłam. Ale to może dlatego, że moje wychowanie pozostawia wiele do życzenia. Jeśli mi pan jednak wybaczy, że się na chwilę...

Szarpnęła z zakłopotaniem kołnierzyk koszuli i w tej chwili z powrotem stała się tą niepewną, nieśmiałą dziewczyną, której obraz tak długo nosił w pamięci.

Richard machnął ręką.

- Niech się pani mną nie przejmuję. Uważam, że wygląda pani czarująco.

Helena, która już energicznym krokiem zmierzała w kierunku werandy, odwróciła się na te słowa i spojrzała na niego badawczo. Zakłopotana założyła sobie luźne pasemko włosów za ucho.

- Dobrze, niech więc tak będzie - skinęła głową i poleciała służącej nakryć stół na werandzie, co ta pospiesznie uczyniła.

Niedługo potem Richard popijał herbatę, smakującą zarazem lekko, cierpko i słodko, przypominającą górskie powietrze, zapach lasów i dojrzałych, soczystych pomarańczy.

- Nie jestem znawcą, ale ta herbata jest wyśmienita. Helena się rozpromieniła.

- To z naszej plantacji *first flush*, pierwsze zbiory w tym roku. Richard opuścił wzrok. Szybciej, niżby tego chciał, pojawił się przy nim cień lana Neville'a, właściciela plantacji, tego domu i...

Heleny. W jego myśli wdarł się jej głos:

- Co pana sprowadza do Darjeeling? - Uniósł wzrok. Helena roześmiała się i pokręciła głową z zakłopotaniem, a jednocześnie z rozbawieniem z powodu własnego zachowania. - Obawiam się, że nie jestem szczególnie wyćwiczona w sztuce uprzejmej konwersacji - wyznała.

Richard zawtórował jej ciepłemu i sympatycznemu śmiechowi.

- No cóż... - chrząknął. Na końcu języka miał wyznanie, że jest tu z jej powodu, że to ona go tu ściągnęła. Nie mógł o niej zapomnieć przez tyle miesięcy. Zamiast tego rzekł: - Jestem tu w interesach. Pomyślałem sobie, że może by się pani zgodziła pokazać mi trochę okolicę.

Helena popatrzyła na niego uważnie. Unikał jej wzroku, spoglądając w filiżankę, którą trzymał w masywnej dłoni. Zawstydzony swym kłamstwem, wpatrywał się w herbatę o barwie karneolu, z jaśniejszą, złotawą obwódką przy brzegu. Poczuł, że ona mu nie wierzy, ale ku własnemu zaskoczeniu po krótkiej przerwie usłyszał jej słowa:

- Bardzo chętnie.

Dom tonął w absolutnej ciszy. Było już późno, wszyscy poszli spać, tylko Helena siedziała wciąż w gabinecie przy świecie lampy. Wokół wielkiej, oprawionej w skórę księgi, do której wpisywała wszystkie wydatki dotyczące domu i ogrodu, rozłożyła papiery, rachunki i różne zapiski. Delikatne tykanie zegara na kominku zostało przerwane dźwięcznym wybiciem godziny. Helena wyprostowała się zaskoczona. *Już pierwsza...* Z zakłopotaniem spojrzała na wciąż puste strony, na wszystkie papiery, które chyba po dziesięć razy brała do ręki i z powrotem odkładała, na pióro, którego atrament już dawno wysechł. Westchnęła i oparła się o obite skórą oparcie krzesła, które pod naciskiem jej pleców lekko zaskrzypiało. Popatrzyła w ciemność pomieszczenia. Chociaż złoty krąg światła tworzony przez lampę ledwo sięgał poza powierzchnię dużego biurka, Helenie zdawało się, że potrafi zobaczyć wszystkie detale pokoju: wielki globus na toczonej drewnianej podstawie, skórę tygrysa przed marmurowym kominkiem, brązowy posążek Sziwy depczącego stopami w dzikim tańcu dzieło stworzenia, niską szafkę z rzeźbionymi drzwiczkami, w której łan przechowywał księgi handlowe plantacji.

Od kiedy ostatnie liście herbaciane zostały zapakowane do skrzyń, a łan i Mohan Tadzid opuścili konno Sikhare, żeby wozy z cennym towarem odwieźć bezpiecznie do Siliguri, a stamtąd koleją do portu w Kalkucie, Helena miała dużo czasu. A nawet z a dużo, dlatego zaczęły jej przychodzić do głowy kłopotliwe myśli.

Brakowało jej łana. To całkiem co innego widywać go zaledwie przez kilka godzin w ciągu dnia, ale wiedzieć, że pozostały czas spędza na polach lub w manufakturze, a co innego, gdy jest gdzieś setki mil od niej. Z każdą godziną, kiedy była sama, nachodziły ją ciągle nowe myśli, ciągle nowe pytania, a najbardziej dręczyła ją zagadka: kim tak naprawdę jest łan?

Powiedział jej, że urodził się w dolinie, w zachodnich Himalajach, skąd jego rodzina musiała uciekać, gdy był mniej więcej w wieku Jasona. Dlaczego musieli uciekać? Co się stało? Jego rodzina - tylko jego rodzice czy może miał także rodzeństwo? Jak udało mu się przeżyć ucieczkę i ocalić życie, najwidoczniej jako jedynemu z nich? Kim byli jego rodzice? W jaki sposób dotarł do Surja Mahal, gdzie spędził dekadę swego życia? Jak z serca Radżputany trafił tutaj, do Darjeeling? Opowiadał, że żyli bardzo skromnie, gdy był dzieckiem. Skąd wziął kapitał, za który nabył ziemię pod plantację? Im dłużej rozmyślała, tym bardziej tajemniczy wydawał jej się łan i tym bardziej czuła się zdezorientowana. Nie miała odwagi wypytywać o niego domowników. Bała się stracić twarz, przyznając, że nic nie wie o mężczyźnie, którego poślubiła. Nie śmiała też wypytywać o te rzeczy samego łana. Raz jednak, na krótko przed ich wyjazdem, poprosiła Mohana Tadzida, żeby jej opowiedział o rodzinie łana, pewnego wieczoru w salonie, gdy byli sami. Na jego twarzy pojawił się jakiś cień. Helena nie była w stanie powiedzieć, czy to był cień gniewu, czy zatroskania.

- On sam powinien pani o tym opowiedzieć - stwierdził szorstko Mohan, a potem patrzył z kamienną twarzą na ogień w kominku.

Helena zrozumiała wtedy, że nie wyciągnie z niego ani słowa więcej, co kłóciło się tak bardzo z jego gotowością wspomaganie jej słowem i czynem, gdzie tylko mógł, że była bardziej zdziwiona jego milczeniem niż zła z tego powodu.

Radziw kameleon, tak wtedy nazywały cię dzieci... Helenie wydawało się, że w otoczeniu łan są ludzie, którzy wiedzą, skąd pochodzi, kim jest, a mimo to nikt nie okazywał gotowości, żeby jej o tym powiedzieć. Dlaczego? Podejrzewała, że łan ukrywa jakąś tajemnicę, która nie mogła się wydostać na światło dzienne. Bolało ją, że będąc jego żoną, nie została wtajemniczona.

Może właśnie dlatego, z przekory i wbrew sobie, zgodziła się tak szybko pokazać Richardowi Carterowi okolice Darjeeling, chociaż miała z tego powodu pewne skrupuły. Jego zaskakująca, niezapowiedziana wizyta tego popołudnia wprowadziła ją w zdumienie. Zastanawiała się, czego mógł tutaj szukać. Po jego głosie poznała, że właściwie to wcale nie interesy go tu sprowadziły. Ale myśl, że mógł tu przybyć z jej powodu, była taka niedorzeczna, że szybko ją odrzuciła.

Jej palce same z siebie ześliznęły się po podłokietniku krzesła, wodziły po cyzelowanym wzorze gałki przy szufladzie, zacisnęły się na niej, pociągnęły. Helena otworzyła szufladę, a potem ją zamknęła. Potem jeszcze raz otworzyła i zamknęła. Za trzecim razem się zawahała, wstrzymała oddech i wysunęła szufladę na tyle, że mogła zajrzeć do środka. Ostrożnie wyjęła z niej skórzaną teczkę, przejrzała sztywne przegródki, w których leżały listy pisane spiczastym pismem łana. Wyglądało na to, że w teczce znajduje się jedynie korespondencja dotycząca uprawy herbaty i jej sprzedaży. Odłożyła teczkę z powrotem i otworzyła następną szufladę, potem kolejne, aż przejrzała całe biurko, opukiwała przy tym ostrożnie boczne ścianki i dna, szukając tajemnej skrytki, próbowała namacać rękoma ewentualny przedmiot, którego w pierwszym momencie mogła nie zauważyć przy tak słabym oświetleniu. Gdy zamknęła ostatnią szufladę, poczuła palący

wstyd. Co zrobiła? Przecież to oczywiste, że Ian jest zbyt sprytny, żeby przechowywać w tak dostępnym miejscu cokolwiek, co mogłoby zdradzić jego dobrze strzeżoną tajemnicę.

Wstydziła się swej ciekawości, a mimo to nie mogła się powstrzymać. Cicho, jakby się bała, że zbudzi kogoś w domu, wstała i wzięła lampę, oświetliła zarysy pokoju. Szła wzdłuż ścian, podnosiła na chwilę do góry każdy obraz - gustowne sceny z indyjskiej historii i mitologii oraz olejny widoczek Kanczendzongi. Myślała, że może pod spodem znajdzie jakiś sejf. Ale nic nie znalazła. Rozczarowana najchętniej tupnęłaby nogą i głośno przekleła. Musi coś znaleźć, to niemożliwe, żeby nie było tu nic, co mogłoby jej dostarczyć chociażby jakiejś wskazówki, sugestii!

Energicznie wspięła się po słabo oświetlonych schodach. Przed drzwiami sypialni Iana na moment przystanąła. Jej sumienie zaczęło walczyć z pokusą, by wejść do środka. Gwałtowne pragnienie dowiedzenia się czegoś odniosło łatwe zwycięstwo nad skrupułami.

Oświetliła sobie drogę do komody po prawej stronie, gdzie odstawiła lampę i odkręciła płomień, następnie rozejrzała się po pomieszczeniu.

Często przechodziła korytarzem, gdy drzwi do sypialni były otwarte.

Nigdy dotąd nie miała śmiałości, żeby tu wejść, zaglądała tylko pobieżnie do środka, jakby to był zakazany dla niej teren. Teraz też czuła się tu jak intruz. Pod względem wyposażenia ten pokój był lustrzanym odbiciem jej pokoju, choć nieco skromniejszym, bardziej męskim. Drewniane elementy umeblowania połyskiwały ciepło, tapicerka była ciemna, szerokie łóżko przykryto prostą lnianą narzutą bez ozdób. *Czy sypiał tu z Szusziłą?* Szybko odpędziła tę myśl i zaczęła otwierać jedną po drugiej szuflady komody pod lustrem. Przyrzędy do golenia, skrzyneczka ze spinkami do mankietów i szpilkami do krawata, grzebień, chusteczki z wyhaftowanym monogramem - wszystko proste, ale szlachetne, i tylko najbardziej niezbędne rzeczy. Helena klęczała właśnie przed małymi drzwiczkami po prawej stronie na dole i grzebała między mydełkami i starannie złożonymi

ręcznikami, gdy cichy odgłos sprawił, że zamarła. Ona i Szuszila spojrzały na siebie równie przestraszone, zaskoczone i zdrętwiałe.

- Memsahib - wykrztusiła w końcu Szuszila i szczelniej owinęła się jednobarwnym zielonym szlafrokiem, jej włosy opadały na ramiona jak pasmo gładkiego, czarnego jedwabiu. - Usłyszałam hałas i chciałam sprawdzić, co to takiego.

- Ja... ja tylko... - zająknęła się Helena, szukając z zakłopotaniem słów, które zapewniłyby jej wiarygodną wymówkę. Daremnie. Zawstydzona opuściła głowę.

Na smagłej twarzy Szuszili pojawił się pełen zrozumienia uśmiech.

- Wiem, czego pani szukała, memsahib. Ale nic tu pani nie znajdzie.

Huzur jest mężczyzną z przeszłością, wszyscy w tym domu to wiemy, chociaż nie znamy szczegółów. On nosi tę przeszłość zawsze ze sobą, jedynie w swoim sercu, można to wyczytać w jego oczach.

- Dlaczego nic mi o tym nie opowie? - zapytała cicho Helena, kierując to pytanie bardziej do siebie niż do Szuszili. Nie zauważyła nawet, że wymówiła te słowa w hindustani.

- Bo chce panią przed tym chronić, memsahib - odpowiedziała Hinduska łagodnym głosem.

- Nie wierzę w to - zaprzeczyła Helena, wstała i energicznym ruchem odrzuciła włosy do tyłu. - Przed czym niby chce mnie chronić?

Spojrzała wyzywająco na Szuszilę.

Młoda Hinduska milczała przez chwilę, jakby dokładnie ważyła słowa, w końcu odpowiedziała:

- Są tajemnice, które mogą być niebezpieczne. Sądzę, że huzur nosi w sobie taką właśnie tajemnicę.

- Bzdura - odpowiedziała gwałtownie Helena, a jednocześnie poczuła ukłucie zazdrości, że Szuszila tak dobrze zna lana.

Zaczerpnęła z wysiłkiem powietrza, ale nim zdołała się odezwać, Szuszila łagodnie wpadła jej w słowo.

- W takim razie niech pani powie, że to, co widziała pani w jego oczach, nie napełnia pani lękiem.

Helena spuściła wzrok, wiedząc, że nie jest w stanie zaprzeczyć Szuszili. Przez kilka chwil zmagala się z sobą, ze swoją dumą, w końcu zapytała cicho:

- Co zatem mogę zrobić?

- Pani jest silna, memsahib. Ma pani waleczne serce. Niech pani tylko uważa, żeby nie pociągnął pani za sobą w przepaść.

Szuszila lekko dygnęła na pożegnanie i odeszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

Helena jak ogłuszona stała jeszcze przez chwilę nieruchomo w pokoju lana, a potem zmęczonym krokiem przeszła naprzeciwko, do swojej sypialni, mając nadzieję, że wkrótce nadejdzie ranek.

24

Nie było w tym nic nadzwyczajnego, że memsahib postanowiła wczesnym rankiem wyjechać konno na samotną przejażdżkę. Helena się ucieszyła, że gdy w koszuli i spodniach do jazdy konnej wskoczyła na Szakti, żadna ze służących ani żaden stajenny nie zadawali jej z tego powodu jakichkolwiek pytań. Przy bramie poleciła jedynie, żeby nie czekano na nią z obiadem, bo może wrócić później, i oddaliła się galopem, starając się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jej pilno wyrwać się z domu i zostawić wszystko za sobą.

Richard czekał już na nią na południe od granic miasta, jak się wcześniej umówili. Helena była wprawdzie odważną kobietą, ale nie chciała zbyt otwarcie narażać swej reputacji, spotykając się sam na sam z obcym mężczyzną w mieście. Gdy zobaczyła go z daleka w swobodnym brązowym stroju do konnej jazdy, siedzącego na masywnym brązowym wałachu z jasną plamką na

czole, mimowolnie przyspieszyła Szakti. Richard zwrócił twarz w jej kierunku i uśmiechnął się szeroko.

Przejechali kilka mil w kierunku południowym, drogą, która wspinała się stromo na wzgórze. Wysokie trawy i dzikie zioła smagały ich buty i boki koni; tu i ówdzie mogli widzieć błyszczące poranne słońce odbijające się w pluskających żwawo i obmywających kamienie potokach.

Towarzyszyły im pojedyncze świergoczące ptaki w kolorze ziemi, które przysiadły w bezpiecznej odległości, a potem przestraszone wzlatywały z powrotem, głośno uderzając skrzydłami. Na granicy skał i zboczy rozciągały się herbaciane pola o barwie nasyconej zieleni, otoczone przez lasy iglaste. Teraz na plantacjach nie było nikogo, bo sezon zbiorów już się skończył. Czekano na monsun, który miał na nowo pobudzić pędy do wzrostu. Prawie ze sobą nie rozmawiali, również dlatego, że wąska dróżka zmuszała ich często do jechania jedno za drugim. W końcu dotarli do celu - najwyższego punktu na południu, do Tiger Hill. Pod nimi leżało miasto z domami z bielonego kamienia i ciemnego drewna, a drzewa pomiędzy nimi wyglądały jak miękka podściółka z mchu. Dalej z tyłu na całą szerokość horyzontu rozciągała się ściana Himalajów, naga i popękana, z niebieskawymi i szarofioletowymi bruzdami i zboczami. Helena wskazała na szczyty, których można się było właśnie dopatrzeć za gęstym welonem z chmur, od którego wciąż odrywały się pojedyncze strzępki i nadpływały w ich kierunku.

-Ten szczyt nazywa się Kanczendzonga, a to jest według legendy święta góra Kailasz, za którą skrywa się raj Sziwy.

- Tu każdy kamień zdaje się mieć w sobie coś boskiego - powiedział Richard w zamyśleniu, wodząc wzrokiem po spękany masywie górskim i ściągając wysunięte do przodu brwi. - Indie są starym krajem, liczącym tysiąclecia. Niezliczone narody i kultury zostawiły na nim swoje piętno. Tak gdzieś przeczytałem -dodał pospiesznie, gdy dostrzegł zdziwione spojrzenie Heleny.

- Ameryka taka nie jest?

Pokręcił głową.

- Ameryka jest nowym krajem, pierwotnym, pustym i rozległym.

Wszystko ma tam najwyżej kilka dziesięcioleci, a tempo, w którym rosną miasta, jest niezwykle. Kraj wibruje energią, jakby nie mógł się doczekać, kiedy zrobi następny krok naprzód. Tam nie ma wczoraj, prawie nie ma teraźniejszości, są tylko myśli

O przyszłości, wizje tego, co jest możliwe, co mogłoby być możliwe. A tam po prostu wszystko jest możliwe. Dla idących do przodu i w górę nie ma granic.

Z zachwytem opowiadał jej o Nowym Jorku, „największym i najwspanialszym mieście w całym kraju”, jak określono go w jednym z przewodników, mieście, które liczyło prawie dwa miliony mieszkańców. O wielkim Central Parku ze sztucznym jeziorem, gdzie w niedzielę ludzie się spotykają, by pospacerować; o otwartej przed pięcioma laty pierwszej linii Metropolitan Elevated Railway, linii kolejowej w obrębie miasta, po której pociągi szynowe jeżdżą na wysokości drugiego piętra; o Brooklyn Bridge, arcydziele architektury, który ma być rozpięty nad East River i łączyć dzielnice Manhattan oraz Brooklyn. Filary tego mostu są siedem razy wyższe niż większość czteropiętrowych domów na Manhattanie, a sam most wiszący, który w tym roku ma zostać zawieszony na stalowych linach, będzie długi prawie na milę. Opowiadał z zachwytem o Broadwayu, komercyjnym kręgosłupie miasta, o domach towarowych, jak na przykład Macy's, który został wybudowany głównie ze zdobnego żeliwa i gdzie pod jednym dachem można było kupić wszystko, co tylko możliwe.

Opisał San Francisco, na razie o wiele mniejsze od Nowego Jorku, ale mimo to nie mniej ambitne i prące do przodu; wzgórza Kalifornii, jej niekończące się piaszczyste plaże, winnice i sady; rozległe wnętrza kraju, szorstką urodę prerii z dzikimi mustangami i bawołami, która tylko czekała, żeby ją zająć i zasiedlić, jak tylko będą gotowe trzy nowe linie kolejowe prowadzące ze wschodu na zachód.

Opowiadał o Australii, czerwonym, suchym kontynencie, z którego importował kamienie; o eleganckich, wytwornych ulicach Paryża, światowej metropolii z kawiarniami, barami, teatrami i nocnymi klubami, a także o hucie żelaza w Filadelfii, w której zaczął pracować, zanim się przeniósł na zachodnie wybrzeże, by tam szukać powodzenia, które osiągnął, zajmując się mozolnym pozyskiwaniem rud. Dochody z tego zajęcia pozwoliły mu otworzyć pierwszą firmę, potem następną. Po wojnie secesyjnej zaciągnął kredyt i otworzył pierwszą fabrykę, wrócił na wschodnie wybrzeże, skąd jego interesy rozprzestrzeniały się coraz dalej - inwestował w stal, przedziałnie, szlifiernie, nieruchomości.

Słowami i gestami Richard otwierał przed Heleną zupełnie obcy świat. Spotykali się codziennie, przemierzali konno wzgórze nad doliną, spacerowali pieszo po łąkach, przesiadywali leniwie na słońcu. Helena słuchała i dziwiła się. Niemal widziała oczami duszy ulice, domy i ludzi, krajobrazy i miasta, które nie przypominały nic z tego, czego dotychczas osobiście doświadczyła. Na początku nie miała śmiałości opowiadać o sobie, o swoim pochodzeniu, o tym, co widziała i przeżyła. Własne życie i własny świat wydały jej się miałkie i bez znaczenia. Ale Richard był uparty, bezustannie zadawał jej pytania, słuchał cierpliwie i uważnie.

- Gdzie się pani nauczyła tak świetnie jeździć konno? -zapytał, gdy zatrzymali się zadyszani po szybkiej jeździe przez kwitnącą łąkę.

Helena owinęła cugle Szakti wokół chropowatej gałęzi drzewa, koło którego wystawały z ziemi bezlistne łodygi kwitnącej różowo orchidei.

- Trenowałam na osle.

Richard uniósł ze zdziwieniem brwi. Helena, widząc jego minę, roześmiała się i wyjaśniła:

- Ojciec woził mnie na osle, gdy byłam jeszcze zupełnie mała. W Grecji do przemieszczania się i przewożenia ładunków używano prawie wyłącznie osłów. Kiedyś pod wpływem impulsu ojciec

posadził mnie na osiołku. To chyba moje najwcześniejsze wspomnienie z dzieciństwa: ojciec podnosi mnie, sadza na ośle i trzyma za rękę, podczas gdy osioł kroczy sobie spokojnie po bruku. - I pani się nie bała?

Richard zdjął surdut i przewiesił go niedbale przez ramię. Szli akurat powoli po wysokiej trawie. Helena pokręciła głową.

- Nie, przecież ojciec był przy mnie. Zawsze byłam pewna, że nic mi się nie przytrafi, gdy on jest w pobliżu.

Richard milczał ze spuszczonego wzrokiem, obserwując ruch własnych nóg.

- To musiało być wspaniałe, dorastać w takich warunkach - powiedział po chwili w skupieniu. - Być wolnym, nieskrępowanym, rozkoszować się słońcem Południa.

Helena skinęła głową. Pochyliła się, by zerwać jeden z kwiatków, których żółte i pomarańczowe główki wystawały z trawy i bujały się na wietrze, po czym zaczęła obracać go w palcach w prawo i w lewo.

- Tak było. Szkoda, że tak szybko minęło. - Westchnęła głęboko i spojrzała na błękitne niebo pokryte delikatnymi smugami chmur.

Z żalem pomyślała, że czas spędzany z Richardem też bezpowrotnie dobiega końca, Ian powinien niebawem wrócić. Chociaż nie poruszali tego tematu, czuła, że Richard również jest tego świadom. Nie mogła sobie wyobrazić, że nie będzie go już mogła widywać. Godziny z nim były czymś, co należało tylko do niej, o czym tylko ona decydowała. Trudno jej było pogodzić się z myślą, że będzie musiała zrezygnować z tych spotkań, z tego uczucia wolności, lekkości i beztroski, do którego zbyt szybko się przyzwyczaiła.

Do jej świadomości przeniknął głos Richarda:

- Czy to nie okrutne, gdy dzieciństwo, czas niewinności, tak nagle się kończy? Gdy jest się wyrwanym ze snu, który uważało się za realny?

Wzrok Heleny wędrował po okolicy; starała się nie patrzeć na Richarda, ponieważ sądziła, że nie będzie mogła powstrzymać łez.

- Czasami wydaje mi się - powiedziała - że jestem skazana, by zapłacić za grzechy, które popełnili moi rodzice. Ich grzechy przeciwko moralności, towarzystwu, konwenansom i przyzwoitości. - Roześmiała się gorzko. - Tak jakbym była obciążona grzechem pierworodnym.

- Nie może pani tak myśleć - wtrącił szybko Richard, ale Helena mu przerwała.

- Ale tak jest! Tak było zawsze! Nigdy nie miałam wyboru! Kilka łez smutku spłynęło jej po policzkach. Odwróciła się gwałtownie, zła, że dała się ponieść uczuciom, że okazała słabość, bezsilność. Richard upuścił surduta na trawę, wziął ją za rękę i zdecydowanym ruchem przyciągnął do siebie.

- Owszem, masz wybór. Heleno, wyjedź stąd ze mną! Obejmował ją jedną ręką, a drugą ostrożnie wycierał jej łzy.

Ona spojrzała na niego, przestraszona tym tak dla niej zaskakującym obrotem sprawy, dostrzegła, że jego kanciasta twarz zrobiła się miękka, w jego oczach dostrzegła ciepło.

- Nie musisz tu żyć - mówił. - Nie musisz być z nim. Na świecie jest tyle rzeczy, które chciałbym ci pokazać, które chciałbym z tobą przeżyć.

Chodź ze mną, a obiecuję ci, że teraz już wszystko będzie dobrze.

Pozwoliła, by przyciągnął ją do siebie. Gdy mówił, jego wargi muskały jej policzek.

- Nie, nie mogę - wykrztusiła z trudem i poczuła, jak mimo to wbrew jej woli załamał się w niej wszelki opór, przytuliła się do Richarda, do jego szerokiej piersi, która wydała jej się taka pocieszająca i obiecywała bezpieczeństwo.

- Ależ możesz - powiedział Richard, dotykając wargami jej skóry. - Nikt nie może cię zmusić, żebyś tu została. Pojedź ze mną do Ameryki, do Australii, gdzie chcesz. Nigdy cię do niczego nie będę zmuszał, nigdy nie będę od ciebie niczego żądał. Nie jesteś kobietą, która urodziła się, by cierpieć.

Były to słowa, które zawsze chciała usłyszeć z ust lana, a nigdy ich nie usłyszała. Brakowało jej dotąd tego poczucia bliskości, które teraz sprawiło, że jej wargi zaczęły szukać jego warg.

W jego pocałunkach nie było takiej gorącej namiętności jak w pocałunkach lana. Były one, podobnie jak Richard, stateczne, spokojne, pocieszające. Helena zapragnęła, by ten moment trwał wiecznie. Gdy przestali się całować, przycisnął ją do siebie i cicho się roześmiał.

- Najchętniej porwałbym cię już wtedy, na tym okropnym balu. - Położył dłoń na jej policzku i odchylił jej głowę lekko do tyłu, tak żeby móc spojrzeć jej w oczy, mocno i czule jednocześnie. - Nie musisz się spieszyć - zapewnił. - Pozostanę w Dar-jeeling, póki się nie zdecydujesz. Będę na ciebie czekał, Heleno.

- Huzur czeka na panią w swoim pokoju, memsahib.

- *Szukrija*, dziękuję, powiedz mu, że zaraz przyjdę - odpowiedziała Helena mechanicznie służącej, nawet nie rzuciwszy na nią okiem. Ta dygnęła i wyszła, zamykając za sobą cicho drzwi.

Gdy Helena patrzyła w lustro toaletki, było jej jednocześnie zimno i gorąco. Własne odbicie stało się dla niej obce, choć rozpoznawała siebie w ciemnopomarańczowym sari, z włosami, które dzięki pachnącej kwiatami pomadzie spływały gładkimi falami na plecy. Rozpoznawała złocistą cerę i wielkie niebiesko-zielone oczy, ciemne w świetle lamp, a jednak błyszczące jakoś inaczej, niezwykle.

Bała się tej chwili i pragnęła jej uniknąć. Zmartwiała, kiedy w domu zrobiło się głośno. Hałas, zamieszanie, głosy i śmiechy, które rozbrzmiały tego popołudnia, świadczyły o tym, że po prawie dwóch tygodniach wrócili z Kalkuty Ian i Mohan Tadżid. Ale teraz, wieczorem, nie mogła się w żaden sposób wykręcić.

Bardziej z powodu wyrzutów sumienia niż z prawdziwej radości, ze czas rozłąki z mężem się skończył, kazała jednej z dziewcząt przyrządzić w kuchni pieczoną jagnięcinę i *masala bata*. Jej wzrok raz za razem wędrował w stronę pudełka na taborecie pod oknem, w którym leżała owinięta w jedwabisty papier kamizelka uszyta dla lana przez Wangów. Dostarczono ją podczas jego nieobecności, ale Helena nie potrafiła już się nią cieszyć. Uroda materiału, jego połyskująca gładkość i nasycone kolory utraciły swój urok, przypominały jej tylko rzeczy, które próbowała wyprzeć ze świadomości.

Czy zrobiła coś złego? Nie wiedziała. To tak, jakby w ciągu minionego tygodnia straciła jakiekolwiek rozeznanie, co jest słuszne, a co nie, co dobre, a co złe. Ledwo wczoraj pożegnała się z Richardem na górze, przy rozstaju dróg. Ona pojechała w lewo, w kierunku plantacji, on na prawo, w dolinę, do Darjee-hng. Pocałował ją tam po raz ostatni na pożegnanie i odebrał od niej przyrzeczenie, że przyśle mu wiadomość do hotelu, jeśli będzie go potrzebowała. Czuła się winna nie tyle dlatego, że całowała się z Richardem, ile dlatego, że przemyślała o życiu bez lana. Myśli o tym nie dawały jej spokoju od dwóch dni, nie mogła usiedzieć ani minuty. Czy naprawdę byłaby zdolna odejść od lana i opuścić na zawsze Indie? Czy faktycznie potrafiłaby jeszcze raz wyemigrować do obcego kraju, znów zacząć wszystko od początku, z innym mężczyzną? Czuła się zmęczona. Jej serce było pokaleczone w wyniku zagmatwanych, sprzecznych uczuć. Nie pragnęła niczego więcej, tylko spokoju, tego spokoju, który czuła, będąc z Richardem. On był zupełnie inny niż Ian - prostolinijny, bezpośredni, bez ponurych otchłani, bez wewnętrznego rozdarcia. Przy lanie Helena miotała się zawsze między skrajnymi uczuciami. Najbardziej jednak dręczyła ją myśl, którą stale do siebie odsuwała, a która nieproszona wracała raz za razem: myśl o Jasonie. Czy miała prawo wymagać od niego, żeby jeszcze raz stawiał na głowie swoje młode życie, przyzwyczajając się do nowego kraju, nowej rodziny? Helena czuła się zgnębiona

koniecznością podjęcia decyzji. Co było słuszne, a co nie? Nie wiedziała, a na dodatek w tej chwili czuła apatię i rozgoryczenie.

Z oporem wstała i przykręciła knoty w lampach. Gdzieś na nocnym niebie pojawiły się kilka razy krótkie błyski, oświetliły ukryte w ciemnościach chmury, które od wczoraj były widoczne na horyzoncie - pierwsze zapowiedzi nadciągającej od południa pory deszczowej; jednocześnie dnie stały się bardziej duszne, a noce łagodniejsze. Miała wrażenie, że przejście tych kilku kroków od drzwi do drzwi zajęło jej wieczność.

Stopy ciążyły jej, jakby były z ołowiu.

Łan siedział bez ruchu w fotelu przed kominkiem, nogi w długich wypolerowanych oficerkach do jazdy konnej złożył wyciągnięte na taborecie. Helena stanęła sztywno przy drzwiach, nie wiedząc, jak się ma zachować.

- Dzień dobry, łanie - wykrztusiła wreszcie. - Jak wam minęła podróż? Te słowa zabrzmiały w jej własnych uszach nieznośnie obłudnie.

- Dziękuję - odpowiedział ostro Łan.

Lodowaty chłód, jakim emanował, sprawił, że poczuła ucisk w gardle. Oto stało się to, czego się bała w ciągu wielotygodniowych zbiorów: nagła zmiana nastroju, jakiej często ulegał i która ją zawsze wyprowadzała z równowagi. Z trudem opanowała drżenie ciała, które chciało nią zawładnąć.

- Jak słyszałem, podczas mojej nieobecności świetnie się bawiłaś - dodał i zapalił papierosa. - Musiałaś przyprawiać mi rogi na oczach całego domu i połowy doliny?

Jego słowa trafiły w nią jak uderzenie biczem.

- Nie zrobiłam nic niewłaściwego - próbowała się bronić, a jednak wiedziała, że to daremne.

Jakże była naiwna, sądząc, że jej ciągła nieobecność w domu może pozostać niezauważona! Nawet najprostsza ze służących była w stanie skojarzyć jedno z drugim - wizytę obcego sahiba i coraz bardziej wydłużające się przejażdżki memsahib.

łan skoczył na równe nogi, rzucił do kominka niewypalonego do końca papierosa i chwycił ją za ramię tak mocno, że krzyknęła z bólu, a z oczu trysnęły jej łzy.

- lanie...

- Skoro już musisz robić ze mnie rogacza, to nie rób tego przynajmniej w moim domu, nie na mojej ziemi, miej przynajmniej tyle przyzwoitości - wycedził przez zaciśnięte zęby i ścisnął ją jeszcze mocniej.

Zrobił zamach, ona się skuliła, ale jej nie uderzył. Zalana łzami zerknęła na niego ostrożnie. Patrzył na nią, nie zwalniając uchwytu, a czerń jego oczu, straszna otchłań, w którą spoglądała, napawała ją strachem, takim strachem, jakiego jeszcze nigdy nie zaznała.

- Puść mnie - szepnęła ochryple, próbując się wyswobodzić z jego uchwytu.

Przyciągnął ją do siebie tak blisko, że prawie nie mogła oddychać. Brutalnie przycisnął swe wargi do jej ust, boleśnie, a jednocześnie namiętnie. Jęknęła z lęku, a jednocześnie z ulgi i spełnionej tęsknoty. Jego ręce wędrowały śmiało po jej ciele, sprawiały jej ból i budziły w niej niesamowitą, płonąca żądzę. Westchnęła przylgnęła do niego, a jednocześnie go od siebie odpychała, pełna pożądania, nienawiści i rozpacz.

-Jesteś moja, Heleno, moja - szepnął szorstko. Jego wargi wymawiające te słowa i jego oddech paliły ją w szyję, zębami zostawił ślady na jej skórze. Rozerwał cienki jedwab san, które miała na sobie. Jej rozpalona skóra dotknęła pożaru jego ciała. Myślała, że umrze z pożądania i z płonącego gniewu. *Moja, moja, jego* słowa odezwały się echem w jej umyśle zniekształciły się w krakanie kruka, *moja, moja, moja*.

- Nie - usłyszała własny głos, cichy i ochryply, a potem głośniejszy. - Nie, nigdy w życiu!

Zbudził się w niej niepohamowany gniew, który dodał jej siły. Uderzyła łana z impetem, kopnęła go, odepchnęła od siebie,

mając uczucie, że się udusi, że musi walczyć o swe życie, o swoją duszę. Zachwiała się, upadła twardo na podłogę, ale była wolna, zebrała resztki sari, chwiejnym krokiem podbiegła do drzwi, otworzyła je gwałtownym ruchem.

- A ty dokąd?

Głos lana wwiertł jej się w plecy, obcy, metaliczny.

- Wszystko mi jedno - usłyszała własny głos dochodzący jakby z daleka, zduszony łzami, przerywany szlochem. - Byle daleko stąd, daleko od ciebie!

Przebiegła korytarz. Potykając się, wpadła do swojego pokoju. Choć była przerażona i roztrzęsiona, to jakaś jej część pozostała chłodna i trzeźwa, przerażająco spokojna. Jakby wcześniej w duchu przećwiczyła tysiąc razy każdy element ucieczki, odkręciła drżącymi rękami knoty w lampach i zbudziła Jasmine, by ta pomogła jej pakować bagaże. Włożyła koszulę i spodnie do konnej jazdy. Zaczęła wybierać najpotrzebniejsze rzeczy.

- Co się stało?

W drzwiach stanął Mohan Tadźid, niezauważony przez nią ani przez Jasmine. Stał nienagannie ubrany w jasny garnitur i szkarłatny turban, spokojny i poważny. Swoją obecnością sprawił, że panująca w pokoju nerwowość znikła. Helena spojrzała na niego, pochylona nad górą ubrań rozłożonych na łóżku. Przez głowę przeleciała jej ulotna myśl, że na pewno wygląda fatalnie - taka rozczochrana, płacząca, z zaczerwienioną i spuchniętą twarzą. Ale teraz było jej to obojętne.

- Pakuję się - powiedziała oschle i dalej wybierała najprostsze ubrania z wiru kolorowych jedwabi i haftowanych muślinów.

Mohan Tadźid skinął w zamyśleniu głową.

- Zakładam, że ma pani ku temu powód. - Cicho zamknął drzwi i wszedł do środka, przyglądając się obu kobietom. - Dokąd pani zamierza się udać?

- Do Darjeeling. Tam na pewno znajdę na początek jakiś pokój.

- A co z Jasonem?

Helena zastygła w bezruchu, wzięła głęboki oddech. To był jej czuły punkt. Ale tak musiało być, nie mogła tu zostać, nawet ze względu na Jasona. Zacisnęła zęby i wysunęła zdecydowanie do przodu brodę.

- Jutro odbiorę go ze szkoły.

Mohan Tadzid ponownie pokiwał głową.

- Nie będę pani namawiał do pozostania, skoro pani w tak ewidentny sposób nie chce tu zostać. Prawdopodobnie nawet słusznie - westchnął. -

Chciałbym panią tylko poprosić o jedno.

- Co takiego?

Helena pożałowała natychmiast swego obcesowego tonu, ale Mohan się tylko lekko i ciepło uśmiechnął, a w jego oczach błysnęła iskierka.

- Proszę, żeby mi pani poświęciła kilka godzin. Chcę pani opowiedzieć pewną historię.

- Historię?

Helena spojrzała na niego ze zdziwieniem. Mohan przytaknął.

- Sądzę, że to nie takie ważne, czy pani wyruszy w drogę od razu, czy nieco później. Jeśli chce pani odejść, może to pani zrobić za trzy, cztery godziny. Nie proszę o nic więcej, tylko o kilka godzin. - Zauważył sceptyczne spojrzenie Heleny i podniósł ręce w obronnym geście. - Nie będę stosował żadnych sztuczek! Tylko ta historia. I filiżanka herbaty...

Helena walczyła ze sobą, ale w końcu zwyciężyło zaufanie do Mohana Tadzida.

- Zgoda - skinęła głową.

Delikatnie zaprowadził ją ku jednej z grubych poduch służących do siedzenia, sam usiadł ze skrzyżowanymi nogami na sąsiedniej. Gdy Jasmina nalewała do filiżanek świeżo zaparzoną herbatę, on rozpoczął swoją opowieść.

2

Winston i Sitara

To, co człowiek najbardziej kocha,
w końcu go zniszczy.

PRZYSŁOWIE GRECKIE

1

Radżputana, maj 1844

Z jasnego, migotliwego nieba lał się niemiłosierny żar. Słońce sprawiało, że żółtawa ziemia pękała, a jej wyschnięta powierzchnia zamieniała się w pył, który wznosił się i znikał w powietrzu drgającym na horyzoncie. Tu i ówdzie sterczały spalone źdźbła trawy i martwe krzewy; z rzadka przemykał cień jaszczurki, prześlizgiwał się zygzakiem, by pod kamieniami znaleźć schronienie przed żarem.

Głucho dudniły kopyta dwóch koni, skrzypiały na żwirze i piasku równiny. Zwierzęta były zmęczone, chociaż znajdowały się w drodze dopiero od kilku godzin. Gubiły krok i ciągle się potykały.

- Aiiiiii! - krzyknął starszy z dwóch mężczyzn. - Czy to jeszcze daleko, Winston-sahib?

Młody Anglik przetarł spaloną słońcem twarz, która ociekała potem. Niegdyś biała koszula, pokryta teraz warstwą piasku, była całkiem mokra i lepiła się do jego masywnego, muskularnego ciała.

- Nie wiem, Babu Sa'id. Według wskazówek, które dostaliśmy, powinniśmy już dawno być na miejscu. Przeklęta pustynia!

Głośno przeklinając, szarpnął cugle i zatoczył półkole na swym czarnym wałachu, jednocześnie przymkniętymi oczami lustrował rozwleczone góry stołowe i horyzont. Nie przypuszczał, że przełożony oficer w tak niedokładny sposób opisze mu drogę, chociaż wiedział, że ta część Radżputany nie została jeszcze dostatecznie skartografowana. Już kilka dni temu opuścili teren objęty brytyjską zwierzchnością i przekroczyli granicę jednego

z tych księstw, które wciąż jeszcze w pasywnym oporze unikało angielskiej aneksji.

- Co zrobimy, sahib?

Babii Said zatrzymał brudnego szarego wałacha i spojrzał na swego pana, szukając pomocy. Jego niemal czarne oczy były matowe, twarz miał ciemną, pooraną przez słońce, na niej odznaczały się wyraźnie śnieżnobiałe wąsy.

Koń Winstona opuścił z wyczerpania łeb i zaczął apatycznie grzebać kopytem między kamieniami, podczas gdy jego jeździec w milczeniu wodził wzrokiem po wrogim pustkowiu.

Winston nie był przystojnym mężczyzną. Niespotykane wysoki, o masywnej sylwetce, skórę miał raczej bladą, opaloną na czerwono, blond włosy odziedziczone po normańskich przodkach połyskiwały miedzianym odcieniem. Jasnoniebieskie, szaro nakrapiane oczy spoglądały na świat nieco naiwnie, spojrzeniem dziecka. Za tym spojrzeniem krył się jednak umysł ostry jak brzytwa. Jego wbrew modzie gładko ogolona twarz była grubokoścista, a zarazem dziwnie łagodna. Choć miał dwadzieścia siedem lat, wyglądał na młodszego. Kto nie widział go w ruchu, mógłby pomyśleć, że jest grubiańskim, niezgrabnym typem skłonny do lenistwa i ociężałości, każdy jednak cal jego ciała był wytrenowany. Mężczyzna ten - silny i zwinny jak zwierzę budzi i w ludziach respekt samym wyglądem.

Babu Sa'id znał to napięcie na twarzy swego pana, znał drganie mięśni wzdłuż masywnej szczęki, które sygnalizowało, że sahib intensywnie się nad czymś zastanawia, lepiej więc było w tym momencie milczeć.

- Naprzód - wykrztusił w końcu Winston i szarpnął cugle tak energicznie, że jego wałach ze strachu stanął dęba. - Znajdziemy ten przeklęty pałac, choćbyśmy musieli zaglądać pod każdy kamień!

Z determinacją pognął szybko naprzód. Babu Said musiał się sprężyć, żeby dotrzymać mu kroku.

Mijały godziny, a słońce wciąż prażyło, ich twarze płonęły, strumienie potu spływały im po plecach i ramionach. Winston na chwilę przymknął oczy i poczuł chłodny policzek Edwiny tulący się do jego policzkajednocześnie zapachniało konwalia. Zażęknął za pocałunkami, które kradł Edwinie w ogrodzie Graysonów, pocałunkami, które miały smak truskawek i wzmagaly w nim głód, zwłaszcza gdy ukochana uciekała przed nim zakłopotana, chichocząc i szeleszcząc spódnicami, szukając schronienia w murach domu. Edwina, jedyna córka pułkownika Graysona, o skórze jak śmietana, lawendowych oczach, kasztanowych włosach, z talią tak szczupłą w gorsecie nad krynoliną, że można ją było łatwo objąć obiema dłońmi. Żywe srebro, kapryśna, lekkostopa, oczarowała go zuchwałym błyskiem w oczach i dźwięcznym głosem. Pułkownik i jego małżonka spoglądali na adoratora córki życzliwym okiem. Upodobali sobie tego rzetelnego i ambitnego młodego żołnierza, który był wprawdzie tylko młodszym synem zubożałej ziemiańskiej rodziny z Yorkshire, ale jego pochodzenie można było udokumentować niemal kompletnie po czasie wojny Dwóch Róż.

- Sahib!

Z zamyślenia wyrwał go zdenerwowany głos Babu Sa'ida. Winston ściągnął cugle.

Przed nimi ziemia urywała się nagle, opadała podłużną skarżą w rozległą, pustą dolinę, pośrodku której wznosiły się mury pałacu tak nierzeczywistego, jakby stworzonego ręką maga. Piasek odbijał jaskrawe światło słoneczne, a blanki i wieże otaczała płonąca aureola.

Winston i Edwina byli zaręczeni od prawie dwóch lat, potajemnie.

Pułkownik obiecał Winstonowi jej rękę, jak tylko żołnierz osiągnie następny szczebel kariery. A dyplomatyczna misja, w którą został tu wysłany, z pewnością przyniesie mu awans, jeśli tylko uda mu się odnieść sukces. Mimo to się wahał.

Walach, jakby czuł jego niezdecydowanie, przestępował niespokojnie z nogi na nogę. Babu Sa id również patrzył wyczeku-

jąco. Winston próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w gardle. Wiedział, że przyczyną tego nie była tylko wielogodzinna jazda konna w kurzu i w upale. Instynkt doradzał mu zawrócić, ale on wiedział, że to niemożliwe. Wiedział też, że to, co czekało na niego tam, w dole, było nieuniknione.

Spiął konia ostrogami i zaczął zjeżdżać ze skarpy, nie spuszczać z oczu murów Surja Mahal.

Stanęli przed potężną bramą jak petenci - dobrze zbudowany młody Anglik i niski, mizerny sipaj, obaj spoceni, brudni, zmęczeni i pozbawieni blasku mundurów Kompanii Wschodnioindyjskiej, które mieli ze sobą w bagażu. Radżpucy strażnicy zezwolili im niechętnie na wejście na teren pałacu, patrząc na nich z góry jak na żebraków i żądając, by oddali wszelką broń. Babu Sa'id wykrzywił ze smutkiem pomarszczoną twarz, gdy musieli oddać radżputom pistolety i jego ulubione muszkiety Brown Bess.

Przyjęto ich jednak zgodnie z legendarną gościnnością radż-putów. Ich pokoje były duże i wykwintnie wyposażone. Służący zadbali o zaspokojenie ich cielesnych potrzeb. Strudzeni przybysze mogli się wreszcie wykapać, ogolić i ubrać nienagannie w mundury. Winston natychmiast poprosił o audiencję u radży, zdążyły jednak minąć dwa dni i dwie noce, a wciąż nie otrzymywał odpowiedzi. Ani sam ochmistrz, ani żaden inny służący nie byli mu w stanie powiedzieć, jak długo jeszcze potrwa to oczekiwanie i kiedy będzie mógł zobaczyć księcia. Na każde zapytanie odpowiadano mu wzruszeniem ramion, wyrażeniem żalu i wciąż tymi samymi formułkami w jak najbardziej uprzejmym hindustani. W Winstonie się gotowało. Splótłszy ręce, chodził nieprzerwanie między łóżkiem a szeroko otwartymi drzwiami prowadzącymi na wybrukowany dziedziniec, tupał przy tym cicho błyszczącymi butami do konnej jazdy, wypolerowanymi przez Babu Sa'idajuz chyba po raz dwudziesty. W pomieszczeniu sta-

le wiała ciepła, a mimo to przyjemna bryza, nadymała delikatne, długie do podłogi zasłony, ale nie była w stanie schłodzić jego gniewu. Był zły, że radza tak otwarcie lekceważy wysłanników Korony, każąc im czekać w nieskończoność. Babu Sa'id usiadł ze skrzyżowanymi nogami na grubej podusze. Miał wyprostowane plecy, zamknięte oczy i wyglądał, jakby zapadł w drzemkę.

Winston zatrzymał się na progu wychodzących na dziedziniec drzwi i wyrzwał na zewnątrz, ściągając gniewnie jasne brwi. Prawie nie dostrzegał cennych rzeźbień na kolumnach i blankach ani pomalowanych na biało i niebiesko donic z kwitnącymi krzewami. Nie zwrócił też uwagi na pawia, który kroczył po gładkich, jasnych kamieniach i zezował na niego, a w końcu, zignorowany przez Anglika, pogardliwie odwrócił głowę.

Od chwili, gdy Winston zaciągnął się do armii i trafił na indyjską ziemię, minęło sześć lat. Kariera w służbie wojskowej Kompanii

Wschodnioindyjskiej obiecywała sowity żołd, lepszy niż w armii samej królowej. Dodatkowo stwarzała szanse na zrobienie w Indiach kariery, o ile wykaże się ambicją, posłuszeństwem, inteligencją i nawiąże trochę pomocnych kontaktów. Znane były podobne historie. Najpóźniej w pierwszych tygodniach pobytu w tym kraju dowiadywał się o nich każdy żołnierz w koszarach. Były to historie o prostych żołnierzach, którym udało się uszczknąć nieco z niezmiernych bogactw subkontynentu i stali się legendarnymi bogaczami. A Winston był ambitny. Przez całe życie wstydził się tego, że był biedny, choć w jego żyłach płynęła szlachetna, stara krew. Wiedział, że da sobie radę, że któregoś dnia wróci do Anglii jako człowiek bogaty i z wysokimi odznaczeniami, że z satysfakcją będzie odbierał pełne zawiści spojrzenia dawnych kolegów szkolnych, którzy z niego drwili i wyśmiewali się, ponieważ mógł się kształcić jedynie dzięki stypendium kierownictwa szkoły dla szczególnie uzdolnionych uczniów. Dumny stanie przed swoją rodziną, dla której zawsze był mniej ważnym młodszym synem. Małżeństwo z Edwiną połączy go z jedną

z najstarszych rodzin oficerskich w kraju i otworzy mu drogę do dalszej kariery. Wiedział, że musi się tu sprawdzić - cała jego przyszłość zależała od powodzenia bądź niepowodzenia tej misji. Nie mógł sobie pozwolić na żaden błąd.

Usłyszawszy energiczne pukanie do drzwi, odwrócił się. Zobaczył ochmistrza w chabrowym kaftanie, białych bryczesach i szmaragdowym turbanie na głowie. Hindus skłonił się lekko i oznajmił:

-Jego Wysokość dostojny radża prosi do *darbdr1*.

Serce Winstona biło mocno, gdy ramię w ramię z ochmistrem kroczył korytarzami, robiąc tak duże kroki, że musiał uważać, żeby go nie wyprzedzić. Za nim jak cień podążał Babu Sald. Droga do sali tronowej gdzieś w sercu pałacu zdawała się nie mieć końca. Winston nie dostrzegał rzeźbień ani inkrustacji, cennych tkanin, posążków ani dywanów, koło których przechodzili. W jego głowie kłębiły się urywane myśli. Całe jego jestestwo było ukierunkowane na rozmowę z władcą.

Nigdy nie istniały plany militarnego podboju i kolonizacji Indii. Kraj wpadał Anglikom w ręce raczej mimochodem, kawałek po kawałku, w toku licznych małych wojen i potyczek ostatnich dekad. Dla Anglików wystarczającym powodem wojny był wiarołomny radża, który nie chciał się wywiązać z zawartych umów, państwo wasalne zagrożone przez sąsiadów, ataki na brytyjskie terytorium lub pogrążający szablą sąsiad. A po zwycięskich walkach Kompania zyskiwała nowe podległe tereny i źródła przychodów. W Anglikach zakorzeniona była wiara w boską opatrność, która miała czynić ich kraj wiodącą potęgą światową.

Kierowali się niewzruszoną pewnością co do przewagi białej rasy, a ludy indyjskie uważali za bardziej prymitywne formy życia, które trzymały się barbarzyńskich zwyczajów i musiały być prowadzone za rękę jak dzieci, należało im przybliżyć bło-

1 *Darbar* (hindi) - przyjęcie na dworze maharadży; sala audiencyjna (przyp. tłum.).

gosławieństwa angielskiej cywilizacji - postęp techniczny, kulturę, moralność i wreszcie chrześcijaństwo. To była „powinność białego człowieka”, a Anglicy podjęli się fatalistycznie tej misji. Ich panowanie miało wreszcie zapewnić Indiom pokój. Ten wielonarodowy kraj, kalejdoskop języków i religii, był przez całe wieki nękany wewnętrznymi i zewnętrznymi wojnami. A żeby nastąpił trwały pokój, istniał tylko jeden sposób: objąć cały obszar subkontynentu brytyjskim panowaniem, zjednoczyć go pod brytyjską Koroną. *Rule, Britannia - Pax Britannica*. Każda cząstka władzy nieznajdująca się w rękach Anglików rodziła niebezpieczeństwo wojny lub powstania, zagrażała suwerenności kraju, osłabiała jego możliwości obronne na granicach.

Tak więc Winston został wysłany z Kalkuty do odległej Radżputany, żeby skłonić jednego z najpotężniejszych książąt, by ten oddał swe rozległe terytorium pod ochronę i opiekuńcze skrzydła Korony brytyjskiej. Była to delikatna misja, bo władca ten jak dotąd okazywał się głuchy zarówno na pochlebstwa, jak i na groźby Anglików lub sprytnie wykręcał się od odpowiedzi. Stopniowo Winston zaczął się domyślać, jak trudne postawiono przed nim zadanie.

Dwaj wojownicy radżpucy z długimi mieczami i pistoletami w olstrach otworzyli oba masywne, obite złotem skrzydła drzwi na końcu wyłożonej marmurem sali, do której ochmistrz wprowadził Winstona i jego towarzysza. Za progiem leżał czerwony chodnik. Ochmistrz skinął głową, na co Winston wszedł na chodnik. Bâbû Sa'id zgodnie ze swym wieloletnim przyzwyczajeniem chciał pójść jego śladem, ale został powstrzymany krótkim ostrzegawczym rozkazem ochmistrza. *No dobrze, mam więc sam wejść do jaskini lwa* - pomyślał Winston i skinął spokojnie głową swemu sipajowi.

Skrzydła drzwi zatrzasnęły się za nim z hukiem.

W pierwszej chwili oślepił go blask niezliczonych świateł, odbijających się dodatkowo od jedwabście gładkich kamieni,

polerowanego drewna, srebra, złota i faset barwnych kamieni szlachetnych. Mimo to szedł dalej zdecydowanym krokiem. Wysokie runo dywanu tłumilo odgłos jego oficerek, tak więc w obszernym, wysokim pomieszczeniu panowała absolutna cisza. Po obu stronach chodnika klęczały służące z dłońmi złączonymi w geście pozdrowienia, z głowami opuszczonymi tak nisko, że Winston mógł zobaczyć jedynie przykryte końcami sari czubki głów. Dobrze pięćdziesiąt kroków od niego stał niski stół z rozległym blatem, otoczony bogato haftowanymi poduchami, całkowicie nakryty srebrnymi i złotymi tacami oraz misami, obładowany kolorowymi, już z daleka cudownie pachnącymi potrawami. Dziesięć kroków dalej, na podeście, na który prowadziło kilka stopni, wznosił się *gaddi*, tron księcia, tryskający w świetle lamp deszczem iskier z rubinów, szmaragdów i szafirów, którymi był wysadzany. Winston otrzymał dokładne wskazówki, jak ma się zbliżyć do władcy, ale instynkt doradził mu, żeby nie okazywać pokory. Gdy podszedł do stołu, zatrzymał się i podniósł wzrok.

Dheeraj Czand mógł mieć sześćdziesiąt lat. Jego skronie pod turbanem były prawie całkiem siwe, tak samo jak broda. Chociaż miał swoje lata, a także zaczął tyć, to ciągle jeszcze było po nim widać, że musiał być niegdyś zręcznym wojownikiem. Obaj mężczyźni lustrowali się nawzajem wzrokiem, mierząc w milczeniu siły. Nawet z takiej odległości Winston dojrzał zimno i hardość w oczach Czanda, które wyglądały jak wycięte z kamienia, tak różne od oczu młodego mężczyzny, który stał z prawej strony tronu, ubrany w taki sam mundur - białe bryczesy, długi biały kaftan ze złotymi haftami, przepasany szkarłatną szarfą, której barwa była identyczna z kolorem turbanu. A jednak tych dwóch Hindusów łączyło pewne podobieństwo, chociaż młody mężczyzna, niewiele młodszy od Winstona, przyglądał się stojącemu przed nimi aroganckiemu Anglikowi zarazem z ciekawością i rozbawieniem. Przy podeście stało czterech radżpuckich wo-

jowników z gniewnymi minami i z rękoma gotowymi do walki, spoczywającymi na rękojeściach mieczy.

-Jestem Dheeraj Czand - przerwał milczenie radża grzmiącym głosem i uniósł prawą rękę ozdobioną ciężkimi pierścieniami. - A to mój najmłodszy syn, Mohan Tadzid Czand.

- Wasza Wysokość, przybywam na polecenie Jej Królewskiej Mości królowej Wiktorii - odpowiedział Winston nie mniej zdecydowanym głosem w bezbłędnym hindustani, trzasnął obcasami i zasalutował. - Kapitan Winston Neville.

2

Dheeraj Czand patrzył w milczeniu i przeciągle na żołnierza, który niewzruszenie wytrzymywał jego wzrok, nie mrugnawszy nawet okiem. Winston czuł, że po plecach zaczyna mu spływać zimny pot. Zastanawiał się, czy radża wygoni go po prostu z pałacu, czy rzuci dzikim zwierzętom na pożarcie, ale nie okazywał żadnych emocji.

- Albo jest pan szczególnie arogancki, albo szczególnie odważny. - Niski głos księcia przerwał wreszcie przytłaczające milczenie.

- Ani jedno, ani drugie, Wasza Wysokość. Przybywam jako wysłannik koronowanej głowy do władcy innego kraju. Nic poza tym - odpowiedział Winston pewnym głosem.

Dheeraj Czand podparł ręką brodę i spojrzał na Winstona z zainteresowaniem.

- Mądra odpowiedź. W każdym razie nadzwyczaj dobrze włada pan naszym językiem. Należy to nagrodzić.

Klasnął w dłonie, w tej samej chwili Winston usłyszał za plecami lekki szelest, jakby niezliczone ptaki zamachały jednocześnie skrzydłami. To służące, które siedziały w milczeniu i nie-

ruchomo jak posągi, pospiesznie, lecz z wdziękiem zerwały się i pobiegły, żeby przynieść czaj i pozdejnować cyzelowane pokrywki z półmisków i mis, które utrzymywały w ciepłe potrawy.

Radza podniósł się majestatycznie i zszedł po schodach podestu.

- Niech pan będzie dzisiaj moim gościem, kapitanie Neville.

Usiedli ze skrzyżowanymi nogami na poduchach wokół nakrytego stołu, książę naprzeciwko Winstona, jego syn pomiędzy nimi. Nawet w tej swobodnej pozycji Czand nie utracił nic ze swej godności i dostojęstwa, którymi emanował na tronie. Jego czterech strażników ustawiło się wokół nich w należytej odległości, ale na tyle blisko, że mogli w każdej chwili interweniować, gdyby życie i zdrowie ich władcy znalazło się w niebezpieczeństwie.

- Nie sądzę, żeby lubił pan owijać sprawy w bawełnę - zaczął radza rozmowę między dwoma kęsami kurczaka w sosie curry. -Dlaczego pana tu przysłano?

Winstonowi, który właśnie przelykał potrawę z grochu i warzyw, udało się ukryć zaskoczenie. Bezpośredniość, z jaką Czand się do niego zwrócił, pytając o powód wizyty tutaj, nie odpowiadała obrazowi podstępного, wykrętnego stratega, jaki został mu przedstawiony.

- Żeby zaproponować pańskiemu krajowi ochronę angielskiej Korony.

W tym samym momencie zrozumiał, że wpadł ślepo w zasadzkę, jaką zastawił na niego tym pytaniem Czand.

- Gdyby mój kraj potrzebował ochrony zagranicznego państwa, toby znaczyło, że straciłem jakiekolwiek prawo, żeby być jego władcą, i zasłużyłem na haniebną śmierć.

Twardy, metaliczny ton w głosie Czanda sprawił, że filiżanki z parującym czajem zadrżały. Radza zmrużył ledwo zauważalnie czarne oczy i patrząc na Winstona, rzekł:

- W rzeczywistości chodzi tylko o to, żeby zdobyć absolutne władztwo nad Indiami aż po najodleglejszy zakątek pustyni

i Himalajów. Czy w waszym Piśmie Świętym nie jest napisane: „Ja jestem Pan, Bóg twój, nie będziesz miał bogów cudzych przede mną”?

- Wasza Wysokość, to tylko kwestia czasu, żebyśmy... Radża przerwał mu pełnym niezadowolenia syknięciem.

- Proszę mi nie grozić, kapitanie. - Pokręcił głową w zamyśleniu, niemal zasmucony. - Kwestia czasu... Co wasz naród może wiedzieć o czasie? - W jego oczach, błyszczących jak czarne diamenty, pojawiła się pogarda. - Mierzycie go tymi waszymi zegarami. Ładne zabawki, sam mam ich kilka. Małe cuda, póki się ich nie rozbierze i nie zrozumie mechanizmu ich działania. Wy odliczacie pokolenia, pędzicie naprzód po torach waszych maszyn parowych. Ale nie na tym polega istota czasu. Czas jest kołem, które się nieustannie kręci i porusza poprzez cykliczne następowanie po sobie dzieła stworzenia i zniszczenia. Jeden z tych obrotów trwa tyle co dzień i noc Brahmy, boga stworzenia, i obejmuje cztery wieki świata, czyli kilka milionów ludzkich lat. Wszechświat powstaje w momencie narodzin Brahmy i zostaje unicestwiony w chwili jego śmierci; potem cykl zaczyna się od nowa. A w małym wymiarze nasza nieśmiertelna dusza, *brahman*, powtarza ten cykl śmierci i ponownych narodzin, póki nie uda się nam osiągnąć mokszy, wybawienia z tego wiecznego cyklu. To właśnie jest czas, kapitanie.

- Możecie tak to postrzegać - odpowiedział ostro Winston - ale...

- Teraz żyjemy w wieku kalijugi, czyli wieku przywar i przemocy, niewiedzy i żądz. A wy chcielibyście przejąć nie tylko bogactwa Indii, ale przede wszystkim pragniecie władzy dla samej władzy. Lecz wasz czas tu się kończy. Słyszeliście o bitwie pod Plassey?

Słynna bitwa pod Plassey rozegrała się 23 czerwca 1757 roku, kiedy to Robert Clive w genialny sposób pokonał mające liczebną przewagę oddziały Siraja Ud Daulacha, nababa z Ben-

galu. Jego zwycięstwo zapewniło Brytyjczykom militarną hegemonię w Bengalu - początek angielskiego panowania w Indiach.

- Od tego czasu wasze panowanie miało trwać tylko sto lat, by się potem skończyć w potokach krwi. Do tej chwili pozostało tylko trzynaście lat, nie macie więc za dużo czasu, waszego czasu...

- Nie przykładam wagi do prorocत्व - zaprzeczył gwałtownie Winston. - Nie ma nieuniknionego losu, jest tylko wolna wola i wynikające z niej konsekwencje.

Dheeraj Czand spojrział na niego przeciągle, a potem zaczął mówić przerażająco cichym głosem, podkreślając każde słowo:

- Pan mówi naszym językiem, kapitanie Neville, ale o Indiach wie pan równie mało co o życiu. Jeśli nie będzie pan uważał, któregoś dnia drogo pan za to zapłaci, tak samo jak pański naród. Uważałem, że jest pan mądrzejszy. Na dzisiaj żegnam już pana...

- Wasza Wysokość, ja... - odważył się zaprotestować Winston, ale radza z gniewnym błyskiem w oczach wrzasnął:

- Wyjść!

Winston podniósł się chwiejnie i skłonił mechanicznie, jak w transie. Odszedł, krocząc czerwonym dywanem. Skrzydła drzwi otworzyły się przed nim i zaraz z powrotem zatrzasnęły. Szedł dalej pustymi korytarzami, wciąż tak samo oszołomiony. Jego kroki głośno dudniły i odbijały się echem od ścian. Nie zastanawiał się nawet, gdzie się podział Babu Sa'id. Jego myśli krążyły wyłącznie wokół dopiero co doznanej klęski.

Był tak zaszokowany, że nie potrafił odczuwać złości, a tylko rozgoryczenie i wstyd. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak upokorzony. Dheeraj Czand zbeształ go jak uczniaka i zmieszał z błotem, a w końcu wyrzucił na zbity pysk za drzwi, jego, który od małego wyróżniał się wiedzą i imponującą logiką, który był ceniony przez nauczycieli i przełożonych za swoje osiągnięcia, pilność i odwagę.

Dzięki wytrenowanej w wojsku orientacji przestrzennej znalazł w labiryncie korytarzy drogę powrotną. Jak zbity pies otworzył cicho drzwi pokoju, w którym go ulokowano, w nadziei, że nie spotka tam Babu Sa'ida i nie będzie musiał mu opowiadać o tym, co się stało, a tym samym nie straci twarzy przed swym sipajem.

Ale te myśli uleciały w jednej chwili, ustąpiły miejsca niesamowitemu zdziwieniu, gdy wszedł do środka. Jego wejście przerwało ożywioną rozmowę, którą Babu Said prowadził z synem radży. Obaj spojrzeli na Winstona.

- Jak, do diabła... - wymsknęło się Winstonowi po angielsku, gdy drzwi się za nim zatrzasnęły.

Zastanawiał się gorączkowo, w jaki sposób młody Czand, który dopiero co siedział z nim oraz ze swoim ojcem w sali tronowej, mógł dotrzeć tu przed nim, nie będąc nawet zdyszczanym. Najwidoczniej też od dłuższego czasu był pogrążony w rozmowie z jego sipajem.

Mohan Tadzid zasiadł wygodnie w fotelu, a na jego ogolonej twarzy pojawił się szelmowski uśmiech.

- Nie istnieje radżpucki pałac, który nie miałby tajemnych przejść! Dorastając tu, miałem dość czasu i powodów, żeby odnaleźć i poznać większość z nich. Radżputana jest wprawdzie krajem cudów i magii, ale nie wszystko, co na pierwszy rzut oka wygląda na diabelską sztuczkę, jest też takie przy lepszym wejrzeniu.

Winston potrzebował dłuższej chwili, nim do niego dotarło, że młody Czand mówi po angielsku - wprawdzie z akcentem, ale prawie bezbłędnie. Był tym niezwykle zaskoczony.

- Gdzie pan poznał tak dobrze nasz język... Wasza Wysokość? - zapytał pospiesznie, przypominając sobie reguły uprzejmości.

Mohan Tadzid uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Dokładnie o to samo chciałbym spytać pana, kapitanie Neville! O to i jeszcze o inne rzeczy. - Skinął głową Winstonowi. - I proszę mnie nazywać po prostu Mohan Tadzid.

W tym momencie odezwała się żołnierska nieufność Winstona, a jego twarz spochmurniała. - Czy Jego Wysokość radza wie, że pan tu jest? Twarz Mohana Tadżida nagle spoważniała. - Nie. I lepiej będzie, jeśli się nie dowie. - Ściszył głos. - Tu mury mają oczy i uszy, które także dla wtajemniczonych są często trudne do odnalezienia. Proszę za mną! - Wstał szybko, dużymi, ale prawie bezszelestnymi krokami podszedł do przeciwległej ściany i zaczął manipulować przy drewnianej, rzeźbionej boazerii. Płyta o wysokości człowieka otworzyła się do środka, odsłaniając ziejący czarny otwór. Młody Czand wziął z najbliższego stołu lampę i ruchem głowy wskazał Winstonowi, żeby szedł za nim. Winston się zawahał. A jeśli to zasadzka? Czy mógł zaufać synowi radży? Mohan Tadżid poczekał na niego cierpliwie, Młody Hindus, prawie tak wysoki jak Winston, był szczupły i wysportowany. Jego ciemna jak wypolerowane drewno skóra kontrastowała z jaskrawą bielą munduru, a w czarnych oczach połyskiwała żądza przygód i wesołość, ale Winston nie zdołał w nich odkryć ani śladu podstępny czy złych intencji. I chociaż rozum go ostrzegał, to instynkt podpowiedział mu, że może zaufać Mohanowi Tadżidowi. Skinął więc głową, ruchem ręki nakazał Babu Saidowi, żeby poczekał na niego, a następnie wszedł w ciemność. Delikatnym pociągnięciem Mohan Tadżid zamknął za nimi płytę. Przywitała ich mieszanina chłodu oddawanego przez kamień i duszącego, gorącego powietrza. Winstonowi było chłodno, a zarazem na czoło wystąpiły mu krople potu. Korytarz był tak wąski, że musieli iść jeden za drugim. Mohan Tadżid kroczył z przodu, a lampa oświecała korytarz ledwo dwa kroki naprzód. Winston stracił jakiekolwiek wyczucie czasu i przestrzeni, nie potrafiłby powiedzieć, jak długo idą i w jakim kierunku. Mohan Tadżid stanął tak nagle, że Winston niemal na niego wpadł.

Usłyszał lekkie puknięcie, a po chwili Mohan Tadżid wyszedł przez niskie drzwi na zewnątrz, na dziedziniec. Winston z ulgą wdychał nocne powietrze, ciepłe jak na tę późną godzinę, a jednak lekkie i świeże po stęchłym zapachu tajemnego korytarza. Ostrożnie, cal po calu, Mohan Tadżid zamknął z powrotem drzwi. Starając się nie robić hałasu, przeszli cichym krokiem przez wewnętrzny dziedziniec, na drugim końcu wspięli się szerokimi drewnianymi schodami na górę i weszli na galerię okoloną rzeźbioną balustradą.

Mohan Tadżid dotknął lekko ramienia czerwono-złotego munduru Winstona i wskazał na jasno oświetlone przejście pod nimi, znajdujące się między wysokimi kamiennymi kolumnami. Winston rozpoznał natychmiast to przejście po dwóch lwach z brązu, które podnosiły łapy po obu stronach drzwi. I wiedział dokładnie, że owi czterej uzbrojeni po zęby radżpucy wojownicy mogli jeszcze przed chwilą stać pod drzwiami jego pokoju...

Poczuł, że Mohan Tadżid wpatruje się w niego. Odpowiedział na to głębokie, spokojne spojrzenie kiwnięciem głowy, by dać do zrozumienia, że wie, o co chodzi. Mohan Tadżid znowu kiwnął na niego ręką. Z galerii skręcili w pozornie niekończący się korytarz z kolumnami, pomiędzy którymi widać było rozgwieżdżone niebo nad pustynią. Koszula Winstona, którą nosił pod ciężkim surdudem, przykleiła mu się do spoconych pleców, ponieważ była to najgorętsza pora roku. Lekki wiatr, który powiewał między potężnymi kamiennymi filarami, chłodził go przyjemnie.

W następnej sekundzie poczuł, że Mohan Tadżid chwyta go za rękaw i ciągnie za jedną z kolumn po wewnętrznej stronie korytarza. Odruchowo spróbował się uwolnić z uchwytu i ze zdumieniem stwierdził, że nie doceniał siły Mohana Tadżida. Młody Hindus przylgnął do sąsiedniego filaru i przyłożył palec wskazujący do warg. Winston wsłuchiwał się w noc, ale nie usłyszał nic poza szeptem wiatru i odległym krzykiem zwierzęcia gdzieś

w oddali. Potem, po krótkiej wieczności, kroki, energiczne, równe i zdecydowane, dudniące po gładkiej kamiennej posadzce. Winston przylgnął do ściany i zerknął przez ramię. Dwóch radżputów przemaszerowało obok w ramach obchodu. Wieczność trwało, nim oddalił się dźwięk stawianych kroków, by w końcu ucichnąć między murami pałacu. Dopiero po dłuższej chwili Mohan Tadżid dał mu ręką sygnał, że mogą iść dalej. Droga prowadziła ich słabo oświetlonymi korytarzami, mijali położone w półmroku sale, posągi rzucające demoniczne cienie i robiące wrażenie gigantycznych, ponure i rozmyte w nocy malowidła ściennie i inkrustacje, których można się było raczej domyślać, niż je zobaczyć. Winston automatycznie starał się zapamiętywać drogę, charakterystyczne punkty i zakręty. Sufit ustąpił znowu miejsca gwiazdzystemu niebu, a oni znaleźli się w nocnym ogrodzie.

3

Winston słyszał wiele historii o nieskończone skomplikowanych pałacach radżpuckich, wielusedetnich, wybudowanych w pustyni na podziemnych źródłach. Zawsze uważał te opowieści za wymyślone albo przynajmniej za znacznie przesadzone. Ale to, co zobaczył tej nocy, prześcignęło najbardziej fantastyczne bajki.

W powietrzu czuć było ciężki zapach kwitnących nocą tuberoz. Światło gwiazd i kragłej tarczy księżyca rozlewało się srebrzyście po kwadratowym, obszernym dziedzińcu. Odbijało się w białych wzorach na płytach posadzki oraz w marmurowej misie fontanny, z której z szumem tryskała woda. W mroku odznaczały się sylwetki krzewów o gęstym listowiu i drzew, bla-doszare odcienie liści pozwalały się domyślać istnienia kolorów.

- Tu nikt nie będzie nam przeszkadzał - stwierdził Mohan Tadżid.

Jego głos był denerwująco niski jak na młodego mężczyznę, brzmiał przesadnie głośno po tym, jak długo milczeli, idąc tutaj, zdawał się zdradziecko odbijać od ścian opustoszałego dziedzińca.

- Tu zaczyna się zakazana część pałacu - tłumaczył Hindus. - Oznacza to, że jest to miejsce zakłete. Tylko Paramdżit ma odwagę się tutaj zapuszczać. To głuchoniemy ogrodnik, który troszczy się o dziedziniec. Wszyscy i tak uważają go za szaleńca. Wolno mu tu robić, co chce. W tym miejscu nie czuje się odrzucony przez innych.

- A jeśli ten ogrodnik nas tu odkryje?

- Nie zdradziłby nas - odpowiedział lakonicznie Mohan Tadżid tonem, który nie dopuszczał wątpliwości.

Winston ruszył za młodym Czandem przez dziedziniec, po drodze wyłożonej płytkami tworzącymi kwadrat. W zamyśleniu popatrzył na wysoki mur po przeciwległej stronie, z którego wyrastała sięgająca wysoko w nocne niebo wieża, ciemna i nieoświetlona, zbudowana z jasnego kamienia, srebrzyście połyskującego w świetle gwiazd.

- Dlaczego to miejsce ma być zakłete?

Mohan Tadżid milczał. Winston pomyślał, że może zapytał za cicho, ale Hindus nagle odpowiedział chropowatym głosem:

- To długa historia.

W tych słowach zabrzmiał niebezpiecznie agresywny ton. Winston był zaintrygowany, ale zrozumiał, że lepiej o to nie pytać, zwłaszcza że w głosie Hindusa dosłyszał - jak mu się zdawało - cień smutku.

Syn radży poprowadził go między krzewami jaśminu, pod pergolą obrośniętą pnącymi różami, do masywnej, rzeźbionej ławki z ciężkiego drewna, na której usiadł i dał znak Winstonowi, by ten również spoczął.

- Dlaczego tu przyszliśmy?

Młody Czand wyciągnął wygodnie nogi w czarnych oficerkach do jazdy konnej i wpatrując się w nie, rzekł:

-Jak już powiedziałem: radżpucki pałac pełen jest tajnych podsłuchiaczy i obserwatorów. Sam nie wiem, który z nich zna pański język. Gdyby radża dowiedział się o naszej rozmowie, mogłoby to spowodować zgubę na nas obu.

- Ale pan jest przecież jego synem - wtrącił zdumiony Winston. Mohan Tadżid uśmiechnął się, błyskając w ciemnościach zębami.

- Oczywiście, ale dla nas, kszatrijów, honor jest ważniejszy niż więzy krwi, a zdrada pozostaje zdradą, nieważne, kto ją popełnił. Radża i tak traktuje mnie bardziej pobłażliwie niż moich starszych braci i siostry. Ale nie wybaczyłby mi zawarcia przymierza z wrogami.

- A czy pan zamierza... się z nami sprzymierzyć?

Syn radży milczał przez chwilę, pochylił się do przodu, podniósł z ziemi gałązkę, którą zaczął obracać w palcach, a potem mówił dalej:

- Nie pomogę panu przejąć kontroli nad tym krajem, za bardzo go kocham. Radżputana musi pozostać wolna. Całe Indie powinny być wolne. - Winston otworzył usta, żeby energicznie zaproponować, ale Mohan Tadżid nie dopuścił go do słowa. - Chcę panu pomóc uratować skórę, którą pan osobiście naraża na szwank, podobnie jak ci, co tu pana lekkomyślnie i zuchwale przysłali.

Winston spojrzał na niego ze zdumieniem.

- Dlaczego pan tak uważa? Jutro rano opuścę pałac, nic nie dziając, i wrócę do Dżajpuru.

Mohan Tadżid odpowiedział na jego spojrzenie nieprzenikniętym wyrazem oczu.

- Radża ma rację, nie ma pan najmniejszego pojęcia o Indiach. Sądzi pan, że strażnicy stojące przed paną pokojem mają się zatroszczyć, żeby nikt nie zakłócał panu snu?

Winston nie wiedział, co ma odpowiedzieć, z zakłopotaniem odwrócił wzrok, nie mogąc znieść przenikliwego spojrzenia Mohana. Tymczasem ten ciągnął dalej:

- Utknął pan tu na dobre, Winstonie. Radza nie lubi się bawić w kotka i myszkę, jak to wy mówicie. Nie pozwoli panu tak po prostu odejść, ani dzisiaj, ani jutro. Przekupi pana pięknymi kobietami, klejnotami i słodkim życiem, aż w końcu zapomni pan o Anglii i swojej misji. Zaprosi pana na partię szachów i będzie nim pogardzał, jeśli pan przegra albo tylko osiągnie remis, i znienawidzi pana, jeśli pan wygra. Wciągnie pana w filozoficzne i polityczne dyskusje, aż skończą się panu argumenty i popełni pan błąd, który będzie mógł zinterpretować jako atak na swój honor. Zaprosi pana na polowanie, a gdy się pan nagle poruszy, odbierze to jako atak na swoje życie. Nie spocznie, póki nie zapędzi pana w róg, z którego nie uda się panu wydostać, a on wtedy z rozkoszą wbije w pana swoje pazury. Może pana zniszczyć, Winstonie, i zrobi to.

- To śmieszne! - zawołał zdenerwowany Winston i zerwał się na równe nogi. - Jestem wysłannikiem Korony, gdyby mi się coś stało...

- To co wtedy? - przerwał mu Mohan Tadżid nie mniej gwałtownie. - Jeśli faktycznie wkroczy tu oddział angielskich żołnierzy, żeby szukać miejsca pana pobytu, to nikt pana tu nie widział. Zaginał pan gdzieś na terenie morderczej pustyni pomiędzy Dżajpurem a Surja Mahał. Nie byłby pan pierwszym, któremu coś takiego się przydarzyło. A nawet gdyby coś podejrzewali... Przy całym szacunku dla pańskiej osoby, Winstonie, nie sądzi pan chyba, że pańscy ludzie z powodu zwykłego kapitana wszczęliby w tej niegościnniej okolicy wojnę z Dheerajem Czandem i ze sprzymierzonymi z nim książętami?

Winston nie mógł zaprzeczyć słuszności słów Mohana Tadżida, choć wszystko się w nim gotowało. Spojrzał gniewnie na młodego Czanda.

- Dlaczego miałbym panu ufać? Skąd mam wiedzieć, że nie wciąga mnie pan właśnie w zasadzkę? - odrzekł ostro.

Na twarzy Mohana pojawił się rozbawiony uśmiech.

- Nie może pan tego wiedzieć. Ale musi pan podjąć decyzję.
- Skoro jest pan po mojej stronie, to dlaczego nie wyprowadzi mnie pan którymś z tych tajemnych przejść na zewnątrz, póki jest jeszcze noc? - zapytał Winston.

Twarz Mohana po raz pierwszy przybrała poważny wyraz.

- Bo nie wiem, czy wszystkie przejścia, które prowadzą na zewnątrz, nie są obecnie ściśle pilnowane. A tak w ogóle, to wcale nie jestem po pańskiej stronie, nie jestem też po stronie radży. Jestem tylko zdania, że nie powinien pan płacić życiem za swoją lekkomyślność i niewiedzę. - Wzamyśleniu zmarszczył czoło pod turbanem i oparł się plecami o ławkę, splótłszy ręce. - Jednakże zaskakuje mnie ta propozycja. Uważałem pana za prawdziwego żołnierza, który woli honorową walkę niż tchórzliwą ucieczkę.

Spojrzał na Winstona z pytaniem w oczach. Winston poczuł zażenowanie. Z gniewu poczerwieniały mu policzki.

- Co więc pan proponuje? - zapytał ostro.
- Powiem panu wszystko, co musi pan wiedzieć, żeby opuścić to miejsce całym i zdrowym. A pan za to opowie mi o Anglii.

Winstonowi zadrgały mimowolnie kąciki ust. Zobaczył, że młody Czand czuje się podobnie. We wzajemnym zrozumieniu obaj wojownicy tak różnego pochodzenia popatrzyli na siebie z uśmiechem.

- Zgoda - kiwnął głową Winston i mocnym uściskiem ręki przypieczętował porozumienie z radżpuckim księciem.

4

Zakazany, robiący wrażenie zaklętego dziedzińca stał się miejscem ich potajemnych spotkań. Paramdżit, stary ogrodnik o wykrzywionych od długoletniego pielęgnowania palcach i skórze spalo-

nej przez słońce przynosił Winstonowi każdego dnia kwitnącą gałązkę lub owoc i sygnalizował mu na palcach oraz konspiratorskim spojrzeniem, o której godzinie ma się zjawić w ogrodzie. Winston zdążył już poznać na pamięć drogę prowadzącą tajemnym przejściem i skomplikowanymi korytarzami, wyczulił się na najcichsze podejrzanego odgłosy i zdradzieckie kroki, które mogłyby stanowić dla niego niebezpieczeństwo.

Podczas potajemnych spotkań, w ciągu dnia przy śpiewie ptaków, a nocą przy cykaniu świerszczy, Mohan Tadżid opowiadał o wielusetletniej tradycji kszatrijów, ich światopoglądzie, religii, o tym, jak pojmują honor, który jest dla nich sprawą nadrzędną. Winston zrozumiał, że do tej pory nic właściwie nie wiedział o Indiach. Stopniowo zaczął postrzegać ten kraj i jego ludzi innymi oczami. Przybywszy do Indii, szybko nauczył się najważniejszych języków: bengali, urdu, hindustani, ponieważ nauka przychodziła mu łatwo, a wiedział, że znajomość języków ułatwi mu karierę i jest koniecznym warunkiem, żeby się zasłużyć dla Korony. Nigdy nie podobała mu się arogancja wielu kolegów i przełożonych twierdzących, że Indie są prymitywnym krajem, nad którym powinni panować Europejczycy, a przede wszystkim Brytyjczycy. Często też raziła go brutalność i samowola, z jakimi jego rodacy udowadniali „czarnuchom” swoją przewagę i władzę. Nie należał jednak do tych romantyków, dla których Indie są egzotycznym rajem. Jego stosunek do tego kraju pozostawał zawsze obojętny, pozbawiony jakichkolwiek emocji. Indie były dla niego częścią brytyjskiego imperium i nie dociekał, czy ta okoliczność jest uzasadniona. Był to fakt, który przyjmował do wiadomości, nie zastanawiając się nad nim ani nad własnymi zadaniami. Był po prostu małym trybikiem w maszynerii, która dzień po dniu podtrzymywała ten stan rzeczy. Zwracał uwagę jedynie na to, żeby jak najlepiej pełnić służbę, a przy tym wspinać się krok po kroku po szczeblach kariery.

To jego nastawienie się nie zmieniło, ale zaczął odczuwać szacunek dla historii tego kraju, tutejszych ludzi i ich kultury.

W przeciwieństwie do niego Mohan Tadźid chłonał pożądliwie wszystko, co Winston opowiadał o Anglii, o technice i nauce, o historii i wierzeniach ludowych, wiercił mu dziury w brzuchu, wypytywał o ten daleki kraj, którego tradycję i kulturę znał tylko z książek i z suchych lekcji udzielanych mu przez angielskiego korepetytora. Radża zadbał o to, żeby jego synowie poznawali język i zwyczaje wrogów po to, by mogli pobić Anglików ich własną bronią.

Winston sam był zdania, że się dzielnie trzymał podczas tych nielicznych *darbdr*, których udzielił mu radża. Biesiadom towarzyszył delikatny dźwięk strun sitarów², który nabrzmiwał i cichł, czasami tłumiony głuchymi uderzeniami w table³. Urodziwe służące serwowały ostre, aromatyczne i słodkie smakowitości, rzucając Winstonowi spod opuszczonych rzęs łakome spojrzenia. Anglik, choć z trudem, koncentrował się jednak wyłącznie na słowach Dheeraja Czanda, jego gestach i spojrzeniach. Zaczął nabierać wyczucia - w porę wietrzył grożące zasadzki i przytyki, elegancko ich unikał, wymijał jakiegokolwiek aluzje i pytania dotyczące jego misji oraz zamiarów Korony. Nauczył się reagować uprzejmie, a jednocześnie niewiążąco, bez podważania autorytetu królowej i Kompanii Wschodnioindyjskiej, w chwilach gdy książę demonstrował mu swoją potęgę, oprowadzając go po wystawnych salach pałacu albo pokazując z blanków, jak rozległe są jego ziemie, zapraszając na pokazy sztuki wojennej swoich żołnierzy bądź próbując go przekupić drogimi prezentami.

Pewnego razu, wróciwszy ze spotkania z Mohanem Tadźidem, Winston zastał bardzo rozdrażnionego Babu Saida, który wiódł gwałtowną potyczkę słowną z wyjątkowo piękną młodą kobietą przypominającą furie, lecz ubraną lekko, w prześwitu jące sari, którą - jak się szybko okazało - przysłał radża w darze na noc. Winston oznajmił jej, wyrażając żal, że docenia ten zaszczyt, ale jest w Kalkucie zaręczony, a w jego kręgu kulturowym utrzymywanie w takim przypadku cielesnych kontaktów z innymi kobietami jest uważane za bardzo niehonorowe. Kobieta wyniosła się w końcu obrażona. Tak samo

2 Sitar - tradycyjny indyjsko-perski strunowy instrument muzyczny (przyp. tłum.).

3 Tabla - tradycyjny indyjski bęben (przyp. tłum.). 302

odrzucał zaproszenie na polowanie, uzasadniając, że jego własny koń stanowiłby hańbę dla dumnego araba księcia, a jego talenty jeździeckie ograniczają się do dosiadania bitewnych koni angielskich, lecz nie sprostałby jeździe na szlachetnych rumakach radży. Podobnie przyniósłby dyshonor królowej, gdyby ze swoimi mizernymi zdolnościami przystąpił do partii szachów z radżą. Po księciu widać było, że nie wierzy w ani jedno słowo, ale także, że zrodziła się w nim maleńka iskierka szacunku dla zręczności i sprytu Winstona. Anglik miał uczucie, że Czand stopniowo zaczyna go traktować poważnie.

Nie zbliżył się jednak ani na krok do celu swego pobytu. Nie udało mu się nawet przeprowadzić rzeczowej dyplomatycznej rozmowy z księciem, a stałe napięcie uwagi, udawanie i świadomość zagrożenia, które nad nim wisiało, zaczęły go męczyć.

Chociaż wiedział, że dzisiejszej nocy nie spotka się z Mohanem Tadżidem, obrał znaną drogę do ogrodu. Dziedziniec był dla niego jedynym miejscem w pałacu, gdzie mógł się czuć bezpiecznie, gdzie swobodnie oddychał, nie czując się obserwowanym ani podsłuchiwanym. Zaczął więc odwiedzać to miejsce częściej, także samotnie.

Ledwo zdążył przekroczyć próg dzielący ostatnią salę od ogrodu, ogarnęło go błogie uczucie absolutnego spokoju. Noc była bezksiężycowa, a niezliczone gwiazdy, jasne i wielkie nad bezludną pustynią, znajdowały się tak blisko, jakby miały w następnej chwili spaść na ziemię. Wciąż jeszcze było gorąco. Ziemia łaknęła deszczu, ale monsun nadal kazał na siebie czekać. Kurz pustyni spoza murów mieszał się z rzeźkością nocnego powietrza

i oszłamiającym zapachem kwiatów, wilgotnych liści i świeżo nawodnionej gleby, splatał się z monotonnym cykaniem świerszczy. Winston oddychał głęboko. Czuł, jak opada z niego napięcie dnia. Nagle usłyszał kroki na wyłożonej płytkami posadzce. Z przyzwyczajenia obrał drogę prowadzącą ku ławce stojącej w ukryciu w tylnej części dziedzińca, głęboko wciągał do płuc spokój i uczucie wolności.

Trzaśnięcie gałązki, delikatny szelest. Odwrócił się gwałtownie, impulsywnie, gotowy do obrony, potem zaskoczony, jakby sądził, że widzi ducha niskiego wzrostu i wiotkiej postawy, połyskującego białą, prześwitującego w blasku gwiazd. Piskliwy okrzyk przerażenia zabrzmiał na dziedzińcu, odbił się od murów, a postać rzuciła się do ucieczki przed siebie, zaplątała się we własną odzież, zachwiała i upadła twardo na płytki. Spod welonu wylał się potok ciemnych, błyszczących włosów, długich do bioder, opadł na twarz, a jabłko, które owa postać trzymała w rękach, potoczyły się po gładkiej posadzce. Winston chciał jej pomóc wstać, dotknął jej ramienia, na co ona tak się wzdrygnęła, że aż się przestraszył -jakby oczekiwała, że ją uderzy. Troskliwie przykląkł obok niej.

- Nie bój się, dziewczyno - powiedział cicho w hindustani. - Nic ci nie zrobię.

Nie zareagowała, rozszlochała się tylko bezgłośnie. Ostrożnie odgarnął gęste włosy z jej twarzy, zadrżał, poczuwszy ich ciężar, a zarazem gładkość, poczuł łyżę na palcach. Jej spojrzenie ugodziło go prosto w serce.

Była jeszcze bardzo młoda, dziecko prawie, ale wyraz jej wielkich, mokrych od łez oczu o kształcie migdałów był prastary. Była taka piękna, niesamowicie piękna; twarz w kształcie serca z wysokimi kośćmi policzkowymi, skóra jasna, połyskliwa, o odcieniu pomiędzy alabastrem a jasnym złotem, usta delikatnie wygięte i pełne, o barwie łagodnej, matowej czerwieni. Patrzyła na niego złęknioma, a mimo to w jej oczach odkrył błysk szczęścia, jakby wreszcie znalazła to, czego tak długo szukała.

- Chodź.

Ostrożnie pomógł jej wstać i zaprowadził ją do ławki. Jej szczupłe, drżące ciało robiło wrażenie niezwykle kruchego pod jego wielkimi dłońmi.

Usiadł obok niej nieporadnie. Nie wiedział, co ma zrobić. Krępowano go to, że dziewczyna się nie odzywa, patrzy tylko przed siebie, zerkając na niego ukradkiem spod zasłony gęstych włosów, i gniecie rąbek białego, pozbawionego ozdób sari. Nie był zbyt doświadczony w kontaktach z kobietami, czuł się bezradny i niezręczny, wodził spojrzeniem bez celu po nocnym ogrodzie, ale ta niezwykła dziewczyna siedząca obok wciąż przyciągała jego wzrok.

W końcu westchnął i wyciągnął rękę, żeby pogłaskać ją uspokajająco po włosach. Musiała się zorientować dopiero teraz, że nie miała nakrycia głowy. Złęknioma chwyciła gorączkowo koniec materiału, próbując w popłochu z powrotem zasłonić włosy.

- Nie, zostaw. - Winston powiedział to ostrzej, niż zamierzał.

Znieruchomiała i spojrzała na niego ze zdumieniem. - Twoje włosy... - przełknął ślinę, jego głos był ochrypły. - Twoje włosy są takie piękne. Z zakłopotaniem spojrzał w jej zdziwione oczy. Dziewczyna zawahała się, po czym opuściła rękę.

- Powiedz, dziewczyno - zwrócił się do niej ponownie - czy potrafisz mówić?

Zaczerpnęła powietrza, jej wargi się rozchyliły, ale nie wydała z siebie dźwięku.

- Jak masz na imię? - drażył. - Co tu robisz?

Chrząknęła, jakby nie nawykła do mówienia, potem ochrypłym głosem odpowiedziała:

- Mam na imię... Sitara.

Zaczęła opowiadać, powoli, zacinając się, najpierw głos jej się łamał, ale potem stał się zadziwiająco pewny i czarujący.

* * *

Sitara przyszła na świat jako najmłodsze dziecko Dheeraja Czandę z rodu Czandrawamsia, dzieci księżycy, i jego ukochanej żony Kamali z rodu Surjawamsia, dzieci słońca. Nikt się nie spodziewał, a najmniej Kamala, że po czterech synach i dwóch córkach bogowie obdarzą ich jeszcze jednym dzieckiem, ale tak zrobili. Wprawdzie dali im tylko dziewczynę, ale taką, która była jasna jak księżyc i piękna jak gwiazdy na niebie ponad pustynią, nazwali ją więc Sitara, czyli gwiazda. Już w kilka tygodni po narodzinach została obiecana synowi sąsiedniego radży, żeby umocnić pokój między obu księstwami, utrzymujący się już od wielu lat. Gdy Sitara miała kilka miesięcy, została zaręczona podczas uroczystej ceremonii z pięć lat starszym Birajem.

Jej dzieciństwo w Surja Mahal było szczęśliwe. Urodą i wrodzonym wdziękiem oczarowała radżę. Jego twarde serce przepełniała miłość do córki, patrzył z pobłażliwością na jej uparty charakter i krnąbrność. Ponieważ wiekiem najbliższa była Mohanowi Tadżidowi, spędzali razem dużo czasu. Podczas gdy starsze rodzeństwo się już pożeniło bądź wyszło za mąż i miało dzieci, ta dwójka uczyła się razem pilnie, jeździła konno, walczyła ze sobą dla zabawy i robiła różne psikusy. Byli jednym sercem i jedną duszą, w żartach nazywano ich nawet bliźniakami lub bliźniaczą gwiazdą. Ale słowo „sitara” oznacza też los, a jej los nie był szczęśliwy. Miała dziesięć lat, gdy na dużym dziedzińcu Surja Mahal odbyło się *bal vivah*, dziecięce wesele Sitary i Biraja. Trwało trzy dni i trzy noce. Ojciec Biraja nalegał na ten termin w związku z poradą astrologa, który po długich wyliczeniach oznajmił, że układ gwiazd nigdy już nie będzie tak korzystny dla zawarcia małżeństwa. Dheeraj Czand dopiero po długich pertraktacjach zgodził się na to wczesne i czysto formalne małżeństwo. Ustąpił, gdy ustalono, że Sitara dopiero w wieku piętnastu lat zajmie miejsce u boku Biraja jako jego małżonka. Zaledwie kilka miesięcy później posłaniec innego księstwa przyniósł wiadomość, że Biraj cierpi na gorączkę. Minęło kil-

ka tygodni trwożnego oczekiwania, a w końcu dotarła do nich wieść, że dusza Biraja opuściła jego ciało. Sitara nie czuła żałoby po młodym mężu, którego widziała tylko podczas ceremonii ślubnej i z którym nie zamieniła nawet jednego słowa, ale wiedziała, co dla niej oznacza jego śmierć. Przysięgła Bira-jowi posłuszeństwo także po śmierci, a honor radźputów żądał, żeby przeszła wraz z nim przez bramę płomieni.

Dheeraj Czand myślał, że mu serce pęknie albo że straci rozum z bólu i żalu, jednak jego córka miała złą karmę, okryła hańbą cały klan i miała zapłacić za to obecnym życiem. Do niego jako radży i głowy rodziny należał obowiązek przekazania córki płomieniom, by ją w ten sposób oczyścić z hańby i umożliwić jej korzystną reinkarnację. Były to koszmarne dni. Sitara wciąż miała przed oczami straszną śmierć w płomieniach, niemal czuła zapach spalonych włosów, zwęglonego mięsa, budziła się co chwila z krzykiem, bo jej się przyśniło gorąco ognia i ból skóry. Kamala płakała i błagała o życie najmłodszej córki, Mohan Tadźid złorzeczył i groził, a sama Sitara rzuciła się przed ojcem na ziemię i prosiła o życie.

W końcu Dheeraj Czand dał się ubłagać i pozwolił Sitarze dokonać wyboru: albo wejdzie na stos i spłonie w tradycyjnej ceremonii *sati*, albo uda się na dożywotnie wygnanie jako jedna z małoletnich wdów. Sitara zdecydowała się na to drugie, chociaż wiedziała, że w ten sposób nie zdoła się całkowicie oczyścić z hańby i będzie musiała wziąć na siebie kolejne inkarnacje. Nikt chyba nie odczuł większej ulgi niż sam Dheeraj Czand, choć serce mu pękało, że do końca życia musi się odseparować od córki ze względu na honor rodziny i kasty.

Ale to on sam przeznaczył opuszczoną wieżę w odległej części pałacu na miejsce jej separacji, zamiast wysłać ją na pustynię albo umieścić w jakiejś skalnej pieczarze, jak to było w zwyczaju. A gdy klęczała przed nim zapłakana w białym, pozbawionym ozdób sari, nie był w stanie ogolić jej włosów, naciągnął jej tylko

na głowę końcówkę sari, a potem z kamienną twarzą odwrócił się od niej i wyszedł z pomieszczenia.

Niewielu mieszkańców pałacu zostało wtajemniczonych. Jednym z nich był Paramdżit, głuchoniemy ogrodnik, który zawsze rozpieszczał „bliźnięta” radżpuckiej rodziny najśłodszymi owocami z ogrodu i którego one zawsze doprowadzały do śmiechu swoimi pantomimami. Drugą była Saraswati, *ayah* Sitary, która na własne życzenie poszła wraz z nią na wygnanie, żeby jej służyć. Gdy po łzawym pożegnaniu z rodziną za Si-tarą i Saraswati zamknęła się brama, jedynie Kamala, sam radża i Mohan Tadzid wiedzieli, że obie wrócą do pałacu jednym z tajemnych przejść. Potem podziemny korytarz został za nimi zasypany, a bramę do ogrodu zamurowano. Jedynie przez mały, ukryty otwór Paramdżit miał im codziennie dostarczać pożywienie i świeżą bieliznę.

Ponieważ ta część pałacu już od dawna była opuszczona, nikt się nie dziwił i nikt nie stawiał pytań. A gdy rozeszły się pierwsze pogłoski, że wieża jest przeklęta, każdy sądził, że wie

o tym od lat. Bo kto się dokładnie wsłuchał, mógł wśród nocnej ciszy usłyszeć płacz, czasem - zupełnie cicho i z oddali - smutny śpiew dźwięcznego głosu. Wkrótce nazwano wieżę Ansu Berdj - Wieżą Łez...

Sitara myślała, że oszaleje zamknięta za grubymi murami. Godziny, tygodnie, miesiące, lata mijały męcząco powoli, a dni

i noce, które miała za sobą, były niczym w porównaniu z tym, co ją jeszcze czekało. Nieprzerwanie wędrowała po najwyższym pokoju wieży, od ściany do ściany, aż jej bose stopy pokryły się pęcherzami, a kamienna posadzka zrobiła się błyszcząca i prawie przezroczysta.

Niezliczone razy próbowała wołać o pomoc, błagać ojca, by ją uwolnił, chociaż wiedziała, że wtedy czeka ją *sań*. Ale śmierć w płomieniach wydawała jej się nieporównanie łaskawsza niż pozostawanie przez resztę życia w zamknięciu. Tak przecież kochała wiatr we włosach podczas jazdy konnej, słońce

na skórze, widok nieskończonego, gwiazdzistego nieba, witanie z rozpostartymi ramionami pierwszego monsunowego deszczu. Gdyby nie Saraswati, dobrowolnie oddałaby się ogniovi. Saraswati, jej wierna, oddana *ayah* - i brat Mohan Tadźid. Już pierwszej nocy Mohan Tadźid i Paramdźit zaczęli potajemnie wydrapywać z fug mokrą jeszcze zaprawę i wyjmować mozolnie kamień po kamieniu, uwalniając tajemne przejście z gruzu i ziemi, aby znowu można było przez nie przechodzić. Mohan przekradał się do wieży, do swej ukochanej siostry, gdy tylko miał możliwość niepostrzeżenie zniknąć, a po jakimś czasie także Sitara zdobyła się na odwagę, by wychodzić na dziedziniec, najczęściej pod osłoną ciemności, kiedy mogła być pewna, że nikt się nie odważy zbliżyć do zakłętej Ansu Berdj. Nawet nie próbowali sobie wyobrazić, co by ich spotkało, gdyby to odkryto. Ale Wisznu był po ich stronie. Aż do dzisiejszej nocy ich tajemnica pozostała nieodkryta - przez całych siedem długich lat.

Gwiazdy już zbladły, a niebo pojaśniało, przybierając barwę matowej szarości, gdy Sitara umilkła i rąbkiem sari starła sobie z kącików oczu ostatnią łzę. Nawet teraz, wyczerpana i ochrypła od długiego mówienia, z zaczerwienionymi oczami, była wciąż jeszcze piękna, tak piękna, że serce Winstona się ścisnęło.

- Nie zdradzę waszej tajemnicy - powiedział w końcu szorstkim głosem. Na twarzy Sitary pojawił się lekki uśmiech. Winston miał w tym momencie wrażenie, że to słońce z całą swą intensywnością przebiło się przez grubą warstwę chmur.

-Wiem. - Wskazała ręką na jedną z przypominających misterną koronkę balustrad na wieży. - Każdej nocy was stamtąd widziałam i słyszałam, także w ciągu dnia. Mój brat ci ufa, a więc ja też mogę.

Winston skinął głową i wstał raptownie.

- Lepiej będzie, jak już sobie pójdę. - Zrobił krok i jeszcze raz się odwrócił. - Dlaczego właśnie tej nocy pojawiłaś się w ogrodzie? Przecież nie po raz pierwszy przyszedłem tu sam...

Na twarzy Sitary wykwit! rumieniec, opuściła głowę.

- Ja... Jabłka... - powiedziała w końcu pospiesznie i wskazała na błyszczące owoce, które wciąż jeszcze leżały rozsypane na kafelkach. Szybko wstała i zaczęła je zbierać, po czym podała jedno Winstonowi. Mimowolnie uśmiechnął się w duchu na myśl o symbolice jabłka. Gdy wziął je z ręki Sitary, ich palce się zetknęły, a oni spojrzeli sobie nawzajem w oczy. Na moment zapomniał o wszystkim, nawet o oddechu. Przez krótką chwilę istnieli tylko on i Sitara, miał wrażenie, że tonie w głębi jej ciemnych oczu, został schwytany i musiał się siłą wyrwać.

- Przyjdiesz... przyjdiesz tu jeszcze? - zapytała nieśmiało, gdy zaczął się oddalać.

Odwrócił głowę i przytaknął. - Tak, obiecuję.

5

Noc po nocy Winston wracał jak zaczarowany do ogrodu, żeby zobaczyć Sitarę. Przesuwał swoje spotkania z Mohanem Tadżidem z dnia na dzień lub całkiem je odwoływał. Był oczarowany sposobem, w jaki przemawiała, jak się poruszała, wstrząśnięty jej straszonym losem. Z czasem zaczął odczuwać radość, gdy widział, jak Sitara coraz częściej się uśmiecha, jak przechyla w tył głowę i śmieje się ciepło, aż całe jej ciało zaczyna drżeć. Opowiadał o Anglii, o swoich rodzinnych stronach w Yorkshire z posepnymi, szarymi bagnami i niebem przesłoniętym mgłą, o stromych, spryskanych pianą skałach nabrzeża i rozległości oceanu - jej,

która nigdy nie widziała morza, nie znała większych powierzchni wodnych niż stawy tworzące się na pustyni po obfitych opadach monsunowych. Opowiadał, jakie wrażenie wywarły na nim Indie, jak wyglądało życie w koszarach w Kalkucie. Sitara słuchała uważnie i zaciekawiona zadawała pytania. On też z zainteresowaniem słuchał jej opowieści - starych radżpuckich legend albo anegdotek o jej dawnych psotach robionych wraz z Mohanem. Co jakiś czas ich słowa milkły, przebrzmiewały w ciszy, która mimo to była wymowna, bo w jej trakcie prowadzili nieme rozmowy spojrzeniem.

Pewnej nocy, gdy księżyc wyglądał jak błyszczący sierp zawieszony na atramentowym niebie, Sitara nagle ucichła. Gdy zwróciła głowę w jego stronę, Winston dostrzegł, że w jej oczach błyszczą łzy.

- Co się stało? - zapytał zdeorientowany.

- Przyszło mi do głowy... - zająknęła się, splotła palce złożonych na kolanach dłoni, a po policzku spłynęła jej łza. - Przyszło mi do głowy, że któregoś dnia stąd odejdziesz.

Winston milczał zakłopotany. On sam odsuwał od siebie myśl, że jego pobyt w pałacu któregoś dnia się skończy, a on wróci do Kalkuty. Od owej nocy, kiedy spotkał Sitarę, czas zdawał się dla niego nie istnieć, świat się dla niego zatrzymał, ale jej uwaga znowu mu przypomniwała, że istnieje świat poza murami pałacu, i trafiła go jak cios w żołądek.

Chętnie by ją pocieszył, obiecałby powrót, ale wiedział, że nie będzie mógł dotrzymać tej obietnicy. Jego ostatnie spotkania z radzą uświadomiły mu, że ten nie ma najmniejszego zamiaru odstąpić władzy Koronie, nawet za obietnicę, że oficjalnie zachowa status władcy. Misja Winstona się nie powiodła i będzie musiał stawić temu czoła w Kalkucie. Drugiej szansy na pewno nie otrzyma, a nie należy też oczekiwać, że oddziały Kompanii Wschodnioindyjskiej zajmą to księstwo zbrojnie.

- Winstonie...

Usłyszawszy jej ochryply szept, uniósł wzrok.

Sitara podniosła się i stanęła przed nim. Zaczęła zdejmować z siebie sari, a on patrzył na nią jak zahipnotyzowany. Rozwijająca białą materiał zawój po zawoju, a te opadały na posadzkę. W końcu stała przed nim piękna i naga. Miał wrażenie, że jej ciało emanuje ciepłym, srebrnym światłem. Patrzył zdumiony, że wcale nie jest aż tak szczupła i delikatna, jak mu się wydawało, gdy okrywały ją fałdy i marszczenia sari. Piersi miała pełne i ciężkie, talię szczupłą, przechodzącą łagodnie w krągłości bioder, czarne włosy spływały po jej ciele. Naga robiła wrażenie bardzo kruchej i wrażliwej, co kłóciło się jednak ze spojrzeniem jej oczu, które zdradzały dumę ze swej kobiecości.

- Uczyń mnie kobietą, zanim odejdiesz. Teraz. Tutaj.

Biernie pozwolił, żeby go wzięła za rękę i pociągnęła za sobą na posadzkę. Jej skóra i włosy pod jego rękoma nie dały się odróżnić od gładkiego sari, na którym leżeli. Zrozumiał, że pragnie tego równie mocno jak ona.

Jego dotychczasowe kontakty z kobietami były krótkie i pospieszne. Najpierw oddawały mu się chętne służące na stogu siana; później korzystał z usług mocno uszmkowanych i pachnących tanimi perfumami dziwek w *lal bazaar* w Kalkucie, u których za kilka rupii kupował sobie ulgę, ale które go brzydziły, a potem czuł się brudny. Nie rozumiał, jak jego towarzysze mogą się zachwycać ciemnoskórymi kobietami i ich pożądać. Jednakże uroda Sitary, jej niewinność, a zarazem głód w jej oczach nadały temu momentowi wymiar czegoś uroczystego, czystego.

Pocałunki dziewczyny były gorące, jej ciało płonęło pod jego rękoma, a palce, czule gładzące jego skórę, stopniowo uwalniały go z munduru, jednocześnie parząc i chłodząc. Głęboko wdychał jej ciężki, piżmowy zapach, dotykał rękoma i ustami każdego załomu jej ciała. Położył się na niej, przykrył ją własnym ciałem, zdziwiony jej gładkością, miękkością i ciepłem. Drzenie, które

coraz silniej wstrząsało jej ciałem, krótkie, gardłowe dźwięki, które z siebie wydobywała, jeszcze bardziej wzmagaly jego požądanie. Gdy sądził, że požądanie go rozsadzi, wszedł w nią, poczuł, jak pęka jej błona dziewicza. Sitara w tym momencie drgnęła gwałtownie z przestachu, potem poczuł gorąco, jęknął. Ufnie patrzyła na niego, obejmując go rękoma i nogami z żarem, od którego oboje się rozpływali, zlewali w jedno.

Wtulili się potem w siebie, płonąc i drząc z zimna w ciepłym nocnym powietrzu, ich ciała błyszczaly od potu. Winston poczuł się syty i uświęcony, wsłuchiwał się w bicie swego serca, w puls Sitary, jej szybki oddech, ćwierkanie świerszczy i w ogłuszającą ciszę, gdy te na moment milkły. Uniósł wzrok, gdy poczuł, że Sitara porusza się w jego objęciach. Spojrzał wprost na nią. W jej czarnych oczach lśniły łzy głębokiego szczęścia. Wzięła jego rękę i położyła sobie na brzuchu, tuż nad ciemnym trójkątem między nogami.

- Będę w sobie nosić twego syna. Wiem to.

6

Istota miłości, niezależnie od tego, jak bardzo ta miłość ma być tajemna, polega na tym, że zdradza ona kochanków - lekkością kroku, który przedtem był ciężki, błyskiem w oczach, które przedtem mogły być całkiem zgaszone, połyskującą aureolą wokół całego człowieka, która sprawia, że każdy jego ruch krzesze iskry. I choć Winston i Sitara sądzili, że są ostrożni i bezpieczni, to ich tajemnica nie mogła pozostać długo nieodkryta.

Noc po nocy spotykali się na dziedzińcu, głodni nawzajem swej bliskości, spełniali tęsknoty swych ciał i dusz i nadal nie mieli się dosyć. Nie dopuszczali do siebie myśli o czasie, który im obojgu niepowstrzymanie przeciekał między palcami.

Księżyc stał się krągły, potem znowu schudł, połyskiwał sceptycznie, zalewając Winstona i Sitarę skąpym blaskiem, gdy leżeli objęci na rozłożonym mundurze Winstona i się całowali. Sitara zaśmiała się cicho, kiedy Winston niezręcznie zaczął się zmagać z końcówką jej sari. Jej śmiech przebił się przez ciężkie i gorące powietrze w górę, ku blademu sierpowi księżyca. W tej samej chwili usłyszeli dźwięk jakby pocierania metalu o metal, oboje się złękli. Wzrok Winstona spochmurniał. Anglik, przeczuwając nieszczęście, odwrócił głowę.

Nad nimi na szeroko rozstawionych nogach stał Mohan Ta-dżid z dobytym długim radżpuckim mieczem. W jego oczach płonęła dzika nienawiść.

- *Feringhi*, zabieraj swoje brudne palce od mojej siostry! Winston chciał wstać, żeby bronić Sitary i siebie, ale ona wbiła boleśnie palce jednej dłoni w jego udo, zmuszając go, by pozostał w pozycji siedzącej. Bez pośpiechu, bez strachu usiadła i oparła się o niego plecami, drugą ręką chroniąc podbrzusze.

- Nie, Mohanie, zanim go zabijesz, najpierw musisz zabić mnie. Mnie i dziecko, które w sobie noszę.

Jej głos był spokojny i zdecydowany. Słysząc w nim było lekki gniew, jak ostrzegawcze prychnięcie lwicy, która wyczuwa, że jej rodzina jest zagrożona.

- Tym lepiej. Jedno uderzenie miecza i hańba, jaką wy dwoje sprowadziliście na naszą rodzinę i kastę, zostanie zmaszana -odpowiedział niewzruszony i w tym momencie po raz pierwszy bardzo podobny do swego ojca, radży.

Winston odsunął Sitarę na bok, zerwał się na nogi, stanął wyprostowany przed Mohanem Tadżidem i wlepił w niego wzrok.

- Zabij mnie, jeśli musisz, ale pozwól jej odejść.

Mohan popatrzył na niego przenikliwie. Skierował powoli miecz w jego stronę. Winston nie próbował go ani atakować, ani się odsuwać, nawet gdy poczuł, że metalowy szpic naciska

przez koszulę jego ciało i niewiele brakuje, chociażby głębszego oddechu, by przebił skórę.

- Ty głupcze, naprawdę poświęciłbyś swe życie dla „kolorowej”, która dała ci kilka godzin rozkoszy?

Mohan mówił aksamitnym hindustani, jedynie słowo „kolorowa” wypowiedział po angielsku z taką pogardą, jakby je wypluwał.

-To Sitara, twoja siostra - odpowiedział ostro Winston i dostrzegł, że wzrok Mohana Tadżida przez ułamek sekundy zamigotał i powędrował ku dziewczynie.

Ta stanęła za plecami Winstona i rzekła miękko, a jednak nieugięcie:

- Kochamy się, Mohanie. To nasze przeznaczenie, sam to wiesz.

Rozgniewany Mohan schował miecz z powrotem do pochwy.

- Tak, wiem. Od pierwszej chwili, gdy przekroczyłeś próg sali tronowej, wiedziałem, że sprowadzisz nieszczęście na nasz dom. - Przeniósł powoli wzrok z niego na nią i z powrotem. Ściągnął gęste, czarne jak węgiel brwi. - Jak mogliście być tacy lekkomyślni? Nie wiecie, co wam robi radza, gdy się o tym dowie? A dowie się, na pewno nie jestem jedynym, który dostrzegł, jak bardzo się zmieniłeś - rzekł tonem nagany do Winstona. - To tylko kwestia czasu, a szpiedzy radży przyjdą tu za tobą, tak jak ja to zrobiłem dzisiejszej nocy!

Sitara wstała i wzięła brata pod ramię.

- Pomóż nam, Mohanie! Pomóż nam stąd uciec, wszystko jedno gdzie - powiedziała błagalnym tonem.

Mohan oderwał wzrok od siostry i spojrzał na Winstona, w którego oczach wyczytał to samo pragnienie. Pokręcił powoli głową.

- Całkiem zwariowaliście. Nawet gdyby mi się udało wydostać was stąd całych i zdrowych, to gdzie się chcecie udać? Pałac jest otoczony pustynią na wiele mil dookoła. Nigdzie nie znaj-

dziecię miejsca, gdzie by was przyjęto z otwartymi ramionami. Ramię radży sięga daleko!

- Indie są duże! - wymknęło się Winstonowi szorstkim głosem.

Mohan roześmiał się pogardliwie.

- Ale nie dość duże! - Chwycił brutalnie siostrę za ramię i potrząsnął nią lekko. - Gdziekolwiek byście się udali, wszędzie będziesz dziwką sahiba, a wasze dzieci będą bękartami. Chcesz tego?

W oczach Sitary zalśniły łzy, ale też nieugięta wola.

- Ty, Winston i ja wiemy, że tak nie jest. To musi wystarczyć. Winston dostrzegł, że Mohan Tadźid walczy ze sobą. Po tym wszystkim, czego Anglik się dowiedział o honorze i tradycji radżputów, miał tylko niejasne przeczucie, co może się w nim dziać. Chociaż to, co mówił Mohan, budziło w nim opór, musiał przyznać mu rację. Relacje między kolonistami a ich poddanymi były niechętnie widziane przez obie strony, dzieci z takich związków nosiły piętno bękartów. Wiedział, że w oczach Hindusów, a tym bardziej radżputów, zhańbił Sitarę nie tylko dlatego, że ich związek nie został usankcjonowany, lecz przede wszystkim dlatego, że był białym człowiekiem. Choć nie potrafił sobie wyobrazić, jak by miało wyglądać ich życie poza murami pałacu, to myśl o życiu bez Sitary była dla niego niewyobrażalna i nieznośna.

Prawa dłoń Mohana Tadźida zacisnęła się w pięść i błyskawicznie trafiła Winstona w szczękę. Ten, bardziej z zaskoczenia niż z bólu, upadł na posadzkę. Mohan wyciągnął tę samą rękę, aby pomóc mu wstać.

- To żeby zadośćuczynić honorowi rodziny - oznajmił sucho, gdy tymczasem Winston, równie osłupiały co zły, trzymał się za pulsującą szczękę. Mohan spojrzał z powagą na Sitarę i Winstona. - Pomogę wam, choć nie robię tego chętnie. Mam tylko jeden warunek: będę wam towarzyszył. Potrzebujecie ochrony wojownika.

Winston niechętnie zdał się na Mohana, pozostawiając mu zaplanowanie i organizację ucieczki, z trudem przyjął zarzut, że nie jest panem swoich zmysłów, cierpiał, że na razie nie wolno mu się widywać z Sitarą, żeby niepotrzebnie nie ryzykować. Nerwy miał napięte do granic możliwości. Tymczasem mijały dni, podczas których z wysiłkiem starał się zachowywać pozory normalności, noce, podczas których wsłuchiwał się w milczącą ciemność pałacu, żeby nie przegapić najsłabszego sygnału wzywającego do ruszenia w drogę. A czasu zostało niewiele: coraz krótsze i coraz rzadsze stały się godziny, kiedy radża zapraszał go do siebie; coraz częściej mógł rozpoznać z niechętnego wzroku i lekkiego rozdrażnienia w głosie władcy, że Dheeraj Czand znudził się zabawą z nim. Pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy książę będzie chciał się go pozbyć, nieważne w jaki sposób. Ponadto zbliżała się pora deszczowa, chociaż w tym roku i tak późno. Jasne niebo często spowite było mlecznym welonem; na płaskim horyzoncie zbierały się chmury, można było usłyszeć odległe grzmoty przerywające ciszę pustyni, chociaż niewiele głośniejsze niż cykanie świerszczy. Lód, po którym stapał, robił się cienki, cienki dla nich wszystkich, ale nadal nic się nie działo. Potem, pewnej nocy, Winston przebudził się z niespokojnego snu, usłyszawszy lekkie pukanie przy drzwiach do tajemnego przejścia. W ciemności przez pokój przemknął czarny cień, sprężysty i bezszelestny jak kot - Mohan Tadżid. Rzucił Winstonowi i równie przestraszonemu Babu Sa'idowi po pęczku ciemnej odzieży, pokazał, w jaki sposób mają owinać materiałem podeszwy i obcasy oficerek, aby ich kroki były bezdźwięczne, wręczył im węgiel, by poczernili sobie twarze pod naprędcę zawiniętymi wokół głowy ciemnymi turbanami. Następnie zniknęli jak potrójny cień za drewnianą boazerią.

Winston miał sucho w gardle, a serce waliło mu mocno, gdy idąc za Mohanem Tadżidem, wymacywał sobie drogę w zupełnie ciemnym korytarzu. Wpadł gwałtownie na Mohana, gdy ten nagle przystanął.

- Zanim znowu będą nas mogli usłyszeć albo zabraknie czasu: jak tylko znajdziemy się przy koniach, od razu na nie wskakujcie i ruszajcie z kopyta, najszybciej, jak możecie. Nie odwracajcie się za siebie, nieważne, co się będzie działo za waszymi plecami. Wokół pałacu jest płaska równina. Nawet gdy niebo jest zachmurzone, z blanków rozciąga się widok na kilka mil. Wołałbym noc bez księżyca, ale radża planuje pozbyć się was obu jak najszybciej. Dłużej nie mogliśmy czekać.

Szepecząc, wyjął spod kaftana małą pochodnię i zapalił ją. Płomień dawał niewiele światła, które w połowie zostało połknięte przez spękane mury, ale dzięki niemu mogli się szybciej poruszać do przodu. Tym razem Mohan Tadżid ominął drzwi, przez które zawsze przechodzili, udając się do zakazanej części pałacu. Korytarz zdawał się tu kończyć; żółtawe migotanie oświetliło ścianę z grubo ciosanego kamienia. Winston spojrział zdziwiony na Mohana Tadżida, a ten odpowiedział szerokim uśmiechem.

- Złudzenie optyczne - wyjaśnił szeptem. - Dwie części ściany, jedna tuż za drugą, a pomiędzy nimi wąska szczelina. W świetle wydaje się, że stoi tu jedna masywna ściana z kamienia. Moi przodkowie mieli dziwne poczucie humoru. Dziękujcie bogom, że odkryłem to przejście.

Mohan przecisnął się bokiem z prawej strony przez pierwszą szczelinę. Winston schował głowę, wstrzymał oddech i przecisnął się za nim, przekonany, że utknie. Szorstka skała boleśnie otarła mu pierś i kręgosłup, ścisnęła żebra. Dalej było ledwo tyle miejsca, żeby się przecisnąć między dwiema ścianami w bok, wreszcie dotarł do równie wąskiej luki na lewo od drugiego fragmentu ściany. Korytarz za tym karkołomnym przejściem był niewiele szerszy; Winston raz po raz zawadzał szerokimi ramionami

o mury. Podążał za Mohanem Tadżidem najszybciej jak mógł. Ledwie dawał radę iść w miarę wyprostowany. Książę nagle zaczął się spieszyć. Płomień, który skąpym światłem oświetlał im drogę, migotał, zdawało się, że wkrótce zgaśnie. W końcu Mohan rzucił wypaloną pochodnię na nierówną podłogę i zdeptał. Nagła ciemność sprawiła, że Winston poczuł, iż się dusi, ale na szczęście przez otwarty wąż wpadło świeże powietrze i niebieskawa czerń nocnego światła.

Winston zrozumiał, że ich ucieczka została drobiazgowo zaplanowana. Chociaż firmament spowity był warstwą ciemnych chmur, przenikało przez nią trochę matowego, szarego światła wysyłanego przez gwiazdy i sierp księżyca, a potężna bryła pałacu rzucała czarny cień w kąt między dwoma murami, wystarczająco duży, żeby ukryć cztery stojące przy sobie konie z lekkim ładunkiem i jedną nadmiernie otyłą osobą, która szybko rozdzieliła się na trzy - wszystkie ciemno ubrane, porządnie opatulone: Saraswati, Paramdżit i Sitara.

Jak im polecono, Winston i Babu Said wskoczyli natychmiast na siodła, podobnie uczynili Sitara i Mohan, spięli konie ostrogami i ruszyli przed siebie w noc, nie oglądając się do tyłu.

Głowy ciemnych koni były przesłonięte workami, w których wycięto jedynie otwory na oczy, aby stłumić niepożądane rzenie lub parskanie. Chociaż kopyta owinięto im kilkoma warstwami materiału, żeby stłumić zdradziecki stukot na kamiennej posadzce, galop zdawał się nieść echem przez równinę, jakby to pędziło stado bawołów, raz za razem nieco tylko tłumiał go groźny pomruk grzmotów. Wiatr ciał ich ostro po twarzach, sprawiał, że z oczu ciekły łzy, a duchota nocy powodowała, że pot spływał im po ciele strumieniami. Na horyzoncie zbierały się ciemne chmury, od czasu do czasu rozjaśniały je żółte światła pierwszych błyskawic.

Za ich plecami rozległ się krzyk, strzelił przez pustkę krajobrazu, wstrząsnął do szpiku kości, zamarł z bulgotem; potem szepczący szum jakby niezliczonych głosów. Winston, nisko po-

chylony nad powiewającą grzywą konia, rzucił okiem w bok, na Sitare. W turbanie z ciemnej materii, z uczernioną twarzą, wyglądała jak mały Murzynek z orientalnej bajki, bez trudu dotrzymywała kroku mężczyznom, wydawało się, że stanowi jedność z koniem. Jej oczy wpatrzone były nieruchomo w ciemność przed nimi. Jedynie zaciśnięte palce na mocno napiętych cuglach zdradzały, że się domyśla, co zaszło przy murze pałacu.

Ich przewaga była znaczna, ale wkrótce ziemią wstrząsnęły drgania od niezliczonych kopyt i wzniosła się chmura kurzu jak podczas burzy piaskowej, która nieubłaganie przesuwała się do przodu. Uciekinierom po plecach przelatowały zimne dreszcze. Głośne okrzyki strzelały przez noc, potem salwy z broni palnej i świst kul. Jeden z koni zarżał przenikliwie, gniewnie, boleśnie. Winston spojrział odruchowo przez ramię i dostrzegł, że koń Babu Saida staje dęba, a potem się przewraca, przygniatając jeźdźca. W tej samej chwili poczuł uderzenie w ramię i usłyszał głos Mohana Tadzida:

- Albo on, albo my.

Uda Winstona same zacisnęły się na końskim grzbiecie, dalej popędzał swego wierzchowca.

Z boku przesuwały się góry stołowe. Mohan Tadzid kluczył, krzyknął do Winstona jakieś niezrozumiałe słowo, na które jednak od razu zareagowała Sitara, dając Winstonowi znak, że mają skrócić w tym samym kierunku. Nim do Winstona dotarło, że ziemia przed nimi nagle się ostro urywa, jego koń ze ślepym zaufaniem sam podążył za koniem Mohana Tadzida. Ześlizgiwał się po stromej skarpie, nieco tylko hamując, zrobił pół zwrotu pod absurdalnie ostrym kątem i znowu złapał równowagę na skale, sapiąc głośno. Nagle ogarnęła ich ciemność czarniejsza od nocy.

Winston potrzebował dłuższej chwili, żeby zacząć rozpoznawać kontury otoczenia. Drżąc, robił to, co Mohan i Sitara. Zsiadł z konia. Bolał go każdy mięsień, gardło miał zaschnięte.

Powietrze zaczęło wibrować głucho i ciężko. Wibracje przeszły w ponure grzmienie, które wzbierało, wyładowało się długim gromem, od którego skały wokół nich zaczęły drzeć, a zbliżający się tętent kopyt końskich był jego echem. Tętent zwolnił, przeszedł w pojedyncze kroki rozpraszających się jeźdźców, którzy coś krzyczeli, ale nie można się było rozeznać z jakiego kierunku. Błyskawica rozjaśniła mrok nocy, przez króciutką chwilę oświetlając wejście do jaskini, w której znajdowali się uciekinierzy, a potem znowu zapanowała zupełna ciemność.

Z daleka znowu słychać było pospieszne uderzenia kopyt o ziemię, tym razem jeźdźców było mniej. Ktoś władcym tonem żądał głośno wyjaśnień. Winston rozpoznał głos Dheera-ja Czanda, któremu odpowiedziały męskie głosy, zdecydowane, a zarazem bezradne. Ostro zadudniły na skale kopyta konia nerwowo przestępującego z nogi na nogę. Ponowna błyskawica, grzmot, ostry i głośny, a potem tysięczkrotny szelest deszczu, który nasilał się z sekundy na sekundę, intensywny, ulewny. Winstonowi wydawało się, że widzi w ciemności jasny błysk uśmiechu Mohana Tadżida.

Słychać było wydawany rozkaz, zdławiony lejącymi się z nieba potokami, i powolne szuranie kopyt, które zaczęło się oddalać. A potem donośny, grożący głos radży, ryczący w głąb radżpuckiej równiny, przekrzykujący się z monsunem:

- Jestem Dheeraj Czand, syn rodu Czandrawamsia! Przeklinam was na dusze moich przodków! Mohanie, nie jesteś już moim synem! Sitaro, nie jesteś już moją córką! Nie spocznę, póki krew wasza i krew tego *feringhi* nie zmyje hańby z naszego rodu

i naszej warty. Przyrzekam to przed obliczem Sziwy!

Jakby bogowie chcieli poświadczyć jego przysięgę, rozległ się potężny grzmot, który przeszedł w złowrogi pomruk. A potem cisza.

Przytłaczająca, paraliżująca cisza wśród szumu deszczu.

Wyczerpany Winston przykucnął, oparł się plecami o skalną ścianę i zakrył twarz dłońmi. Nagle pojął, że tej nocy stracił

wszystko, co było dotychczas jego życiem. Oczami duszy ujrzał przed sobą czerwony mundur, wyszczotkowany dzisiejszego ranka do czysta przez Babu Salda. Wraz z tym mundurem zostawił za sobą wszystko: karierę wojskową, Edwinę, nawet swoją rodzinę w odległej Anglii. Już nie było powrotu; od teraz jego los był nierozdzielnie związany z tą dwójką ludzi, którzy wraz z nim kryli się w ciemnościach. Ogarnął go ból i smutek z powodu utraty wiernego sipaja, po policzkach zaczęły mu spływać niepowstrzymanie łzy.

Ciepłe ciało Sitary przytuliło się do niego bez słów, a jakże wymownie. Objął ją mocno, szukając w niej oparcia i pociechy, ukrył twarz w załomie jej szyi, wdychał zapach jej ciała i wiedział, że zrobił słusznie, choć płaci za to wysoką cenę. Uniósł głowę.

- Mohanie? - szepnął w ciemność, a nie otrzymawszy odpowiedzi, powtórzył: - Mohanie?

Ostrożnie wyciągnął rękę, nie puszczając Sitary. Poczuł w końcu ciepło ciała młodego Czanda, który był tu, obok, jak namacalny cień. Dotknął go, a Mohan odepchnął jego rękę. Winston szepnął chropowatym głosem: - Ze względu na nas porzuciłeś rodzinę i ryzykowałeś życie. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Mohan nie zareagował. Potem, po dłuższej chwili, Winston usłyszał, że się porusza. Czand znalazł w ciemności dłoń Win-stona, włożył do niej coś metalicznie zimnego o ostrych brzegach, z jednej strony ciepłego i wilgotnego.

- Teraz wy jesteście moją rodziną - rzekł ochrypłym głosem Mohan tak cicho, że ledwo można go było usłyszeć. - A ty jesteś moim bratem.

Winston przełknął ślinę, zawahał się, w końcu zdecydowanie wcisnął ostrze noża w skórę dłoni. Poczuł palący ból. Z rany wypłynęła ciepła krew. Chwytał dłoń Mohana i ją uściskał.

- Do samej śmierci - przysiągł drżącym głosem. - I poza nią.

Padło nieprzerwanie, deszcz lał z nieba strumieniami, a blade światło, które godzinami oświecało wejście do jaskini, pozwalało dojrzeć we wnętrzu niewiele więcej niż zarysy, przypominało bardziej zmrok niż środek jasnego dnia. Mohan Tadżid wrócił z zewnątrz całkiem przemoczony. Starł sobie wodę z twarzy i rzekł:

- Jak okiem sięgnąć ani żywej duszy. Pustynia jest jednym trzęsawiskiem.

Była to dla nich noc pełna niewygód, siedzieli przycupnięci jedno przy drugim, oparci o skały, chronieni tylko cienkimi kocami. Wilgoć była wszędzie. Tkaniny nią nasiąkły i zrobiły się mokre. Wilgoć wnikała w każdy por ich ciała, podobnie jak strach, że zostaną odkryci.

- Powinniśmy ruszać w drogę. - Winston kichnął. - Tutaj dosięgnie nas śmierć. Gdy pojedziemy konno, będzie nam przynajmniej trochę cieplej.

- Tak jest, ruszamy, i to natychmiast.

Mohan wziął swego konia za cugle i zaczął go wyprowadzać z jaskini.

Winston kichnął jeszcze raz.

- Dokąd pojedziemy? - zapytał.

Mohan spojrział na niego rozbawiony i rzekł z nutą ironii:

- Mądrze zrobiłeś, nie przystępując do partii szachów z radzą. Przegrałbyś z kretesem. Nie potrafisz obmyślić trzech kroków naprzód.

Za te słowa Winston odwdzieczył mu się lekkim ciosem bokserskim, który Mohan skwitował jeszcze szerszym uśmiechem.

Gdy znaleźli się w siodłach, mięśnie mieli zziębnięte i sztywne. Ruszyli na południowy zachód. Winston raz za razem spo-

glądał przez ramię, rozglądał się z przymrużonymi oczami, mając nadzieję, że wypatrzy coś, co mu powie, jaki los spotkał Babu Saida. W końcu Mohan trącił go lekko w ramię. Winston spojrział na niego, a jego brat krwi pokręcił głową. - Nigdy nie patrz za siebie, Winstonie. Nigdy. Podróżowali głównie za dnia, chociaż wiązało się to z ryzykiem, że łatwiej zostaną odkryci na pustyni. Ale Mohan Tadzid uznał, że prześladowcy nie wezmą ich za tak lekkomyślnych ani za tak szalonych, by przypuszczać, że faktycznie będą próbowali przebyć konno tę krainę, która w ciągu kilku godzin zamieniła się w bagnisko, gdzie torowały sobie drogę strumienie wody i zbierały się, tworząc jeziora o niedającej się ocenić głębokości. Doświadczenie, logika i instynkt podpowiadały mu, że gdy tylko ziemia zacznie wysychać, radza roześle swoich ludzi po wszystkich częściach kraju. Ci podejmą trop i będą ich bezlitośnie ścigali. Monsun był ich przyjacielem, jak długo bowiem trwał, tak długo byli bezpieczni.

Gorące wiatry monsunowe smagały deszczem kraj, a oni posuwali się naprzód z największym trudem. Przy każdym kroku kopyta koni grzęzły w szlamie z mlaszczącym odgłosem. Pokonanie każdej mili zajmowało wieczność, a konie były zmuszane do wielkiego wysiłku. Odpoczywać mogli jedynie w jaskiniach, pod występami skalnymi albo gołymi kamieniami. Jeśli udało im się znaleźć takie miejsce, przesypiali po kilka godzin na grzbietach wyczerpanych koni.

Ale najbardziej uciążliwy był deszcz. Od wielu dni nie mieli na grzbiecie ani jednej suchej nitki. Czasem monsun nieco ustępował, w pokrywie chmur ukazywały się jaśniejsze plamy, ale zaraz potem znów lało niemiłosiernie. Deszcz nadwyreżał ich siły psychiczne i fizyczne, deszcz oraz głód. Ze strachu, że pozostawią za sobą łatwy do wyśledzenia trop, nie mieli odwagi

obierać dróg prowadzących przez ludzkie osady ani też szukać schronienia w położonych samotnie wiejskich domach, a ich skąpe zapasy szybko się skończyły. Żaden człowiek, który miałby choć trochę oleju w głowie, nie wyruszyłby teraz w podróż. A tak przemoczeni, obdarci, zmęczeni i brudni wzbudzali podejrzenia.

To, że byli razem, pomagało im przetrwać. Spojrzenia wymieniane między Mohanem a Winstonem, skinienie głową dla dodania otuchy, klepięcie po ramieniu, ręce Winstona i Sitary, które się nawzajem znajdowały, palce Sitary, które delikatnie gładziły wnętrze dłoni Winstona, wszystko to dodawało im odwagi i pomagało znosić uciążliwości podróży. Dążyli wciąż przed siebie ze wzrokiem skierowanym niewzruszenie naprzód.

Raz wydawało im się, że minęły miesiące, a innym razem, że nie więcej niż dziesięć dni i nocy. Wreszcie za zasłoną deszczu pojawiły się małe pudełeczka: domy Dżajpuru. Singh Pol, Lwia Brama, wzniosła się przed nimi groźnie jak paszcza, która chciała ich połknąć. Miasto otoczone było murem miejskim grubym na trzy jardy i wysokim na siedem, wyposażonym w blanki i otwory strzelnicze. Mur, ze względu na swój charakter, bardziej odstraszał niż zapraszał. Widać było wyraźnie, że miasta Radżputany pełniły w pierwszym rzędzie funkcję twierdz. Ulice ciągnęły się prosto, szerokie, zadrzewione, krzyżując się regularnie co siedem domów. Były puste, a ci nieliczni ludzie, których spotkali, spieszyli się, by się schronić przed deszczem w suchym miejscu, nikt więc nie zwracał uwagi na trójkę obdartych, przemoczonych jeźdźców na wyczerpanych koniach. Na bazarze siedzieli kupcy i rzemieślnicy wraz z krewnymi, sąsiadami lub klientami, targując się apatycznie albo po prostu rozmawiając i popijając czaj, podczas gdy tuż przed rozłożonymi przez nich kolorowymi towarami skapywała z dachów woda. Mohan Tadżid jechał zdecydowanie przez szachownicę ulic, a Sitara i Winston podążali za nim.

Nieufność obleśnego *bhatydrd* w położonym ustronnie schronisku Mohan Tadzid zdusił w zarodku kilkoma sztukami srebra. Oba wynajęte przez nich pokoje, połączone drzwiami, były skromne, ale zadziwiająco czyste.

Spali snem twardym jak kamień przez całą noc i cały dzień. A gdy Winstona zbudził następnego ranka równomierny szum monsunu, to mimo obolałych mięśni czuł się jak nowo narodzony i wolny, gdyż udało im się uciec przed bezpośrednim niebezpieczeństwem grożącym ze strony radżpuckiego dworu. Przekreślił głowę w kierunku Sitary, która zwinęła się obok niego na wypełnionym słomą sienniku obleczonym w płócienną poszewkę i nadal spała głęboko i mocno. Jej włosy były posklejane w pojedyncze kosmyki, splątane, twarz miała brudną. Wyglądała jak zaniedbane wiejskie dziecko. Ale rysy jej twarzy zdradzały ulgę, jakiej zaznała, mając świadomość, że uszli zagrożeniu. Jakby poczuła jego spojrzenie, zamrugła powiekami, uchyliła je i spojrziała w szarawe światło dnia. Dojrawszy Winstona, uśmiechnęła się pogodnie. Potem wyciągnęła się jak kotka i przytuliła do niego, nie mówiąc ani słowa, tak jak milczała podczas dotychczasowej ucieczki. Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Oboje struchleli, ale był to tylko Mohan Tadzid, czysty i ubrany w prostą odzież w kolorze spranej czerni, jaką nosi ludność wiejska - *dhoti*, i długi kaftan, wokół głowy jako turban owinał sobie długi bawełniany szal. W rękach trzymał drewnianą tacę z parującą miską, stosem chlebków *chapati* i dzbankiem czaju. Usiadłszy ze skrzyżowanymi nogami, głodni zabrali się do góry *muttarpilaw* - ryżu ugotowanego w rosole z dodatkiem warzyw oraz kurczaka - i snuli plany dotyczące dalszego przebiegu ucieczki.

Wczesnym rankiem Mohan udał się na bazar i kupił im nowe ubrania. Ubrał się i - wyglądając jak cywilizowany człowiek -jeszcze raz opuścił hotel, by za kilka rupii sprzedać konie. Nie mogli liczyć na więcej za te wycieńczone zwierzęta. Przy okazji

dowiedział się, że dwie uliczki dalej kancelista poszukuje rozpaczliwie pomocnika. Podczas monsunu wszyscy nagle przypomnieli sobie o zaległych albo pilnych listach i szturmowali do niego, żeby je przeczytał lub za nich napisał. Mohan Tadżid przedstawił się u niego fałszywym imieniem i opowiedział dramatyczną, acz wymyśloną historię, według której mimo monsunu przybył do Dżajpuru wraz ze swą świeżo poślubioną małżonką, żeby uciec przed natrętnym obszarnikiem, który rościł sobie prawo do spędzenia pierwszej nocy z panną młodą. Historia ta przypadła do gustu radżpuckiej duszy, podatnej na tragizm, dramat i historie o parach kochanków znajdujących się w potrzebie. Tak więc kancelista przyobiecał mu nie tylko garść rupii na tydzień, ale jeszcze zaoferował do zamieszkania pusty pokój na tyłach swego domostwa.

- Najpóźniej za dwa miesiące skończy się pora deszczowa - kontynuował Mohan, wpychając sobie do ust ostatni kęs chleba, po czym odstawił tacę, a na jej miejsce rozłożył mapę północnych Indii. - Pustynna ziemia szybko schnie. Nie możemy tu zostać zbyt długo. Dżajpur jest za mały i za bardzo uporządkowany, żebyśmy mogli się w nim kryć przez dłuższy czas, nie ściągając na siebie uwagi.

Winston niechętnie musiał przyznać rację Mohanowi Tadżidowi. Wzrost i jasna skóra Anglika nawet przy najsprytniejszym przebraniu były bardzo charakterystyczne i zdradzały go, a tym samym stanowił on niebezpieczeństwo dla całej trójki. Mohan przejechał palcem wskazującym po mapie ukośnie ku górze, zatrzymał się na największym umieszczonym na niej punkcie.

- Delhi jest nieporównywalnie większe i bardziej chaotyczne, uliczki bazarów są tam bezładne, przepełnione, zabałaganione. Jeśli gdziekolwiek możemy zatrzeć po sobie ślad, to właśnie tam.

Winston spojrział na Mohana ze zwątpieniem, a zarazem z nadzieją.

- Będziemy tam bezpieczni? - zapytał.

Mohan spojrział mu poważnie w oczy. Zapuszczona broda, której nie golił, sprawiała, że zdawało się, jakby się postarzał od momentu opuszczenia pałacu.

- Nigdzie nie będziemy bezpieczni - odpowiedział metalicznym tonem. - Jednakże uważam, jak napisano w *Mahabharacie*, że człowiek, którego godzina jeszcze nie wybiła, nie umrze, nawet jeśli przeszyje go sto strzał, podczas gdy człowiek, którego czas nadszedł, umrze, nawet jeśli ukłuje go źdźbło trawy. Musimy po prostu mieć nadzieję, że bogowie są z nami, i zachowywać czujność.

- Czy twoje zarobki wystarczą nam, żeby się utrzymać? -dopytywał się Winston.

Na twarzy Mohana wreszcie pojawił się znany uśmiech.

- Nie martw się. Przewidując, że na drodze prawnej nie zobaczę nic z przysługującego mi spadku, wziąłem ze sobą małą część przypadającego mi udziału. To powinno wystarczyć na jakiś czas.

Następnego ranka małym hotelem wstrząsnęły głośne okrzyki gniewu. Zbiegli się goście i *bhatiydrd* wraz z rodziną. Ze współczuciem przyjęli wiadomość, że prosty robotnik rolny i jego żona, stojąca nieśmiało w kącie i nie odzywająca się ani słowem, z głową i dolną częścią twarzy skromnie zasłoniętą końcem bawełnianego sari z kolorowymi nadrukami, zostali okradzeni - przez tego *feringhi*, dezertera, którego oboje wzięli ze sobą po drodze i zabrali do miasta z litości, a który ulotnił się w nocy z częścią ich i tak niewielkiego mienia. Młody mężczyzna, głośno złorzeczając i przeklinając, odrzucił dumnie, choć uprzejmie jakąkolwiek pomoc w szukaniu tego szubrawca, jak również liczne oferty pomocy rzeczowej - pościeli, misek, kubków czy też paru rupii, co natychmiast zjednało tej parze szacunek i sympatię wszystkich wokoło. Na bazarze jeszcze przez wiele dni rozprawiano, że tym *feringhi* nie należy ufać i że najlepiej przebywać w gronie swoich.

Młoda para tymczasem pozawiazywała swoje tobołki i wyprowadziła się z hotelu. Na pożegnanie wszyscy składali im życzenia. Przeprowadzili się do pokoju zaoferowanego im przez kancelistę, gdzie już czekał na nich niecierpliwie Winston, którego Mohan Tadżid przeschmuglował tam pod osłoną nocy. Następne dwa miesiące były bardzo trudne dla Winstona, pozostającego w ukryciu. W tym czasie niebo nad Dżajpurem nieustannie zalewało dachy i ulice wielkimi masami wody, a pustynię Radżputany zamieniło w jezioro szlamu. Winston, przebywając cały czas w ukryciu, mógł sobie wyobrazić, co przeżywała Sitara w Wieży Łez. Jego przestrzeń życiowa była ograniczona do pokoju o wymiarach pięciu kroków na pięć, bez możliwości wyjścia na zewnątrz. Jedyne obecność Sitary czyniła to więzienie znośnym, choć to wszystko miało służyć jego własnej ochronie. Jej bliskość i wiara w przyszłość były jak nieustanne światło słoneczne, rozświetlające te ciemne dni. Jednocześnie rozkoszowali się przebywaniem tylko we dwoje, komfortem, że mogą się kochać w ciągu dnia, kiedy tylko chcą, podczas nieobecności Mohana. Zaokrąglające się powoli ciało Sitary, jej pełniejsze i cięższe piersi, wewnętrzne szczęście, że nosi w sobie dziecko, jego dziecko, to wszystko sprawiało, że w jego oczach była jeszcze bardziej pociągająca, a ich wspólne godziny wypełnione były czułością. Sąsiedzi nie dziwili się, że żona pomocnika kancelisty prawie się nie pokazuje, a nawet przyjmowali to z zadowoleniem -jako dowód, że jest wyjątkowo cnotliwą i posłuszną małżonką. Ale nieustanna obawa, że zostaną odkryci, kładła się cieniem na każdym dniu, każdej nocy; mogli ją tylko na chwilę odsunąć, nie dawała o sobie zapomnieć, stała się częścią ich codzienności, wszystkich ich myśli i działań. Mohan Tadżid czerpał przyjemność z prostego życia pomocnika kancelisty. Sprawiało mu ono większą radość niż życie radżpuckiego księcia, które zostawił za sobą. Czytał starszkom listy od żyjących daleko wnuków, którzy odnieśli sukces w obcych

stronach, przygotowywał dokumenty o nabyciu domów i zagród, wypisywał rachunki i pisemne powództwa rzemieślnikom i ich klientom, łagodził niesnaski rodzinne z powodu testamentów, odgrywał rolę *postillon d'amour* dla dziarskich chłopców i potajemnie wkradających się do kancelarii panien, które rumieniły się wstydliwie pod woalkami. W kancelarii znajdował się w samym centrum plotek i pogłosek, które sięgały daleko poza mury miasta, i przekazywał je dalej zainteresowanym słuchaczom. Niebawem zasłyszał historię o tym, że radża wyznaczył wysoką nagrodę za schwytanie *feringhi*—żołnierza, który razem z odszczepieńczym synem i wiarołomną córką nie tylko pohańbił jego ród, ale groził też samemu radży. W końcu któregoś dnia do kancelarii wkroczyli dwaj radżpucy wojownicy. Mokre mundury kleiły im się do ciała, a po twarzach spływały im cienkie strumyki wody z przesiąkniętych turbanów. Mimo to otaczała ich aura dumy, honoru i siły, nie nadwyreżona nawet ulewnym monsunem.

- Hej tam, pisarzu! - krzyknął jeden z wojowników na kancelistę, który posłusznie zdjął z kolan deskę do pisania i wstał.

Tymczasem Mohan pochylił się jeszcze niżej nad swoją pracą. Serce tłukło mu się w piersi, uderzając boleśnie o żebra. Daremnie próbował skupić wzrok na linijkach sporządzanego właśnie odpisu.

- Słyszałeś coś może o *feringhi*, angielskim żołnierzu, który tędy podobno przejeżdżał?

- *Feringhi* Szukacie *feringhi*? - Głos kancelisty Anwara przeszedł prawie w falset. Mężczyzna w ekstatycznym geście ściągnął z nosa okulary i pomachał nimi radżpuckiemu kapitanowi koło nosa. - Otóż mój pomocnik - wskazał na Mohana, który nie podniósł wzroku znad pisanego właśnie listu - został przez jednego z tych szubrawców okradziony!

Wszystko mu zabrano, ten drań zostawił mu tylko te sztuki odzieży, które biedak miał na sobie! A potem zniknął jak kamfora razem ze wszystkim, co należało do mojego pomocnika, choć nie było tego wiele, bo kancelista nie

bywa bogaty! Czasy robią się coraz gorsze, ludzie nie chcą płacić. Ciągłe są niezadowoleni z pracy, którą się dla nich wykonuje, kłócą się i targują o każdą linijkę, każdą literę, a do tego dochodzi jeszcze taki szubrawiec! Jakby czasy nie były dość trudne, nigdzie niczego nie można być pewnym! Wcześniej, jak jeszcze...

- Daj spokój, staruszk. - Jeden z wojowników machnął niecierpliwie ręką i dał znak towarzyszowi, żeby już wyszli.

-Jak coś usłyszycie, zawiadomcie nas - powiedział zmęczonym i mało przekonanym głosem przez ramię w głąb kancelarii, po czym obaj, unosząc ramiona, wyszli z powrotem na ulewny deszcz.

Anwar bez zmrużenia oka założył z powrotem nikłowe okulary na orli nos, zauszniki oprawki wetknął pod wzorzysty turban, by je zaczepić za uszami, a następnie najspokojniej w świetle usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podusze. Mohan tymczasem starał się zapanować nad sercem, które biło jak oszalałe, i znów pracować w normalnym rytmie.

- Dobrze by było, gdybyście opuścili miasto jak najszybciej, jak tylko skończy się monsun, zanim was znajdą, Ganeszu - powiedział w końcu Anwar obojętnym głosem.

Takim tonem mówił zazwyczaj o pogodzie albo o kolacji, którą jadł zeszłego dnia. Jedyne sposób, w jaki podkreślił imię Ganesz, zdradził, że zna prawdę albo przynajmniej się jej domyśla. Mohan przedstawił mu się imieniem Ganeszy, podstępnego bóstwa o głowie słonia, syna Sziwy i Parwati, boga początku, przedsięwzięć, podróży i nauki, który swym ułamanym kłębem napisał końcowy rozdział *Mahabharaty*.

Mohan dawno nie spłonał tak mocnym rumieńcem jak teraz; ostatnio - kiedy jeszcze był chłopcem i został przyłapany na jakimś psikusie.

- Jak pan się... - wziął głęboki oddech.

Anwar spojrzał na niego dobrotliwymi oczami ponad brzegiem okrągłych okularów.

- Jako kancelista z biegiem lat człowiek dowiaduje się dużo o życiu i ludziach. Bardzo się starałeś, ale moje wprawne oko od razu rozpoznało, że nie jesteś wiejskim robotnikiem. Pęcherze na twoich dłoniach są typowe dla jeźdźca, twoje rysy są rysami szlachetnie urodzonego. I nie wierzę w przypadki. *Dwajferinghi* w ciągu jednego miesiąca, w tej dzielnicy, każdy w towarzystwie młodego *mężczyzny* i młodej kobiety, to jak dla mnie za dużo.

Musiał dojrzeć lęk w oczach Mohana, ponieważ wokół jego oczu pokazał się poorany zmarszczkami wianuszek uśmiechu.

- Nie martw się, nie zdradzę cię - zapewnił uspokajająco.

- Wydajesz mi się porządnym człowiekiem, który nie przestaje z przestępcami. Masz z pewnością powody, żeby się ukrywać, ale to nie moja sprawa. I naprawdę grasz swą rolę prawie idealnie.

- Zanurzył pióro w atramencie, przyłożył je znowu do papieru, uśmiechnął się szerzej i dodał: - Jednakże w przyszłości nie powinieneś dawać żadnemu kanceliście okazji, by cię dokładniej obserwował.

8

Wreszcie na początku września rozstąpiły się zawieszona nisko na niebie ołowianoszare chmury, opady deszczu zaczęły ustępować, kropiło jedynie, a potem deszcz całkiem ustał. Ukazało się białawoszare niebo, które szybko przybrało barwę jasnego błękitu. Ściana chmur odsunęła się i obierając jak co roku kierunek północno-zachodni, podążyła w poprzek pustyni Thar ku górą Hindukusz. Kancelista Anwar załatwił potajemnie trzy masywne, wytrzymałe konie, do tego prowiant i odzież na zmianę. Sprytnie wykorzystując swoją popularność w dzielnicy oraz bujną wyobraźnię, tłumił od razu w zarodku niewygodne pytania lub podejrzliwe spojrzenia. I to on poprowadził uliczkami bazaru trójkę

uciekinierów przebranych za mieszkańców pustyni - z turbanami na głowach i porządnie opatulonych. Wyruszyli wczesnym rankiem, mijając gęstniejący z godziny na godzinę tłum ludzi, tępo patrzące bydło, markotnie spoglądające wielbłądy i skaczące wszędzie dookoła małpki. Szli wzdłuż potężnej fasady Hawa Mahal, Pałacu Wiatrów, który otrzymał swoją nazwę od tysiąca okien, przez które stale wpadał wietrzyk i tworzył przyjemny przeciąg w komnatach niższych kondygnacji. Przez te okna kobiety zamieszkujące pałac obserwowały ruch na ulicy, same nie będąc przy tym widzianymi. Przy Czand Pol, Księżycowej Bramie, wsiedli na przygotowane konie. Poranne słońce oblewało przyjaznym blaskiem miejskie mury. Pospiesznie pożegnali się z Anwarem i przekroczyli bramę. Konie dziarsko ruszyły po wciąż jeszcze wilgotnej glebie, węszyły ciekawie szeroko rozwartymi chrapami, wdychając powietrze świeżo obmyte deszczem, pachnące aromatycznym ziołem, listowiem i mokrą ziemią.

Był to całkiem inny krajobraz niż ten, który przywitał troje jeźdźców, gdy wyruszyli w podróż, i towarzyszył im później. Schnąca powoli ziemia wciąż jeszcze była zwarta, gładka i nie obsuwała się pod końskimi kopytami. Grzało łagodne słońce, powietrze było przyjemnie wilgotne i rześkie. Krystaliczne szczyty gór Arawali wystawały sponad zielono połyskującego morza liści na ich zboczach. Głębokie doliny występowały naprzemiennie z łagodnie wybrzuszonymi wzgórzami, na niektórych z tych wzgórz wznosiły się mury starych twierdz. Po lewej mijali wioski, małe i duże miasta z ich fortami, a także kolorowe *haweli* - przestronne wiejskie rezydencje bogatych rodzin kupieckich. Schodzili z drogi także ciągnącym przez kraj karawanom wielbłądów. Bujną zieleń krzewów i drzew przecinały rwące potoki i żywe strumienie. W niektórych miejscach, wokół połyskującego w słońcu jeziorka lub stawu, tworzyły się oazy.

Zimorodki rzucały się do wody niczym jasne błyskawice. Setki żurawi wzbijały się znad powierzchni wody w powietrze,

szeleszcząc potężnie skrzydłami. Przy brzegu porośniętym trawą i trzcina kwokały szare jak kamienie, ociężałe dropie, ich niezdarni krewniacy. Wczesnym rankiem zbierały się nad wodą tysiące pstrokatych stepówek, żeby ugasić pragnienie; czyniły przy tym ogłuszający hałas, by potem nagle znowu zniknąć i pozostawić po sobie tylko ciszę. Kwiaty kaparów kołysały się na pędach gładkich jak pióra flamingów, a na kolczastych gałązkach drzewa **khejń** wisały w baldachach ogromne ilości maleńkich listków. Z daleka widzieli stada pędzących drobnych, zwinnych gazeli i antylop garna ze sterczącymi, spiczastymi, krętymi rogami. Nocą do ich prostego obozowiska dobiegało wycie wilków i szczekanie lisów. Raz nawet dojrzelili krążącego samotnie po okolicy lwa. Był to przyjazny krajobraz obmyty monsunem. Przemieszczali się jak na skrzydłach, z lekkim sercem, a obecność dzikich zwierząt i otaczająca ich samotność sprawiały, że czuli się bezpieczni. Byli pogodnie nastroszeni, czasem niemal podekscytowani. Gdyby nie czujne spojrzenia Mohana Tadżida, który wciąż jeszcze rozglądał się po okolicy, próbując dojrzeć, czy ktoś za nimi nie podąża, mogliby zapomnieć, że uciekają.

Im dalej posuwali się na północ, tym bardziej krajobraz stawał się płaski i leśny, ale też skalisty. Aż wreszcie wyrosło przed nimi Delhi, rozlewające się po równinie, prawie sielankowe, z błyszczącymi od słońca dachami i wieżami. Ale pozory myliły. Za bramą miejską, w obrębie muru z czerwonego piaskowca, oczekiwał ich szczególny świat, ożywiony i głośny, naznaczony wpływem stuleci i masami ludzi zamieszkujących to miasto teraz i w przeszłości.

Delhi zmieniało swoją nazwę prawie tak często jak swój kształt. Od prawie trzech tysięcy lat na brzegu Jamuny koncentrowała się władza i tak samo długo miasto było symbolem jej tymczasowości, nazywano je „cmentarzem dynastii”. Miało to oznaczać, że nad tym miejscem ciąży klątwa, zły omen. Żadna władza, która się tu usadowiła, nie mogła długo przetrwać. Mia-

sto siedem razy odbudowywano i na nowo burzono. Za każdym razem powstawało jak Feniks z popiołów - z ruin i obok nich rozciągało się po równinie coraz dalej i szerzej.

Dhilika. Tak się nazywało osiedle założone pomiędzy ósmym a dziewiątym wiekiem przez radżpucką dynastię Tomarów u rozgałęzionego koryta rzeki. Było chronione przez kamienną twierdzę o nazwie Lal Kot ze wspaniałymi świątyniami, zbiornikami na wodę i innymi wielkimi budowlami, kamiennymi świadectwami władzy i bogactwa. Po Tomarach władzę objęła konkurująca dynastia radżpucką Czauhanów, która powiększyła zarówno twierdzę, jak i miasto. Następnie władzę obejmowali tu szybko jedni po drugich Turcy z Azji Centralnej, Afgańczycy i Mongołowie. Na przełomie dwunastego i trzynastego wieku afgańscy synowie islamu ustawili na ruinach Lal Kot wysoką na prawie osiemdziesiąt jardów kamienną żłobkowaną kolumnę, która miała świadczyć o zwycięstwie islamu nad sercem Indii, a wyryte w kamieniu znaki pisma kufickiego oznajmiały, że kolumna ta ma rzucać cień Allacha na wschód i na zachód.

W końcu władca Mogołów Szahdżahan, któremu Agra zawdzięcza piękne jak marzenie Tadż Mahal, zbudował nad Jamuną siódme miasto - Szahdżahanabad. Na wschodnim krańcu murów miejskich i na zachodnim brzegu rzeki królowała nad miastem budząca respekt rozległa rezydencja i twierdza Lal Qila - Czerwony Fort, długa na milę, a na pół mili szeroka, cała z czerwonego kamienia. Na lewo i prawo od prowadzącej do fortu potężnej bramy Lahore wznosiły się ośmiokątne wieże, dalej lekkie pawilony i liczne, podobne do minaretów boczne wieżyczki. Wewnątrz najbardziej wprawni rzemieślnicy prześcigali się w dekorowaniu Diwan-i-Khas, sali audiencji prywatnych, zbudowanej z marmuru zdobionego szlachetnymi kamieniami, w której swego czasu stał legendarny pawil tron Mogołów zrobiony ze złota, póki w roku 1739 podczas plądrowania Delhi nie wpadł w ręce Persów. Tu od roku 1837 rezydował Bahadur Szach II, wnuk ostat-

niego cesarza mogolskiego Szacha Alama, w połowie hindusa, w połowie muzułmanina, wąty, kruchy staruszek z białą brodą i nosem wygiętym w haczyk, który był w równym stopniu oddany poezji co opium, oficjalnie król Delhi, którego podobizna zdobiła monety będące w mieście w obiegu - wybijane jednak przez Brytyjczyków. Również styl życia Bahadura Szacha był finansowany przez Koronę wypłacanym mu corocznie znacznym apanażem, za który oddał swoją władzę.

Na małym pobliskim wzgórzu stał nie mniej wspaniały i nie mniej imponujący meczet Dżami Masdżid, wzniesiony ku czci Allacha jeden z największych meczetów całego islamskiego świata. Miał błyszczące kopuły, sterczące prosto w niebo żłobkowane minarety i brukowany dziedziniec wewnętrzny, wystarczająco duży, by pomieścić dwadzieścia tysięcy wiernych.

Jednak państwo Mogołów także padło ofiarą klątwy ciężącej na mieście nad Jamuną i uległo militarnej potędze Anglików. Oficjalnie Delhi - taką nazwę otrzymało miasto - także w dziewiętnastym wieku pozostawało stolicą Mogołów, jednak z dawnej władzy nad delhijskimi równinami nie pozostało dotychczasowemu władcy mogolskiemu wiele więcej niż tytuł i znaczne apanaże. Prawie dwie mile na północny zachód od centrum miasta, na północ od Bramy Kaszmirskiej, rozciągały się dobrze widoczne koszary wojskowe, serce brytyjskiej władzy.

Żadne chyba inne miasto nie ukazywało tak wyraźnie indyjskiego oblicza islamu. Językiem Delhi był urdu, język starożytnych poetów, którzy opiewali słowiki i ogrody różane i opowiadali legendy o dumnych władcach mogolskich. Na Delhi odcisnęło piętno bogactwo ludów zamieszkujących Indie, a także angielskie władztwo. Tak więc w mieście pomiędzy meczetami i mauzoleami islamskich władców znalazły się świątynie hinduistyczne poświęcone Sziwie, Hanumanowi i Ganeszy oraz ozdobiony artystycznymi rzeźbami kościół Świętego Jakuba, podczas gdy w miejscu zwanym Raj Ghat, na brzegu Jamuny, Hindusi prze-

kazywali świętym płomieniom swoich zmarłych. Przy ulicach stały budynki wzniesione przez kolonizatorów, będące siedzibami brytyjskiego namiestnika, urzędu telegraficznego, policji i szkoły, prywatne domy urzędników i wojskowych, ciągnęły się kunsztownie rozplanowane ogrody i parki oraz aleje wysadzone drzewami. Kanały nawadniające obiegały mury miejskie wykonane z czerwonego piaskowca, przecinały ulice, kończąc się w publicznych zbiornikach na rogach ulic i na placach oraz w prywatnych zbiornikach na dziedzińcach domów patrycjuszy, które łącznie z licznymi dziedzińcami i ze stykającymi się częściami budynków często tworzyły własne dzielnice. Od Czerwonego Fortu odchodziła elegancka aleja szeroka na czterdzieści jardów, o nazwie Chandni Chowk, ulica Światła Księżycowego, która dzieliła miasto na dwie części, sama przepołowiona wzdłuż przez kanał wodny, otoczona kawiarniami i sklepami, hotelami i bankami, bardziej symbol stylu życia niż tylko główna arteria miasta. Europejscy przybysze rozpływali się w zachwytach, porównując to miejsce z Paryżem, Londynem, Moskwą bądź Wersalem, zachłystywali się widokiem *bagh*, ogrodów, do przesady rozległych i efektownie rozplanowanych, które ciągnęły się równolegle do Chandni Chowk na prawie całej jej długości. Szerokimi ulicami sunęły między pieszymi masywne cielska słońi, przejeżdżały eleganckie powozy ciągnięte przez szlachetne konie oraz rozklekotane wozy zaprzężone w krępe woły, torowali sobie drogę bosonodzy tragarze. Można tu było zobaczyć żołnierzy Kompanii Wschodnioindyjskiej w wytwornych mundurach, eleganckie damy w otwartych dorożkach pod przeciwsłonecznymi parasolkami, poszukiwaczy przygód i lalusiowatych turystów, przemykających jak szare myszy misjonarzy oraz ich małżonki, od czasu do czasu pojawiała się jakaś zakonnica. Oprócz tego spotykało się tu bogatych muzułmańskich kupców, mułłów, rzemieślników. Charakterystyczni byli też

sadhu, pokryci kurzem, chudzi asceci ze sfilcowanymi brodami. Ich jedynym okryciem była zazwyczaj przepaska na biodrach. Całymi latami stali lub siedzieli zawsze w tej samej pozycji na tym samym rogu ulicy, żeby w ten sposób dostąpić wybawienia z cyklu reinkarnacji.

Ruch na ulicach przesiąkał w odchodzące od nich splątane uliczki i na karkołomne schody. Mężczyźni, kobiety, dzieci, starcy przyozdobieni srebrem, złotem i klejnotami, ubrani w jedwab lub czystą, połyskującą, farbowaną bawełnę, brudni, zawszeni, obszarpani, żwawo wykonujący swą pracę lub oddający się słodkiemu lenistwu, osoby śmiertelnie wyczerpane, stawiające z trudem stopę za stopą, lub takie, co tylko przycupnęły gdzieś w kącie. Uliczni muzycy, handlarze, złodzieje, żebracy, kurwy; złotnicy, którzy z nieobecnyim wzrokiem żuli jakieś ziele lub pili herbatę, czekając na kolejnego klienta; rzemieślnicy, którzy z zapalem wykonywali swoją pracę, szyli buty, kuli metal, tkali materiały. Skądś dolatywał zapach farby, skóry i moczu, dobywający się z kadzi garbarzy i farbiarzy. Czuć było woń potu, kurzu i ekskrementów, świeżego drewna, żaru, curry, pieprzu i gałki muszkatolowej, drewna różanego i cynamonu, prażonych orzechów, wilgotnych kamieni, o późniejszej zaś porze kamieni nagrzanym od słońca, a także metaliczny zapach krwi szlachtowanych zwierząt. Zalatywało zgnilizną, śmiercią, czystą wodą i trawą, listowiem drzew z licznych ogrodów, gotowanym ryżem i iskrami kutego żelaza. W powietrzu rozbrzmiewały pieśni, wiły się jak delikatny dym przenikający misterną plecionkę o drobnych oczkach, składającą się z hindustani, urdu, bengali, angielskiego, perskiego, arabskiego, gudżarati i wszystkich tych języków oraz dialektów subkon-tynentu, które były używane w mieście.

To, że Delhi nie pogrążyło się w absolutnym chaosie, miasto zawdzięczało obowiązującym tu ścisłym normom i wszechobecnej biurokracji. Obszar Delhi został podzielony na dwanaście rejonów, tak zwanych *thana*, na czele każdej thany stał *thanadar*.

Każda thana z kolei skupiała *mahallah*, sąsiedztwa, za które odpowiedzialny był *mahallahdar*.

Ta struktura administracyjna stała się dla trójki uciekinierów niewidoczną barierą. Gdy przemieszczali się od bramy do bramy, za każdym razem byli podejrzliwie lustrowani kolejno to przez jednego thanadara, to przez drugiego. Ich prośba o wpuszczenie do danej thany była odrzucana i kwitowana zdecydowanym „*nahin*”. Thanadarzy byli nieufni, widząc ich fizyczne wyczerpanie i prosty wygląd. Najczęściej jednak o odmowie decydowała obecność brudnego, obdartego sahiba o jasnej skórze i niebieskich oczach. Nie pomagały nawet monety, które Mohan to pokornie, to hardo podtykał thanadarowi, żeby udowodnić swą wypłacalność. Czasem wręcz wzmagaly one podejrzliwość, jaką im okazywano. Odrzucona została nawet prośba, by udzielono schronienia ciężarnej kobiecie.

Słońce przeszło przez zenit, a w końcu rozgrzane do czerwoności opuściło się i schowało za zachodnim murem miasta, oblewając jaskrawym światłem Czerwony Fort i sprawiając, że jego mury wyglądały jak zlane krwią. Wkrótce bramy miejskie miały zostać zamknięte, a oni wciąż jeszcze nie znaleźli miejsca, gdzie mogliby spędzić noc.

Nadal siedzieli na koniach, bezradni i zmęczeni. Nastął zmrok, niebo pociemniało, a im ponownie zatrzaśnięto przed nosem bramę kolejnej thany. W ciągu tego dnia okrążyli prawie całe miasto w obrębie murów twierdzy. Teraz znaleźli się znowu w pobliżu bramy, przez którą rankiem wjechali do Delhi.

Sitara się rozejrzała, a jej spojrzenie padło na ślepego, zgarbionego starca, który szedł wzdłuż muru, powłócząc nogami i obmacując drogę; pod wychudzonym ramieniem trzymał miseczkę na datki. Przeszedł ją dreszcz, którego nie była w stanie powstrzymać.

- Tu nie ma dla nas miejsca - powiedziała cicho. Błagalnie, niemal z rozpaczą spojrzała najpierw na brata, potem na Winstona. - Odjedźmy stąd, nie mogę tu zostać!

- Dobrze - skinął głową Mohan. - Ale dziś w nocy potrzebujemy dachu nad głową. Zostając na ulicy, tym bardziej zwracamy na siebie uwagę. - Zsiadł z konia i zagadnął żebraka w języku urdu:

- *Mihrbdni karke, proszę, jahdñ dharamsala kahdñ hai?* Starzec odpowiedział ledwo słyszalnym głosem, ochryłym ze starości i osłabienia. Jego martwe oczy skierowane były przy tym na Mohana. Ten podziękował starcowi, wciskając mu kilka monet w palce przypominające szpony.

Gdy Mohan z powrotem wskoczył na siodło, Winston spojrzął na niego.

- I co? - zapytał.

- Niedaleko stąd jest schronisko dla pielgrzymów. Miejmy nadzieję, że nas tam przyjmą.

Pojechali prosto szeroką Kuchah Qamr ad-din Khan, która prowadziła od wysokiego muru z piaskowca z powrotem w kierunku centrum miasta. Stukot kopyt na szybko pustoszejących ulicach brzmiał w ich uszach zdradziecko głośno. Ulica otworzyła się na plac w kształcie półksiężyca z pocieszająco pluskającą fontanną. Na końcu placu, w miejscu, gdzie pod ostrym kątem schodziły się dwie ulice, znajdowało się schronisko, którego światła świeciły zapraszająco.

I powitano ich tam, prostych, zmęczonych ludzi, wśród obdartych, przybyłych z daleka pielgrzymów, którzy ścignęli tu, by odwiedzić rozsiane po mieście świątynie najróżniejszych hinduistycznych bogów, modlić się, złożyć ofiary i prosić o błogosławieństwo. W schronisku panował rozgardiasz - przebywali tu *sadhu*, starcy, młodzi wieśniacy i ich żony, piszczące i płaczące dzieci. Nikt nie zważał na troje przybyszów, którzy za kilka rupii weszli do przepelnionej sali sypialnej w tylnej części parteru. Nikt do nich nie zagadał, nikt nie stawiał pytań.

Nocny spoczynek był tu słowem obcym; na prostych siennikach wypełnionych słomą spali wyczerpani podróżni, wokół biegały dzieci, kobie-

ty i mężczyźni rozmawiali, zebrani wokół zwykłej gry w kości, podczas gdy pojedynczy pobożni ludzie zatopili się w modlitwie.

Winston, leżąc wyciągnięty na swoim pościeliu przy ścianie, patrzył przez moment w głąb sali w poczuciu całkowitego odrealnienia. Uświadomił sobie, że wszystkie minione tygodnie były jak sen. Nic nie mogło być bardziej odległe od jego dotychczasowego życia niż to, co przeżył ostatnio w tak krótkim czasie. *Jak to się stało, że trafiłem iv to miejsce?* - pomyślał zmęczony. Po chwili poczuł, że zaokrąglone ciało Sitary przytula się do niego. Zrobiło mu się przyjemnie i zapadł w błogi sen. Nie zdążył długo pospać, gdy poczuł lekkie szarpanie. Musiał wykonać niesamowity wysiłek, żeby otworzyć oczy. Sitara patrzyła na niego z przestrachem. Poczuł, że cały zeszytywniał. To Mohan go obudził, a równocześnie dyskretnie przyłożył palec do ust w geście ostrzeżenia. Winston zamrugał oczami i uniósł głowę. Płoneły jeszcze pojedyncze lampy, rzucając migotliwe światło na pogrążone we śnie ciała podróżnych. Nikt więcej się nie obudził; cała nerwowa ekscytacja gości schroniska opadła; ciało i duch nieubłaganie egzekwowały swoje prawa. Słysząc było synkopowe, wielogłosowe chrapania, gdzieś cicho płakało niemowlę. Winston ściągnął brwi, nie rozumiejąc, o co chodzi, spojrzał zdziwiony na Mohana, ale wtedy sam usłyszał: oficerki jeźdźców dudniące po kamiennej posadzce, szelest deptanego sitowia, którym wyłożono podłogę, męskie, twarde głosy w tonie wojskowych komend. Mohan kiwnął mu dyskretnie głową i wskazał drewniane drzwi na drugim końcu pomieszczenia. Wszyscy troje wstali cicho, wdzięczni, że nie słysząc, jak mocno walą im serca, zebrali swoje manatki i schyleni zaczęli przemykać powoli i w skupieniu po sypialni, starając się nie potrącić żadnej ze śpiących gęsto obok siebie osób ani nie przestraszyć nikogo nagłym ruchem.

Powolutku, cal po calu, Mohan otworzył drzwi na tyle szeroko, żeby mogli się przez nie przecisnąć jedno po drugim, wycho-

dząc na zewnątrz, na łagodne nocne powietrze. Potem przymknął je cicho z powrotem. W samą porę, bo w tej chwili w środku rozległ się ledwie tłumiony przez drzwi tumult. Kobiety piszczały, dzieci płakały głośno, mężczyźni krzyczeli, jeszcze na wpół zaspani. To wojownicy radży postawili na głowie schronisko, szukając trojga uciekinierów.

Zaczęli biec najszybciej, jak mogli. Z dziedzińca wydostali się na otwartą ulicę. Schronienie dawał im cień uszeregowanych prosto jak po sznurku domów. Szczury rozpierzchały się przestraszone, czmychały po bruku, spoglądały na nich z ciekawością, uciekały przed stukotem butów i szczekliwymi głosami, które zaczęły ich ścigać. Zamknięte drzwi i okiennice patrzyły na uciekających niechętnie, gładki front elewacji nie dawał możliwości wślizgnięcia się gdziekolwiek. Wreszcie wąska uliczka. Skręcili w nią. Z oddali słychać już było ich prześladowców.

Winston pędził ślepo za Mohanem i Sitarą, zdumiony, że była w stanie biec tak zwinnie mimo ciąży. Skręcili na prawo, potem znowu w lewo, za każdym razem trafiali w coraz bardziej zężające się uliczki, w końcu Mohan wpadł na bramę. Była zamknięta.

Zatrzymali się zasapani, trzymając się za boki, w których ich kłuło, próbowali się zorientować w ciemności.

- Wiesz, gdzie jesteśmy? - wykrztusił Winston i przytulił drżącą ze strachu i wyczerpania Sitarę.

- Niby skąd? - odpowiedział Mohan, nie mogąc złapać tchu, w następnej chwili chwytając Winstona mocno za ramię.

Anglik wstrzymał oddech i nasłuchiwał wśród ciemności. Kroki się zbliżały, głośne, groźne, zdecydowane, jakby prześladowcy wiedzieli, że ich łup znajduje się w zasadzce. Oczy Winstona przyzwyczyły się do ciemności, mógł teraz dojrzeć sylwetkę Mohana, który zakradł się cicho z powrotem do skrzyżowania uliczek. Jakiś mięsień w udzie Winstona drgał niekontrolowanie, gotowy do podjęcia ucieczki. Anglik potrzebował niesamowitej siły woli, żeby powierzyć Mohanowi życie swoje i Sitary.

Dopiero później, gdy było po wszystkim, udało mu się poskładać ułamki następnych sekund. Obaj radżpucy wojownicy wyszli z za rogu z wyciągniętymi mieczami i uniesionymi pochodniami. Mohan chwycił jednego i szybkim ruchem podciął mu sztyletem gardło. Radżput osunął się łagodnie na ulicę. Sitara odłączyła się od Winstona i wbiła drugiemu radżputowi sztylet prosto w pierś. Ten nie zdążył nawet wydać z siebie dźwięku, a jego ciało opadło bezgłośnie na zwłoki towarzysza.

Popiskując, przebiegła obok nich małpka. W ciemności zabłyśły zęby Mohana.

- Hanuman nas pozdrawia. Chodźmy za nim.

Winston poczuł, jak chwytają go silne ręce Mohana i ciągną uliczką w drugim kierunku. Po chwili znaleźli się w jakimś budynku. Szli ciemnym korytarzem, który zaprowadził ich do wysokiego, obszernego pomieszczenia, skąpo oświetlonego olejowymi lampkami. Winstonowi nogi ugięły się w kolanach, opadł na kamienną posadzkę, oniemiały i sztywny z przerażenia, twarz schował w dłoniach. Podniósł wzrok dopiero wtedy, gdy poczuł, że coś go ciągnie za nogawkę spodni.

Przed nim siedziała małpka. Małe paluszki wczepiła w zeszywniały z brudu materiał jego spodni i patrzyła na niego okrągłymi dużymi oczkami. Nagle wyszczerzyła groźnie zęby, wydała z siebie skrzek niezadowolenia, a potem odskoczyła w bok.

Winston podążył za nią spojrzeniem jak urzeczony. Małpka zniknęła mu z oczu w półmroku. Powoli zaczął się rozeznawać we wnętrzu świątyni.

Rozejrzał się dookoła. Podłoga i ściany były wyłożone kafelkami w niebiesko-białe wzory. Wszędzie stały proste lampki oliwne z wypalanej gliny, większość z nich wygasła, ale te jeszcze płonące rzucały cienie, które tańczyły na ścianach i suficie niczym groźne nocne demony.

Dopiero później zobaczył je - małpy, nieskończenie wiele małp; robiące akrobacje pod sklepieniem małej świątyni, goniące się nawzajem, skrzeczące

lub iskające się poufale, siedzące nieruchomo, jakby medytowały, lub wpatrujące się w troje nocnych intruzów.

Jego spojrzenie padło na Sitare, która przysiadła niedaleko niego na podłodze, ramionami mocno objęła podciągnięte pod brodę kolana i patrzyła przed siebie. Przed jego oczami pojawił się inny obraz: jak stała w gasnącym świetle upuszczonej na ziemię pochodni nad mężczyzną, którego właśnie zabiła. Miała wtedy rozstawione nogi, a rękę, która zadała śmiertelny cios, trzymała wciąż jeszcze w powietrzu, usta miała lekko otwarte, w spojrzeniu dziki wyraz, trochę przestraszony, trochę zadowolony - jak drapieżna kotka, która dopiero co obroniła swoje młode.

Jakby czytała w myślach, podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Przeszedł go dreszcz, bo odniósł wrażenie, że ma przed sobą obcą osobę. Chciał do niej podejść i objąć ją, ale nie mógł. Sparaliżowała go dziwna bojaźń, zawstydzony odwrócił wzrok.

- Wyglądasz na tak speszonego jak zgorszona bigotka - wyrwał go z zamyślenia głos Mohana. - Nie chcesz mi chyba wmówić, że jeszcze nigdy nikogo nie zabiłeś?

Winston nie miał śmiałości spojrzeć Mohanowi w oczy, choć czuł, jak skóra go pali pod spojrzeniem towarzysza. Zaczerwienił się i w końcu pokręcił głową. W ciągu swej dotychczasowej służby miał szczęście. Nigdy go nie wysłano na front, ani w przypadku mniejszych potyczek, ani w surowe góry Afganistanu. Ale w tej chwili czuł się z tego powodu okropnie zdeprymowany.

Mohan prychnął pogardliwie.

- Wisznu, wspomóż mnie! I ty jesteś żołnierzem, Winstonie? Czego wy się właściwie uczycie w tej waszej wspaniałej armii? Możecie mówić o szczęściu, że do tej pory nie doszło w kraju do większych niepokojów. Gdyby któregoś dnia hindusi i muzułmanie odłożyli na bok niesnaski i stanęli przeciwko wam, to proście waszego wszechpotężnego boga o łaskę, bo jedynie on może was wtedy ocalić. - Pojednawczym tonem dodał: - Proszę, zjedz to.

Podsunał mu pod nos drewnianą misę z owocami. Winston zasłonił się ręką.

- Przecież te owoce złożono tu w ofierze.

W oczach Mohana błysnęło rozbawienie. Lekkim ruchem głowy pokazał w głąb pomieszczenia.

- Hanuman nam wybaczy. Ugryzł ze smakiem kawałek figi.

Dopiero teraz Winston zwrócił uwagę na posąg wielkości człowieka stojący pośrodku świątyni. Wstał i podszedł, by obejrzeć go z bliska. Rzeźba przedstawiała umięśnionego mężczyznę ubranego jedynie w przepaskę na biodrach. Mężczyzna ten klęczał na podeście. Jego grubokoścista twarz o masywnym podbródku była po części ludzka, po części małpia. Obiema rękami rozrywał sobie pierś, otwierając w ten sposób widok na boską parę, mężczyznę i kobietę.

- To są Rama i Sita - wyjaśnił cicho Mohan, który stanął mu za plecami. - Hanuman jest bohaterem *Ramajany*. To syn Waju, boga wiatru, od którego otrzymał siłę cyklonu i zdolność latania. Jest silny i mądry. Nikt nie jest mu w stanie dorównać pod względem uczoności. Pewnego dnia Hanuman ukrył się w lesie i spotkał tam Ramę. Rama wyznał mu, że jego ukochana żona Sita została uprowadzona przez demona Rawanę i że właśnie jej poszukuje. Hanuman, głęboko poruszony tą historią, zrozumiał, że został wybrany przez los na sługę Ramy, zebrał więc wokół siebie armię. Ta armia nie potrafiła odnaleźć Rawany i Sity, ale Hanuman odkrył kryjówkę demona. Przybrał postać zwykłej małpy, żeby umknąć chmarom potężnych demonów i dotrzeć do wspaniałego pałacu Rawany. Odnalazł tam Sitę, która siedziała smutna w ogrodzie, pilnowana przez demony. Hanuman wyszedł ze swej kryjówki, podszedł do niej i dał jej pierścień Ramy. Opowiedział jej, że Rama jest bez niej nieszczęśliwy. zaproponował, że weźmie ją na grzbiet i razem z nią odleci z tego miejsca. Ale Sita odrzuciła tę propozycję z szacunku dla męża, ponieważ był-

by to dla niego dyshonor, gdyby uratował ją ktoś inny. Tak więc Hanuman wdał się w walkę z Rawaną, zniszczył mury miasta i pokonał tysiące demonów. Podczas tej walki Rawana podpalił Hanumanowi ogon, ale ten przybrał olbrzymią postać i podpalił miasto Rawany. Następnie wrócił do Ramy i powiedział, że znalazł Sitę. Hanuman i jego mała armia zniszczyli Rawanę i jego królestwo, a Rama mógł uwolnić Sitę. Hanuman jest symbolem wiernego sługi oddanego swemu panu oraz symbolem wiary we własnego istę.

Historia małpiego boga oraz imię bohaterki, tak podobne do imienia Sitary, sprawiły, że Winston spojrział w kierunku ukochanej. Dumnie odwzajemniła jego spojrzenie, zadowolona z siebie i z tego, co zrobiła. Jej oczy wyrażały miłość, a zarazem nieco obawy. Winston zawstydził się nieskończenie, a jednocześnie poczuł, że zalewa go ciepło. Ramie w ramie ułożyli się na nocny spoczynek, żeby przespać choć parę godzin, zanim o świcie przybędą do świątyni na modlitwę pierwsi wyznawcy. Czuwał nad nimi życzliwy wzrok Hanumana, wojownika chroniącego zakochanych.

Winston popatrzył na blady błękit porannego światła, które przedostawało się do wnętrza świątyni przez okna zwieńczone łukami i sprawiało, że złoty blask ostatnich powoli gasnących lampek oliwnych wydawał się brudny. Z daleka dobiegały nawoływania muezinów, którzy z minaretów wzywali wiernych na poranne modlitwy. Winston potrzebował dłuższej chwili, by się zorientować, gdzie jest i co go tu sprowadziło. Wspomnienie wydarzeń minionej nocy trafiło go jak cios w żołądek. Ciało miał obolałe od leżenia na twardej kamiennej posadzce. Czuł, jak wtula się w niego ciepłe ciało śpiącej Sitary. Ale jeszcze coś zaświtało w jego pamięci, niewyraźne urywki snu, który pozostawił po sobie uczucie tęsknoty i radości. Gdyby tylko mógł sobie

przypomnieć, co to było... Zerwał się i zaczął potrząsać ramieniem Mohana Tadżida, który natychmiast się zbudził i usiadł.

- Saharanpur - rzekł Winston, a gdy Mohan zmarszczył czoło, nie rozumiejąc, o co mu chodzi, dodał podekscytowany: -Tam mieszka mój przyjaciel. On nam pomoże.

Twarz Mohana wyrażała sceptycyzm, a jednocześnie w jego oczach zapłonęła iskra żądy przygód i rozweselenia.

- Wreszcie zaczynasz myśleć...

Pieszo wmieszali się w poranny strumień ludzi idących uliczkami. Nie odwracali się, a żadne z nich nie wspomniało o śmierci dwóch radżpuckich wojowników. Opuścili miasto także pieszo, upokorzeni i nieważni. Wyszli przez tę samą bramę, którą dzień wcześniej, pełni nadziei, wjechali konno do miasta.

Życzliwy wieśniak podwiózł ich kawałek w kierunku północnym na rozklekotanym wozie ciągnionym przez woły. Trudno im było nie rzucać tęsknych spojrzeń ku mijanym murom miejskim, które w świetle słońca błyszczały kolorem miedzi. W tym mieście spodziewali się znaleźć ochronę, a spotkało ich tylko gorzkie rozczarowanie. Teraz na nowo kierowali swe nadzieje ku nieznanemu.

9

Droga była uciążliwa. Długie odcinki przemierzali pieszo, a nocowali - wycieńczeni i obolali - pod gołym niebem. Z Baghpatu do Kandhli podwiozła ich karawana. Zatruszczono się tam o nich, w Kandhli znaleźli dach nad głową i dostali świeżą odzież. Następnego ranka za niebotycznie wygórowaną cenę udało im się odkupić od wieśniaka lichy wóz i słabego ze starości wołu. Tym

wozem jechali powoli dalej na północ. Ich zmęczony i obdarty wygląd sprzyjał im tu, na żyznej równinie między Jamuną a Gangesem, między falującymi polami zbóż i soczystymi pastwiskami, na których pasło się bydło. Tutejsi ludzie byli biedni, mieli tylko tyle, by przeżyć, choć nie cierpieli głodu, a nędznie wyglądający przybysze z południa wyglądali swojsko. Nie było powodu, by coś podejrzewać, co najwyżej dzielono się z nimi świeżo upieczonymi chlebkami *chapati*, dzbankiem mleka lub miską pilawu. Mohan i Winston zmieniali się na koźle, podczas gdy Sitara leżała zwinięta na podłodze wozu, przykryta wytartym kocem, i spała niemal bez przerwy, chyba że akurat Winston próbował podać jej kilka kawałków *chapati* i parę łyków wody. Dziecko w jej łonie od kilku dni sprawiało, że czuła się niedobrze, a jazda po złych drogach, gdzie trzęsło wozem i nią, nie przyczyniała się do poprawy jej zdrowia. Droga wydawała się długa, bez końca, podobna do tułaczki. Wyczerpani, nie odzywali się do siebie, popadli w dziwne odrętwienie. Na nic nie zwracali uwagi, wzrok mieli utkwiony jedynie w drodze prowadzącej na północ. Dopiero gdy znaleźli się na głównej ulicy Saharanpuru, tętniącego życiem miasteczka rzemieślników, Mohan po raz pierwszy od wielu dni zabrał głos.

- Skąd znasz tego...

- Williama - dokończył Winston i rzucił zatroskane spojrzenie przez ramię w kierunku Sitary, która przycupnęła za kozłem w półleżącej pozycji. Wyglądała, jakby zasnęła z otwartymi oczami. Winston pochylił się z powrotem do przodu. - On się nazywa William Jameson. Jesienią '38 roku płynęliśmy tym samym statkiem do Kalkuty. Objął stanowisko lekarza sztabowego w Bengal Medical Service, a ja zacząłem służbę w armii. Szybko się zaprzyjaźniliśmy. Krótco przebywał w Kalkucie, najpierw przeniesiono go do Kanpuru, potem do Ambali, a od dwóch lat kieruje tutejszym ogrodem botanicznym. Botanika zawsze była mu bliższa niż medycyna.

- Jesteś pewien, że nam pomoże?

Winston wzruszył ramionami, na jego twarzy pojawił się gorzki grymas.

- Mam taką nadzieję.

Znowu zapadło między nimi milczenie. Jechali według wskazówek, których udzielił im miejscowy szewc, zagadnięty przez nich, gdy wjechali w granice miasta.

Ogród botaniczny, który pojawił się przed nimi, wyglądał jak raj na ziemi. Otoczony był niskim murem, w obrębie którego w zbytkownej krasie kwitły krzewy hibiskusa, rododendrony i oleandry. Wjechali na jego teren przez otwartą bramę. Pod kołami wozu zatrzeszczał żwir, którym wysypano wjazd. Mijali wypielegnowane rabaty z sadzonkami i ziołami, dumnie prezentującymi na małych tabliczkach swoje łacińskie nazwy i miejsce występowania na świecie.

Jeden z wielu tutejszych ogrodników, którzy grabili opadłe Uście pod koronami rozłożystych drzew liściastych, pełli chwasty, ścinali zwiednięte kwiaty i martwe pędy, przybiegł zdenerwowany i ofuknął ich, pytając, czego tu szukają. Mohan zeskoczył z kozła i obaj wdali się w głośną i gwałtowną utarczkę słowną w urdu, z której Winston mimo dość dobrej znajomości tego języka niewiele zrozumiał. Przybiegli inni ogrodnicy, nie po to, żeby interweniować, jedynie z czystej ciekawości. Wmieszau się do rozmowy równie głośno i hałaśliwie.

- *Kyd hai*, co się stało? - rozległ się gniewny męski głos należący do niezgrabnego Europejczyka mniej więcej w wieku Winstona, który podszedł do nich, stawiając wielkie kroki.

Rękawy przepoconej koszuli podwinał do góry, na nogach miał długie spodnie i ubrudzone ziemią oficerki. Jego wąska twarz z popielatym wąsikiem, zaczerwieniona z wysiłku i gniewu, była ocieniona kapeluszem o szerokim rondzie. Gdy znalazł się niemal w centrum awantury, stanął nagle i z niedowierzaniem popatrzył na Winstona. Dopiero teraz Winston uzmysło-

wił sobie, jak odstrasżająco musiał wyglądać - zakurzony i przepecony, z zaczerwienionymi oczami i zapadniętymi policzkami, w wytartym odzieniu wiejskiego robotnika. Włosy miał długie i posklejane, miedzianą brodę zaniedbaną, a twarz spierzchniętą i spaloną słońcem.

- Winston? - zapytał William Jameson z wahaniem, równie zdumiony co szczęśliwy.

W następnej chwili Winston znalazł się w serdecznym objęciu przyjaciela, radośnie klepany po plecach. Na moment zamknął oczy. Musiał zmobilizować wszystkie siły, żeby nie wybuchnąć nieprzystającym mężczyźnie płaczem, ponieważ uściski przyjaciela były pierwszym swojskim gestem od wielu tygodni. W ostatnim czasie wszystko, co przeżył, było obce, nieznanne i niebezpieczne. Poczuł głębokie wzruszenie, a jednocześnie przytłumioną zmęczeniem radość osoby, która wróciła do domu.

- Chodź, najpierw weźmiesz kąpiel, a potem usiądziemy, napijemy się herbaty i opowiesz mi o wszystkim - zaproponował serdecznie William. Rzuciwszy okiem na Mohana i Sitarę, która usiadła na wozie i podkrążonymi oczami rozejrzała się lękliwie po nieznanym otoczeniu, dodał: - Masud umieści tych dwoje w kwaterze dla służby.

Winston chciał oponować, ale Mohan kiwnął mu nieznacznie głową i zaczął zdejmować Sitarę z wozu, a następnie oboje ruszyli za głównym ogrodnikiem o ponurym spojrzeniu. William natomiast zarzucił rękę na ramię Winstona i razem podążyli żwirową drogą do parterowego bungalowu krytego niskim słomianym dachem - prostego, małego domku, który jednak Winstonowi wydawał się bardziej urokliwy niż wszystkie rozległe pałace Radżputany.

Wykąpany i ogolony, w pożyczonym od Williama ubraniu, które ledwo na niego weszło, Winston znowu poczuł się jak człowiek, jak Anglik. Usiadł w fotelu naprzeciwko Williama, w pomieszczeniu, które pełne było książek, naczyń i pamiątek

z dalekiej ojczyzny. Stało tu biurko ze stosami zapisanych kartek papieru pełnych notatek i zasuszonymi częściami roślin, które miały jeszcze zostać opisane i skatalogowane. Pokój ten był jednocześnie sypialnią, jadalnią i gabinetem, przez co robił potrójnie przytulne wrażenie.

Wyglądniały Winston niemal zapomniał o dobrym wychowaniu. Pod czujnym wzrokiem przyjaciela wziął się do grubo obłożonych kanapek i soczystego ciasta, wypijał filiżankę po filiżance herbaty z mlekiem.

Wreszcie, po ostatnim spałaszowanym okruszku, oparł się wygodnie w fotelu z prawie bolesnym uczuciem pełności w brzuchu. William sięgnął po woreczek z tytoniem i zaczął starannie nabijać fajkę. Kiedy tytoń się zajął, botanik z przyjemnością zaciągnął się dymem, którego gęsta chmura prawie przesłoniła jego kanciastą, opaloną twarz.

- No to opowiadaj - rzekł do przyjaciela.

Gdy Winston skończył, William jeszcze przez kilka chwil ssał ustnik fajki, w końcu spostrzegł, że ta już dawno wygasła. W milczeniu pochylił się nad stołem, popukał fajką o brzeg popielniczki, żeby wysypać popiół. Na nowo ją napełnił, tym razem jeszcze wolniej. Twarz miał zamysłoną, z obawą obserwował przy tym Winstona.

William Jameson był dwa lata młodszy, ale ze względu na szczupłą sylwetkę, skrytą naturę i poważny sposób bycia robił wrażenie rówieśnika Winstona, a nawet osoby nieco starszej. Przyszedł na świat w Szkocji, w Leith, w rodzinie akademików. Rysy jego twarzy były surowe jak szkockie torfowiska. Ciemnoblonde włosy miał już przerzedzone, a jego szare oczy wyglądały, jakby odbijało się w nich zachmurzone szkockie niebo. Ale Winston wiedział, że jest to człowiek pogodny, a nawet dowcipny. Nieraz tego doświadczył, gdy przebywali w zażyłym gronie. Wiedział, że z Williamem można było pić do nieprzytomności,

a on nie stawał się przy tym nigdy agresywny. Dla Williama przyjaźń była jednym z największych dóbr, tak więc Winston czekał teraz ze strwożonym sercem na reakcję przyjaciela, mając gorącą nadzieję, że nie pomylił się co do jego lojalności.

William wypuścił dym i opadł na oparcie fotela, również wpatrując się wnikliwie w Winstona.

- Zakładam - powiedział w końcu, lekko chrząknawszy - że sam zdajesz sobie sprawę, iż narobiłeś cholernego bigosu.

Winston zaczerwienił się jak burak, ale nic nie powiedział. Tymczasem William ciągnął dalej:

- Mogę cię o tyle uspokoić, że nie jesteś poszukiwany. -Poprawił się w fotelu, założył nogę na nogę. - A przynajmniej już nie jesteś poszukiwany. Twoja kompania ze względu na listy, które do ciebie słałem, a które znaleziono w twoich rzeczach, zwróciła się do mnie, gdy długo nic o tobie nie słyszano ani cię nie widziano, a kiedy kilka tygodni później z troski o ciebie jeszcze raz wysłałem pisemne zapytanie, poinformowano mnie, że zostałeś uznany za zaginionego. Uważają, że nie żyjesz, Winstonie, choć oficjalne oświadczenie wydadzą pewnie dopiero za kilka miesięcy albo lat.

Winston patrzył przed siebie jak ogłuszony. To zupełnie inna sprawa samemu palić za sobą mosty i odchodzić, a co innego oficjalnie nie istnieć, zostać wymazanym z rejestrów osób żyjących. Nigdy, nawet we śnie, nie pomyślałby, żeby wrócić na służbę do armii, ale świadomość, że ewentualnie mógłby mieć otwarte maleńkie drzwiczki, dawała mu poczucie bezpieczeństwa. Skreślą go z listy żołnierzy, jego rodzina zostanie poinformowana i w niewielkim pudle zostaną jej przesłane jego nieliczne rzeczy osobiste. Najbliżsi będą go opłakiwać, nosić po nim żałobę, postawią na jego cześć pomnik na cmentarzu. Będzie na zawsze należał do tych, którzy poświęcili życie w wiernej i szczerzej służbie dla Anglii i Korony. Będzie bohaterem, choć w tych okolicznościach sława ta wydała mu się w najwyższym stopniu wątpliwa.

Ale z każdym dniem, który mijał, malało prawdopodobieństwo, że ktoś mu uwierzy w historię o niewoli i tułaczce przez Indie, a za dezercję karano śmiercią. Nieważne, jakiego dokona wyboru, i tak czeka go śmierć: rzeczywista lub formalna. Dopiero teraz zrozumiał, że po spotkaniu z Williamem spodziewał się rozwiązania, które byłoby mniej radykalne, które torowałoby mu powrót do egzystencji przypominającej choćby częściowo jego wcześniejsze życie. Ale kości zostały rzucone, decyzja podjęta i nie było odwrotu.

Patrzył bezradnie na Williama, który czekał w milczeniu, aż Winston oswoi się z całym wymiarem konsekwencji swoich poczynań.

- Nie zrozum mnie źle, Winstonie - odezwał się ponownie botanik. - Możecie tu zostać kilka dni, póki nie odpoczniecie, ale potem dla bezpieczeństwa nas wszystkich moja gościnność musi się, niestety, skończyć. Saharanpur jest dziurą, stacjonują tu żołnierze, a mnie często odwiedzają urzędnicy z Asiatic Society albo z rządu, albo inni botanicy, którzy są zainteresowani moją pracą. Przez jakiś czas możecie się tu zatrzymać, ale zbyt duże jest niebezpieczeństwo, że wasz kamuflaż zostanie zdemaskowany, a wtedy wezmą się za ciebie. Mnie też nie zależy na tym, by któreś nocy zbudzili mnie uzbrojeni po zęby wojownicy. Możesz mnie nazwać tchórzem, jeśli chcesz. Do tego niedługo zamierzam się żenić, a nie mogę wymagać od mojej narzeczonej, żeby po ślubie mieszkała pod jednym dachem z dezerterem i jego hinduską kochanką. - Zawiesił na chwilę głos. - Zdajesz sobie sprawę, że jestem dość sceptyczny wobec waszego... hm... związku?

Winston przytaknął i prawie roześmiał się w głos, ponieważ przypomniał sobie, że kilka miesięcy temu myślał podobnie. Ta jedna noc w Surja Mahal wszystko jednak zmieniła.

- To wcale nie dlatego - kontynuował w zamyśleniu William - że uważam Hindusów za ludzi mniej wartościowych, ani też dlatego, żebym sądził, że rasy nie powinny się mieszać. Ale

wiesz, jestem pragmatykiem, a wy nigdzie już nie będziecie należeć, a po was wasze dzieci i dzieci tych dzieci. Obie strony będą was traktować jak odszczepieńców, a jeśli nawet społeczeństwo okazałoby się bardziej postępowe, to i tak pochodzicie z różnych kultur, macie różne światopoglądy, wyznajecie różne religie. Nie sądzę, że nie spowoduje to głębszych konfliktów.

- Oszczędź sobie tego kazania na niedzielę - odpowiedział Winston, a jego matowy, ochryply głos odebrał tym słowom wszelki jad.

William uśmiechnął się przelotnie, po czym znowu przybrał poważną minę.

- Musicie stąd wyjechać. Jak najszybciej i jak najdalej. Pomogę wam, na ile będę mógł.

- Co proponujesz?

Winston wypuścił z fajki łańcuszek gęstych, małych obłoczków dymu, dmuchając w kierunku Winstona.

-Jednym z moich zadań jako superintendenta tego ogrodu jest uprawa najbardziej wydajnych i jak najlepszych jakościowo krzewów herbacianych. W tym celu w różnych miejscach w Indiach zakładamy eksperymentalne plantacje i sadzimy tam importowane z Chin nasiona i sadzonki.

Wstał i dał znak Winstonowi, by ten podszedł do biurka, gdzie spod ułożonych w wachlarz notatek wyciągnął mapę Indii. Ustnikiem fajki nakreślił nad mapą płaski łuk z prawej strony w lewo, wzdłuż łańcucha Himalajów, ze wschodu na zachód, wskazując po kolei podkreślone nazwy miejscowości i tłumacząc:

- Góry Hazari, Kumaon, Garhwal, Mussoorie, Dehradun. Wiele plantacji nadal jest w powijkach. Dopiero w ciągu następnych lat staną na nogi. Ale plany zostały już zaaprobowane, a pieniądze przyznane. - Spojrzał Winstonowi w oczy. - Byłbym zadowolony, mając na miejscu kogoś zaufanego, komu mógłbym zlecić karczowanie, sadzenie, zbiory i produkcję. Pensja nie będzie zbyt wielka, ale dla małej rodziny z powodzeniem wystarczy.

Winston pokręcił głową.

- Nie znam się w ogóle na roślinach, a cóż dopiero na herbacie.

- Tego się można nauczyć. I tak zamierzam ściągnąć z Chin doświadczonego manufakturzystę, może nawet kilku, a oni się na tym doskonale znają. A więc, co sądzisz o mojej ofercie?

Winston patrzył w zamyśleniu na rozłożoną przed nim mapę. Czy miał jakiś wybór?

- Nie da się jeszcze dalej? - zapytał w końcu i zaśmiał się nerwowo.

William odpowiedział szerokim uśmiechem i popukał ustnikiem fajki niepodkreśloną nazwą w zachodnich Himalajach, niedaleko granicy z Kaszmiem.

- Kangra. Malownicza dolina z niewiarygodnie łagodnym klimatem i przyjaznymi, otwartymi ludźmi.

- Dlaczego nie została zaznaczona? - zapytał nieufnie Winston, wietrząc jakiś problem.

- Należy do terytorium sikhów, rządzi tam marionetkowy radża ze starej radżpuckiej dynastii. Wiem z dobrze poinformowanych źródeł, że Anglia jest dość zainteresowana podporządkowaniem sobie tej części Himalajów. Powiedzmy: zegary już tykają.

- Chcesz nas wysłać w miejsce, gdzie może dojść do działań wojennych? William pokręcił głową.

- Bynajmniej. Ten obszar ma wprawdzie znaczenie strategiczne, ale nie stanowi najwyższego priorytetu. Przyjęcie tego obszaru pod angielskie panowanie jest jedynie środkiem zapobiegawczym. Generałowie czuliby się lepiej, gdyby granice polityczne skolonizowanych Indii pokrywały się z granicami naturalnymi. Kangra jest spokojną, senną doliną z rozproszonymi wioskami i osiedlami, leży daleko od wszystkich politycznych konfliktów i kryzysów. Brytyjska armia na pewno nie wywoła tam wojny, to by się nie opłacało. Jeśli mielibyście znaleźć gdzieś bezpieczne schronienie, to na pewno tam.

- Daj mi dzień na zastanowienie - odpowiedział ochrypłym głosem Winston, czując, że zaschło mu w gardle.

- Dobrze - kiwnął głową William i wsunął mapę z powrotem pod rozłożone notatki. - Teraz chętnie zobaczyłbym, jak się ma twoja... hm... żona. Może mógłbym coś dla niej zrobić...

W tej chwili Winston poczuł się tak, jakby go ktoś uderzył w twarz, zrozumiał bowiem, że nigdy nie będzie mógł poślubić Sitary. Martwy człowiek nie może się podpisać pod aktem ślubu, a małżeństwo pod fałszywym nazwiskiem byłoby przecież nieważne. Ogarnęło go głębokie poczucie winy. Nie wiedział, czy będzie im kiedykolwiek sądzone wieść spokojne, uczciwe życie, czy może poprzez swoje grzechy na zawsze zaprzepaścili bożą łaskę.

Podczas gdy William zajmował się Sitarą, Mohan i Winston spacerowali po ogrodzie spowitym wieczorną ciszą. Zmierzch powoli rozkładał swe skrzydła nad koronami drzew. Winston opowiedział o ofercie Williama. Gdy wymienił nazwę doliny, Mohan cicho gwizdnął.

- Stara Kangra...

Winston spojrział na niego zdumiony.

- Znasz to miejsce?

-Tylko z książek historycznych i ze słyszenia. **Kangrah** oznacza „twierdza ucha”. Według legendy została zbudowana nad uchem zakopanego tam demona Dżalandhary. Niektórzy sądzą, że nazwa wzięła się stąd, iż wzgórze, na którym stoi twierdza, przypomina kształtem ludzkie ucho. W dawniejszych czasach twierdza służyła w całych Indiach. Powiadano, że jest nie do zdobycia. Faktycznie, mogolscy władcy zdobyli ją z największym trudem. Radżpucy Czandowie okazali się wspaniałymi obrońcami, ale po długim oblężeniu wieża w końcu padła i potrzebowali dwustu lat, żeby ją odzyskać, a niedługo potem przeszła pod władanie sikhów.

- Radżpucy Czandowie? Czy jesteście...
- Spokrewnieni? Nie, nie bezpośrednio. Na pewno mamy wspólnych przodków, ponieważ i oni, i my wywodzimy swe pochodzenie od księżycy i Kryszy, ale nie wiadomo, kiedy doszło do rozdzielenia obu linii. Teraz tych dwóch rodów nic nie łączy. - Mohan uśmiechnął się szeroko. - Mój ojciec radża był zawsze zły, że Czandowie z Kangry szczyłą się najdawniejszym pochodzeniem spośród wszystkich potomków rodu Czandrawamsia, a ci z kolei patrzą na Czandów z Radżputany z góry, traktując nas jako parweniuszy, którzy w ich oczach nie mogą się pochwalić porównywalnym drzewem genealogicznym. Spojrzał na Winstona w zamyśleniu, ale z błyskiem radości w oczach. W końcu stwierdził:
 - Faktycznie nie ma lepszego miejsca, żeby znaleźć bezpieczne schronienie. Dla radży jeszcze większą hańbą niż nasza ucieczka byłoby wysłanie swoich wojowników do Czandów z Kangry albo proszenie ich o pomoc. Zamieszkanie tam byłoby bardzo mądrym posunięciem.

10

Szybko wypoczęli po trudach dotychczasowej podróży, zwłaszcza Sitara. William uspokoił Mohana i Winstona, że jej stan wynikał z wyczerpania i niedostatecznego wyżywienia, dziecko jednak ma się dobrze. Po kilku dniach Sitara doszła do siebie. Nikt poza Williamem nie wiedział, dokąd wyruszyli na trzech silnych, jucznych koniach, zaopatrzeni w dużą ilość prowiantu, dokładną mapę i to, co najpotrzebniejsze w podróży. Przekroczyli brzeg Niziny Gangesu, ciągnącej się wzdłuż łańcucha gór Siwalik, przedgórza Himalajów. Rosły tam drzewa

sal o szerokich liściach oraz drzewa kapokowe. Po prawej stronie cały czas ciągnęły się pokryte śniegiem szczyty. Żadne z nich ich wcześniej nie widziało. Zapierały dech w piersiach swoją wyniosłością i trwałością. Przekraczali niezliczone rzeki i strumienie albo przez wąskie mostki, albo konno w miejscach, gdzie było płytko. Często udawało im się znaleźć samotną zagrodę, w której nocowali i dostawali gorący posiłek. Od czasu do czasu w różnych małych miejscowościach znajdowali schroniska, a w nich skromne możliwości noclegu. Sitara poczuła się silniejsza, mając świadomość, że zdążają ku określonemu celowi położonemu w cieniu gór. Czerpała też siłę z prowadzonych w milczeniu rozmów z dzieckiem, które w sobie nosiła. Stale była skupiona na swoim brzuchu i tak bardzo nieobecna, że Winston mimowolnie odczuwał zazdrość wobec nienarodzonego maleństwa.

Ich droga pięła się w górę. Mijali coraz więcej splekanych skał. Zbocza górskie porośnięte były lasami iglastymi, przypominającymi ściółkę z mchu. W innych miejscach schodzili z powrotem w dół, zagłębiając się w gęste lasy pełne dębów, świerków, jodeł i sosen, ustępujące niekiedy miejsca polanom, na których leżały mniejsze i większe odłamki skał. Z norek w ziemi wystawiały główki ciekawskie gryzonie o brązowym futerku i błyszczących, mądrych oczkach, a potem się znów chowały. Po skałach biegały koziorożce, wykonując karkołomne skoki. W gąszczu rosnącym wzdłuż drogi można było dojrzeć połyskujące dojrzale jagody oraz dzikie kwiaty. Nadciągała jesień. Stada gęsi i kaczek wyciągały głowy ku północy, w kierunku jezior Kaszmiru. Noce zrobiły się wyraźnie chłodniejsze, niebo zazwyczaj było gwiazdziste, powietrze suche, a dni słoneczne i ciepłe. Czasem przytrafiał się jeszcze późny motyl.

W końcu ich droga zaczęła powoli opadać. Prowadziła między wydłużonymi, łagodnymi wzgórzami, wznoszącymi się gdzieniegdzie i tworzącymi strome występy skalne, na których rosły grupy drzew, stały stare świątynie, a niekiedy spoglądała

podejrzliwie na drogę opuszczona wieża strażnicza. Jechali kamienistym korytem rzeki, pomiędzy stromymi ścianami. Nagle otworzyła się przed nimi dolina. Na chwilę zatrzymali konie, spojrzeli zadziwieni w dół, na krainę, która pod żadnym względem nie przypominała niczego, co dotychczas widzieli w życiu.

Dolinę pokrywały, niczym gruby dywan, kwietne łąki, które wznosiły się i opadały. Otaczały ją gęste lasy. W świetle popołudniowego słońca błyszcząły strumienie płynące wśród zieleni. Małe chłopskie pola, zielone i brązowe, leżały obok siebie. Pomiedzy nimi rosły bujne sady, w których wisały jeszcze ostatnie owoce tego roku. Dalej rozpościerały się przypominające rozległe morze, lekko pofalowane pola ryżowe. Na północy, w całej swojej wspaniałości i godności, wznosił się łańcuch Dauladharu, „gór noszących biel”, połyskujący niebieskawo pod białymi czapami. Po rozległym niebieskim niebie płynęły poszarpane chmury.

- Ależ tu pięknie - powiedziała Sitara, wodząc oczami po urzekającej, budzącej zachwyt dolinie.

- Kangra - rzekł cicho Mohan Tadżid, prawie nabożnie. - Dolina Radości... Spojrzeli po sobie z uśmiechem, cała trójka, i skierowali konie w dolinę. Ich nowym domem stał się opuszczony radżpucki pałac, częściowo zrujnowany, położony na wzgórzu niedaleko małej wioski, pomiędzy łąkami i polami. Był on dzierzawiony wraz z otaczającą go ziemią od zamindara tego obszaru za kilka tuzinów *lakh* rocznie. Mieszkańcy doliny byli spokojnymi, cierphwymi, wesołymi ludźmi, na których nie wpływały polityczne wydarzenia, rozgrywające się co najwyżej w odległej twierdzy radży. Przybysze zostali przywitani z nieukrywana, ale życzliwą ciekawością. Ekscytacja, jaką wywołało ich przybycie, szybko się uspokoiła. I jak kamień, który wrzucony do wody marszczy jej powierzchn-

nię, a już wkrótce gładkie lustro sprawia, że zostaje zapomniany, tak samo Sitara, Mohan i Winston wtopili się w otoczenie między wzgórzami i górami otaczającymi dolinę, jakby nigdy nie żyli gdzie indziej.

Zewnętrzne komnaty pałacu były zrujnowane, ale wewnętrzne pomieszczenia, a zwłaszcza zenana, położone dookoła przestronnego dziedzińca, znajdowały się jeszcze w dobrym stanie. Nadgryzione przez ząb czasu miejsca zostały przez Winstona i Mohana wyremontowane, naprawili też stare meble, które wcześniejsi właściciele częściowo pozostawili. Pewna kobieta ze wsi, Mira Devi, była aż nadto chętna, by za kilka *anna* pomagać Sitarze, która mimo coraz większego brzucha starała się przynajmniej pozamiatać pokoje i urządzić je tak, żeby się jako tako nadawały do zamieszkania, zanim urodzi dziecko. Prawie wszystko, czego potrzebowali, dało się nabyć za kilka monet w wiosce: garnki, miski, łyżki, kocioł, bieliznę i odzież. A czego tam nie dostali, to jakiś krewny lub sąsiad Miry Devi dostarczył im przy okazji z najbliższego miasta.

W grudniu zaczął wiać suchy, porywisty i zimny wiatr z północy, lecz stare mury opierały mu się dzielnie. Sitara i Mira Devi gotowały wspólnie na piecu w kuchni i rozmawiały, każda w swoim dialekcie języka hindustani, często się śmiejąc. Wieczorami wszyscy razem przesiadywali często przy otwartym kominku, który promieniował przyjemnym ciepłem. Mira Devi i Sitara szyły wtedy poduszki, kocyki i dziecięce ubranka. Po krótkim czasie Mira Devi całkiem wyprowadziła się ze swego domu we wsi, pozostawiając go mężowi, synowi oraz synowej i zamieszkała w małej komórcie przylegającej do kuchni.

Była to nadzwyczajnie sroga zima, wcześniej spadł śnieg, który przykrył dolinę cienkim białym dywanem i sprawił, że wszystko było ciche i spokojne. I także w nowym domu zapanowała cisza, przerywana tylko głosem Miry Devi, gdy przy ogniu, wykonując jakąś ręczną robotkę, opowiadała stare historie rodem z doliny i *hatha*, pełne cudów opowieści o przygodach.

- W tych historiach jest dużo prawdy - wytłumaczyła w swoim dialekcie kangri. - To historie o miłości. Opowiadają o *moha*, zaślepieniu prowadzącym na manowce, o *mamata*, zaborczym przywiązaniu, i o *prem*, zbawczej miłości.

Opowiedziała o królu, którego zauroczyła piękna kobieta demon, o matce, która martwiła się o swą niezamężną córkę, o żyjącej w biedzie siostrze, która podzieliła się swym skąpym posiłkiem z tajemniczym gościem, o kobiecie, z której pięty urodziła się żaba, co stała się później księciem, o dzielnych bohaterach i cnotliwych dziewczicach. Ciągnęła swe opowieści, póki nie nadszedł czas, żeby się kłaść spać. Winston i Sitara sypiali razem w jednym pomieszczeniu, Mira Devi w swojej komórce, a Mohan w najbardziej zewnętrznym spośród pokoi, które przystosowali do zamieszkania.

Pewnego wieczora, późno w styczniu, Mira Devi opowiadała o królu, któremu urodziła się córka piękna jak dzień, ale ze znamieniem na czole. Gdy osiągnęła wiek, kiedy powinna wyjść za mąż, król wysłał swego nadwornego kapłana, żeby znalazł dla niej męża, który miałby takie samo znamię. Kapłan wędrował i wędrował, ale nie znalazł mężczyzny z takim znamieniem. Wreszcie trafił do dżungli i znalazł tam lwa z plamką na czole. Uznał, że to lew zostanie mężem królewskiej córki i wziął go ze sobą do pałacu. Gdy Mira Devi doszła do miejsca, kiedy córka królewska miała zostać wydana za lwa, zauważyła, że Sitarze wystąpił pot na czoło, a palce zacisnęła na robótce, w którą od dłuższego czasu nie wkłuła ani razu igły. Bez pośpiechu pomogła Sitarze przejść do sypialni, a potem zaczęła biegać szybko między tym pomieszczeniem a kuchnią. Przy okazji gwałtownie zrugła Mohana i Winstona, że stoją jej w drodze, kazała im usiąść przy kominku albo wyjść na spacer. W końcu zatrzasnęła im przed nosem rzeźbione drewniane drzwi. Gardłowe jęki Sitary i jej bolesne krzyki ścisnęły Winstonowi gardło, a uspokajający głos Miry Devi, który przenikał przez drzwi, nie łagodził jego obaw.

Zaczął się pełne niepokoju czekanie, mijały godziny. Mohan zastygł bez ruchu w niemej modlitwie, wstawał tylko od czasu do czasu, żeby dołożyć drewna do kominka. Winston przemierzał niespokojnie małe pomieszczenie, cały w strachu, wychodził co chwila na zewnątrz, na chłodne powietrze pod czarnym jak atrament niebem usianym migającymi gwiazdami, aby popatrzeć na dolinę błyszczącą w odbijanym przez śnieg światła. Prosił przy tym o pomoc bezimienne moce, bez słów, pokornie. Jęki i płacze Sitary przeszły w przeciągłe, bolesne krzyki, potem nastąpiła nagła cisza, a następnie rozległ się szloch i pierwszy krzyk nowego życia, pełen siły i gniewu. Słysząc też było Mirę Devi, która śmiała się na całe gardło. Winston wstał pospiesznie, stęskniony zastygł nieruchomo pod drzwiami, nie mając odwagi wejść do środka. Słyszał, jak Mira Devi biegnie w tę i w tę. Gdy miał wrażenie, że nie zdoła już dłużej powstrzymać niecierpliwości, drzwi się otworzyły. Na pociągłej brązowej twarzy Miry Devi jaśniał szeroki uśmiech. Wpuściła ich do środka.

W powietrzu wisiał ciężki, słodkawy zapach krwi i potu, zmieszany z zapachem świeżej bielizny i ziołowego kadzidelka, które Mira Devi zapaliła w rogu pomieszczenia. Sitara leżała wycieńczona na poduszkach, jej twarz była blada ze zmęczenia, ale wielkie oczy błyszczały. Winston wziął z nabożeństwem węzełek, który podała mu Mira Devi. Bał się, że upuści albo zgniecie maleństwo w swych silnych ramionach. Ostrożnie i ze zdziwieniem popatrzył na małą istotkę pozawijaną w płótno, która robiła wrażenie bardzo kruchej, a jednocześnie pełnej siły życiowej.

- Twój syn - usłyszał głos Sitary.

Jej głos był ochryply z wysiłku, ale pełen dumy i ciepła. Winston myślał, że pęknie ze szczęścia.

- Bardzo się spieszył - roześmiała się Mira Devi. - On już teraz dobrze wie, czego chce, a co mu nie pasuje!

Mohan zajrzał Winstonowi przez ramię, nie wstydząc się łez, które stanęły mu w oczach.

-Jak będzie miał na imię? - zapytał cicho.

- Ian - odpowiedział zdecydowanie Winston i pomyślał o dziadku ze strony matki, zacnym, szacownym mężczyźnie, który po podeszły wiek mocno spajał więzy rodzinne.

Sitara z posłania powiedziała nie mniej zdecydowanym głosem:

- Radziw. - Wyciągnęła ręce po syna. - Radziw - powtórzyła z naciskiem, gdy Winston przekazał jej dziecko, a ona spojrzała na maleńką twarzyczkę. Jej oczy wyrażały przy tym bezgraniczną miłość. Pocałowała noworodka i dodała: - Mały król. - Uniosła wzrok, patrząc na zmianę to na Winstona, to na Mohana. W tej chwili była dumną radżpucką córką. - Mimo tego wszystkiego, co się stało, on jest wciąż jeszcze potomkiem Kryszny i ma w sobie książęcą krew!

Przez moment zapanowała bezradność. Nie wiedzieli, jak rozwiązać dylemat związany z wyborem imienia. W końcu twarz Mohana się rozjaśniła.

- On jest w połowie radżputem, a w połowie *angrezi*. Może któregoś dnia będzie się musiał opowiedzieć po jednej ze stron. Niech nosi oba imiona. I tak się stało.

11

Śnieg topniał, zmywany przez ulewne deszcze, które nadciągnęły znad wzgórz górujących nad Kangrą. Ostatki zimy minęły zgodnie z rytmem, jaki narzuca światu noworodek. Winston, skazany na bezczynność, przesiadywał często godzinami obok prostej kołyski, którą wykonał własnoręcznie, kierując się bardziej względami praktycznymi niż artystycznymi. Ze zdumieniem obserwował swojego syna, gdy ten spał i śnił, rósł i prawie codziennie

się zmieniał. Nosił go na przemian z Mohanem Tadżidem, kiedy maluch krzyczał w nocy. Skóra dziecka była jasna, prawie biała. Winston zawstydził się, poczuwszy ulgę, że jego syn nie różnił się od czysto europejskiego dziecka. Poród bardzo osłabił Sitarę; straciła wiele krwi i bardzo powoli wracała do sił, ale uparła się, że sama będzie karmić małego, a Mira Devi, która wciąż jeszcze czekała na własnego wnuka, hołubiła dziecko, obdarzając je całą swą miłością.

Marzec nie mógł się zdecydować, czy ma być lojalny wobec zimy, czy powinien wpuścić już do doliny wiosnę. Wokół śnieżnych pól i górskich lodowców na północnym wschodzie zbierały się ciemne, groźne chmury, ale z zachodu przebijało się światło słońca i sprawiało, że młoda zieleń połyskiwała radośnie na polach, na których pracowały wiejskie kobiety, posługując się prostymi motykami. W swoich kolorowych ubraniach wyglądały z daleka jak dziobiące w ziemi rajskie ptaki. Delikatne kwiaty drzew owocowych, całych w różu i bieli, drżały, gdy wzmagął się wiatr. Owce meczały markotnie w zagrodach. Mąż Miry Devi przyszedł do nich z wioski i pomógł im założyć ogród warzywny oraz obsiać kilka niewielkich pól, kręcąc głową nad ich niewiedzą.

Kwiecień przyniósł słońce i ciepło oraz bujną zieleń, chociaż szczyty Dauladharu połyskiwały jeszcze białem. Sitara, ledwo poczuła się lepiej, z niemowlęciem przywiązany do pleców wzięła się z zapalem do pracy w domu i ogrodzie. Nosiła tradycyjne odzienie kobiet z doliny: luźne spodnie salwary, które w kostkach ściśle przylegały do ciała, do tego szeroką tunikę z długimi rękawami, tak zwaną kurte, sięgającą do kolan. Włosy, związane w ścisły warkocz, osłonięte miała długim, przezroczystym szalem dupattą, udrapowanym na piersiach i ramionach. Na czole nosiła z dumą czerwoną kropkę jako znak zameężnej kobiety. Nikt ich nie pytał o dokumenty, a Sitara żadnych nie potrzebowała, żeby czuć się prawowitą żoną Winstona. Winston, gdy udał się

do miasta z mężem Miry Devi, by kupić nasiona i sadzonki oraz pierwsze owce i kozy, kupił tam dla Sitary u złotnika biżuterię z pieniędzy od Society - bez wyrzutów sumienia, a wręcz przeciwnie, z pewnym poczuciem winy, że liczne bransoletki, ozdoby nosa i łańcuszki z brzęczącymi dzwoneczkami do noszenia na nogach kosztowały go niewiele *anna*, ale Sitara nosiła te błyskotki z radością i dumą. Dosłownie rozkwitła jako matka i prosta chłopka, zasymilowała się we wspólnocie wiejskich kobiet, modliła się wraz z nimi do bogów, przede wszystkim do Szakti, boskiej matki. Winstonowi wydawała się piękniejsza i bardziej czarująca niż kiedykolwiek. Często przyłapywał się na tym, że pracując obok Mohana na polu, popadał w zamyślenie. *Co się ze mną stało?* -zastanawiał się często, wspominając wcześniejsze życie i własne marzenia o karierze wojskowej, o sławie i sukcesach, które kiedyś odnosił, dawno temu, jak mu się zdawało. *Od żołnierza do chłopca!* Przepęłniała go gorycz, często reagował rozdrażnieniem i był skłonny do wszczynania kłótni. Gdy urażona Sitara odwracała od niego głowę, za każdym razem mocno żałował swoich wybuchów. Zazdrościł Mohanowi Tadżidowi, po którym nie było widać smutku, że utracił swoją pozycję radżpuckiego księcia. Mężczyzna ze spokojem pracował ciężko w polu, przekomarzał się z niezamężnymi kobietami i bezzębnymi staruszkami, całymi godzinami zabawiał siostrzeńca, którego bardzo kochał. Winston nie rozumiał, w jaki sposób jego przyjaciel i brat krwi tak łatwo zdołał się przystosować do nowego życia - bez żalu, bez nostalgii. On sam często czuł się nieszczęśliwy, żałował tego, co zostawił.

Lato sprowadziło do doliny słoneczny żar. W niektóre dni gorące wiatry przynosiły kurz z krainy Pendżab. W ogrodach kwitły wysokie szkarłatne pacioreczniki, a liczne drzewa ubrały się w różowe, odświeżone suknie. Góry prezentowały się w swej nagości - w czarnym granicie z żółtawymi plamami wiecznych lodowców. Płynący niedaleko pałacu czysty strumień wezbrał za

sprawą spływającej z gór wody ze stopniałego śniegu i pojedynczych burz, gnał swoim kamienistym korytem, bulgocząc głośno. W lipcu nastąpiły upały, nisko nad doliną zawisły napęczniałe kłębowiska chmur i zasłoniły widok na wszechobecne góry. Nastąpiła pora monsunowa, zalewając dolinę sowitym deszczem. Kukurydza wyrosła już wysoko; mężczyźni w ulewnym deszczu orali pola po zbiorach ryżu, a ich śladem kroczyły kobiety i sadyły nowe sadzonki. Ze wszystkich stron pojawiały się nowe odcienie zieleni oraz kwiaty orchidei - żółte, czerwone i różowe - wyrastające ze splekanych pni drzewnych. Deszcz ustał, a po nim nastąpiły złote dni zbiorów, kiedy to było pod dostatkiem owoców i warzyw, a po zebraniu kukurydzy zaczęła dojrzewać pszenica. Nadeszła nowa zima, tym razem łagodniejsza, a po niej następna wiosna, i na kwitnących łąkach znowu zatańczyły w powietrzu motyle. Jedna z klaczy się ożrebiła, w owczarni urodziły się jagnięta, ogród przyniósł obfite plody.

Tak mijał czas w Dolinie Radości, spokojnie i powoli, zgodnie z cyklem pór roku i życia. Tu właśnie, w zielonej dolinie, w cieniu gór, w murach radżpuckiego pałacu rósł łan i rozwijał się jak roślina w ogrodzie jego matki. Zaczął raczkować, wymawiać pierwsze słowa, stawiać pierwsze kroczki prowadzony przez Mirę Devi. Z ciekawością odkrywał świat, który go otaczał. Wesole, zadowolone dziecko otoczone miłością rodziny, mające poczucie bezpieczeństwa we wspólnocie wsi i w spokoju doliny, spokoju, którego nic nie mogło zakłócić.

Dopiero dużo później do Kangry dotarły wieści, że sikhowie z Pendżabu, chcąc zapobiec planowanej brytyjskiej inwazji, przeprowadzili się przez Satledź, zostali rozgromieni, a Kangra na mocy umowy z 9 marca 1846 roku stała się częścią brytyjskiego imperium; że komendantura sikhów w twierdzy Kotla stawiała opór; że pod jej mury sprowadzono brytyjską artylerię, a po dwóch miesiącach oblężenia twierdza została bezkrwawo zajęta.

Tylko czasem Sitara obserwowała w zamyśleniu swojego synka, gdy obiema rączkami grzebał w ziemi, jak to podpatrzył u mamy, albo gdy zdziwionymi ciemnymi oczkami podobnymi do jej oczu oglądał kwiat, który właśnie zerwał z krzewu. Myślała przy tym uporczywie o słowach, które powiedziała Mira Devi, kiedy włożyła go w jej ramiona jako nowo narodzone dziecko:

- To, co człowiekowi jest w życiu pisane, to jego *jori*. *Zależy* ono od tego, co człowiek wyniósł z wcześniejszego życia, jak postępuje w tym życiu, i od tego, co *vidhi mata*, matka los, napisze mu przy urodzeniu na czole. Dharmraj, władca sprawiedliwy, który wszystko zapisuje, osądzi duszę na podstawie jej czynów.

Często potem Sitara obejmowała swojego syna i śpiewało mu cicho do ucha wersy, których nauczyła się od Miry Devi:

- *Han kinni tere lekh like, kinni kalampheriyan, dharmraj mera lekh like, vidhi mata kalam pheriyan*. Kto napisał twoje linie losu? Kto prowadził pióro? Dharmraj napisał moje linie losu. Vidhi mata prowadziła pióro.

Często pod osłoną nocy Sitara wmykała się z domu i szła do wysokiego figowca pagodowego, który stał na brzegu strumienia i miał bladą korę oraz podługne liście w kształcie serca. U jego stóp zapalała lampkę oliwną i kładła jako ofiarę kwitnące gałązki, żeby w ten sposób wyprosić u Brahmy, stworzyciela, dobry los dla swego syna.

Było to ich czwarte lato w Dolinie Radości, gorące i słoneczne. Sitara ponownie nosiła pod sercem dziecko. Do Kangry przybył William Jameson, w torbach przymocowanych do siodła przywiózł starannie zapakowane sadzonki *Camilla sinensis*, herbaty chińskiej. Przywiózł też chińskiego wielkiego mistrza herbaty, według którego wskazówek założono eksperymentalną plantację. William odjechał, mistrz Tientsin natomiast pozostał i nawet w ulewnym monsunie codziennie doglądał młodych roślin-

nek. Szybko stał się członkiem ich rodziny. Wiszące nisko nad doliną monsunowe chmury rozeszły się. Gdy tylko jesienne słońce wysuszyło ziemię, Winston zwerbował w wiosce robotników, którzy obok plantacji zbudowali z glinianych cegieł małą manufakturę zgodnie ze wskazówkami Tientsina. Budowa została sfinansowana z pieniędzy Society, które napływały raz na pół roku wraz z każdą wizytą Williama. I chociaż Tientsin zamieszkał w małym pokoiku na terenie manufaktury, to posiłki spożywał w pałacu, a także spędzał tam niejedną wieczór. Przy okazji nader chętnie kołysał w ramionach maleńką dziewczynkę, którą Sitara powiła tej samej jesieni i której nadano imiona Emily oraz Ameera, kwiat lotosu.

Winston wreszcie miał zadanie, któremu mógł się poświęcić: dopilnowywał budowy manufaktury, zatrudniał i nadzorował pomocników z wioski, którzy mieli pomagać Tientsinowi, sporządzał raporty dla Williama i Society, choć co prawda szybko się okazało, że kierował eksperymentalną plantacją herbaty w Kangrze jedynie oficjalnie, bo naprawdę wszystkim rządził Tientsin. Chińczyk opanował podstawy miejscowego języka kangri i mówił robotnikom, co jest do zrobienia, a często pokazywał im osobiście, jak to mają zrobić. I to Tientsin czuwał nad cennymi roślinami, tu i ówdzie uszczknął wybujały pęd, spróbował nowej odmiany, eksperymentował z procesem wędnięcia liści pod wpływem pary wodnej, z różnymi temperaturami i okresami suszenia, sortował listki herbaciane w bambusowych sitach i medytował nad ich wyglądem, kolorem, zapachem oraz smakiem przy zaparzeniu. Prawda była taka, że Winston nie znał się w ogóle na herbacie, choć się starał. Prawda ta smakowała gorzko jak spalone liście herbaciane. Ian chodził za Chińczykiem jak mały cień, podążał za nim pomiędzy krzewami herbaty, wchodził w ciepłe powietrze manufaktury, był zafascynowany oddaniem, z jakim chudy Chińczyk w okrągłych okularkach na nosie i z długim warkoczykiem

poświęcał się tym niepozornym roślinom o gładkich, błyszczących listkach i pomarszczonym fioletowo-brązowym okruszkom, które z nich powstawały. Tientsin również natychmiast bardzo polubił chłopca o mądrych ciemnych oczach, który chłonał jak gąbka wszystko to, co mu Chińczyk opowiadał łamanym angielskim: legendy o pochodzeniu herbaty, jej wielusetletnią historię w Państwie Środka, skąd rozprzestrzeniła się na całą Azję. Szkolił zmysły chłopca, dając mu do ręki świeżo zerwane listki, kazał mu je rozcierać w palcach i wachać, prosił, by zwracał uwagę na kolor liści, na lekki szelest, jaki wydają, gdy się je zgniata w ręce. Pokazywał mu, jak świeże listki zwijają się w parze wodnej, jak małe zmiany temperatury i czasu mogą prowadzić do dużych zmian w efekcie końcowym. Kazał mu patrzeć, dotykać, wachać, smakować i nasłuchiwać, a przy tym często cytował z *Chai Ching*, czyli z *Księgi herbaty*, napisanej przez Lu Yu w ósmym wieku: „Najlepsze liście herbaty muszą być zwinięte jak skórzane buty tatarskich jeźdźców, skręcone jak fałda skóry między szyją a piersią potężnego bawołu, połyskiwać jak morze wzburzone południowo-zachodnim wiatrem, wydawać zapach przypominający mgłę unoszącą się z samotnego górskiego wąwozu i być soczyste i miękkie jak ziemia zroszona delikatnym deszczem.

Tientsin powierzył łanowi wielką tajemnicę. Przyznał, że nie wierzy, iż w Kangrze kiedykolwiek będzie można uprawiać naprawdę dobrą herbatę. Klimat jest tu za suchy, lata za gorące, ziemia bardziej nadaje się pod uprawę zboża, owoców i warzyw niż wrażliwych krzewów herbaty. Z rozmarzonym spojrzeniem opowiedział chłopcu o odległej dolinie we wschodnich Himalajach, chłodniejszej i bardziej deszczowej niż Kangra, nazywanej przez Tybetańczyków Rdo-rje-ling.

Plantacja rozrastająca się powoli, rok po roku, pola i zagony warzywne matki, małe, przytulne pokoje w pałacu, oto był świat łana, oto był dom Radziwa. Hindustani, angielski i kangri - tymi językami się posługiwał. W kangri rozmawiał z Mirą Devi i uczył

się tego języka od chłopców, z którymi chodził do szkoły we wsi, a po południu dokazywał z nimi i łapał małe jaszczurki, by potem znowu biec na górę do pałacu. Do świata lana należały też opowieści i pieśni Miry Devi oraz jego siostra Emily Ameera, do której był mocno przywiązany, a mała dziewczynka o wielkich jasnobrązowych oczach odwzajemniała jego miłość; matka, która opowiadała mu o bohaterskich wyczynach jego przodków; ojciec, który rozwodził się o odległej deszczowej wyspie, z której przybył; granie Dauladharu, połyskujące białe w południowym słońcu, a czerwono i złotawo w świetle wieczornym; jego koń, na którym siedział w siodle tak pewnie, jak stał i chodził po ziemi, na którym towarzyszył swemu wujkowi Mohanowi - razem udawali się na przejażdżki po łąkach i lasach, do starych, opuszczonych świątyń rozsianych po dolinie, zwanych *sikhara*, w których wykute były reliefy i kanele oraz kwadratowe wgłębienia na ofiary i lampki oliwne; świątynie te, nawiązujące kształtem do szczytów górskich, stanowiły lustrzane odbicie Himalajów, na których mieli swoją siedzibę bogowie - owi bogowie, o których opowiadał mu wtedy Mohan: Sziwa i Szakti, Brahma i Wisznu. Słyszał historie o Hanumanie, Kryszenie, Ganeszy, postaciach, które odnajdował na kruszących się murach opuszczonego skrzydła pałacu, gdzie mógł chodzić godzinami w samotności, zatrzymując się z zadziwieniem przed blaknącymi malowidłami ściennymi. Spotykał tam różne postacie, między stertami kamieni znajdował maleńkie malowane miniaturki, uwalniał je dłonią z kurzu przeszłości; na ich małych powierzchniach artyści minionych stuleci utrwalili cały świat - pełen bohaterów i nieśmiertelnej miłości do dam ich serca, świat walk i zwycięstw, bogactwa i potęgi, zaludniony przez bogów i demony, świat, który łąn czasem odwiedzał nocą w swoich snach. Nie było różnicy między łąnem a Radziwem, chłopiec był jednym i drugim. Tak jak rodzina nazywała go obydwoma imionami, tak i on bez problemu przechodził z jednego języka na drugi, myślał i śnił we wszystkich trzech. Kangra z jej

równomiernym biegiem pór roku trwała jak skalisty Dauladhar, była jego krajem, jego światem. Nie mógł sobie wyobrazić, że kiedykolwiek mogłoby się to zmienić. Nie wiedział też, że poza doliną, gdzieś w odległej części Indii nieprzerwanie posuwają się do przodu wskazówki zegara historii, wskazówki, które dążą do tego, by zmieść z powierzchni ziemi jego życie, takie życie, jakie znał.

12

W owych dniach Indie były kontrolowane przez dziwną armię, armię żołnierzy najemnych, która składała się w większości z Hindusów z wyższych kast, braminów i radżputów oraz muzułmanów, i w której jeden angielski żołnierz przypadał na pięciu indyjskich. Była to armia miejscowych najemników, dowodzona przez brytyjskich oficerów. Owi najemni żołnierze gotowi byli na rozkaz ryzykować życie, ratowali swojego oficera spod gradu kul, ale wyrzucali jedzenie i woleli umrzeć z głodu, gdy cień tego samego oficera padł na naczynia do gotowania i w ten sposób je zanieczyścił. Oficerowie i ich podwładni byli dla siebie nie tylko obcy, lecz wyznawali też inną wiarę, a ich styl życia różnił się tak bardzo, że jedna strona patrzyła na drugą z odrazą. Kasta i wiara sprawiały, że podczas marszu trzeba było robić w środku dnia postoje, by pozwolić żołnierzom pozdejmować pasy, buty i wyposażenie. Ci zapalali siedemset małych ognisk, na których piekli tysiąc czterysta małych pszennych placków, każdy żołnierz dla siebie. Najemnicy muzułmańscy rozwijali dywaniki, na których modlili się zwróceniu w kierunku Mekki. Sipajem nie kierowały patriotyczne motywy, gdy wstępował do armii. Sipaj był żołnierzem, ponieważ tak nakazywała mu tradycja i ponieważ zawód ten dawał mu odpowiedni zarobek, przynosił odpowiedni status społeczny, wpływy i honor. Sipaj był dumny z siebie, swojego

zawodu i z kolorów swojego pułku. Hinduscy sipajowie czcili te barwy tymi samymi rytuałami co chłop swój pług, a kowal swój młot. W zadziwiający sposób sipaj był wierny sprawie, której w gruncie rzeczy nie rozumiał. Sipajowie walczyli dla Kompanii Wschodnioindyjskiej i oddawali dla niej życie, ponieważ w czasach pokoju żywiła ich i wynagradzała, ponieważ ufali swoim oficerom i podziwiali ich. Ale gdy brytyjska strefa wpływów się rozciągnęła, gdy wprowadzono do Indii postęp techniczny i zachodnią myśl, wówczas zaufanie wobec Brytyjczyków zaczęło się kruszyć. Kiedy umierał indyjski władca, nie pozostawiając bezpośredniego męskiego potomkajego państwo było anektowane przez Brytyjczyków, jak się to ostatnio stało w 1856 roku z królestwem Oudh, z którego pochodziła większość sipajów. Ta praktyka spowodowała, że liczni rozgoryczeni spadkobiercy pragnęli zaszkodzić obcym władcom, chociażby przez puszczanie w obieg i rozpowszechnianie podstępnych, często wymyślonych pogłosek. Tak więc dotychczas niepodległe państwa obawiały się, że będą następne w kolejce. Wielcy posiadacze gruntów byli rozeźleni na politykę, która przyznawała większe prawa ich dzierżawcom niż im samym. Nauka Zachodu, jego znajomość medycyny, sapiące stalowe konie kolei żelaznej, której tory przecinały kraj, kable telegraficzne, które ciągnęły się na przestrzeni niezliczonych mil - wszystko to zdawało się zapowiadać wiek oświecenia, który sprawiał, że bramini, kapłani i uczeni obawiali się o swoją władzę. I jakby tego nie było dosyć, Anglicy zaczęli się mieszać do prawodawstwa: zakazano *sati* i pozwolono wdowom ponownie wychodzić za mąż, kto przeszedł na inną religię, zachowywał prawa spadkowe, a więźniowie byli zmuszali do spożywania wspólnych posiłków w sali jadalnej, ponieważ nie pozwalano im przygotowywać posiłków własnoręcznie, jak to nakazywała religia. Brytyjczycy podkopywali fundamenty indyjskiego społeczeństwa, tradycji i wiary, żywiąc przy tym przekonanie, że przynoszą pokój temu

w ich oczach zacofanemu krajowi. Tym samym nadwyreżyli też fundamenty, na których opierała się dotychczas ich władza - i nawet tego nie zauważyli. A przy tym druzgoczące porażki w Kabulu i na Krymie pokazały, że armia Korony wcale nie była tak niezwyciężona, jak sądziła. Niezadowolenie książąt i kapłanów przenikało w głąb kraju i w dusze ludzi, rozprzestrzeniało się i zaczynało fermentować.

Był to urzekający wiosenny dzień. Wiatr od Himalajów pchał przed siebie wysoko w górze białe strzępki chmur, które były zbyt cienkie, żeby przesłonić słońce i zabrać jego ciepło. W nocy padało. Krople wody błyszczały teraz na bujających się leniwie na wietrze listkach krzaczków herbacianych, mających barwę nasyconej zieleni, łan patrzył, jak Tientsin zeskubuje na próbę najwyższy pęd krzaczka, ogląda go badawczo i wacha. Na moment uwagę łana przykuł kolorowy motyl, który zataczał się jak pijany nad białymi, jedwabistymi kwiatami. Na twarzy chłopca pojawił się uśmiech. Minionej zimy skoczył znacznie w górę. Jak na swoje dwanaście lat był naprawdę wysoki. Matka jeszcze wczoraj z z troskaniem oglądała jego spodnie, które zrobiły się za krótkie.

Poprosiła Mirę Devi, by postarała się we wsi o materiał na nowe. Łan miał z tego powodu lekkie wyrzuty sumienia. Wiedział, że za niecałe pół roku Emily i jemu urodzi się braciszek lub siostrzyczka. Z tego powodu jego matka nie czuła się w ostatnich tygodniach zbyt dobrze, a on nie chciał jej przysparzać dodatkowej pracy.

Powiódł spojrzeniem za motylem, który poleciał nad długimi rzędami herbaty w kierunku murów pałacu. Dostrzegł z daleka Mirę Devi w niebieskiej tunice i czerwonych spodniach. Kobieta wbiegała na wzgórze, do pałacu, dupatta prawie całkiem zsunęła jej się z posiwiałej głowy i powiewała jak chorągiew. Mira Devi potknęła się, upadła, wstała i biegła dalej, trzymając się za

bolący bok. Ton, jakim wołała Sitare, sprawił, że łanowi ścisnął się żołądek. Nie dbając o zdumioną twarz Tientsina, ruszył biegiem w kierunku pałacu, czując przeszywający lęk, że stało się coś strasznego. Bez tchu wpadł do kuchni. Mira Devi mówiła do Sitary rwącym się, zasapanym głosem, przerywając, by zaczerpnąć powietrza, niezwykle zdenerwowana. Sitara słuchała jej słów zeszywniała i blada jak trup, jej ciemne oczy zrobiły się wielkie ze strachu. Stała przy kuchni z chochłą w ręce, u jej stóp leżały skorupy glinianej misy, z której rozlało się po kamiennej posadzce jezioro zupy. Emily wcisnęła się przestraszona w kąt i mocno obejmowała wytartą szmacianą lalkę, którą uszyła dla niej Mira Devi. Strach, nerwowość, bojaźń - uczucia te do tego stopnia zdominowały pomieszczenie, że łan zaczął się dusić, choć nie rozumiał, co się w ogóle stało. Z poplątanych słów Mira Devi mógł zrozumieć jedynie kilka strzępów zdań wypowiedzianych w kangri:

- Radżputowie... wojownicy... w mieście... szukają was...

Choć był o cztery lata starszy od siostry, podobnie jak ona nie rozumiał, dlaczego zostali odesłani do pokoju, który urządził dla nich Winston. Mieli tam czekać, aż się po nich przyjdzie. Nie rozumiał, o co się w kuchni tak głośno spierają jego rodzice, wujek, Mira Devi, jej mąż, który pracował na plantacji pod kierownictwem Tientsina, i sam Tientsin. Z mieszanki hindustani, kangri i angielskiego, którą posługiwali się dorośli, nie był w stanie wyłowić nawet kilku słów, choć nadstawiał uszu, tuląc jednocześnie do siebie Emily. Leżeli oboje skuleni na łóżku wyłożonym poduszkami haftowanymi przez Mirę Devi, na którym razem sypiali. Przerażona dziewczynka przemoczyła mu łzami koszulę. Tylko raz dotarły do niego wyraźnie słowa ojca. Winston, uderzając pięścią w twarde podłoże, ryknął po angielsku:

- Ale dokąd, do jasnej cholery?!

Nastąpiła chwila ciszy, gorszej jeszcze niż hałas zdenerwowanych głosów, po czym znowu rozpoczęła się gorączkowa wymiana słów. Ian czuł strach. Nigdy przedtem w swym życiu nie bał się tak bardzo. Czuł, że stanie się coś, co wszystko zmieni. Emily zaczęła zasypiać, jej oddech stał się spokojniejszy, głębszy, Ian pogłaskał ją pocieszająco po głowie, szepnął w jej jasnobrązowe włoski kilka uspokajających słów.

Jednocześnie zapragnął, żeby jego też ktoś wziął w ramiona, powiedział mu, że wszystko będzie dobrze, że nie mają się czego obawiać. Ale nikt nie przyszedł.

Czas zdawał się stać w miejscu. Mogły minąć minuty albo godziny. W końcu jednorodny gwar głosów zaczął się dzielić na pojedyncze zdania, rozkazy, nawoływania, kroki, które spieszyły w tę i we w tę, rozchodziły się po wszystkich pomieszczeniach, czasem spotykały się z powrotem. Szuranie, grzechot, okrzyk przestachu matki, krótki szloch, potem uspokajające słowa, szelest, stukot, z zewnątrz oburzone rżenie konia, Ian z nostalgią pomyślał o zalanych słońcem łąkach na zewnątrz tego pokoju, o rześkim, słodkim wiosennym powietrzu i zapachu wilgotnych listków herbacianych.

Przestraszył się, gdy drzwi stanęły otworem, a do środka wszedł jego wujek.

- Mamy dla was niespodziankę! - oznajmił Mohan. - Jedziemy na długą przejażdżkę, wszyscy razem!

Twarz miał pogodną, ale jego słowa w tonie udawanej radości brzmiały fałszywie, kryło się w nich coś dramatycznego, Ian popatrzył na wujka badawczo. Gdy Mohan się zorientował, że chłopiec mu nie wierzy, odwrócił z zakłopotaniem wzrok. Delikatnie podniósł śpiącą Emily i wyniósł ją z pokoju, Ian z bojaźliwie bijącym sercem ruszył za nim. Gdy przekroczył próg, oślepiło go światło słoneczne, zamrugał oczami. Dostrzegł cztery osiodłane i obładowane konie, które niespokojnie przestępowały z nogi na nogę. Na jednym z nich siedział z ponurą miną mąż Miry Devi, drugiego konia

trzymał za cugle ojciec lana z nie mniej posepnym wyrazem twarzy. W pierwszym momencie łan poczuł ulgę, zauważywszy, jak mało zabierają ze sobą bagażu, ale gdy zobaczył, jak jego matka i Mira Devi - obie zapłakane - obejmują się kurczowo, poczuł, że mu się boleśnie ściska żołądek. Kiedy przechodzili obok kobiet, Mira Devi wyciągnęła rękę w kierunku Emily i uczyniła nad śpiącym dzieckiem gest błogosławieństwa, a lana przycisnęła tak mocno do swego chudego ciała, że aż go zabolęło. Pozwolił jej na to biernie, czuł się jak ogłuszony, nozdrzami wciągnął jeszcze raz jej zapach - zapach soli, ziemi i ziół, tak dla niego swojski od pierwszej chwili życia. Ojciec dał mu znak, żeby wskoczył na siodło. Winston usiadł za nim. Sitara zebrała swoją tunikę, żeby się wspiąć na konia, otarła sobie mokre policzki, a następnie zdecydowanie chwyciła cugle. Jej usta wyrażały taką gorycz, że łan się przestraszył. Nie zwlekali już ani sekundy. Konie ruszyły wolnym, kołyszącym krokiem, łan zerkał do tyłu. Pałac powoli się oddalał, Mira Devi płakała niepowstrzymanie w luźny koniec szala, a Tientsin przejechał palcem pod okularami, wycierając oczy. Łan wiedział, że było to pożegnanie na zawsze. Poczuł klepięcie w ramię. Uniósł oczy. Mohan, trzymający w rękach śpiącą Emily, zrównał się z koniem kierowanym przez Winstona. Jego oczy błyszczały jak polerowane kamienie. Ochrypłym głosem rzekł do lana:

- Nigdy nie patrz za siebie. Nigdy.

Wjechali w gęste lasy. Mąż Miry Devi prowadził ich krętymi, prastarymi ścieżkami, które znało tylko niewielu mieszkańców doliny, a cóż dopiero obcy. Przemieszczali się wzdłuż stromych ścian skalnych, przeprawiali przez wezbrane w wyniku topnienia śniegów i deszczy strumienie oraz przez koryta rzek. Krajobraz, który ich otaczał, był nieprzychylny i tak niepodobny do łagodnej, przyjaznej doliny, którą znali. Potęgował tylko uczucie

zagrożenia, które ani na moment ich nie opuszczało. Pograżeni w milczeniu jechali tak razem dzień po dniu, noc po nocy, aż po skraj łańcucha Siwalik. Prawie nie odpoczywali, ani oni, ani zwierzęta. W końcu po upływie wielu dni i nocy wąska, kamienista droga znowu zaczęła opadać. W miejscu, gdzie się rozszerzała, mąż Miry Devi zatrzymał konia i się odwrócił.

Mohan podjechał do niego i słuchał jego cichych objaśnień, po czym skinął głową na znak, że zrozumiał. Wtedy mąż Miry Devi wyciągnął z kaftana mały przedmiot i wcisnął go Mohanowi do ręki. Przez moment obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy, potem Mohan klepnął męża Miry Devi równie szorstko co serdecznie po ramieniu i ruszył naprzód, nie odwracając się za siebie. Inne konie poszły za nim spadziłą ścieżką pełną luźnych kamieni, która się znowu zwięzła. Była tak wąska, że konie musiały iść jeden za drugim, łańcuch wydawało, że czuje na plecach zatroskane spojrzenie męża Miry Devi.

Słońce prażyło, zalewało gorącem równinę, którą przemierzali, nie robiąc przerw, ale na tyle powoli, żeby oszczędzać konie i siebie samych. Ślepi na urodę mijanego krajobrazu, jechali za Mohanem Tadżidem, który trzymał się ściśle wskazówek męża Miry Devi. Droga prowadziła przez dziewicze obszary, a mimo to raz za razem znajdowali odpowiednie miejsce na wypoczynek, gdzie mieli dostęp do świeżej wody. I nareszcie, gdy ich zapasy się pokończyły, wyłoniły się z drżącego od upału powietrza połyskujące w słońcu dachy i mury. Kilka godzin później wtopili się w tłum w obrębie murów Delhi.

13

Minionej zimy w kraju zaczął dąć wiatr, szepcząc cicho, niesamowicie, wiał tuż przy ziemi, tu i ówdzie wznosił małe obłoczki

kurzu, gnał dalej, przeskakiwał z miasta do miasta. W Indiach puszczone w obieg historie, wieści o przepowiedniach, o nadchodzącym odrodzeniu osieroconych tronów, o spodziewanych nieszczęściach ze strony Anglików. Niektóre pogłoski były celowo rozpowszechniane przez złe języki; inne zrodziły się z nieokreślonego pragnienia, z tęsknoty za starymi czasami, kiedy Indie nie były jeszcze opanowane przez Anglików.

Było to w styczniu. Zarządca miasta Mathury leżącego w pobliżu Agry znalazł w swoim gabinecie na biurku cztery *chapati* upieczone z gruboziarnistej mąki. Zapytał personel, skąd się tam wzięły. Powiedziano mu, że nieznany mężczyzna dał jeden taki placek strażnikowi w sąsiedniej wiosce i poinstruował go, żeby ten upiekł cztery takie same *chapati* i rozdzielił je między strażników okolicznych wiosek z prośbą, by postąpili tak samo. Strażnik zrobił, jak mu polecono, ale chlebki przyniósł z rozwagi i poczucia obowiązku do magistratu. Podobne relacje zaczęły docierać już następnego dnia z innych rejonów dystryktu, a wkrótce można było przeczytać w gazecie, że *chapati* są rozprowadzane w ten sam sposób w całych północnych Indiach. To zdarzenie było tak niezwykle, że wkrótce włączył się rząd i wszczął dochodzenie, ale mimo wszelkich starań nie wyjaśniono, kto zaczął rozpowszechniać chlebki ani gdzie się to wszystko zaczęło i co miało oznaczać. Podobno ruch ten zrodził się w Imperium Ma-rathów, w mieście Indore w centralnych Indiach, skąd przemieszczał się na północ przez Gwalijar i znajdujące się pod brytyjską kontrolą terytoria Saugor i Nerbudda aż po północno-zachodnie prowincje oraz po Rohilkhand na północy, Oudh na wschodzie i Allahabad na południowym wschodzie, przy czym pokonywał prawie dwieście mil w ciągu nocy.

Indyjskie gazety w Delhi uważały, że cały kraj może się czuć „zaproszony do udziału w tej tajemniczej akcji, której cel być może zostanie ujawniony dopiero jakiś czas później”. Mainodin Hassan Khan, thanadar spoza Delhi, zgłosił miejscowemu

magistratowi, że owe *chapati* uważa za „znak mających wkrótce nastąpić większych niepokojów”. Wyjaśnił, że przed owym ruchem zapoczątkowanym przez Marathów był już przypadek, że ze wsi do wsi przekazywano źdźbło prosa i kawałek chleba, żeby zapowiedzieć przyszłe powstanie. Inni sądzą, że chlebki były ostrzeżeniem przed tym, że Brytyjczycy planują narzucić Hindusom chrześcijaństwo. „Czy to zdrada, czy żart?”, pytała angielska gazeta „Friend of India” z 5 marca, a w końcu wydarzenia te zlekceważono, uznano za indyjski przesąd i szybko o nich zapomniano, podobnie jak zapomniano o pogłosce, że w młynach wzniesionych przez Brytyjczyków, które dostarczały lepszą i tańszą mąkę niż mielona ręcznie, przetwarzano też kości zwierzęce, a nawet ludzkie, pochodzące z trupów znad brzegów Gangesu, albo o plotce, według której planowano puścić w obieg monety ze skóry świńskiej lub wołowej.

W tym samym czasie, kiedy pojawiły się owe tajemnicze *chapati*, krążyła kolejna pogłoska, która była o wiele bardziej drażliwa i przyniosła dalekosiężne skutki. Otóż armia została całkiem niedawno wyposażona w nowe karabiny Enfielda. Papierowe łuski pocisków były podobno natłuszczone smalcem wołowym i wieprzowym, żeby ułatwić ładowanie. Pocisk trzeba było na górze odgryźć, zawarty w nim proch strzelniczy wsypać do lufy, a potem reszta pocisku, łącznie z kulą, była wpychana do lufy. Zanim z nowych karabinów został oddany pierwszy próbny strzał, rozeszła się wieść, że od teraz wargi wszystkich sipajów z każdym strzałem stykają się albo z nieczystym dla hindusów tłuszczem wołowym, albo z nieczystym dla muzułmanów tłuszczem wieprzowym. Rzekomo Brytyjczycy celowo to zaplanowali, żeby jednych i drugich nawrócić na chrześcijaństwo. Gdy tylko zasłyszeli tę pogłoskę oficerowie, zapewnili o jej nieprawdziwości, ale ich słowa przebrzmiały niewysłuchane.

Protest stał się głośny i był potajemnie przekazywany dalej. Przez całą wiosnę w garnizonach dochodziło do aktów niepo-

słuszeństwa. Wybuchaly niewielkie bunty, rozsiane punktowo po mapie kraju, ale udawalo się je bez trudu stłumić. Nie dawały podstaw do niepokoju. Jednakże historia niefortunnych pocisków i rzekomy powód, dla którego skazono je nieczystym tłuszczem, były ziarnem, które padło na dobrze przygotowaną glebę i szybko wykiełkowało, gdy tylko nadeszła ciepła pora roku.

Żółtawe promienie światła rozjaśniły od wschodniej strony niebo nad Delhi, zapowiedziały nowy dzień, gorący jak minione, pełen kurzu zgrzytającego między zębami, wysuszającego usta i oczy. Żar rozgrzewał mury domów i powietrze na ulicach. Było gorąco jak w piekarniku. Ludzie i zwierzęta cierpieli z powodu upału, który sprawiał, że krew krążyła wolno. Nawet niezliczone muchy wydawały się leniwe. Gdy je odganiano, wznosiły się bardziej z uprzejmości niż z prawdziwej chęci ucieczki i zaraz potem siadały, brzęcząc słabo, w kąci oka, w dziurce nosa, we włosach, na wargach. Dla mieszkających w mieście muzułmanów pierwsze promienie słońca były znakiem, że należy szybko zjeść śniadanie, ponieważ był to szesnasty dzień ramadanu, miesiąca postu, jedenasty dzień maja - miesiąca kolonizatorów, poniedziałek. Gdy tylko słońce wszędzie, nie będą mogli zjeść nawet okruszka pożywienia ani wypić choć łyka wody - aż do zachodu słońca. Wkrótce na ulicach i w zaułkach poniżej fortu rozległy się gardłowe, śpiewne nawoływania muezinów z meczetów:

-Allahu akbar! La ilaha ilallah! Bóg jest wielki! Nie ma innego boga poza Allachem!

Mohan Tadźid otworzył oczy i powiódł czujnym wzrokiem po ciasnym pomieszczeniu. W półmroku dostrzegł niewyraźne zarysy śpiących ciał swej rodziny - leżących obok siebie Win-stona i Sitary, śpiącego tuż przy nim lana, który jak zawsze obejmował swoją małą siostrzyczkę. Nawet we śnie robił wrażenie, że chce ją chronić i pocieszyć. Emily, wciąż roztrzęsiona z powodu

ucieczki z ojczystej doliny, nie mogła znieść obcego otoczenia i hałaśliwego, brudnego miasta.

Mąż Miry Devi podał im nazwisko dalekiego krewnego, który trafił do Delhi w poszukiwaniu chleba i otworzył tu warsztat szewski. Mohan dostał jeszcze na pożegnanie kamień z wyrytym symbolem, który tym razem otworzył im bramy thanadarów i ma-hallahdarów. W jednej z ciasnych, wąskich uliczek, gdzie mieli swe pracownie szewcy, krawcy i garniarze, znaleźli liche i ciasne schronienie. Zapewniali się wzajemnie, że „to tylko tak na razie”, ale w każdym z nich zakorzeniła się rezygnacja. Nie mieli już siły, żeby zaczynać od nowa. Stracili nadzieję, wytropieni przez wojowników radży, którzy znaleźli ich nawet w odległej Kangrze i przepędzili stamtąd, rujnując im życie, które z takim trudem sobie zorganizowali. Sitara jak szara, wystraszona mysz przemykała uliczkami pod osłoną murów, żeby kupić ryżu i warzyw, dzieciom nie pozwalała wychodzić na ulicę, musiały się bawić w zamieszkiwanej przez nich ciasnej klitce. Winston godzinami przesiadywał zamyślony, patrząc przed siebie pustym spojrzeniem. Żyli z dnia na dzień, owładnięci strachem, że znowu zostaną odkryci.

Mohan martwił się o Sitarę, która chudła mimo zaawansowanej ciąży, i o dzieci, których oczy były matowe i smutne. Martwił się, bo wydał już prawie wszystkie pieniądze zabrane podczas ucieczki z pałacu Surja Mahal, a szlifowane kamienie szlachetne budziły u jubilerów na bazarach nieufność, nie można było ich sprzedać, do tego stanowiły ryzyko, że będą nadto wyraźnym śladem, który mógłby doprowadzić do ich kryjówki. Winstonowi i Sitarze nic jeszcze na ten temat nie wspomniał, wciąż mając nadzieję, że Wisznu wskaże mu drogę...

W wysokim sitowiu na brzegu Jamuny buszowała chłodna bryza.

Współwyznawcy Mohana Tadzida zanurzyli się w stalowoniebieskiej, zimnej wodzie rzecznej tuż koło ghatów, żeby się obmyć

z grzechów. *Pudżań*, mistrz ceremonii, przykucnął w szlamie, zaabsorbowany małymi miseczkami pełnymi cynobru, drzewa sandałowego i gipsu, żeby po rytualnej kąpieli namalować wiernym z powrotem na czole znaki symbolizujące ich przynależność kastową. Gdy skierował spojrzenie na wschód, ku wschodzącemu słońcu, zeszywniał, a innych, którzy podążyli za jego wzrokiem, ogarnął niemy strach. Ponad szeroką żwirową drogą prowadzącą na zachód wisiała nieruchomo delikatna chmura kurzu. Gdy się zbliżyła i dało się usłyszeć lekkie dudnienie, każdy głośno jęknął. Nadjeżdżały dwa tysiące jeźdźców, rozciągnięta kawalkada dążąca prosto ku Bridge of Boats, który poprzez mielizny i rzeczne odnogi łączył drugą stronę rzeki z ową częścią fortu, w której znajdowały się prywatne komnaty Bahadura Szacha. Kopyta zadudniły na balach mostu, że aż zadrżały płaskodenne drewniane łódki przycumowane z jego lewej i prawej strony. Jeźdźcy pędzili prosto ku miejscu między czerwonymi murami z piaskowca, które wchodziły do pałacu ci, którzy mieli osobistą prośbę do króla. Ich nawoływania odbijały się echem od murów.

Byli to sipajowie z garnizonu z Meerut, hindusi i muzułmanie, którzy dzień wcześniej zamordowali pięćdziesięciu swoich oficerów oraz ich żony i dzieci, podpalili ich bungalowy, a teraz chcieli, żeby prawowity król Bahadur Szach wysłuchał ich i przy ich pomocy odebrał Brytyjczykom władzę nad Indiami.

Cóż za ironia, że stało się to akurat w garnizonie w Meerut, czterdzieści mil na północ od Delhi, garnizonie znanym ze swoich uroczych bungalowów i kwitnących ogrodów. To właśnie tam kielkująca roślina rewolty przebiła się przez wierzchnią warstwę gleby! Właśnie w Meerut, gdzie liczebny stosunek brytyjskich żołnierzy do sipajów był wyjątkowo wyważony, a przy tym Brytyjczycy byli lepiej uzbrojeni i cenieni za ich zdolności bojowe.

Osiemdziesięciu pięciu sipajów odmówiło używania okrytych złą sławą karabinów, za co zostali po drakońsku ukarani: wszyscy sipajowie z garnizonu zostali ustawieni w szeregu, wymierzono w nich karabiny i szable, a tych osiemdziesięciu pięciu buntowników musiało na oczach towarzyszy ściągnąć mundury, z których byli tacy dumni, a potem kowal zakuł ich w kajdany. Nieszczęśnicy zostali skazani na długą karę pozbawienia wolności - dziesięć lat więzienia i pracy przymusowej. Był 9 maja 1857 roku, sobota. Wieczorem niektórzy towarzysze tak upokorzonych sipajów szukali pociechy w ramionach kurew na Sudder Bazaar, ale jeden po drugim dostawali odmowę.

- Nie będziemy się całować z tchórzami! - wołały kobiety. -Co z was za mężczyźni, że pozwalacie, żeby waszych towarzyszy pozakuwano w kajdany i zamknięto w więzieniu? Idźcie i wydostańcie ich stamtąd, a dopiero później przychodźcie do nas po całusy!

Upokorzenie, którego rano doświadczyli wszyscy sipajowie, wciąż jeszcze tliło się w nich roznieconym w ten sposób zarzewiem. Gniew i pragnienie zemsty zaczęły w nich płonąć jasnym płomieniem. Krzycząc i hałasując, wylegli na ożywione ulice i ponieśli pożar buntu dalej przez miasto i garnizon.

Niepokoje nie przeszły niezauważone, ale przełożeni sipajów nie przywiązywali do nich większej wagi. Panował wtedy upał nieznośny dla Europejczyków, kilku oficerów przebywało na urlopie w *hill stations*, pozostali udali się na nocny spoczynek, następnego ranka w lekkich letnich mundurach poszli na niedzielne nabożeństwo, zjedli ze swymi rodzinami obiad, a potem wypoczywali w chłodnych pomieszczeniach. Było ciche, spokojne popołudnie, niezmacone świadomością tego, że mijają właśnie ostatnie godziny pokoju w garnizonie.

Tuż po siedemnastej na ulicach Sudder Bazaar rozległo się wezwanie do walki:

- *Allah-i-allah maro maringhi!* Z bożą pomocą zabijmy chrześcijan!
Rozpoczął się szturm. Dudnienie kopyt, głośnie rżenie, dzwony na alarm, brzęk stalowych mieczy, strzały, krzyki, a nad tym wszystkim syk płonących słomianych dachów, wymieszany z kolejnym okrzykiem bojowym:

- *Din! Din! Din!* Za wiarę!

Zdobyto szturmem więzienie, uwolniono skazanych towarzyszy i dano im broń, splądrowano sklepy i bungalowy, przecięto kable linii telegraficznej do Delhi, zastrzelono oficerów, pozarzano kobiety i dzieci. Nim Brytyjczycy się zorientowali i sformowali szyki, horda buntowników urosła, obejmując wszystkich sipajów z garnizonu, w sumie dwa tysiące mężczyzn. Zniknęli oni z miasta, pozostawiając po sobie jedynie blask płonących ruin, chaos, trupy, strach i zgrozę. Panowały ciemności, była to pora między zachodem słońca a wschodem księżyca, gdzieś pomiędzy godziną szóstą a dziewiątą. Jechali konno do Rethanee, drżąc jeszcze z gniewu i żądzy krwi, przestraszeni własną śmiałością. Niektórzy z nich chcieli do domu, do Rohilkhand albo do Agry, ale wiedzieli, że nie ma powrotu - pozostawał im jedynie marsz naprzód, do Delhi. Wiedzieli, że tam w obrębie murów nie ma żadnych oddziałów, jest za to okazały arsenał - i Bahadur Szach, król Delhi. Spinali więc konie ostrogami, jechali nocą na południe, a wraz z nimi żarzył się lont, iskra na nim przesuwająca się powoli w kierunku beczki z prochem, która miała podpalić pół Indii.

14

O tym wszystkim Mohan Tadźid nie miał pojęcia, podobnie jak i inni mieszkańcy Delhi, hindusi, muzułmanie, chrześcijanie, któ-

rzy się przebudzili owego wczesnego ranka, przeciągali i ziewając, wstawali z posłań, żeby rozpocząć dzień, który pozornie nie różnił się niczym od dni minionych.

Gdy mieszkańcy Delhi wciąż jeszcze wykonywali rutynowe poranne czynności, część wojowniczej hordy wdarła się do Bahadura Szacha, prosiła go o pomoc i objęcie przywództwa. Ten sędziwy mężczyzna był po części zadowolony z okazanego mu kredytu zaufania, a po części przerażony. I podczas gdy się zastanawiał, co ma robić w takiej nieoczekiwanej sytuacji, reszta zbuntowanych sipajów się rozpięchła, zabijała stacjonujących w forcie pojedynczych brytyjskich oficerów i żołnierzy, wybiegła na miasto, gdzie z nienawiści i chęci mordowania uśmiercała wszystkich Europejczyków.

Dyrektor Delhi and London Bank uciekł wraz z rodziną na dach, rebelianci wspięli się jednak na położony wyżej dach sąsiedniego budynku, z którego zeskoczyli i posiekali swoje ofiary na kawałki. W biurach „Delhi Gazette” drukarze spieszyli się właśnie, by wydać nadzwyczajne wydanie informujące o panującej w mieście fali przemocy, gdy motłoch wtargnął do środka, pozabijał ludzi, a papier i czcionki wrzucił do rzeki. Wdarło się nawet szturmem do kościoła Świętego Jakuba, pocięto mieczami na drzazgi balustradkę oddzielającą ołtarz i krzesła. Kilku rebeliantów wspięło się na dzwonnice, zadzwonili pogardliwie, po czym przecięli liny. Rozedrgane dzwony pospadały w dół wąskiej wieży i rozbiły się o ziemię z hukiem, który słyhać było daleko na mieście i który donośnie oznajmił koniec spokojnych czasów.

Ręka Winstona, w której trzymał wypełniony warzywami podpłomyk, zastygła w połowie drogi do ust. - Co to było?

Mohan Tadźid spojrział na przestraszone twarze Sitary i dzieci. Cała piątka siedziała na udeptanej ziemi, trzymając

w rękach gliniane miski ze śniadaniem. Do ich uszu dotarł głośny tumult z ulic.

- Coś się dzieje, w każdym razie nic dobrego - rzekł Mohan, skoczył błyskawicznie na równe nogi, chwycił Emiły, która zaczęła płakać, i zawołał nagłaco do rodziny: - Uciekajmy, uciekajmy z miasta. Ku rzece! Na ulicy panował dziki chaos. Ludzie krzyczeli, biegali chaotycznie, spłoszone konie stawały dęba, woły ryczały. Gdy przegalopowali obok nich dwaj sipajowie z nagimi mieczami w rękach, Mohan domyślił się, że doszło do wojny. Nieważne, po której stronie by się znaleźli, jako mieszana rodzina nie mogli się spodziewać niczego dobrego. Trudno im było trzymać się razem. Co chwila groziło im rozdzielenie, to przez jakąś krowę uparcie tarasującą drogę, to przez płynące potoki ludzi, albo ryzyko trafienia pod koła pędzącego naprzód powozu czy też pod kopyta spłoszonego konia.

Już wkrótce pierwsi łupieżcy rzucili się na wystawy sklepów, jakby miasto zainfekował jakiś szybko działający wirus przemocy i bezprawia. Rabusie bili sklepikarzy broniących towaru lub od razu podpalali domy. Mohan z rodziną przeciskał się przez zatłoczone, kręte uliczki. Trwało to godzinami. Słońce już dawno przekroczyło zenit, gdy dotarli na większą ulicę, gdzie zrobiło się nieco mniej tłocznie. Od strony fortu terkotały w powietrzu salwy z karabinów. Wiele razy widzieli kątem oka, jak sipajowie wypadali z zakrwawionymi szablami z domów zamieszkiwanych przez Anglików.

Mohan dziękował Krysznie, że Winston w turbanie, który teraz stale nosił, i z zabrudzoną twarzą nie przypominał na pierwszy rzut oka *angrezi*. Emiły, która przyłgnęła do Mohana, zaczynała mu powoli ciążyć na rękach, a Winston i Ian podpierali Sitare, która sapała z powodu upału i ciężaru dziecka. Biegli prosto, w zasięgu wzroku mieli już mur chrześcijańskiego cmentarza. Zaraz droga się rozdzieli i będą mogli skręcić na północ, w kierunku ghatów na brzegu Jamuny.

Mohan zorientował się, że wciąż przemawia cicho do Emily:

- Uda się nam, zaraz dobiegniemy, zaraz, jeszcze tylko kawałeczek. ..

Jakiś mężczyzna wyskoczył przed nich na ulicę, zastawił im drogę rozłożonymi rękoma i błyszczącą w słońcu szablą. Winston stanął pierwszy, przez co oni też się zatrzymali. Na twarzy Winstona pojawił się wyraz głębokiego przerażenia, jakby w całej tej okropnej scenerii pojawił się na dodatek najstraszniejszy z demonów. Mężczyzna przed nimi faktycznie przypominał bardziej demona niż człowieka; był chudy i garbaty, jedną nogę miał krzywą i krótszą, twarz z bujną białą brodą była krzywa i pofałdowana od blizn i zrostów; jedno z jego oczu połyskiwało mlecznie. Mohan chciał przeć dalej naprzód, ale nawet on nie mógł się ruszyć z miejsca. Mózg pracował mu gorączkowo, szukał w pamięci, gdyż ten mężczyzna wydał mu się znajomy.

- Babu Sa'id - wykrztusił wreszcie, a wnętrzości ścisnął mu zimny strach.

Dawny sipaj Winstona uśmiechnął się szeroko bezzębnymi ustami osadzonymi w zdeformowanej, poharatanej twarzy.

-Jak to miło, że mnie pan rozpoznał, książę Mohanie. -Zdrowe oko Babu Sa'ida błyszczało, pełne głębokiej nienawiści. -Jak widzicie, powstałem z martwych. Ludzie radzy torturowali mnie, żebym wydał, dokąd się udaliście, a jego lekarze przybocznicy za każdym razem na nowo mnie łątali.- Babu Said powiódł po nich wzrokiem, w końcu utkwiał swe zdrowe oko w Winstonie. -Niestety nie wiedziałem, bo chętnie bym was wydał po tym, jak mnie zostawiliście na pustyni. - Opuścił ramiona i stał całkiem spokojny, a oni mieli wrażenie, że znajdują się w cichym oku cyklonu. - Ale byłem pewny, że w końcu kiedyś przybędziecie do Delhi. Gdzie można się lepiej ukryć niż w miejscu, w którym roi się od ludzi? I co za szczęśliwy przypadek - wskazał na rozgardiasz za nimi i obok nich - że was tu dzisiaj spotykam. Mogę sobie zaoszczędzić trudu rozglądania się za wami. Nie muszę

was nawet przekazywać radzy lub jego wojownikom, mogę was po prostu zarznąć na miejscu.

- Babu Saidzie - zaczął ostrożnie Mohan, zastanawiając się gorączkowo, jak mogliby wystarczająco szybko się oddalić, nie narażając Sitary, ale Babu Said go nie słuchał, wpatrzony w łana. Sipaj rzekł bardziej do siebie niż do Winstona:

-To twój syn, prawda? Ładny chłopiec. Na pewno jesteś z niego dumny. Szybciej, niż można by się tego spodziewać po kalekim człowieku, zrobił susa do przodu, chwycił łana żelaznym uściskiem i przyłożył mu do gardła ostrze szabli. Spojrzał kpiąco na Winstona i Mohana, którzy stali jak sparaliżowani.

-Jak sądzicie, mam zacząć od niego? - zapytał.

Mohan wiedział, że nie ma szans uwolnić łana, że mogą co najwyżej próbować zyskać na czasie.

Powoli opuścił płaczącą Emily na ziemię. Dziewczynka natychmiast chwyciła brzeg matczynej tuniki i przytuliła się do Sitary. Mohan chwycił brutalnie siostrę i pchnął ją wraz z Emily na bok, w kierunku środka ulicy, gdzie stanęły obie sztywne ze strachu i patrzyły na nich.

- Babu Saidzie - rzekł ostrożnie Mohan, dokładnie studiując pozycję sipaja, w nadziei, że znajdzie słaby punkt i zdoła oswobodzić łana. - Chłopiec nie ma nic wspólnego z tym, co się wtedy stało. Puść go, proszę...

Było wpół do czwartej po południu. Wczesnym rankiem porucznik George Willoughby i dziesięciu jego ludzi zabarykadowali się w prochowni za cmentarzem. Wiedzieli, że to tylko kwestia czasu, nim rebelianci spróbują się dostać do amunicji, a oni byli źle przygotowani na ewentualny atak: dziewięć sześciofuntówek i dwudziestoczwartofuntowa haubica przed budynkiem administracyjnym - to nie wystarczy, żeby powstrzymać szturm roz-

wścieczonych sipajów. Za żadną cenę nie mogą jednak dopuścić, żeby amunicja trafiła w ręce powstańców, nawet jeśli zapłacą za to życiem. Używając prochu strzelniczego, usypali prostą linię, która zaczynała się przy skarłowaciałym drzewie cytrynowym rosnącym pośrodku dziedzińca, a kończyła dopiero w środku arsenału. I czekali. Czekali z nadzieją, że uratują ich oddziały odległego o kilka mil od miasta garnizonu, bo inaczej czekała ich samobójcza akcja.

Poprzez krzyki i wycie gawiedzi w mieście, towarzyszące im od wielu długich godzin, przedarł się inny dźwięk - uderzenia żelazem o kamień.

Nad murami mogli już dojrzeć głowy rebeliantów, którzy za pomocą wzmocnianych żelazem drabin próbowali się dostać do prochowni.

Porucznik George Forrest, prawa ręka Willoughby'ego, oraz chorąży Buckley wystrzelili kartaczami z sześciofuntówki, robiąc szerokie wyrwy w szeregach powstańców, którzy zrewanżowali się ogniem z karabinów. Pierwsze kule świsnęły Anglikom koło uszu, dwóch trafionych krzyknęło.

- Teraz, szybko! - krzyknął Willoughby, a Buckley, jak wcześniej uzgodnili, podniósł kapelusz na znak, że zrozumiał.

Zar zaczął się przesuwać wzdłuż lontu, sycząc jak kobra, i zniknął we wnętrzu arsenału.

Ziemia zadrżała aż do Ambali, odległej o sto dziesięć mil. Mohana rzuciło na ziemię, coś twardego uderzyło go w głowę, zdołał uchwycić Winstona, porwał go ze sobą. Kątem oka zobaczył jeszcze, jak w wyniku fali uderzeniowej fruwały dookoła kamienie i metalowe części, a z nieba opada kurz. Potem upadł ciężko, tracąc przytomność.

Przez moment panowała cisza, paraliżująca, przerażona, śmiertelna cisza. Potem rozległy się głosy, które przerodziły się w krzyki. Masy ludzi, jak burzliwe, rozszalałe morze, zaczęły biec w panice, widząc swój ratunek jedynie w ucieczce.

Mohan, wciąż jeszcze oszołomiony, powoli odzyskiwał zmysły. Kilka razy mrugnął oczami, ostrożnie poruszył obolałym ciałem, z trudem podniósł się na kolana. W głowie mu huczało. Podniósł wzrok, ale miał problem z ostrością widzenia. Na niebie pęczniała żółtawobiała chmura dymu, unosił się wieniec drobnego czerwonego pyłu. Mohan zakaszłał, kichnął. Żył. Obok niego coś się poruszyło. Poznał Winstona, który zajęczał. Wtedy dopiero Mohan przypomniał sobie, gdzie jest i co się stało bezpośrednio przed eksplozją. Rozejrzał się wokół siebie, zaczął pełznąć do przodu, pomiędzy kamieniami, w pyle, w kałużach krwi, wśród powyginanego metalu i strzępów mundurów. Jego spojrzenie zatrzymało się na kawałku cienkiej czerwonej bawełny. Zielony haft był teraz ledwo widoczny, całkiem nasiąknięty krwią, powalany brudem. Wyciągnął rękę, ponieważ materiał wydał mu się znajomy, choć nie potrafił powiedzieć skąd. Wreszcie jego spojrzenie padło na dwa martwe, zdeformowane ciała. Emily i Sitara. Przełknął ślinę, poczuł, że się dusi. Ból, który przeszył jego ciało, pozbawił go prawie przytomności. Myślał, że zwariuje. Drżąc, pełzł dalej, szukając lana. Znalazł go, przygniecione ciało Babu Saida, którego plecy były rozplątane wzdłuż, a kręgosłup odsłonięty. Mohan, oddychając z trudem, ściągnął z lana martwe ciało sipaja i resztką sił wydobył spod niego chłopca, którego lewe ramię, od barku po łokieć, było rozerwane i który gwałtownie krwawił z rany na twarzy. Ale żył, oddychał, choć słabo. Mohan Tadżid, kołysząc nieprzytomnego siostrzeńca w ramionach, zapłakał, zapłakał z żalu po siostrze i jej małej córeczce, przeklął Sziwę niszczyciela, przeklął Wisznu, który nie uchronił ich przed tragedią. Gdy padł na nich długi cień, uniósł wzrok, niewiele widząc przez łzy. Przed nim stał Winston, pokryty pyłem i podrapany. Patrzył niemo, w osłupieniu na zwłoki ciężarnej żony i małej córeczki.

- Musimy się wydostać z miasta - wykrztusił z trudem Mohan; głos miał szorstki od pyłu i łez, bardziej szeptał, niż mówił.

Ale Winston zachowywał się tak, jakby go nie słyszał.

- Winstonie... - Mohan jeszcze raz spróbował do niego dotrzeć.

Winston był jednak nieobecny duchem. Ręką zdawał się tylko szukać czegoś przy szyi, wyciągnął spod porwanej koszuli medalion, który Sitara zamówiła kiedyś we wsi. Medalion z cienkiego, kutego srebra z miniaturowymi portretami - jej i dzieci. Od tamtego czasu nosił go na łańcuszku na szyi. Zamknął go mocno w dłoni, jakby w środku było jego serce, które groziło pęknięciem. Potem się odwrócił, nie spojrzawszy na Mohana ani na syna, i ruszył z powrotem w stronę miasta.

- Winstonie! - krzyknął za nim Mohan.

Jego wargi i język prócz tego jednego słowa nie były w stanie wyrzec nic więcej, chociaż coś w środku niego wołało: *Twój syn żyje, Winstonie, on ciebie potrzebuje! Zostań tu, zostań z nami! Pomyśl o swoim synu...*

Krzyczał za nim, aż całkiem ochryplł i patrzył w milczeniu, jak Winstona połyka rzeka uciekających z miasta ludzi.

Mohan zacisnął zęby i z trudem podniósł się z kolan. Chwiejąc się, zarzucił sobie na ramiona lana i przyłączył się do ludzi spieszących w kierunku bramy Nigambodh Darwazah, nad brzeg rzeki. Tam udało mu się znaleźć zabłąkanego w sitowiu spłoszonego konia kawaleryjskiego, który utracił jeźdźca. Uspokoił wierzchowca na tyle, że mógł złożyć na nim lana i samemu wsiąść. Zmęczony, wcisnął pięty w miękkie boki konia i skierowawszy go na południe, objechał miasto w kierunku przeciwnym do trasy uciekinierów, ponieważ nie chciał ryzykować spotkania z nadciągającymi już niewątpliwie z północy oddziałami garnizonu, które mogłyby go wziąć za powstańca, a w razie wątpliwości na pewno nie traciłyby czasu na dociekliwe pytania.

Ale dokąd miał się udać? Nie wiedział, jak szeroko powstanie rozlało się już po kraju. Dopiero w środku nocy zorientował się, że jedzie w kierunku południowo-zachodnim, do Radżputany. Nie snując planów, nie porządkując myśli, jechał dalej zgodnie z wewnętrznym kompasem, którego igła niewzruszenie wskazywała wciąż w ten jeden punkt: Surja Mahal.

15

Żadna podróż, w jaką Mohan kiedykolwiek przedtem lub później się wybrał, nie balansowała tak bardzo na wąskiej granicy między królestwem życia a przepaścią śmierci jak ta ucieczka z diabelskiego kotła w Delhi. Rozum ostrzegał go przed szaleńczym wyzwaniem, jakim było pokonanie z ciężko rannym chłopcem dalekiej trasy, na dodatek w tak wielkim żarze, bez broni, bez prowiantu i wody pitnej, w porze roku, kiedy ziemia centralnych Indii wysycha na pył. A nawet gdyby dotarli żywi do Surja Mahal, to przecież groziła im śmierć ze strony ojca Mohana, radży Dheeraja Czanda. Rozum doradzał Mohanowi schronić się w jakimś mieście, w jakiejś wsi lub zagrodzie, przynajmniej na tak długo, póki rany łana nie zostaną choć prowizorycznie opatrzone i póki nie zdobędą rzeczy niezbędnych, by kontynuować podróż. Ale nie miał niczego, czym mógłby zapłacić. Resztką majątku - gotówka i nieoprawione klejnoty - została w Delhi. Instynkt podpowiadał mu, że duże połacie kraju już są lub wkrótce będą objęte zamieszkami. Wyczuwał także, że radża nie uczyniłby krzywdy swemu bezbronnemu wnukowi. A poza tym wolał umrzeć z pragnienia gdzieś na pustyni Radżputany, niż trafić między walczące strony, nie będąc w stanie bronić siebie ani łana.

Tak więc jechał konno dniem i nocą przez puste i suche równiny otaczające Delhi, przez zakurzone, martwe stepy Radż-

putany, unikał jakichkolwiek siedlisk ludzkich, nawet jeśli ich wyminięcie miało oznaczać pokonanie wielu dodatkowych mil. W ciągu dnia prażyło słońce. Niebo wokół jego korony zdawało się wyginać i gotować. Powietrze nad ziemią migotało i wibrowało. Nieraz mu się wydawało, że zjechał z drogi i zbliża się do któregoś z nadmorskich nabrzeży, o których opowiadał mu Winston, a po chwili odnosił wrażenie, że wpadł w ruchome piaski. Nocą z kruchej, popękanej ziemi, z piasku i kurzu promieniował upał, który prawie nie schładzał powietrza. Niebo wisiało tak nisko, że Mohanowi się zdawało, iż zaraz dotknie głową gwiazd. Rzadko napotykali jamy wypełnione wodą, ale gdy już taką znaleźli, Mohan zsiadał, nalewał łanowi dłonią do lekko otwartych ust cenną wilgoć, dopiero potem sam pił. Żuł wyschnięte zioła i liście, zwiędnięte jagody, aż powstawała papka, którą wtykał chłopcu do gardła jak pisklęciu, żeby pobudzić jego odruch przełykania. Koń rozpaczliwie skubał suche źdźbła i łamliwe gałęzie. Dwa razy tuman kurzu, jakby uniesiony ręką ducha, rozłożył swe skrzydła, rzucił się na nich oszalały, huczący, zachłanny. Przed śmiercią w burzy piaskowej raz uchroniła ich grupa skał, a za drugim razem fundamenty na pół rozwalonego *czatri*. Burze te nadchodziły bez ostrzeżenia, zamiatały step, wdzierały się w oczy, usta, nos, drapały, dusiły. Zasypywały całe karawany, pochłaniały je na zawsze. Czasami łan odzyskiwał na chwilę przytomność, spoglądał na wujka błyszczącymi od gorączki oczami, długo, bez łez, bez słowa, bez dźwięku skargi, a potem znowu popadał w omdlenie. Krew z jego ran wyschła, skrzepła wokół surowego, obnażonego mięsa. Mohan nie miał już siły odpędzać połyskujących much, które otoczyły ich rojem i siadały na nich całymi gromadami jak szydercza skaza. Nad nimi kołowały sepy, a nocą okrążały ich cienie hien o błyszczących oczach, które miały śmiałość zbliżać się do zmęczonego wierzchowca na odległość kilku stóp.

Na początku Mohan sprzeczał się z Wisznu, prowadził gniewne rozmowy z Kryszną, domagał się odpowiedzi i wska-

zówek, co ma robić, ale ponieważ bogowie milczeli, jakby się całkiem od nich odwrócili, on też zamilkł, jechał dalej, głuchy i ślepy, z pustką w duszy, zubożniały i wypalony, nie czując bólu ani żałoby.

Podczas gdy Mohan z łańcem posuwali się naprzód, porucznik Wiłloughby i jego ludzie, którzy cudem przeżyli wysadzenie prochowni, wymknęli się z miasta, a wraz z nimi inni oficerowie i cywile, ich żony i dzieci, w powozach, konno, pieszo. Ci, którym ucieczka z miasta się nie udała, wdali się z powstańcami w makabryczną zabawę w chowanego. Nikt nie mógł wiedzieć na pewno, kto ze służących, którym tak długo ufano, był przyjacielem, a kto wrogiem, kto ich ukryje w szafie lub w stajni, a kto w wybuchu długo tłumionej nienawiści sięgnie po nóż kuchenny. Wielu uniknęło o włos przemocy ze strony gawiedzi, jednak do Czerwonego Fortu zapędzono pięćdziesięciu Brytyjczyków, hindusów, którzy przeszli na chrześcijaństwo, i Euroazjatów. Zamknięto ich tam, a potem zgładzono na pałacowym dziedzińcu na oczach Bahadura Szacha i jego rodziny.

Dwunastego maja w Simli, wśród szkarłatnie kwitnących rododendronów, sto sześćdziesiąt mil na północ od Delhi, generał George Anson dostał podczas wieczorku towarzyskiego telegram. Rozgniewany, że zakłóca mu się letni wypoczynek, wsunął cienką niebieską kopertę niedbale pod talerz i kontynuował towarzyską konwersację z gośćmi, delectując się z rozkoszą wielodaniowym menu serwowanym na srebrnej i kryształowej zastawie oraz wyśmienitymi winami. Dopiero gdy damy się oddaliły, a wśród panów zaczął krążyć portwajn i dym papierosów wzniósł się ku sufitowi, otworzył telegram, czyniąc przy tym jakąś żartobliwą uwagę, po czym zbladł.

Indie były przygotowane na obronę przed atakami spoza granic. Składy amunicji i broni znajdowały się na północnym zacho-

dzie, setki mil stąd. W Pendzabie, „Krainie Pięciu Rzek”, dziesięć tysięcy brytyjskich żołnierzy zabezpieczało od ośmiu lat granicę długą na osiemset mil, która oddzielała Indie od wojowniczych Afganów. Od roku 1846, czyli od końca wojny z sikhami, komendantowi armii zakazano, ze względu na koszty, utrzymywać zwierzęta pociągowe. Aby przetransportować oddziały, amunicję bądź prowiant, należało najpierw zarekwirować woły, które mogłyby pociągnąć wozy, słonie potrzebne do ciągnięcia armat, wielbłądy do noszenia bagażu. Do tego trzeba by też zwerbować miejscowych stajennych i roznosicieli wody.

Gdy generał Anson dwa dni później ruszył w kierunku Delhi, było jasne, że potrzeba kolejnych szesnastu do dwudziestu dni, żeby skompletowane oddziały mogły się zgrupować wokół murów zajętego przez powstańców miasta. Brakowało bandaży i lekarstw, powozów, noszy dla rannych, amunicji, namiotów, a w żadnym większym mieście w promieniu kilkuset mil nie było angielskich oddziałów. Mury miejskie w niektórych miejscach miały grubość dwunastu stóp, a jedynymi dostępnymi armatami były sześć- lub dziewięćofuntówki, których pociski mogły przebić co najwyżej gliniane mury grube na cztery stopy. Tym samym rebelianci, mający w swych rękach Delhi, dysponowali największym arsenałem Indii, z setkami ciężkich dział, dziesiątkami tysięcy kompletnych ekwipunków żołnierskich, milionami pocisków. Jak powiadano: w czyich rękach była dolina Gangesu, w tego rękach były Indie. Sam Anson nie wiedział, jak ma wykonać polecenie gubernatora generalnego, lorda Canninga, wydane z odległej o tysiąc mil Kalkuty, który kazał mu ubezpieczać Kanpur, odległy o dwieście sześćdziesiąt sześć mil na południowy wschód, a jednocześnie szturmować Delhi, mając do dyspozycji jedynie dwa tysiące dziewięciuset ludzi.

Jak wolno ruszała się biurokracja wojskowa Brytyjczyków, tak szybko rozprzestrzeniała się z ust do ust wiadomość o rebelii. Podczas gdy jak zwykle 25 maja odbył się bal dla uczczenia

urodzin Jej Wysokości królowej Wiktorii, a lady Canning w dalszym ciągu wieczorami udawała się na przejażdżki po mieście, z Kalkuty mulistą rzeką Hugli uciekały całe rodziny na zapakowanych do pełna parowcach, a cywile uzbrojeni po zęby czuwali nad niespokojnym snem swoich żon i dzieci. Śmiertelnymi wrogami Brytyjczyków były też upał, gorączka i cholera. Jedną z ich pierwszych ofiar został generał Anson, który zmarł jeszcze podczas marszu na Delhi, pod koniec maja.

Rewolta, niczym gwałtowny wstrząs ziemi, spowodowała, że w poprzek kraju powstała rozpadlina. Niezliczeni Hindusi przechodzili z entuzjazmem na stronę rebeliantów, podczas gdy inni ponad dumę narodową stawiali korzyści, jakie czerpali z brytyjskiego panowania, i stali po stronie Brytyjczyków, w tym sikhowie i Gurkhowie, dwa tradycyjnie wojownicze narody. Bywali maharadzowie wdzięczni Anglikom, mający nadzieję, że wspierając kolonizatorów, odniosą korzyści; inni dostrzegali, że oto nadeszła godzina zemsty i ponownego odzyskania dawnej władzy. Większość jednak wielomilionowej ludności Indii, hindusów i muzułmanów, chłopów i rzemieślników, mówiących hindustani, urdu albo jakimś dialektem, zastygła w bezruchu, lękliwie czekała i obserwowała, po czyjej stronie wahało się w końcu zatrzyma. Mohan Tadzid toczył swoją własną walkę - z upałem, głodem i pragnieniem, a także z czasem, który jemu, a przede wszystkim łanowi, uciekał nieubłaganie i odbierał im obu siły życiowe. Gdy śmiertelnie zmęczony, pokryty pianą wierzchowiec padł pod ciężarem ich strudzonych ciał, wziął chłopca na plecy i szedł dalej, zataczając się w żarze równinnej Radżputany, który zamieniał ziemię w proch. Jego wargi pokryte były pęcherzami, wiązadła głosowe zrobiły się twarde jak źle wygarbowana skóra, tak więc modlił się jedynie w duchu, składając swe życie i życie łana w ręce Wisznu. Jednocześnie stawiał przed siebie jeden chwiejny

krok po drugim. Rozgrzany piasek parzył jego nagie stopy, a powietrze wokoło jarzyło się, migotało, drgało, piekły go spalone, napuchnięte oczy. Fala żaru ogarniała go, obejmowała. Nagle zastygła, stanęła wyczekująco, zatrzymała się na dachach i murach pałacu, które się chwiały, chybotwały, jakby chciały się rozpuścić w powietrzu. Ale pozostały, stabilne i trwałe, wyostrzyły się w drgającym od gorąca powietrzu, choć podążał godzina po godzinie, nie zbliżając się do nich. Zawzięcie szedł przed siebie, powłócząc nogami, chwiejąc się pod ciężarem. W jego obolałej głowie odzywały się nieme nawoływania z prośbą o to, żeby otworzyły się bramy i okiennice. Sapiąc, brnął dalej, nie spuszczać wzroku z masywnej bramy północnej. Raz mu się wydawało, że pałac jest blisko, na wyciągnięcie ręki, innym razem, że jest odległy i nieosiągalny. W końcu ugięły się pod nim kolana, upadł na spieczoną ziemię, poczuł chłodny powiew skrzydeł na spalonej skórze. Radośnie przekonany, że to sam Wisznu przysłał im na ratunek swego orła Garudę, wykrzywił w uśmiechu spierzchnięte wargi, po czym stracił przytomność i pogрузzył się w czerni nieświadomości.

16

Wahadło nad Indiami chwiało się to w jedną, to w drugą stronę, kreśliło pętle i elipsy, na moment się zatrzymało, gdy równie roztropnym co zdecydowanym oficerom udało się - w Lahore, Agrze i Kalkucie - rozbroić indyjskich żołnierzy lub upewnić się co do ich wierności, tak więc Pendżab i Bengal pozostały w znacznym stopniu spokojne. Jednak najgorsze jeszcze nie minęło, choć niektórzy lekkomyślnie tak sądzili. Z powstaniem w Indiach było jak z pożarem buszu, który wygasa tylko pozornie, a pod spaloną ziemią tli się dalej. Proklamacja sporządzona

przez lorda Canninga i upubliczniona w kraju, że rząd nie będzie się mieszać do religii i zwyczajów kastowych swoich podwładnych, przebrzmiała niewysłuchana, za to powstały nowe ogniska zapalne w Rohilkhandzie i Oudh, i dalej w dole Gangesu, sporadycznie sięgały aż po Radżputanę. Na koniec rozgorzała wojna w samym sercu subkontynentu, gdzie Hindusi powstali przeciwko kolonizatorom. Wojna ta ogarnęła powierzchnię równą jednej czwartej powierzchni Europy. Toczone walki w Mathurze, Bharatpurze, Gwalijarze, Jhansi, Allahabadzie, Saharanpurze, Benaresie, Lucknow, Dżodhpurze. Bahadur Szach, okrzyknięty nowym mogolskim cesarzem Indii, triumfował, mając świadomość, że sprawy układają się z korzyścią dla niego:

Na Iran, ne kiya, ne Shah russe ne -Angrez ko tabah kiya Kar-toosh ne.

Zdobyli Persję i obalili cara Rosji - a sami, Anglicy, padli przez zwykły pocisk.

W Bareli kula wystrzelona przez sipaja zgruchotała kręgosłup brygadiera, który zmarł powoli, skulony z bólu, podczas niedzielnego bicia dzwonów, a jego krew wsiąkła w słomę i nawóz wielbłądzi. Pewien rzemieślnik, który przeszedł z hinduizmu na chrześcijaństwo, był ciągniony przez powstańców za nogi przez ulice Delhi, kopany, opluwany, wydrwiwany, a w końcu cięciem miecza pozbawiono go głowy. Z jego tułowia trysnęła krew i opryskała ulicę. Mężczyźni w turbanach wdarli się szturmem podczas nabożeństwa do kościoła, szczerząc zęby jak żądne krwi psy, i posiekali na kawałki mężczyzn, kobiety i dzieci. Pięcioletnia dziewczynka, która jakimś cudem przeżyła tę masakrę, będzie się przez resztę życia budzić z krzykiem z koszmarnych snów, nigdy nie zapomni tych potwornych wydarzeń w kościele. Sędzia w Fatehpurze czekał z Biblią w dłoni na szturm rebeliantów. Wszystkich innych Europejczyków z miasta wysłał w dół rzeki,

do Allahabadu, na siebie wziął zadanie bohaterskiej obrony. Gdy do budynku, w którym się zabarykadował, podeszła gawiedź, zastrzelił szesnastu ludzi, nim sam został zabity. Jego zabójcy grabili i szaleli tuż obok kolumny, którą sędzia sam kiedyś opatrzył napisami w językach angielskim i hindustani. Napisy te głosiły dziesięć boskich przykazań: *Nie kradnij. Nie zabijaj...* Ale teraz obowiązywała tylko jedna zasada: *Oko za oko, ząb za ząb.*

Wahadło wojny kolebało się gwałtownie, dzień po dniu pojawiały się relacje obfitujące w ciągle nowe, coraz straszniejsze detale, które bulwersowały ludzi po obu stronach. Żołnierze przerodzili się w aniołów zemsty. Próbowali poradzić sobie z rozwścieczonym diabłem powstania za pomocą miecza i ognia i byli dumni ze swych uczynków, które rozumieli jako uzasadnioną zapłatę za okrutne wydarzenia w Meerucie i w Delhi oraz za morderstwa, do których doszło w następnych tygodniach i miesiącach.

Jedenastu mężczyzn podejrzewanych o to, że zamordowali uciekającego z Delhi lekarza i jego rodzinę, zgwałciwszy przedtem kobietę, natarto smalcem wieprzowym, każdemu z nich wepchnięto do gardła po kawałku wieprzowiny i dopiero potem powieszono. W gałęziach drzew wisieli Hindusi, którzy - słusznie czy nie - zostali uznani za rebeliantów.

Niektórych w przyływie wisielczego humoru umieszczano tak, żeby przedstawiali dziwaczne scenki. W tych dniach widok wisielców był na porządku dziennym. Pojmano grupę zbuntowanych sipajów z pewnego pułku, ustawiono ich na dziedzińcu koszar i rozniesiono w strzepy ogniem z armat. Wystarczyło, żeby jakiś Hindus dał się pojmać, a od razu traktowano go jako potencjalnego rebelianta. Kończył na stryczku, zostawał spalony, rozstrzelany lub rozniesiony na szablach. Plądrowano masowo wsie, a kobiety hańbiono. Hindusi - rozwścieczeni takimi działaniami - odpłacali pięknym za nadobne, dokonując kolejnych masakr mężczyzn, kobiet i dzieci.

* * *

Mohan Tadzid długo balansował między życiem a śmiercią, tkwił w świecie cieni. W tym świecie znowu był małym chłopcem, biegał po korytarzach i dziedzińcach pałacu, a za nim Sitara, której przeszkadzały w tym zwoje sari. Wołała do niego, żeby na nią poczekał.

Ale gdy się ze śmiechem odwrócił, trafiła go fala uderzeniowa eksplozji, a ostatnią rzeczą, którą zobaczył, nim upadł na ziemię, była zdumiona twarz Sitary, która zlała się z twarzą Emily. W oczach dziewczynki dojrzał strach przed śmiercią, po czym znalazł się z powrotem na ulicach Delhi, przytłaczająco pustych i cichych. Ziemia ugięła mu się pod nogami, a gdy opuścił wzrok, zobaczył, że na bruku leży mnóstwo martwych ciał. Starał się nie deptać po trupach, a tym samym nie zhańbić samego siebie, lecz nie dawał rady - było ich zbyt wiele. Spoglądał we wszystkie twarze u swych stóp, wykrzywione w walce ze śmiercią, i szukał swojej rodziny, ale rysy wszystkich były obce. Potknął się, upadł, nie mógł wstać na nogi, więc poruszał się na czworakach naprzód, zaciskając zęby. Wiązki promieni świetlnych sięgały ku niemu jak palce. Wiedział, że musi dotrzeć do końca ulicy, a gdy sądził, że nie zdoła, bo słońce zbyt boleśnie raziło go w oczy, ulica zaczęła się podnosić. Otworzył przed nim widok na rozległą zieloną dolinę, po której wiała delikatna bryza, chłodząc przyjemnie jego spaloną skórę.

Z daleka dobiegł go łagodny szept wymawiający jego imię. Podniósł oczy i zobaczył przed sobą Winstona, który obejmował ramieniem Sitarę, a drugą rękę trzymał na ramieniu lana. Do Mohana podbiegła Emily, śmiejąc się pogodnie dźwięcznym głosem. Westchnął z ulgą i czołgał się przed siebie, ku swej rodzinie, ale nagle ziemia się pod nim zarwała. Zaczął spadać. Spadał głęboko, tracąc orientację. Otworzył szeroko oczy, ale wszystko było rozmyte, uniósł rękę, która była ciężka i jak z waty. Chciał przetrzeć sobie oczy, które łzawiły i piekły, ale ktoś przytrzymał go za nadgarstek.

- Nie wolno, bo maść nie zadziała! - powiedział surowy męski głos w języku hindustani z typowo radżpuckim akcentem.

Mohan napiął wiązadła głosowe, ale nie zdołał wydać z siebie dźwięku. Chrząknął, a wtedy poczuł w gardle tak ostry ból, że zadygotał.

Spróbował jeszcze raz i jeszcze raz, aż wreszcie wykrztusił chrapliwie:

- Co z chłopcem?

- Wyjdzie z tego. Bogowie byli dla was łaskawi.

Mohan chciał się podnieść, iść do lana, ale ręka mężczyzny przytrzymała go i z powrotem wcisnęła w poduszki.

- Musicie leżeć, Wasza Wysokość. Jeszcze nie doszliście do siebie.

- Radża... chłopcu... nic nie zrobi... jego wnuk... - wykrztusił gorączkowo Mohan, a każde słowo drażniło jego gardło, jakby było kanciastym, szorstkim kamieniem.

- Uspokójcie się, książę - powiedział głos tonem uspokajającym, a zarazem nakazującym. - Jesteście bezpieczni. Obaj.

Mohan zdołał jeszcze przytaknąć, potem znów zrobiło mu się czarno przed oczami i stracił przytomność. Znalazł się na powrót w świetle cieni, gdzie spotkał Krysznę. Zażądał od niego gwałtownie odpowiedzi, dlaczego Sitara i Emily musiały umrzeć, ale ten spojrział tylko na niego i się odwrócił, po prostu odszedł, nie odwracając się nawet ni razu.

Tymczasem Mohan nie był w stanie ruszyć się z miejsca, jakby wrósł w ziemię. Krzyczał tylko za Kryszną, płakał, błagał i złorzeczył. Bogowie pozostali jednak niemi. Zarówno Kryszna, jak i Wisznu oraz Sziwa.

Mohan Tadżid jeszcze raz musiał brnąć przez pustynię. Słońce paliło tak mocno, że krzewy głogu na skałach stały w jasnych płomieniach.

Usłyszał głośny szelest, spojrział w górę, musnęło go skrzydło orła, obaliło na ziemię. Potem znalazł się na grzbiecie ptaka, razem z nim śpiący łan. Orzeł wzbił się do góry, w powietrze, uniósł ich na wysokość przyprawiającą o zawrót głowy. Powiał wiatr, osuszył łzy Mohana, delikatną dłonią zamknął jego powieki i Mohan zasnął.

Zamrugnął oczami. Z daleka dobiegł do niego jakiś odgłos, którego nie potrafił rozpoznać, równomierny, szeleszczący, potem na jego twarzy mimowolnie pojawił się uśmiech. Padało... Podniósł gwałtownie głowę, ale natychmiast ją opuścił, gdy przeszył go nagły ból. Jęknął głośno.

Monsun... Musiało minąć wiele tygodni od tego straszego dnia, kiedy opuścili Delhi. Przekręcił głowę na bok, próbował cokolwiek dojrzeć, ale wszystko rozmywało mu się przed oczami. Znowu zamrugnął. Stopniowo wzrok mu się wyostrzył, blade, rozmyte zarysy przybrały kształt stolika, na którym stało mnóstwo buteleczek i małych glinianych misek.

Dojrzał też postać starszego mężczyzny z białą brodą. Człowiek ten rozplątał się jednak i znikł, potem znowu się pojawił, kciukiem i palcem wskazującym rozwarł powieki Mohana, obejrzał dokładnie gałki oczne swojego pacjenta, potem wziął go za przegub i palcami zbadął puls.

- Amdżad Das - wyartykułował z trudem Mohan zaskoczony tym, że po tylu latach przypomniał sobie jego imię, oraz tym, że mówienie już prawie nie sprawia mu bólu.

Stary lekarz się uśmiechnął, a zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły.

- We własnej osobie, Wasza Wysokość. Wnioskuje, że wasza pamięć ma się dobrze.

- Co z chłopcem?

- Śpi, Wisznu niech będą dzięki. Pozostaną mu brzydkie blizny, ale wróci do zdrowia.

Lekarz się zawahał, jakby chciał coś dodać, ale nic więcej nie powiedział, tylko z poważnym wyrazem twarzy zajął się lekarstwami stojącymi na stole.

Mohan uniósł się na posłaniu i odsunął cienkie prześcieradło, którym był przykryty.

- Stop! - krzyknął na niego Amdżad Das niemal ze złością. - Nie możecie jeszcze wstawać!

Mohan Tadzid prawie był skłonny przyznać mu rację. Bolał go każdy cal ciała. Kości, mięśnie i ścięgna miał miękkie jak rozgotowana kapusta.

- Muszę - wycedził przez zaciśnięte zęby, usiadł i opuścił z łóżka jedną nogę.

Lekarz huknął miseczką o blat stołu.

- Z całym szacunkiem, Wasza Wysokość, wy, Czandowie, jesteście wszyscy z tej samej gliny!

Mohan skwitował tę uwagę zmęczonym uśmiechem.

- Po tylu latach służenia mojej rodzinie czegoż mógłbyś się spodziewać innego?

- W samej rzeczy - prychnął Amdżad Das. - Proszę, książę, zostańcie tam, gdzie jesteście! Przyślę kogoś, kto się wami zajmie...

Minęło chyba kilka godzin, w ciągu których Mohan został wykąpany, ogolony i ubrany. Wciąż jeszcze miał mroczki przed oczami, a nogi się pod nim uginały. Ale gdy był już wyszykowany i zamierzał opuścić pokój, nie chciał dalszej pomocy. Jedną rękę wciąż miał obandażowaną, a idąc, ostrożnie wspierał się o ściany. Czuł się dziwnie, kuśtykając korytarzem domu, w którym się wychował i którego tak długo nie widział. Miejsce to było dla niego znane, a jednocześnie przerażające.

Cicho otworzył drzwi i wsunął się w chłodny półmrok pomieszczenia. Za oknem szumiał deszcz monsunowy, gdzieś daleko rozległ się grom.

Przeciąg wybrzuszał lekkie firanki, mieszał panujący w pokoju aromatyczny zapach ziół i maści ze świeżym zapachem mokrej ziemi, łan spał głęboko i mocno spokojnym snem bez gorączki. Głowę, pół twarzy i ramię oraz bark miał obandażowane. Dopiero teraz Mohan zobaczył męczycznę, któ-

ry siedział na krześle obok łóżka i wpatrywał się w chłopca. Po dłuższej chwili rozpoznał swojego ojca, radzę.

Dheeraj Czand się postarzał, włosy pod bogato zdobionym turbanem oraz brodę miał równie białe jak jego haftowany kaftan. Był w dziwny sposób jednocześnie tęgi i skurczony. Mohan chciał się wymknąć z pokoju. Miał wrażenie, że radza go nie zauważył, ale Dheeraj powiedział:

- Wygląda zupełnie jak ona.

W oczach Mohana Tadżida stanęły łzy. Ból po stracie Sitary trafił go jak uderzenie pięścią. Do tej pory dobra ręka Kryszny trzymała ten ból z dala od niego. Chciał odpowiedzieć, ale żal i gniew ścisnęły mu gardło. Stary Czand uniósł głowę i po raz pierwszy po tylu latach ojciec i syn spojrzeli sobie w oczy.

- Powiedz mi, Mohanie, co się stało.

Szli w milczeniu obok siebie. Mohan zataczał się nieporadnie, ale powoli odzyskiwał siły. Radza szedł ciężkim krokiem, wspierając się na lasce zakończonej cyzelowaną srebrną gałką, rytmicznie stukał nią przy tym o gładkie kamienne płyty posadzki. Przeszli do jednego z wytwornie wyposażonych pomieszczeń, usiedli w fotelach wykonanych zgodnie z zachodnią modą, a gdy odeszły służące, które podały im napoje orzeźwiające i zapaliły lampy, żeby rozjaśnić mrok deszczowego późnego popołudnia, Mohan Tadżid zaczął opowiadać sucho i rzeczowo. Radza słuchał w milczeniu, nie ruszając się, nie przerywając ani razu, nawet nie spoglądając na syna.

Gdy Mohan skończył, zwilżył wyschnięte gardło filiżanką czaju. Radza wciąż jeszcze milczał, wpatrywał się w jakiś punkt w obrębie trójkąta między dywanem, końcem laski i swymi haftowanymi kapciami. W końcu chrząknął i zabrał głos:

- Rani nigdy mi nie wybaczyła, że przez te wszystkie lata kazałem was ścigać. Nigdy tego nie powiedziała, była zbyt po-

słuszną małżonką, ale dawała mi to odczuć każdego dnia, nawet wtedy, gdy leżała już na łożu śmierci.

Mohan Tadźid patrzył tępo przed siebie. A więc Kamala, jego matka, nie żyła... Przeraziło go to, że tak mało dotknęła go ta wiadomość, jakby zużył całą swą rozpacz, cały ból, do których był zdolny. Nastąpiła długa pauza, podczas której radża niespokojnie wodził laską po wzorach i szlaczkach dywanu.

- Zawsze żyłem i postępowałem zgodnie z tym, co nakazywały mi wiara i zwyczaje przodków - rzekł w końcu starzec cichym, ochrypłym głosem.

- Wiem - odpowiedział Mohan Tadźid.

Znał swojego ojca i wiedział, że jego słowa były próbą usprawiedliwienia się, prośbą o wybaczenie, choć Dheeraj Czand był zbyt dumny, żeby sformułować to wprost.

Radża pokiwał w zamyśleniu głową. Spojrzawszy na syna, zapytał:

- Zostaniecie tutaj?

- Nie wiem, gdzie mielibyśmy pójść - odpowiedział Mohan Tadźid z wysiłkiem, skubiąc bandaż na ramieniu.

Ojciec znowu pokiwał głową i wstał.

- Zawsze jest dobrze wrócić do korzeni.

Skierował się do drzwi. Mohan, patrząc na tego starego człowieka, poczuł skurcz w sercu. Radża robił wrażenie bardzo zmęczonego, jakby złamanego, chociaż starał się trzymać prosto. W drodze do drzwi odwrócił się jeszcze raz.

- Jak ma na imię chłopiec?

Mohan się zawahał. W końcu podał indyjskie imię łana:

- Radźiw.

Stary Czand uśmiechnął się na dźwięk tego imienia.

- Dobre imię dla wojownika - rzekł, potakując głową. Gdy drzwi się za nim cicho zamknęły, Mohan Tadźid opadł

ciężko na fotel. Czuł zmęczenie. Zastanawiał się, czy dobrze zrobił, przybywając tu z łanem, ale wiedział, że nie miał innego wyboru.

Brytyjczycy, walcząc rozpaczliwie całymi miesiącami o utrzymanie Indii pod władaniem Korony, co rusz spotykali oddziały z innych części imperium, żołnierzy stacjonujących w Birmie, a także tych z Persji, Chin i Mauritiusa, rudobrodych Szkotów z Highland noszących kilty; jesienią pułki z Malty i Afryki Południowej; wreszcie pułk huzarów, który zaokrętownął się w Southampton, a w listopadzie dotarł do Bombaju. We wrześniu po ponad dwóch miesiącach oblężenia padło Delhi. Anglicy uczcili swoje zwycięstwo plądrowaniem, mordami i egzekucjami. Strategia Dheeraja Czanda, polegająca na umiejętnym unikaniu macek brytyjskiego imperium, opłaciła się, zwłaszcza w związku z odległym położeniem jego księstwa. Fale wojny dobiły do Dżajpuru, ale w stepach i na pustyniach Radżputany nadal panował spokój. Szczególnie Surja Mahal był jedną z niewielu wysp pokoju, którą omijała zawierucha, mająca swoje epicentrum w dolinie Gangesu i której porywy dało się odczuć aż po granice tego rozległego kraju.

We wrześniu łan powrócił ostatecznie do królestwa żywych. Przyboczni lekarze radży, a przede wszystkim Amdżad Das, zrobili wszystko, co było w ich mocy, i osiągnęli sukces. Chociaż ramię i bark chłopca z powodu długich tygodni unieruchomienia były chude i blade, to rany zagoiły się dobrze; w przyszłości miał władać ręką tak, jakby nigdy nie był w nią ranny. Blizny miały mu jednak pozostać na całe życie - zarówno na barku, jak i na policzku.

Jakby Brahmao raz drugi darował mi siostrzeńca - pomyślał Mohan w dniu, kiedy wszedł do pokoju chorego, a łan spojrzał na niego rześkim spojrzeniem.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał chłopiec na wstępie.

- W pałacu Surja Mahal - odpowiedział Mohan. Wziął krzesło i przysiadł się do łóżka. - W sercu Radżputany. Tutaj się urodziłem... tu się urodziłem i wychowałem.

- Gdzie jest moja matka?

Pytanie łana było krótkie i precyzyjne, pozbawione wahania, jakby chłopiec domyślał się odpowiedzi.

Była to chwila, której Mohan Tadżid, czuwając przy posłaniu łana, cały czas się obawiał. Opuścił wzrok i poczuł, jak oczy chłopca dosłownie się w niego wwiercają.

- Nie żyje - wykrztusił Mohan cicho. - Twoja siostra... też. Gdy podniósł wzrok, zobaczył, że łan wpatruje się w głąb pomieszczenia. Oczy chłopca, niemające w sobie nic dziecięcego, były twarde jak polerowany onyks.

- Jak one... umarły?

- Doszło do... eksplozji. - Mohan zaczerpnął głęboko powietrza. - Gdy próbowaliśmy uciec z miasta. Nie wiem nic więcej.

-Przypominam sobie... przypominam sobie wybuch rzeki chłopiec i mimowolnie dotknął niezabandażowaną prawą ręką szyi, jakby czuł tam przystawione ostrze Babu Sa'ida. I przypominam też sobie pustynię... ten upał. - Zamyślił się na moment, a potem znowu wwiercił wzrok w Mohana. - A co z moim ojcem?

Mohan przełknął ślinę. Milczał przez chwilę. Jak miał wytłumaczyć chłopcu coś, czego sam nie rozumiał? Opisał ostatni raz, kiedy widział Winstona, na tyle dokładnie, na ile zachował to w pamięci.

- Czy uda mu się nas znaleźć? On będzie nas przecież szukał, prawda? On wróci?

Łan obrzucił Mohana błagalnym spojrzeniem. W tym momencie z powrotem był dzieckiem, kruchym i bezbronnym. Mohan skinął głową. Z bólem w sercu potwierdził:

- Na pewno. Trzeba tylko poczekać, aż skończy się wojna.

Ale sam w to nie wierzył, co więcej, wiedział, że Ian też w to nie wierzy. Amdžad Das zalecił im obu ruch, aby ich osłabione mięśnie się wzmocniły. Tak więc wędrowali po pałacu, dzień po dniu, każdego dnia o godzinę dłużej, niekończącymi się korytarzami, dziedzińcami zalanyymi w tym czasie słońcem, Ian nie mógł się napatrzyć na zbyt piękne pałacu. Był pod wrażeniem sztuki wielu pokoleń kamieniarzy i snycerzy, piękna haftowanych materiałów, inkrustacji, cennych mebli, świeczników, posągów, dywanów. Stawiał tysiące pytań. Pytał o swego dziadka radzę, o życie, które wiódł tu Mohan Tadżid, o matkę i ojca. Mohan Tadżid wahał się początkowo, czy ma mu wszystko powiedzieć, przedstawić okoliczności, w jakich uciekli z pałacu, powody, dla których tak nagle musieli uciekać z doliny Kangry. Ale Ian był uparty, nie dawał za wygraną, chłonał każdy szczegół opowieści Mohana, formułowanych w krótkich, precyzyjnych zdaniach. Usłyszawszy wszystko, co chciał wiedzieć, popadł w tak typową dla niego zadumę. Nie pozostało w nim nic z dziecka. Stał się przedwcześnie, o wiele za wcześnie dorosłym.

- Tu - rzekł Mohan, gdy weszli do dziedzicznego ogrodu, który w bladym świetle wczesnego wieczora robił wrażenie bezbarwnego i zakurzonego - tu spotykałem się zawsze potajemnie z twoim ojcem. I tutaj poznał on twoją matkę.

Ian rozejrzał się bez słowa, popatrzył na wybujałe gałęzie pokryte zwiedłymi kwiatami, na suche listowie z kilku jesieni, rozsypane po brudnych, kiedyś niebiesko-białych kafelkach, na wyschniętą fontannę. Stał w milczeniu, zatopiony w myślach, w miejscu, gdzie został poczęty. Spojrzał w górę na Ansu Berdj, więzienie swojej matki.

- Dlaczego radża zostawił nas przy życiu? - zapytał w końcu. Mohan wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może doszedł do wniosku, że dla honoru rodu wystarczy tego, co się stało.

Łan popatrzył na jabłoń, której owoce były pomarszczone i pokryte plamami. Wiele z nich opadło igniło na posadzce.

- Nie chcę już nigdy więcej być zależny od niczyjej łaski -rzekł bardziej do siebie niż do Mohana.

Mohan, słysząc twarde ton jego głosu, poczuł zimno na karku.

- Chodź. - Dotknął łagodnie ramienia chłopca. - Musimy już iść. Radża chce cię poznać.

Zapadał zmierzch, lampy były już zapalone. Dheeraj Czand oczekiwał ich w jednej ze swoich komnat, siedząc na szerokim tapicerowanym krześle z rzeźbionego drewna wiśniowego, za nim stał, patrząc czujnie, uzbrojony wojownik, Łan, w nowym, specjalnie dla niego uszytym jasnym garniturze w stylu mundurów radżpuckich, lewe ramię miał jeszcze na temblaku, lustrował dokładnie starca ubranego w haftowany kaftan i mającego na głowie wysadzany klejnotami turban. Przez chwilę patrzyli na siebie, dziadek i wnuk, w końcu radża zabrał głos:

- Wiesz, kim jestem?

- Radżą Dheerajem Czandem, moim dziadkiem - odpowiedział Łan pewnym głosem, po czym dodał ostro: - Tym samym, który ścigał moich rodziców po całych Indiach, zanim jeszcze przyszedłem na świat, i zmusił ich do ucieczki do Delhi, gdzie straciłem ich i moją siostrę.

-Wybaczcie, on... - Mohan, stojący tuż za Łanem, zaczął mówić pośpiesznie, próbując naprawić afront siostrzeńca, ale radża władcym gestem ozdobionej pierścieniami ręki kazał mu umilknąć.

- Dokładnie tak samo przed wieloma laty stał przede mną twój ojciec - powiedział stary Czand w zamyśleniu. -1 dokład-

nie jak w przypadku twojego ojca nie wiem, czy mam uważać twoje zachowanie za odważne, czy za aroganckie. - Oparł obie dłonie na lasce i mówił dalej: - Twój ojciec nie był głupi. Może mógłby z czasem zostać wielkim wojownikiem, ale... - Tu Czand mocno wypuścił powietrze z płuc, wstał i zrobił kilka kroków w kierunku lana. - Ale był i pozostał *feringhi*. Białym, niewiernym. I był na tyle bezmyślny, że nie zważał na obyczaje i tradycje tego kraju i sądził, że nie poniesie tego konsekwencji. Tym samym doprowadził siebie i was do zguby. A to... - lan skulił się, gdy starzec dotknął zasklepionej, powoli zablizniającej się rany na jego policzku - będzie ci o tym przypominać. - Popatrzył badawczo na chłopca i dodał: - Chętnie bym zobaczył, ile jest w tobie prawdziwego radźputa, czy jesteś godzien swych przodków. W twoich żyłach płynie m o j a krew, książęca krew. Ale nigdy nie zapomnę, że jest wymieszana z *kiwiaferinghi*, który nas tak mocno pohańbił. Ze jesteś dzieckiem z nieczystego, nieuświęconego związku. A ty - radza się wyprostował - też nie powinieneś o tym zapominać. - Opadł ciężko z powrotem na fotel i oświadczył: - Jesteś moim wnukiem, ale też bękartem. Oto spadek, jaki ci pozostawili rodzice. Nie zapomnij tego nigdy.

18

Potrzeba było prawie półtora roku, żeby w kraju z powrotem zapanowały ład i porządek. Potyczki stopniowo stawały się coraz rzadsze, chociaż dopiero w lipcu 1859 roku na terenie całego kraju ogłoszono oficjalnie pokój. Ofiary, którymi przyszło za ten pokój zapłacić, były po stronie kolonizatorów zadziwiająco małe, biorąc pod uwagę okrucieństwo wojny; jak wielkie straty ponieśli Hindusi - tego nie da się nigdy dokładnie określić. Ale Indie nie były już tym samym krajem co przedtem. Szkie-

lety ofiar i ich groby, zgliszcza, budynki naruszone i zrujnowane przez ogień artyleryjski lub kule armatnie były widocznymi śladami, ranami zadanymi krajowi fizycznie. Ale rany zadane umysłom i sercom ludzi były dużo głębsze. Nie chciały się goić i zabiżniały się boleśnie. Brytyjczycy podchodzili teraz do Hindusów z nieufnością, z głęboko zakorzenionym gniewem, zranioną dumą i pogardą, podczas gdy w duszach pokonanych i upokorzonych Hindusów utrwaliła się nienawistna gorycz. Pierwszego listopada 1859 roku królowa Wiktoria oświadczyła, że Kompania Wschodnioindyjska z jej urzędnikami i żołnierzami się wysłużyła, a cała władza w Indiach od teraz będzie wyłącznie w rękach Korony. Ludność cywilną w miarę możliwości rozbrojono, liczbę sipajów zredukowano, a także zrównoważono wśród nich proporcje hindusów i muzułmanów, żeby w razie potrzeby można było jednych napuścić na drugich. Artyleria przeszła całkowicie w ręce Europejczyków. Sąd wojskowy uznał Bahadura Szacha za winnego wywołania rewolty, zdrady i wielokrotnego morderstwa; skazano go na wygnanie, tak samo jak wielu innych książąt i władców, którzy powstali przeciwko Brytyjczykom. Lordowi Canningowi do jego tytułu gubernatora generalnego dodano tytuł wicekróla. Natychmiast została wstrzymana jakakolwiek polityka ekspansji - najwyższy priorytet miało wzmocnienie władzy w obrębie istniejących granic skolonizowanych Indii.

Oficjalnie oznaczało to, że teraz znowu całe Indie znajdują się pod kontrolą Korony. Milcząco ignorowano fakt istnienia nielicznych księstw, które wciąż jeszcze były niezależne, ale zbyt małe, za mało się uczące, a przede wszystkim zbyt pokojowe, żeby je sobie podporządkowywać. Istniało ryzyko wywołania ponownej fali niezadowolenia, co się nie opłacało dla tych małych plamek w obrębie rozległej Radżputany. Tak więc księstwo Dheera-ja Czanda nadal pozostawało niezależne. Wiadomości o końcu powstania i zmianach w kraju docierały do Surja Mahal, ale nie

miały znaczenia dla władzy Czanda ani dla życia w księstwie, toteż nie zwracano na nie zbytnej uwagi.

Wyjątkiem był łań. Połykał każdy artykuł w gazecie, każdą wydrukowaną linijkę o powstaniu sipajów, czyli o *mutiny*, jak nazywano w skrócie wydarzenia z maja 1857 roku i następnych miesięcy. Wiele o tym pisano, zarówno podczas samego powstania, jak i potem. Było to więcej niż wydarzenie historyczne i militarne - wstrząsnęło duszami ludzkimi, indyjskimi i europejskimi. Była to zarazem jedna z pierwszych szczególnie udokumentowanych wojen - zarówno ze względu na jej emocjonalne znaczenie, jak i ducha tych lat, charakteryzującego się postępowaniem w tempie przekazywania dziennikarskich relacji.

łańowi udało się kawałek po kawałku zrozumieć czynniki, które doprowadziły do wybuchu powstania, zrekonstruować wydarzenia tego krytycznego dnia w Delhi, które spowodowały, że jego matka i siostra poniosły śmierć. Nawet jeśli rozpaczał po ich utracie, to nie okazywał tego, nigdy też o nich nie mówił, ale Mohan zauważył, że chłopiec w końcu pojął, że nikt nie był bezpośrednio winny śmierci Sitary i Emiły - do tragedii doprowadził łańcuch nieszczęśliwych okoliczności, one same znalazły się w złym czasie na niewłaściwym miejscu. Ale Mohan czuł też, że łań we wszystkich wiadomościach i notatkach szuka wskazówek co do miejsca pobytu ojca. Mohana bolała świadomość, że te poszukiwania są daremne, nawet jeśli łań nigdy na ten temat nie rzekł ani słowa. Winston przepadł bez śladu.

W Surja Mahal spędzili spokojne lata, zgodnie z rytmem pór roku.

Przebieg dnia w pałacu był regularny, łań zaczynał go od konnej przejażdżki i strzelania z łuku; następnie miał lekcje angielskiego, hindi, sanskrytu i urdu, geografii, historii, matematyki oraz starych pism. Od jednego bramina otrzymywał wskazówki, jak celebrować *pudżę** oraz jak powinny wyglądać codzienne rytuały mo-

*** Pudża - hinduistyczny obrzęd religijny, podczas którego składa się bóstwu ofiarę (przyp. tłum.).**

dlitewne; ochmistrz ćwiczył z nim przebieg oficjalnych ceremonii i uczył go szczegółów dworskiej etykiety - ile czasu zajmuje podejście po stopniach do tronu radży, żeby przekazać mu tradycyjne *nazarana*, daniny na znak wierności i lojalności wobec władcy, ile czasu zajmuje powrót tyłem na swoje miejsce, tak żeby nie upaść ani się nie potknąć. A wysłużony wojownik Adžit Dżai Czand uczył łana sztuk walki - z użyciem pięści, miecza i broni palnej.

Któregoś dnia, gdy Mohan Tadżid siedział w gabinecie, który sobie urządził, i robił notatki do *Bhagawadgity*, służący zaanonsował mu owego Adżita Dżai Czanda.

- *Ñamaste*, Wasza Wysokość — skłonił się Adžit Dżai unizienie, złożył dłoń na przywitanie. - Wybaczcie moje nienależyte zachowanie, że odwiedzam was bez wcześniejszego powiadomienia.

- *Ñamaste*, nie ma potrzeby przeproszać mnie za to, Adžit--dżi - odpowiedział Mohan, dla okazania szacunku gościowi dodając do jego imienia przyrostek używany w odniesieniu do starszych ludzi, chociaż różnica wieku między nimi nie przekraczała kilku lat.

Posłał służącego po herbatę i ciastka. Czekając na poczęstunek, rozmawiali uprzejmie o pogodzie, nowych koniach w stajniach, dopytywali się wzajemnie o swoje samopoczucie. Mohan zapytał o żonę Czanda, Lakszmi, i o ich czterech synów. Gdy służący przyniósł herbatę i znowu zostali sami, usiedli ze skrzyżowanymi nogami na grubych poduchach.

- Odłóżmy na bok wszelkie formalności, Adžit. Zbyt często walczyliśmy ze sobą jako młodzi mężczyźni i tarzaliśmy się razem w błocie. Co cię do mnie sprowadza? - zapytał Mohan.

Jego rozmówca się uśmiechnął.

- Nigdy mi nie wybaczyłeś, że zawsze byłem lepszym wojownikiem, prawda?

- Nigdy mi to zanadto nie przeszkadzało. - Mohan również się uśmiechnął. - W każdym razie zawsze z tobą dzielnie walczyłem. Ale radza nie mógł tego znieść. Nie przebaczył ani tobie, ani mnie. Przyjazna twarz Adżita w jednej chwili spoważniała.

- To czegoś innego nigdy mi nie wybaczył.

Mohan spojrział na niego uważnie ponad filiżanką herbaty.

- Masz na myśli...

- Moją nieczystą krew.

Adżit Dżai pochodził z bocznej linii rodu Czandów, która biegła między gałęzią rodziny Mohana i maharadży z Dżajpuru; jego pradziadek był natomiast francuskim żołnierzem. Adżit Dżai uśmiechnął się krzywo i oznajmił:

- To właśnie z tego powodu radza nigdy nie uczynił mnie swoim gwardzistą, chociaż znał i cenił moje zdolności i osiągnięcia. Nie należy wierzyć komuś, kto nie ma w sobie czystej radżpuckiej krwi - mrugnął do Mohana z ironią, a potem znowu spojrział z powagą do filiżanki z herbatą.

- Z podobnego powodu przyszedłem właśnie do ciebie. Chodzi o chłopca.

- Czy coś zmalował? Adżit pokiwał głową.

- Tak jakby. Wczoraj rano stałem się przypadkowo świadkiem, jak pobił syna rotmistrza. Dość poważnie go poturbował. -Rao?

Mohanowi stanął przed oczami krępy chłopiec, który był mniej więcej w wieku lana - miał piętnaście albo szesnaście lat.

- Nie, starszego, Aszoka.

Mohan gwizdnął z uznaniem przez zęby. Aszok miał osiemnaście lat i ważył dobre dwadzieścia kilo więcej niż lan.

- Z trudem go od niego oderwałem. Aszok kwilił jak małe dziecko. -

Adżit zmarszczył pogardliwie nos nad gęstą brodą. -Radziw przywarł do niego jak tygrys do swej ofiary.

- Udało ci się dowiedzieć, o co poszło?

- Musiałem się długo dopytywać, nim w końcu Radziw, zgrzytając zębami, przyznał, że Aszok nazwał go brudnym, małym bękartem, niezasługującym na konia, którego radża dał mu na urodziny.

Każdy w pałacu wiedział, że wnuk radży jest traktowany jak radżpucki książę, ale ma w sobie obcą krew i pochodzi z nieprawego związku, o czym jednak nie puszczano pary z ust. Mohan Tadżid mógł się tylko domyślać, ile pogardy i drwin musiał znosić chłopak, ale o tym również nic nie mówił.

Do jego myśli przeniknął głos Adżida:

- Ach, Mohanie, lubię tego chłopca, ale nie podobało mi się to, co widziałem w jego oczach, gdy młócił Aszoka. Taka nienawiść nie jest dobra, a już na pewno nie w tym wieku. Wiesz, jak go nazywają dzieci? Kameleonem. Ponieważ raz się wynosi jako sahib, innym razem jako wnuk radży, w zależności od tego, co mu bardziej pasuje. On nie jest taki jak wszyscy i dają mu to odczuć.

Mohan spojrział otwarcie na Adżita.

- Na ile cię znam, nie przyszedłeś tu po to, żeby opowiedzieć mi jedynie o swoich obserwacjach.

Adżit pokręcił głową owiniętą w szkarłatny turban.

- Nie, Mohanie. Wiesz, starzeję się. Całe życie spędziłem w pałacu, a prawie połowę tego życia walczyłem i kształciłem wojowników. Powoli zaczynam się czuć zmęczony. Chcę jeszcze napatrzeć się na synów, zanim odejdą z domu i założą swoje rodziny. Dlatego... - odetchnął głęboko - dlatego niedługo odejdę ze służby. Kupiłem sobie dom w Dżajpurze, gdzie chciałbym się w spokoju zestarzeć u boku Lakszmi. Choć radża zawsze był wobec mnie nieufny, to jednak za moją służbę wynagradzał mnie po królewsku. - Wypił łyk herbaty. - Gdy uczyłem Radziwa, miałem dość czasu, żeby go obserwować. On jest jak beczka prochu, do której zbliża się powoli zapalony lont. Jest urodzonym wojownikiem. Życie tu, w pałacu, nie jest dla niego, nie na dłuższy czas. Zanim przejdę w stan spoczynku, chciałbym przedsięwziąć

pielgrzymkę do świątyni na wyspie Gharapuri i w Himalaje, na górę Kailasz. Chciałbym go ze sobą wziąć, Mohanie, w tę podróż i do mojego domu, do Dżajpuru.

Patrzył z wyczekiwaniem na swojego rozmówcę. Mohan znał Gharapuri tylko ze słyszenia. Mała wyspa, oddalona o dwie godziny łodzią od portu w Bombaju, była od ponad tysiąca lat miejscem kultu różnych bogów, przede wszystkim jednak Sziwy. Gharapuri i Kailasz...

- A więc na swojego istę wybrał Sziwę? Adžit Dżaj przytaknął.

- Sziwę i Kali. Jesteś rozczarowany?

- Nie. - Mohan zastanawiał się przez chwilę. - Nie oczekiwałem niczego innego. Biorąc pod uwagę to, co widział i przeżył.

- Radża zgodził się na to przedsięwzięcie. Teraz chciałbym prosić ciebie o błogosławieństwo.

Mohan się uśmiechnął.

- Nie potrzebujecie go, ale dam je wam chętnie, jeśli tego chcesz.

Będziesz dla niego dobrym mistrzem, Adžit-dži - dodał cicho.

Adžit machnął ręką.

- Ja mu tylko pokażę drogę. Kroczyć nią musi sam. Ma w sobie wiele z prawdziwego radźputa. - Umilkł, spojrzawszy w zamyśleniu do pustej filiżanki i dodał cicho: - Może nawet za dużo.

19

Mohanowi nie przyszło łatwo puścić łana, ale był świadom, że oto nadszedł czas, żeby pozwolić chłopcu na obranie własnej drogi, tak jak on sam musiał pójść własną. Mohan został wychowany na wojownika, ale zawsze bardziej pociągały go święte pisma. Gdyby miał wybór, gdyby nie był ograniczony przez wolę

ojca i urodzenie w danej kaście, zdecydowałby się na życie jako *sadhu*, asceta, który oddaje się całkowicie medytacji i czczeniu swego boga. W każdym razie jako najmłodszy syn radży cieszył się większą wolnością niż starsze rodzeństwo czy Sitara i udało mu się wywinąć z planów ojca dotyczących jego ożenku. Nigdy nie pragnął założenia rodziny, choć jako młodzieniec nieraz ulegał pokusom ciała. Największą przyjemność sprawiało mu całkowite poświęcenie się studiom i medytacji.

Czasem, gdy dla wytchnienia jechał konno przez step albo gdy odkrył w lustrze kolejny siwy włos, lub też unosił wzrok znad lektury, pytał sam siebie, jak by wyglądało jego życie, gdyby angielski rząd nie wysłał w dyplomatyczną misję do Radżputany właśnie Winstona Neville'a. A im dłużej rozmyślał nad prawami karmy i dharmy oraz próbował rozwikłać istotę Wisznu, tym lepiej pojmował, że jego karma nie polegała na tym, by w pierwszym rzędzie chronić Sitarę. Dwa razy uchronił ją od grożącej jej śmierci, za trzecim razem nie mógł nic zrobić. Ale uratował jej syna. Chodziło o lana, od samego początku o lana, chłopca, którego los związany był nierozzerwalnie z jego losem. Zadaniem Mohana było więc służyć łanowi najlepiej, jak potrafił jako wyznawca Wisznu i Kryszny. Zrozumiał, że wszystko, co przeżyli, było wytyczone z góry przez los. Zawarł pokój z bogami i przyjął wszystko pokornie jako część wielkiego, boskiego planu.

Przez dwa lata łan był w podróży. W tym czasie niewiele pisał, jedynie krótkie relacje z kolejnych etapów, nic o tym, co przeżywał. Listy Adżita Dżai Czanda były bardziej treściwe. Pisał, jak łan w Gharapuri przed trzygłowym kamiennym Sziwą złożył swe życie służbie bogu, jak przejechali cały kraj, docierając do Himalajów, siedziby Sziwy, gdzie łan pościł zgodnie z tradycją czternastego dnia miesiąca *makha*, czyli lutego, a następnej nocy modlił się i ofiarował liście, kwiaty i owoce drzewa *margo-*

sa kamiennemu lingamowi, fallicznemu symbolowi Sziwy, żeby zapewnić sobie przychylność boga i miejsce w jego raju za górą Kailasz. Relacjonował, jak łan godzinami w pocie czoła trenował, biegał całymi milami, podczas gdy on sam kłusował obok na koniu; jak łan wspinał się po skalnych ścianach Himalajów; jak uczył się strzelać z siodła galopującego konia z łuku lub pistoletu, najpierw do nieruchomych celów, a następnie do ruchomych; jak wychylał się w kłusie lub galopie z siodła, żeby chwycić przedmioty umieszczone na słupkach z prawej i lewej strony; jak się skradał bezszelestnie podczas wspólnych polowań na tygrysy, antylopy i pustynne lisy. Mohan uśmiechnął się, czytając o nieubłaganym drylu, który Adżit narzucił łanowi. Pomyślał, jak mało zmieniły się metody treningu od czasów, kiedy był w wieku łana. Ale Adżit uczył łana jeszcze, co to znaczy być wojownikiem, jaką wartość mają honor i wierność, podstęp i ostrożność, kazał mu też uczyć się na pamięć starych pism filozoficznych z wcześniejszych stuleci. Nieraz obaj dyskutowali godzinami nad jakimś poszczególnym zdaniem. Mohan poczuł wzruszenie, czytając, jak bardzo żona Adżita, Lakszmi, pokochała łana. Jest dla mnie jak rodzony syn" - napisała niewprawnym pismem pod jednym z listów męża, dodając na swój serdeczny, wylewny sposób: „Serce mi pęka, gdy pomyślę, że będzie musiał odejść".

Gdy łan wrócił, okazało się, że z niezgrabnego chłopca stał się mężczyzną, silnym i muskularnym. Wyglądał na więcej niż na swoje niepełne osiemnaście lat, i to nie tylko ze względu na wąsy, które zapuścił. Gdy zsiadł na dziedzińcu z konia, Mohan z trudem go rozpoznał, ponieważ zmienił się nie tylko jego wygląd zewnętrzny, ale też zaszła w nim przemiana wewnętrzna. Robił wrażenie swobodnego, prawie wesołego, dużo się śmiał - najwidoczniej odzyskał spokój ducha. Jednak w niektórych momentach Mohan dostrzegał w nim dawnego łana, co dla innych pozosta-

wało niewidoczne. W chwilach, kiedy młodzieniec sądził, że nie jest obserwowany, jego oczy ciemniały, wydawały się nieobecne, a Mohan nie był w stanie powiedzieć, czy łań przebywa duchem w przeszłości, czyjego myśli wędrują w nieokreśloną przyszłość.

Na cześć łana radża kazał zorganizować święto. Przed pałacem została ustawiona trybuna opięta jedwabną materią zdobioną złotymi haftami, a przed nią przygotowano plac turniejowy z różnymi zadaniami, w których młodzi mężczyźni z pałacu mieli ze sobą przez cały dzień współzawodniczyć.

łań stanął właśnie w strzemionach galopującego konia, napiął łuk i wypuścił strzałę w niebo. Trafił prosto w ptaka, którego wypuścił w powietrze jeden ze służebnych. Rozległ się aplauz widzów, a Mohan usłyszał, jak siedzący obok niego na trybunie radża mówi:

- Miałem rację, on jest prawdziwym wojownikiem.

W słowach i spojrzeniu Czanda można było dojrzeć najwyższe uznanie.

Dla Mohana ciągle jeszcze niejasne były wzajemne relacje radży i jego wnuka. Wiedział, że od czasu owego pierwszego spotkania w komnacie starego Czanda obaj często spędzali ze sobą czas na osobności. Czasami można ich było zobaczyć, jak spacerują razem korytarzami lub ramię w ramię po dziedzińcu; czasami łań znikał za drzwiami radży i pojawiał się z powrotem dopiero po kilku godzinach. Żaden z nich ani słowem nie zdradził, o czym rozmawiali. Mohan nie wiedział, czy darzyli się miłością, czy nienawiścią. A może obydwoma tymi uczuciami, jak często myślał.

- Niech Wisznu będziecie łaskawy dla tych *feringhi*, gdy on do nich wróci - dodał Dheeraj Czand tak cicho, że tylko Mohan, siedzący tuż obok niego, mógł go zrozumieć.

Mohan spojrział na łana. Ten po raz kolejny w pełnym galopie zerwał z drewnianego słupka kwiat nagietka, co spowodowało następną falę aplauzu.

- Naprawdę sądzicie, że on do nich wróci?

Radza przytaknął, śledząc wzrokiem łana pędzącego konkursowym torem.

- Jestem o tym przekonany. To głos krwi. Nie da rady wiecznie go ignorować. I sędzę, że wcale tego nie chce. Jego dusza jest rozerwana, buja między dwoma światami. To spadek, który dostał po rodzicach. Jaka szkoda... - westchnął radza i postukał laską po drewnianych belkach podłogi - jaka szkoda, że nie dożyję, by się przekonać, czy na przekór temu przekleństwu znajdzie swoje miejsce na ziemi.

Mohan popatrzył uważnie na ojca. Ten z każdym rokiem zdawał się coraz słabszy, coraz bardziej ugiął się pod ciężarem przeżytych lat. W ostatnim czasie często mówił, że stopniowo ma dość życia i prosił o to, żeby jego *atman** wrócił szybko na łono *brahmana* - duszy świata. Jego najstarszy syn Mandžit przejął prawie w całości rządy nad ziemiami Czandów kilkaset mil na zachód; Dheeraj Czand postanowił spędzić jesień swego życia w Surja Mahal, pałacu, który zawsze był jego ulubionym miejscem. Radza przewodził rodzinie i księstwu jedynie oficjalnie i podejmował decyzje tylko w zasadniczych sprawach.

Mohan w zamyśleniu z powrotem skierował spojrzenie na plac turniejowy, łan zawrócił konia i ze śmiechem wręczył nagietek młodej dziewczynie stojącej z brzegu tłumu widzów. Dziewczyna zaczerwieniła się i skromnie zasłoniła twarz końcem sari. Gdy łan spiął konia ostrogami, otoczyły ją przyjaciółki, które zaczęły głośno chichotać.

- Planujecie go ożenić?

Stary Czand roześmiał się cicho.

- Nie, Mohanie, na pewno nie. Może popełniłem w życiu niejeden błąd, ale nie jestem głupcem. Radziw odziedziczył nie tylko upór Czandów, ale także upór swojego ojca. Sam zdecyduje, z kim chciałby się związać. Ale wątpię, żeby kiedykolwiek dał sobie założyć cugle. A gdyby to zrobił, to już teraz żałuję tego

*** Atman - dusza (przyp. tłum.).**

biednego stworzenia, które za niego wyjdzie. Odprowadź mnie do domu, chciałbym jeszcze trochę odpocząć przed dzisiejszą wieczorną ucztą. Niezliczone latarnie rozjaśniały wielki dziedziniec Surja Mahal. Zapach kwiatów, którymi ozdobiono kolumny i baldachimy, wisiał w powietrzu - oszałamiający i ciężki. Roztaczała się woń róż, jaśminu, nagietków, tuberoz, aromat drewna sandałowego i paczuli. Grajkowie grali na sitarze i tablach skoczną melodię, a pieśniarz gardłowym głosem wyśpiewywał wersy starej pieśni na cześć legendarnych radżpuckich wojowników oraz peany na cześć kobiecej urody. Dwie tancerki uzupełniały śpiewy finezyjnymi gestami rąk pomalowanych henną, zamaszystymi wyma-chami bioder, kuszącą mimiką umalowanych twarzy i szybkimi krokami bosych stóp. Przy każdym ruchu brzęczały na ich nogach łańcuszki z podoczepianymi niezliczonymi dzwoneczkami. Tancerki miały szaty z cienkich materiałów, poobszywane maleńkimi lustreczkami, na ich połyskującej skórze lśniły naszyjniki, bransoletki, ozdoby nosa, które odbijały światło lamp i wysyłały je w tysiącach błyszczących iskierek w nocne niebo. Mohan odwrócił głowę, żeby rzucić łanowi żartobliwą uwagę, ale poduszka za nim na podeście rodziny książęcej była pusta.

Rozejrzał się w poszukiwaniu siostrzeńca. Mężczyźni i kobiety siedzieli w grupkach na rozłożonych na posadzce poduszkach, rozmawiali, pili, śmiali się, nucili melodie, pokrzepiali się drobnymi smakołykami, którymi dookoła częstowano, ale nigdzie nie mógł dojrzeć łana. Jego spojrzenie zatrzymało się na jednej z kolumn w tylnej części dziedzińca. Mohan mimowolnie się uśmiechnął. O kolumnę opierała się dziewczyna, której łan dziś po południu wręczył nagietek. Ubrana była w kolorowe, wzorzyste, obszyte lustreczkami sari. Łan, w haftowanym mundurze radżpuckim, w turbanie na głowie, wsparł się o kolumnę ramieniem,

wolną ręką skubał końcówkę sari dziewczyny, okrywającą jej głowę, i z uśmiechem coś jej szeptał do ucha. Dziewczyna skromnie odwróciła twarz, ale zalotny lekki uśmieszek, sposób, w jaki mrugała oczami, zdradzały co innego. Mohan sięgnął po kielich, a gdy po chwili uniósł wzrok w ich kierunku, oboje zniknęli.

Dwa dni później Mohan Tadžid skrzył w kolumnowy korytarz, z którego rozciągał się rozległy widok na równinę, łan stał oparty o jedną z kolumn, patrzył przed siebie i palił papierosa. Nabrał tego nawyku podczas swojej nieobecności - ku wielkiemu niezadowoleniu radży, który uważał to za nieprzyzwoity nałóg białych, łan nie usłyszał nadchodzącego Mohana, był głęboko zatopiony w myślach, na twarzy miał wymalowaną bolesną tęsknotę. Mohan podszedł do niego. Twarz łana, wyrwanego z zamyślenia, przybrała wyraz beztróski, jaki zwyczajny był nosić w towarzystwie.

- Myślisz o niej, o tej dziewczynie? Jak ona ma na imię? Padmini.

łan spojrział na niego zdumiony, prawie zirytowany, potem pokręcił głową.

- Ależ skąd, nie. - Znów spojrział na pustynię i pociągnął papierosa. - Podzielałam zdanie starych mędrców: książęta, ogień, nauczyciele i kobiety przynoszą tylko nieszczęście, jeśli się ktoś zanadto z nimi spoufali. Ale jeśli trzyma się wobec nich zbyt wielki dystans - uśmiechnął się lekko - to wtedy nie ma z nich korzyści. Uważam, że mądrze jest zachować pewną rezerwę. Kobiety przychodzą i odchodzą, Mohanie; nie była pierwszą i nie będzie też ostatnią.

Mohan był pewien, że łana coś dręczy.

- Jakie masz plany, łanie? - zapytał cicho.

łan zaciągnął się po raz ostatni papierosem, zgasił go o kolumnę, co zostawiło brzydkią czarną plamę na jasnym marmurze. Niedopałek rzucił na zewnątrz, na pustynię.

- Nie bierz mi tego za złe, Mohanie, ale w tej chwili nie mogę ci tego powiedzieć. - Spojrzał wujowi prosto w oczy. - Powiem ci, gdy przyjdzie na to właściwy czas.

Mohan patrzył na odchodzącego łana, trzymającego ręce w kieszeniach bryczesów. Zastanawiał się, co wyrosło z tego chłopca, który kiedyś bawił się beztrąsko na łąkach doliny Kangry.

20

W pałacu panowała cisza. Jeszcze nie minął czas żałoby, choć dwanaście dni poświęcono na celebrowanie uroczystych zwyczajów, które miały zapewnić zmarłemu szczęśliwe ponowne narodziny. Dwanaście dni, w ciągu których ofiarowywano bogom ryż, owoce i kwiaty w połączeniu z gestami, śpiewami i modlitwami o wielusetletniej tradycji; dwanaście dni niekończących się ceremonii odprawianych przez dziewiętnastu braminów, ceremonii, w których musieli brać udział wszyscy członkowie rodziny, choć główny ciężar obchodów spoczywał na barkach spadkobiercy, w tym przypadku Mandzita Dżai Czanda, nowego radży księstwa. Właśnie minęło dokładnie czternaście dni, odkąd wojownicza dusza Dheeraja Czanda opuściła swą cielesną powłokę, a stało się to w osiemdziesiątym trzecim roku obecnego ucieleśnienia jego *atmana*. W ciągu minionych czterech lat starzec wycofywał się coraz bardziej ze spraw Surja Mahal i włości podległych pałacowi. Większość czasu spędzał w swoich prywatnych komnatach, w których pościł, medytował, modlił się i w ten sposób przygotowywał swoją duszę do wędrówki. I w coraz większym zakresie przekazywał sprawy pałacu oraz żyjących w okolicy chłopów, pasterzy i rzemieślników swojemu wnukowi.

Rok był jeszcze młody, noce nadal zimne. Mohan Tadżid oderwał wzrok od płonącego w kominku ognia i spojrzał na wpatzonego w płomień łana. Przez moment oczyma duszy widział go podczas pierwszego dnia uroczystości pogrzebowych, na zewnątrz, w stepie, pod kamiennym baldachimem grobowca *czatri*. Mandżit, jako najstarszy syn, przejął pochodnię ze świętym ogniem, obszedł powoli stos całopalny i we wszystkich kierunkach nieba podpalił drewno, na którym złożone zostały przyozdobione kwiatami zwłoki Dheeraja Czanda. Przy monotonnym „ram-ram, ram-ram” braminów płomień strzeliły wysoko ku niebu i objęły śmiertelne szczątki radży. Blask ognia oblał złocistymi refleksami żałobników, ubranych w białe szaty pozbawione wszelkich ozdób, którzy głośno zawodzili i płakali - albo przynajmniej udawali, że tak robią. Tylko łan, jedyny, który nie ogolił głowy na znak żałoby, stał nieruchomo i milcząco przed ogniem pogrzebowym i nie zdradzał żadnych emocji. Mohan nie był pewny, czy blask oczu łana jest świadectwem powstrzymywanych łez, czy głębokiego zadowolenia. Łan miał teraz dwadzieścia dwa lata, a od godziny, kiedy to najwyższy z braminów w kręgu męskich członków rodziny złamał pieczęć na ostatniej woli radży Dheeraja Czanda, był także nowym panem Surja Mahal. Na tę wieść przez pomieszczenie przeszedł szept, a Mohan nie zdołał ukryć uśmiechu zadowolenia, gdy Mandżit, nie zważając na etykietę, wypadł jak wściekły na zewnątrz. Mandżit wiedział jednak, podobnie jak wszyscy pozostali, że nie ma podstaw, by podważyć decyzję zmarłego ojca. Dwaj wysokiej rangi bramini pisemnie poświadczyli prawomocność zapisu, że „Surja Mahal, dar mojej kochanej i boleśnie opłakiwanej małżonki Kamali, ma przejść w wierne ręce mojego wnuka Radżiwa Czanda”, jak to radża przed kilkoma laty zapisał na pergaminie. Jednakże nie przyznał on wnukowi przypisanej do pałacu rangi księcia; ten tytuł miał dostać Mandżit i dopisać go do szeregu innych swo-

ich tytułów, łań był teraz bogaty, bardzo bogaty. Wprawdzie ziemie przynależące do Surja Mahal były pod względem powierzchni małe w porównaniu z obszarem całego księstwa, ale od dawien dawna zamożne, a pod przywództwem łań w ciągu ostatnich czterech lat ten dobrobyt jeszcze się zwiększył, łań nie wyglądał na przejętego swym nagłym bogactwem. Mohan domyślił się dlaczego.

- Wiedziałeś, prawda?

łań zapalił papierosa i wciągnął głęboko dym, nie odrywając spojrzenia od ognia w kominku.

- Tak. Powiedział mi, gdy tu wróciłem. Byłem przy tym, jak dwóch braminów podpisało się pod spodem, on opieczętował pismo i przekazał jednemu z nich, aby otworzono testament zaraz po jego śmierci.

Znowu zapadło milczenie. Obaj pograżyli się we własnych myślach.

Mohan przypomniał sobie, jak radża kiedyś powiedział, że łań któregoś dnia wróci do świata Anglików.

- Pozostaniesz tu?

łań pokręcił głową i rzucił do ognia niedopałek papierosa.

- Nie. Mam inne plany.

Wstał i poszedł do biurka, na którym rozłożone były liczne papiery.

Mohan poszedł za nim z wahaniem i spojrzał mu przez ramię.

- Chcę się udać na północ - wyjaśnił łań, rozłożywszy mapę wschodnich Himalajów.

Na mapie poniżej wyrysowanego łańcucha górskiego, a powyżej miasteczka Darjeeling obwiedziono linią i zakreskowano kawałek terenu, łań wskazał go palcem.

- Kupiłem tę ziemię jakiś czas temu. Kiedy się nią zainteresowałem, Europejczycy nie mogli nabywać tam działek. Potem przepisy zostały zmienione i od tego momentu to Hindusi i Euroazjaci nie mogli kupować tamtejszej ziemi. A więc Radziw Czand cofnął swoją ofertę, a zamiast tego negocjacje z rządem

podjął Ian Neville. - Musnął Mohana rozbawionym spojrzeniem. - Cóż za ironia, prawda?

Radziw kameleon - przeleciało Mohanowi przez głowę. Powędrował wzrokiem ku skali umieszczonej w dolnym rogu mapy i ocenił rozległość działki.

- Co zamierzasz począć z tak dużym obszarem?

- Założę plantację. - łan niemal z czułością powiódł czubkami palców po zaznaczonej na mapie działce. - A moja herbata będzie najlepsza na świecie. - Poczul zapewne zaskoczone spojrzenie Mohana, bo uniósł wzrok i uśmiechnął się. - Nie zapomniałem nic z tego, czego mnie wtedy nauczył Tientsin. Nic.

Mohan zrozumiał, że właśnie to przez tyle lat absorbowało łana, to o tym marzył - czekał na swoją godzinę spokojnie jak *sadhu*, na tę godzinę, kiedy Surja Mahal i przynależny do pałacu majątek staną się jego własnością. Na ile Mohan znał łana, ten opracował swój plan po najmniejszy szczegół, nic nie pozostawił przypadkowi. Mohan wskazał więc brodą na mapę i zapytał:

- Masz już nazwę dla tej posiadłości?

- Ziemia została wpisana do ksiąg wieczystych pod nazwą Sikhara. -

Cichszym głosem dodał: - Można stamtąd zobaczyć Kanczendzongę...

W jego oczach pojawiła się tęsknota.

Sikhara... Mohan powtórzył tę nazwę w myślach. Sikhara - czyli szczyt, bo można było stamtąd zobaczyć świętą górę Sziwy i inne szczyty Himalajów. Sikhara to także świątynia, co mogło być nawiązaniem do kamiennych monumentów w Kangrze, dolinie, gdzie łan spędził dzieciństwo, ich styl budowlany określany był właśnie jako sikhara. A może miała to być świątynia na cześć Sziwy. Sikhara przypominała też fonetycznie imię jego matki, Sitary. Ale pochodzenie tej nazwy można było wywieść również od słów *sikar* i *śikari*, czyli polowanie i myśliwy.

Mohan spojrział na łana uważnie. *Na co miało być to polowanie?* - zastanawiał się w duchu, a głośno zapytał:

- Co się zatem stanie z Surja Mahal? Łan złożył z powrotem mapę.

-Jutro podam do wiadomości, że podczas mojej nieobecności będzie mnie zastępowała Dżanahara. Zatrąszczy się też

o to, żeby zakazany ogród był znów pielęgnowany i żeby ktoś zadbał o Ansu Berdj. Wieża ma być utrzymywana w porządku

i dostępna, ale niezamieszkaana.

Wieża Łez... Mohan zawsze podejrzewał, że łan spędza tam wiele czasu, potajemnie, zawsze wtedy, kiedy nie można go znaleźć w żadnej części pałacu. Czy tam snuł swoje plany, na najwyższej kondygnacji, której podłoga była do połysku wypolerowana przez niespokojne kroki jego uwięzionej matki, mającej stamtąd rozległy widok na okolicę?

Dżanahara jako zastępczyni to był dobry wybór. Była starszą siostrą Mohana, kobietą mądrą i energiczną. Od roku mieszkała wraz z nimi w pałacu Surja Mahal. Jej mążzonek zmarł po długiej chorobie, a dzieci oczekiwaly, że wraz z nim wejdzie na stos, popełniając honorowe *sati*.

Łan natychmiast zapewnił jej schronienie i sprowadził pod ochroną orszaku radżpuckich jeźdźców. Dopiero teraz Mohan zrozumiał, dlaczego radża, tak uparcie trzymający się nakazów religijnych, pozwolił mu na to. Już wtedy wiedział, że łan zostanie nowym władcą Surja Mahal i decyzje wnuka powinny być respektowane, nawet jeśli tak bardzo różniły się od jego osobistych poglądów.

- Kiedy chcesz ruszyć w drogę?

- Jak tylko będę mógł. Za dwa, trzy dni.

- Chętnie będę ci towarzyszył - zapewnił Mohan i spojrział wyczekująco na łana.

Łan odwzajemnił to spojrzenie, a na jego twarzy pojawił się uśmiech. Skłonił głowę.

- Miałem nadzieję, że to powiesz.

Nagle spowaźniał, zrobił kilka kroków po pomieszczeniu, zatrzymał się, wziął głęboki wdech, jakby musiał przezwyciężyć niesamowity opór. W końcu wykrztusił:

- Chciałbym... chciałbym cię o coś prosić, Mohanie.- Spojrzał na wuja z wyrazem rozpaczy i zdecydowania: - Pomóż mi odnaleźć Winstona.

21

Nastąpiły trudne miesiące i lata. Ziemia, którą kupił łań, była nietknięta ręką człowieka, zarośnięta wielowiekową dżunglą, zamieszкана przez dzikie zwierzęta, które były poirytowane, że wtargnięto na ich terytorium. Nieraz tygrys, rozzłoszczony najściem intruzów, próbował się dobrać do któregoś z robotników.

Stare drzewa musiały zostać wykarczowane i usunięte przez silne konie. Gęstwinę wycięto, ziemię oczyszczono i zaorano. Była to mozolna, niebezpieczna praca, ale Mohan dawno nie widział łań tak uszczęśliwionego, ostatnio zanim wojownicy radży wygonili ich z Kangry. łań radował się, mogąc pracować fizycznie u boku ludzi, których zwerbował, karczując puszcę kawałek po kawałku, widząc, jak plantacja, o której od tak dawna marzył, nabiera stopniowo realnych kształtów. Mohan rozumiał, że siostrzeniec realizuje w ten sposób marzenie swego życia.

łań zatrudnił wielu robotników. Tak wielu, że znienawidzili go inni Anglicy, którzy również przybyli w te okolice, by karczować parcele i zakładać własne plantacje herbaty. Otóż łań sprzątnął im sprzed nosa najlepszych ludzi, ponieważ stać go było na to, żeby im płacić wyższe wynagrodzenie. Mohan czasem marszczył czoło, analizując w księgach sumy inwestowane w tworzenie plantacji. Ale milczał, ponieważ były to pieniądze łań, pieniądze, które odziedziczył po dziadku, złoto i sre-

bro, które przez dekady, a może stulecia, leżało sobie spokojnie w piwnicach Surja Mahal.

Ale wydatki się opłacały. Wcześniej, niż planowano, odsłonięto na pierwszych zboczach Sikhary aksamitny brąz świeżej, czystej ziemi, łan sprowadził nasiona z Chin - Mohan przypuszczał, że nie całkiem legalną drogą. Jeździec, który przybył z północy, z gór, przekazał łanowi małe woreczki z materiału w zamian za dużą sumę. Niedaleko miejsca, gdzie później miała powstać manufaktura, założono szkółkę krzewów herbacianych. Mohan przyglądał się, jak łan wsypuje nasiona do zbiornika z wodą. Te, które pływały po powierzchni, zostały zebrane i wyrzucone; te, które opadły na dno, trzymano w absolutnej ciemności między wilgotnymi workami, aby wykiełkowały. Po sześciu tygodniach utworzyły się delikatne pędy, które łan zasadził w szczególnie starannie przygotowanej glebie, a nad nimi sporządził ochronny dach z gałęzi i słomy.

Zatrudniwszy najpierw niewykwalifikowanych robotników, którzy mieli mu pomóc zagospodarować plantację, oraz chłopów i ogrodników, którzy pielęgnowali młode krzewy herbaty w rozległej szkółce, w dalszej kolejności łan ściągnął do Sikhary z indyjskich równin murarzy, cieśli i stolarzy. Zbudowali oni, po części z drewna pozyskiwanego z karczowanej puszczy, wielki dom, którego projekt łan kazał sporządzić w Kalkucie i który zastąpił prostą chatę zamieszkiwaną na początku przez niego wspólnie z Mohanem. Wiele razy wyjeżdżał do Kalkuty, żeby obejrzeć meble i inne elementy wyposażenia lub zamówić ich wykonanie zgodnie z własnym wyobrażeniem, ściągał je stamtąd do Sikhary, to i owo sprowadził również z Surja Mahal i z Dżajpuru.

Minęły dwa lata, zanim dom zaczął wyglądać tak, jak to sobie wyobrażał łan, nim została założona plantacja, zbudowano stajnie, ogrodzono wybieg dla koni, które sprowadził podczas

ostatniej podróży do Surja Mahał. W ciągu tych dwóch lat z sadzonek w szkółce wyrosły silne roślinki mające wysokość ponad jednego jarda⁴. Przesadzono je na pola. Tysiąc pięćset roślin na morgę. Duża część szkółki została zniwelowana i zbudowano tam manufakturę, w której później miały być przerabiane liście. Przez następne trzy lata nie było nic więcej do roboty - można się było tylko przyglądać, jak krzewy herbaciane rosą ku niebu. Tak więc łań i Mohan mogli się zająć poszukiwaniami Winstona.

Były to żmudne, mozolne poszukiwania. Szukali naocznych świadków, którzy być może tego dnia widzieli w Delhi Winstona lub z nim rozmawiali; szukali dokumentów, w których mogłoby się pojawić jego nazwisko; przeszukiwali listy zmarłych, rannych i zaginionych podczas buntu, łań zawsze pozostawał przy tym w cieniu. To Mohan Tadźid wyprawiał się konno do Delhi i do Dżajpuru, tam wtajemniczył Adźita Dźai Czanda, który zapewnił im swoje wsparcie. Mohan i Adźit zwerbowali niezliczonych plenipotentów, którzy zajęli się poszukiwaniami, zadawali pytania, potajemnie przeglądali dokumenty, szperali w aktach. Tropy zaprowadziły ich aż do Anglii. Sporządzali odpisy i raporty. Docierały one sprytnie obmyślonymi, okreźnymi drogami do Sikhary. A podczas długich wieczornych godzin Mohan z łańem studiowali dokumenty, plany miast i mapy. Nieraz czuli zwątpienie wobec braku efektów, ale się nie poddawali, tworzyli teorie, a potem je odrzucali. Indie były rozległym krajem, a sytuacja w dniach powstania kompletnie nieprzejrzysta - równie dobrze mogli szukać igły w stogu siana. Gdyby Winston w ciągu minionych dziesięciu lat opuścił Indie, to szanse znalezienia go spadłyby do zera.

Jedno udało im się dość szybko wyjaśnić: narodziny Winstona Neville'a wpisano do ksiąg kościelnych miasta Burton Fleming w Yorkshire pod datą 30 kwietnia 1817 roku. Zgodnie z zapisem był on trzecim synem szlachetnie urodzonego George'a Neville'a

4 1 jard = 91,44 centymetra (przyp. tłum.).

i Isabell Neville z domu Simms. W roku 1844 Winston został uznany za zaginionego, rok później - za zmarłego. W aktach Kompanii Wschodnioindyjskiej zapisano: „Zaginiony, prawdopodobnie zginął w zaszczytnej służbie dla ojczyzny i Korony”. Była to wersja oficjalna, przeznaczona także dla rodziny Winstona, która mogła być dumna ze swego bohaterskiego syna. Z rodziny tej pozostał zresztą przy życiu jedynie brat Winstona. Co się tyczy Williama Jamesona, przeżył on całą rebelię w swoim ogrodzie botanicznym, ożenił się i spłodził kilkoro dzieci, jednak nie słyszał już nigdy więcej o Winstonie. Mohan Tadżid uważał za niegodne i niehonorowe wydobywanie z tego człowieka wiadomości przez osoby trzecie. To jemu zawdzięczali szczęśliwe i spokojne lata spędzone w dolinie Kangry. Mohan wiedział jednak, że mądrzej jest prowadzić poszukiwania jak najbardziej dyskretnie. Przez wiele miesięcy nie udawało im się czegokolwiek znaleźć. Potem trafiono wreszcie na ślad. Ktoś pamiętał wysokiego, masywnego Anglika o niebieskich oczach i jasnych włosach, wyszkolonego żołnierza, który posługiwał się płynnie językiem hindustani. Ślad ten jednak nigdzie ich nie zaprowadził. Potem dotarli do jeszcze jednej relacji naocznego świadka, ale i to nie zdało się na wiele. Dostawali list po liście z poszlakami, które się powtarzały, zagęszczały, pozwalały na snucie przypuszczeń. W końcu mogli złożyć poszczególne elementy układanki, odtworzyć drogę Winstona, na którą wkroczył owego 12 maja na zakurzonej ulicy w Delhi, aczkolwiek nie potrafili odtworzyć niektórych etapów tej wędrówki.

Owa droga zaprowadziła Winstona do Czerwonego Fortu, na stronę rebeliantów, gdzie złożył przysięgę wierności Bahaduru Szachowi. Znano go tam pod nazwiskiem Kala Nandi, Czarny Byk - od zwierzęcia, na którym podróżował Sziwa. Ów Kala Nandi zyskał sławę ze względu na zimną krew, z jaką zabijał własnych rodaków. Był podziwiany i kochany przez zbuntowanych

sipajów, którym przewodził. Ostatnio widziano go w otoczeniu Nany Sahiba, władcy Bhithuru. Podobno odegrał dos'ć znaczącą rolę w masakrach w Kanpurze, na wschodzie kraju, w czerwcu i lipcu 1857 roku. Tam nagle zniknął. Bolka miesięcy później wyruszył w drogę oddział żołnierzy z 33. Pułku pod wodzą pułkownika Henry'ego Claydona, żeby tropić zdrajców i morderców. Ich marszruta była doskonale dokumentowana z dokładnością typową dla wojska. Zarówno Mohan, jak i Ian byli świadomi, że ryzykują głowę, zlecając szpiegowanie w tajnych, trzymany pod kluczem dokumentach, ale przyjmowali to do wiadomości, Ian płacił wysokie łapówki, nie mrugnawszy nawet okiem. Żołnierze potrzebowali prawie roku, żeby wytropić Kałę Nandiego. Wpadł im w zasadzkę na pustyni Radżputany, za Dżajpurem, niecałe sto mil od Surja Mahal. Do końca nie podał swojej angielskiej tożsamości, nawet pod wpływem „zaostrzonych metod przesłuchania”. Upierał się przy nazwisku Kala Nandi, ale „ochoczo i z obrzydliwą dumą” przyznał się do popełnienia przypisywanych mu krwawych czynów, z „zemsty za to, że jego rodzina zginęła z brytyjskich rąk”. Zgodnie z prawem wojskowym został skazany jako rebeliant, zdrajca i morderca, a jego szubienicą stało się uschnięte drzewo figowe. Zwłoki pochowano gdzieś w pyli-stej ziemi. „Misja wykonana dnia 27 października 1858 roku”.
- Misja wykonana - powtórzył mechanicznie Mohan Tadżid, przeczytawszy ostatnie linijki, potem opuścił obszerne pismo i patrzył jak zaczarowany w ogień płonący w kominku. Potrzebował dłuższej chwili, żeby wszystko ogarnąć i zrozumieć. Niemal roześmiał się w głos, gdy pojął tkwiącą w tym ironię: Winston, który jako żołnierz Kompanii nigdy nikogo nie zabił, który był wstrząśnięty, gdy Mohan i Sitara podczas nocnej ucieczki zasztyletowali w uliczce dwóch radżputów, stał się krwawym mordercą, by pomścić swoją rodzinę.

Stary radża powiedział kiedyś o nim: „Może mógłby z czasem zostać wielkim wojownikiem”. Miał rację, wraz z powstaniem nadszedł czas, by Winston stał się wojownikiem - wojownikiem w swej własnej wojnie, w wojnie z własnym narodem. Najbardziej zaboląła Mohana myśl, że Winston najprawdopodobniej próbował dotrzeć do Surja Mahal. Jeszcze kilka dni i znalazłby tam schronienie, znowu byłby razem z synem. Mohan spojrzął na łana siedzącego przed kominkiem, wpatzonego w ogień, nieruchomego, jakby zamienionego w kamień.

- Przynajmniej możesz teraz sądzić, że chciał cię odnaleźć - powiedział powściągliwie Mohan, próbując pocieszyć siostrzeńca.

Ale sam zauważył, jak mizerna była ta pociecha, łan w ogóle nie zareagował, nadal siedział bez ruchu, patrząc w ogień. Mohan poszedł w jego ślady. Przez chwilę siedzieli w milczeniu obok siebie. Nic nie było słychać poza deszczem, który uderzał w okno, i poza trzaskiem polan w kominku.

- Zapłacą za to - przerwał milczenie łan.

Mohan uniósł wzrok, łan ciągle jeszcze patrzył w płomienie, ale jego dłoń spoczywająca na podłokietniku krzesła była zaciśnięta w pięść.

- Każdy z nich za to zapłaci - powtórzył łan z naciskiem i zwrócił twarz w kierunku Mohana.

Mohan sądził, że nic go już w życiu nie przerazi, ale dzika, prawie nieludzka nienawiść, którą dojrzał w oczach siostrzeńca, napełniła go zgrozą. Odblask ognia sprawił, że twarz łana przypominała oblicze demona.

- Będę ich ścigał, jak oni ścigali mojego ojca, i zabiję każdego - poprzysiął łan.

- Oszalałeś - skwitował mimowolnie Mohan.

- Nie, Mohanie - łan wstał powoli, wziął znad kominka papierośnicę i zapalił papierosa, wydmuchnął głośno dym. - Zrobię tylko to, czego nauczyli mnie Adžit i radża. A jeśli jesteś prawdziwym radżputem, pomożesz mi.

Mohán opuścił wzrok na zapisane kartki, które wciąż jeszcze trzymał w dłoni. Przeczytał listę nazwisk:

- Starsi szeregowi: Thomas Cripps, Richard Deacon, Edward Fox, Robert Franklin, James Haldane, porucznicy: Tobias Bin-gham, Samuel Greenwood, Leslie Mallory, pod dowództwem pułkownika Henry ego Claydona.

Dziewięciu mężczyzn, którzy wciąż jeszcze służą gdzieś brytyjskiej Koronie, ożenili się, może mają dzieci.

- Co chcesz zrobić? - zapytał łan. - Każdego z nich wyzwać na pojedynek, czy może podstępnie zamordować?

Łan oparł się o barierkę przy kominku i spojrzał na Mohana przez gęsty dym z papierosa.

- Nie. Każdy człowiek ma swój słaby punkt. Znajdę go i uderzę we właściwym momencie.

- To może trwać latami!

Łan milczał przez chwilę, patrzył obok Mohana, jakby obserwował coś w półmroku pomieszczenia.

- To dla mnie nieistotne. - Głęboko zaciągnął się dymem z papierosa. - Adżit kazał mi kiedyś nauczyć się na pamięć starego wersu: „Nie oddawaj się myśli o zemście, zanim jej nie potrafiśz dokonać, ziarno ciecierzycy prażone na patelni podskakuje, ale mimo to nie rozbije żelaza”. Nie zapomniałem nigdy tego tekstu, jakbym przez wszystkie te lata przeczuwał, że któregoś dnia będę postępował według tej zasady. -

Wrzucił niedopałek do kominka i spojrzał wujowi w oczy. - A więc, Mohanie, albo pójdziesz wraz ze mną tą drogą, albo tu się rozstaniemy.

Mohan poczuł zimny dreszcz na plecach. Przez głowę przeleciała mu myśl: *śikar* i *śikari* - polowanie i myśliwy.

Następnego ranka ruszyli w ulewnym deszczu w drogę, w góry. Przy kamiennym lingamie Sziwy łan rozciął sobie skórę i przysiągł bogowi zemsty na swoją krew, pół indyjską, pół angielską.

że nie spocznie, póki nie pomści haniebnej śmierci ojca. Mohan Tadźid zrozumiał, co mają na myśli chrześcijanie, mówiąc, że ktoś zaprzedał duszę diabłu.

22

Wraz ze zmianami pór roku, w słońcu i na deszczu z krzewów herbacianych przycinanych w regularnych odstępach czasu wystrzeliwały nowe pędy, aż się rozwinęła ich charakterystyczna szeroka korona. Podczas gdy w ich liściach dojrzewał aromat przyszłej herbaty, w łanie dojrzewały plany unicestwienia morderców ojca. Potrzebował trzech lat od pierwszego przycięcia krzewów do pierwszych zbiorów. Trzech lat potrzebował też, by odnaleźć ludzi pułkownika Claydona, po części w Indiach, po części w Anglii. Trzy lata, żeby się dowiedzieć, jakie były ich słabe punkty. W końcu dla każdego z nich opracował sprytny plan. Nie spieszył się, każda chwila przygotowań sprawiała mu satysfakcję, czekał na właściwy moment - i wiedział, że on przyjdzie, dla każdego z tych dziewięciu mężczyzn. Z zimną krwią kalkulował, okrążał swą ofiarę, osobiście i przez swoich agentów, póki nie wpadła ona w sprytnie zastawioną zasadzkę. Przy tym łan zmieniał swoją tożsamość, tak indyjską, jak i angielską, co przychodziło mu równie łatwo jak zmiana szytych na miarę garniturów.

Pierwszy był James Haldane. Łan wytropił go we wrześniu 1873 roku w palarni opium w Bombaju. Obaj mężczyźni nawiązali rozmowę, spędzili ze sobą niezwykle przyjemny wieczór, w ciągu którego Haldane przysnął błogo na jedwabnej poduszce. Nie przebudził się jednak ze swego snu. Najwidoczniej nabił fajkę zbyt dużą dawką opium.

Thomas Cripps powiesił się po tym, jak stracił w nielegalnej grze hazardowej cały majątek na rzecz obcego mężczyzny, któ-

rego nazwiska nikt w mrocznym pokoju nie mógł sobie przypomnieć. Podobny los osiągnął Lesliego Malloryego, który po utracie majątku oddał się pijaństwu, co spowodowało, że wyrzuciono go z armii. W związku z taką hańbą odwróciła się od niego również rodzina. Emma Franklin miała romans, który wyszedł na jaw za sprawą anonimowego donosu. Ponieważ kochanek przedstawił się jej fałszywym nazwiskiem i przez to nie można go było odnaleźć, Robert Franklin, będący wielkim zazdrośnikiem, sięgnął po broń służbową, zastrzelił swą piękną rudowłosą żonę, a potem sam siebie.

Tobias Bingham zaczął słyszeć głosy i został przez rodzinę umieszczony w sanatorium; podobno nie było nadziei na poprawę jego stanu.

Kilku sahibów pokłóciło się w jednym z *lal bazaars* w Kalkucie. Znany z porywczosci Samuel Greenwood zaczął strzelać wokół siebie i zastrzelił przy tym trzy dziewczyny oraz swojego przełożonego, za co został skazany na śmierć.

Łan można było obciążyć tylko pojedyńkiem, który stoczył osobiście, twarzą w twarz, ale znalazło się dość świadków, którzy potwierdzili przed sądem, że Edward Fox tak bardzo mu dokuczył, iż łan nie miał wyboru, musiał przyjąć wyzwanie. Tak więc łan zapłacił jedynie karę pieniężną, a po cichu wyrażano się

O jego czynie z uznaniem i szacunkiem.

Do kompletu brakowało mu tylko pułkownika sir Henry'ego Claydona, żyjącego sobie wygodnie w stanie spoczynku w rodzinnej wiejskiej posiadłości w Kornwalii. Jego - i jeszcze jednego szeregowca, mężczyzny, który miał znaczny udział w przesłuchiowaniu Kali Nandiego. Człowiek ten jednak potrafił zacierać ślady równie sprytnie jak łan, który ciągle deptał mu po piętach

i wciąż tracił trop.

Nawet jeśli łan nie zawsze występował na pierwszym planie, to za każdym razem tak aranżował sytuację, że był obecny,

gdy jego ofiara otrzymywała decydujący cios. Nie przejmował się tym, że niektóre sprawy mogły eskalować i przynieść bardziej dalekosiężny efekt, niż pierwotnie zakładał. Wiedział, że uprawia ryzykowną grę, która przez głupi przypadek może sprowadzić klęskę także na niego, ale i to przyjmował niewzruszony.

Łan czerpał z życia pełnymi garściami, tańcząc na wulkanie, i mógł sobie na to pozwolić. Tientsin był wspaniałym nauczycielem i mistrzem - w Kalkucie i Londynie bito się o herbatę z Sikhary, a hurtownicy z Mincing Lane prześcigali się wzajemnie, oferując ceny przyprawiające o zawrót głowy, żeby zapewnić sobie kilka niepozornych drewnianych skrzynek. Oprócz domu w Si-kharze wraz z zatrudnionym personelem Łan wszedł w posiadanie jeszcze jednego z Londynie, przy eleganckim Grosvenor Square, a także domu w Kalkucie, miał własne powozy, własny wagon kolejowy, a nawet parowiec „Kalikę”, zbudowany w londyńskiej stoczni zgodnie z najnowszymi osiągnięciami techniki. Mohan dostawał czasem zadyszki przy tempie, z jakim jego siostrzeniec gnał do przodu po pierwszych zbiorach w kwietniu 1873 roku.

Łan wykorzystywał szybki postęp techniczny dla swoich korzyści - kolej żelazną, parowiec, telegraf; skakał po mapie świata w tę i we w tę, z Sikhary udawał się do Kalkuty, z Kalkuty do Surja Mahal, z Surja Mahal do Dżajpuru albo Bombaju, stamtąd do Londynu i z powrotem do Indii. A gdziekolwiek się wybrał, Mohan jak cień udawał się razem z nim.

Sława zamożnego „herbacianego barona”, rzucający się w oczy elegancki wygląd, urok osobisty, z którym potrafił się obnosić, gdy mu na tym zależało, szybko otwierały Łanowi drzwi towarzystwa, zazwyczaj zamknięte na cztery spusty przed par-weniuszami. Brał sobie kobiety, które mu się podobały, a one nie stawiały oporu. Przede wszystkim upodobał sobie zamożne damy z angielskich wyższych sfer; im również zależało na dyskrecji, tak samo jak jemu, mógł więc łatwo z nimi zerwać, gdy się znudził, nie musząc się obawiać nieprzyjemnych konsekwencji. Był

sprytnym blagierem, a one wszystkie dawały się aż nazbyt chętnie czarować, oślepione jego sposobem bycia i majątkiem. Ian Neville miał wielką władzę, władzę pieniądza, i był tego świadom.

w Kornwalii, panie Neville? Nie? Och, w takim razie powinien pan tam kiedyś pojechać. Ach, panie Neville, czy poznał pan już naszą córkę Amelię?

- Ach, tutaj jesteś, Sophio. - Donośny głos sir Henry'ego rozległ się nad głowami stojących wokół dam i dżentelmenów, przedarł się przez szmer rozmawiającego towarzystwa i nienachalne melodie kwartetu smyczkowego. - Czy mogę przedstawić? Moja żona, lady Sophia. Wyobraź sobie, kochanie, oto... - jowialnie poklepał po ramieniu stojącego obok młodszego mężczyznę - oto jest człowiek, o którego herbacie z takim zachwytem ci opowiadałem. Pan Ian Neville z Darjeeling. Właśnie rozmawialiśmy o Indiach. Dobrze, stare Indie. Wtedy, pod lordem Canningsiem...

- Bardzo mi miło - zagruchała lady Sophia i wyciągnęła z gracją rękę odzianą w sięgającą do łokcia jedwabną rękawiczkę.

- Milady, to zaszczyt dla mnie - odrzekł Ian Neville swym niskim głosem. Lady Sophia skojarzyła brzmienie jego głosu z purpurowym aksamitem, który dziś po południu zamówiła w Savile Row, a sposób, w jaki dotknął jej ręki, jego wargi pod ciemnym wąsikiem, które musnęły wierzch jej dłoni, sprawiły, że po plecach przeszedł jej przyjemny dreszcz.

Przyglądała się młodemu mężczyźnie uważnie, zadając mu typowe pytania grzecznościowe - o samopoczucie, o to, jak długo tu pozostanie, o jego znajomość z gospodarzami. Plantator? *Ależ skąd* - stwierdziła w duchu - *bez wątpienia ten człowiek jest prawdziwym dżentelmenem, który para się handlem herbatą jedynie z pasji, a dzięki temu dodatkowo jeszcze zwiększa swój majątek.* W każdym razie, jak oceniła na podstawie jego wyglądu, sposobu bycia i mówienia, bliższa znajomość z nim mogłaby się jak najbardziej opłacać. Uśmiechnęła się więc czarownie.

- Kilka razy w roku przyjeżdżamy do Londynu. U nas w Kornwalii panuje taki przerażający spokój! Był pan już kiedyś

Rozmowa przebiegła bardzo obiecująco. Spotkali się jeszcze na innym wieczorku towarzyskim w tym samym tygodniu. Lady Sophia zaczęła

wypytywać o lana wśród wspólnych znajomych, a gdy jej rozpoznanie wypadło w miarę zadowalająco, umówiono się na wspólną przejażdżkę dorożką. Następnego dnia lady Sophia wysłała do domu przy Grosvenor Square bilecik, w którym w imieniu całej rodziny zaprosiła pana lana Neville'a do złożenia wizyty w posiadłości Claydonów noszącej nazwę Oakesley Manor. A indyjski sekretarz pana Neville'a przekazał jej w stosownym terminie wiadomość, że jego pan chętnie skorzysta z zaproszenia. Czy początek listopada pasowałby państwu Claydonom? lan uniósł niecierpliwie wzrok, gdy Mohan Tadżid wkroczył do salonu w skrzydle dla gości w Oakesley Manor. -Ico?

Mohan Tadżid kiwnął głową.

- Właśnie potwierdzono mi po raz kolejny, że Claydonowie są praktycznie niewypłacalni.

Na twarzy lana pojawił się uśmiezek.

- Bardzo dobrze.

Napisał pospiesznie notatkę, którą złożył, po czym podszedł energicznym krokiem do Mohana i podał mu ją.

-Ta wiadomość musi zostać wysłana jeszcze dzisiaj gońcem do Jenningów w Londynie. Chcemy się przecież przekonać, czy uda nam się pomóc szacownemu panu pułkownikowi wyjść z kiepskiego położenia finansowego.

Mrugnął do Mohana, uśmiechając się ironicznie.

-Jak ci idzie? - zapytał Mohan.

- Wspaniale. Matka i córka dosłownie czekają, żebym się oświadczył. Ale dzień czy dwa potrzymam je jeszcze w niepewności. Mohanie... - Hindus, który trzymał już dłoń na gałce u drzwi, odwrócił się jeszcze raz. - Mohanie, każ osiodłać dla nas obu konie. Mam wrażenie, że się rozpogadza. Chętnie pojechałbym na przejażdżkę po plaży i ku skalom. Podobno widok stamtąd jest niesamowity.

3

Ian

*Wszystkie rzeczy odsłaniają się same,
wystarczy tylko mieć odwagę,
by w ciemnościach nie wypierać się tego,
co się widziało w świetle dnia jasnego.*

COVENTRY PATMORE

1

-1 tam się właśnie spotkaliście owego listopadowego dnia - zakończył swą opowieść Mohan Tadźid.

Gdy zamilkł, zapanowała cisza jak makiem zasiał. Nawet monsunowe chmury, których skomasowana wilgoć nasyciała nocne powietrze ociężałością i ciepłem, jakby na moment wstrzymały oddech, zaprzestały błyskawic i grzmotów. Mohan rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu, jeszcze przez moment zatopiony w myślach o przeszłości, w końcu skierował wzrok na Helenę. Podkuliła kolana, objęła je ramionami, przesłaniając pół twarzy, i patrzyła w milczeniu przed siebie. Była jak sparaliżowana, niezdolna ruszyć chociażby palcem. Czuła się źle.

Cierpienie i okrucieństwo, o których opowiedział jej Mohan, nappełniły ją zgrozą. Była fizycznie odrętwiała, nie mogła się otrząsnąć z osłupienia, kłębiła się w niej burza obrazów, słów i wrażeń. W końcu uniosła głowę.

- Dlaczego mi pan o tym wszystkim opowiedział? Twarz Mohana rozjaśnił lekki uśmiezek.

- Komu miałbym to opowiedzieć, jak nie pani? - Uśmiech znikł z jego twarzy jak księżyc za ciemnymi chmurami. - Pani mnie... - chrząknął. - Pani mnie kiedyś pytała, dlaczego łąn się z panią ożenił. Wtedy nie znałem odpowiedzi. Sądziłem, że go pani zaintrygowała i niechcący obudziła w nim instynkt myśliwego. Z czasem zrozumiałem, że on się spodziewał, że zdoła pani przegonić demony, które go otaczają. Sam miałem taką nadzieję, bardzo długo. Boli mnie... boli mnie, że my wszyscy nie byliśmy dość silni, by wygrać tę walkę. On panią kocha - dodał z nutką bezradności w głosie. - Wiem to.

Helena nadal trwała w bezruchu, patrzyła tylko przed siebie.

- Może czasem sama miłość nie wystarczy - szepnęła w końcu.

- Pani tu nie zostanie, prawda?

Helena milczała przez moment, wsłuchiwała się w siebie. Wrzące w niej emocje torowały sobie drogę, czuła gorączkowy niepokój, przymus pozostawienia wszystkiego za sobą, tego, co przeżyła, i tego, co dziś w nocy usłyszała.

- Nie, nie zostanę - powiedziała cicho. Choć głos jej drżał, była absolutnie zdecydowana. - Muszę odejść.

Spojrzała Mohanowi w oczy, prosząc go niemo o wybaczenie.

- W takim razie nie będę pani dłużej zatrzymywał - skinął głową i wstał. - Zbudzę stajennego i poproszę, żeby osiodłał dwa konie. Będę pani towarzyszył.

- Nie! - zawołała gwałtownie Helena i zerwała się na równe nogi.

- W takim razie sam panią zawiozę do Darjeeling. Helena pokręciła głową, w spojrzeniu miała dziki strach.

Mohan się uśmiechnął.

- Proszę się nie obawiać. Nie mam zamiaru pani pilnować, chciałbym panią jedynie chronić. - Jego twarz przybrała poważny wyraz. Z goryczą dodał: - On nie ściągnie pani z powrotem. Jest na to zbyt dumny.

- Nie, ja muszę... być sama - Helena łamiącym się głosem próbowała wyjaśnić mu swoje odczucia.

Mohan spojrzał na nią badawczo, potem skinął głową.

- Zaraz wracam.

Helena słyszała jego oddalające się kroki, obudziła Jasmine, która zasnęła oparta o filar łóżka, kiedy Mohan Tadźid przez wiele godzin bez przerwy snuł opowieść w języku sahibów, z którego dziewczyna rozumiała zaledwie kilka słów.

Zdażyły właśnie umieścić ostatnią sztukę garderoby w torbie mocowanej do siodła, gdy Mohan wrócił do pokoju i podał Helenie rewolwer.

- Proszę, na wszelki wypadek.

Spojrzała na niego bezradnie, on tymczasem wyjaśnił jej cierpliwie:

- Tu się odbezpiecza, celuje, a tu naciska. A tak z powrotem zabezpiecza.

Czułbym się lepiej, gdyby wzięła to pani ze sobą -dodał z naciskiem.

- Dziękuję.

Helena wzięła z wahaniem zabezpieczony rewolwer, włożyła go za pasek spodni do konnej jazdy i wciągnęła na nogi buty z długimi cholewami. Mohan podał jej czerwony paszminowy szal, który pozostawiła niezauważony między innymi sztukami odzieży, pakując się pospiesznie. Helena popatrzyła na szal, jakby widziała go po raz pierwszy. Nagle poczuła, że coś ją dławi w gardle.

- Dlaczego pan nie próbował go powstrzymać? Mohan wiedział, co Helena ma na myśli. Opuścił wzrok.

- Czasami musimy iść za głosem, który jest silniejszy i sięga dalej niż wola naszego małego, przemijalnego „ja”. Winston był moim bratem krwi, Ian jest jego synem, który kroczy drogą Sziwy zgodnie z tradycją swoich przodków, kszatrijów. Może mój ojciec, radża, miał rację, że mieszana krew w jego żyłach stanie się dla niego zgubą, Ian zawsze jest rozdarty między dwoma światami. Możliwe, że źle się stało, iż otrzymał dwa imiona. - Zawiesił na chwilę głos. - Miałem tylko dwie możliwości: albo pozwolić mu iść tą drogą samemu, albo usłuchać głosu Wisznu i wspierać Iana w jego przedsięwzięciach. Ta druga ewentualność wydała mi się jedynie możliwą i na to się zdecydowałem. - Tu Mohan spojrzał Helenie w oczy. - Kocha go pani?

Wprawdzie zadał to pytanie szeptem, ale Helena miała uczucie, że je wykrzyczał. Na zewnątrz błysnęło, a po chwili rozległ się grzmot. Helena się wzdrygnęła. Przełknęła ślinę, zaczęły ją piec oczy.

- Już nie wiem.

Gdy wzięła szal, jej dłoń drżała tak jak jej głos.

Było to dziwnie nierzeczywiste uczucie, gdy schodziła szerokimi schodami w nocnym mroku, wśród ciszy. Każdy krok sprawiał jej trudność, a jednocześnie czuła się nieustannie gnana do przodu. *Byle stąd odejść, byle się stąd wydostać...* - kołatało jej w głowie.

Na zewnątrz, w ciepłym, parnym powietrzu czekał jeden ze stajennych z zaspanymi, zmrużonymi oczami. Trzymał za cugle Szakti, która niespokojnie grzebała kopytami, zdenerwowana taką niezwykłą jak na przejażdżkę porą. Cierpliwie pozwoliła, by ją objuczono.

Helena rzekła do Mohana:

- Żegnaj, Mohanie. I dziękuję za wszystko. Uśmiechnął się.

- Niech pani nigdy nie używa słowa „żegnam”. Zawsze może dojść do ponownego spotkania. - Złożył dłonie i skłonił się. - Niech bogowie będą z panią, a zwłaszcza niech Wisznu trzyma nad panią ochronną rękę. - Po krótkiej przerwie dodał: - Wolałbym, żeby pani została. Tam, gdzie pani jest, tam jest życie. Bez pani będzie tu smutno.

Helena miała ochotę objąć go na pożegnanie, lecz obawiała się, że nie zdoła powstrzymać łez. Wsunęła już stopę w strzemień, ale jeszcze na moment znieruchomiła.

- Ten lew... - powiedziała mimowolnie i spojrzała na Mohana Tadżida zdziwiona, że ta dziwna myśl wydała jej się nagle taka ważna. - Co się stało z lwem i królewską córką, którzy mieli na czole takie samo znamię? Tę bajkę opowiadała Mira Devi, gdy... - dodała pospiesznie, bo Mohan spojrzał na nią, jakby nie rozumiał, o co jej chodzi.

Ale on szybko pojął i pokręcił głową.

- Nie wiem. Sądzę - przechylił z uśmiechem głowę - że po tym, jak przezwyciężyli pewne przeszkody, osiągnęli szczęście. Bajki zawsze mają dobre zakończenie.

Helena popatrzyła w ciemność obok niego. Gardło miała ściśnięte.

Bajki owszem, ale nie życie...

Skłoniła głowę z lekkim uśmiechem i dosiadła konia. Chętnie by coś jeszcze powiedziała, ale nie mogła. Cicho cmoknąwszy, nacisnęła piętami boki konia. Siwa klacz dziarsko ruszyła kłusem do przodu.

Helena czuła na plecach spojrzenia - zatroskane Mohana, zdziwione Jaśminy i stajennego. Chciała się jeszcze raz odwrócić, ten ostatni raz, zobaczyć Sikhare, rozświetlone okna, światło w drzwiach wejściowych, ale jakby z oddali usłyszała cichy głos Mohana: „Nigdy nie oglądaj się za siebie, nigdy.

Strażnik otworzył skrzydło kutej żelaznej bramy, pozdrowił przyjaźnie Helenę, na co ona odpowiedziała lekkim skinieniem głowy.

Przekroczywszy bramę, szarpnęła cugle i ruszyła przed siebie galopem - ku wzgórzom, w ciemność nocy.

Mohan Tadzid otworzył drzwi sypialni lana cicho i bez pukania. Żar w kominku wygasał, ale stłumione światło, które wpadło z holu za nim, pozwoliło mu się zorientować w pomieszczeniu. Dostrzegł sylwetkę lana stojącego przed drzwiami balkonowymi i patrzącego na zewnątrz, w ciemność.

- Odjechała - rzekł Mohan.

Zamknął za sobą drzwi i cały pokój ogarnęła ciemność. Ledwo dostrzegął białą koszulę siostrzeńca, która wyglądała jak nieruchoma, ciut jaśniejsza plama na tle mroku.

- Opowiedziałeś jej? - odezwał się po chwili łan.

-Tak, wszystko. - Mohan zawiesił głos, a po chwili dodał: - Choć ty powinienesz być to zrobić. I to dawno temu.

- Może.

Jasna plama się poruszyła. Mohan usłyszał trzask zapałki, dojrzał iskierkę, płomyk, który na chwilę rozjaśnił twarz lana

zapalającego papierosa, twarz sztywną jak maska. Potem płomyk zgasł. Mohan usłyszał, jak łań wciąga głęboko do płuc dym i mówi szorstkim głosem:

- Ale teraz to już nieważne.

Mohan Tadżid nie wiedział, kiedy po raz ostatni czuł się tak bezradny, łań powierzył swe życie mocy Sziwy, a Sziwa w dzikim tańcu rozdeptał stopami zwiastun szczęścia, które było w zasięgu ręki.

- Chcę być sam. Odeślij służbę. Nie chcę w domu nikogo -głos łańa dobiegający spod okna brzmiał metalicznie.

Mohan Tadżid wyszedł bez słowa z pokoju. Przez moment stał nieco otumaniony na galerii i spoglądał w dół, na hol, który mimo zapalonych lamp robił wrażenie mrocznego i ponurego. *Wisznu, pomóż* - poprosił w duchu - *spraw, żeby to wszystko nie poszło na marne.*

2

Wciąż jeszcze było ciemno, do świtu pozostało sporo czasu. Z grubych chmur pełnych mas wody zaczęło kropić, gwiazdy i księżyc były przesłonięte, Szakti знаła jednak drogę, biegła do przodu pewnie, rżąc cicho i radośnie. Jedynym dźwiękiem wśród ciemności był stukot jej kopyt o nawierzchnię drogi; nawet nocne zwierzęta przyczaiły się gdzieś, czekając na rozpoczęcie monsunu. Zewsząd rozbłyskiwały błyskawice, żółtawe, prawie pomarańczowe, niebieskawe, rozświecwały na ułamki sekund groźnie wyglądające chmury, wiszące nisko nad doliną, ukazywały na moment zarysy pól i krawędzie lasów. Helena odetchnęła z ulgą, wciągnęła do płuc wilgotne powietrze, które pachniało ciężko ziemią i listowiem. Zerwał się wiatr, dmuchnął jej we włosy, porwał w górę liście i zdźbła traw, których kaskady zaczęły niezrozumiale szemrać. Czowała się wolna i lekka, pędząc na grzbiecie Szakti,

zostawiwszy za sobą wszystko, co ją w ciągu ostatnich tygodni, ostatnich godzin, gniotło i dusiło. Głowę miała przyjemnie pustą, ale serce jej ciążyło, biło twardo i mocno, naciskało boleśnie na żebra, a każde jego uderzenie było jak małe ukłucie igły. A potem do jej umysłu wtargnęły nieproszone obrazy i głosy, natarły na nią jak ściana chmur na zbocza Himalajów. Helena przyspieszyła, żeby się z nich otrząsnąć, ale one dotrzymywały jej tempa. W końcu poddała się, uległa temu szalonemu odmętowi, który zapanował nad jej ciałem i duchem.

On panią kocha, wiem to... Niech go pani kocha, betii. To jedyna rzecz, która może go uratować, i jedyna, której on się boi... Ręce lana, zaledwie przed kilkoma godzinami na jej płonącej skórze, całował ją, boleśnie, namiętnie, rozpalał w niej tęsknotę tak mocną, że sądziła, iż umrze, jego ochryply szept: Jesteś moja, Heleno, moja", i uczucie, że jest wciągana w ciemną otchłań, z której nie ma ucieczki i która pozbawi ją duszy. *Sprzedał swą duszę diabłu...* łan, morderca, syn mordercy osądzanego i straconego jako zdrajca narodu. *Radziw kameleon, Radziw bękart.* Ich ślub w Surja Mahal. *Jakby był jednym z nich...* Helena roześmiała się drwiąco. *On jest jednym z nich...* Upokorzenie, gdy ją spoliczko-wał w Londynie, kiedy nieświadomie w gniewie cisnęła w niego obraźliwym słowem, trafiając w jego najbardziej czułe miejsce, łan i Radziw, dwie twarze rozerwanej duszy, która nosi blizny tego kraju na skórze i w sercu. Stary radża, który chciał poświęcić córkę i jej dzieci dla honoru swego rodu, który przekazał swemu wnukowi w spadku jad zemsty, zatrął jego duszę. *Sprzedał diabłu. .. Niech go pani kocha, betii... Kocha go pani? Już nie wiem...*

Helena zaszlochała sucho, gorzko, gniewnie, ale z jej oczu nie popłynęła ani jedna łza. Błyskawica, która wraz z towarzyszącym jej grzmiotem rozcięła ciemność, połknęła jej szloch, jej szepty. *Byle dalej stąd, byle dalej...*

Gałazki smagały jej twarz, ona jednak tego nie zauważała; jechała, jakby gonił ją diabeł i próbował chwycić pazurami.

Uciekała, jak uciekali przez wiele lat Winston i Sitara; ucieczka, której wspomnienie wciąż jeszcze płynie w żyłach lana jak jego mieszana krew; uciekała przed takim samym okrucieństwem, takim samym przerażeniem, które nie zagrażało jej ciału, lecz duszy. Pragnęła tylko jednego: zapomnieć. Lana Radziwa, wszystko, co przeżyła, co widziała, co słyszała, wygonić z pamięci, z serca. *Byle dalej stąd, byle dalej...* Powoli od wschodu skradało się bladożółte światło, za słabe, by przeniknąć w gąszcz lasów. Wyłuskiwało z czerni nocy brudnoszare warstwy chmur, które opadały coraz niżej, jakby chciały przygnieść ziemię. Dopiero gdy pojawiły się pierwsze domy Darjeeling, poluźniła cugle i Szakti, parsknąwszy, przeszła w równy kłus. Dźwięk jej kopyt odbijał się echem od murów. Helena skuliła się mimowolnie, jakby w poczuciu winy, że robi coś niewłaściwego, zakazanego. Pędziła klacz ulicami, póki w końcu nie dostrzegła na rogu szerokiej głównej ulicy obielonej elewacji hotelu i jego arkad. Zsiadła z konia, obwiązała cugle wokół jednej z kolumn, powiedziała do klaczy kilka uspokajających słów, a potem skierowała się schodami do szerokich drzwi wejściowych. Przez moment się zawahała. Budynek był cichy i opuszczony jak reszta miasta - na pewno nikt z personelu jeszcze się nie obudził... Zaczepnęła głęboko powietrza i zapukała nieśmiało. Gdy nikt nie odpowiedział, zapukała mocniej, a w końcu zaczęła energicznie łomotać w masywne, polerowane drewno. Wreszcie ktoś otworzył, zaspany portier, który najwidoczniej pospiesznie wskoczył w swoją liberię. Chciał ją szorstko odprawić, Helena przerwała mu jednak i zażądała, żeby ją zaprowadzono do pokoju pana Richarda Cartera.

- Ależ to niezgodne z naszymi zwyczajami... Helena zdecydowanie uderzyła pięścią w futrynę drzwi.

- Niech mnie pan natychmiast zaprowadzi do jego pokoju, do diabła! On... on czeka na mnie...

Przy ostatnich słowach jej głos przycichł. Czy Richard przyjmie ją faktycznie o tej porze?

Portier zlustrował ją wzrokiem, unosząc brwi. W jego oczach błysnęło rozbawione zrozumienie. Helena, zawstydzona i rozgniewana, poczerwieniała na twarzy.

- Proszę - otworzył skrzydło drzwi gestem równie nonszalanckim co bezczelnym i wpuścił ją do środka.

- Proszę się zatroszczyć o mojego konia - powiedziała do niego z dużą dozą pewności siebie, ale w środku była przełęczona.

Poszła za portierem gustownie urządzonego korytarzem, którego ściany wyklejone były jedwabnymi tapetami. Zatrzymali się przed drzwiami z czerwono połyskującego drewna. Portier zapukał, raz, drugi raz, trzeci, wreszcie odpowiedział mu oszołomiony, zaspany głos.

- Sir, niech pan wybaczy, ale jest tu... - chrząknął, co sprawiło, że Helena znów spaşowiała. - Gość do pana.

Minęła dłuższa chwila, nim drzwi się otworzyły. Richard Carter, na poły rozgniewany, na poły zdziwiony, spojrzał na portiera, dopiero później zauważył przyczynę, dla której został zbudzony.

- Heleno...

Pospiesznie zawiązał pasek nałożonego na piżamę szlafroka. Kosmyki jego gładkich, opadających na twarz brązowych włosów sprawiły, że wyglądał młodzieńczo.

Helena chciała się z nim przywitać, ale gardło miała jak zasznurowane. Patrzyła tylko i w którymś momencie kolana się pod nią ugięły. Richard ją chwycił. Usłyszała, jak pospiesznie zamawia herbatę i śniadanie i jak wzywa kogoś, kto by napalił w kominku. Potem drzwi się za nimi zamknęły.

Zaprowadził ją do sofy stojącej przed kominkiem, delikatnie ją na niej posadził. Pozwoliła mu ulegle, żeby zdjął jej buty i otulił ją miękkim wełnianym kocem.

- Drżysz. - Usiadł obok niej i poprawił koc. - Nie powiesz mi, co się stało? Wierzchem dłoni pogładził ją po policzku i spojrzał jej badawczo w oczy. Tama pękła, zaczęła płakać w jego ramionach łzami strachu, gniewu, smutku i zmęczenia. Jakby przez ścianę słyszała, że ktoś zapukał do drzwi. Richard powiedział do tego kogoś kilka słów, kroki pospiesznie przemieszczały się w tę i z powrotem, zabrzęczały cicho naczynia, rozległ się trzask zapalki, zatrzeszczał rozpalany ogień, potem znowu kroki, drzwi, cisza. Wreszcie uniosła głowę, przetarła dłonią mokre, rozpalone policzki, zadarła nos.

- Porzuciłam go... - załkała i łzy na nowo trysnęły jej z oczu. Richard tkliwie pogładził jej skronie i policzki.

- Czy to on ci to zrobił? Dobry Boże!

Wstał i podszedł do niewielkiego kredensu po drugiej stronie pokoju, na którym stały zakorkowane kryształowe butelki z brązowymi i przezroczystymi płynami. Helena opuszkami palców dotknęła policzka i poczuła skrzepniętą krew. Chciała bronić łana, ale nie mogła wydobyć z siebie słowa. Chusteczką nasączoną alkoholem przetarł jej rany. Helena ostro wciągała powietrze.

- Wiem - powiedział cicho - zaraz skończę. - W jego oczach zatańczyły przy tym tkliwie złote iskierki. Przyciągnął ją do siebie, przytulił łagodnie, pocałował lekko w czoło, w nasadę włosów. - Już po wszystkim, nie musisz do niego wracać.

Już po wszystkim... - powtórzyła w duchu Helena, lecz nie poczuła spodziewanej ulgi.

- Zabiorę cię daleko stąd. Już jutro, jeśli chcesz. - Sięgnął w kierunku stołu, wziął jedną z dwóch parujących filiżanek i podał ją Helenie. - Ten kraj naprawdę może człowiekowi skraść duszę - powiedział cicho, jakby do siebie.

Helena z wdzięcznością wzięła filiżankę i małymi łykami zaczęła pić herbatę. Richard przyglądał się jej uważnie. W zamyśleniu pocierał wierzchem palca jej policzek.

- Zasłużyłaś na coś lepszego niż to - stwierdził.

Niż co? - pomyślała Helena. Ciepła para sprawiła, że powieki zaczęły jej ciążyć. Dopiero teraz spostrzegła, jak bardzo jest zmęczona. Richard

pochylił się do przodu, pocałował ją łagodnie w policzek, poniżej ran, potem wziął z jej rąk filiżankę i odstawił.

- Prześpij się najpierw.

Pomógł jej wstać i zaprowadził ją do znajdującej się obok sypialni.

Kołdra była odrzucona, poduszka zmięta. Helena opadła ciężko na łóżko. Poczula jeszcze, jak Richard okrywają kołdrą i łagodnie całuje. Następnie zamknął za sobą drzwi, a ona w jednej chwili pogrążyła się w czerni snu.

3

Gdy się obudziła, nie wiedziała, czy jest dzień, czy noc. Zaintrygował ją jakiś hałas dobiegający z zewnątrz i zaczęła nasłuchiwać. Równomierny szum za oknem z zaciągniętymi zasłonami zdradził jej, że monsun się rozpoczął. Od strony gór cicho, prawie pocieszająco przetoczył się grzmot. Potrzebowała dłuższej chwili, żeby sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Bolały ją mięśnie, jeszcze bardziej jednak dokuczało jej uczucie głuchej pustki w środku. To, od czego odeszła, wydawało jej się koszmarem, który tak naprawdę się nie zdarzył, ale pozostawił w jej żołądku uczucie niesmaku. *Nie oglądaj się nigdy za siebie, nigdy...* Westchnęła, opuściła nogi na podłogę, podeszła do toaletki i cicho jęknęła, zobaczywszy w lustrze swoje odbicie. Włosy miała poplątane i zwichrzone, twarz brudną i zaczerwienioną, oczy napuchnięte, podkrążone, na skroniach i policzkach widniały podbiegnięte krwią pręgi, których ostrożnie dotknęła. Czy to naprawdę tylko dzieło gałęzi, które smagały ją po twarzy podczas jazdy tutaj, czy może dzieło lana? Nie mogła sobie przypo-

mnieć... *Ale czy to teraz ważne?* Patrzyła na swoje odbicie w lustrze wyzywająco, prawie przekornie, po czym zanurzyła twarz w misce z zimną wodą, na ile się dało, zmyła ślady minionej nocy, uporządkowała grzebieniem i szczotką włosy, potem zrobiła głęboki wdech i otworzyła drzwi do salonu.

Lampy były zapalone i emitowały ciepłe światło. Trzeszczący w kominku ogień wydzielał przyjemne ciepło. Richard uniósł głowę znad rozłożonej gazety i uśmiechnął się do niej.

- Dobrze spałaś?

Helena przytaknęła zakłopotana. - Jak... jak długo...

Richard sięgnął pod połę brązowego garnituru i z kieszonki kamizelki wyciągnął zegarek.

- Prawie dwanaście godzin. Jest teraz późne popołudnie. Ten wasz dziwny *teatime*. - Wskazał ręką na mały stolik przed sobą. - Na pewno jesteś głodna.

Znowu przytaknęła, opadając na fotel naprzeciwko niego. Rzuciła się na kanapki i ciasto owocowe, opróżniała filiżankę po filiżance, on przyglądał się jej z zadowoleniem, dolewał jej uważnie herbaty. Potem znowu zagłębił się w gazecie. Helena ukradkiem obserwowała go sponad filiżanki. Siedzieli razem i było tak swojsko... Richard prezentował się elegancko, robił wrażenie powściągliwego, stojącego twardo na ziemi. Jego garnitur był idealnie skrojony, założył do niego pasujący kolorystycznie krawat. Jak by to było, siedzieć tak naprzeciwko niego przy śniadaniu każdego ranka, dzień po dniu? Przyjemnie, uspokajająco - tak, jak nigdy nie było z Ianem. Przestraszyła się, że wyobrażając sobie te sceny, nie poczuła niczego prócz dziwnie przytłaczającej pustki. Szybko z powrotem opuściła wzrok, zmieszana własnymi dziwnymi myślami i uczuciami.

Gdy pozbierała ostatnie okruszki z talerza, szelest papieru sprawił, że uniosła wzrok. Richard złożył starannie gazetę i odłożył ją na bok.

- Pozwoliłem sobie zabrać ci to, gdy zasnęłaś. - Wskazał na gzyms kominka, na którym dostrzegła srebrną lufę rewolweru. Spojrzał na nią badawczo i dodał: - Trudno mi sobie wyobrazić, jak ci tam było, skoro postarałaś się o taką rzecz.

Helena uniosła rękę w geście obrony, chciała powiedzieć: „Nie, to nie jest tak, jak myślisz”. Wewnętrzny głos szepnął jej jednak: *tan jest mordercą, Heleno - mordercą...* Opuściła bez słowa rękę.

Richard mówił dalej:

- Nie znam twojego... nie znam pana Neville'a. Ale na podstawie tego, co o nim słyszałem, wydaje się on... hm... nader trudnym człowiekiem.

Helena w zamyśleniu przesuwiała czubkiem palca po blacie stołu upuszczony okruszek.

- Do wczoraj sama nie wiedziałam jak bardzo - powiedziała przed siebie.

Richard spojrzał na nią poważnie i wnikliwie.

- Nikt cię nie może zmusić, żebyś pozostawała jego żoną. Na szczęście nie żyjemy już w minionym wieku. Jeśli chcesz, możesz się rozwieść. Nie jest to łatwe i jeśli nie postępuje się przy tym mądrze, może to oznaczać śmierć towarzyską. Ale to możliwe. - Zawiesił na chwilę głos. Helena dostrzegła, że wrą w nim emocje i że próbuje ważyć słowa. - Chętnie ci w tym pomogę, jeśli zechcesz. Znam dobrych adwokatów. A wobec tego, co ci zrobił, na pewno istnieje szansa dostania rozwodu. Ale chcę być szczery: nie jestem przy tym całkiem wolny od nadziei... - zająknął się, nerwowym gestem przygładził włosy - nadziei, że zechcesz zacząć ze mną wszystko od nowa. - Helena chciała coś odpowiedzieć, ale on zrobił uspokajający gest. - Nie stawiam żadnych warunków, Heleno.

Niezależnie od twojej decyzji i tak ci pomogę. - Jego spojrzenie stało się miękkie. - Ale tego właśnie pragnę najbardziej na świecie. Pragnę... pragnę, żebyś została moją żoną.

Dlaczego Richard zachowywał się zawsze tak, jak Helena sądziła, że powinien postępować mężczyzna? Jego słowa, jego zachowanie wobec niej, wszystko w jego osobie zdawało się proste i niewymuszone.

- A najbardziej pragnąłbym, żebyś mogła mi zaufać. - Jego głos wyrwał ją z zamyślenia. - Ale żeby ufać, potrzeba szczerości, a... a jest coś, co przemilczałem. - Popatrzył na swoje splecione dłonie. - Nie przychodzi mi łatwo o tym mówić, ponieważ jeszcze nikomu o tym nie opowiadałem. Ale dręczyłyby mnie wyrzuty sumienia, gdybyś podjęła decyzję, nie znając prawdy.

Helena przełknęła ślinę, chciała mu przerwać, nie chciała już słuchać historii z przeszłości, ale była jak zaczarowana, nie mogła wydobyć z siebie słowa, siedziała tylko nieruchomo w fotelu i patrzyła na niego. Czowała się zmuszona słuchać go wbrew swej woli.

Wstał, nie patrząc na nią, przeszedł na drugą stronę pomieszczenia, nalał sobie pół szklaneczki płynu o bursztynowym kolorze. Ze szklanką w ręce podszedł do kominka i patrzył w płomienie. Łapczywie wypił jeden łyk, potem zerknął krótko na Helenę i odezwał się szorstkim, metalicznym głosem, tonem, jakiego nigdy u niego nie słyszała, pół przestraszonym, pół zdystansowanym.

- Kiedyś byłem inny, miałem inne życie. Tu, w Indiach. Znowu odwrócił się ku trzaskającemu ogniowi, oparł się jedną ręką o gzyms kominka. Mówił dalej ochrypłym głosem:

- Urodziłem się w zabitej deskami miejscowości w Walii. Na mojej metryce widniało nazwisko Richard James Deacon. Nazywano mnie krótko: Dick. Jak wielu marzyłem o wielkim, szerokim świecie, o sławie i honorze. Wstąpiłem więc do armii. Gdy trafiłem do Indii, klejnotu brytyjskiej Korony, byłem jeszcze bardzo młody. Boże, jaki byłem naiwny! - Roześmiał się gorzko, potrząsnął głową i łyknął solidnie z kieliszka. - Lubiłem wojsko, lubiłem życie w koszarach, koleżeństwo, lubiłem nawet Indie i tutejszych ludzi.

Dzień 12 maja 1857 roku odmienił jednak wszystko. Richard i jego kompania stacjonująca w Kalkucie dowiedzieli się właśnie wtedy o wybuchu powstania w Meerut i o szturmie na Delhi. Z trudem przyszło im rozbicie swoich sipajów, z którymi łączyło ich coś w rodzaju przyjaźni. Ale odtąd musieli ich pilnować argusowymi oczami. Przez noc powstał między nimi rów nieufności i zaczęło się pełne niepokoju oczekiwanie w nadziei, że zbrojne bunty pozostaną wyjątkiem, lokalnie ograniczonymi ogniskami zapalnymi. Ta nadzieja okazała się płonna. A potem przyszedł Kanpur, miasto, którego nazwa ostatecznie miała się stać symbolem okrucieństwa rebeliantów. Kanpur, miasto garnizonowe, pod którego ochronę udały się setki ludzi z okolicy, w tym z odległego o prawie trzysta mil Delhi, które było obleżone przez powstańców i stanowiło miejsce gwałtownych potyczek. Wreszcie, po upływie kilku tygodni, generał sir Hugh Wheeler, komendant miasta, zdołał wynegocjować z Naną Sahibem, władcą Bhithuru, pod którego przywództwem przybyli buntownicy, że zamkniętym w mieście Anglikom umożliwi się swobodne wyjście z miasta. Gdy tysiąc osób, jedna trzecia z tego kobiety i dzieci, wsiadło na łódki przy schodach Satti Chaura Ghat, na rozkaz Nany Sahiba zostali oni podstępnie ostrzelani. Wielu z nich się utopiło. Niewielu uszło z życiem, z czego sto dwadzieścia pięć kobiet i dzieci. Zostali uwięzieni w Bibigha-rze, w bungalowie, w którym kiedyś, w innych czasach, brytyjski oficer umieścił swą indyjską kochankę. Wśród drwin i żartów zmuszano kobiety, żeby ręcznie miały ziarno dla swych indyjskich strażników. W trwającym dwa tygodnie piekle grasowały czerwonka i cholera, które zebrały wiele ofiar, podobnie jak nieznośny upał, a w nocy 15 lipca Nana Sahib kazał grupie miejscowych rzeźników powyrzynać wszystkich więźniów.

- Dotarliśmy do Kanpuru dzień później, pod dowództwem generała Havelocka. Nana Sahib musiał wiedzieć, że się zbliżamy i zrobimy wszystko, żeby uwolnić więźniów Bibigharu. -

Odwrócił się i spojrzał na Helenę z dzikim wyrazem w oczach. - Byłem tam, Heleno. Widziałem to. Wszystkie te... - uczynił zamaszysty, bezradny gest ręką - ... zwłoki. To, co z nich zostało, pohańbione kobiety i dzieci. Zmarli na ghatach. Czegoś takiego się nie zapomina. - Postawił pustą szklankę na gzymsie i patrzył w płomienie. - Nie zapomniałem tego i nigdy nie zapomnę. -Zawiesił na chwilę głos i kilka razy ciężko odetchnął. - Byliśmy tak rozgniewani, tak pełni nienawiści, a gdy któryś z nas tracił siły, wołaliśmy: „Pomyśl o Kanpurze, pomyśl o 15 lipca!". I robiliśmy dalej swoje, aresztowaliśmy, wieszaliśmy, rozstrzelaliśmy, plądrowaliśmy. Nikogo, kto w tym uczestniczył, nie mieliśmy zamiaru oszczędzić. - Wziął z powrotem szklankę, przeszedł przez pomieszczenie i nalał sobie ponownie. - Jedno nazwisko było powtarzane wciąż na nowo, indyjskie nazwisko, wszyscy jednak, których pytaliśmy, przysięgali, że to jeden z naszych. Najpierw sądziliśmy, że to kłamstwo, podstępna sztuczka, pomyłka. Lecz pogłoski uparcie się powtarzały. Gdy sytuacja w kraju w znacznym stopniu się ustabilizowała, mój pułk oddelegował oddział, który miał wytropić tego człowieka. Było nas ośmiu ludzi i pułkownik. Byliśmy przez prawie rok w drodze, przejechaliśmy Indie w poprzek. Kilka razy niemal go dorwaliśmy, w końcu wpadł nam w zasadzkę, było to na zachodzie, w bezludnej części Radż-putany. Bóg wie, czego on tam szukał! - Richard się roześmiał, ale w jego śmiechu zabrzmiała gorycz. Łyknął whisky, jakby pragnął splukać obrzydliwy smak w ustach. - Człowiek ten był wychudzony i zdziczały, u kresu sił fizycznych. Ale jego duch i wola były niezłomne. Ze wszystkich sił próbowaliśmy wycisnąć z niego jego prawdziwe nazwisko, jego pochodzenie i pułk. Oszczędzę ci szczegółów, w jaki sposób próbowaliśmy wyciągnąć z niego te wiadomości. To nie było zbyt przyjemne. Ale nienawidziliśmy go tak bardzo. Ze wszystkich stron otrzymywaliśmy potwierdzenia, że był on prawdopodobnie prawą ręką Nany Sahiba, że uczestniczył aktywnie w masakrach na ghatach i w Bibigharze. Co

też bez ogródek potwierdził! Byłem ostatnim, który jeszcze raz próbował odkryć jego prawdziwą tożsamość. - Richard opróżnił szklankę jednym haustem. - Tak go wycieńczyliśmy, że nie miał już sił, a może czując, że zostało mu niewiele godzin życia, opowiedział mi o swej zmarłej żonie, Hindusce. Mówił, że była księżniczką. Nie wiem, czy to prawda. Pokazał mi nawet zdjęcie jej i swoich dzieci. Była bardzo piękna. Nie żyła, zginęła w Delhi. Wszystko, co zrobił, było po to, żeby ją pomścić. Może to dziwnie zabrzmie, ale w pewien sposób go rozumiałem. Bo co innego my robiliśmy? Też mściliśmy się za nasze kobiety i dzieci. Nawet go w dziwny sposób polubiłem. Staliśmy po różnych stronach, ale w innym czasie, w innym miejscu moglibyśmy zostać przyjaciółmi. - Richard dłuższą chwilę wpatrywał się w jakiś nieokreślony punkt pokoju, potem poluzował krawat i rozpiął najwyższe guziki koszuli. - Powiesiliśmy go i pochowaliśmy na miejscu. - Skrzywił się. - Za pomyślne wykonanie rozkazu dostałem nawet medal. Wyrzuciłem go, gdy nieco później wystąpiłem ze służby w armii. Nie chciałem mieć już z tym nic wspólnego. Chciałem stąd tylko wyjechać, wyjechać jak najdalej. Trafiłem więc do Stanów. Tam zacząłem nowe życie. Ale cóż za ironia! Nieco później ten kraj, po którym spodziewałem się pokoju, również znalazł się na skraju krwawej wojny. W samą porę uciekłem ze wschodniego wybrzeża, osiedliłem się w Kalifornii. W nielegalny sposób przybrałem nazwisko martwego człowieka, który zrzędzeniem losu też miał na imię Richard. Najpierw posługiwałem się sfalszowanymi dokumentami, potem wyrobiłem sobie nowe, prawdziwe. Nigdy nie miałem z tego powodu wyrzutów sumienia. Richard Deacon faktycznie zmarł podczas wojny na indyjskiej ziemi. A jako Richard Carter zdołałem zorganizować sobie nowe życie. I jak wiesz, odniosłem sukces. - Chciał się uśmiechnąć, ale mu nie wyszło. - Nie mogę jednak... nie mogę jednak tego wszystkiego zapomnieć.

Opuścił wzrok i niezręcznie zaczął szukać czegoś pod kołnierzykiem. Wyciągnął coś wiszącego na łańcuszku, coś, co za-

błysło metalicznie. Ściągnął to przez głowę, wcisnął Helenie do ręki i przytrzymał, mówiąc cicho:

- Mogę mieć tylko nadzieję, że nie będziesz teraz myślała o mnie źle.

Bardzo żałuję tego, co się stało, ale nie mogę cofnąć czasu.

Puścił jej dłoń, którą trzymała zaciśniętą wokół wisiora, jakby się bała, że mógłby jej się wymknąć.

- Zrządzeniem losu spotkałem kilka miesięcy temu w hotelu w Kalkucie mojego dawnego towarzysza z owych dni, który opowiedział mi obłądną historię o klątwie ciążyącej na nas od czasu egzekucji tego zdrajcy. Zgadza się, zanim umarł, przeklął nas głośno, ale ja nie wierzę w klątwy.

Sprawdziłem jednak. I faktycznie, wszystkich dosięgnął nieszczęsny los.

Wszystkich poza mną. Tak jakby ktoś później postanowił pomścić zdrajcę. Sądzę, że powinnaś o tym wiedzieć.

Zawahał się przez chwilę, potem wskazał na wisior, który ciągle miała zaciśnięty w dłoni.

- Kala Nandi dał mi to przed swoją egzekucją. Od tego czasu noszę to

przy sobie. Może to ten drobiazg chronił mnie do tej pory. - Głęboko wciągnął powietrze i skłonił głowę w jej kierunku. - Jeśli będziesz mnie potrzebowała, to będę na dole w barze.

Przechodząc obok niej, lekko dotknął jej ramienia. Potem drzwi się zatrzasnęły. Została sama.

4

Helena stała bez ruchu i bez słowa. Wpatrywała się zszokowana w zaciśniętą pięść. Potrzebowała się zmusić, żeby rozewrzeć palce.

Medalion otworzył się jakby sam z siebie, a jej popłynęły z oczu łzy.

Z lewej strony spoglądała na nią twarz pięknej młodej kobiety o prawie białej skórze i wielkich ciemnych oczach. Rozpoznała

twarz, którą przedtem ujrzała w zakazanej wieży w Surja Mahal. Odniosła wrażenie, że ta młoda kobieta spogląda z miłością jednocześnie na osobę oglądającą jej zdjęcie i na dwójkę własnych dzieci po prawej stronie medalionu - na małą dziewczynkę, która miała identyczne rysy jak jej matka, a jedynie nieco jaśniejszą skórę, brązowe włosy i oczy, i na nieco starszego chłopca. To był Ian, jego rysy twarzy, jego oczy, takie same jak matki, takie same jak Mohana Tadżida. To był Radziw, zanim został kameleonem, zanim napiętnowano go jako bękarta.

Przekreśliła medalion, pogładziła czule palcem trzy splecione ze sobą łaćńskie litery, które wygrawerowano na przykrywce: RAS - Radziw, Ameera, Sitara. A *ras* lub *rasa* mogło oznaczać w hindustani, w zależności od dialektu i kontekstu, esencję, coś najlepszego, urodę, miłość, ale też truciznę, od tego słowa wywodzi się słowo *rasendra*, nazwa otoczonego legendami kamienia mądrości, o którym alchemicy sądzili, że potrafi zamienić zwykły metal w złoto.

Jakby w nim zawarte było jego grożące pęknięciem serce", powiedział Mohan Tadżid o Winstonie, a Helena zrozumiała, jak wtedy, w maju przed dwudziestu laty, Winston stał się Kałą Nandim. Nie było usprawiedliwienia dla wszystkich tych okrucieństw, których się dopuścił, do których popełnienia się przyznał i za które w końcu został stracony, ale Helena zrozumiała, że medalion faktycznie zawierał serce Winstona, to, co było najlepsze w jego życiu, że stał się śmiertelną trucizną, gdy jego serce w pękło w momencie wybuchu.

Czy wiedział, że Ian przeżył? Czy faktycznie chciał go odnaleźć, czy tylko w rozpacz, zanim go ujęli żołnierze, szukał schronienia w Surja Mahal, ponieważ pałac wydawał mu się najbezpieczniejszym miejscem ucieczki mimo tego wszystkiego, co w nim przeżył? Opowiadanie Mohana było w tym punkcie niejasne. Helena wiedziała, że nigdy nie da się znaleźć rozwiązania tej kwestii. Winston zabrał odpowiedź ze sobą do grobu.

Kilkakrotnie się zastanawiała, jak wyglądał Ian jako dziecko. Teraz wiedziała. Zobaczyła. I знаła też drogę, jaką pokonał. Nagle go zrozumiała. Żywione przez nią pragnienie, jej tęsknota zostały spełnione. Zrozumiała, skąd pochodzi, co widział, co przeżył. Kim jest. Nie było usprawiedliwienia dla tego, co zrobił, ale wreszcie znalazła wytłumaczenie.

Chrysó, złote dziecko - nagle pojawiły się w niej słowa, które, jak sądziła, dawno temu uleciały z jej pamięci, słowa, które słyszała jako mała dziewczynka pod słońcem Grecji. Przez moment miała wrażenie, że czuje zapach zakurzonej ulicy, winogron, starej kobiety woniejącej suchymi ziołami. *Los zaprowadzi cię na obczyznę. Dwaj mężczyźni — wrogowie - będą się o ciebie starać, a ty odkryjesz tajemnicę, która ich łączy...* Helena chciała się głośno roześmiać, ale przerażająca prawda ścisnęła jej gardło, sprawiła, że zaczęła gwałtownie łapać powietrze, poczuła w ustach gorzki smak.

Cienkie srebro ciążyło jej w dłoni, było tak ciężkie, jak sprawy, z którymi się łączyło - z tak wielkim cierpieniem, z tylu wspomnieniami. Tak ciężkie, jak świadomość, że w tym momencie wraz z tym medalionem trzymała w rękach złączone losy Iana i Richarda. Gdyby Ian wiedział, że Richard jest mężczyzną, na którego od lat poluje, ostatnim, który powinien zapłacić za śmierć jego ojca, nie zwlekałby ze zniszczeniem go, a myśl, że na tamtym balu patrzyli sobie w oczy, że wystarczyłoby, żeby Ian wyciągnął rękę, by dosięgnąć Richarda, sprawiła, że zrobiło jej się słabo. Gdyby Richard wiedział, że Ian jest synem człowieka, którego poznał pod nazwiskiem Kala Nandi, że to właśnie on miał na sumieniu jego towarzyszy, również by nie zwlekał, żeby pociągnąć go za to do odpowiedzialności. Gdyby ktokolwiek wiedział, że Ian jest Euroazjatą, straciłby Sikhare, marzenie swego życia. Z oporem musiała teraz przyznać rację Szuszili, że są tajemnice zbyt niebezpieczne, by je komukolwiek powierzyć. A choć Ian próbował ją przed tym ochronić, znała teraz jego tajemnicę. Znała obie strony tej tajemnicy.

Co powinna zrobić, mając taką wiedzę? Co powinna począć z tajemnicami, które poznała? Co uczynić ze swoim życiem? Ten medalion miał w sobie wszystko; zbiegały się w nim wszystkie wątki. Z boleścią w sercu pomyślała, jakie to byłoby ważne dla lana, gdyby przekazała mu ten przedmiot. Ale to zniszczyłoby ich obu - lana i Richarda, obu myśliwych i ściganych zarazem. Domyślała się, że musi zachować tajemnicę.

Brzemie, które tym samym zostało na nią nałożone, wydawało jej się nie do udźwignięcia. *Nie daj się oszukać pierwszemu wrażeniu, rzeczy często nie są takie, jakie się z początku wydają albo jakimi chce się je zobaczyć...* nie, rzeczy nie były takie, jakie się najpierw wydawały, ale miały własną prawdę, choć była ona gorzka i bolesna.

Helena poczuła się źle, nagle ogarnęło ją wielkie zmęczenie. Znużyło ją słuchanie opowieści o krwawej przeszłości, starszej od niej samej, która wciągała ją w swe odmęty. Była zmęczona tym krajem, pełnym okrucieństwa i nienawiści. Jak tutaj trafiła? Wstała, czując ociężałość, podeszła do okna, wyjrzała na ulicę, zapatrzyła się w deszcz smagany wiatrem.

Czuła się oszukana, oszukana obrazem Richarda, jaki sama wytworzyła. Nie sądziła, że jest on człowiekiem o zmazanych krwią dłoniach, nawiedzonym przez demony przeszłości. Teraz straciła iluzję, że przy nim zapomni o łanie. Nigdy więcej nie stanie naprzeciw Richarda, nie myśląc o tym, że delikatna nić losu połączyła tych obu mężczyzn i dziwnym trafem ściągnęła ją tu, przez pół świata, wbrew jej woli, żeby rozpoznała tę nić. Gdziekolwiek by pojechała przy boku Richarda, łan zawsze będzie z nimi.

Oparła twarz o szybę, która przyjemnie chłodziła jej czoło i policzki. Nad miastem wisały nisko chmury, przesłaniając zarysy gór. W Helenie zrodziła się bolesna tęsknota za szczytem Kanczendzongi pod rozległym, pogodnym niebem, którego miała już nigdy nie zobaczyć. Zatęskniła za jego kolorami w ciągu dnia - chłodnymi i srebrnymi, płomiennie czerwonozłotymi,

matowoszarymi. *Nigdy się nie dowiem, jak ono wygląda jesienią i jak zimą...* Pomyślała o domu, o falujących zielonych polach herbaty krótko przed zbiorem, o swoim ogrodzie, który po monsunie zakwitnie we wszystkich kolorach tęczy, o ludziach, którzy pomagali, aby Sikhara była tym, czym była.

Jestem przecież tutaj tak krótko, nie mogę jeszcze odejść, nie chcę jeszcze odchodzić... Tęsknota za Sikharą zdawała się ją rozrywać.

Zrozumiała, że jej serce w tym krótkim czasie zaczęło zapuszczać tu korzenie, wypuszczać nowe pędy z martwego pnia, który pozostał jej po nagłym wyjeździe z Grecji, gdy była jeszcze dzieckiem. Pomyślała o Surja Mahal, o zapierającym dech pałacu, o urodzie pustynnego krajobrazu Radżputany, o ludziach, których spotkała.

Dżanahara powiedziała do niej kiedyś: „Ty już nosisz Indie w sercu”. Dopiero teraz Helena przekonała się, że to prawda. *Kochaj mnie, jak kochasz ten kraj* - pomyślała pewnego razu, gdy leżała w ramionach lana. *Kocha go pani?* — *Niech go pani kocha, betii, to jedyna rzecz, która może go uratować, i jedyna rzecz, której on się boi...*

Czuła się, jakby MohanTadžid stanął nagle obok niej i szepnął jej do ucha: „Karma - twój los, twoje przeznaczenie”. *Chciałabym wiedzieć, jaka jest moja karma* - odpowiedziała mu w myślach i poczuła, że Mohan się uśmiecha. „Nie walcz już z tym dłużej, pozwól, aby to się stało... Walka z tym oznacza tylko cierpienie...”.

Nie chcę już walczyć - pomyślała Helena.

- Chcę spokoju - powiedziała cicho do zimnej szyby w oknie. - Co mam teraz zrobić?

Ogarnęła ją rozpacz, zacisnęła palce na metalowym przedmiocie w dłoni. *Dwaj mężczyźni, wrogowie, jeden z nich będzie twoim szczęściem. .. lan, Radżiw, bękart, kameleon, syn Anglika, syn radżpuckiejksiężniczki, biały i czarny... Kochaj mnie, jak kochasz ten kraj...*

*Niech go pani kocha, betii... Kocha go pani? Ma pani waleczne serce.
.. Rzeczy nie są takie, jakimi się je chce widzieć... Chcę spokoju...
Chcę do domu... Do domu...*

Jakie to dziwne, że tęskniła za miejscem, do którego została ściągnięta wbrew swej woli. To była taka sama tęsknota jak ta, którą odczuwała przez całe życie za nagrzaną słońcem ziemią Grecji. Los sprowadził ją tutaj, wcisnął jej do rąk wszystkie luźne nitki, ale teraz, w tym momencie, miała dość siły, żeby

podjąć decyzję.

Chcę do domu... do Sikhary... do lana... myśliwego... lwa...

Otworzyła nagle oczy, poczuła cudowną lekkość, odetchnęła z ulgą.

W szufladzie sekretarzyka poszukała atramentu, papieru i piór. Napisała krótką wiadomość dla Richarda: „Nie mogę. Wybacz mi. Helena”.

Popatrzyła jeszcze raz na medalion, uśmiechnęła się czule, sentymentalnie. Potem zamknęła go i położyła na kartce papieru.

Włożyła buty, które tymczasem chłopiec hotelowy oczyścił do połysku, rewolwer z powrotem wetknęła za pasek i powiodła spojrzeniem po pustym pokoju.

- Dziękuję, Richardzie - szepnęła i wyszła, nie odwracając się za siebie.

5

Czekała pod arkadami, aż któryś ze stajennych przyprowadzi Szakti.

Podszedł do niej portier, który dziś rano przyjął ją tak nieprzyjaźnie - to było dziś jeszcze, a zdawałoby się, że wieki temu, z drugiej zaś strony, że przed chwilą. Tym razem jego liberia była bez zarzutu.

- Jest pani pewna, że chce pani wyruszyć w drogę?

Wskazał brodą na lejący strumieniami deszcz smagany gwałtownymi porywami wiatru, zalewający bruk. Skrajem ulicy spływały, bulgocząc, strumienie wody.

Helena zawahała się przez moment. Jazda w deszczu i na wietrze nie przerażała jej. Bała się tego, co czekało na nią w Sikharze. Czy łan tam będzie, a może uciekł, jak czynił to nieraz w swoim życiu? Albo może będzie jeszcze gorzej? Da jej odczuć swój gniew i przepędzi ją stamtąd. Nie miała jednak wyboru, musiała zaryzykować, postawić wszystko na jedną kartę.

Helena zaczerpnęła głęboko powietrza i skinęła głową.

-Tak , jestem pewna.

Już włożyła czubek buta w strzemień, gdy portier zawołał: - Czy mam coś przekazać panu Carterowi? Helena spojrzała na niego przez moment, potem pokręciła głową i wsiadła na konia.

W ciągu kilku sekund przemokła do suchej nitki. Szakti również otrząsała się niezadowolona, ale posłusznie kłusowała naprzód. Wiatr smagał twarz Heleny kroplami deszczu. Miała wrażenie, że to nie krople, a drobne ukłucia igłą. Woda spływała jej po skórze, dając dziwne, mieszane uczucie ciepła i chłodu, ściekała pod mokrym materiałem ubrania do ściśle przylegających cholewek butów. Błyskawice przecinały niebo, grzmiało, ale się nie bała, czuła się zjednoczona z żywiołami, napełniała ją żywotna siła. Całe jej jestestwo skoncentrowane było na drodze, ponieważ podłoże było śliskie, błotniste, usiane luźnymi kamieniami. Ze wzgórz porośniętych gęstymi, czarnymi jak noc lasami spływały na drogę spienione strumienie wody. Szakti potykała się nieraz, kopyto nieraz jej się poślizgnęło, podmyta droga usuwała się pod jej ciężarem. Helena przemawiała uspokajająco do klaczy, zachęcała ją do dalszego kłusa, kierowała nią według swego wyczucia, ciągle dalej do przodu. *Do domu... do domu...*

I modliła się do Wisznu, do Kryszny, modliła się, żeby dotrzeć do Sikhary przed nastaniem ciemności, ponieważ już teraz w półmroku ciężkich chmur i w cieniu drzew ledwo można było rozpoznać drogę. Po obu stronach rozciągały się pola herbaciane, ciemne, błyszczące połacie. Helena sądziła, że słyszy, jak krzewy oddychają, chciwie chłonąc deszcz, który miał im nadać ciężki aromat jesiennych zbiorów. Nad wzgórzami zaczął się kłaść brudnoszary wieczór. Przed Heleną pojawił się czarny cień bramy wjazdowej do Sikhary. Otwartej, bez strażnika.

Ściągnęła cugle i zatrzymała klacz. Patrzyła zaskoczona na dom, który pogrążony był w ciemnościach, niemy, ślepy, odpychający. W żadnym oknie nie paliło się światło. Było jej zimno, straciła odwagę. Co tutaj robiła? Zawahała się, przestraszona i zagubiona, lecz po chwili zdecydowanie ruszyła do przodu po zwirowej drodze.

Podjechawszy pod dom, pospiesznie zeskoczyła z konia i wbiegła po schodach. Drzwi wejściowe były otwarte, hol zaledwie słabo oświetlony. W środku było upiornie cicho i pusto, jak w koszmarze, a błyskawice, które raz po raz oświetlały na krótko niebo, potęgowały wrażenie, że dom jest nawiedzony. Helena wzięła głęboki oddech. Nie potrafiłaby powiedzieć, kiedy po raz ostatni czuła się tak przeraźliwie samotna i opuszczona. To nie był dom, za którym tęskniła, dla którego zaryzykowała tę jazdę na złamanie karku. Chciała zawołać Jasię, Mohana, Iana, ale nie miała odwagi, jakby się bała, że zbudzi ukryte po kątach demony.

Powoli weszła po schodach; jej brudne oficerki zostawiały ciemne ślady na chodniku, ale się tym nie przejmowała. Na górze wszystko było takie, jak minionej nocy; na jej łóżku leżały nawet porozrzucane ubrania. Stała przez moment bezradnie. Czy już po wszystkim? Straciła wszystko? Wszystko się skończyło?

Szum monsunu wywabił ją na zewnątrz, na balkon. Siedział tam Iana. Mała lampka rzucała bladożółte, drżące światło na przepelnioną popielniczkę, pustą szklanę, butelkę, w której

niewiele zostało, sprawiała, że nad łańcem wpatrzonym w strugi deszczu przemykały cienie.

Rozbłysła błyskawica, i jeszcze jedna. W niebieskawym świetle rozbłysków Helena zobaczyła, że łań wygląda na wyczerpanego, pustego, jakby opuściła go gniewna energia, która zawsze dawała mu siły do działania. Stała tam jak zaczarowana, przyglądała się mężczyźnie, który ją wciągnął do swego życia, swego świata przemocą, wbrew jej woli, który dał jej tyle chwil szczęścia, ale też zadał tyle cierpienia. Domyśliła się, że on też próbuje walczyć ze swym losem.

Jakby poczuł jej wzrok, uniósł głowę i spojrzał na nią. W chmurach ponownie błysnęło. W krótkim momencie rozbłysku Helena zobaczyła w jego oczach bezradność i niemoc, zajrzała na dno jego duszy i zaczęła drżeć z zimna, z przemoczenia, z gniewu, smutku, a przede wszystkim z uczucia wielkiej miłości, które ją przepełniło i odebrało jej oddech.

- Czego tu szukasz?

Jego słowa były szorstkie, odpychające, ale nie dała się zniechęcić. Już nie.

- Ciebie - odpowiedziała zdecydowanie.

- Dlaczego? - W jego głosie zabrzmiało zmęczenie. - Żeby mi robić wyrzuty, bo przemilczałem, że jestem bękartem, pół-Hindusem, że mam na sumieniu życie ludzkie?

-Nie , nie dlatego. — Ściszyła głos, przechodząc w szept nieco tylko głośniejszy od szumu szalejącego monsunu. - Opowiedz mi bajkę o lwie i królewskiej córce.

Błyskawica śmignęła przez chmury, a Helena dojrzała zaskoczenie na twarzy łań. Mocnym głosem dodała:

-Jeśli nie chcesz, to ja opowiem tobie, co według mnie naprawdę się zdarzyło. Królewska córka bała się lwa, ponieważ miłość nie leży w lwiej naturze. Jego naturą jest polowanie i uśmiercanie, a królewska córka broniła się z całej siły przed poślubieniem go, ponieważ bała się o własne życie. Broniła się,

póki nie zobaczyła znamienia na jego czole, takiego samego, jakie ona nosiła na czole od urodzenia. Wtedy zrozumiała, że to nie jest zwyczajny lew, jego natura była inna, tak jak ona też nie była zwyczajną królewską córką. Byli sobie przeznaczeni. I już się go nie bała, lecz obdarzyła go miłością. - Grzmot przerwał jej na moment. Poczekała, aż przebrzmi, i mówiła dalej: - Miałeś rację, łanie, wtedy przy wybiegu dla koni. Jesteśmy do siebie podobni, bardzo podobni. Mamy na czole to samo znamię. Nasi rodzice kochali siebie nawzajem bardziej niż nas i to sprawiło, że zostaliśmy sierotami, bez ojczyzny, bez korzeni. To, co zrobili w imię swej miłości, miało konsekwencje, a był nimi ów nieszczęsny spadek, jaki nam zostawili. Ale co my zrobimy, to zależy jedynie od nas. - Zaczerpnęła powietrza, zebrała wszystkie siły i powiedziała głośno: - Przestań, łanie. Zostaw zmarłych w spokoju. Twoje polowanie się skończyło.

Wstał niepewny, szukając rękoma oparcia, bardziej z powodu zaskoczenia niż upicia, zrobił kilka kroków w jej kierunku, zatrzymał się przed nią. Długo na nią patrzył, jakby ujrzał ją po raz pierwszy w życiu, przejechał delikatnie wierzchem dłoni po jej policzku, jakby musiał poczuć, że jest rzeczywista.

- Tak, to ty - powiedział w końcu ochrypłym głosem. Chciał coś jeszcze dodać, zająknął się, zawahał, potem na jego twarzy pojawił się uśmiech. - Proszę, zostań, moja lwico.

Szorstka czułość brzmiąca w jego głosie sprawiła, że serce Heleny najpierw się skurczyło, potem stało się wielkie i szerokie.

Trzymał ją mocno w objęciach, podczas gdy monsun nawilżał pola herbaciane, bębnił w drewno, obmywał powietrze, przynosząc zapach mokrych liści, wilgotnej ziemi i wiecznych gór, tak intensywny, że prawie nie mogła oddychać. Helena wiedziała, że znalazła swoje miejsce w świecie.

Epilog

Sikhara, kwiecień 1879

Helena ściągnęła cugle i zatrzymała Lakszmi, która natychmiast opuściła wdzięcznie łeb i miękkim pyskiem zaczęła szperać w trawie, by w końcu z rozkoszą wyrywać całe jej kępki i wachlować z zadowoleniem uszami. Helena, głęboko odetchnawszy, wsparła się o łęk i powiodła dookoła spojrzeniem. Lekki wiatr od gór wprowadził w drżenie liście herbacianych krzewów. W jego powiewie pola wyglądały jak łagodnie zmarszczona powierzchnia morza w kolorze nasyconej zieleni. Słodki zapach herbaty zawisł w czystym, ciepłym od słońca powietrzu. Do jej uszu dotarł śmiech. Kobiety, jak kolorowe, kiwające głowami ptaki, pochylały się, zrywały *two leaves and a bud* i wrzucały zręcznie do koszyków na plecach. Z daleka słyszała terkot maszyn w manufakturze, które przerabiały *first flush* tego roku. To będzie wyśmienita herbata, nie gorsza niż ta z zeszłego roku, ale w jej produkcję wszyscy muszą włożyć wiele wysiłku. Taka konna przejażdżka bez szczególnego powodu była o tej porze roku luksusem nie do pomyślenia. Na polach, w manufakturze, w domu i wokół domu było dużo roboty, ale wraz z łanem pozwolili sobie na chwilę odpoczynku.

Do szczupłego, czarnego jak smoła łba Lakszmi przysunął się masywny łeb Sziwy. Ogier patrzył ciekawie, co spożywa jego córka, a po chwili przyłączył się do posiłku. Helena spojrzała w górę. Wiatr rozwiał falujące ciemne włosy lana, który uśmiechnął się pod wąsem.

- Wyglądasz na szczęśliwą.

Helena popatrzyła na niego przez moment, jak siedział na koniu, z podwiniętymi rękawami, skóra lekko opalona. Serce

wypełniło się jej miłością. Chwyliła go za rozpięty kołnierzyk koszuli, przyciągnęła delikatnie do siebie, przycisnęła wargi do jego ust i powiedziała:

- Bo jestem.

Odwzajemnił jej pocałunek. Gdy się rozłączyli, jego oczy błyszczały, łan szarpnął uzdę i Sziwa zrobił kilka kroków naprzód.

- Jedziesz?

- Za chwilę.

łan skinął głową i skierował Sziwę powoli na drogę prowadzącą w dół, między polami. Helena śledziła go jakiś czas wzrokiem, a potem się odwróciła, spojrzała na strome zbocza Kanczendzongi, która zdawała się czuwać jak niemy, uważny strażnik pokoju i szczęścia ich domu - domu, który był tak pełen życia.

Jason, od kiedy nabrał wprawy w jeździe konnej, spędzał jedynie godziny nauki w szkole i niektóre popołudnia u jednego z przyjaciół w mieście, a potem na swoim wałachu gnał w kierunku gór, żeby się nie spóźnić na kolację z rodziną. Był dobrym uczniem, który w swych planach na przyszłość rozważał zawód inżyniera lub plantatora herbaty. Często przesiadywał z Moha-nem Tadżidem. Razem tłumaczyli stare pisma hindusów i dyskutowali o filozofii, która się w nich zawierała, łan i Jason jeździli na wspólne konne przejażdżki, chodzili na polowanie albo mierzyli siłę i zręczność, zmagając się fizycznie. Od ostatniej wiosny mieszkała u nich Marge. Uparła się, że chce być przy Helenie podczas narodzin jej pierwszego dziecka. Żaden najbardziej przekonujący argument nie mógł jej powstrzymać od wybrania się w tę podróż, a w końcu została u nich na stałe. Tymczasem małeńka Emily Ameera robiła pierwsze chwiejne kroczki, prowadzona przez Marge za rączkę. Marge i Szuszila prześcigały się w rozpieszczaniu dziecka. Szuszila i Helena nie potrafiły się zaprzyjaźnić, ale zdołały uporządkować wzajemne relacje, a nawet czasem ze sobą żartowały i śmiały się razem. Helena chętnie powierzała jej Emily na kilka godzin, gdy miała jakieś zajęcie w domu lub ogrodzie.

Helena nigdy nie zapomni łez w oczach lana, gdy trzymał po raz pierwszy w ramionach zawiniątko z małym człowieczkiem. Emily Ameera, która odziedziczyła po ojcu ciemne oczy i włosy, a po matce jasną cerę, była kochana i rozpieszczana przez wszystkich domowników. Imiona dostała na pamiątkę po siostrze lana. Była dzieckiem monsunu - tego monsunu, kiedy Helena i lan się pogubili, a potem znowu odnaleźli. Helenie przychodziło czasem do głowy, że może faktycznie tkwiła w niej dusza tamtej dziewczynki, która wybrała sobie tym razem szczęśliwszy czas i miejsce.

Dom w Worlds End sprzedali. Od tego czasu portret Ce-lij wisiał u nich w salonie. Sprzedali również domy należące do lana, ten w Kalkucie, którego Helena nigdy nie widziała, i ten w Londynie. Ich dom był tutaj, w Indiach. Zimy spędzali w Radżputanie, w Surja Mahal lub w domu Adżita Dżai, gdzie obchodzili urodziny Jasona i lana, a także w dziwny sposób Boże Narodzenie, mieszając ze sobą tradycję chrześcijańską z indyjskimi klimatami. Tam czuli się w naturalny sposób Czandami, podobnie jak byli Neville'ami podczas pobytu w Darjeeling i jego okolicach. Helena zdołała przekonać lana do pogrzebienia starych niesnasek. Za kilka tygodni, gdy herbata zostanie zebrana i przetworzona, zapakowana w skrzynie i odprawiona na statki w Kalkucie, w Sikharze ma się odbyć święto plenerowe dla innych plantatorów i ich rodzin, którego planowaniem i przygotowaniem Helena jest zajęta w ciągu niewielu wolnych godzin, jakie ma teraz do dyspozycji.

O Richardzie Carterze nigdy już więcej nie usłyszała i chociaż czasem miała wyrzuty sumienia, że w ten sposób uciekła z hotelowego pokoju, to w sumie była zadowolona, że tak się to wszystko skończyło. Potrafiła dochować tajemnicy ich obu, lana i Richarda. Zostawiła za sobą cienie przeszłości. Nie mijał ani jeden dzień, żeby Helena nie dziękowała losowi, że ją tu sprowadził, choć droga do tego szczęścia była tak wyboista. I będzie

walczyła jak lwica, żeby zachować to szczęście, gdyby kiedykolwiek poczuła, że jest ono zagrożone.

Od czasu do czasu martwiła się, czy Emiły będzie dane wzrastać beztrąsko i szczęśliwie, inaczej niż jej i łanowi. Ale wiedziała, że los kroczy swoimi drogami, że czasem trzeba go wziąć we własne ręce, odważnie i bez wahania. Próbowwała przekazać tę wiedzę Jasonowi. Spróbuje przekazać ją także Emiły oraz pozostałym dzieciom, które łan i ona będą może jeszcze mieli. Spróbuje dać im to, co najlepsze z obu światów, ponieważ byłaby to najcenniejsza spuścizna, jaką im któregoś dnia mogą pozostawić.

Helena wyprostowała się i zaczerpnęła głęboko powietrza, chłonęła słońce, wiatr, zapach kamieni, ziemi i herbaty. W końcu szarpnęła cugle i pogalopowała wśród zielonych wzgórz, w dół, za łanem.

Uwagi końcowe

Akcja i bohaterowie tej książki są w większości fikcyjni, kilka scen opiera się jednak na prawdziwych wydarzeniach.

Naprawdę istniał kierownik Ogrodu Botanicznego w Saharanpurze William Jameson i faktycznie na zlecenie rządu zajmował się eksperymentalną uprawą herbaty w różnych dolinach Himalajów, także w dolinie Kangry.

Tło historyczne, kulturalne, religijne Indii, społeczne i polityczne stosunki panujące w kraju w tym okresie zostały przedstawione na podstawie starannie przeprowadzonej kwerendy, szczególnie wydarzenia, jakie się rozegrały podczas powstania z 1857 roku w Meerut, Delhi, Kanpurze i innych częściach kraju. Generał sir Hugh Wheeler, generał Havelock, generał George Anson, lord i lady Canningowie, Bahadur Szach i Nana Sahib są postaciami historycznymi, które miały swój udział w powstaniu, podobnie jak porucznik Willoughby i jego ludzie, którzy po południu 12 maja 1857 roku wysadzili arsenał w Delhi. Pałac Surja Mahal i ród radży Dheeraja Czanda są fikcyjne, jak również plantacja herbaty Sikhara, ale miejscowości te, ich historia i osoby tam żyjące zostały zainspirowane realnymi wydarzeniami i osobami. Dotyczy to również rodziny Claydonów i Lawrenceów.

Historia Winstona została zainspirowana losem bezimiennego żołnierza, który podczas powstania bił się po stronie Hindusów, był ścigany jako zdrajca, a na koniec został stracony.